



Isaac Bashevis **SINGER**

SPUŚCIZNA



ISAAC BASHEVIS SINGER

SPUŚCIZNA

Przełożyła Irena Wyrzykowska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

I

Daniel Kaminer nagle zachorował. Dostał gorączki i zaczął kaszleć. Celina dała mu herbaty z sokiem malinowym, natarła kark i plecy terpentyną, to jednak nie pomogło. Z nastaniem ranka nie mógł się podnieść z łóżka. Zażądał lusterka. W ciągu nocy twarz mu zapadła, a kozia bródka jakby się skurczyła – Celino, umieram! – powiedział.

Celina się rozpląkała. Natychmiast posłała po lekarza do Skaryszewa. Chory dostał zapalenia płuc. Postawiono mu bańki, przystawiono pijawki, lecz każda godzina przynosiła pogorszenie.

Jego córka Klara przebywała za granicą. Napisała z Paryża, że po kłótni Cypkin ją porzucił. Przegrała dużo pieniędzy w Monte Carlo. Poznała Żyda z Rosji, kupca pierwszej gildii, któremu wolno było się osiedlać poza obrębem getta. Pisała listy krótkie, pełne domyślników, kończąc zwykle zdania kilkoma kropkami. Dla Daniela Kaminera jedno było jasne – jego córka wkroczyła na śliską drogę. Felusia, którą mu Klara zostawiła pod opieką, stanowiła teraz część jego własnej rodziny.

Jednakże wszystkie sprawy traciły znaczenie w obliczu śmierci. Wyobrażenia Daniela Kaminera o przyszłym świecie nie były jasno sprecyzowane. Bóg musi istnieć, trudno jednak uwierzyć w nieśmiertelność duszy. Co się działo I duszami zmarłych? Dokąd podążały? Jak długo dusza może krążyć nad cmentarzem czy też przebywać w zimnej synagodze? Poczucie humoru nie opuściło Daniela Kaminera.

Żartował postępując.

Mówił do Celiny, która już go opłakiwała:

- Sza! Nie lamentuj! Zbudzisz Anioła Śmierci...
- Co się z nami stanie?
- Tyle jest wdów, będzie o jedną więcej.
- Co ja pocznę w razie czego sama z dziećmi?
- Zamarynujesz je w occie...

Mimo takich żartów Daniel Kaminer też się martwił o potomstwo. Nie zgromadził majątku, a kilka ostatnich lat okazało się niepomysłnych. Rosjanie są mu dłużni pieniądze, umarli jednak nie mogą się upomnieć o należność, Celina ma ptasi mózdzek. Nie będzie w stanie odebrać ani grosza. Teściową dotknął paraliż. Nie może dalej pracować, trzeba ją utrzymywać. Jak poradzi sobie Celina z dziećmi? Gdyby Klara tu była, mógłby przynajmniej omówić z nią sytuację. Ona jednak znajduje się za granicą. Całymi godzinami Daniel Kaminer o niczym nie myślał. Usiłował zwalczyć flegmę wypełniającą mu gardło i płuca. Wyobrażał sobie, że gdyby mógł się jej pozbyć jednym potężnym kaszlnięciem, natychmiast by wyzdrowiał. Próby odkaszlnięcia przynosiły przeszywający ból w boku.

Głowa mu płonęła, stopy ścierpły, w palcach nie miał czucia.

Celina, w przybrudzonym szlafroku, znoszonych papuciach i brudnej chustce na głowie, kręciła się w pobliżu.

Płakała i wciąż coś żuła. Od czasu do czasu przystawała u wezłowia łóżka Daniela i potrząsała głową, wyrażając tym znamienym dla kobiet odwiecznym gestem głęboki żal. Danielowi przyszło na myśl, że, nim rok upłynie, ona zapewne wyjdzie ponownie za męża. Zawsze znajdzie się ktoś, kto zajmie opuszczone miejsce. Rozmyślał o swym życiu – nie przeżył go dobrze. Kiedyś często słyszał, jak starzy ludzie u schyłku życia wzdychają: "Gdyby raz jeszcze dane mi było przeżyć życie, wiedziałbym, co z nim zrobić." Gdyby miał teraz lat czterdzieści, co by zmienił w swym postępowaniu? Czy zostałby chasydem i spędzał całe dni studiując pisma święte? Czy więcej by pił, lepiej jadł, posiadał więcej kobiet? Nie. Nie można przechytrzyć losu.

Daniel Kaminer zapadł w sen. Śniło mu się, że Rosja prowadzi wojnę i car zlecił mu dostawę żywności dla armii. Pułki defilowały przed nim: Kozacy, Czerkiesi, Tatarzy, z karabinami, dzidami i mieczami. Śpiewali monotonną pieśń, bezbrzeżnie smutną, jakby z tamtego świata. Czy to umarli? Czy trupy mogą prowadzić wojnę?

Atak kaszlu zbudził Daniela. Nagle powziął pewien zamiar. Wyśle depeszę do Warszawy nakazując Saszy natychmiastowy przyjazd. Był przekonany, że wnuk

tylko z pozoru robi wrażenie nieokiełznanego. To prawda, że od chwili wyjazdu matki źle się sprawuje. Dyrektor szkoły skarżył się na niego. Ale przecież chłopak pozostał sam w dużym mieście, zdany jedynie na opiekę boską.

Dlaczego nie miałyby sobie pofolgować? Daniel Kaminer już dawno się zorientował, że Sasza zna życie i ludzi i ma obrotny język. Możliwe, że zdradza talent do interesów.

Wnuk wdał się w rodzinę Kaminerów. Daniel posłał po pułkownika Szachowskiego, Rosjanina w podeszłym wieku, z którym prowadził interesy. Pułkownik, mimo częstych sporów z Kaminerem, przejął się widząc go w tak zmienionym stanie i nalegał, aby posłać po lekarza pułkowego.

– Wasza wysokość – odezwał się Daniel Kaminer – jestem już jedną nogą na tamtym świecie. Wnuk Sasza zostanie moim spadkobiercą.

– A, znam go. To przystojny chłopak.

– On się zatroszczy o moje sieroty.

W oku pułkownika Szachowskiego zakręciła się łza.

Celina podała mu kieliszek wódki. Przyrzekł Kaminerowi, że we wszystkim przyjdzie Saszy z pomocą. Zjawił się lekarz pułkowy i znów zaordynował bańki, ale chory czuł się coraz gorzej. Oddech jego stał się rżący jak skrzywienie piły po drzewie, z nosa puściła się krew. Członek Bractwa Pogrzebowego radził odbyć spowiedź, Kaminer wszakże odmówił.

– Spowiedź nie dodaje sadła – zażartował.

Wraz z nastaniem poranka Kaminer zakończył życie. Pułkownik Szachowski kazał orkiestrze wojskowej zagrać na pogrzebie. Kiedy jampolski rabin zaproponował przeciwko muzyce zabronionej na żydowskich pogrzebach, farmaceuta Grajn przeciwstawił mu się i nazwał rabina ignorantem. W Jampolu mieszkało obecnie sporo oświeconych Żydów, którzy poparli farmaceutę. Chociaż pani Frenkiel? była schorowana, przyjechała z Warszawy i przywiozła! Celinie kapelusz z welonem z czarnej krepy. Bractwo Pogrzebowe zażądało nader wygórowanej sumy za miejsce na cmentarzu, lecz pułkownik Szachowski zagroził, że jeśli obciążą wdowę nadmiernymi kosztami, spowoduje zesłanie ich na Sybir.

Rosjanie i heretycy zajęli się pogrzebem. Pani Grajn, Tamara Szalit i Sonia Sorkes uszyły całun dla nieboszczyka. Orkiestra wojskowa grała marsze, a kompania żołnierzy szła za karawanem. Grajn, Dawid Sorkes i pułkownik Szachowski wygłosili na cmentarzu mowy. Żony oficerów szlochwały na widok Celiny z liczną gromadką sierot –r jedno dziecko mniejsze od drugiego – ustawionych według wzrostu. Wszyscy obecni znali Saszę. Mężczyźni poklepywali go po plecach, kobiety pocieszały. Każdy powtarzał to samo, że z pewnością byłoby lepiej, gdyby mógł ukończyć gimnazjum i wstąpić na uniwersytet. Skoro jednak ma prowadzić interes dziadka, oni mu doradzą, pomogą, a Bóg roztoczy nad nim pieczę.

Oficerowie jampolskiego garnizonu dotrzykali słowa.:

Pułkownik Szachowski, zwykle ociągający się z płaceniem długów, szybko wyrównał wszystkie zadłużenia. Mejer–Joel, zięć Kalmana, też został dostawcą pułkowym i rywalizował z Kaminierem obecnie jednak wszystkie zamówienia skierowano do Saszy.

Okazało się, że chłopiec ma isticie żydowski zmysł do interesów. Tak szybko się wszystkiego nauczył, że wprawił ludzi w zdumienie. Wiedział: nawet, kogo należy przekupić. Zapewnił zwyczajową opłatę zarówno pułkownikowi, jak i generałowi Hornowi który zajął miejsce generała Rittermajera.

Początkowo Mejer–Joel próbował z nim walczyć. Miał dzierżawę majątku i był właścicielem młyna Mógł więc dostarczać produkty po cenie niższej niż Sasza.

Zamierzał udać się do Warszawy, przekupić kogo trzeba łapówkami i odebrać Saszy zawarte kontrakty. Wmieszał się jednak Kalman, który wciąż jeszcze miał coś do powiedzenia. Wapienniki i bocznica kolejowa nadal należały do niego.

Przypomniał Mejerowi–Joelowi, że po pierwsze, Sasza to nie ktoś obcy, to jego, Kahnana, syn, a więc szwagier Joela. Byłby wstyd, zwłaszcza wobec chrześcijan, gdyby w rodzinie współzawodniczono ze sobą w sposób tak niehonorowy. Po wtóre, Mejer–Joel jest bogaty. Ile mu potrzeba? Nie zabierze pieniędzy ze sobą do grobu. Po trzecie, Sasza musi dać utrzymanie wdowie i sierotom. Po czwarte, władze trzymają stronę Saszy. Kalman dobrze się orientował, z której strony wieje wiatr. Syn całe dni i noce spędzał w kasynie z oficerami, jeździł z nimi saniami, przebywał

w towarzystwie ich żon i córek. Dopóki Sasza uczył się w Warszawie, nie przynosił wstydu Kalmanowi. Teraz zjawił się w Jampolu chyba tylko po to, aby go zniesławić.

Jednak zerwanie stosunków nie przyniosłoby nic dobrego. Chłopak tego typu co Sasza zbyt mocno naciskany mógłby się wychrzcić na złość wszystkim.

II

Sonia dostała list od brata. Na znaczku był stempel poczty paryskiej. Cypkin wypełnił całe cztery strony drobnym pismem:

Droga Soniu!

Już od dawna chciałem do Ciebie napisać, ale nie miałem Twego adresu. Kiedy wyjeżdżałem i Warszawy, nie wiedziałaś, co zamierzasz robić, ani gdzie zamieszkaś. Słyszę od rodziców, że wciąż zmieniasz adresy, więc pod tym względem, wydaje się, jesteśmy do siebie podobni. W ciągu ostatnich paru miesięcy przebywałem w tylu hotelach i umeblowanych pokojach do wynajęcia, że mi się w głowie kręci. Przede wszystkim muszę Cię poinformować, że rodzice nadal nie wiedzą, w jakich okolicznościach, nastąpił mój wyjazd za granicę, mimo że Klara domagała się, abym ich o tym powiadomił.

Przeczucie mi mówiło, że cała ta przygoda nie potrwa długo. Z ich listów wnoszę, żeś dotrzymała obietnicy i nie wyjawiała prawdy. Jestem Ci wdzięczny z całego serca. Obawiałem się, że Sabina może wszystko zdradzić, jednak i ona zachowała milczenie. Dobrze się stało, że nie zostali wciągnięci w to nasze błoto.

Tak, droga Soniu, miałaś po tysiąckroć rację.

Postępowałem jak szalowiec dążący do samounicestwienia. Zawsze się uważałem za mężczyznę z życiowym doświadczeniem, a Ciebie za młode romantyczne dziewczę przebywające w świecie ułudy. Muszę dziś przyznać, że znacznie lepiej ode mnie znasz się na ludziach. Nie potrafię opowiedzieć,! siostrzyczko, ile wycierpiałem. Wydaje mi się, że to już lata, nie miesiące minęły od czasu wyjazdu z Warszawy.

Kubuś stał się dla mnie nierealny, chociaż tęsknię do niego dniami i nocami. Zjawia się w moich snach. Wiem, że nie powinienem przygnębiać Cię moimi powikłaniami życiowymi, muszę jednak przed kimś się wyżalić, żeby się nie udławić. Jestem rozbity zarówno psychicznie, jak fizycznie. Wierzaj, gdyby nie wzgląd na rodziców odebrałbym sobie życie.

Chcę opowiedzieć o wszystkich moich przeżyciach, o tym, co musiałem

znieść – zapisałbym całą księgę. Postaram się zatem jak najbardziej streszczać. Zaledwie opuściliśmy Polskę, postępowanie Klary zupełnie się zmieniło, jakby w nią wstąpił zły duch. Stała się okropnie nerwowa, narzekała, że brak jej dzieci, że się czuje chora, że zrobiła głupstwo i tak dalej. W Berlinie obraziła pokojówkę hotelową. Zachowała się tak ordynarnie, że nie wierzyłem własnym uszom. Zaczęła liczyć każdy grosz, wyklócała się z kelnerami i wszystkich podejrzewała. Wciąż mi wytykała, że nie mam własnych pieniędzy Nagle oznajmiła, że chce najpierw jechać do Monte Carlo, a potem dopiero do Paryża. Tę zmianę planów wywołał niejaki Mirkin, rosyjski Żyd mieszkający w naszym hotelu. Chcąc go opisać, trzeba by pióra Turgieniewa lub Bolesława Prusa. Potrafił wstać w środku nocy i kazać sobie podać pieczoną kaczkę. Podróżował z sekretarzem, będącym jednocześnie stręczycielem. Wybacz tę wzmiankę, ale tak było naprawdę. Pieniądzy miał bez liku. Zajmował się eksportem futer syberyjskich do zachodniej Europy i wszędzie miał filie. Handlował również dywanami z Buchary i czort wie czym jeszcze.

Ma co najmniej sześćdziesiąt pięć lat, nie widzi na jedno oko, zostawił gdzieś w świecie żonę i dorosłe dzieci.

Trzeba było widzieć, jak tych dwoje szarlatanów, on i Klara, natychmiast przyłgnęło do siebie. Z chwilą gdy się tylko poznali, przestałem dla niej istnieć. Już kiedyś Klara sprzedała się Kalmanowi Jakobiemu. Mirkin jest jeszcze starszy i brzydszy. Kalman to przynajmniej człowiek uczciwy.

Pewno się uśmiechasz, Soniu, czytając te słowa.

Ostrzegałaś mnie. Gdybym wtedy Ciebie usłuchał!

Powinienem był plunąć na nią, ale tak się czułem zgnębiony i wyczerpany, że wprost nie miałem sił na powzięcie decyzji. Powlokłem się za nią jak idiota do Monte Carlo i spotkała mnie zasłużona kara, nawet znacznie większa od mej winy. W Monte Carlo ten stary głupiec zaczął grać w ruletkę i stracił dużo tysięcy. Klara też próbowała szczęścia i przegrała ponad tysiąc rubli.

Jestem pewien, że miała nadzieję odciągnąć Mirkina od żony i znów zostać milionerką, ale Mirkin to szczwany lis.

Póki mu się to podobało, zabawiał się z nią, racząc kawiozem i szampanem.

Pewnego dnia otrzymał depeszę (lub udawał, że ją dostał) i ulotnił się.

Powiedział, że wróci do Monte Carlo, zostawił nawet swego sekretarza, czy jak go tam nazwać. Wreszcie i sekretarz zniknął. Diabli wiedzą, jakie naprawdę były jego zamiary, w każdym razie miał się później z Klarą gdzieś spotkać. Rozumiesz więc, że ta historia położyła kres naszym stosunkom. Dostrzegłem całą wulgarność tej kobiety. Nys uwierzysz, Soniu, ale bywały dni, kiedy faktycznie głodowałem. Tych paręset rubli, które miałem, poszło na opłacenie przejazdów. Mówiąc krótko, rozstaliśmy się i to nawet bez pożegnania, nie powiedziawszy sobie do widzenia. Później Klara usiłowała znów się wkraść w moje łaski. Mogę być jako człowiek niewiele wart, ale tak nisko nie upadłem. Odjechałem przeklinając nie ją – śmieć pozostanie śmieciem – tylko siebie i woj%: karygodną lekkomyślność.

Długo nie miałem odwagi napisać do Sabiny. Kiedy wreszcie się na to zdobyłem, nie otrzymałem odpowiedzi na list i nie mogę jej za to winić. Zdradziłem wszystko i wszystkim: Sabinę, siebie i dziecko. Przekroczyłem granice przyzwoitości. Zatraciłem kompletnie własną godność i to mnie najbardziej nęka. Odczuwam taką udrękę, jakiej Ty, mam nadzieję, nigdy nie zaznasz.

Po co niepokoje Ciebie, Soniu? W czym możesz mi pomóc? Moja sytuacja tak się przedstawia: nie mam ani franka. Sprzedałem już złoty zegarek i wszystko, co mogło przynieść trochę grosza. Chcę albo wrócić do domu, albo wyjechać do Ameryki, nie mam jednak na balet. Jestem zadłużony w hotelu. Zazdroszczę nawet psu na ulicy, każdemu kotu, każdemu robakowi. Soniu, musisz zdobyć sto pięćdziesiąt rubli, chociaż nie mam pojęcia, gdzie możesz dostać taką sumę, i przysłać mi te pieniądze. Mówiłaś niegdyś o posagu odłożonym dla Ciebie przez rodziców," Zwrócę oczywiście tę pożyczkę i będę Ci dozgonni wdzięczny. Nie mam nikogo oprócz Ciebie. Jeśli i Ty się ode mnie odwrócisz, pozostanie mi już tylko jedno wyjście. Nie gniewaj się, Soniu. Cierpię bezustannie. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że można znosić takie męki. Nie mam ogrzewania w pokoju, a jest straszny ziąb. W duszy odczuwam jeszcze większy chłód. Mam ponadto taką prośbę: czy mogłabyś się zobaczyć z Sabiną i przedstawić jej moją sytuację? Nie chcę się narzucać Sabinie, ale skrzywdziłem ją strasznie i chciałbym spróbować to naprawić.

Pomów z nią i z rozmowy wywnioskuj, czy będzie w stanie kiedykolwiek mi wybaczyć.

Europa jest wspaniała, elegancka, wolna. Dla mnie jednak cały świat stracił urok. Dobrze przynajmniej jest to, że Żydzi mogą tutaj korzystać z bezpłatnej zupy w kuchni utrzymywanej przez Związek Izraelicki. Chodzę tam na obiady, żeby nie głodować. Tak, twój brat został żebrakiem. Trudno opisać typy, jakie się tu spotyka. Nigdy się nie spodziewałem, że mogą istnieć tacy pomyleńcy.

Droga moja, dosyć goryczy jak na jeden list! Całuję Ciebie tysiącrotnie. Jeśli nie możesz mi pomóc, przynajmniej napisz. Już sam list będzie pociechą.

Twój nieszczęśliwy Aleksander Kochany Aleksandrze, Najdroższy Mój Braciszku!

Czy pamiętasz, co Ci powiedziałam owego ranka w mieszkaniu Klary? Cokolwiek się stanie, zawsze będę Cię kochała, Kiedy wymawiałam te słowa, nie przypuszczałam, że będą prorocze. Musiałam jednak coś przeczuwać.

Pragnę powiedzieć, że od wczesnego dzieciństwa darzyłam Cię uczuciem ogromnej miłości. Może takie wyznanie jest grzechem, ale kochałam Ciebie bardziej niż rodziców. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że jesteś taki porywczy i nieokiełznany? Pamiętam, jak mnie raz uderzyłeś (jak dawno to już było!), a ja Ci natychmiast przebaczyłam. Ale dość tych zwierzeń!

Nie odpisałam od razu, próbowałam bowiem znaleźć jakąś drogę wyjścia. Uczyniłam wszystko, co w mej mocy, tutaj jednak, w Warszawie, nie udało się zebrać nawet stu pięćdziesięciu kopiejek, a cóż dopiero rubli.

Mnie też dotknęło nieszczęście. Ale nie ma sensu pisać o tym w tej chwili. Chcę Ci tylko powiedzieć, że Mirele wciąż leży w szpitalu ciężko chora i krążą uporczywe pogłoski, że osobą odpowiedzialną za ten stan jest jej najbliższy przyjaciel. Człowiek się wzdryga na myśl, że coś podobnego może się zdarzyć. On temu gwałtownie zaprzeczył, jednakże uznał, że lepiej zniknąć ludziom oczu. Nie mogę pojąć, jak to wszystko przeżyłam. Ty jesteś ateistą, lecz ja nadal wierzę w Boga i być może to mnie uratowało. Rozczarowałam się rozczarowałam się okropnie nie do całej ludzkości, lecz do pewnych osób. Wciąż wierzę, że nadejdzie lepsze jutro

i znów zaświeci słońce. Gdybym nie miała tej wiary, nie potrafiłabym oddychać.

Mam tu w Warszawie posadę sprzedawczyni w sklepie. Tak, stoję za ladą w sklepie z galanterią męską, sprzedaję krawaty, spinki, skarpetki i tym podobne artykuły. Ciężko pracuję, muszę być na miejscu wczesnym rankiem, aby otworzyć sklep. Zamykamy o siódmej, ja zostaję dłużej, żeby posprzątać. Zanim dotrę do domu i zjem kolację, jest już jedenasta. Padam na łóżko i śpię jak zabita.:

Prawdziwe to szczęście, że Twój list nadszedł w piątek, bo w sobotę sklep jest zamknięty. Kochany, chcę Ci opowiedzieć po kolei wszystko. W sobotę rano poszłam zobaczyć się z Sabiną. Kubuś jest jeszcze bardziej rozkoszny, Sabina natomiast jak ocet kwaśna.

Nie chciała mnie nawet wpuścić do mieszkania.

Wyładowała na mnie całą swą złość, potem popatrzyła ironicznie i roześmiała się w nos. Jeśli wierzyć temu, co mówi, to jedyną rzeczą, której pragnie, jest otrzymanie od Ciebie żydowskiego świadectwa rozwodowego. Jej matka wyraźnie ją przeciw Tobie podburza.

Czy wyobrażasz sobie, co się zdarzyło potem?

Wyszłam od Sabiny i szłam bez celu Krakowskim Przedmieściem. Naraz ktoś mnie zawołał, jakaś kobieta w ciężkiej żałobie. Ogromnie się przelęłam. I co się okazało? Była to Klara! Chciałam ją wyminąć, ale chwyciła mnie za rękę i tak mocno ścisnęła, że dotychczas mnie boli. Okazuje się, że umarł jej ojciec.

Tłumaczyłam, że nie mamy sobie nic do podwędzenia, ale prosiła, abym nie odchodziła. Zaczęła płakać na środku ulicy, co było dla mnie żenujące. Weszłam z nią do kawiarni, gdzie przez bite trzy godziny łkając opowiadała swe dzieje. Na szczęście w kawiarni było pusto. Ja też płakałam i filiżanka z kawą podane przez kelnera wypełniły się naszymi łzami. Cóż Ci mogę powiedzieć, mój kochany? Znam jej wszystkie wady, jednak nie jest ona tak pozbawiona uczuć jak Sabina.

Osoba ordynarna też może mieć duszę. Nie potrafię Ci powtórzyć wszystkiego, co mówiła. Najważniejsze jest to, że żałuje swych czynów. Rosyjski kupiec odwiedził ją w Warszawie, ale go odprawiła. O Tobie wyrażała się jak o aniele. Jakie o wszystko dziwne! Przysięgała, że tęskni za Tobą dniami i nocami i gotowa jest

wypić wodę, w której obmyje Twoje stopy (jej własne słowa!)... Prosiła o Twój adres, ale jej stanowczo odmówiłam. Chciała Ci wysłać pieniądze, wiem jednak, że to by Cię upokorzyło.

Zamiast tego wysłałam ekspresem Twój list do rodziców i dzisiaj (wtorek) dostałam od nich depezę donoszącą o wysłaniu Ci pieniędzy. Wybacz, drogi braciszku, że poinformowałam rodziców. Nie mogłam jednak pozwolić, abyś umarł samotnie w Paryżu.

Ach, jeszcze jedno, zapomniałam dodać, że syn Klary, Sasza, porzucił naukę w gimnazjum i przejął interesy swego dziadka. Klara cuda o nim opowiada.

Felusia wraz z Luizą wróciły do Warszawy. A teraz, Aleksandrze, chcę, byś wiedział, że nic mnie nie trzyma w Polsce. Nie mogę wrócić do domu. Obawiam się, że złoży mnie ta sama choroba co Mirele. Zatacza coraz szersze kręgi. Wszyscy na nią zapadają...

Nie muszę Ci mówić, że praca nie sprawia mi zadowolenia. Czuję się też przygnębiona, przeżyłam bowiem wielki zawód. Mam obecnie tylko jedno pragnienie – wyjechać do Ameryki. W ten lub inny sposób uda mi się uzbierać pieniądze na bilet. Nie chcę jednak jechać sama. Zaczekaj na mnie, Aleksandrze, wybiorę się z Tobą razem. Chcesz jechać do Ameryki, lepiej będzie, jeśli pojedziemy we dwoje. Nie zwlekaj z odpowiedzią.

Całuję Ciebie i tulę do serca oddana Ci Sonia.

PS Odpowiedz szybko, bo każdy dzień się liczy.

Kochany Aleksandrze!

Wczoraj do Ciebie pisałam i dziś znów piszę. Klara przyszła do sklepu zobaczyć się ze mną, nalegała i prosiła o Twój adres. Przeszkadzała mi w pracy. Bałam się, że "stary" mnie wyrzuci. Nie dałam jej Twego adresu, przyrzekłam natomiast przesłać Ci jej list. Załączam go.

Uczyń to, co uznasz za najlepsze. Wydaje się, że Ciebie kocham, ale Bóg mi świadkiem, nie rozumiem tego rodzaju miłości. Jestem przypuszczalnie prowincjonalną "panienką z Kuniewa", jak mnie kiedyś nazwałeś... Cokolwiek się zdarzy, odpisz niezwłocznie.

Czy otrzymałeś pieniądze od rodziców? Czy Ci wystarczą?

Uściski Sonia

PS Jeśli moja korespondencja się urwie, będzie to oznaczało, że zachorowałam... Mam jednak nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży.

List od Klary do Cypkina, przesłany przez Sonię, brzmiał następująco:

Kochany Aleksandrze!

Piszę i nie mogę się powstrzymać od płaczu. Może te łzy będą dowodem prawdziwości mych słów. W krótkim okresie utraciłam najbliższych memu sercu dwóch mężczyzn, ojca i Ciebie, i doprawdy nie pojmuję, dlaczego Bogu podobało się mnie pokarać. Dopiero co spędziłam parę godzin z Twoją siostrą i wnioskuje z jej słów, że: słuszość przypisujesz tylko sobie, a mnie obarczasz winą za wszystko. Być może nie zdajesz sobie sprawy z tego, że z chwilą opuszczenia przez nas Warszawy, kompletnie się zmieniłeś, jakby zły duch Ciebie opętał. Czułam się tak szczęśliwa, że wreszcie jesteśmy razem po tylu kłopotach i trudnościach. Ty jednak siedziałeś w pociągu zamyślony i milczący, nie odpowiadając nawet na moje i odezwania.

Sądziłam, że z tego lub innego powodu jesteś w złym nastroju i postanowiłam zostawić Cię w spokoju (ja też mam własną dumę). "Nastrój" ten trwał jednak przez całą podróż. Obawiam się, żeś zapomniał, jak się wtedy zachowywałeś, lub postanowiłeś o tym nie pamiętać. Każde Twoje spojrzenie przeszywało mnie na wylot. Zaciskałeś wąskie wargi i nic nie było w stanie Cię ułagodzić. Rzucałeś aa mnie piorunujące spojrzenia, jakbym była Twoim najgorszym wrogiem. Wiem, że nie przyszło Ci łatwo opuścić rodzinę, ale i ja pozostawiłam dzieci, a co więcej, dla Ciebie rozwiodłam się z bogatym mężem.

Więcej dla Ciebie poniosłam ofiar niż kiedykolwiek dla jakiegokolwiek osoby. A jak mi odpłaciłeś? Pogardą i obelgą. Kiedy nawiązałam rozmowę z panią w żółtym kapeluszu, robiłeś żenujące uwagi. Nie byłeś nawet na tyle uprzejmy, aby podnieść upuszczoną przeze mnie torebkę. Przy każdej sposobności demonstrowałeś wobec współtowarzyszy podróży brak szacunku dla mojej osoby. Wyszłam więc z przedziału, chcąc się wypłakać na korytarzu w pierwszą noc naszego "miodowego miesiąca". Po przyjeździe do Berlina wyszedłeś na cały dzień, zostawiając mnie samą

w hotelu. Zapytałam po powrocie, gdzie byłeś, ale odmówiłeś odpowiedzi. Nigdy nie pojmę, jak to możliwe, aby ktoś z dnia na dzień tak się zmienił. Jedynym dla mnie wyjaśnieniem jest chyba pech, który mnie nieustannie prześladowa, odkąd pamiętam, chociaż zawsze starałam się być miła dla wszystkich. Wiem, że Ci się nie podobał ani mój kostium, ani kapelusz, ale dlaczego nie poszedłeś ze mną do krawca, kiedy Cię o to prosiłam?

Nie chciałeś nawet rzucić okiem na żurnal. Dopiero kiedy straciłam tyle pieniędzy i tyle się natrudziłam, wyraziłeś swoją opinię jednym słowem: "wulgarne". Zabrzmiało to jak wyrok śmierci. Cóż tak wulgarne było w moim wyglądzie? Jedwab, aksamit i strusie pióra są przecież szlachetne. Wszyscy inni obsypywali mnie komplementami. Wielokrotnie starałam się naprawić nasze stosunki.

Ty jednak masz swój bardzo wyniosły sposób bycia i odcinasz się od osób Ci bliskich. Dosłownie nie dopuszczałeś mnie do głosu, a jeśli mi się udało coś powiedzieć, naśmiewałeś się ze mnie. Doprowadziłeś więc sprawy do takiego stanu, że spędzaliśmy noce osobno zamiast cały czas być razem. Wiesz, że to, co piszę, jest prawdą, a jeśli kłamię, obym nie dożyła dnia ślubu mego Saszy. Tak, zaklinam się jak przekupka, jak Ty byś to określił, lecz wierzaj mi, przekupka ma więcej serca od Ciebie.

Byłeś w podłym nastroju i wyładowywałeś swoją złość na mnie wiedząc, że jestem od Ciebie zależna. Twoja ironia w odniesieniu do mojej złej niemieczyny była nie na miejscu. Jak inaczej miałam rozmawiać z Niemcami?

Wszyscy, słysząc, że jesteśmy z Rosji, chwalili mnie, że potrafię się z nimi porozumieć. Zostawiłeś mnie w obcym mieście, wszędzie chodziłam sama i chociaż przyjmowałam to z uśmiechem, wierzaj mi, gdybyś mógł wtedy przeniknąć do mego serca, znalazłbyś w nim samą gorzkość.

Przejdźmy teraz do sprawy tego starego Mirkina, stanowiącej główny punkt twoich oskarżeń. Jego jedynym grzechem było ludzkie i dobrotliwe postępowanie. To starzec, mógłby być moim ojcem jako człowiek obyty i doświadczony wyczuł, jak się między nami sprawy układają. Do kogóż innego miałam się zwrócić, kiedy Ty się okazałeś tak nieuprzejmy? Zbyt często w życiu byłam całkiem sama. Co mogłeś mieć

przeciw temu, że starszy pan, w dodatku ułomny, okazuje mi ojcowskie uczucie i obwozi po mieście, które tak dobrze zna? Nawet pies nie może być wciąż sam. Widocznie tylko czekałeś na sposobność odegrania roli zazdrosnego kochanka, chociaż trzeba być szalonym, aby podawać w wątpliwość moje zachowanie. Czyż porzuciłabym moje drogie dzieci dla kogoś, kto już stoi jedną nogą w grobie? Jeśli zaś chodzi o podróż do Monte Carlo, to był Twój pomysł, nie mój. Chciałam jechać wprost do Paryża. Ty jednak naraz zakochałeś się w Mirkinie. Przewidywałam, że zgubi mnie Monter Carlo. Rozsunął taką diabelską pajęczynę wokół mojej osoby, że nawet teraz, choćbym się najbardziej starała, nie mogę pojąć tego wszystkiego.

Wyglądało, że sam chcesz mnie pchnąć w ramiona Mirkina. Było oczywiste, że on się we mnie podkochuje.

Jeszcze go zachęcałeś i niejednokrotnie zauważyłam, że robiłeś wszystko, co w Twojej mocy, aby mnie skompromitować. Dotychczas nie potrafię pojąć, czyś to wszystko zaplanował, czy tak się po prostu złożyło. Jeśli to było ukartowane, popełniłeś czyn godny najwyższej pogardy. A nawet jeśli działałeś pod wpływem impulsu, jasne, że w głębi serca nie miałeś szlachetnych pobudek.

Przysięgam przed Bogiem, że Ty nakłoniłeś mnie do gry w ruletkę. Być może miałeś nadzieję, że jeśli wszystko przegram, popełnię samobójstwo. Boże w niebiosach, i Ty nazywasz to miłością? Chciałeś mnie zniszczyć – tak wygląda naga prawda. W Twoich oczach czaiła się taka wrogość, że przejmuje mnie dreszcz, kiedy o tym wspominam. Zaczęłam się nawet bać, że zamierzasz mnie otruć lub w jakiś inny sposób pozbawić życia. Nie mogłam już tego znieść i opowiedziałam wszystko Mirkinowi. Nawet gdyby był z kamienia, musiałabym się zwierzyć choćby i kamieniowi.

To prawda, że Mirkin przywiązał się do mnie i zaproponował małżeństwo, oczywiście po rozwodzie z żoną, z którą żył już w separacji. Czyż to moja wina, że wciąż się jeszcze podobam mężczyznom, a zwłaszcza takiemu Mirkinowi przebywającemu stale w podróży, który od dawna nie zaznał rozkoszy ogniska domowego? Wierz mi, Mirkin, chociaż stary i ułomny, miał ogromne powodzenie u kobiet. Sama widziałam piękne kobiety rzucające mu się w ramiona. Jest bajecznie

bogaty, a przy tym inteligentny. Mimo jego przechwałek nigdy nawet przez chwilę nie brałam go na serio. Oznajmiłam, że kocham tylko Ciebie. Powiedział, że jest mu przykro, bo jak widać, kocham bez wzajemności. Chciał mi ofiarować sznur pereł wartości dwudziestu pięciu tysięcy rubli. Roześmiałam się na tę szczodłą propozycję. A wszystko to działo się tylko dlatego, że Ty gdzieś znikales i wyraźnie starałeś się pchnąć mnie w otchłań.

Chcę Ci od razu w tym miejscu powiedzieć, że Mirkin dotychczas nie zrezygnował. Przyjechał za mną do Warszawy i z trudem udało mi się go pozbyć. Chce mi przekazać ogromną posiadłość ziemską. Wierzaj mi, choć stary i brzydki, ma więcej serca od Ciebie. Gdybym tylko mogła go pokochać, byłabym najszczęśliwszą kobietą na świecie. Na moje nieszczęście nie należę do tego rodzaju osób. Przysięgam Ci na wszystkie świętości, że ten człowiek nawet mnie nie dotknął.

Wszystko mi jedno, czy uwierzysz czy nie. Przeżywszy tamtą tragiczną podróż, powzięłam postanowienie – pora zaniechać walki z losem. Moje życie to jedna wielka klęska, śmierć zaś ojca przywiodła mi na pamięć, że i ja nie będę żyła wiecznie. Noszę żałobę i sądzę, że nigdy już jej nie zdejmę. Nie jestem też w pełni zdrowia i mam uczucie że koniec, jak się to mówi, jest bliżej niż dalej.

Twoja siostra stanowczo odmówiła podania mi Twego adresu, lecz przyrzekła przesłać Ci ten list. Niech i tak będzie. Chcę tylko dodać jeszcze jedno: jeśli kiedykolwiek będziesz gotów się przyznać do błędów i wrócić do mnie, przyjmę Cię z otwartymi ramionami.

Twoja Felusia to przemiła dziewczynka. Po śmierci ojca Sasza objął jego interesy i już widzę, że będzie miał więcej ode mnie szczęścia. Jest sprytny i inteligentny. W ciągu mej krótkiej nieobecności tak się rozwinął umysłowo i fizycznie, że wprost go nie poznaję. Jest naprawdę jedyną pociechą: w moim gorzkim bytowaniu.

Napisz, zanim będzie za późno Twoja Klara Droga Klaro!

Przysięgam uroczyście, że nigdy więcej do Ciebie nie napiszę, muszę wszakże odpowiedzieć na Twój list.

Zdaję sobie sprawę, że pisząc go chciałaś być ze mną szczerą, lecz już od

dawna doszedłem do wniosku, że szczerością może towarzyszyć najgorszy rodzaj fałszu.

Twój długi list jest dla mnie najlepszym dowodem, że kompletnie nie zdajesz sobie sprawy ani ze swego postępowania, ani nawet z tego, jaka jesteś. Mogę Ci jedynie powiedzieć, jak te wszystkie sprawy wyglądały w moich oczach. Może się mylę, lecz jeśli nie mogę wierzyć własnym oczom, to w co mam uwierzyć? Wyruszyłaś w tę naszą podróż w poczuciu swego bogactwa, patrząc na mnie jak na żebraka pozostającego na Twoim utrzymaniu. Ton, jaki od samego początku przybrałaś wobec mnie, był tak jednoznaczny, że nie mogę uwierzyć, aby nie był rozmyślny. Ile somoułudy można mieć co do własnej osoby? Zaczęłaś od razu traktować mnie jak swego lokaja. Mówisz, że zwracałaś na siebie uwagę. Nikt nie potrafiłby bardziej się afiszować, jak Ty to robiłaś. Musiałaś wszystkim okazać, że Ty masz pieniądze, a Ja jestem bez grosza! Jeśli zaś chodzi o Twój sposób ubierania się, mogę tyle powiedzieć, że wyglądałaś w swoich strojach jak koczokodan. Kiedy Cię spotkałem na dworcu, zrobiło mi się słabo. Twój kapelusz wielkości balii ozdabiała spiętrzona masa piór. Kostium haftowany koralikami był przykładem złego gustu.

Poliałaś się tak obficie perfumami, że dech zapierało.

Wszyscy się na Ciebie gapili. Tak wygląda smutna prawda. Jak mogłaś być tak ślepa, żeby nie zdawać sobie sprawy ze śmieszności swego wyglądu? Ale Twój brak gustu w ubiorze to jeszcze nie koniec. Kiedy już znaleźliśmy się w pociągu, zaczęłaś bezwstydnie flirtować ze wszystkimi mężczyznami w przedziale, oni zaś mrugali do siebie i śmiali się za Twoimi plecami.

Jedyne wytłumaczenie, jakie mi wtedy przyszło na myśl, że jesteś pijana. Panie jadące w przedziale rzucały na nas pogardliwe spojrzenia. Po przyjeździe do hotelu w Berlinie, traktowałaś obelżywie pokojówkę, kelnerów, nawet recepcjonistkę. Skoro nie byliśmy małżeństwem i podróżowaliśmy z paszportami na różne nazwiska, po co mówić o podróży poślubnej? Po co opowiadać, że zostawiłaś dzieci w Warszawie? Po co wywnętrzać się przed każdym obcym? Wybacz te ostre słowa, ale mówię prawdę. Ogarnęła Cię mania robienia zakupów. Wydałaś siedemset marek na

świecidełka i rzeczy niepotrzebne.

Te zakupy pociągnęły dalsze wydatki, bo musiałaś kupić dodatkowe walizy, aby je zapakować. Do tego stopnia dokuczyłaś obsłudze hotelowej, że zaczęli pogwizdywać na Twój widok. Kiedy zwróciłem Ci uwagę, że bez przerwy dzwonisz na służbę, wrzasnęłaś na mnie i nawet próbowałaś uderzyć. Dziś rozumiem, że ten wyjazd musiał nadszarpnąć Twój system nerwowy, lecz i ja byłem wytracony z równowagi, a Twoje zachowanie doprowadzało mnie do rozpacz.

To, co piszesz a propos Mirkina, jest stekiem kłamstw, ale nie jestem już zazdrosny i gdybyście mieli się pobrać, życzyłbym obojgu wam szczęścia. Wszelako zachowywałaś się jak kobieta lekkich obyczajów.

Piszesz, że Cię ani nie dotknął, tymczasem nawet w mojej obecności całował Cię i pieścił. Wierzaj mi, nie cierpię na halucynacje. W Monte Carlo całkiem oszalałaś. Po pierwszej wygranej wyobraziłaś sobie, że potrafisz rozbić bank. Mirkin tak się z Tobą spoufalał, że przychodził do Twego pokoju w szlafroku! i rannych pantoflach. Nie tylko mu się zwierzałaś, lecz wręcz obrażałaś mnie przy nim i tym fagasie, jego sekretarzu. Czyż nie tak? A może nadal uważasz, że to są moje, wymysły? W ciągu dnia wychodziłaś na spacer z Mirkinem, a w nocy, po opuszczeniu kasyna, graliście we dwoje w karty aż do świtu. No i piłaś. To nieprawda, że się odnosiłem do Ciebie z nienawiścią i sarkazmem. Zbyt wysoką cenę zapłaciłem, aby traktować lekko całą sytuację. Byłem nią jednak do głębi wstrząśnięty. Od szeregu tygodni jestem zupełnie sam i nigdy się nie dowiesz, jak wiele wycierpiałem. Miałem dużo czasu na rozmyślanie. Wciąż nie mogę wytłumaczyć sobie, co Ci się stało, dlaczego zniweczyłaś nasze marzenia i wszystko podeptałaś. Kiedy Twój Don Kichot i jego Sancho Pansa wyjechali do jakiejś innej Dulcynei, Ty wróciłaś do Warszawy, gdzie, jak sama piszesz, miałaś zawczasu umówione spotkanie z Mirkiem. Zajęłaś się również energicznie zapewnieniem przyszłości swemu Saszy, podczas gdy ja zostałem za granicą głodujący i bez grosza. Jak potrafiłem to wszystko przetrzymać i nie popełnić samobójstwa – jest dla mnie tajemnicą. Oto, jak wyglądają fakty. Z Twego powodu straciłem wszystko, ale nie żywię do Ciebie urazy. Jesteś taka, jaka jesteś, a jeśli tak kiepsko oceniłem Twój

charakter, to moja wina.

Proszę Cię o jedno, zostaw mnie i Sonię w spokoju.

Uczucie, które do siebie żywiliśmy, nie było miłością tylko zwierzęcym pożądaniem, a tego rodzaju stosunki muszą się kończyć niesmakiem.

Nie przeczę, że wciąż jeszcze pożądam Twego ciała. Jestem zarazem świadomy, że każde nowe spotkanie doprowadziłoby nas do katastrofy. No, ale już dość tych wynurzeń. Przebaczone. Ucałuj Felusię. Zapewne niedługo wyruszę do Ameryki, żeby rozpocząć tak zwane "nowe życie" chociaż straciłem zapal do wszystkiego.

W swoim liście wzywasz Boga na świadka. Mógłbym uczynić to samo, gdybym wierzył w Jego istnienie. Żałuję, lecz nie wierzę, Ty też nie masz wiary. Obawiam się, że w tym tkwi przyczyna całego naszego szaleństwa.

Aleksander

ROZDZIAŁ DRUGI

I

Aresztowano Mirele za działalność wywrotową z Otwocka przyszła wiadomość, że Miriam–Liba znajduje się w krytycznym stanie żona Azriela urodziła synka.

Azriel musiał nająć niańkę, zająć się formalnościami obrzezania, zaprosić rodziców i swego teścia Kalmana.

Wszystkie te wydarzenia stworzyły problemy i trudności zarówno duchowej, jak i praktycznej natury. Obrzezanie ośmiodniowego niemowlęcia wydawało się Arielowi aktem barbarzyńskim. Dlaczego na tym poprzestawać?

Czemu nie składać również ofiar? To prawda, że większość zasymilowanych warszawskich Żydów nadal poddaje synów temu rytuałowi, ale gdzie tu logika? Czy on, Azriel, lekarz żyjący w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, musi gorliwie naśladować ten akt czarnej magii uprawianej przez grupę Beduinów w Azji przed czterema tysiącami lat? Nie można jednak obyć się bez obrzezania. Szajndł umarłaby ze zgryzoty. Rodzice Azriela aż nadto wylali też i nacierpieli się z powodu aresztowania córki. Ten nowy cios załamałby ich zupełnie. I czyż Azriel mógł postąpić w ten sposób wobec Kalmana, który łożył na jego wykształcenie? Kto wie, czy nie straciłby nawet stanowiska w szpitalu i klinice.

Żyd, który nie poddał swego dziecka, obrzezaniu, to ateista, a więc i politycznie podejrzany. Azriel musiał znaleźć mohela i zaprosić do siebie rodziców, chociaż wstyd mu było wobec sąsiadów–chrześcijan że ojciec, jako rabin, nosi kapelusz obszyty futrem, a matka staromodny czepiec. Wstydił się za siebie, że odczuwa ten wstyd, i to Jeszcze bardziej go gnębiło. Mimo, że Szajndł prowadziła kuchnię koszerną, reb Menachem–Mendel i Tirza–Perł nie mieli do niej pełnego zaufania. Z góry nadmienili, że nic nie będą jedli u Azriela. Na dobitek wszystkiego niemowlę dostało dyzenterii i nie było pewności, czy przeżyje osiem dni, a nawet jeśli tak, to czy obrzezanie będzie mogło się odbyć we właściwym czasie.

Oprócz tego wszystkiego Azriel popełnił głupstwo. Nie powiedział Oldze Bielikowej, że wkrótce zostanie po raz trzeci ojcem. Poród Szajndł, zamęt towarzyszący przygotowaniom do obrzezania, choroba niemowlęcia okradły go z wieczorów, które w normalnym czasie spędziłby u Olgi lub z nią razem w Ogrodzie Saskim.

Kiedy obowiązki nie pozwalały mu zobaczyć się z nią, był roztargniony, blady, i wyczerpany. Niełatwo spacerować pod rękę z jedną kobietą, kiedy druga dopiero przychodzi do siebie po porodzie. Sumienie gryzło Azriela, a jednocześnie rozmyślał, czy nie porzucić judaizmu. Dlaczego Żydzi się izolują? Co mają nadzieję tym osiągnąć? Po co to całe męczeństwo? Mesjasz nie nadchodzi. Wyznawcy wierzą w życie przyszłe, ale jaki pożytek z judaizmu dla kogoś takiego jak Azriel? Po co należeć do gminy żydowskiej i opłacać składki? Marzył o wyjeździe z Olgą do Rosji lub o zamieszkaniu z nią we Francji bądź w Ameryce, gdzie można żyć swobodnie, nie dźwigając obciążenia dziedzictwem wielu pokoleń przodków.

W kieszeni Azriela, na piersi, spoczywał list z wiadomością, że jego szwagierka Miriam–Liba jest bliska śmierci. Mąż jej Lucjan wciąż przebywa w więzieniu.

Ojciec wyrzekł się córki siostry, w tym i żona Azriela, nie chcą mieć z nią nic wspólnego. Przynajmniej on powinien być przy chorej podczas tych ostatnich dni. Ale wobec tej sytuacji jak może się oddalić z miasta?

Słuchał swych pacjentów, był wszakże nie mniej od nich roztargniony. Poród Szajndł pociągnął za sobą duże wydatki. Zmuszony był pożyczyć sto rubli od lichwiarza na wygórowany procent. Zatopiony w myślach, zapisywał chorym różne środki zaradcze: hipnotyzm, kąpiele, leki przeciwbólowe i na uspokojenie serca. Ale to tylko uśmierzało objawy chorobowe. Samo życie w społeczeństwie, z jego przestarzałymi prawami, przywilejami, które nic nie dają, fanatyzmem religijnym i wszelkiego rodzaju wyzyskiem człowieka stanowi podatny grunt do powstawania chorób umysłowych. Co więc powinien uczynić? Wydać wojnę temu wszystkiemu, podobnie jak to zrobiła Mirele? Historia wykazała, że jego siostra nie ma racji. Azriel wiedział, że na miejsce jednego zwalzonego szaleństwa, powstaje dziesięć nowych.

Każda rewolucja ma swego Robespierre'a, Napoleona lub Metternicha. Miliony młodych ludzi zginęło we wszelkiego rodzaju walkach wyzwoleniczych, wciąż jednak rządzą Bismarckowie i Pobiedonoscewowie. W Warszawie wrzało po zabójstwie prowokatora Pińskiego, który zdradził Marię Bohuszewiczównę i jej towarzyszy. Właśnie powieszono Kowalewskiego. Wśród rosyjskich rewolucjonistów nastąpił rozłam i podział na frakcje. Jedni drugich obrzucali błotem. Co się stanie z Mireł? Spędzi dziesięć lat w więzieniu i wyjdzie jako stara, złamana kobieta. Zapewne też dozna rozczarowania. Każdego dnia w fortecy szlisselburskiej, w Cytadeli i w każdym więzieniu młodzi ludzie wieszają się, oblewają naftą i płoną jak żywe pochodnie lub też piszą skruszone listy do cara. Znaczna liczba więźniów politycznych w Warszawie postradała zmysły przysyłano ich jako pacjentów do szpitala bonifratrów na leczenie.

Azriel często rozmawiał na te tematy z Olgą Bielikową.

Przyznała się, że i ona za czasów gimnazjalnych należała do kółka rewolucyjnego. Nawet obecnie jej sympatie skłaniają się ku rewolucjonistom, lecz jako matka nie może się angażować. Poza tym dostrzega dużą dozę egoizmu i hipokryzji wśród osób zbuntowanych. Tak, coś trzeba zrobić, ale co? Co by się stało z Nataszą i Kolą, gdyby ją aresztowano? I czy by to pomogło innym ludziom? Olga mówiła o tym i o owym.

Nic specjalnego nie trzyma jej w Warszawie. Nie czuje się zżyta ani Żydami, ani z Polakami. Rosjanie, skierowani do Warszawy, stanowią najgorszy gatunek ludzi. Dzieci czują się samotne. Ona nie ma przyjaciółek. Wreszcie jej się wymknęło, że jest za młoda na samotne życie. Prędzej lub później będzie musiała wyjść ponownie za mąż.

Postawiła sprawę jasno: Azriel musi się zdecydować.

Cóż to dla niej za życie kryć się przed służącą, dziećmi, sąsiadami? Jaki sens miały spotkania w Ogrodzie Saskim czy w teatrze, kiedy pragnęli być blisko siebie?

Przechadzał się z nią wieczorem ciemnymi alejkami parku, pełen pożądania. Tych parę razy, kiedy mu się oddała w kuchni albo na łóżku Koli, tylko podnieciło jego pragnienie. Nie znał kobiety równie namiętnej.

Słowa Olgi wzbudziły w Azrielu niepokój. Z taką osobą jak ona można by podróżować, bywać w towarzystwie.

Mógł z nią nawet prowadzić dyskusje o swej pracy. Czy jednak potrafiłby odejść od Szajndl i dzieci? Czy Olga, porzuciłaby dla niego Kolę i Nataszę? Nie było wyjścia z tej matni.

Wśród tych wszystkich problemów odbyło się obrzezanie. Reb Menachem–Mendel i Tirza–Perł przyjechali dorożką. Przybył Kalman z Jampola. On to miał trzymać wnuka przy obrzezaniu. Rodzicami duchowymi dziecka mieli być reb Menachem–Mendel i Tirza–Perł. Stawił się mohel, chełpiący się tym, że obrzezywał niemowlęta u wszystkich zamożnych Żydów, i zażądał zapłaty w wysokości piętnastu rubli. Tirza–Perł prosiła Azriela o nadanie chłopczykowi imienia po jej ojcu reb Abrahamie–Mosze Hamburgu. Azriel jednak nie chciał obarczać syna takimi staroświeckimi imionami.

Zapisano chłopca w księgach oficjalnych jako Michała, Miszę.

Szajndl, leżąc w łóżku i słuchając krzyku synka, szlochała, Azriel stał przy niej uniósłszy brwi w górę. Uważał za akt niemądry naznaczanie ciała dziecka znakiem judaizmu w okresie antysemityzmu i pogromów. Nie on tu jednak rządził.

W saloniku, zgodnie ze zwyczajem, postawiono dodatkowo krzesło dla proroka Eliasza. Na tacce leżały okrągłe ciasteczka. Napełniono pucharki winem. Azriel nałożył jarmułkę i odmówił błogosławieństwo:

– Bądź błogosławiony Panie nasz i Boże, Królu wszechświata, któryś nas uświęcił Twymi przykazaniami i nakazał wprowadzić naszych synów do przymierza Abrahama, Ojca naszego.

A minjan Żydów odpowiedział:

– I tak, jak wkroczył do przymierza, oby wkroczył do Tory i pod baldachim ślubny i spełniał dobre uczynki.

II

Justyna Malewska, córka Wallenberga, zaprosiła dzieci. Olgi Bielikowej, Nataszę i Kolę, na dwa tygodnie do swej willi w Wilanowie. Olga odzyskała nagle wolność.

Azriel czuł, że musi jechać do Otwocka odwiedzić Miriam–Libę, która przeszła drugi krwotok. Prosił więc Olgę, aby mu towarzyszyła, niełatwo jednak dała się przekonać. Mogą się natknąć na ludzi, którzy ich znają.

Gdzie zanocują? Azriel, który bywał w Otwocku, starał się ją uspokoić. Prawdopodobieństwo spotkania kogoś znajomego w karetce jest małe. W Otwocku zatrzymają się w hoteliku, podróż zajmie nie więcej jak sześć godzin. Wyjadą o ósmej rano, będą na miejscu o drugiej.

W Otwocku jest takie dobre powietrze. Żadne z nich nie miało wakacji tego lata. Dlaczegożby nie spędzić paru dni na wsi? Olga nadal się wahała. Nie mogła się pozbyć uczucia, że ich związek jest grzeszny. Andriej już się nie zjawiał w jej snach, tak jakby mimo śmierci zdawał sobie sprawę z jej niewłaściwego prowadzenia. Naraziła nie tylko własną reputację, ale szargała nazwisko swych dzieci. Najpierw odmówiła, lecz w końcu zmieniła zdanie.

Nie była przyzwyczajona spędzać lato w mieście.

Tęskniła do drzew, zielonej trawy, rześkich podmuchów wiatru, do zapachu pól i lasu. Pragnęła też być trochę sam na sam z ukochanym. Bohaterki francuskich powieści, które czytała, usuwały wszelkie przeszkody stojące na drodze schadzkom w tanich hotelikach lub w Lasku Bulońskim. Ona przynajmniej nie zdradza męża.

Wszystko poszło gładko. Azriel wziął ze szpitala kilka dni urlopu. Szajndł, rzecz prosta, nie mogła mu towarzyszyć. Rano o godzinie za kwadrans ósma siedział w karetce na ulicy Gnojnej i czekał. Po pięciu minutach wsiadła Olga. Ubrała się w świeżo wyprasowaną suknię i słomkowy kapelusz z zieloną wstążką, w ręku miała torebkę i nieduże pudło na kapelusze. W powozie nie było więcej Żydów. Olga usiadła obok Azriela. Był ciepły, sierpniowy dzień. Po przejechaniu praskiego mostu droga prowadziła przez pola i osiedla. Na placach targowych siedziały wiejskie

kobiety obok stągwi mleka, koszów z kurami, kaczkami, grzybami i warzywami.

Żydówki w perukach i czepkach targowały się i kłóciły z wieśniaczkami. Na dziedzińcu koszar oficerowie musztrowali żołnierzy. W niektórych osiedlach odbywał się akurat dzień targowy. Na placu kręciła się karuzela.

Wiejska kapela grała przed kościołem, w którym odbywał się ślub. Zielone gałązki zdobiły uprzęż końską. Chłopi z podwarszawskich okolic nie byli tak ubodzy jak mieszkańcy Turbina. Azriel i Olga przejeżdżali obok domów o dachach krytych gontem, a nawet blachą. Z karczem dochodziły dźwięki harmonii. W wiejskich sklepikach półki wypełnione były wyrobami ze skóry i żelaza, a także galanterią i tekstyliami. Dalej za osiedlami rozciągały się lasy. Mijali domy letniskowe oraz wille zamożnych mieszczan, do których zjeżdżali na lato wyżsi urzędnicy rosyjscy. Sześć godzin szybko minęło w drodze. Karetka podjechała w Otwocku przed zajazd, w którym Azriel i Olga mieli się zatrzymać. Właściciel zażądał od Azriela okazania paszportu, i którego wynikało, że jego żoną jest Szajndl z domu Jakobi. Któż mógł wiedzieć, że Olga to nie Szajndl? Wszystko poszło tak gładko, że Olga czuła się ubawiona.

Otrzymali pokój na górce, z szerokim balkonowym oknem. Pokój był czysty i chłodny. Po obiedzie Olga poszła na spacer, Azriel zaś wybrał się w odwiedzinach do Miriam–Liby. Chora najpierw przebywała w sanatorium, obecnie wynajmowała pokój w pobliżu szpitala. Dużo kobiet chorych na suchoty mieszkało w domkach prywatnych, opiekując się sobą nawzajem. Zimy bywały ostre i śnieg często zasypywał domy, lecz powietrze w okresie zimy odznaczało się jeszcze większą czystością niż w lecie. W miasteczku zawsze pachniało sosnami.

Cała Polska chwaliła cudowny klimat Otwocka. Podobno suchotnicy odzyskiwali tutaj zdrowie...

Za każdym pobycem w Otwocku Azriel błędził. Jak można znaleźć ulicę pośród lasu? Wszędzie ponadto rozciągały się kartofliska i pastwiska. Wreszcie znalazł drogę do domu, w którym mieszkała Miriam–Liba. Kiedy wszedł do jej pokoju, leżała w łóżku. Buteleczki z lekarstwami stały obok na krześle. Kotek siedzący na oknie lizał łapkę.

Jedno spojrzenie wystarczyło, aby stwierdzić, że Miriam–Liba nie pożyje długo. Wymizerowana twarz chorej zmieniła się nie do poznania. Siwizna poprzetykała złote włosy, szyja się wyciągnęła nienaturalnie. Zęby zrobiły się wystające, co nadawało twarzy wyraz uśmiechu i radości. Skóra pożółkła. Tylko oczy pozostały te same.

Azriel stał przez chwilę w milczeniu.

– Miriam–Libo!

– Azrielu!

Potem przez długą chwilę zapanowało milczenie.

Wreszcie odezwała się po polsku:

– Dobrze, żeś przyjechał. Zbliżam się do śmierci.

– Nie bądź śmieszna!

– Patrzcie no, przyniósł kwiaty. Wstaw je do wody, Azrielu.

Kiedy zaczęła mówić, ożywiła się i wyglądała niemal jak dawniej. Zaczęła go rozpytywać o poród Szajndł, jak się ma niemowlę, Józiek, Cyna.

– A jak wygląda ojciec? – spytała.

– Dość dobrze, choć całkiem posiwiał.

– Czy sądzisz, że będzie przestrzegał siedmiu dni żałoby po mojej śmierci?

Azriel zadrzał.

– Nie mów takich głupstw.

– Ach, mężczyźni to tacy tchórze. Matka zawsze mówiła: „Nie jestem wołem, nie boję się szlachtuza”.

Miriam–Liba znów zamilkła. Popatrzyła na Azriela, oczy jej rozblęły.

Wkrótce zapadła w drzemkę, zapominając o gościu. Azriel zaczął po cichu rozpakowywać to, co dla niej przywiózł: śmietankę, sardynki, czekoladę, butelkę koniaku. Drzwi otworzyły się powoli, bezszelestnie, i do pokoju wsunęła głowę sąsiadka, kobieta jasnowłosa, o policzkach nadmiernie zaróżowionych, jak to bywa w pierwszym stadium choroby u osób chorych na suchoty.

Skinęła na Azriela i szeptem powiedziała, że lekarz był u chorej poprzedniego dnia i nie robił wielkich nadziei.

Poinformowała też Azriela, że szwagierka Miriam–Liby, pani Felicja, spędziła z nią zeszłą sobotę i niedzielę.

Stara się ona o zwolnienie z więzienia Lucjana, zanim będzie za późno. Miriam–Liba podpisała petycję do prokuratora Sądu Okręgowego, prosząc o wypuszczenie męża z więzienia przed jej śmiercią.?

To była pierwsza noc, jaką Azriel i Olga spędzili razem.

Przez otwarte okno wpadało światło księżyca. Z lasów otwockich dochodziły, podmuchy rzeńskiego powietrza.

Azriel obcował już nieraz ze śmiercią, jego odwiedziny u Miriam–Liby nie umniejszały w nim żądzy życia. Czuli się ze sobą tak szczęśliwi, że nie mogli usnąć. Całowali się całymi godzinami. Zaspokojenie nie zmniejszało w nich pożądania, mimo że już do siebie należeli. Gdybyż ta noc mogła trwać wiecznie! Gdyby mogli wyjechać na jakąś wyspę! Gdyby mogli zapomnieć o wszystkim i o wszystkich, żyć w ciągłym upojeniu! Azriel przeżył wiele namiętnych nocy z Szajndl, ale romans z Olgą pobudził w nim nowe siły. Mówił jak szaleniec, snuł obłąkańcze marzenia. Zasnęli o brzasku. Zbudziły ich ptaki i słońce. Dni powszednie w Warszawie były prozaiczne, tutaj w Otwocku natura celebrowała przedłużone Zielone świątki, pełne nasłonecznienia i zieloności. Na ścianach i suficie tańczyły błyski światła, jakby ktoś z drugiej strony ulicy bawił się lusterkiem łapiąc promienie słońca. Ptak zaćwierkał: “ćwir, ćwir”, drugi zagwizdał przeciągle, trzeci gniewnie zakrakał, jakby grożąc sosnowym gąszczom igieł i szyszek. Kukułka wielokrotnie powtórzyła swoje “kuku”. Zasluchani w te odgłosy Azriel i Olga całowali się i rozmawiali. On żartobliwie objaśniał filozoficzne znaczenie zawołania kukułki: świat nie jest ani materią, ani wolą, tylko “kuku”. Na początku było “kuku” i na końcu będzie też “kuku”. Wszystko zostało stworzone przez niebiańską kukułkę, której całym zamysłem jest “kuku na muniu”. W Warszawie człowiek zapominał, że na świecie istnieje coś takiego jak ptaki. Czyż ludzkość mogłaby przetrwać wszystkie wojny, wszystkie plagi, głód i tyle śmierci, gdyby nie miała tej muzyki ptasząt?

Pokojówka zapukała do drzwi pytając, co ma podać: herbatę, kawę czy kakao. Przyniosła dzban wody wprost ze studni. Zimna, świeża woda zdawała się zawierać

podziemne sekrety. Azriel i Olga już się nawzajem nie wstydzi. Myli się stojąc obok siebie przy umywalni.

Potem zasiedli do śniadania. Bułeczki z makiem chrupały w ustach. Mleko pachniało krowimi wymionami. Biały ser był posypany kminkiem. Do kawy, nieco przypalonej, dodano za wiele cykorii, lecz mimo to smakowała. Po śniadaniu wrócili do łóżka. Azriel uściskał Olgę.

– Teraz poznaliśmy się bliżej – odezwał się.

– Tak, lecz do czego to doprowadzi?

Ubrał się i poszedł odwiedzić Miriam–Libę. Olga miała się z nim spotkać już przy karetce. Tego ranka nawet chora wyglądała lepiej i jakby zdrowiej. Zastał u niej dziewczynę, która usługiwała zarówno Miriam–Libie, jak i jej jasnowłosej sąsiadce. Miriam–Liba była ożywiona i rozmowna. Czy Azriel mógłby namówić jej ojca, żeby przyjechał zobaczyć się z nią? Chciała go zobaczyć przed śmiercią. Może Azriel postarałby się załatwić zwolnienie Lucjana? Już dość wycierpiał za swą zbrodnię. Dlaczego Azriel nie wybierze się do Marszynowa odwiedzić Cypele? Czy to prawda, że Jocheded jest już babką?

Powiedziała mu, że jej dzieci, Władzio i Marysia, przyjechały raz, aby się z nią zobaczyć. Jakież one są śliczne! Prześliczne, ale jakby trochę obce. Synek jeszcze darzy ją jakimś przywiązaniem, ale córeczka zupełnie zobojętniała... Sąsiadka kręciła się koło nich, widocznie chciała coś powiedzieć Azrielowi. Miriam–Liba uniosła brwi w górę, dając jej do zrozumienia, że pragnie pozostać sam na sam z gościem.

– Tak rzadko przyjeżdżasz. Na pewno więcej się nie zobaczymy.

– Nie bądź niemądra.

Uniósł wyżej poduszkę i pomógł jej usiąść. Zauważył, że włożyła ładną nocną koszulę, zapewne dar Felicji. Włosy miała uczesane i skropiła się wodą kolońską. Nawet na łożu śmierci nie pozbyła się pewnej kokieterii.

– Wciąż ładnie wyglądasz – powiedział.

– Ach, nie myślę już o tych rzeczach.

– Czy wiedziałeś, Azrielu – odezwała się nagle – nie byłam w tobie zakochana,

zanim zjawił się Lucjan?

Azriel zbladł.

– Ja też ciebie kochałem. Przez te wszystkie lata.

– Szajndl była zazdrosna. Ile mogłam mieć lat? Może siedemnaście. Potem zjawił się Lucjan i rzucił na mnie czary. No cóż, drogo za to zapłaciłam.

– Czy przynajmniej przeżyłaś z nim jakieś szczęśliwe chwile?

– Od czasu do czasu, przez dzień, dwa.

Pochylił głowę. Miriam–Liba spoglądała ku oknu.

– Azrielu, czy wierzysz w Boga?

– Co rozumiesz przez Boga? Boga, działającego jak istota ludzka? Nie wierzę.

– Ja zawsze wierzyłam. Dziś mi się wydaje, że po tamtej stronie nic nie ma.

Przyjdzie ksiądz, a potem nastąpią dalsze ceremonie. Co mam robić?

– Nie myśl o tym.

– A o czym mam myśleć? Tak, ja naprawdę wierzę.

Kiedy jednak przychodzi ból nie mogę złapać oddechu, zaczynam powątpiewać... Azrielu?

– Co takiego, kochanie?

– Nie zdradź Szajndl!

Nie widział powiązania między tymi dwiema myślami, i lecz dawno już dostrzegł, że prawo asocjacji nie jest tak niezmiennie, jak mniemają psycholodzy.

Umysł ludzki swobodnie przeskakuje z tematu na temat.

– Dlaczego miałbym ją zdradzić?

– No, mógłbyś. Ale nie opłaca się wyrządzać krzywdy., – Tak, to prawda.

– Podaj mi rękę.

ROZDZIAŁ TRZECI

I

Zima minęła. Była ciężka. W Warszawie ostre mrozy wypłoszyły zmarznięte wróble z drzew. Na polach pszenica ozima wymarzła pod śniegiem. Kalman Jakobi nabawił się tyfusu brzuszego i tylko cudem wyżył. Jakub Dancynger, teść Cypkina, wrócił pod koniec lata do domu. Miał właśnie przystąpić do spółki w łódzkiej fabryce, był w dobrym humorze i świetnie wyglądał. Po upływie czterech miesięcy dostał ataku serca i zmarł w osiem dni po ataku. Pochowano go na cmentarzu przy ulicy Gęsiej, w pierwszym rzędzie grobów. Pani Róża została wdową. Sabina, opuszczona przez męża, spowiła się w żałobną czerń, nosiła czarny welon na twarzy. Hurtownia przeszła w ręce jej brata Zdzisława.

Drugą osobą zmarłą tej zimy była pani Matylda, żona Wallenberga. Nie doszła do siebie po narkozie zastosowanej przy operacji woreczka żółciowego.

Pochowano ją na katolickim cmentarzu powązkowskim, w grobowcu rodziny Wallenbergów. Słynny polski rzeźbiarz wykonał pomnik według rysunku Wallenberga: anioł o twarzy Matyldy stojący na postumencie.

Kosztował dziesięć tysięcy rubli i znów nadeszła wiosna. Wisła przybrała. Błoto zaczęło wysychać. W synagogach i domach modlitwy wielu żałobników odmawiało kadisz, w Warszawie bowiem szalał tyfus, krup, szkarlatyna i wszelkiego rodzaju choroby. Matki, siostry i córki zmarłych zapalały w kościołach świece w ich intencji przed obrazami różnych świętych. Wiosna była wczesna. Już marzec okazał się ciepły.

W żydowskich piekarniach wypiekano mace. Żydzi przychodzili do reb Menahema–Mendla po zakup przaśnego chleba. Reb Menachem–Mendel źle widział i nie mógł wypisywać rachunków sprzedaży, pomagali mu chłopcy z jesziwy. Ksiądz chodził w przeddzień Wielkanocy po domach chrześcijan i święcił jadło. Towarzyszył mu kościelny, a nabożne niewiasty szły za nimi.

U Wallenbergów Wielkanoc świętowano bardzo uroczyście. Biskup przyszedł

poświęcić stół. Cała rodzina zgromadziła się na święta. Wallenberg jednak zmarkotniał. Dopóki żyła Matylda, nikt nie zdawał sobie sprawy, że on ją tak bardzo kocha. Często się na nią złościł. Nie dorównywała mu inteligencją i bystrością umysłu. Łatwo dawała się oszukać. Kiedy nie "było gości, potrafił jej wymyślać na sposób żydowski, nazywając "głupią", "idiotką" i obrzucając innymi epitetami. Matylda czuła się dotknięta i płakała. Czasami "krzyczał na nią, używając wyrażenia zasłyszanego jeszcze od ojca i dziada: "Ty behejme, ty stara krowo." Potem całował ją na przeprosiny i przyrzekał jakiś ldejnot. Teraz, po śmierci Matyldy, okazało się, jak bardzo był przywiązany do tej cichej kobiety, Kiedy o niej wspominał przy dzieciach, łzy zaczynały mu płynąć z oczu. Zamknął jej dawny pokój sypialny i opłacał człowieka, aby zmieniał co dzień kwiaty na jej grobie.

Zerwał kontakty z ulubionym "Kurierem", choć nadal wspierał go finansowo. Stracił apetyt, spadł mu brzuch, dawniej pokaźny. Pod oczami utworzyły się worki. Nawet hawańskie cygara przestały mu smakować. Lekarz uważał, że podróż, za granicę dobrze mu zrobi, lecz on odmówił wyjazdu. Bez niej, powiedział, byłoby to gorsze od piekła.

Wallenberg rozpoczął pisanie pamiętnika, dając do zrozumienia, że kres jego życia jest bliski. Z trudem jednak mógł utrzymać pióro w palcach. Pismo było nierówne i niewyraźne, pełne plam z atramentu. Chciał komuś dyktować, sekretarka jednak miała dużo roboty w biurze, zresztą nie ufał jej zbytnio. Osobiste przeżycia mógł powierzyć tylko komuś bliskiemu. Justynie Malewskiej, jego najstarszej córce, przyszło na myśl, że taką osobą może być Olga Bielikowa. Znała wystarczająco dobrze język polski i ortografię, charakter pisma ma wyrobiony, przy tym jej obecność nie będzie krępująca. Początkowo pomysł ten nie przypadł do gustu Wallenbergowi, wreszcie jednak uznał go za słuszny. Będzie się czuł swobodniej z osobą dotkniętą taką samą stratą i zdolną zrozumieć jego stan uczuciowy. Olga Bielikowa wciąż jeszcze opłakiwała swego męża. Nie wyszła powtórnie za mąż.

Wallenberg wyraził zgodę, a Justyna załatwiła resztę.

Była oddaną córką, szczerze kochającą ojca, nie tak jak młodsza Pola, która na pierwszym miejscu stawiała rozrywki. Justyna czuła, że obecność młodej kobiety

przy ojcu dobrze mu zrobi, dla Olgi Bielikowej natomiast, pilnie potrzebującej jakiegoś zarobku, będzie to prawdziwe błogosławieństwo. Justyna Malewska pojechała powozem do Olgi i przedstawiła całą sprawę, Olga zaś, zgodnie z przewidywaniem, przyjęła propozycję z wdzięcznością. Obawiała się nieco, że będzie robiła błędy ortograficzne, lecz Justyna zapewniała, że słownik rozwiąże większość trudności. Wręczyła też zaliczkę w wysokości dwudziestu pięciu rubli. Po wizycie Malewskiej Olga udała się na ulicę Marszałkowską, kupowała sobie pantofle, kapelusz i rękawiczki. Nie mogła iść do Wallenbergów ubrana jak żebraczka.

Następnego dnia pojechała dorożką do ich willi.

Wallenberg przywitał ją serdecznie, traktując jak dawnego przyjaciela, a nawet się przed nią wyplakał.

Zabrał ją potem do gabinetu i zaczął dyktować pierwszy rozdział pamiętników. Nie ukrywał swego żydowskiego pochodzenia. Mówił o dziadku, który musiał przywędrować do Warszawy płacić za każdym razem myto, o babce Bejli-Braszy, chodzącej w czepcu, która co piątek zanosila pieczone i rosół z kury biednym z przytułku. Te swojskie opisy wzruszyły Olę. To, co dyktował tubalnym głosem, przypominało jej własny życiorys. Wallenberg przechadzał się tam i powrotem po gabinecie, w getrach na kamaszach, wydmuchując od czasu do czasu nos w chusteczkę wycierając łzy. Olga też czuła ściskanie w gardle. Miała wśród swych znajomych neofitów wstydzających się swego żydowskiego PIP pochodzenia. Wallenberg nazywał rzeczy po imieniu.

Dyktował jej przez pełne trzy godziny i chociaż Olga chodziła do rosyjskiego gimnazjum, jej znajomość polskiego była tak dobra, że mogła nawet korygować tu i ówdzie jakieś zdanie lub podsunąć właściwszy wyraz.

Wallenberg poprawił okulary w złotej oprawce, przeczytał to, co podyktował, i pokiwał z aprobatą głową. Rozdział wypadł wspaniale.

II

Słońce przygrzewało. W Ogrodzie Saskim zakwitły bzy.

Na ulicach robotnicy układali szyny pod konne tramwaje Zrywali chodniki. Platformy dowoziły kamienie brukowe i odcinki szyn, które po zdjęciu porządnie układano w pryzmy i stosy gotowe do użytku. Waliły potężne młoty. Wszędzie, na Pradze, Woli, Ochocie, a nawet w centrum Warszawy, powstawały błyskawicznie nowe fabryki. Z Niemiec, Francji i Ameryki nadchodziły maszyny o tak potężnych rozmiarach, że nie sposób było pojąć, jak ludzkie umysły mogły je zaprojektować, a ludzkie ręce zmontować. Na Krakowskim Przedmieściu i Nowym Świecie zastąpiono latarnie gazowe łukowymi. Banki rozporządzały większymi kapitałami, przeto fabrykanci i kupcy dostawali pożyczki niskoprocentowe. Zwiększono kredyty budowlane i Żydzi zaczęli się budować. Parcele podrożały, więc kamienice pięły się w górę na cztery i pięć pięter. Obudowywano domami dwa, a nawet trzy łączące się ze sobą dziedzińce.

Policja zlikwidowała rewolucyjne grupy utworzone przez związek Proletariat. W Polsce narodził się nowy ruch polityczny zarówno patriotyczny, jak liberalny, połączonymi z radykalizmem i nacjonalizmem, z lekkim zabarwieniem antysemitycznym. Jednak część Polaków nadal pamiętała szubienice w Cytadeli, męczeńską śmierć Bardowskiego i Kunickiego, a także Ossowskiego i Pietrusińskiego. Nie zapomniano też o strajku w Łodzi i masakrze w Żyrardowie.

Po pierwszym Proletariacie przyszedł drugi. W Wilnie, Białymstoku, Rydze i Mińsku inteligencja żydowska i robotnicy włączyli się do działalności socjalistycznej. Niektórzy uważali się za "Narodników", sympatie innych skłaniały ku marksizmowi Plechanowowi, jeszcze inni byli anarchistami, a pewna część opowiadała się za utworzeniem żydowskiej partii socjalistycznej.

Mendelson, syn żydowskiego bankiera w Polsce, zorganizował w Paryżu polską grupę socjalistyczną. Był bardziej lewicowy od rewolucjonistów warszawskich i domagał się, aby polscy robotnicy wyrzekli się nacjonalizmu, zaprzestali obchodzenia świąt narodowych i całkowicie zjednoczyli się

z proletariatem międzynarodowym. Socjalizm tak się rozszerzył wśród postępowych Żydów, że żydowska młodzież z Wilna, Mińska i Białegostoku posyłała pieniądze rosyjskim towarzyszom, pomagała w szmuglowaniu do Polski zakazanej literatury, w dostarczaniu powielaczy, papieru, czcionek i tego wszystkiego, co służyło rozwojowi działalności rewolucyjnej. Nawet w rosyjskich organizacjach było dużo Żydów.

Tragedię przeżywała siostra Azriela, Mirele. Podczas pobytu w więzieniu na oddziale kobiecym zwanym Serbii, w którym odsiadywała wyrok, zaczęła odczuwać zgałę i dostawała od czasu do czasu wymiotów. Z natury nie lubiła się uskarżać lub prosić o pomoc lekarską. Jej mentor polityczny Stefan Lemański wpoił w nią zasadę, że rewolucjonista musi cierpieć z godnością i w milczeniu. Ale więźniarki dzielące z nią celę spostrzegły, że zaczyna grubieć w talii. Wkrótce stało się widoczne, że Mirele jest w ciąży. Jej towarzyszki same nie wiedziały, czy się z tego śmiać, czy płakać. Powszechnie wiadano, że Mirele pracowała ze Stefanem Lemańskim i pomagała mu w prowadzeniu tajnej drukarni. Chodziły nawet słuchy, że żyją ze sobą jak mąż z żoną. Mirele utrzymywała ten związek w tajemnicy. Pogłoska okazała się prawdziwa. Naraz wszystko się wydało. Od czasu zaangażowania się w działalność rewolucyjną Mirele miewała nieregularne miesiączki. Azriel składał na karb napięć nerwowych i zapisał lekarstwa. Można by pomóc Mirele, gdyby wcześniej rozpoznano objawy ciąży. Dałoby się przemycić do więzienia chininę i inne środki na przerwanie ciąży. Wśród więźniarek znajdowała się i akuszerka. Ale teraz Mirele była już w piątym miesiącu.

W czasie pobytu w więzieniu doświadczyła wszelkich możliwych cierpień. Bito ją, znieważano, torturowano.

Nabawiła się nieżyty jelit i cierpiała na bóle kręgosłupa.

Prokurator okręgowy chełpił się, że ma pełno donosicieli w organizacji. Chcąc tego dowieść, przedstawił dokładny opis mieszkania Mirele i wyliczył odwiedzające ją osoby.

Wynikało z tego jasno, że wśród zaprzyjaźnionych z nią osób znaleźli się zdrajcy. Ale kto? Tacy prowokatorzy niszczą w człowieku wiarę w ludzkość

i wywołują niepokój i zwątpienie. Jakby nie dość tego, wśród towarzyszek z celi więziennej też nie było zgody. Kobiety histeryzowały, wyrzekały na los, zdarzały się próby samobójstwa. Niektóre przeklinały swą rewolucyjną działalność, inne awanturowały się o skórkę chleba, o jakiś przyodziewek, grzebień, gałgan. Dyskusje i kłótnie z każdym dniem nabierały zjadliwości. Kobiety się sprzeczały i tworzyły wrogie grupki. Mirele co dzień przyrzekała sobie, że nie da się wciągnąć w te spory.

Poza murami więzienia panoszyła się reakcja. W więzieniu kłócono się o każde zdanie i słowo. Trzeba było żelaznej odporności, aby się nie dać wciągnąć do dyskusji. Mirele robiła, co mogła. Całymi godzinami się nie odzywała, czytała książki z więziennej biblioteki.

Przestała brać udział w dyskusjach. Wkładała nawet do uszu kulki ulepione z chleba, aby nie słyszeć pustych słów, gniewnych uwag, nedorzeczości wygłaszanych o socjalizmie, roli chłopca, niepodległości Polski oraz miejscu kobiety w społeczeństwie.

Zdarzały się chwile, kiedy obawiała się załamania. Wtedy przywoływała na pamięć Stefana Lemańskiego. Jak on by postąpił w podobnej sytuacji? Co by powiedział? Widziała jego twarz, oczy, słyszała jego głęboki głos. Wy obrażała siebie, że szepce jej słowa pociechy. Czyż nie wycierpiał jeszcze więcej niż ona? Czyż nie porzucił domu i kariery dla dobra ogółu? Czy nie walczył dzień po dniu z głupotą, ignorancją, uporem, a nawet zdradą?

Przypominała sobie jego słowa: "Rewolucjonista musi być gotów na wszystko. Ani na chwilę nie wolno mu stracić z oczu celu. Musi się wznieść ponad ludzką małość, słabość i błędy. Musi zwalczać nie tylko wrogów zewnętrznych, lecz także ludzi opieszłych, niekompetentnych, głupców i oportunistów we własnych szeregach, usiłujących wykorzystać rewolucję dla osobistych korzyści. Rewolucjonista powinien być sprawiedliwy, zdolny do współczucia, a zarazem musi z zimną krwią pozbywać się szkodliwych odszczepieńców takich jak Tichomirow, Piński, Goldberg, tych wszystkich, którzy rozmyślnie lub niechętnie pomagają wzmocnić pozycję wroga." Przy innej okazji powiedział: "Ten kto nie znosi zapachu prochu, nie powinien budować barykad. Mimo Mimo wszystko Mirele nie była

przygotowana na zniesienie tego, co ją obecnie spotkało i stanowiło wstyd i hańbę, policzek dla partii oraz źródło radości dla władz.

Kiedy nie spała po nocach, wątpliwości i podejrzenia doprowadzały ją niemal do szaleństwa.

III

W domu odbywało się pranie. W kuchni stała balia z wodą przygotowaną do farbkowania. Kocioł z bielizną gotował się na płycie, a służąca Tekla obracała bieliznę w kotle drewnianą łopatką. Rozchodził się zapach mydła, sody do prania i resztek kolacji. Szajndł rozwieszała wyprane pieluszki na prowizorycznie rozciągniętym sznurze. Chociaż zaczynała już siwieć, musiała się zajmować niemowlęciem, karmić je piersią, kołysać, nie dosypiać nocami. Azriel też czuł się wciąż zmęczony, dziecko bowiem nie dawało im spać po nocach. Często powtarzał, że nie pragnął tego synka. Szajndł jednak nie chciała słyszeć o usunięciu ciąży. Teraz za to płaciła. Miała na sobie krótką halkę, na nogach przydeptane papucie. Piersi jej nabrzmiały jak u zawodowej mamki, oczy wyrażały rozdrażnienie. Józiek i Cyna siedzieli w saloniku. Józiek właśnie zapisał się na uniwersytet, na wydział prawa, nosił mundur studencki i czapkę. Palił papierosy jawnie jak dorosły mężczyzna. Nie był tak wysoki jak ojciec, odziedziczył natomiast urodę po matce. Czarne włosy połyskiwały granatowym odcieniem. Twarz miał zaokrągloną, czoło otwarte, prosty nos i wydatne usta. W ciemnych, pogodnych oczach kryła się zaduma. Tego właśnie wieczoru Azriel spostrzegł, że Józiek nie wygląda dobrze. Czytał właśnie wstęp do prawodawstwa, strząsał popiół do popielniczki i wciąż z roztargnieniem spoglądał to na siostrę, to na okno, to na drzwi. Cyna, dziewczyna o złocistych włosach splecionych w warkocze, chodziła już dr) czwartej klasy gimnazjalnej.

Podobna do Azriela, miała coś w sobie z Miriam–Liby.

Jako małe dziecko była krnąbrna i hałaśliwa, obecnie zaś przeistoczyła się w rozmarzone, kapryśne dziewczę ze skłonnością do śmiechu i łez, do przeciwstawiania się matce i ukrywania własnych sekretów. Uczennice nieraz urządzały wieczorki szkolne, na które czasami zapraszały kolegów. Cyna jednak zawsze znalazła wymówkę, aby nie uczestniczyć w zabawie. Nieśmiałość odziedziczyła chyba po ojcu. Józiek stał dobrze z matematyki, Cyna natomiast nie radziła sobie z algebrą.

Właśnie rozwiązywała zadania i wciąż coś ścierała gumką, pociągając nosem.

- Józek, musisz mi pomóc.
- O co chodzi?
- Wszystko mi się płacze.
- No, siostrzyczko, są większe tragedie!

Z gabinetu wyszedł Azriel. Do tej pory siedział zatopiony w lekturze, zapragnął jednak spaceru. Nie miał, umówionego spotkania z Olgą, lecz ciągnęło go na ulicę Zielną. Z Nowolipek na Zielną było dość daleko, jemu jednak ta droga zabierała dwadzieścia minut albo i mniej.

Było pół do dziesiątej, a Olga nigdy się nie kładła przed pierwszą w nocy. Cały dzień spędził wśród umysłowo chorych. Wieczorem czytał publikacje o chorobach.

Musiał się oderwać od pracy. Według naukowej klasyfikacji chorób umysłowych istnieje etiologia, symptomatologia, patologia, diagnostyka, prognozowanie, terapia w podręcznikach tak pięknie wszystko zostało sklasyfikowane! Jak dokładnie zdefiniowano idiotę, kretyna, imbecyla, epileptyka, histeryka, hipochondryka i neurastenika. Zamiast wyznaczyć, że niewiele wiadomo o tym, co zachodzi w ludzkim mózgu zarówno zdrowym, jak i chorym, uczeni nadali różnym procesom łacińskie nazwy. A co się dzieje we własnym mózgu Azriela? Leczy rzekomo innych, sam zaś cierpi na wszelkiego rodzaju zaburzenia psychiczne.

Prześladują go różne fobie, troski i przesady. Zmaga się z nękającymi go uporczywymi myślami. "Co by było, gdyby"... – takie rojenia wciąż doń powracają. Gdyby wygrał siedemdziesiąt pięć tysięcy rubli... Gdyby odkrył eliksir zapewniający nieśmiertelność... Gdyby znalazł sposób zdobycia wszechwiedzy... Gdyby posiadał moc hipnotyczną mogącą poddać jego kontroli wolę wszystkich ludzi... Snuł rojenia na jawie jak uczeń. Z chwilą gdy tylko zostawał sam, wyciągał się na kanapce i niczego więcej nie pragnął tylko marzyć i rozważać.

Czym jest czas? Przestrzeń? Co to jest atom? A grawitacja? Gdzie powstała pierwsza komórka? Czy życie może być wynikiem reakcji chemicznych? Co Azrielem powoduje, kiedy wprowadza w błąd swoich pacjentów, Szajndl, wreszcie siebie samego? Oboje rodzice są schorowani, on jest ich podporą, w momencie jednak, kiedy postanawiał ich odwiedzić, oddalał od siebie tę myśl. Prześladowało go

uczucie, że zbliża się do jakiegoś życiowego kryzysu. Wkrótce będzie musiał powziąć ważną decyzję. Skąd ta myśl? Dlaczego wierzy W przeczucia jak prosta służąca?

– Jestem zmęczony – wymamrotał. – Dźwigam za dużo ciężarów. Mirele wciąż w więzieniu... Mogą ją zesłać na Sybir...

Szajndł przysła z kuchni. Cyna uniosła twarz znad książki – Ach, mamo, proszę na siebie spojrzeć! – roześmiała się dziewczyna.

– O co chodzi? – zapytała Szajndł zniecierpliwiona. – Mama jest cała umazana.

– No to co? Ty masz palce powalane atramentem.

– Tak zabawnie mama wygląda. – Jak się pracuje w kuchni, łatwo się zabrudzić. Czy wychodzisz? – zapytała zwracając się do Azriela.

– Muszę się przejść. Mam ciężką głowę.

– Dokąd idziesz? Mówisz, że idziesz się przejść, a wracasz o pierwszej w nocy. Ja cały dzień nie wychodziłam e domu.

– To chodź ze mną.

– Przecież nie mam czasu. Proponujesz mi spacer, bo wiesz, że nie pójdę.

– Dlaczego tak mówisz?

– Daj spokój. Kiedy wrócisz? Wstyd mi przed stróżem. Co noc wyciągasz go z łóżka.

– Wiesz, że tak nie jest.

– Tak właśnie jest. Dzieci też to widzą. Zapytaj ich.

– Nie będę nikogo pytał. Dobranoc, dzieci.

Zbiegał po schodach długimi susami. Minał Przejazd, Przechodnią, przeszedł za Żelazną Bramę i wkrótce znalazł się na Granicznej. Z Ogrodu Saskiego dochodził zapach drzew i trawy. Od strony jezdni czuło się odór. końskiego gnoju, rynsztoków, zgniłych owoców. Była to dzielnica targowisk i piwiarni. W półmroku wciąż jeszcze odbywał się załadunek wozów, furgonów i platform. Zajeżdżały spóźnione karetki pocztowe, z których wysiadali podróżni. Idąc ulicą Królewską zobaczył nagle lampy łukowe oświetlające Marszałkowską. Ta dzielnica Warszawy, miała całkiem

europejski wygląd. Otwarte tramwaje konne, w których konduktorzy sprzedawali bilety, sunęły po szynach podzwaniając wesoło.

Człowiek w czerwonej czapce przesunął metalowym drążkiem zwrotnice na właściwy tor. Na Zielnej było ciemno i cicho. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu dostrzegł Olgę przy bramie domu. Stała, jakby na kogoś czkając.

- Kogo wyglądasz? Uśmiechnęła się.
- Ciebie, oczywiście.
- Nie byliśmy umówieni.
- Wiem.
- Czy uprawiasz czarną magię?
- Czułam, że nadchodzisz.
- Umiesz odczytywać cudze myśli?
- Zawsze to potrafiłam.

IV

Przyjrzał się jej uważniej. Miała na sobie nową suknię, wyglądała młodo, elegancko, prawie zamożnie.

– Co się stało? – zapytał. – Czy wygrałaś główny los na loterii?

Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Gdybym tylko chciała, mogłabym wygrać jeszcze więcej.

– Mówisz zagadkowo.

– Tak.

Przez chwilę oboje milczeli. Potem on się odezwał:

– Czy chciałabyś pospacerować, czy pójdziemy do ciebie?

– Przejdźmy się trochę.

Dłoń w białej rękawiczce oparła na jego ramieniu ruchem tak lekkim, że czuł, iż za chwilę się zsunie. Ruszyli wolnym krokiem, minęli Próżną i idąc Królewską znaleźli się wkrótce przy Ogrodzie Saskim. Zwykle od razu zaczynali o czymś rozprawiać, ale dziś oboje milczeli.

“Musiało się coś wydarzyć”, pomyślał. Czuł się wprost onieśmielony. Zamiast wejść do Ogrodu, Olga zatrzymała się przy bramie i oparła o kamienny słup podtrzymujący żelazne pręty ogrodzenia. Teraz mógł się jej lepiej przyjrzeć. Nigdy przedtem nie wydawała mu się tak tajemnicza i intrygująca. Oczy jej błyszczały radością.

Ogarnął go niepokój i obawa, że ją utracił, nie wiedział zresztą dlaczego.

– Co się stało?

Olga spoważniała.

– Musimy dziś powziąć ważną decyzję. Tu chodzi o ciebie.

– Co takiego?

– Wallenberg zrobił mi pewną propozycję..

– Jaką propozycję? Chce się z tobą ożenić?

– Tak.

Azriel poczuł, że się czerwieni. Ogarnął go wstyd, czuł i się jak zdradzony

bohater z romansu.

- Jak to się stało?
- Niespodzianie. Sama tego nie rozumiem.
- Ach, tak.
- Muszę mu dać odpowiedź.
- Kiedy?.
- Jutro.

Azriel nie odpowiedział od razu. Poruszył ramieniem, aby się uwolnić od jej ręki. Przytrzymała ją przez chwilę, potem puściła. On oparł się również o żelazne pręty i wbił wzrok w dom po przeciwnej stronie ulicy. Teraz zrozumiał, dlaczego się tak nieswojo czuł ostatnimi dniami, nie mógł sypiać i miewał dziwaczne sny. “Dlaczego to mi od razu nie przyszło do głowy? – zastanawiał się. – Przecież wiedziałem, że u niego pracuje.” Wpatrywał się w oświetlone okno pierwszego piętra, w cienie mężczyzny i kobiety przesuwające się za zasłonami. “Co oni robią? Czy tańczą?” Naraz stojąca tuż obok kobieta stała mu się obca, jak to bywa w przypadku osoby, która odbiera wszystko, co przedtem dała. Ogarnęła go nieprzeparła chęć ucieczki. Szybko jednak się zreflektował, zmienił zdanie i postanowił zachować spokój i dumę, nie robić niemądrych scen, jak jeden z jego pacjentów, który podglądał przez dziurkę od klucza swą dawną, niewierną kochankę. Azriel bynajmniej nie pragnął poniżyć się przed tą kobietą, która utrzymując z nim romans, dopuściła do oświadczeń starzejącego się milionera. Wszystko stracone. Musi przynajmniej zachować godność. Poczul nawet ulgę, jak to zawsze bywa, gdy następuje kres niepewności.

- Dlaczegoś tak przycichł? – zapytała.
- Cóż mam powiedzieć?
- No, chodźmy już. Masz mnóstwo do powiedzenia. Nie wolno ci przypuszczać, że od początku ciebie oszukiwałam – odezwała się drżącym głosem. – Nie jestem taka frywolna, jak ci się wydaje.
- Teraz już nie wiem, jaka jesteś.
- Jestem tą samą dziewczyną z Litwy. – Nagle dodała po żydowsku: – Dla

minie miłość to nie zabawka. – I znów przeszła na polski: – Czekałam na ciebie przed bramą. Miałam nadzieję, że przyjdiesz. Przywoływałam cię z całej duszy.

– Po co? Żebym został drużbą?

Olga przystanęła.

– Wiesz, jakim bogaczem jest Wallenberg i jaką zajmuje pozycję: Jeśli jednak zechcesz mnie poślubić, odmówię mu. To człowiek szlachetny i ja go lubię, ale należę do ciebie. Czy to rozumiesz?

– Tak.

– Dla mego własnego dobra i dla dobra dzieci nie mogę zostać na zawsze czyjąś “przyjaciółką”.

– Rozumiem..– Wciąż mi powtarzasz, że nie możesz się rozwieść z żoną. Co mi pozostaje? Żyć w hańbie?

– To żadna hańba.

– Dla ciebie, ale nie dla mnie. Dzieci rosną. Natasza już wszystko rozumie. Jak długo mogę ten fakt ukrywać?

Nawet Jadzia zaczyna się domyślać. Znalazła raz twój jasny włos na poduszce. Wielki Boże, gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że jestem zdolna do czegoś podobnego, nie uwierzyłabym. Andriej zastrzeliłby każdego, kto by mu napomknął, że zejdem na złą drogę. To jest przeciwne mojej naturze, wychowaniu, wierze. Dzielić się mężczyzną z inną kobietą...

– Czego właściwie ode mnie chcesz? – zapytał Azriel. – Moja żona nie zgadza się na rozwód. Nie mogę jej do tego zmusić.

– Niczego nie chcę. Ach, potrafiłbyś to przeprowadzić!

Prawdziwa miłość nie zna przeszkód. Moglibyśmy wyjechać na przykład do Ameryki. Żadna nie zatrzyma przy sobie męża siłą. Kiedyś wspomniałeś nawet o zmianie wiary. W takim razie wszelkie więzy między Szajndl i tobą byłyby zerwane. Wiem, że dla ciebie to są tylko puste słowa, lecz mówię o tym dlatego, abys uwierzył, że na wszystko jestem gotowa. Wyjechałabym z tobą choćby jutro. – Słucham uważnie.

– Gotowam zrezygnować z milionów Wallenberga, a co ty gotów jesteś

uczynić dla mnie?

Wszystko, z wyjątkiem zamordowania istoty ludzkiej.

W tym przypadku nadal pozostałem Żydem.

– To czcze frazesy. Nie zabijesz jej swym odejściem.

Przeżyłam śmierć Andrieja i wiem, że z rozpaczy się nie umiera.

– Byłaś młoda. Zresztą nadal jesteś jeszcze młoda.

Dla Szajndl oznaczałoby to koniec. Co więcej, uchodziłbym za złodzieja.

– Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

– Odbyłem całe studia za jej pieniądze. Kradzież i zabójstwo nie leżą w moim charakterze.

– Pieniądze można spłacić.

– Urodziła właśnie dziecko.

Olga, przedtem bliska śmiechu, teraz nagle posmutniała. – Dziecko? – zapytała zdziwiona. – Kiedy to się stało?

– Stało się.

– I nic mi przez cały ten czas nie mówiłeś?

– Nie miałem żadnego powodu, aby ci o tym mówić.

– To dziwne. Czułam, że coś przede mną ukrywasz. To chłopczyk czy dziewczynka?

– Chłopczyk.

– No cóż, mazel tow. – powiedziała. W jej oczach błysnęła na chwilę wesołość.

– Z wolą bożą, życzę tego samego tobie i Wallenbergowi – odpowiedział też po żydowsku.

– Dwoje dzieci wystarczy. Kiedyś marzyłam o tym, aby mieć dziecko z tobą, teraz to już niemożliwe. Jak się ono nazywa? t – Misza.

– Co ponadto odkryję zadając dalsze pytania? Może masz jeszcze parę romansów? No, ale teraz wiemy, jak sprawa wygląda.

Sali w milczeniu w pewnej od siebie odległości, oboje pogrążeni w myślach. Doszli do Placu Aleksandra i przystanęli, spoglądając na latarnie gazowe i górujący

nad nimi obelisk zarysowany na tle nocnego nieba. Plac był pusty i cichy jak zwykle o północy. Twarz Olgi tonęła w mroku.

Wreszcie odezwał się Azriel:

– Kiedy odbyła się ta rozmowa?

Olga drgnęła.

– Wszystko się stało tak nagle. Sama tego nie mogę zrozumieć. Zawsze się zachowywał z pewnym dystansem. Dyktował mi, trochę rozmawialiśmy.

Znaliśmy się od tak dawna. Stale opłakiwał Matyldę.

Pocieszałam go, jak mogłam. Było mi go szczerze żal.

Starość nie radość. We wczesnej młodości czujemy się podobnie nieszczęśliwi... Naraz zaczął się do mnie zwracać zupełnie innym tonem. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło.

– A kwestia religii? Będziesz musiała znowu zmienić wyznanie. On zechce, żebyś została katoliczką. p– Istotnie, nalega na to.

– No cóż, Jezusowi będzie wszystko jedno.

– Nie żartuj, to są sprawy poważne.

– Czego się nie robi dla kilku milionów!

– Nie potrzebuję milionów. Gdybym była chciwa na pieniądze, nie prowadziłabym z tobą tej rozmowy.

Pragnę tylko zapewnić przyszłość moim dzieciom.

– Tak się zawsze mówi.

– Nie ukrywam jednak prawdy. Jakież to szczęście sobie szykuję? To człowiek stary. Ma synów, córki, zięciów, synowe, wnuki. Jest prawdziwym patriarchą rodu i kiedy o tym pomyślę, lęk mnie ogarnia. Zwłaszcza wstyd mi wobec Justyny. Cały ten luksus nie ma dla mnie żadnego) znaczenia.

– Zostawi ci prawdziwą fortunę.

– Skoro mnie nie chcesz, dlaczego jesteś okrutny?

– Chcę ciebie. Bardziej, niż sobie wyobrażasz.

– To są słowa bez pokrycia. – Nie mogę zniszczyć czworga ludzi. Nie mogę porzucić rodziny, tak samo jak ty nie możesz nie brać pod uwagę swych dzieci.

– Jeśli tak, to nie ma o czym mówić.

Stali jeszcze chwilę, jakby szukając czegoś w żwirze pod stopami. Od Wisły dał świeży podmuch. Z daleka doszedł gwizd pociągu – brzmiał on przeciągle i smutno, jakby już tęsknił do dali. Po chwili ruszyli z powrotem.

Kiedy szli ulicą Mazowiecką do Świętokrzyskiej, Olga przywarła do jego ramienia. Azriel przystanął w półmroku, aby popatrzeć na posążek wystawiony za szybą sklepu, przedstawiający siedzącego Buddę: tłustego, wypolerowanego, nagiego, z klejnotem na czole. “Jak Hindusi mogą pogodzić nirwanę z opasłością?” – pomyślał. Starał się odczytać tytuł książki w oknie wystawowym, lecz chybotliwe światło padające od latarni zamazało gotyckie pismo. Szli dalej, minęli Marszałkowską i skierowali się w stronę Zielnej.

Rozmawiali urywanymi zdaniami. Olga, aby tylko coś powiedzieć, robiła uwagi na temat mijanych domów, sklepów, szyldów.

– Warszawa jest brudna – zauważyła.

– Już niedługo znajdziesz się w Paryżu – odparł.

– W Paryżu? Dlaczego ci to przyszło do głowy?

– On cię zabierze w podróż dookoła świata.

– Skąd wiesz? No tak, w podróż...

Znaleźli się już na Zielnej. Gałęzie drzew gęsto rosnących po obu stronach ulicy stykały się niemal nad jezdni. Cienie rzucane przez gęste listowie tworzyły siatkę na chodniku. Stróże zamykali już bramy. W oknach gasły światła. Pies gdzieś zaszczekał. Ta ulica – świadek ich miłości, sekretów, tajemnych spotkań, późnych pożegnań – wydała się Azrielowi zaczarowanym ogrodem. Przyszło mu na myśl, że nigdy jej nie widział za dnia.

– No cóż, to zapewne nasze ostatnie spotkanie.

– Dlaczego? Możemy pozostać przyjaciółmi.

– Tak sądzisz? W każdym razie, dobranoc.

– Nie uciekaj. Jeśli chcesz, wejdź na górę. Jadzia nie nocuje dziś w domu.

– A gdzie jest?

– U chorej siostry.

– Nie, Olgo, nie wejdę, bo i po co?

– Myślałam, że... Może jednak masz rację.

– Dobranoc.

– Nie śpiesz się tak. Przecież pisujesz do gazety Wallenberga i możesz otrzymać od niego propozycje innego rodzaju pracy. Chcę powiedzieć, że nie będziemy mogli uniknąć spotkań. Ja zresztą nie chcę ciebie unikać.

Przeżyliśmy szczęśliwe chwile. Nigdy nie zapomnę owej nocy w Otwocku.

– Co przyjdzie ze wspomnień?

Olga najwidoczniej nie chciała się z nim rozstać, lecz Azriela ogarnęło zniecierpliwienie. Pragnął pozostać sam po otrzymaniu tego ciosu. Olga uczyniła ruch, jakby chciała o pocałować na pożegnanie, lecz on tylko podał jej dłoń. Uścisnęła ją mocno, cofnął szybko rękę z jej uścisku, uchylił kapelusza i odszedł prędko, nie oglądając się, chociaż wiedział, że Olga czeka, aby się odwrócił. Zachował się z godnością, i to w pewnym stopniu złagodziło jego ból. Przynajmniej nie zrobił z siebie żebraka.

Wiedział, że wkrótce powróci tęsknota i ogarnie go znowu namiętność, poczucie pustki i żal, że ją utracił, lecz jednego był pewien: nie będzie nigdy wypłakiwać łez na niczym ramieniu. Od szybkiego marszu twarz mu pałała. Jeśli ona stawia swe dzieci na pierwszym miejscu, dlaczego i on nie miałby tego zrobić? Logika takiego stanowiska jest nie do podważenia. Nagle owładnęła nim wielka miłość do Józka, Cyny, nawet Miszy. To jego ciało i krew. Ponosi za nich odpowiedzialność. Jeśli zaś chodzi o Szajndł, ma wobec niej wielki dług wdzięczności. Jest psychiatrą, a nie wariatem. Był jeszcze jeden wzgląd.

Wiedział, że stanowczość w postępowaniu przywiąże do niego Olgę z jeszcze większą siłą, choć tego zjawiska psychologia nie potrafi wyjaśnić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

I

Wszystko było jak ongiś. Matka z twarzą pooraną zmarszczkami, w atłasowym czepku na ogolonej głowie ojciec w aksamitnym chałacie przepasanym szerokim, plecionym pasem, w jarmułce nad wysokim czołem.

Matka utraciła wszystkie zęby i mówiąc odsłaniała nagie, bezzębne dziąsła. Broda ojca zupełnie zbielała i jakby się przerzedziła. Siedział w fotelu przy stole. Aczkolwiek niewiele już widział, lampa naftowa z mlecznobiałym kloszem oświetlała stół, na którym leżało parę otwartych ksiąg. Starzec odezwał się do Azriela:

– Jesteś więc u nas. No tak, chwała Wszechmocnemu, że dane nam jest cię zobaczyć.

Brakowało mi ciebie, bardzo brakowało. Jesteś przecież moim synem. Jedynym synem. To bieda mieć tylko jednego syna. Twoja matka bez przerwy o tobie mówi.

Od czasu nieszczęścia z Mirele matka kocha cię miłością wprost bezgraniczną. No cóż, wszystko jest zrządzeniem niebios, łaska też, nie zawsze jednak stać nas na godne jej przyjęcie. Surowość prawa to dzieło ludzi, nie Boga.

Jeśli ojciec da dziecku orzech, a ono go połknie wraz z twardą łupiną, czy to wina ojca?

– Ojciec powinien przestrzec dziecko lub usunąć łupinę. Tata z pewnością ma na myśli naszego Ojca w niebie.

– Oczywiście. Dał On człowiekowi rozum, aby każdy mógł dokonywać wyboru. Dał rozum i prawa ustalające co wolno, a czego nie wolno. Nie słuchamy tego jednak, więc jak możemy Go winić? – Być może słuchalibyśmy Jego słów, gdyby było wiadomo, że są to słowa boże. Skąd jednak mamy być tego pewni? Każdy naród ma własną religię.

– Jeśli człowiek mógłby na własne oczy stwierdzić działanie Opatrzności, nie

miałby wątpliwości, a tym samym i wolnej woli. Świat opiera się na danym człowiekowi wolnym wyborze. Czego możemy być pewni? Życia?

Środków egzystencji? Człowiek musi bez przerwy dokonywać wyboru między prawdą a fałszem. Gdyby niebiosy się rozwarły i moglibyśmy zobaczyć zastępy niebiańskie, każdy wybrałby żywot świętego. Rozumiesz to, co mówię, czy nie?

– Tak, ojcze, rozumiem.

– Dla aniołów wszystko jest łatwe. Toteż nie czeka ich nagroda. Człowiek musi walczyć o swą wiarę.

Każdego dnia, każdej minuty. Nawet najświętszy człowiek ma chwile zwątpienia.

– Rozumiem.

– A co nowego w medycynie?

– Niewiele. W mojej specjalności trzeba do wszystkiego dochodzić samemu.

– No, niemało rzeczy wykryto. Kiedyś nie było żadnej rady na ślepotę. Dziś twój dobry znajomy – jak on się tam zwie? – powiedział, że może mnie operować. Muszę tylko trochę poczekać. Kiedy już oślepnę, kiedy te – jak się to mówi? – aha, katarakty się powiększą, będzie je można usunąć. Jak zostało powiedziane: “Zanim rozbłyśnie światło, ciemność się musi powiększyć.” Tirza–Perł zawołała Azriela do kuchni. Plecy jej się pochyliły, czepek sterczał z tyłu głowy, na zakrzywionym nosie miała okulary bez jednego szkiełka. Na stole kuchennym leżała książka: Pochodnia światła. Podeszła do syna i zapytała ostro: ii Jakie nieszczęście spotkało Mirele? Biada mi!

– Nic nie wiem, mammo.

– Ty nie wiesz? Przyszła do mnie dziewczyna, garbu ka, jedna z nich. Nie wierzyłam własnym uszom, słuchając jej słów. Nie chce, aby się ojciec dowiedział. Biedak ma dość własnych kłopotów, a to prawdziwa tragedia.

Boję się wyjść na ulicę. Ludzie zaczną na mnie pluć albo obrzucać kamieniami. Taka straszna hańba nie spada nawet na fryzjerczyków ani na muzykantów ulicznych, – Matko, to nie moja wina.

– Czego ci ludzie chcą? Lepiej by już nawet było, żeby się wychrzciała. Wtedy

wiedziałabym, że utraciłam córkę.

Nie śpiam po nocach, Azrielu. Czego oni chcą?

– Zbawić świat.

– Ci złoczyńcy! To szaleńcy. Czy uważają, że Bóg Wszechmocny będzie milczał? Zniszczył Sodomę, prawda?

– Niech Bóg czyni, co Mu się podoba.

– Co ty mówisz? Dlaczego nie jesteś bardziej oględny w słowach? Nie mogłam zrozumieć, o co chodziło tej garbusce. W uszach mi szumiało, twarz tak paliła, że prawie jej nie widziałam. Siedziałam bez ruchu.

– Tak, mamo, zdaję sobie sprawę. Lecz jaka w tym twoja wina?

– Jaka moja wina? Ludzie przeklinają rodziców z powodu takich dzieci.

– Matko, muszę już iść.

– No dobrze, idź. Widzisz teraz, co się przydarza tym, którzy zapominają o Bogu.

Azriel poszedł pożegnać się z ojcem drzemiącym w fotelu. Starzec się ocknął raptownie. Azriel uściskał mu dłoń, potem pocałował matkę. Schodził powoli po ciemnych schodach. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, że matka wie o ciąży Mirele. Garbata dziewczyna jej o tym doniosła. Jaki to cios dla starej kobiety! W bramie zderzył się w ciemności z jakimś mężczyzną. Wyczuł intuicyjnie, że ten człowiek jest z nim jakoś związany. W późniejszych latach przywodził sobie nieraz na pamięć tę chwilę. To było jedno z tych doznań, które nie dają się wytłumaczyć, chyba że się założy istnienie szóstego zmysłu.

– Przepraszam, czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie mieszka rabin? – padło pytanie po polsku.

– Z bramy na prawo. Może w czymś panu pomóc? Jestem jego synem.

– Pan jest doktorem Babadem?

– Tak.

– Doktorze, muszę z panem pomówić. Dozorca zamknie zaraz bramę, wyjdźmy.

– Kim pan jest? O co chodzi?

– Proszę się nie obawiać, panie doktorze. Nie jestem taki zły, jak ludzie mówią. Chciałem się przedstawić pańskim szanownym rodzicom, skoro jednak los zrzucił nasze spotkanie, niech i tak będzie. Proszę, doktorze, o chwilę cierpliwości i niewydawanie sądu, zanim mnie pan wysłucha. To wszystko, o co proszę.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Stefan Lemański. Jestem mężem pańskiej siostry.

Azriel stał jak wryty. Jej mężem? Nie wiedziałem, że ona ma męża.

– Nieoficjalnie. Wyjdźmy, proszę, na ulicę. Dozorca czeka. Tak, uznaję się za jej męża, a pragnę nim zostać formalnie, jak tylko ją zwolnią, to znaczy, jak uda mi się, ją wydobyć z więzienia. Jestem w okropnej sytuacji, panie doktorze. Chciałem porozmawiać z pańskimi rodzicami, wiem jednak, że nie mówią po polsku. Oto przyczyna, dla której wcześniej tego nie zrobiłem.

Zamierzałem nawiązać kontakt z panem, uprzedzono mnie jednak, że jest pan – jak by to powiedzieć – człowiekiem niecierpliwym, a ja muszę pomówić z kimś zarówno cierpliwym, jak i dobrym.

– Co pana trapi? Dokąd pan zamierzał iść?

– Ja? To nie ma znaczenia. Idźmy tam, dokąd pan sobie życzy, doktorze. Jestem z natury człowiekiem zdecydowanym, a jednak wiele razy mijałem dom pańskich rodziców i nie miałem odwagi wejść. Dziś celowo przyszedłem później, żeby nikogo u nich nie spotkać. Szkoda, że nie mówię po żydowsku. Aż tu naraz wpadam na pana. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności?

Jestem tak rozstrojony nerwowo, że wszystko wydaje mi się dziwne. Nie czują się dobrze, mam gorączkę. Nie powinienem był wstawać z łóżka. Jednakże te oszczerstwa rozsiewane o mnie i nieszczęście, jakie dotknęło Mirele, wprowadziły mnie w stan takiego napięcia, że proszę się nie gniewać, panie doktorze, jeżeli mówię bez sensu. Nie wiem doprawdy, od czego zacząć. Jestem przyzwyczajony do wszelkiego rodzaju przeciwności, lecz to, co się zdarzyło, przerasta siłę jednego człowieka. Są ciosy, przed którymi nie sposób się obronić. Mniemam, doktorze Babad, że i do pana dotarły tę wstrętne plotki.

– Tak, słyszałem o niej.

– Kto panu powiedział? Zresztą, mniejsza z tym. To kłamstwo, panie Babad, złośliwe kłamstwo. Złożyłbym przysięgę, lecz my, wolnomyśliciele, jesteśmy pozbawieni możliwości przysięgania na jakieś wyższe moce. Wszystko, co mogę uczynić, to dać panu słowo honoru, że padłem ofiarą występnej potwarzy. Czy wie pan, że za moją głowę wyznaczono nagrodę pięciu tysięcy rubli? Nawet własni towarzysze, dla których narażałem życie, chcieliby się mnie pozbyć. Nie mogę wyjść z domu bez obawy, że ktoś strzeli mi w plecy.

Powiedziałem, że gotów jestem stanąć przed ich sądem i jeśli dowiodą mi winy – wpakuję sobie kulę w łeb.

Odmówiono mi jednak nawet prawa samoobrony.

Wspomniałem przed chwilą, że nie mam na co przysiąc, czczę jednak pamięć mojej maiki. Jest dla mnie święta, najświętsza ze wszystkiego na świecie. Przysięgam na jej grób, że wszystko, co panu mówię, to absolutna prawda.

Stefan Lemański przysłonił twarz ręką. Ten obcy mężczyzna, podający się za męża Mirele, płakał na ulicy.

II

Dopiero teraz Azriel zorientował się, że rozmawiając doszli do rogu Ciepłej. Na lewo znajdował się komisariat policji, na prawo koszary pułku wołyńskiego. Dzielnica była słabo oświetlona i pusta. Stefan Lemański wyjął chusteczkę z kieszeni i wyszeptał: I – Proszę mi wybaczyć, doktorze.

W ciągu minionych miesięcy Azriel niejednokrotnie myślał o tym człowieku oskarżonym o prowokację, który wciągnął jego siostrę do nielegalnej organizacji. Jeszcze jako uczeń chederu Azriel nie był zwolennikiem Szymona, i Lewi ego, którzy wymordowali mieszkańców Sychem z powodu swej siostry Diny. Darzył sympatią Jakuba, który przeklął tych braci na łożu śmierci. "O duszo moja, nie wnikaj w ich tajemnicę czci moja, nie jednocz się z nimi." Ostatnio wszakże zaczął rozumieć cierpienie owych dwóch mężczyzn na widok siostry, którą spotkał los nierządniczy. Oto stoi przed nim uwodziciel jego siostry i ociera łzy z oczu. Azriel widział, że jest to człowiek ubogo ubrany, nie ogolony i blady, jak po przebytej chorobie, w czapce z ceratowym daszkiem i drewnianym kuferkiem w ręce. Wyglądem przypominał rekruta. Nazwał siebie mężem Mirele, A tym samym jest jego szwagrem!

– Czego pan chciał od mych rodziców? – odezwał się Azriel. – Pan wie, że są staroświeccy. Rabin...

– Tak, wiem. Proszę nie sądzić, doktorze, że się łatwo zdobyłem na tę decyzję. – odparł Lemański. – Sytuacja jest taka, że muszę wyjechać. To kwestia życia i śmierci.

Nie chcę się stać ofiarą złej woli mych dawnych towarzyszy. Mówię tu o złej woli, ponieważ nasz ruch rozpadł się wewnątrz, a wynikła z tego rozłamu walka może przynieść korzyść tylko wrogowi. Do naszych szeregów przedostali się tak zwani "patrioci" i oni to, pod płaszczykiem socjalizmu, znów próbują omamiać ludzi wizjami powstania. Nie muszę panu mówić, szanowny doktorze, jak beznadziejne są te mrzonki i jakie szkody przynoszą proletariatu. Wszędzie tam, gdzie zaczyna płonąć zarzewie nacjonalizmu, natychmiast zatruwa atmosferę szowinizm i nienawiść

brata do brata. Kto z tego ciągnie zyski? Oczywiście wyzyskiwacze żerujący na ludziach pracy! Te wampiry rządzą już od wielu pokoleń, kradną chleb należny masom i współdziałają z wrogami Polski. Nie muszę panu mówić, jaką rolę odegrał nasz ostatni król, proszę sobie przypomnieć. Najpierw jako kochanek okrutnej Katarzyny, a później, po oddaniu Polski w niewolę, jako sługus na jej dworze, podobny do rajfurów, to na stare lata wnoszą nocniki w burdelach. Co zdołała arystokracja w roku? Zwróciła się o pomoc do chłopów i robotników. Na szczęście prości ludzie pojęli, że rodzimy kat nie jest lepszy od obcego i nie chcieli mieć nic wspólnego z ich ryzykownymi poczynaniami. Proszę zrozumieć, że za wszystko zawsze płacą robotnicy, bo, w rozliczeniu końcowym oni regulują cały rachunek.

Teraz znów wybuchła plaga nacjonalizmu, I to gdzie? W naszych własnych szeregach. Niestety, nie pora teraz wyjaśniać panu, co się obecnie dzieje. Ci tak zwani "rewolucjoniści" wciąż mówią o robotniku i jego sytuacji, w rzeczywistości jednak obchodzi ich tylko jedno – powrót polskich panów do władzy i odebranie ogółowi tych strzępów uprawnień, jakie im przyznał Aleksander.

Oznaczałoby to uwolnienie Polski spod obcego jarzma i zastąpienie go jarzmem rodzimym. W zachodniej Europie, zwłaszcza we Francji, są grupy rozumiejące to niebezpieczeństwo i ostrzegają nas przed nim. Ich przywódca, młody człowiek o wybitnej inteligencji, był niedawno w Warszawie, rzecz prosta nielegalnie, pod zmienionym nazwiskiem. Gdyby go schwytano, zawisłby na szubienicy. Przypadek zrządził, że jest on Żydem i nie uwierzy pan, doktorze Babad, towarzysze posunęli się do najwstrętniejszych form antysemityzmu. Nie ukrywam własnych przekonań, a moi dawni koledzy, którzy już oczernili mnie całkowicie, przed niczym się nie cofną.

Moja zguba leży w ich interesie. Działając w ten sposób, nie dostrzegają prawdziwych prowokatorów w swych własnych szeregach. A prawda jest taka, wszyscy oni są prowokatorami. Zdrajca zostaje zdrajcą bez względu na to, jak go nazwiemy... Po cóż jednak nudzę pana tymi szczegółami? To z pewnością pana nie interesuje.

– Dlaczego nie? Słyszałem, że taki rozłam istnieje wśród Rosjan, ale że

w Polsce są tego rodzaju tarcia, to dla mnie rzecz nowa.

– Nie powinienem był nawet mówić panu o tych sprawach. Co prawda, nie są to tajemnice partyjne, zresztą mam do pana zaufanie jako do brata Mirele. Są to jednak wewnętrzne tarcia w organizacji. Chorowałem wiele tygodni, ciężko chorowałem, mam więc rozstrojone nerwy.

Nie mogę sypiać, co działa na mnie zabójczo. Dawniej, miałem nerwy ze stali, teraz podskakuję do góry, kiedy mysz piśnie. Mam wrażenie, że w tym, co mówię, brak jest logiki. Pan mnie o coś pytał, niestety już nie pamiętam o co. To też wynika z mojego stanu nerwowego. Ach tak, chodziło o pańskich rodziców. Jak już wspomniałem, muszę wyjechać za granicę pragnąłbym choć jeden raz zobaczyć moje dziecko... Wiem, że ten temat jest dla pana żenujący, ale tu chodzi o moje dziecko, nasze dziecko, Mirele i moje, dziecko miłości. Wiem, jak patrzą ludzie zacofani na takie dzieci, lecz jestem wyższy ponad przesady i mam przeświadczenie, że pan, doktorze, nie jest takim fanatykiem, aby potępić niewinną istotę tylko dlatego, że nie stało się zadość pewnym formalnościom.

Gdyby Mirele nie była w więzieniu, a rodzice pana życzyli sobie dokonania jakiegoś obrzędu, chętnie bym się zgodził, aby oszczędzić im zbędnego zmartwienia.

Należy odróżniać członków starszej generacji, nie mogącej podążać z biegiem postępu, od hipokrytów, którzy rewolucyjnymi frazesami osłaniają swe reakcyjne zamiary. Krótko mówiący miałem nadzieję, że dostanę od rodziców adres Mirele.

– Oni go nie znają. Mój ojciec w ogóle nic nie wie o całej sprawie. Matka coś słyszała, ale...

– Ach, wobec tego to szczęśliwy traf, że spotkałem pana, szanowny doktorze. Pan, mam nadzieję, zrozumie, jak bardzo cierpię i jakie znaczenie ma dla mnie zobaczenie dziecka. Może to brzmi sentymentalnie i prowincjonalnie, istnieją jednak związki biologiczne, które...

Stefan Lemański przestał mówić. Minęli plac Mirowski znaleźli się na Elektoralnej. W oknach mieszkań było ciemno, bramy pozamykane. Azriel czuł się nieswojo. Co zrobi, jeśli nadejdzie patrol i zatrzyma ich obu? A może któryś z współtowarzyszy Lemańskiego go śledzi? Azriel słyszał okropne historie

o nihilistach i dokonywanych przez nich aktach zemsty. Musi oddalić się od tego osobnika, im prędzej, tym lepiej.

– Dziecko jest na ulicy Dzikiej, koło Powązek. Ostrzegam wszakże pana, jego opiekunowie są po stronie pańskich wrogów. Nie chce pan chyba wpaść w pułapkę, prawda?

– Co to za ludzie? Znam wszystkich z owej grupy.

– Noszą nazwisko Cybula – powiedział Azriel. – On się nazywa Jonasz Cybula. To ślusarz.

– Ślusarz? Cybula? Nazwisko jest mi obce.

– O ile wiem, są członkami organizacji. Kobieta opiekująca się dzieckiem to garbuska. Nie pamiętam jej nazwiska. Ma na imię Edzia.

– Garbata? Nie znam takiej. Pod jakim numerem mieszkają?

Azriel podał mu numer domu.

– Dobrze, pójdę tam jutro. Czy ten ślusarz pracuje w domu?

– Nigdy go tam nie widziałem.

– Stokrotne dzięki. Nie muszę panu mówić, doktorze Babad, że cała ta sprawa była – jak by to powiedzieć – zupełnie nie zaplanowana, spadła na nas jak grom z jasnego nieba, lecz wszystko dobrze się skończy.

– Co dobrego może z tego wyniknąć? Mirele odsiedzi w więzieniu dalszych sześć lat, a potem prawdopodobnie ześlą ją na Sybir. Nic też dobrego nie wyrośnie z dziecka wychowanego bez rodziców.

– Te barbarzyńskie rządy nie mogą długo trwać. Coś musi się wkrótce wydarzyć.

III

Było już po północy, kiedy Azriel pożegnał się ze Stefanem Lemańskim i ruszył do domu. Odczuwał zimno.

Bolała go głowa i nogi. "Co się ze mną dzieje? Czy się rozchoruję? Mimo całej przeszłości i tego, co zawdzięczam Szajndł, życie z nią to nie życie... To jedna wielka nuda. Nie mam nawet czasu na naukę. Wszystko stało się obrzydliwą rutyną. Sam jestem głupcem. Miałem możliwość zdobycia kariery i Olgi. Wszystko właściwie poświęciłem córce Kalmana Jakobiego. No cóż, ci którzy pozwalają się zniszczyć, nie mają prawa narzekać." Powinien by przyspieszyć kroku, bo o siódmej musi być na nogach, jednak szedł powoli. "Gdybym przynajmniej nie wydał dzieci na ten świat" Nagle ogarnęła go wściekłość na Szajndł. Błagał ją, aby poroniła, ona jednak jest płodna jak królik. "No więc tak, zemszczę się, odejdę. A gdybym umarł? Jakoś by żyła dalej. Pewnie wyszłaby po raz drugi za męż. Tylko taki głupiec jak ja gubi siebie dla takich pasożytów." Doszedł do domu i pociągnął za dzwonek. Stróż burczał pod nosem otwierając bramę. Azriel nie miał nawet drobnych, aby mu coś dać za fatygę. Klapiąc po schodach butami zaczął wchodzić po ciemnej klatce. "Złe duchy? Gdybyż one istniały! Stanowiłoby to wskazówkę, że istnieje coś więcej, że stworzony świat nie ogranicza się do darwinowskiej kostnicy." Otworzywszy drzwi kluczem, spostrzegł światło w saloniku.

– Ten fantasta jeszcze nie w łóżku! – zamruczał. – Psuje sobie oczy nad tymi głupimi książkami!

Prawodawstwo w dżungli...

Otworzył drzwi i zobaczył Józka. Chłopiec siedział na fotelu w rozpiętej kurtce, nie czytał książki, trzymał ręce na kolanach, z włosami w nieładzie. "Co mu jest?" – zastanowił się Azriel i zapytał:

– Dlaczego nie śpisz? Po co psujesz sobie oczy całą tą literaturą? Rozbieraj się i idź spać.

Józiek nawet nie drgnął.

– Tato, muszę z tobą pomówić.

– O czym? – najeżył się Azriel. – Już późno. Niedługo go będę musiał iść do pracy.

– Usiądź, tato.

– Co się stało? Mów.

– Nie mogę dalej studiować.

– A co chcesz robić? Sprzedawać cebulę?

– Wyjeżdżam.

– Dokąd wyjeżdżasz? Co z tobą, do diaska?

– Jadę do Palestyny.

Azriel się roześmiał.

– No to jedź, życzę szczęścia i powodzenia. Pozdrów matkę Rachelę.

– Tato, ja nie żartuję.

– Co takiego zaszło? Czy wysłuchałeś przemowy któregoś ze zwolenników Syjonu? A może przeczytałeś broszurkę Pinskera?

– Tato, to jest poważniejsze, niż przypuszczasz.

– Co jest poważniejsze? O czym ty pleciesz? Albo nic nie mów, albo wyjaw mi całą prawdę. Nie mam cierpliwości wyciągać z ciebie każdego słowa.

– Dlaczego tak się złościysz?

– To nie twoja sprawa. Mów, bo chcę jeszcze się przespać parę godzin. Nawet koń musi czasem odpocząć.

– Więc powiem ci jutro, tato.

– Nie jutro, ale dziś. Tylko się streszczaj! Słucham! Co się stało? Dokąd chcesz uciekać? Co znaczy ten szalony pomysł?

– Tato, nie mogę znieść tego dłużej.

– Czego nie możesz znieść?

– Tego antysemityzmu. Tata się nigdy nie dowie, ile ja przecierpiałem w szkole. Nic nie mówiłem, bo co by to pomogło? Teraz muszę wyznać prawdę. Wszyscy mi dokuczali, nauczyciele i koledzy. Po sto, a może i tysiąc razy dziennie wypominali mi moje pochodzenie. Ty uczyłeś się sam, w domu, lecz ja musiałem iść co dzień do szkoły. Niezliczoną ilość razy zostałem pobity. Teraz zdarzyło się coś

takiego, że ja...

– Co się stało?

– Wstąpiliśmy z dwoma kolegami do Loursa. Siedzieliśmy spokojnie przy stoliku, aż tu dwóch gburów zaczęło nas zaczepiać. Chcieli nam ubliżyć. Wreszcie jeden z nich zerwał mi czapkę z głowy i rzucił na podłogę. Wyzwałem go na pojedynek, na co odparł, że nie będzie się pojedynkował z Żydem. Nawet mnie uderzył.

– Dlaczego mu nie oddałeś? Było was trzech.

– Był ode mnie o głowę wyższy. Koledzy się wystraszyli. Wszyscy obecni się śmieli. Ktoś nalał mi wody do czapki. Wróciłem do domu bez czapki i bez honoru.

Tato, już nie mogę znieść tego dłużej! Wolałbym umrzeć. – No cóż, żyjemy w ten sposób już dwa tysiące lat.

– To wystarczy. Mężczyzna, który nie może zaprotestować, gdy mu wlewają wodę do czapki, nie jest mężczyzną.

Azriel poczuł, jak serce mu wali.

– Tak, to prawda. Palestyna wszakże niczego nie rozwiąże.

– A co rozwiąże? Przemyślałem to wszystko. Jeśli nie wyjadę, będę musiał się zabić. Najpierw zabiję jego, potem siebie. Ale nie potrafiłbym go nawet rozpoznać. Nigdy tego nie zapomnę.

– Kiedy się to wydarzyło?

– Wczoraj.

– Wczoraj? A gdzie byli twoi przyjaciele?

– Siedzieli jak potulne baranki. Żydzi to nie mężczyźni, wszak sam to wiesz najlepiej. Jesteśmy zniewieściali.

Azriel trwał w milczeniu. Przez dłuższy czas stał bez ruchu na progu, wreszcie wszedł do pokoju Józka. Wziął z półki książkę, otworzył ją i przeczytawszy parę wierszy odłożył na miejsce.

– Czego ty właściwie ode mnie oczekujesz? – zapytał.

– Turcy nie są lepsi od Polaków czy Rosjan. Nie bądź naiwny.

– Wiem o tym, tato. Jednak Palestyna to nasza ojczyzna, nasza ziemia.

– Jak to nasza? Z tej racji, że Żydzi zamieszkiwali P przed dwoma tysiącami lat? Czy wiesz, ile narodów wy ginęło bądź się całkowicie zasymilowało w ciągu tego czasu? Gdybyśmy chcieli zmienić mapę świata na tę sprzed dwóch tysięcy lat, to trzeba by ruszyć z miejsca trzy czwarte ludzkości. A jak tego dowieść, że istotnie pochodzimy od owych Izraelitów? Skąd się wzięły moje blond włosy i niebieskie oczy? Starożytni Hebrajczycy byli wyłącznie brunetami.

– Skąd to można wiedzieć? Zresztą ja jestem brunetem. Nie mogę sprawdzać całego mego rodowodu.

– Co będziesz tam robił? Osuszał bagna, aż się nabawisz malarii? Po to kończyłeś gimnazjum? Tato, nie mogę tu pozostać. Nienawidzę tego miasta. Nie chcę, aby mnie wytykano palcami, że dostałem po gębie.

– Turek czy Arab też cię może uderzyć.

– To im oddam.

– Jeśli ci się uda. Dostawaliśmy cięgi również w naszym własnym kraju od Babilończyków, Greków, Rzymian. Polska też jest krajem rozdartym.

– Polacy są u siebie w domu. żyją normalnym życiem.

– Możesz zostać Polakiem, a nawet Rosjaninem. – Azriel pożałował swych słów, ledwie je wypowiedział.

– Czy to rozwiązuje sprawę?

– No nie, ale chcąc się poczuć wolnym, nie trzeba wszystkiego zaczynać od zera. Możesz studiować w zachodniej Europie. Tam Żydów nie biją.

– Przeciwnie, i tam biją. Czytałem w "Izraelicie": "Żydzi to nasze nieszczęście", takim sloganem wszędzie się teraz operuje, w Prusach, Austrii, na Węgrzech. Nie mogę podzielać poglądów moich prześladowców.

– A w co wierzysz? W co my, współcześni Żydzi, wierzymy? No, muszę się położyć. Ja też miałem bardzo ciężki dzień. W tym wszystkim chodzi o słowa. Nie jestem radykałem, jednak cały ten nacjonalizm trąci fałszem. Co za różnica między Prusakiem a Austriakiem, Duńczykiem a Norwegiem? Po co niemieckie księstwa prowadziły wojny przez setki lat? To wszystko jest szaleństwem.

– Szaleństwo stanowi o prawie do egzystencji.

Wiecznie tak nie będzie. Co ich dzieli? Me idee.

Wszyscy pragną władzy. Weź dla przykładu Amerykę z jej tysiącem narodowości. I ty możesz zostać Amerykaninem. Potrzeba ci tylko biletu na przejazd statkiem.

– Wszyscy Żydzi nie mogą zostać Amerykanami.

– Co się martwisz o wszystkich Żydów? Jesteś jak dzieciak powtarzający to, co zasłyszysz. Żydzi mogą powrócić do Palestyny tak samo jak Węgrzy zamienić się w Tatarów. Porozmawiamy jeszcze jutro. Dobranoc.

– Gdybym miał takie poglądy jak ojciec, zostałbym socjalistą.

– Na złość komu? Zamknęliby cię tak jak ciocię Mirełę W więzieniu jest dość miejsca.

– Co więc należy robić? – Przynajmniej nie pogarszać istniejącego stanu rzeczy. Jak można walczyć z szaleństwem? Nie ma na nie lekarstwa. Tak wygląda prawda.

– Ojczy, pragnę wyjechać.

– No cóż, ja cię nie zatrzymam.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kochani Rodzice! – pisała Sonia do rodziców. – Wybaczcie, że nie piszą po żydowsku. Próbowałam, ale zbyt dużo zapomniałam. Nie wszystkie litery pamiętam, zresztą wy oboje znacie polski. Oto mija piąty dzień naszego pobytu w Nowym Jorku. Dopiero dwa miesiące, jak się pożegnaliśmy, a mnie się zdaje, jakbym podróżowała od chwili urodzenia. Najpierw jazda do Berlina, potem do Paryża i dalej do Cherbourga, a później statkiem do Ameryki. Trzydzieści dni na oceanie.

Złapała nas burza, w czasie której wierzący pasażerowie wołali: "Słuchaj, o Izraelu" i spowiadali się, chociaż nic im nie groziło. Wiecie, drodzy Rodzice, jak bojaźliwi są Żydzi, zwłaszcza kobiety. Prawie wszyscy cierpieli na chorobę morską. Ja w ciągu trzech dni chorowałam i wszystko, za przeproszeniem, wymiotowałam. Przez cały ten czas żywiłam się tylko sucharkami. Aleksander, chwała Bogu, dobrze zniósł morską podróż. Był jednak przygnębiony i ten stan u niego trwa. Nie martwcie się, przyjdzie do siebie. Gdybym się wybrała w tę podróż bez Aleksandra, umarłabym z osamotnienia. On jest takim oddanym bratem. Zajmował się wyłącznie mną i troszczył o moją wygodę. Podróż nie była zbyt wygodna, bo podróżowaliśmy na najtańszym pokładzie. Spaliśmy nie na łóżkach, tylko w kojach jak żołnierze, on z mężczyznami, ja z kobietami. Jeszcze się wzdrygam na wspomnienie tego brudu i prostactwa, z jakimi się spotkałam na pokładzie. To był prawdziwy koszmar. Wolę więc pamiętać piękno oceanu, latające ryby i delfiny wyskakujące ponad fale, to znów znikające i dające nura. Wspaniałość Atlantyku jest nie do opisanie, zwłaszcza o zachodzie słońca., Pewnego razu po deszczu zobaczyliśmy tęczę rozciągającą się od jednego krańca horyzontu po drugi.

Nie można było się nacieszyć tym widokom. Mogłam stać na pomoście pół dnia, a nawet pół nocy, i po prostu patrzeć. Jak przeogromny jest ocean! Jak niezmierny!

Zdumienie ogarnia na myśl, że istnieje od początku świata. Czasem, z odległości, widzieliśmy sylwetki okrętów, jeśli ktoś z pasażerów użyczył nam lornetki.

Parę młodych osób włożyło listy do butelek, które po zalakowaniu wrzucono do oceanu. Zabawne, kiedy się pomyśli, że człowiek tonie natychmiast, butelka natomiast może przepłynąć tysiące kilometrów, aż dotrze do brzegu. Włożyłam do butelki pozdrowienia dla Was, kochani Rodzice... Razem z nami jechała grupka z Odessy i Kijowa. W jej skład wchodziłi byli studenci, intelektualiści, a także kilku robotników. Niektórzy z nich nazywają siebie Am Olam, czyli narodem świata. Mają nadzieję stworzyć kolonię w Ameryce, i żyć wspólnie, dzieląc się wszystkim. Inni się im przeciwstawiali.

Dysputy między obu grupkami trwały całe noce. Tak przy tym hałasowali, że nie sposób było spać. Jedzenie na statku dawali dość łyche. Wielu ludzi żywiło się tylko śledziami i kartoflami w mundurkach, bo inne pożywienie nie było koszerne. Wracając do tematu współtowarzyszy podróży, to wszyscy oni mieli własne zdanie i sprzeczali się zawzięcie, jakby wciąż byli u siebie, w domu, nie na oceanie, na "ziemi niczyjej". Aleksander nie uczestniczył w tych dyskusjach, co mu brano za złe, ja jednak nie dopuszczałam, by go krytykowano. Wreszcie dotarliśmy do Nowego Jorku. Na długo przed zawinięciem do portu ujrzeliśmy Posąg Wolności i wszyscy krzyczeli: "Hurra"!

Bez większej zwłoki mogliśmy opuścić statek.

Wystarczyło, aby emigrant posiadał pięć dolarów albo dziesięć rubli.

Ach, nie potrafię opisać, jak odmienny jest Nowy Jork od wszystkich innych miast! Berlin i Paryż są wspaniałe, wszakże nieco podobne do Warszawy i Kijowa, Nowy Jork – to inny świat. Zupełnie, jakby się chodziło na głowie. Miasto nie jest tak piękne jak Paryż, daleko mu do tego. Można powiedzieć – brzydkie. Budynki w większości są nie otynkowane, goła cegła. Nie mają też dziedzińców, dzieci więc bawią się na ulicach. W gimnazjum, jak wiecie, uczyłam się francuskiego, i nie rozumiem ani słowa po angielsku. Na statku wszyscy rozmawiali po rosyjsku. Dostałam podręcznik angielskiego, ale wymowa jest tak odmienna, Amerykanie zdają się mieć inny układ ust niż my. Bogu tylko wiadome, czy się kiedykolwiek nauczę tego języka. Poszliśmy do dzielnicy żydowskiej i Aleksander od razu odniósł się krytycznie do Nowego Jorku. Rodzice go znają albo go coś zachwyci, albo od

razu zniechęci. Wynajęliśmy pokój u pewnej wdowy, jadamy też u niej obiady. Tutejszy język żydowski różni się od naszej rodzimej mowy. Ma naleciałości z języka angielskiego. Do gospodyni mówi się: missis, a pensjonariusze to boarders. Panuje tu straszny upał.

Żywność trzeba przechowywać na lodzie. Ludzie chodzą na wpół rozebrani, a wielu sypia na dachach. Dach na naszym domu jest płaski, przypomina dachy na wschodzie, czasami wyobrażam sobie, że się znajduję w Persji lub Palestynie. Wielu Niemców i Żydów, mówiących po niemiecku, mieszka w tej dzielnicy. Z nimi można się jakoś porozumieć. (Nazywają ich tutaj Jekis.) Amerykanie to ludzie wyjątkowo cierpliwi i uprzejmi.

Kolonie, do których nasi młodzi współtowarzysze podróży mają się udać, znajdują się w znacznej odległości, gdzieś w dzikich okolicach, wśród Indian, i aby do nich dotrzeć trzeba kilkudniowej podróży pociągiem. Dodam jeszcze, że w Nowym Jorku spotyka się Murzynów kompletnie czarnych, a także Chińczyków nie noszących warkoczy. Są tu również Hiszpanie, Włosi, a nawet niewielka liczba Polaków. Ponad kilku ulicami wzniesiono żelazne mosty, po których przebiegają pociągi. Jeżdżą również tramwaje. Wszystko jest takie zabawne. W tramwaju wrzuca się żeton do szklanego pojemnika. Cudzoziemców nazywa się "żółtodziobami".

Tak, jestem żółtodziobem i tak mnie wszyscy nazywają.

Kochani Rodzice, nie musicie się o nas martwić, aczkolwiek warunki nie przedstawiają się tak wspaniale, jak je opisywał agent. Wiele osób nie ma pracy. Na ulicy, zwanej tutaj "świńskim targiem", stoją robotnicy oczekując na wynajęcie do roboty. Jeden trzyma piłę, drugi główkę maszyny do szycia bądź jakieś inne narzędzie wskazujące na wykonywany zawód.

Przychodzą przedsiębiorcy lub ich agenci i cała dalsza procedura przypomina handel niewolnikami. Rzadko się tu spotyka ludzi obdartych, brudnych czy też bosych.

Wszyscy, nawet biedacy, jedzą biały chleb i nikt się nie boi powiedzieć tego, co myśli, włącznie z kobietami.

Czasem chce mi się śmiać z tego wszystkiego. Nie uważa się tu pracy za coś

poniżającego. Będę pracowała w fabryczce (oni to nazywają shop). Aleksander na pewno też coś znajdzie, choć mówi tylko o osiedleniu się w kolonii lub powrocie do Europy. Popęłił wiele głupstw, lecz po cóż do tego wracać? Sabina od początku trzymała się ode mnie z dala. Żał mi tylko dziecka...: Kochani Rodzice, wciąż myślimy i mówimy o Was. Podejrzewam, że Aleksander napisze rozpaczliwy list, nie bierzcie tego zbyt serio. Wszyscy tu początkowo tak się źle czują, są okropnie zdenerwowani i krążą po mieście jak nieprzytomni. Mnie się czasem zdaje, że wciąż jeszcze jestem na pokładzie statku. Wszystko drży: pokój, ulica, ziemia, niebo. Mówią mi jednak, że z czasem człowiek się przyzwyczaja.

Jak kochani, najmilsi Rodzice się mają? Wiem, że bardzo się martwicie o nas. Proszę się nie śmiać,, lecz jedynym moim pragnieniem jest sprowadzić Was tutaj, byśmy mogli być wszyscy razem. Nie brakuje tu synagog, wielu Żydów chodzi z brodami, ale nie w chałatach. Ten ciężki okres nie będzie trwał wiecznie i kiedyś wróci do nas szczęście. Całuję Was po tysiąc razy i przyciskam do serca. Mam nadzieję, że napiszecie do mnie długi list, podobnie jak mój, pełen szczegółów, bo pisząc do Was mam wrażenie, że jesteście blisko mnie...

Wasza oddana córka Sonia List Cypkina do Sabiny.

Droga Sabino!

Już dwukrotnie pisałem do Ciebie, raz z Monte Carlo, a potem z Paryża, nie uznałaś jednak za stosowne odpowiedzieć. Teraz piszę do Ciebie po raz trzeci i ostatni.

Tym razem z Nowego Jorku. Nie leży w mojej naturze narzucać się komukolwiek, a nie wiem, jak długo jeszcze będę się borykać z losem. Widocznie jestem skazany na samounicestwienie. Inaczej nie potrafię wyjaśnić szaleństw poczynionych w ciągu ostatnich lat.

Zapędziłem się w ślepy zaułek, z którego, jak widać, nie ma wyjścia. Zapewne zauważysz różnicę w charakterze mego pisma. Stałem dziś od szóstej rano do wieczora przy maszynie wyrabiającej pokrywki do pudełek.

Zawsze brałem stronę wyzyskiwanych, nigdy jednak nie wyobrażałem sobie tego piekła, jakie istnieje w każdym warsztacie i fabryce, to znaczy, hałasu maszyn,

kurzu, odoru, obelg majstra, czyli, jak go tu nazywają, foremana.

Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że dzień, godzina, a nawet dziesięć minut mogą się tak wlec. Nogi bołą, oczy się zamykają, człowiek ma wrażenie, że w głowę ktoś wkręca mu śruby, a za całą pracę, trwającą pełnych sześć dni w tygodniu, otrzymuję nędzną zapłatę pięciu dolarów. Naciskani nogą na pedał, który zgina arkusz blachy. W ciągu całego ranka o niczym innym nie myślę tylko o sygnale na lunch. Zjadamy go w pobliskim lokaliku na stojąco bądź siedząc na wysokim stołku, jaki tylko Amerykanie mogli wymyślić. Potem znów zaczynam marzyć o sygnale na zakończenie dnia pracy. Mieszkamy w pobliżu kolejki miejskiej. Za każdym razem, kiedy przejeżdża pociąg, drżą okna i wszystkie meble w naszym pokoju. Podobno, jak wszyscy zapewniają, z czasem człowiek się do tego przyzwyczaja. Uważam, że godzenie się z takimi warunkami bytowania ubliża ludzkości. Całą moją pociechę stanowi świadomość, że przeżywam gorzką rzeczywistość.

Mógłbym mówić bez końca o Nowym Jorku. To miasto stanowi odbicie chaosu panującego w mej duszy.

Wszystko co tu jest, przeciwstawia się naszemu sposobowi myślenia. To, co uchodzi za piękne w Europie, jest tu uważane za brzydkie, to, co nas śmieszy, oni traktują z powagą. Mimo ich amerykańskiej wolności i demokracji podczas kampanii wyborczych głosy zdobywa się za pieniądze] Łapówki przyjmuje się jawnie.

Rządzi tu rzeźnik, skorumpowany policjant, właściciel szynku. Śmierć nie ma większego znaczenia. Zakłady pogrzebowe mieszczą się w lokalu między fryzjerem a restauracją. Cmentarze są bez ogrodzenia. Szpital znajduje się obok stajni. Kobiety piją w szynkach piwo z wielkich kufli. Mężczyźni rozmawiają tylko o bokserach i atletach cyrkowych. Na chodnikach siedzą Murzyni, czyściciele obuwia. Mówcy uliczni przemawiają w różnych punktach miasta. Architektura doprowadza mnie do szału. Próbuje czytać angielskie gazety. Ani słowa o sytuacji na świecie, wyłącznie informacje o ślubach, pogrzebach, rozrywkach. Pan "X" przyjechał, pani "Y" wyjechała, panna "Z" się zaręczyła. Drukuje się kazania księży, pastorów (a także rabinów), jakby ci ludzie odkryli biegun północny. Poza tym same ogłoszenia. Nawet kościoły się reklamują. Podobnie jak spirytualiści. Można powiedzieć, że upał też jest

tu wulgarny Piekielne gorąco, a wozy strażackie dzwonią bez przerwy. Zwiedziłem już tę słynną wyspę Coney.

Trzeba długo jechać promem, aby się na nią dostać.

Kiedy się tam znalazłem, dopiero pojąłem prawdziwy sens słowa "plebejski"] Wrzask i zamieszanie nie do opisania. Je się serdelki, hot dogs, a wróżki przepowiadają przyszłość z kart. W pobliżu, w budzie widowiskowej, można oglądać kobietę o dwóch głowach, dziewczynę, która jest od pasa węzem figury woskowe przedstawiające królów, prezydentów, papieży, morderców. Tymczasem chrupie się cukierki i orzeszki ziemne. Wśród tego całego harmideru stoi mnich, bądź jakiś misjonarz, i woła, że Jezus jest Bogiem i że trzeba dbać o zbawienie duszy. Nie uwierzysz, ale oboje z Sonią, wprost z nudów, jeździliśmy na karuzeli, a nawet próbowałem żuć tabaką (tak, jankesi żują tabakę).

No, ale dość już tych utyskiwań na Nowy Jork. Ma on i swoje dobre strony. Wychodzi tu gazeta socjalistyczna w języku niemieckim, aczkolwiek jej socjalizm jest mocno rozwodniony. Żydzi odgrywają tu dużą rolę, zwłaszcza pochodzący z Niemiec. Ktoś mi powiedział, że każdy, kto przyjeżdża do Ameryki, musi ten kraj sam dla siebie odkryć. Piszę ten list, gdyż doszła mnie smutna wiadomość o śmierci Twego ojca. Sonia mi o tym powiedziała jeszcze w Paryżu, wstrzymałem się jednak z kondolencjami. Z całej waszej rodziny był on jedynym moim przyjacielem i opiekunem i głęboko boleję, że pod koniec życia sprawiłem mu przykrość. Nie trzeba jednak żałować umarłych. Jakie to szczęście rozstać się z tym wstrętnym światem, z daremnymi wysiłkami i próżnymi nadziejami.

Nie potrafię opisać, co tu przeżywam. Jestem duchowo sparaliżowany. Im więcej myślę o tym, co uczyniłem, jak unieszczęśliwiłem Ciebie, dziecko, moich rodziców i siebie samego, tym bardziej zagadkowo to wszystko wygląda, jakby rzucono na mnie czary. Chwilami zdaje mi się, że już umarłem i jestem w piekle. Sonia mówiła, że obstajesz przy tym, abym Ci przysłał żydowski akt rozwodowy na pewno to zrobię, mam jednak tę jedną prośbę do Ciebie, napisz mi o Kubusiu i przyślij jego ostatnią fotografię. Przecież jestem jego ojcem. Po otrzymaniu Twojej odpowiedzi zwrócę się do rabina (oni tu nazywają siebie "doktorem" albo

“czcigodnym”) i przyślę Ci akt rozwodu. Mam nadzieję, że mi przebaczysz, choć zgrzeszyłem wobec Ciebie. Chcę, byś wiedziała, że Klara przysyłała mi do Paryża długie, przeprasające listy i chciała do mnie wrócić, ja jednak wcale jej nie odpisałem. Ta kobieta doprowadziła mnie do zguby, zabiła moją wiarę w ludzi.. Możesz być pewna, że nigdy ponownie się nie ożenię. Zapomniałem dodać, że Sonia pracuje w wytwórni odzieży, uczy się szycia na maszynie (tutaj będzie się nazywać operator). Jej położenie jest nie lepsze od mego, atoli posiada ona ducha pokory, co ułatwia sprawę. Po całym dniu ciężkiej pracy chodzi na kursy angielskiego. Stała w sobotę przez pół dnia w kolejce, żeby zdobyć bilety do opery na występ Patti, która niedawno oczarowała Petersburg.

Chodzi! też na różne odczyty.

Co do mnie, nie powziąłem żadnej decyzji. Są dni, kiedy jestem gotów wrócić do Europy. Muszę tylko odłożyć pieniądze na przejazd. Czasem jednak planuję osiedlić się w kolonii, w głębi kraju, wśród lasów i prerii, i zerwać na zawsze z tak zwaną cywilizacją. Am Olam założyli tutaj takie kolonie. Parę z nich już się rozpadło, inni ludzie zaś nie chcą się poddać. Od czasu do czasu spotykam się z młodymi ludźmi. W pewnym sensie sprawy polityki i tutaj są ich obsesją, podobnie jak w Rosji. Z Niemiec przybywają wybitni socjaliści, nawet córka Karola Marksa przyjeżdżała z Anglii. Ludzie mocno się niepokoją losem anarchistów, zwłaszcza skazanych na śmierć przez powieszenie. Wydaje mi się jednak (nie wiem dlaczego), że to wszystko nie jest autentyczne.

Czegoś tu brakuje. Nie wiem czego... Samotność, oczywiście, wprawia mnie w melancholię. Mam nadzieję, że szybko odpiszesz, bo wkrótce mogę się znaleźć z powrotem w Europie lub gdzieś w stanie Oregon, blisko Oceanu Spokojnego. Na pewno nie zostanę w Nowym Jorku. Przebac mi i ucałuj ode mnie Kubusia.

Twój Aleksander

ROZDZIAŁ SZÓSTY

I

Był upalny wrześnieowy dzień. Tego popołudnia niewielu pacjentów zgłosiło się do Azriela byli to głównie neurastenicy, każdy – bądź każda – uskarżający się na swą specyficzną dolegliwość. Woźny, do którego obowiązków należało również podawanie herbaty lekarzom, otworzył drzwi do gabinetu Azriela i wpuścił ostatniego pacjenta. Azriel stał przy oknie i nie od razu się odwrócił. Spoglądał na podwórze, na skrzynię ze śmieciami i dzieci bawiące się wokół niej, na otaczające dziedziniec domy, których okna odsłaniały całe wnętrza żydowskich mieszkań. Wyjazd Józka do Palestyny został postanowiony. Szajndł, przebywająca na lotnisku w Falenicy, chodziła Iz głową owiązaną chustką zmoczoną w occie i przyjmowała proszki nasenne. Dzień był powszedni, Azrielowi zaś wydawało się, że to wigilia szabasu. Przemozna nuda towarzyszyła mu z Turbina do Lublina, z Lublina do Jampola, z Jampola do Warszawy.

Widział unoszący się z kominów dym. Przyglądał się dziewczynom, które zamiatały podłogi zniszczonymi szczotkami, nucąc przy tym stare oklepane piosenki. Na wszystko padał złocisty pył. Z oddali dochodziły odgłosy mogące być przyśpiewem chłopców w chederze bądź też rechotaniem żab w mokradle. Dzieci na podwórku zaczęły grać w guziki. Pies stróża obwąchiwał kamień.

“Dlaczego muszę to wszystko przeżywać? Jak długo ma się to ciągnąć?” – zadawał sobie pytanie. Gdyby pojechał po pracy do Falenicy, oznaczałoby to, że będzie leżał obok Szajndł i spędzi noc na przekonywaniu jej, że wyjazd do Palestyny nie jest równoznaczny ze śmiercią. Gdyby pozostał w mieście, zjadłby rosół z kury z makaronem w brudnej restauracyjce na Karmelickiej, potem siedział w domu i czytał o innych przypadkach neurastenii, melancholii, paranoi. Przyszłe! mu na myśl zdanie z księgi Kohelet: “Wszystkie rzeczy są nużące.” Kiedy się wreszcie odwrócił od okna, zdumieli się na widok Olgi stojącej w drzwiach. Na jej pobladlej] twarzy gościł uśmiech.

– To tak przyjmujesz swoich pacjentów? – zapytała.!

– Ach, doprowadzają mnie do szału.

Nastąpiła chwila milczenia, wreszcie odezwała się:

– Mam numerki jak wszyscy pacjenci. Proszę. Podała mu niebieski numerki.

– Co ci dolega? – zapytał urzędowym tonem. Olga przygryzła wargę.

– Wszystko. Źle się czuję.

– Nerwy?

– Tak.

Znów oboje zamilkli. Obrzucił ją uważnym spojrzeniem i dostrzegł naraz wszystko: smutek w oczach, drżenie ust, nowy słomkowy kapelusz, białą bluzkę, szarą plisowaną: spódniczkę i białą torebkę. Ubrała się według jego gustu. Lubił nawet te kolczyki, które założyła. Stała przed nimi ze zbuntowanym, a zarazem pokornym wyrazem twarzy.!

– Co się stało? – zapytał.

– Powiedziała mu całą prawdę. – Wallenbergowi?

– Tak, o tobie. Wszystko skończone. Nie mogłabym go pokochać. Kocham cię.

Oczy mu zwilgotniały.

– Jesteś moją ostatnią pacjentką. Wyjdźmy.

– Nie musisz wracać wprost do domu?

– Tak, ale nie pójdę. Cała rodzina jest na. lotnisku.

– I Józek?

– Spędza kilka dni z matką przed wyjazdem do Palestyny.

– Do Palestyny? Jakże to wszystko dziwne., Pocałował ją w policzek.

Pochwyciła jego dłoń i mocno uścisnęła. Odezwał się drżącym głosem:

– Lepiej będzie, jeśli zaczekasz na mnie na dole. Muszę wstąpić do kancelarii przed wyjściem.

– Chciałam napisać do ciebie, ale jakoś nie mogłam się na to zdobyć.

Zaczekam przy bramie Ogrodu od ulicy Żabiej.

– Zaraz tam będę Odprowadził ją do drzwi, a sam skierował się do kancelarii.

Mijał drzwi gabinetów dentysty, ginekologa, chirurga, pediatry, słyszał całą gamę jęków. W kancelarii była tylko kasjerka. Zdjął z wieszaka kapelusz, podał jej numerki pacjentów i wyszedł zbiegając schodami po parę stopni naraz. Czuł się lekko jak młodzieniec. Ileż razy w życiu to mu się zdarzało, najpierw kompletna rezygnacja, potem Zwycięstwo! Wszystko, co przedtem wydawało mu się marne i trywialne, nagle nabrało radosnego wyglądu. Promienie słońca już nie przygrzewały tak mocno. Z koszów sprzedawczyń kwiatów unosiła się przyjemna woń. Pędząc ulicami omal nie wpadł pod dorożkę. Przez krótki moment poczuł oddech z końskiego pyska. Przy bramie Ogrodu Saskiego, obok straganu z drewnianymi kołami dla dzieci, balonikami, trąbkami i piłkami, stała Olga. Uśmiechała się, był to nieśmiały uśmiech osoby, która odczuwa ulgę po zrobieniu ustępstwa. Weszli do parku. Ujął jej rękę obciążoną białą rękawiczką i tak szli jak młodzieniec z dziewczyną na pierwszej randce. Alejka była równa, a im się zdawało, że biegną z górki.

– Dlaczego Józiek wyjeżdża do Palestyny? – zapytała Olga.

– Spotkała go w restauracji zniewaga, a poza tym nie chce służyć w rosyjskim wojsku nawet przez jeden rok, czego wymaga się od studentów.

– Kto go znieważył?

– To nie ma znaczenia. Przyłączył się do Miłośników Syjonu. Pragnie powrócić na ziemię swych przodków.

– Co mówi na to jego matka?

– Jest kompletnie załamana.

Rozglądali się za wolnym miejscem, lecz wszystkie ławki były zajęte. Kapelusze kobiet ozdabiały kwiaty i owoce: wiśnie, winogrona, śliwki. Mała chłopcy, przeważnie w marynarskich ubrankach, biegali za toczącymi się drewnianymi kołami. Dziewczynki grały w piłkę lub – trzymając się za ręce – tworzyły koło kręciły się i wyśpiewywały dziecinne rymy. Nad stawem bony pilnowały dzieci rzucających okruchy dwóm pływającym łabędziom. Z oddali dochodziły dźwięki orkiestry i odgłos trąbki. Jak na wrzesień panował wyjątkowy upał. Po chwili Azriel i Olga wyszli na ulicę Niecałą. Znaleźli kawiarenkę naprzeciw

pałacu Br uhla i usiedli przy stoliku. Olga zamówiła kawę. Azriel, który nie jadł obiadu, poprosił o zsiadłe mleko z tłuczonymi kartoflami.

Promienie zachodzącego słońca przebłyskiwały przez szpary między zaciągniętym storami, drżały na wywoskowanych podłogach i wytapetowanych ścianach, odbijały się od kryształowych wisiorków abażurów i złożonych ram obrazów. Dwie zielonozłote muchy ścięły się wokół lampy zawieszanej u sufitu. Pan o sumiastych wąsach i czerwonym nosie, z wyglądu typowy ziemianin, czytał gazetę paląc cygaro. Kelner odszedł po przyjęciu zamówienia.

– Kiedy to wszystko się stało? – spytał Azriel.

– Przed kilku dniami. A właściwie przedwczoraj. Nie, w niedzielę. Zapytał mnie, wyznałam więc całą prawdę. I bez tego też bym powiedziała.

Azriel pochylił głowę.

– Tak do ciebie tęskniłem przez cały czas. Olga, dotychczas uśmiechnięta, nagle spoważniała.

– Dla mnie to było coś więcej niż tęsknota.

– Więc co?

– Śmierć. Nie mogę żyć bez ciebie.

Usta jej drżały. Wiedziała, że kobieta nie powinna przyznawać się do takich uczuć.

Wypadki następowały po sobie szybko. Dopiero co Józiek mówił o Palestynie, a oto już tam wyjeżdżał, nawet przed końcem ferii. Szajndł wróciła do miasta miotana niepokojem o chłopca, jak gdyby zapadł na śmiertelną chorobę błagała go z płaczem, lecz on pozostał nieugięty. Spakował walizkę, nie zabierając nawet bielizny pościelowej, i gotów był wyruszyć do ziemi swych przodków. Miał odbyć tę podróż w grupie litwaków, którzy już zjechali do Warszawy. Śpiewali, skręcali papierosy i rozmawiali o okrętach, portach bezpłatnych gruntach, które baron Rotschild zapewniał osadnikom, oraz o ustawodawstwie tureckim. Słuchając tych rozmów Szajndł załamywała ręce. Chociaż Józiek wiele razy starał się jej wyjaśnić, jak szkodliwe jest rozproszenie Żydów, wszak ludzie muszą mieć ojczyznę, język i własną świecką kulturę, Szajndł nie mogła tego pojąć.

Utrzymywała uparcie, że stał się ofiarą uroku, że to szaleństwo porzucić matkę, ojca i uniwersytet dla Palestyny. W świętych miastach panuje głód. Arabowie to nadal naród równie dziki jak ongi Izmaelici. Na bagnach szerzy się malaria, ziemia jest wapienna, nieurodzajna i skalista. Szajndl wiedziała, że do Ziemi Świętej jedzie się nie po to, aby tam żyć, lecz umrzeć.

Jadą ci, dla których zbierano groszowe jałmużny do puszek. Uczyła się niegdyś o Jerozolimie i grobowcu Racheli w jaskini Machpela, lecz tak naprawdę nie bardzo wierzyła w istnienie Palestyny. A jeśli nawet ta ziemia istnieje, to znajduje się gdzieś na końcu świata, nie opodal rzeki Sambation lub wieży Babel, Szajndl wypłakała wszystkie łzy i ochrypl od mówienia. Azriel pożyczył trzysta rubli na opłacenie przejazdu Józka, Kalman dodał trochę grosza od siebie. Ale po co mu dawać pieniądze, jeśli grupa ma zamiar żyć w komunie?

Szajndl poznała i pozostałych młodych ludzi. Byli smagli, zaniedbani, oczy mieli zmęczone, włosy rozczochrane.

Ubrani w czarne koszule ściągnięte plecionymi pasami, mówili po rosyjsku, a także mieszaniną żydowskiego i hebrajskiego. Jedyna wyjeżdżająca z nimi dziewczyna przybrała sobie biblijne: imię Abigail.

Po wyjeździe Józka Szajndl była niepokieszona. Zazwyczaj na Rosz Haszana przygotowywała chałę, karpia, jabłka z miodem i kupowała winogrona, żeby odprawić modły: "któryś zachował nam życie", jak to było zwyczajem w domu jej ojca. Każdego też roku modliła się w mieszkaniu świekry, które przemieniano w synagogę na ten czas. Ale w tym roku oba dni świąt noworocznych Szajndl przeleżała w łóżku. Nie poszła nawet posłuchać, jak dmą w barani róg. Azriel nakłaniał ją do pogodzenia się z losem. Co mają robić ludzie w razie śmierci dziecka? Józiek wszak żyje. Już dostali od niego list z Konstancy. Szajndl jednakże odrzucała wszelkie słowa pocieszenia. We własnym domu Azriel zetknął się z klasycznym przypadkiem melancholii. U Szajndl wystąpiły wszystkie jej objawy: smutek, zmniejszona żywotność, brak apetytu nie mogła spać, "ciągle powtarzała te same słowa we dnie i w nocy. Azriel dał jej zwykle stosowane leki: brom i opium,? Szajndl zapadała po nich w długi sen, lecz budziła się z pustką w głowie, jak to określała.

Czas dla niej stanął. Naskórek zaczął jej się łuszczyć. Wynędzniała, zaabsorbowana swymi myślami, snuła się po pokojach ze wzrokiem utkwionym przed siebie, w przestrzeń. Wprawdzie Azriel wiedział, że Szajndl jest chora i nie odpowiada za swe czyny, nie mógł jednak opanować rozdrażnienia. Przestała się zajmować małym Miszą. W jej melancholii Azriel wyczuwał nutę wrogości. Nie była tak dalece pomyłona, aby nie zdawać sobie sprawy ze swego postępowania.

Uczepiła się tego nieszczęścia, jak człowiek tonący chwyta się słomki, składając na Azriela winę za wyjazd Jóźka. To on poniżył znaczenie rodziny i domu w oczach syna. Zaczęła przepowiadać, że i Cyna źle skończy. Nie ma koleżanek i za dużo czasu spędza nad książkami.

Okropna rzecz coś takiego powiedzieć, ale zdaje się – niech ją Bóg broni – iść w ślady Miriam–Liby.

W słowach Szajndl tyle było złości, że Azriel wprost nie wiedział, co odpowiadać, jak reagować. Naprawdę sytuacja przedstawiała się znacznie gorzej, niż Szajndl sobie wyobrażała. Azriel znalazł się w pułapce. Nie było dnia, żeby się nie zastanawiał nad opuszczeniem domu, który go niszczył duchowo i fizycznie, chociaż trudno sobie Wyobrazić, aby mógł popełnić coś tak podłego.

W przeddzień Jom Kipur Szajndl zmobilizowała całą energię i wyszła kupić długą, tradycyjną świecę, jak nakazywał zwyczaj. Szykując się do postu, zmusiła się do zjedzenia nieco większego posiłku. Następnego wieczoru ubrała się odświętnie i wzięwszy modlitewnik wyszła do synagogi odprawić modły.

Cyna i służąca Tekla zostały z Miszą. Azriel również wyszedł z domu. Dawniej na ulicy Nowolipki mieszkali chrześcijanie, obecnie sami tylko Żydzi. W oknach stały świece zapalone na Jom Kipur. Żydzi udawali się na modły. Mężczyźni, ubrani w białe szaty i miękkie pantofle, mieli pod paltami tałesy. Kobiety przywdziały peleryny naszywane dżetami i jedwabne lub atlasowe suknie z trenami, nałożyły też najcenniejsze klejnoty. Jakiś Żyd, inteligentów cylindrze i surducie, ze srebrnobiłą brodą – rozczesaną w dwa spiczaste końce tak rzadkie, że można by policzyć każdy włos – towarzyszył kobiecie w kapeluszu przybranym strusimi piórami zdążali do niemieckiej synagogi. Wielka, czerwona tarcza słońca zachodziła

na Woli wśród purpurowych chmur podobnych do polnych bruzd. Drzwi wszystkich sklepów były zaryglowane, a okiennice zamknięte. Nawet przechodzący chrześcijanie zdawali się tłumić odgłos swych kroków. Obok przejechał tramwaj konny na wpół pusty. Niedaleko, na ulicy Krochmalnej, ktoś czytał na głos Czystą modlitwę ociemniałemu ojcu Azriela. Jego matka płakała, gdy zapalono świece. Miliony Żydów w Rosji, Niemczech, Palestynie, Jemenie, nawet w Ameryce i Argentynie biło się w piersi wyznając grzechy w czasie wieczornych modłów, błagając Wszechmocnego o przebaczenie. W małych miasteczkach zapewne wciąż jeszcze biczowano się przy zapalonych świecach woskowych.

Ale ich Bóg nie był już Bogiem Azriela ani ich modły jego modłami. Jakież znaczenie ma dla niego Deklaracja ślubowania? Mimo to często nucił melodię Kol Nidrej.

Boże, jeśli jesteś, przebacz mi. Jeśli Ciebie nie ma, to co jest tam w górze? Azriela ogarnęła wielka litość dla człowieka, który musi wszystko sam poznawać i drogo płacić za najmniejszy sukces.

Jeśli nawet w swych planach dla świata Bóg przewiduje osiągnięcie końcowej szczęśliwości – człowiek i tak pozostaje Jego męczennikiem.

II

Stan Szajndł znacznie się pogorszył. Ogarnęła ją mania prześladowcza, uskarżała się, że Azriel chce ją zabić. Odmawiała przyjmowania zapisywanych przez niego lekarstw w obawie, że chce ją otruć. Wprawdzie nie wiedziała o istnieniu Olgi, ale wciąż mówiła o tej innej kobiecie, którą Azriel poślubi, kiedy ona, Szajndł, umrze.

Azriela ogarniało zdumienie. W jej szaleństwie był wątek logiczny. Jakim sposobem Szajndł wywnioskowała, że jej rywalka to nowoczesna, wykształcona kobieta?

– Nie musisz mnie otruć – powiedziała Azrielowi – ja i tak długo nie pociągnę.

– Szajndł, co z tobą?

– Nie jestem zupełną wariatką. Znam twoje sztuczki.

Azriel często rozprawiał w domu o hipnotyzmie.

Zaprowadził kiedyś Szajndł do hipnotyzera Feldmana, aby zobaczyła, jak odbywa się seans. Teraz Szajndł zaczęła oskarżać męża, że ją hipnotyzuje. Utrzymywała, że Feldman przemawia do niej co noc i przez to nie może spać. Wiedziała, że Azriel stosuje czasami swym pacjentom masaż elektryczny. Po zainstalowaniu w ich mieszkaniu telefonu Szajndł zaczęła podejrzewać, że ma on posłużyć Azrielowi do porażenia jej prądem elektrycznym. Azriel dowiedział się od doktora Halperna, sąsiada, że Szajndł przyszła do niego i opowiedziała, że Azriel poraził prądem jej głowę i lewą nogę, trucizna zaś, jaką dodawał do pożywienia, przepaliła jej serce. Sprawił, że ma opóźnione okresy i wraz z córką Cyną uknuł przeciw niej spisek. Cyna wyśmiewa się z matki i przedrzeźnia za plecami. Szajndł zapytana przez doktora, dlaczego sądzi, że jej własna córka miałaby się z niej naśmiewać, odparła:

– Dlatego, że jak mnie pochowają, to się wychrzcą.

– Powinna pani im na przekór dużo jeść, pić i powrócić do zdrowia – doradził doktor Halpern.

– Nie, oni są ode mnie silniejsi. Będę musiała ulec – odrzekła.

Po całym dniu zajmowania się objawami szaleństwa u ludzi obcych – to prawdziwe nieszczęście po powrocie wieczorem do domu znaleźć się w obecności pomyłonej żony! Azriel napisał długi list do teścia. Kalman przybył do Warszawy, chcąc spróbować przywołać Szajndł do rozsądku, lecz ona oskarżyła ojca o spisek z jej wrogami.

Zaproponował jej pobyt u niego we dworze lub wspólny wyjazd do Cypele i rabiego z Marszynowa, na co Szajndł odparła:

– Ojcze, chcesz mnie podstępem wywabić z domu.

– Córkko, po co miałbym używać podstępu? Wszak jesteś mym dzieckiem. Ze mnie już starzec.

– On i ojca zahipnotyzował.

Józiek pisywał często z Palestyny. Każdy kolejny list tchnął większym optymizmem. W Palestynie jest ciepło.

Rankami popaduje deszcz, w południe jednak zaczyna świecić słońce. Niebo jest bardziej błękitne, gwiazdy wydają się większe. Józiek zajmuje się krowami i końmi, ma psa i strzelbę, wyrobił sobie mięśnie i opalił się oprócz tego uczy się hebrajskiego. Przesłał swoje fotografie przy prasie do wyciskania soku z winogron, na koniu, obok namiotu ze strzelbą w ręce. Aczkolwiek wyjazd i nieobecność Józka spowodowały chorobę Szajndł, nie chciała czytać jego listów ani oglądać fotografii. Krzywiła się, jakby chcąc powiedzieć: "Znam te sztuczki." Wieść o tym, że żona lekarza postradała zmysły, szybko się rozniosła po Nowolipkach i okolicznych ulicach. Wprawdzie Szajndł już dawno nauczyła się nosić kapelusz wychodząc na ulicę, teraz znów wiązała chustkę na głowie jak niegdyś w Jampolu. Ubierała się byle jak, chodziła w znoszonych bucikach z rozwiązanymi sznurowadłami. Podejrzenia żony, że chce ją otruć, wywołały w Azrielu dziwną reakcję: zaczął się obawiać, że Szajndł może się porwać na jego życie. Czyż można przewidzieć, do czego jest zdolna osoba w tym stanie?

W szpitalu nasłuchiwał się o wielu okropnych historiach.

Matki zabijały własne dzieci, mężczyźni podpalali domy i ćwiartowali żony.

Źle sypiał po nocach.

Zapadał na krótko w sen i budził się nagle. Zaczął chować nóż pod poduszką, na węzełki wypadek.

Służąca Tekla odeszła w. środku kwartału, bo Szajndl oskarżyła ją o dodawanie czarnoksięskich ziół do pokarmów. Obecnie musiała sama zajmować się Miszą.

Chłopczyk zrobił się ogromnie nerwowy, bał się matki, narzekał, że od niej śmierdzi, i nazywał ją ropuchą. Azriel się przekonał, że Warszawa to małe miasto. Wszyscy wiedzieli o jego tragedii, zarówno pacjenci, jak lekarze, z którymi pracował. Sytuacja stawała się niebezpieczna dla niego, dla dzieci i nawet dla sąsiadów. Olga, świadoma tego, co się dzieje, nigdy nie poruszała spraw rodzinnych. Stała się bardziej pobłażliwa dla Azriela, nie robiła wymówek, gdy się spóźnił lub nie dotrzymał obietnicy odwiedzin. Azriel w końcu zwrócił się do kolegi lekarza o j radę i ten szczerze mu powiedział, że nie należy pozostawiać Szajndl w domu.

Łatwo to powiedzieć, lecz gdzie ją umieścić? W Szpitalu Żydowskim pacjenci leżeli nawet na korytarzach. Istniały wprawdzie prywatne sanatoria w Warszawie i okolicy, nie przyjmowały jednak Żydów.

Były również zakłady państwowe, wątpliwe jednak, czy przyjęliby Szajndl. Słabo. mówiła po polsku i wcale nie znała rosyjskiego. Jej pobożność jeszcze się wzmogła, wszędzie chodziła z książkami do modlitwy przesadnie dbała o kuchnię koszerną, I wciąż radziła się rabina w kwestiach prawa rabinicznego. W domu dla obłąkanych, gdzie nie prowadzono koszernej kuchni, umarłaby z głodu. Azriel próbował umieścić gdzieś Miszę, lecz w Warszawie nie było dla małych dzieci zakładów wychowawczych, jakie – sądząc z gazet – istniały za granicą. Były jedynie ochronki dla podrzutków, w których umieszczano nieślubne dzieci. Mimo wszelkich zdobyczy współczesnej cywilizacji w takiej metropolii jak Warszawa brakowało miejsca schronienia dla niepoczytalnej kobiety i pozbawionego matczynej opieki dziecka.

Olga zaproponowała, że będzie wychowywać Miszę razem ze swymi dziećmi. Azriel nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Obawiał się, że odebranie Miszy matce

wpędzi ją w ostateczną rozpacz. Rodzina też byłaby zgorszona. Jego teść oraz Mejer–Joel i rabi z Marszynowa dowiedzą się, że oddał synka na wychowanie do przechrzty. Azriel przedstawił Oldze całą sytuację. Musi nastąpić jakiś rozstrzygający moment.

Trzeba jeszcze poczekać. Bieg wydarzeń zdawał się zbliżać go ku Oldze. Ledwo się rozstali, a już jej pragnął.

Ona ze swej strony wynajdywała wszelkie okazje, aby się przy nim znaleźć, czekała na niego w klinice, zostawiała Nataszę i Kolę pod opieką służącej i szła się z nim zobaczyć w szpitalu. Przestała ukrywać ich związek przed sąsiadami, służącą, dziećmi. Azriel wiedział dobrze, iż Olga nie może się doczekać dnia, w którym Szajndl znajdzie się w zakładzie dla obłąkanych. Łapał się na tym, że i on sam tego oczekuje.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

I

Kiedy nadszedł Dzień Pojednania, Jom Kipur, Kalman, był już u córki i zięcia w Marszynie. W synagodze rabi przerwał przemówienie, aby wyjąć zwój ze Świętej Arki celem odczytania przypadającego na ten dzień ustępu z Księgi Izajasza: "Bo grzeszni są jak wzburzone morze nie mogące się uciszyć, którego wody wyrzucają szlam i nieczystości." Rabi miał tu na myśli wciąż wzrastającą liczbę Żydów "oświeconych". W tym świętym dniu mówił o sprawach niecodziennych. Nawołując ludzi "nowoczesnych" do wypełniania obowiązków, używał ich własnych wyrażeń.

– Człowiek grzeszny – dowodził – zawsze wojuje zarówno na wojnie, jak w miłości. Może się to wydać sprzecznością – ciągnął rabi – wojna bowiem uosabia gniew, a miłość – dobroć. Jaki jest między nimi związek?

Jak można wojować w miłości? Odpowiadam na to, że człowiek został stworzony, by służyć. Jeśli nie służy Bogu, to służy innemu człowiekowi. "Głupiec w skrytości swego serca powiedział, że Boga nie ma." Skoro człowiek grzeszny nie wierzy w Stwórcę, jego umysł jest nastawiony wyłącznie na podziwianie istot ludzkich złożonych z ciała i krwi. Jednego wychwala za jego bogactwo, drugiego za urodę, trzeciego za inteligencję, czwartego za to, że posiada władzę. Ludzie, których myśli są skierowane wyłącznie ku rzeczom materialnym, są zawistni. Zawieść stwarza niepokój, ten zaś prowadzi do konfliktów. Wszak napisano: "Zawieść jest okrutna jak grób." Istnieje taki rodzaj miłości, którą można porównać ze śmiercią.

Miłość powstała z zazdrości zabija. Miłość grzesznika jest równie niszczycielska jak wojna. Człowiek grzeszny chce odebrać to, co posiada inny. Patrzy na kobietę jak na swój łup. Najpierw może ją traktować łagodnie, lecz po zaspokojeniu pożądania zaczyna ją dręczyć. U podstaw miłości grzesznika leży gwałt.

Słuchając tych słów Kalman pomyślał o Klarze. Ona wciąż mówiła o miłości,

ale w rzeczywistości pożerała ją złość. Jej kochanek Cypkin, którego sprowadziła do majątku jako nauczyciela Saszy, też zazdrościł bogatym, chociaż udawał, że trzyma z biednymi. A do czego to wszystko doprowadziło! Cypkin porzucił żonę i wyjechał do Ameryki, Klara została sama rozwódka z nieślubnym dzieckiem. Żyje tylko z tego, co jej daje syn. Słyszał od Saszy, że zdrowie matka się pogorszyło. Cierpi na dolegliwości żołądkowe i kobiece. Można by powiedzieć, że stała się podobna wzburzonemu morzu, którego "fale wyrzucają szlam i nieczystości". Mimo wszystko Kalman czuł dla niej litość. Gdyby nadal miał pieniądze, wyznaczyłby jej jakąś pensyjkę. Z jej winy stał się człowiekiem ubogim. Ona sprawiła, że się wycofał z interesów i przekazał je w ręce Mejera–Joela. Żył obecnie z subwencji zięcia, nadal trochę się zajmując majątkiem i wapiennikami, które były już niemal na wyczerpaniu.

Zbliżał się do siedemdziesiątki, sił mu ubywało.

Mejer–Joel wielokrotnie namawiał Kalmana do przeniesienia się do jego domu bądź do wynajęcia pokoju w Jampolu. Po co ma mieszkać sam? Kalman jednak nie chciał się rozstać ze swą izbą modlitewną, którą urządził w domku na terenie majątku. Przyzwyczał się do ciszy otaczających go pól, do śpiewu ptaków i szerokiego, bezkresnego horyzontu. Poza tym czuł się tam panem u siebie. Nie trzymał służącej na stałe, sam sobie przyrządzał posiłki na żelaznym trójnogu, sam doił krowę albo robiła to wiejska dziewczyna, a on przyglądał się stojąc obok. Miał konia i wóz. W wigilię szabasu, kiedy się odmawia modlitwy za pomyślność następnego miesiąca, lub przed większym świętem jeździł do Jampola, aby się modlić w grupie Żydów. Zakupił dla siebie miejsce na jampolskim cmentarzu. Chciał spocząć obok Zełdy, aczkolwiek się obawiał, że ona będzie się za niego wstydziła na tamtym świecie i zgani za małżeństwo z Klarą.

Cięzka to była zima. Śniegu spadło wiele, mróz chwycił i ostry, chłopci przepowiadali, że oziminy wymarzną.

Byłby to, uchowaj Boże, drugi rok głodu. Kalman zaczął mieć kłopoty z zębami. Dotychczas na nic nie narzekał, nagle zaczęły go boleć. Jochewed nalegała, aby ojciec wybrał się do dentysty w Warszawie. Sama jednakże nie miała już ani

jednego zęba. Wyglądała jak staruszka. Po cóż by on miał robić z siebie głupca i jeździć do dentystów? Lepiej przecież odpokutować za grzechy na tym świecie I niż zawędrować do piekła albo też dostąpić ponownego wcielenia. Popełnił wiele błędów, wychował niedobre dzieci. Kilkoro wnuków się przechrzcilo. Biada mu, nie zostawi potomka rodzaju męskiego wyznającego wiarę Izraela, bo Sasza to poganin. Prawdziwa łaska niebios, że pozwoliły mu żyć. Zaczął pościć w poniedziałki i czwartki. Obywał się bez mięsa przez cały tydzień. Nie sprawiał sobie nowych ubrań, donaszał stare kapoty. Nie wychodził z domu podczas mrozów, siedział przy piecu zaczytany w i Misznie, odmawiając modlitwy, zaglądając nawet do żydowskiego Pięcioksięgu Zeldy. Oczy mu również dokuczały, więc Mejer–Joel przyniósł teściowi okulary powiększające druk. Rzecz dziwna, lecz nie wystygło w Kalmanie uczucie pożądania. Widocznie towarzyszy ono człowiekowi I przez całe życie. Aczkolwiek jadał bardzo proste potrawy I i sypiał na twardym, słomianym sienniku, nadal śniły mu I się kobiety. W snach współżył z Klarą, a nawet z Antosią, która mu niegdyś służyła w leśnej chatce. Utonęła ona przed laty w Wiśle, gdzieś w pobliżu, wioski, w której mieszkała. Pan Snów nic jednak nie chce wiedzieć o starzeniu się i śmierci. Niekiedy namiętność budziła się w Kalmanie nawet na jawie.

Kiedy tak siedział nad Miszmną posiwiały, ze spuchniętymi od bólu zębów policzkami, słabym wzrokiem i ociążałymi nogami, naraz nawiedzała go bezwstydną myśl, od której się z trudem opędzał.

– O, biada mi, Ojciec w niebiosach – wykrzykiwał.

Pewnego dnia do izby modlitewnej wszedł Sasza. Przed domem zostawił furmana i sanki. Powiedział Kalmanowi, że matka jest w Jampolu. Wyjeżdża do Ameryki i przyjechała się pożegnać.

– Do Ameryki! No, no...

– Chce się z ojcem zobaczyć.

– Po co?

– Chce prosić o przebaczenie.

– Powiedz, że jej przebaczam.

- Czego się ojciec boi? Przecież nie zamierza ojca uwodzić.
- Nie boję się.
- Może tacie uda się odwieść ją od ośmieszania się. Ile matka ma lat?
- Nie wiem.
- Mówi, że czterdzieści dwa. Musi mieć co najmniej czterdzieści sześć.

Kalman nic nie odpowiedział.

- Zwariowana kobieta. Bezdennie głupia.

Sasza spojrział na zegarek. Nie miał czasu ani cierpliwości na takie polecenia.

Ongiś wstydził się ojca, teraz i matka wprawiała go w zakłopotanie.

II

Sasza porozmawiał jeszcze chwilę z ojcem, który go upomniął, aby nosił tefilin.

– Po co nosić tefilin, jeśli Boga nie ma? – zapytał.

Potem wyszedł. Wsiadł do sanek, otulił kolana futrzanym fartuchem i odjechał. Mimo ostrego mrozu miał na sobie tylko krótki kożuszek, bryczesy i obcisłe buty z cholewami. Szopa czarnych jak węgiel włosów okrywała mu głowę. Nałożył na bakier kapelusz myśliwski z zielonym piórkiem. Tryskał zdrowiem i energią, miałby ochotę wyskoczyć z sanek i wyrwać drzewo z korzeniami. Ludzie narzekali na I wszelkiego. rodzaju choroby, niedomagania i cierpienia, lecz Sasza nie wiedział, co to ból. Wieczorem, po dotknięciu głową poduszki, od razu zasypiał jak kamień. Jadł ciężkostrawne potrawy, pił szklankami wódkę i nie odczuwał żadnych przykrych następstw. Jak dzień długi mógł przemierzać pieszo całe mile i jeździć konno bez zmęczenia. Żony oficerów szeptały między sobą o jego sprawności w sztuce kochania. Do kobiet odnosił się bezceremonialnie. Nie stosował żadnych sztuczek, żadnych targów, nie wzdychał, nie zwlekał.

“Tak” albo “nie”. Wypowiadał się otwarcie i dość brutalnie. Nie cierpiał czułościowości i braku decyzji, nie ukrywał pogardy dla istot tak śmiesznie zbudowanych, o słabym charakterze, pełnych przebiegłości, podstępnych, zawsze gotowych wziąć górę nad mężczyzną, by potem go zdradzić. Niespełna dziewiętnastoletni młodzieniec dorównywał doświadczeniem trzydziestoletniemu mężczyźnie. Zaobserwował, jak kobiety potrafią doprowadzić mężczyznę do ruiny, wplątując go istną siecią, obciążając różnymi obowiązkami i wtrącając w sidła dzieci-pasożytów, aby w końcu zniszczyć, wyszydzić, pochować i zagarnąć spadek. To prawda, że i kobieta nie cieszy się z takiego tryumfu. Jednak we wszystkich kobietach tkwi instynkt pająka, zarówno w wielkiej damie, jak i pomywaczce.

Sasza już postanowił, że nigdy się nie ożeni. W miłości najlepszym sposobem jest oszukiwanie. Mimo całej swej przebiegłości, kobiety łatwo się przywiązują i tracą głowę dla mężczyzn. Wierzą męskim obietnicom, nawet jeśli obiecuje się im

gwiazdkę z nieba. Chodzi tylko o sposób podania kłamstwa – każde zostanie przyjęte za dobrą monetę. Nie istnieje taki czyn, choćby najbardziej niegodziwy, którego nie wybaczą, jeśli się go zrzecznie naświetli. Sasza czytał o tym w wielu książkach i słyszał od przyjaciół.

Siedząc w sankach, spoglądał na ośnieżone pola, na kominy wapienników buchające dymem, na dwór, w którym się urodził, zamieniony obecnie na kasyno oficerskie, i na Jampol coraz wyraźniejszy w miarę zbliżania się.

Zbudowano już w miasteczku kilkupiętrowy budynek z balkonami. Rozróżniał w oddali zarysy koszar i młyn wodny swego wuja Mejera–Joela. Dziwne mu się wydało, że jest integralną częstką tego wszystkiego.

Bywał w kasynie i romansował z żonami paru oficerów.

Dwór i wapienniki faktycznie należały do niego, aczkolwiek na papierze dwór stanowił własność jakiegoś księcia, a wapienniki jego ojca, Kalmana. Każdy jampolski kupiec, chcąc zbyć towar, musiał zgłosić się do niego jako przedsiębiorcy–hurtownika. On załatwiał sprawy z policją, z naczelnikiem powiatu, z pułkownikiem Szachowskim, był w dobrych stosunkach z jego żoną, córkami, a nawet z generałem Hornem w Warszawie i jego rodziną. Sasza Jako Di cieszył się względami gubernatora lubelskiego, gubernatora piotrkowskiego, i samego warszawskiego generał-gubernatora. "Jak to jest możliwe?" – zastanawiał się, Większość młodych ludzi nie ma żadnych wysoko postawionych koneksji, on zaś "Zawiera wciąż nowe znajomości. Jeżeli tak dalej pójdzie, wezwą go do Dumy w Petersburgu, a może i przed samego cara! Wszystko jest takie proste: każdy człowiek, choćby najwyżej postawiony, potrzebuje pieniędzy, poparcia, dobrej wskazówki, porady.

Wyświadczenie tych przysług jest opłacalne, więc dlaczego tego nie robić? Jeśli zaś chodzi o kobiety, można je przekupić uśmiechem, spojrzeniem, komplementem. Rzecz najważniejsza to nie ograniczać kontaktów tylko do jednej grupy i nie pomijać żadnej sposobności. Należy dawać dobry napiwek nawet lokajowi trzeba przymilać się do dworskiego pieska.

Najlepszym jednak środkiem jest przekupstwo. Jak dotąd Sasza nie spotkał żadnego funkcjonariusza, który odmówiłby przyjęcia łapówki. Musi więc istnieć

jakaś przysługa, która znęci i samego cara.

– Hej, Władek!

Furman się odwrócił.

– Słucham pana. Co tam zaszło między tobą a Magdą?

Władek podrapał się w głowę.

– To uczciwa dziewczucha. Moje wrogi chcą nas poróżnić.

– Zazdroszczą tobie. Na nic się im to zda. Dostaniesz ją. Władek zatrzymał sanie.

– Jej macocha jest taka wredna. Nie cierpi mnie, sam nie wiem dlaczego.

– Stary pies przy gnacie: sam nie może Zjeść i drugiemu nie da.

– Racja.

– Pomówię z nią.

– Ach, proszę pana, to ja będę wdzięczny! Pan jest taki dobry.

– No, przecież i ja jestem mężczyzną.

Tak, Sasza wiedział, jak każdego ująć i pozyskać, miał jednak i własne kłopoty. Przede wszystkim Celina, wdowa po jego dziadku, z całą gromadą dzieci – czyli jego małych cioć i wujków – znalazła się pod jego opieką. Od chwili przejęcia kontraktów pozostałych po dziadku wypłacał im tygodniowe zasiłki. Celina chodziła rozczochrana, dzieci były wciąż zasmarkane, a i stara matka Celiny mieszkała u nich. Sasza się zastanawiał, jak długo to wszystko wytrzyma. Jednak dziadek zostawił testament. Pułkownik Szachowski był w pewnym sensie opiekunem Celiny. Niełatwo będzie się jej pozbyć.

Planowana podróż matki do Ameryki też irytowała Saszę.

Przyglądać się złemu prowadzeniu osób obcych to nie to samo, co widzieć je u własnej matki. Sasza od dzieciństwa żywił do niej urazę o to, że zawsze oczerniała ojca, a sama afiszowała się z firecykami. Matka stanowiła przyczynę wrogiego nastawienia Saszy do kobiet. Upokarzał Saszę jej związek z Cypkinem, bękart, którego urodziła, podróż z kochankiem za granicę.

III

Po śmierci dziadka Sasza podzielił dom. Celina z gromadą dzieci i matką zamieszkała w jednej jego części, on w drugiej. Zabrał dla siebie kanapy i wszystkie najlepsze meble. W części domu zajmowanej przez Celinę panował coraz większy rozgardiasz. Zawsze śmierdziało tam dymem, cebulą, wychodkiem. Sasza trzymał służącą, gojkę imieniem Hanka, która sprzątała jego mieszkanie. Cały dzień odkurzała, prała i szorowała. Pan rzadko kiedy jadał obiad w domu. Wciąż gdzieś go zapraszano albo jadł w kasynie oficerskim. Hanka gotowała coś dla siebie i przez cały dzień śpiewała jak ptaszek. Pan od czasu do czasu przychodził do niej w nocy do łóżka, dbając jednak o to, aby nie zaszła w ciążę.

Sprowadzał do domu i inne kobiety, ale Hanka wiedziała, że lepiej o tym nie wspominać. Przysięgła na krzyżyk, który nosiła na szyi, że będzie milczała. Pragnęła tylko jednego: aby Sasza się nie ożenił. Już dawno postanowiła, że jeśli tylko on wprowadzi żonę do domu, ona się grzecznie ukloni, powinszuje i odejdzie. Teraz przyjechała jego matka – wprawdzie nie żona – ale od razu całe gospodarstwo wywróciła do góry nogami.

Posyłała Hankę z różnymi zleceniami, udzielała wskazówek, jak ma prowadzić gospodarstwo, i bez przerwy dyrygowała: "Nie idź tam, nie stój tutaj." Hanka nie wpuszczała do mieszkania Celiny i dzieciaków, tymczasem Klara zapraszała te usmarkane bachory, którym koszule wystawały z majtek. Częstowała je ciastkami i winem, a Hance kazała podawać im mleko albo kakao. Hanka czuła się dotknięta, pocieszała się wszakże, iż piękna pani wyjedzie wkrótce do Ameryki. Podśluchiwała, kiedy jej pan rozmawiał z matką, a ta żądała od niego pieniędzy, płacząc i narzekając, że zmarnowała życie wiążąc się z jego ojcem. Hanka słyszała, co syn jej powiedział:

– Mama i w Ameryce długo nie pobędzie.

– Jeśli tak, to się rzucę do oceanu – odparła matka.

Dziś pani była w lepszym humorze. Siedziała na kanapie, założywszy nogę na nogę, i robiła szydełkiem kaftanik dla Felusi, którą zostawiła z guwernantką w Warszawie. Hanka spoglądała ukradkiem na Klarę. To nie jest obca osoba, to

matka jej pana. Ma jego oczy, jego usta, ten sam wyraz twarzy, ten sam przebiegły uśmiech. Jak może kobieta w jej wieku romansować z kimś w Ameryce? Widocznie Klara wyczuła nie wyrażoną słowami dezaprobatę Hanki, bo nagle krzyknęła: Chodź tu, Hanka!

- Jestem, proszę pani.
- Siadaj. Chcę z tobą o czymś pomówić.
- Dziękuję, postoję.
- Siadaj na stołku.
- Dziękuję.

Klara zrobiła jeszcze parę ruchów szydełkiem i położywszy przędzę na kolanach, odezwała się:

– Zdaje mi się, Hanka, że z ciebie rozgarnięta dziewczyna. Powiedz, co myślisz o moim Saszy?

Hanka poczerwieniała.

– A co ze mnie za jedna, żeby myśleć cokolwiek o panu? Jestem tutaj prosta służąca.

– To co że służąca? Wszyscy mężczyźni są jednacy.

Pokaż im brzydką królową i piękną Cyganę, a wiadomo, którą wybiorą. Jestem jego matką, Hanka, mam prawo wiedzieć, jak on się prowadzi?

– No, tak sobie.

– Czy przychodzą do niego kobiety?

– Czasem.

– I zostają na noc?

– Nie.

– Czy idą razem do łóżka?

– Ależ, proszę pani, skąd mogę wiedzieć? Nie podglądam przez dziurkę od klucza.

– O której godzinie pan chodzi spać?

– To zależy.

– Późno?

- No, nie wcześniej, jż A o której wstaje?
- Czasem śpi do późna. Ale czasem musi zerwać się o wschodzie słońca.
- Hanka, jesteś do niego przywiązana, prawda?
- Tak, proszę pani.

Aż Miody mężczyzna w jego wieku nie powinien prowadzić takiego życia.

- Co mogę poradzić? Jestem tylko służąca.
- Czasem i służąca może pomóc, jeśli ma głowę na karku.
- Pan robi, co mu się podoba, proszę pani. Przecież mnie się nie radzi.

Wszystko musi być zrobione dokładnie tak, jak on każe, co do joty. Słucham tego, co mówi. Jak wytresowany piesek.

- Człowiek to nie pies.
- Tak, ale...

Usłyszała zgrzyt klucza w drzwiach frontowych. Sasza wrócił do domu. Hanka zerwała się ze Stołka i pobiegła do kuchni. Nigdy dotąd nie rozmawiała o sekretach pana, dzisiaj zaś wymknęły jej się słowa, których chyba nie należało wypowiadać. Pani zacznie z nim kłótnię i powtórzy to, co usłyszała. Hanka nie wychodziła z kuchni, w napięciu nadstawiała uszu. “Wszystko ode mnie wyciągnęła ta czarnooka wiedźma. Pan się rozgniewa i mnie wyrzuci. Co ja wtedy zrobię? Przywiązałam się do niego, przywiązałam. Kocham go mimo całej jego dzikości. Poczula wielką nienawiść do tej fałszywej kobiety, która miała odjechać do swego kochanka w Ameryce, okradając tymczasem Hankę ze wszystkiego: z pracy i szczęścia. Co ma począć? Wziąć sznur i się powiesić? Słyszała rozmowę, ale nie rozumiała słów.

Matka i syn się sprzeczali. Sasza podniósł głos. “Może wejść i mnie zbić”, powiedziała do siebie. Pewnego razu kiedy zapomniała coś zrobić, wymierzył jej policzek i pociągnął za warkocze. Nosił przy sobie rewolwer. W kuchni wisiał święty obraz. Padła na kolana, złożyła ręce i zaczęła się modlić. Potem podeszła na palcach do drzwi.

Szła po cichu, z wyciągniętą szyją jak myśliwy. Usłyszała słowa Klary:

– W twoim wieku nie trwoni się całej męskiej mocy w diabły. Ogierów wyścigowych nie dopuszcza się do klaczy.

- Mamo, nie chcę słuchać takiej mowy!
- Lepiej usłyszeć to teraz niż później, kiedy się wyj czerpią twoje siły witalne.
- Jestem mocny jak tur. – Tur też osłabnie. Pamiętaj, synku, to nie błażostki.

Mieliśmy krewnego, który mieszkał w Łomży. Również Kaminier. Olbrzym.

Nazywałam go wujkiem, chociaż był dość dalekim kuzynem ojca. Zadawał się ze wszystkimi gojkami w Łomży. Nagle go sparaliżowało. Mężczyzna daje szpik swych kości, a kobieta go wchłania. Znasz powiedzenie: "Głupi daje, mądry bierze!"

– Dość tego, matko!

– Lepiej zrobisz, jak się ożenisz. Dla mnie to bez różnicy. Nie mam nic przeciw temu, że mnie zrobisz babką. I tak mnie tutaj nie będzie.

– Nigdy się nie ożenię!

– Dlaczego?

Sasza zamilkł na chwilę.

– Wolę spać z cudzą żoną, niżby ktoś miał spać z moją.

– Wstydzilibyś się tak mówić!

– Przecież to prawda.

Hanka poczuła łzy w oczach. On się nigdy nie ożenił. Zostanę więc tu na zawsze... Zaczęła się cofać od drzwi tyłem, jak zwierzę, potem się odwróciła i weszła do kuchni. Dwa razy jadła już tego dnia, lecz dobra nowina pobudziła jej apetyt. Na kuchni stał garnek z resztą klusek, które miała zamiar wyrzucić do pomyj, zamiast tego zaczęła jeść łapczywie i wykończyła je do czysta. Potem się wzięła do szorowania garnka wiechetkiem ze słomy i popiołem.

Nie pozwolę, żeby go baby osłabiły – mruzczała pod nosem. – Zaczaruję go, przywiążę do siebie.

W domu, na wsi, słyszała o takim napoju miłosnym: dziewczyna myje sobie piersi, potem używa tej wody do przyrządzenia potrawy mężczyźnie, którego pragnie.

Obrzydliwe, ale skoro ma pomóc, warto spróbować.

Hanka stanęła przed lustrem. Przez długą chwilę przyglądała się swemu odbiciu: jasne jak słoma włosy o złocistym połysku, różowe policzki, krótki nos,

niebieskie oczy, pełne usta odsłaniające szeroko rozstawione zęby, mocne jak u psa. Szyję miała białą i pełną, wisiał na niej sznur koralu, prezent od Saszy. Jędrne piersi zdawały się rozsadzać bluzkę. "Po co mu były potrzebne te stare kwoki? – zastanawiała się. – Jestem od nich wszystkich ładniejsza. No i bardziej oddana." Pokazała sobie język.

Roześmiała się, zobaczyła w policzkach dołeczki i odwróciła wzrok, do ściany, na której wisiały miedziane rondle i misy. Jeszcze tego wieczora umyje piersi w jednej z nich i przy pierwszej okazji wleje trochę wody przy sporządzaniu zupy...

IV

Kalman zasiadł w izbie modlitewnej i zagłębił się w Misznie. Dzień był mroźny, lecz słoneczny. Koronkowa mozaika światła i cieni padała na szerokie, pożółkłe karty księgi. Kalman czytał traktat Sota: "Kiedy zmarł rabi Meir, nie było już więcej pilnych uczniów. Kiedy zmarł Ben Zoma, nie było więcej wyjaśniających Biblię. Kiedy zmarł rabi Jozua, dobro opuściło świat. Kiedy zmarł rabi Szymon ben Gamliel, zjawiała się szarańcza i mnożyły troski. Kiedy zmarł rabi Elizer ben Azaria, bogactwo opuściło Mędrców. Kiedy zmarł rabi Akiba, ustała sława Tory"...

Nagle usłyszał kroki w sąsiednim pokoju. Nie był to chód powłóczącej nogami Bejły, dziewczyny przychodzącej na posługi raz w tygodniu. Był to inny krok, już dawno zapomniany, a jednak znajomy. Na progu stanęła elegancka pani w długim futrze i aksamitnym kapeluszu ozdobionym strusimi piórami.

Kalman poczuł odurzający zapach perfum. Zbladł. To była Klara, żona z którą się rozwiódł. Przez chwilę zabrakło mu głosu.

– Tak, to ja, Kalmanku!

Zadrzał. i-i Czego chcesz? – zapytał zdławionym głosem. Nie mógł odzyskać tchu.

– O co chodzi? Nie poznajesz mnie?

– Poznaję. Nie wolno ci tu wejść! Nie wolno nam przebywać pod jednym dachem! – ostrzegł Kalman gniewnym tonem zauważył jednocześnie, że Klara się postarzała.

Zrobiła krok naprzód.. – Po co tak krzyczysz? Chcę z tobą pomówić.

– Nie wolno nam przebywać pod jednym dachem – Co mam zrobić, zerwać dach?

– Nie wolno nam przebywać sam na sam.

– Dlaczego?

– To jest zakazane. Znajdujemy się w uświęconym miejscu.

– No dobrze, więc wyjdźmy stąd. Nadal jesteś fanatykiem – Wyjdź pierwsza!

Klara wzruszyła ramionami, ale stała w miejscu. Jej byłemu mężowi włosy

całkiem zbielały, znów nosił długie pejsy. Nie mogła wprost uwierzyć, że była kiedyś żoną tego wiekowego Żyda. Poczula wstyd, chciało jej się śmiać. Po chwili Kalman otworzył drzwi, nie chciał być zamknięty z nią w jednym pokoju. Stał w znacznej odległości.

– Czego chcesz?

– Muszę z tobą pomówić..

– To mów.

– Nie mogę rozmawiać w takich okolicznościach. Nie mogę krzyczeć. Tu jest ławka. Usiądź i posłuchaj. Czy i ja mogę usiąść?

– Czego chcesz? Po co przyszedłaś?

– Mam tu ciotkę i przyrodnie rodzeństwo. Nie powróciłam, broń Boże, do ciebie, muszę jednak z tobą pomówić. Przecież nie jesteś dzikusem?

Kalman rozejrzał się wokół w obawie przed Bogiem: i ciekawskimi ludźmi. Ktoś mógłby nadejść. Mejer–Joel, służąca, a nawet jakiś wieśniak pamiętający Klarę. Jampol miałby dobry temat do plotek! Kalman czuł, że robi mu się gorąco.

– Siądź tam na ławce.

Klara przetarła ławką rękawiczką i usiadła na czystym miejscu.

Kalman wsparł się o piec.

– Przykro mi, ale takie jest prawo.

– Tak, prawo. Ten rodzaj prawa sprowadza na nas pogromy – powiedziała Klara. – Wciąż jesteśmy Azjatami. Pośmiewiskiem świata cywilizowanego. Nie przyszedłam jednak, by o tym mówić. Nie będę próbowała ciebie przerobić. Stałeś się rabim? Masz teraz brodę dwa razy dłuższą... Posłuchaj mnie uważnie, Kalmanku!

Muszę wyjechać za granicę, zamierzam zostawić Felusię u Celiny i ciotki. Z Bożą pomocą sprowadzę ją później. To kwestia sześciu miesięcy, najwyżej roku. Przez ten czas trzeba się nią zająć. Cokolwiek byś o tym myślał, oficjalnie Felusia jest twoim dzieckiem ty winienesz łożyć na jej utrzymanie. Zostałam bez pieniędzy. Jesteś na pewno pobożnym Żydem, ale zabrałeś cały mój majątek.

To ja ci go zabrałam? Otrzymałaś dwanaście tysięcy rubli przy rozwodzie. Fortunę mnie kosztowałaś. Wydałaś tysiące rubli na urządzenie dworu i na inne

swoje zachcianki.

– Nie będziemy teraz załatwiać porachunków. Mogłam mieć to wszystko, co tu widzisz. Nie musiałam dać się spłacić marnymi dwunastoma tysiącami rubli. Ale tyle głupstw zrobiłam... To było jedno głupstwo więcej. Musisz zająć się Felusią.

Kalman zbladł.

– Tym bękartem? – krzyknął. Spojrzał ku drzwiom jakby w obawie, że ktoś może usłyszeć. Ten krzyk sam mu się wyrwał z gardła. Przez moment chciał do niej podbiec i uderzyć. Opanował się wszakże. Nie chciał awantury z tą nikczemną istotą, nie chciał jej nawet dotknąć. To zgnilizna moralna.

– Aż tak nisko upadłaś? – zachrypiał.

– Tak właśnie.

– Do kogo jedziesz? Do kochanka?

– Tak.

Zadrzał. Oczy mu wyszły z orbit, gdy na nią popatrzył.

Była w niej jakaś nowa cecha, mieszanina bezczelności i trywialności, której nie miała jako jego żona. Odparła jego wzrok spojrzeniem wyrażającym złośliwość zmieszana z ciekawością, z jaką zwierzęta przyglądają się czasami istocie ludzkiej. To me kobieta, to szatan. W Mierze sprawiedliwości czytał kiedyś o demonach, które przybierały postać kobiecą i żyły z mężczyznami, a nawet ich poślubiały. Dziecko zrodzone z takiej matki jest pół diabłem, pół istotą ludzką. Czyżby Klara była takim stworem z czeluści piekielnych? Kalman zaczął się cofać, nogi mu drżały, a twarz pobladła i stała się biała jak mleczna broda. – Wynoś się! – krzyknął tak głośno i ostro, że sam się przeląkł swego głosu.

Klara wybuchnęła śmiechem.

– Kalmanku, ty doprawdy jesteś wariatem.

– Wynoś się!

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy, Kalmanku. przyszłam po prostu, żeby się pożegnać. Zabieram Felusię ze sobą. Za żadne skarby świata nie zostawiłabym jej tutaj.

Felusia ma bogatego, kochającego brata. On nas zaopatrzy we wszystko, co

trzeba.

– Po coś tu przyszła? Żeby drwić ze mnie?

– Nie. Po prostu, żeby jeszcze raz na ciebie popatrzeć.

: Mimo wszystko nie jesteśmy sobie obcy. Mamy syna.

Żadna siła na świecie nie może wymazać przeszłości.

Nie jestem całkiem zdrowa, a taka długa podróż zawsze się wiąże z pewnym niebezpieczeństwem. Chciałam zobaczyć cię raz jeszcze. Jeżeli możesz przebaczyć, proszę, przebacz mi.

– Na co się zda moje przebaczenie? Z rozmysłem zamierzasz popełnić zły czyn. Czy nie wierzysz w Stwórcę, który może cię ukarać?

– Tak, Kalmanku, wierzę, jednak moja miłość jest silniejsza od wiary i nawet od lęku przed piekłem. Oświadczył mi się milioner dziesięć razy bogatszy niż ty byłeś kiedykolwiek, ale go nie znosiłam. Za bardzo był do mnie podobny.

Kalman potrząsnął głową.

– Czy Felusia jest córką Cypkina?

– Tak, Kalmanku, to córka Cypkina i zabieram ją do jej ojca. Mam przeczucie, że już długo nie pożyją i chcą, aby dziewczynka miała przynajmniej ojca. Dlaczego się nie ożenisz? Co to za życie mieszkać na tym odludziu? Czy zostałeś pustelnikiem?

Kalman wpatrywał się w Klarę. Oczy mu wezbrały łzami..

– Klaro, nie jest za późno na pokutę. Żal mi ciebie. Żal mi twej żydowskiej duszy. W Przypowieściach Salomona mówi się o grzechach: „Kto je wyznaje, porzuca – dostąpi miłosierdzia.” – Co mi przyjdzie z łaski? Nie mogę bez niego żyć.

Tęsknię za nim we dnie i w nocy. Kalmanie, mam do ciebie jedną prośbę.

– Co takiego?

– Jeśli umrę w Ameryce albo w czasie podróży, dopilnuj, żeby Sasza odmówił za mnie kadisz. Gdyby się nie zgodził, to ty odmów. Wszakże kiedyś mnie kochałeś. I ja ciebie kochałam na mój własny sposób.

– Mogliśmy być ze sobą szczęśliwi. Inaczej było jednak przeznaczone. Nie zasłużyłam na szczęście.

– Zrobisz to, o co proszę?

– Ty mnie przeżyjesz. Jeśli jednak inaczej się stanie, spełnię twą prośbę.

Kalman zakrył twarz obu rękami.

ROZDZIAŁ ÓSMY

I

Kiedy Klara była dzieckiem, starsza krewniaczka opowiedziała jej historię o dziewczynce, która wyśmiewała się z cadyka. Za karę ten świątobliwy mąż rzucił na nią klątwę: miała pozostać wiecznie młoda. Wszystkie jej rówieśnice postarzały się, pomarszczyły, przygięły ku ziemi, a ona wciąż miała czarne włosy i różowe policzki.

Kiedy i jej mąż się zestarzał, nie chciała z nim mieszkać.

Wnukowie jej się wstydzili. Młode kobiety stroiły z niej żarty nazywając "babcią". Wreszcie życie stało się dla niej nie do zniesienia i utopiła się w studni, Klara, w pewnym sensie, znalazła się w podobnej sytuacji. Ona też miała już dobrze po czterdzieście (ile dokładnie, nie chciała się przyznać przed samą sobą), czyli była za stara na taką małą córeczkę i na wyjazd do kochanka w Ameryce. Wprawdzie Kalman Jakobi był z kolei dla niej za stary, za to Cypkin – na pewno za młody! Pisał do niej tak namiętne listy! Klara miała pewne obawy przed podróżą w ogóle i przed tym odległym krajem, gdzie nastawała noc, kiedy w Polsce był dzień. Okręty czasami tonęły, pasażerowie zapadali na choroby, umierali na morzu, a ich ciała wyrzucano za burtę. W gazetach zamieszczano pełno opisów takich wydarzeń. Ameryka mogła przynieść jej zgubę. Mimo że zdawała sobie sprawę z nerwowego podłoża tych wszystkich obaw, nie mogła im zapobiec na jawie ani w czasie snu. Na domiar złego zaczęła przedwcześnie odczuwać pierwsze objawy przekwitania. Robiło jej się na przemian gorąco i zimno, miała zawroty i bóle głowy, bez Widocznego powodu odczuwała zmęczenie. Gorset zaczął ją nieznośnie uciskać.

Mimo zapewnień lekarzy, że wszystkie te objawy są normalne dla tego okresu życia, zaczęła się obawiać nowotworu żołądka. Dawniej mało się przejmowała ewentualnością śmierci, teraz natomiast bardzo zaczęła się martwić stanem zdrowia. Dużo kobiet w jej wieku umierało. Dostawały ataków serca, zaburzeń nerwowych, miały kłopoty z woreczkiem żółciowym. Jej rodzona matka zmarła młodo. Kto wie,

czy w Ameryce są dobrzy lekarze? Aleksander, to, prawdę mówiąc, żebrak.

Nie będzie jej stać na wygodne mieszkanie. Może nawet znajdzie konieczność podjęcia jakiejś pracy.

Klara od wielu lat farbowała sobie włosy, teraz jednak, choćby najczęściej to robiła, siwizna przebijała niemal po jednej nocy. Jak to będzie na statku? Podróż morską trwa dwa bądź trzy tygodnie, czasem dłużej. Czy na okręcie znajdzie się fryzjer, który zajmie się jej włosami?

Przybędzie do Nowego Jorku z siwą głową! Będzie wyglądała raczej na babkę niż na matkę Felusi!

Na szczęście Sasza niczego od niej nie potrzebuje.

Jest nawet aż nadto niezależny. Wiedziała, że syn utrzymuje stosunki z żonami oficerów i urzędników i że posiada rewolwer. Boże, ileż to rzeczy przychodzi do głowy w czasie długiej, bezsennej, zimowej nocy. Całe minione życie przesuwa się przed oczami, wszystkie błędy, wszystkie szaleństwa.

Grisza, jej pierwszy mąż, zmarł już tak dawno, ona wciąż jednak pamięta obelgi i wyzwiska, jakimi ją obrzucał. Rozpamiętywała te dawne kłótnie i bez trudu wynajdywała cięte riposty, które jej wtedy nie przychodziły na myśl. Załatwiała porachunki ze zmarłym ojcem, który dosłownie popychał ją w ramiona Rosjan, z którymi chciał zawrzeć kontrakty. Smirnow co prawda wziął ją siłą. A potem Kalman! Czym jest to wszystko? Przeznaczeniem? Obaj dziadkowie byli pobożnymi Żydami. Ojciec natomiast był maskilem, Żydem oświeconym. Jadał w Jom Kipur, a potem wypalał cygaro. Posługiwał się językiem, jakiego mężczyzna nie używa przy córce. Ale niech odpoczywa w raju. Nie mogła jednak pozbyć się kłębówiska myśli oblegających ją noc w noc. Czy ma prawo rozbić ognisko domowe Aleksandra? Czy słusznie zrobiła tając przed nim swe stosunki z Rosjanami? Jednak nad wyrzutami sumienia górowało nieokiełznane pożądanie. Zjawy dręczyły jej umysł.

Sen miała nierówny, pełen niesamowitych widziadeł, śnił jej się szpital, pogrzeb, dom pogrzebowy a potem naraz leżała z Aleksandrem albo z zupełnie nieznanym mężczyzną, który ją pieścił i czule do niej przemawiał.

Pewnego popołudnia, kiedy wróciła od adwokata, gdzie wypełniła formularz

na paszport dla siebie i Felusi (Luiza miała paszport obywatelki francuskiej), w przedpokoju podeszła do niej Luiza i oznajmiła, że w salonie czeka pan Mirkę.

– Kto taki?

– Pan Mirkę.

Klara wybuchnęła śmiechem, słysząc, jak Luiza wymawia to nazwisko, akcentując ostatnią sylabę kiedy jednak się odezwała, robiła wrażenie zdenerwowanej, – Po co kazałaś mu czekać? Jeśli nie ma mnie w domu, to znaczy, że mnie nie ma.

– Ach, proszę pani, on wszedł prawie siłą. Co za dziki Rosjanin!

– No, będzie musiał długo poczekać.

Klara wbiegła do buduaru. Co za żarliwy zalotnik!

Czuła odrazę do tego bogacza, który się zalecał do niej w zachodniej Europie i przyczynił do zerwania z Aleksandrem. Był czas, kiedy go obrzucała najgorszymi przekleństwami. Mimo to jego zniknięcie, bez słowa pożegnania, ubodło ją, po powrocie zaś do Warszawy czuła się osamotniona. Mijały często całe tygodnie, a dzwonek u drzwi frontowych nie zadźwięczał. Aż tu nagle, po tak długim czasie, Mirkin! Jak to mówią: złego diabli nie wezmą. Na dworze było mroźno. Klara wypła kawę u Loursa i zrobiła trochę zakupów u Braci Jabłkowskich wróciła do domu z pudłem na kapelusz i paczką. Teraz stanęła przed lustrem, by poprawić uczesanie. Twarz miała zaczerwienioną od zimna i błyszczące oczy. Upudrowała nos puszką i skropiła się wodą kolońską. Potem pociągnęła łyk likieru wprost z butelki. Zastanawiała się, czego on może chcieć. Idąc do salonu, zauważyła wiszące w przedpokoju zimowe futro, pilśniowy kapelusz i parasol o srebrnej rączce.

Kiedy otworzyła drzwi, Mirkin powstał. Był to niski mężczyzna krępej budowy, z opaloną twarzą, mlecznobiałymi włosami i siwymi, przyciętymi w szpic wąsami. Miał na sobie garnitur uszyty przez londyńskiego krawca, szeroki krawat haftowany złotą nicią i wysoki kołnierzyk. Powiało od niego bogactwem, podróżami, bez troską Riwiery. Wyjmując z mięsistych warg cygaro w ustniku z kości słoniowej, uklonił się, wyciągnął ramiona, jakby chciał uściskać Klarę, lecz jej wzrok go powstrzymał. Zwinnie odłożywszy cygaro do popielniczki, podniósł do ust jej rękę.

Sygnety pokrywały jego tłuste palce. Miałby wygląd dystyngowany, gdyby szarawa błonka, katarakta, nie przysłaniała mu lewego oka.

– Za cierpliwe, długie czekanie spotyka nagroda – zaciągnął po rosyjsku.

– Doprawdy nie oczekiwałam pana, panie Mirkin.

– Już pani o mnie zapomniała, czy tak? – zawołał ochryplym głosem. – Mirkin jednak nie zapomina. Jeśli kogoś polubi, to już na dobre.

– Nigdy pan nawet nie napisał.

– Czy ja jestem pisarzem? Dopiero co przyjechałem ekspresem berlińskim.

Klaro Daniłowno, pani jest coraz młodsza i coraz piękniejsza! Gołąbeczko, samo patrzenie na panią to jakby człowiek się raczył soczystym smakołykiem. – Posłużył się żydowskim wyrazem maachetl, smakołyk, a jednocześnie cmoknął wargami i mocno klasnął w dłonie. Dwie spinki, z osadzonymi w nich dużymi rubinami, błysnęły w mankietach. Klara się uśmiechnęła.

– Od razu komplementy.

– Komplementy? Krasawica! Mówię szczerą prawdę.

Borys Dawidowicz to me pochlebca. U mnie wszystko serca wypływa, – Grzmotnął się w szeroką pierś.

Klara postanowiła nic nie wspomnieć Mirkinowi, że się szykuje do wyjazdu do Aleksandra. Mirkin nie przestawał mówić, głównie o sobie. Tak, lato spędził w Karlsbadzie, nie miał innego wyboru. Wątroby nie da się oszukać pozbawiona tamtejszej Wody mineralnej, choć na jeden sezon, zaraz daje o sobie znać. A skoro już się znalazły w Karlsbadzie, dlaczegóż by nie skoczyć do Włoch? Nicea?

Ależ tak. Właśnie wraca z Nicei. Zatrzymał się w Hotelu Europejskim. Sekretarz Jasza? Oczywiście, zawsze z nim podróżuje. Monte Carlo? Udało mu się wcisnąć do programu podróży i Monte Carlo. Szczęście mu sprzyjało, wygrał. Zarechotał głośno. Klara nie ukrywała zdumienia patrząc na Mirkina. Mówił jak człowiek nie mający pojęcia o tym, że istnieją takie rzeczy jak ubóstwo, choroba, niepowodzenie, śmierć. “Czyżby udawał?” – zapytywała siebie. Dobiega siedemdziesiątki.

– Nie czytuje gazet? Nie widzi całych szpalt nekrologów?

Dalej paplał o wystawie, wyścigach, o jakichś baronach, loterii. Po pewnym czasie zaczął wypytywać Klarę. Co słyhać u jej ojca? Nie żyje? O! A ten facet, jej przyjaciel, jak on się nazywa? Ach tak, Cypkin! Klara już miała zmyślić jakąś historyjkę, aż tu naraz wypaplała całą prawdę. Aleksander jest w Nowym Jorku, powiedziała. I ona zamierza tam pojechać. On się rozwiódł z Sabiną.

Co robi? Jeszcze nie całkiem się urządził. Zamierza się zająć uprawą roli. Na razie maj skromnie płatną pracę, a jednocześnie studiuje. Sonia, jego siostra, mieszka z nim razem. Nauczyła się fachu i pracuje.

Mirkin lekko odkaszlnął i zaczął bębnić owłosionymi palcami po poręczy fotela. Kiedy się znów odezwał, w jego głosie brzmiała pewność siebie osoby, która szybko się zorientowała w sytuacji i dokonała oceny. – Założyć fermę, cóż za pomysł! Dlaczego fermę? Ojciec jego był ongiś administratorem w majątkach Radziwiłła. Ferma, o której pisze, stanowi część wspólnej ziemi uprawianej przez grupę Żydów ze wschodniej Europy, zwanych się Am Olam.

– Socjaliści? Anarchiści? Słyszałem o nich. Założyli kolonię, ale nikt z nich nie brał się do pracy. Wymieniali żony między sobą i przymierali głodem. Uciekli jak szczury.

– Naprawdę? Wspomniał też o indywidualnej fermie.

Rząd daje osiedleńcom ziemię za darmo.

– Mrzonki!

– Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że dokończy studia medyczne. Ma już zaliczonych pięć semestrów.

– Studiować w jego wieku? No cóż, sądzę, że to jest możliwe. Pod warunkiem że się ma żelazną wolę, no i pieniądze.

– Obawiam się, że nie ma ani jednego, ani drugiego.

– Tak właśnie, jeśli dobrze go sobie przypominam.

Weszła Luiza z herbatą i ciasteczkami. Na dworze zapadał wczesny zmierzch. Klara zaproponowała, że zapali lampę, lecz Mirkin odparł, że bardzo lubi zimowy zmrok. Właśnie zimy ciągną go do powrotu na wschód.

Riwiera jest wspaniała, ale. nuży człowieka. Nigdzie na kontynencie

europjskim nie ma takiego śniegu, błękitności i ciszy jak tutaj. Prawda, że Warszawa to nie Moskwa ani Petersburg, lecz lepiej tu niż w Paryżu, gdzie wciąż pada deszcz, jest wilgoć i przejmujący chłód. Nie widuje się tam wcale sanek.

W Londynie zaś panują egipskie ciemności. Był w Nowym Jorku, w interesach.

Zimne miasto pełne przeciągów. Skupiska domów pozbawionych wdzięku i przytulności. W miarę jak się ściemniało, twarz Mirkina pogrążała się w mroku. Klara nie odróżniała już zdrowego Oka od dotkniętego zaćmą.

Jego głos nabrał serdecznego tonu.

Nie rozumiem pani, Klaro Daniłowno. Doprawdy nie ponimajul – Słyszał pan o czymś takim jak miłość?

– Ależ tak, tak. Jednak wszystko musi mieć jakiś sens! Nie oszukujmy się nawzajem. Jest pani kobietą dojrzałą, a nie osiemnastoletnią panną. Kobieta w pani wieku i warunkach potrzebuje komfortu.

– To prawda.

– Klaro Daniłowno, możemy być ze sobą szczęśliwi!

– Znów pan zaczyna!

– Nie mogłem pani zapomnieć. Cypkin nie dla pani, stanowczo nie. Dorosły mężczyzna o – jak się to nazywa? – psychice malcziszki, chłopaczka, nic ponadto. Zaczynać studia w jego wieku! Do niczego nie dojdzie. Doprowadzi siebie, a nie daj Boże i panią, do zguby. Nie powinien był opuszczać żony.

– Ja go do niczego nie zmuszałam, Borysie Dawidowiczu. Ja też porzuciłam męża.

– Czy on rzeczywiście jest ojcem dziewczynki, którą widziałem w przedpokoju? To ślicznotka.

– Tak, jest jej ojcem.

– Rozumiem, to niełatwa sprawa, jednak – po co Ameryka? Kto wyjeżdża do Ameryki? Bogaci Amerykanie spędzają więcej czasu w Europie niż u siebie w Stanach.

Kształcą swe dzieci w Anglii. Co można robić w Nowym Jorku? Szyć fartuchy?

– Cypkin pragnie się osiedlić w Kalifornii.

– Kalifornia. No cóż, wszystko jest możliwe. Klara Daniłowno, zjedźmy razem kolację. Przejedźmy się sankami.

– Możemy zjeść u mnie..– Ale nie możemy przejechać się tutaj saniami.

– Pan się nic nie zmienił. Muszę spojrzeć, co robi Felusia, i przynieść tu jakąś lampę. Znowu pada śnieg.

Klara podniosła się z krzesła, a jednocześnie Mirkin zerwał się na równe nogi, pochwylił ją w mocny uścisk i pocałował prosto w usta.

– Borysie Dawidowiczu!

– I dla niego dość zostanie. Moglibyśmy używać życia, Klara Daniłowno, cały świat do nas należy! Pieniądze nie mają dla mnie znaczenia. Europa leży przed nami otworem, cały świat!

– Ma pan żonę.

– Żonę? Ksantypę! Między nami nigdy nie było prawdziwego zrozumienia.

Ona chce wyłącznie robić ml na złość. Daje się wadzić za nos chciwej bandzie pokątnych doradców. Zależy jej tylko na pieniądzach. Klara Daniłowno! Od chwili naszego pierwszego spotkania w berlińskim ekspresie, od tego wieczoru nieustannie myślę. "To ona. To mój anioł." – Tak samo pan mówi do wszystkich kobiet.

– Proszę mnie nie obrażać. Nie jestem już młody, ale serce mam gorące. Z wiekiem ogarnia nas poczucie samotności, Klara Daniłowno. Człowiek tęskni za utraconą młodością, za dawnymi czasami. Możemy wyjechać razem za granicę, gdziekolwiek, wszędzie, gdzie pani zechce. Kobieta taka jak pani, moja droga, zasługuje na luksus. Nie cieszą mnie moje podboje, oto jak wygląda prawda. Nikt mnie nie rozumie. Potrzeba mi bliskiej osoby, przed którą mógłbym otworzyć serce.

Większość kobieciełek to po prostu gęsi.

Nagle sapnął, jakby tracąc oddech. Przechylił się gwałtownie do przodu przyciągając do siebie Klarę. Objął ją ramionami jak w kleszczach i przycisnął do wystającego brzucha. Na próżno próbowała się uwolnić.

– Proszę pana, Borysie Dawidowiczu!

– Ach przepraszam, przepraszam. Nie zdawałem sobie sprawy, nie

zamierzałem nic złego. Usiłowałem zapomnieć, ale to niełatwo. Pani obraz wciąż mi towarzyszył w pociągu, wszędzie. Pragnąłbym jeszcze przeżyć kilka szczęśliwych lat... siedem lat tłustych, jak się to mówi.

– A potem?

– Zabezpieczę panią. Szczodrze zabezpieczę.

– Już kiedyś byłam zabezpieczona.

– Jestem bogaczem. Nie zabiorę ze sobą pieniędzy do grobu. Moje dzieci nie zachowały się wobec mnie jak należy. Zawsze trzymały stronę matki. Nie zrobiły najmniejszego wysiłku, aby zrozumieć mój punkt widzenia.

Mimo majątku jestem człowiekiem samotnym.

Głos mu się załamał. Chwycił go atak kaszlu, wyjął chusteczkę. Nagle zapalono uliczne latarnie, pokój napelnił się jasnym, odbitym od śniegu światłem. Mirkin zamrugał nerwowo niewidzącym okiem, jakby dostrzegł nim coś okropnego.

– No cóż, bardzo mi przykro. Proszę wybaczyć..

II

Klara rzadko rozmawiała z Luizą, guwernantką Felusi.

Przedem wszystkim nie władały wspólnym językiem. Klara mówiła słabo po francusku, polszczyzna zaś Luizy była mieszaniną przekreślonych słów i urwanych zdań. Poza tym Klara nie mogła pojąć tej francuskiej starej panny, która pędziła samotny żywot i przywiązywała się do dzieci obcych ludzi. Luiza potrafiła przesiadywać godzinami w oknie i jak kot wpatrywać się w przestrzeń.

Czy nie był jej potrzebny mężczyzna? Nie zastanawiała się nad swoją starością? Z Francji przywiozła ze sobą książkę kucharską i sennik. Te dwie książki stanowiły całą jej lekturę. Niemniej od czasu do czasu wtrącała jakieś słowo lub zdanie wskazujące, że w jej umyśle, zachodzi proces myślenia, że zachowała ślad francuskiego esprit. Wiedziona nagłym impulsem Klara postanowiła zwierzyć się Luizie. Wszak ta wiedziała o miłości Klary do Aleksandra. Teraz jednak znów się zjawił Mirkin rozpacza, pragnie obsypać ją bogactwem, zabrać za granicę i otoczyć luksusem. Chce nawet, by Felusia i jej guwernantka odbyły z nimi tę podróż. Jak powinna postąpić? Błagała Luizę o absolutną szczerość.

Co ona, Luiza, zrobiłaby w podobnej sytuacji? Ciemne oczy Luizy zabłyśły.

– Ja, proszę pani, pojechałabym z panem Mirkę.

– Nawet kochając innego mężczyznę?

–i Ten drugi nie musi wiedzieć. Pan Sipkin jest w Ameryce. Cała podróż może pozostać w tajemnicy. Pan Mirkę jest bogaty. Pan Sipkin jest tris charmant, ale biedny jak mysz kościelna. Pani mogłaby tak ułożyć wszystko z Saszą, żeby przesyłał listy pani z Warszawy. Madame kierowałaby swe odpowiedzi również do Saszy, a ten nalepiałby rosyjskie znaczki na listy i słał je do Ameryki. Pan Sipkin nigdy nie dowie się prawdy..

Klarę ogarnął śmiech. Nigdy nie spodziewałaby się takiej przebiegłości u potulnej Luizy. Jej twarz zwykle łagodna, a nawet można powiedzieć bez wyrazu, nagle się ożywiła. Słowa, którym towarzyszyła pełna werwy gestykulacja, płynęły tak szybko, że Klara z trudem je rozumiała. Dawniej mogła zasięgnąć rady ciotki,

niestety obecnie ciotka jest sparaliżowana. Niespodzianie Luiza, bez chwili wahania, podsunęła możliwy do wykonania plan. Tego samego dnia Klara dostała od zgnębnionego Cypkina list, którego treść brzmiała deprymująco.

Odczuwa brak Klary, to pewne, ona musi jednak być przygotowana na trudne warunki egzystencji. On już nie pracuje tak jak dawniej w warsztacie, bo się pokłócił z bossem. Ma nadzieję na znalezienie czegoś innego, lecz rozpoczął się u nich okres stagnacji ekonomicznej komorne jest dość wysokie, trzymanie zaś służącej nie wchodzi w ogóle w rachubę. W Ameryce nie ma faktycznie klasy średniej. Ludzie są albo bogaci, albo ubodzy. Jeśli chodzi o niego, nie może jej zakomunikować żadnej dobrej nowiny, natomiast coś wspaniałego spotkało Sonię. W Nowym Jorku zamieszkał Jackiewicz, jej dobry znajomy z Kunlewa.

Sonia nie miała pojęcia, że on przebywa w tym mieście.

Zupełnie przypadkowo spotkali się w Teatrze Żydowskim i po paru dniach się pobrali. Jackiewicz ma całe grono przyjaciół z Rosji, a jeden z nich wyprawił młodej parze przyjęcie weselne. Wzniesiono mnóstwo toastów, wypito wiele kielichów i prowadzono ożywione dyskusje. Po trzech dniach wrócili do pracy Sonia szyje sukienki, on pracuje w fabryce koszu. Tak, tu w Nowym Jorku życie upływa prozaicznie. Wiadomości z fermy w Oregonie nie są zachęcające. Wygląda na to, że między teorią a praktyką jest duża różnica. W miarę czytania Klara czuła coraz większą pustkę w sercu. Nie doczytała do końca, kiedy się odezwał dzwonek u drzwi wejściowych.

Weszła Luiza i oznajmiła tonem konspiracyjnym:

– Pan Mirkę.

Mirkin wszedł tuż za nią i od razu zaczął mówić. Ma bilety do opery. Loża pierwszego piętra. Rigoletto. Czy Klara pójdzie z nim? Chciałby z nią spędzić resztę dnia. I Sanie czekają przed domem. Mówił głosem ochrypłym, lecz mocnym. Nawet nie zdjął futra. Z nie ukrywaną niecierpliwością czekał na jej zgodę stojąc na progu z futrzaną czapą w jednej, a cygarem w drugiej ręce. Twarz mu się zaczerwieniła od mrozu. Oko, zaćmione kataraktą, mrugało nerwowo. Klara uniosła brwi.

– Czy mogę przynajmniej się przebrać?

– Każda minuta droga. – Dla pana, nie dla mnie. I jeśli mogę prosić, Borysie Dawidowiczu, niech pan odda Luizie futro do powieszenia. Nie jest pan muzykiem.

Mirkin już się czuł zbyt pewny siebie. Co prawda, nie da się zaprzeczyć, że list Aleksandra osłabił jej sprzeciw.

Zdawała sobie jednak sprawę, że popełnia błąd sprzedając się jeszcze raz staremu człowiekowi. Mimo to poszła się przebrać. Ostatecznie, co ona sobą przedstawia, Tak się unosić dumą? On może znaleźć młodsze, bardziej od niej pociągające kobiety.

Aleksander jest zupełnie niezyciowy.

Otworzyła szafę i stanęła przed nią, ukrywając twarz w dłoniach. Jakiego figla chce jej spłatać los? Dlaczego to ją spotyka? Przywołała Luizę do pomocy w zasznurowaniu gorsetu. Stała z odsłoniętym biustem przed paplającą bez przerwy Francuzką, której zręczne palce pomagały jej się ubrać. Jedno tylko słowo dochodziło do świadomości Klary: madame, madame, madame. Czy ten szczywany lis przekupił Luizę? Najpierw ojciec ją sprzedał, teraz sama się sprzedaje. Tak, lepiej pozostać tą madame. Chciało jej się płakać i śmiać zarazem.

Zawsze była świadoma, że jest kobietą łatwą. Tak, obaj mieli rację: i Grisza, i Kalman. Jest – jak to określał Grisza – wulgarna. Spryskała się perfumami i włożyła czekoladkę do ust. Poczula się lepiej. Jak się to mówi?

Jeśli nie możesz przejść prosto, to obejdz wokół. Przed domem stały sanie zaprzężone w dwa siwki. Nie te małe sanki, które się wynajmowało za parę dwudziestaków, aby się przejechać po parku, lecz wspaniałe ekwipaż, bogato wyposażony w piękną uprzęż, z mosiężnymi latarniami po obu stronach i niedźwiedzią skórą do przykrycia nóg. Również woźnica miał na sobie kosztowną liberię. Strzelił z bata, konie ruszyły ostro naprzód, Klara upadła na Mirkina. Sanie tak pędziły, że nie mogła się zorientować, dokąd jadą. Śnieg odmienił miasto, jego biel oslepiała. Niebo umykało. Domy sunęły do tyłu. Grudy śniegu wylatywały spod kopyt końskich.

Po chwili zorientowała się, że są na Marszałkowskiej.

– Dokąd mnie pan wiezie?

- Do Wilanowa.
- Nie zdążymy wrócić na czas do opery. Jeszcze się muszę przebrać.
- Starczy czasu na wszystko.

Mirkin to nie Cypkin. Tamten ciągnął ją zwykle do jakiejś podrzędnej kawiarni, zamawiał kawę, zapalał papierosa i snuł marzenia. Mirkin wszystko z góry załatwił: bilety, sanie, zapewne i restaurację, gdzie mieli zjeść obiad. Nie musiał się trząść nad każdą kopiejką. Klara roześmiała się w duchu. Jak on ją przyciska do siebie!

Jak głośno sapie! Zastanawiała się, czy Mirkin ma astmę.

Może byłoby lepiej, gdyby mu podsunęła Luizę? Minęli Marszałkowską i jechali przez pola Mokotowa, przez szeroką biel ciągnącą się aż po skraj horyzontu. Spirale niebieskawego dymu, unoszącego się z kominów niskich domków, przywodziły na myśl ołtarze ofiarne podziemnych świątyń, w których sprawowano bałwochwalcze obrzędy. Bat strzelał, wrony krakały, śnieg bądź błyszczał bielą w oślepiającym słońcu, bądź się niebieścił w cieniu i skrzył jak usiany diamentami.

Cała ta sceneria – wydmy i kopce utworzone przez śnieg – obudziły w Klarze młodzieńcze, wpół zapomniane pragnienie przygody. No cóż, pomyślała, pragnę żyć.

Mirkin otoczył jej biust ramieniem, ale już mu nie wzbraniała. Przycisnął się bliżej, wsunął ciężką rękę do mufki, sapiąc jak miech. Wszak płacił za to. Jak już używać, to na całego! Porozmawia z nim otwarcie, żeby wszystko wyjaśnić. Aleksander? Mężczyźni wymagają cnoty czystości od kobiet, sami zaś czują się uprawnieni do robienia wszystkiego, czego zapragną. I Nie dojechali do samego Wilanowa. Z białego krajobrazu wynurzył się dom. Była to restauracja, szyld nad drzwiami zasypał śnieg. Sanie sunęły wolniej, potem się zatrzymały i woźnica pomógł im wysiąść. Otworzyły się ciężkie drzwi, wypuszczając chmurę pary. Wewnątrz ściany były udekorowane wypchanymi łbami jeleni, ptakami oraz głową dzika z długimi zakręconymi kłami po bokach ryja. Pachniało piwem, winem, pieczonym mięsiwem. Z drugiej salki dochodził grzmiący odgłos męskiego śpiewu. Klara zawahała się na progu.

Wyglądało to na spelunkę. Już jednak zbliżył się do nich wyfraczony starszy kelner z przymilnym uśmiechem.

Wszystko było zarezerwowane i przygotowane – stół, obiad, wina, likiery. Bez przerwy zmieniano talerze, półmiski, kieliszki, butelki. Kawior był doskonały. Jedli też homara. Jako główne danie podano dziczyznę. Gorące bułeczki wyjęto wprost z pieca. Mirkin żuł, pił, ocierał usta serwetką i rozprawiał o jedzonych potrawach. Pochylał się nisko nad talerzem, rzucał się jak żarłok na jedzenie i wciąż napełniał kieliszek Klary. Chciwość błyszczała w zdrowym oku, głód osób nigdy nie nasyconych. Pocił się, sapał, wzdychał. Klara się odwróciła. Widziała w nim siebie jak w lustrze. Tak samo jak ona, Mirkin też pragnął doświadczyć wszystkiego w latach, które mu pozostały, posmakować, czego się da, zanim będzie za późno.

– Klaro Daniłowno, zamówiłem pokój na górze, żeby odpocząć po obiedzie – odezwał się po rosyjsku.

Klara roześmiała się i odpowiedziała po żydowsku:

– Borysie Dawidowiczu, powziął pan decyzję nie radząc się szefa.

Mirkin szykował odpowiedź, gdy nagle skądś się wyłonił jego sekretarz, Jasza Winawer, mężczyzna niewielkiego wzrostu, w futrze i futrzanej czapie z nausznikami, otulony wełnianym szalikiem, w futrzanych rękawicach na rękach. Twarz miał czerwoną i okrągłą jak jabłko. Uśmiechał się radośnie i wyciągnął ramiona, Jakby chciał uściskać Klarę. Kelner próbował mu zabrać czapkę i futro, lecz Jasza Winawer zdawał się go nie widzieć.

– Kim on jest, szpiegiem? – zapytała Klara Mirkina.

– Nie szpiegiem, łaskawa pani, tylko oddanym pani przyjacielem i wielbicielem – powiedział Jasza Winawer.

– Pani jest jeszcze młodsza i piękniejsza, wspaniały obraz kobiecego uroku! Śliczna nie do wiary! Serce bije mi mocniej, kiedy na panią patrzę!

– Lepiej oddaj do szatni futro i czapkę – rzucił Mirkin.

– Co? Ależ naturalnie! Kiedy panią ujrzałem, Klaro Daniłowno, o wszystkim zapomniałem. Oślepiła mnie, jak to się mówi, pani promienna uroda...

I odszedł do szatni.

On na pewno szpieguje na polecenie Mirkina doniesie o wszystkim Aleksandrowi, pomyślała Klara. Nabrała nagle pewności, że tych dwóch uknuło przeciwko niej jakąś intrygę. Wizyta Mirkina i zjawienie się Jaszy Winawera były ułożone z góry w jakimś złym zamiarze. Schwytano ją w pułapkę. Ogarnął ją gniew, a jednocześnie strach.

Spojrzała z wyrzutem na Mirkina i zapytała:

– Po co ta cała komedia?

Zdrowe oko Mirkina pod białą brwią zaokrągliło się wesoło zabłysło. “Oko wieprzka”, pomyślała Klara.

– Nie odgrywam żadnej komedii, Klaro Daniłowno – zaprotestował. – Kocham panią i pragnę. To bardzo proste.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

I

Przed laty, kiedy policja złapała Lucjana, a warszawska prasa raczyła swych czytelników szczegółami popełnionego przez niego zabójstwa, nieudanej kradzieży u Chodzińskiego, wywabienia Kasi z domu i zaprowadzenia jej do Bobrowskiej oraz opuszczenia żony i dzieci w połowie wieczery wigilijnej, Felicji się zdawało, że to już koniec świata. Artykuły z opisem zbrodni zajmowały całe strony gazet.

Dziennikarze wynajdywali zmyślane fakty i nie cofali się przed kłamstwem. Dobre, szlacheckie nazwisko zostało zniesławione, nikt się nie znalazł, aby temu zapobiec.

Felicja wciąż zadawała sobie pytanie, czy tak powinno się postępować w chrześcijańskim kraju. Widziała jasno, że ludzi – policję, sędziego, prokuratora, a nawet jej własne pokojówki, które żywiła i ubierała – cieszyło to, co jej sprawiało ból. Doktor Zawadzki zaczął tracić swych wysoko urodzonych pacjentów. Helena napisała z Zamościa, że jej dzieci wstydzą się chodzić do gimnazjum z "powodu wujka–zabójcy. Felicja zamykała się w buduarze, płakała i nie chciała nikogo widzieć. Jeśli wychodziła, to tylko do kościoła, gdzie jej nikt nie znał. Padała na kolana przed figurą Matki Boskiej i modliła się całymi godzinami.

Straciła zupełnie apetyt i nie mogła sypiać po nocach.

Zaczęła gwałtownie mizernieć i dostała silnej anemii.

Marian przepisywał jej różne lekarstwa, lecz stan Felicji się pogarszał. Było jej przykro ze względu na męża, który też bardzo wychudł. Musiał wydatkować poważne sumy na adwokatów, opłacić kosztą pogrzebu ofiary, utrzymywać wdowę i sieroty. Zarobki spadły, oszczędności doktora były na wyczerpaniu. Felicja nabrała przekonania, że jej śmierć uwolniłaby męża od ciężaru nie do zniesienia, że stanowi tylko dla niego zawadę i prosiła Boga o rychły zgon. Nie mogła już sprostać temperamentowi Mariana i gotowa była ustąpić miejsca młodszej, ponętniejszej kobiecie.

Zdarzały się dni, kiedy Felicja miała wrażenie, że nadchodzi koniec. Leżała w łóżku niezdolna się poruszyć, drzemała, budziła się, znów zasypiała i naraz się zrywała. W koszmarach sennych ukazywały jej się diabły i aniołowie. Widywała kolejno to zmarłego ojca, to matkę.

Widywała taką światłość, jaka mogła pochodzić tylko z niebios. Uśmiechała się do siebie. Jakaż to głupota, że człowiek obawia się tego, co go na zawsze wyzwoli.

Dusza ożyje dopiero wtedy, gdy umrze ciało. Prosiła Mariana, by zakupił dla niej miejsce na cmentarzu, zamówił trumnę i wybrał nagrobek. Za każdym razem, kiedy odczuwała nudności i zawroty głowy, posyłała po księdza, chcąc odbyć ostatnią spowiedź.

– To wszystko nieco za wcześnie, moja droga – mówił Marian – z każdym dniem czujesz się lepiej.

Okazało się, że Marian miał rację, Bóg jeszcze nie był skłonny przyjąć jej do siebie. Zaczęła dużo sypiać, wyrównała wszystkie braki minionego okresu nagle nabrała wilczego apetytu i szybko odrobiła poprzednią głodówkę. Po co jednak miałyby żyć? Co jeszcze mogła zdziałać tu, na ziemi? Naraz pojęła swoje posłannictwo: zastąpi matkę nie tylko dzieciom Lucjana, lecz także sierotom zabitego stróża Wojciecha. W razie jej śmierci, co by się z nimi stało? Wszak Marian nie będzie płacił do końca życia za grzechy swego niegodziwego szwagra.

Wyjście z sytuacji było tak proste. Felicja nie mogła pojąć, że nie przyszło jej to do głowy w czasie długich miesięcy choroby. Mając przed sobą cel, stłumiła wstyd i udała się do ciasnej jak nora stróżówki, gdzie nadal mieszkała wdowa po Wojciechu. Najpierw kobieta wypędziła ją, a jej synowie zagrozili pobiciem.

– Precz stąd, do diabła! – krzyczeli. – Przeklęta siostra zabójcy!

I poszczuli Felicję psem, sypnęli na nią trocinami i obrzucili śmierdzącymi szmatami. Dziewczynki wymyślały głośno i cisnęły upominki prosto w twarz.

Nastąpił taki moment, kiedy Felicja chciała zostawić rodzinę jej nieszczęsnemu losowi, jednak przemogła się i zebrała całą siłę woli. “Jak postąpiłby Pan Jezus w tym przypadku? – zadała sobie pytanie. – Co uczyniłby święty

Franciszek? Czy powstrzymałyby ich naigrywania?" Upadła na kolana przed sierotami, obsypała darami i pieniędzmi. Próbowwała nawet pomóc wdowie w praniu bielizny i tym właśnie: najpierw zjednała sobie Wojciechową. Stopniowo i dzieci, jedno za drugim, pogodziły się z nią. Któż mógłby uwierzyć, że po tylu niepowodzeniach Felicji uda się coś osiągnąć? W końcu nawet pies zaczął obwąchiwać jej pantofle, merdając ogonem.

Dopiero po osiemnastu miesiącach Sprawa Lucjana stanęła na wokandzie sądowej. Przez ten czas Felicja sprawiła odzież dzieciom Wojciechowej, umieściła najmłodsze w szkole, skierowała starszych chłopców do terminu na czeladników, żeby zdobyli fach, dziewczęta zaś do służby w dobrych domach. Marian początkowo ją wyśmiewał, nazywał głupią i hipokrytką.

Jako radykał i liberał nie wierzył w filantropię.

Konieczna jest reforma! Trzeba zmienić rząd do zakładania demokratycznych instytucji i tym spowodować równouprawnienie mas. Jaki pożytek z miłosierdzia? Z biegiem jednak czasu dobroć Felicji wywarła i na niego wpływ. Ofiarował swą pomoc. Felicja nie ograniczyła się do rodziny stróża. Gotowa była przyjąć zarówno Bolka, nieprawego syna Lucjana, jak i Kasię.

Bobrowska jednak już wcześniej roztoczyła opiekę nad Kasią i jej synkiem. Zamieszkali u niej, a Bobrowska nie chciała mieć nic wspólnego z siostrą Lucjana.

Jak się później okazało, działalność Felicji pomogła nie tylko ofiarom, lecz i samemu przestępcy. Warszawskie panie zaczęły rozprawiać o chrześcijańskim miłosierdziu okazanym przez Felicję. Wieść o jej uczynkach dotarła do prokuratora i do samego sądnego, zrusyfikowanego Polaka. Książa wspominali w kazaniach o nieszczęsnym Lucjanie i jego ciężkim losie. W prasie ukazały się artykuły. Damy z kół arystokracji, które zaprzestały korzystać z usług doktora Zawadzkiego, powróciły do jego gabinetu. Kiedy wezwano Felicję na świadka w czasie rozprawy sądowej, ci sami dziennikarze, którzy ją uprzednio szkalowali, teraz przedstawiali jako męczennicę. Zaczęła otrzymywać zaproszenia z instytucji charytatywnych, którym patronowały panie z najlepszego towarzystwa. Lucjanowi groziło dwadzieścia lat ciężkiego więzienia, a nawet dożywocie. Sędzia jednakże wymierzył

najniższą karę. Prywatnie wyznał, że wywarły na niego wpływ nie tyle argumenty obrony, ile siostra zabójcy, jej słowa, zachowanie i łzy.

II

W czasie powstania Lucjan wymyślił sobie niezawodną metodę znoszenia cierpień: wmawiał w siebie, że już nie żyje. Za każdym razem w obliczu groźnej sytuacji wyobrażał sobie, że już się nie znajduje wśród żywych, że jest trupem wolnym od wszelkiej nadziei i potrzeb. Zastyszał ongiś o żyjących trupach, o udreńczonych duszach wędrujących w otchłani, nie mogących znaleźć spoczynku w grobie. Wyobrażał sobie, że jest jedną z nich. Czytał kiedyś o fakirach, którzy doprowadziwszy się do stanu katalepsji, pozwalali się żywcem grzebać. Czy jego całe życie nie było daremną walką z mocami ciemności? Czy wrogi los nie zawisł nad nim od samego zarania? Czy można inaczej wytłumaczyć dziwne wydarzenia jego życia jak nie tym, że się urodził pod złą gwiazdą? Lucjan już jako chłopiec, będąc rozpieszczonym młodym paniczem ze dworu, odczuł rękę przeznaczenia. Wszystko mu było dane: stroje, broń, pożywienie, miłość rodziców, sióstr i brata. Służba go uwielbiała, wieśniaczki go rozpieszczały, nawet zwierzęta – psy, koty, konie – były wyjątkowo do niego przywiązane. Mimo to przedmiot całego tego uwielbienia czuł się tak nieszczęśliwy, że będąc jeszcze chłopcem myślał o zastrzeleniu się. Przechodził wszystkie choroby wieku dziecięcego, później, jako młodzieniec, miał przeróżne fobie. Błuznił przeciw Bogu, a potem biegł do księdza i spowiadał się. Kradł, pluł na obrazy świętych, dusił kury nie gorzej od tchórza i męczył króliki. Nie miał żadnego zamiłowania do nauki, celował natomiast w wynajdywanie forteli, by jej uniknąć.

Wcześniej rozbudziły się w nim zmysły. Bał się chorób zakaźnych, skandalu w domu. Przeczytawszy w encyklopedii o gruźlicy jelit, natychmiast wmówił w siebie, że ma tę chorobę. Matka wspomniała kiedyś o przypadku choroby umysłowej w rodzinie, od razu ogarnęła go panika i pewność, że postrada zmysły. Kiedy sięgał pamięcią nawet w najodleglejszą przeszłość, nigdy nie opuszczało go przecucie jakiegoś nadchodzącego nieszczęścia.

Katastrofa zresztą nadeszła szybko – wybuchło powstanie styczniowe. Przemierzał leśne bezdroża, cierpiał głód i zimno, kopał mogiły dla kolegów. Ojca

zesłano na Sybir, jego skazano na śmierć in absentia. Potem musiał ukrywać się w Warszawie, pracować w wytwórni mebli, zamieszkać u Stachowej. Później uciekł z Miriam–Libą i głodował w Paryżu rozczarował się kolonią polską na emigracji we Francji, czego następstwem był powrót do kraju, dalsze powikłania z Kasią, Bobrowską, no i to, co nastąpiło potem. Lata przeminęły jak zły sen. Ale jaki sens miało to wszystko? I dlaczego się skończyło bezsensownym zabójstwem biednego stróża, ojca dziesięciorga dzieci?

Podczas długich miesięcy oczekiwania w więzieniu na rozprawę Lucjan szukał jakiejś odpowiedzi, lecz nie znalazł rozwiązania tej zagadki. Jego życie stanowiło zwariowany zlepek nieszczęść, złośliwego zbiegu wydarzeń, starganych nerwów, słabego charakteru i braku siły woli – jedna ponura nicość. No dobrze, czyż życie innych ludzi, a nawet całego gatunku ludzkiego, nie jest równie chaotyczne? Felicja przysłała mu do więzienia Biblię, on jednak, mimo nudy, nie mógł się zdobyć na czytanie. Jehowa ze Starego Testamentu igrał z Izraelitami jak kot z myszką. Oni wciąż odmawiali posłuszeństwa, On wciąż ich karał. Nowy Testament przyrzeka szczęśliwość wieczną w Niebiesiech, jaką jednak mamy gwarancję, że to Królestwo Niebieskie istnieje? Czy sami papieże nie prowadzili morderczych wojen? Czy Rosjanie, Prusacy i Austriacy, trzy narody chrześcijańskie, nie rozdarli Polski na części – wieszając mężczyzn, chłoszcząc kobiety, dokonując niezliczonych zbrodni? Czy popełniliby te czyny, gdyby naprawdę wierzyli w Boga i naukę Jezusa?

Życie jest tak pozbawione sensu, że w porównaniu z nim śmierć nabiera dużo większego znaczenia. Lucjan oddał się snuciu fantazji o śmierci z takim zapamiętaniem, że nabrało to znamion prawdy. Osiągnął stan bardzo zbliżony do nirwany, o której czytał przed wielu laty w książkach z biblioteki ojca. Sędzia śledczy nie miał z nim żadnego kłopotu. Lucjan wyznał wszystko i podpisywał każdy papier, jaki przed nim położono.

Opowiedział nawet o zamiarze utworzenia polskiego gangu zbrodni w celu ograbienia Wallenberga.

Adwokaci, zaangażowani później przez Felicję, nakłaniali go do odwołania zeznań, ale nie chciał o tym słyszeć.

Współwięźniowie z celi drwili Z niego, on przyjmował ich kpiny obojętnie. Gotów był pogodzić się ze swym losem, bez względu na to, co go czeka: śmierć na szubienicy bądź gnicie na Sybirze. Leżał na pryczy, jadł gliniasty chleb z wodnistą owsianką, cierpliwie znosił chłód, zaduch, smród kibla i otaczający brud. Złodzieje d mordercy, współtowarzysze więzienni, grali w karty, palili machorkę, śpiewali ckliwe piosenki o miłości i niewiernych kochankach, o smutnym losie więźnia i nadziei na wolność. Lucjan jednak nie odczuwał nic podobnego. Świat z jego iluzorycznymi radościami i pozorami przestał go interesować.

Rozprawa stała się *une cause celebre*. W gazetach ukazywały się długie sprawozdania. Do sądu przychodzili malarze, aby szkicować portret Lucjana. Panie z towarzystwa dobijały się o bilety wstępu. Wszystko to nie robiło na nim żadnego wrażenia. Prawie nie słuchał zeznań świadków, dowodów oskarżenia, a nawet obrony. Nie skorzystał również z przywileju ostatniego słowa. Zapytany przez sędziego, czy ma coś do powiedzenia na swoją obronę odparł:

– Nie, nic.

Dopiero pod koniec rozprawy coś w nim się poruszyło.

Kiedy współwięźniowie poczęli mu wieszować, a strażnicy ściskali dłoń, po raz pierwszy od lat młodości okazało mu się uznanie. Żydowski księgarz z ulicy Świętokrzyskiej wydał zmyśloną historię życia Lucjana w serii cotygodniowych broszurek po kopiejce za sztukę. Dyrektor więzienia wezwał go do swego biura, by mu pokazać broszurki, żona zaś dyrektora przyszła zobaczyć żywego bohatera tej odysei.

Naiwna kobieta z dobrą wiarą przyjęła historyjki wymyślone przez autora. Lucjan próbował ją przekonać, że nie jest ani takim bohaterem, ani takim nikczemnikiem, jakim go opisano prostoduszna kobieta prosiła, by nie rozwiewał jej złudzeń.

Stopniowo życie więzienne coraz bardziej się upodabniało do życia poza jego murami, stawało się trywialne, monotonne, pełne daremnych nadziei i bezsensownych kłótni. Lucjan grał w karty, palił tytoń z Majorki i czekał na paczki. Felicja go odwiedzała, rozmawiali poprzez kraty. Bobrowska przysyłała grypsy,

które przekupiony strażnik wtykał w racje chlebowe Lucjana. Dowiedział się z nich, że Kasia odeszła od Chodzińskiego i wprowadziła się wraz z Bolkiem do Bobrowskiej, która ją uczy szycia. Po pewnym czasie grypsy przestały nadchodzić. Lucjan dowiedział się pocztą pantoflową, że Bobrowska znów się widuje ze swym dawnym kochankiem. Wystawiał on sztuki w letnim teatrzyku zwanym "Pod Lipką". Lucjan wywnioskował, że Bobrowska, chcąc przywabić z powrotem starego rozpustnika, podsunęła mu zapewne Kasię.

III

Więzień z sąsiedniej pryczy, Wojciech Kułak, żuł przylepkę chleba i spluwał od czasu do czasu. Był niski, grubokościsty, miał zadarty nos, wywiniętą górną wargę i skośne mongolskie oczy, którą to cechę jeszcze bardziej podkreślała ogolona głowa i żółta cera. Przezywano go Tatar lub Żółtek. Skazany został za morderstwo i pozostało mu jeszcze cztery lata do odsiedzenia. Był tak zwanym "przydupnikiem", czyli sutenerem, i nadal miał udział w dwóch burdelach, jednym na Sielcach, drugim na Tamce. Dziewczyny przynosiły mu wałówki.

Wojciechowi nigdy nie brakło tytoniu ani żadnych rzeczy, które można było nabyć za pieniądze. Opłacał się co miesiąc strażnikom i samemu dyrektorowi.

Dostarczano mu regularnie wódkę, kielbasę, pieczone kaczki. Napływała do niego ustawicznie poczta, ponieważ jednak sam nie umiał czytać, Lucjan, według określenia Wojciecha, został jego "tłumaczem". W zamian wziął go pod opiekę przed brutalami i bandziorami, domagającymi się cotygodniowej daniny od spokojniejszych współwięźniów. Wszyscy wiedzieli, że Kułak ma w celi zakrzywiony tatarski nóż, słyszano też, jak się chwalił, że ukrywa nabity rewolwer. W czasie bójki Wojciech rzadko używał rąk. Bódl głową jak byk bądź też kopał ciężkimi drewnianymi buciorami. Bał się uderzyć pięścią, gdyż – jak mówił – byłby to śmiertelny cios.

– Hej, ty łajdacki hrabio!

Lucjan milczał.

– Hej, zawszony dziedzicu!

Było wczesne, letnie popołudnie, w celi jednak panował mrok. Kraty w oknie zasłaniała siatka druciana odcinająca dostęp światła. Jedyne na spękany tynku jednej ze ścian igrały słabe promienie słońca. Masywne belki krzyżowały się na suficie. Ściany zewnętrzne były tak grube, że maleńkie okienko ginęło we wnętrzu.

Zarówno Lucjan, jak Kułak mieli na sobie regulaminowe szare płócienne spodnie i krótkie kaftany. Kułak zdjął buciora jego ogromne palce u nóg były tak długie jak palce u ręki dorosłego mężczyzny. Mówiono, że potrafi krajać nimi chleb,

a nawet zwinąć papierosa.

– Hej, ty arystokrato za trzy grosze!

Lucjan nauczył się, że w więzieniu nie należy odpowiadać za pierwszym ani za drugim razem, nawet Kułakowi.

Ci, co się zrywają na pierwsze gwizdnięcie, to żółtodzioby zwykle jako cała nagroda za gorliwość czeka ich obelga lub brutalny żart. Doświadczony więzień udaje więc, że nie słyszy, gdy się do niego mówi, przynajmniej do czasu, aż przyjdzie mu chęć na rozmowę. Wyglądało na to, że Kułak ma coś do powiedzenia.

O co chodzi? – odezwał się wreszcie Lucjan. – O czym tak myślisz?

– O niczym. Zupełnie o niczym.

– O babach, no nie? Lucjan się uśmiechnął.

– Cóż można na to poradzić?

– Nie myśl o tym za dużo, możesz rozum postradać i co potem? Troszkę nie zaszkodzi, jeśli jednak za dużo, śruba się rozluźni albo pięknie naczynie krwionośne.

– A niech sobie pęka.

– Co zamierujesz zrobić po wyjściu? Myślałeś o tym? – Nie, jeszcze nic nie postanowiłem.

– Co zrobisz z tą suką Bobrowską? Pozwolisz jej żyć?

– Nie chcę tutaj dokończyć żywota.

– Boisz się, co? Robisz w portki, tak? Ale ja nie.

Wypruję bebechy z jednego takiego. Tym oto nożykiem.

– Sprowadzą cię tu natychmiast.

– Nie mnie. Ostatnim razem zbyt mnie poniosło, cholera. Ukatrupiłem takiego jednego na oczach świadków.

Tym razem to będzie czysta, cicha robota – zaprowadzę go do lasu praskiego. Pojemy sobie, popijemy, pogadamy prawdziwie po koleżeńsku. Później ja mu powiem: "No dobrze bratku, piosenka skończona. Przeżegnaj się, bo idziesz do Bozi." A potem – prosto w bebechy.

– Capną cię prędzej czy później.

– Brednie, Nie tak łatwo. Nawet jeśli gliny podejrzewają, co mogą zrobić?

Wszystkiemu zaprzeczę. Ty, szanowny panie, boisz się ich metod przekonywania.

Grzmotną ciebie, a ty już paplesz, donosisz na rodzzonego ojca.

Ja potrafię znieść cios. Jeśli trzymam głowę na kłódkę, nie będą próbowali jej otworzyć gorącymi kleszczami.

– A tymczasem znów będziesz gnił za kratami.

– Jak długo? Nie mogą trzymać bez końca, muszą wypuścić. Takie jest prawo.

Znamy ten przeklęty kodeks lepiej niż prawnicy. Sąd to sąd. Wiemy też, co robić, kiedy jakiś sukinsyn zaczyna paplać. Wyprawiamy go na tamten światy ażeby na pewno się tam dostał, ładujemy go do kufra. Kapujesz?

To się nie opłaca. Za chwilę zemsty cena jest zbyt wysoka.

Kaznodzieja, patrzcie go! Po kiego więc diabła goniliście za Chodzińskim? Po co się zadawałeś z całą tą kupą szumowin? A i tak przystaniesz do nas.

Nie, Kułak. Nie zamierzam wypluć sobie płuc za kratami.

– Co chcesz robić?

– Wyjechać.

– Dokąd? Z czego będziesz żyć?

– Znajdę coś. Jakąś pracę.

Niby jaką? Co potrafisz? Masz delikatne rączki. Nikt ci nie zawierzy złamanego grosza. Gdzie pójdiesz, do czeluści Lucyfera?

Na Korsykę. Albo na Sycylię. Może do Kalifornii.

– I co będziesz robić?

– Kupię kawałek gruntu. Mały domek.

– I co zrobisz z tą ziemią? Uprawisz swoim ryjem?

– Pomarańcze same rosną. Nie trzeba ich uprawiać.

Jak się ma kilkaset drzewek, wystarczy tylko zrywać dojrzałe owoce.

Sprzedajesz je i masz na utrzymanie.

– No pewno, takie to proste, że nawet dzieciak potrafi.

Sam siebie oszukujesz, mój stary. Już tam na ciebie tylko czekają! Na statku płynęło do Ameryki trzystu Polaków, trzydziestu jeden wykitowało w drodze. Pisali o tym w gazetach. W żarciu pełno było robaków. Trupów nie pochowano po

chrześcijańsku tylko rzucono rybom.

– Dla umarłego to już niewielka różnica, czy go zjedzą robaki, czy ryby.

– Tych, którzy tam dojadą, kierują do kopalń. Jak się kopalnia zawali, duszą się od gazu. Racja, nie jestem uczony, ale wiem, co się dzieje. Mają tam teraz kryzys, ot, co mają.

– A i to lepsze niż gnić tutaj. Kułak chwilę się zastanowił.

– Myślisz, że mnie się tutaj podoba? Każdy dzień zdaje się rokiem. Przeklęty wielmożny sędzia mówi: sześć lat, tylko sześć okrągłutkich latek. Łatwo mówić, ojczulku, ale siedzieć w tej ciasnej przegrodzie to całkiem inną sprawą zwłaszcza w taki upał. Chciałoby się pobyć na wsi, znaleźć ładny stawek i dać nurka, a pływam jak ryba. Chciałoby się pójść z dziewczyną do łóżka. A co złego, jak się zagładnie do szynku i wy trąbi parę kufli piwa? Tutaj mamy psie życie. Leżę w tej norze, a do głowy przychodzą różne szalone myśli.

Wiesz co, szlachcicu, chcę ciebie o coś? zapytać.

– Co takiego?

– Wierzysz w Boga?.

– Bynajmniej.

– Któż więc stworzył ten świński świat?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

I

W połowie maja zwolniono Lucjana z więzienia. Przy bocznej bramie czekała na brata Felicja w karecie swego męża. Pomimo ciepłej pogody Lucjan ubrany był w ciężkie palto, miał na nogach popękane obuwie i spłowiały melonik. Rodzeństwo nie od razu się poznało. Felicja, ubrana na czarno, w kapeluszu z welonem, przypominała Lucjanowi matkę. Wciąż jeszcze nosiła żałobę po Miriam–Libie. Jej blond włosy przyprószyła siwizna. Lucjan wychudł, cera mu pożółkła, siwe włosy srebrzyły się na skroniach. Uściskali się. Nieduża grupka ciekawskich zgromadziła się pod bramą więzienia.

Stangret zaciął batem i kareta potoczyła się w ulicę Żelazną, a potem Grzybowską do Kredytowej. Lucjan nie poznawać ani Warszawy, ani domu Felicji. Na Królewskiej i Marszałkowskiej spostrzegł tramwaje konne. Wsiadł z karety i szybko przeszedł przez bramę kamienicy, w której mieszkała Felicja. Pokojówka już otworzyła drzwi mieszkania. Nikt nie zauważył, jak eks–więzień wysiadał i wchodził frontowymi schodami.

Tego dnia Zawadzkiego akurat nie było w domu, a Władzio i Marysia, dzieci Lucjana, nie wrócili ze szkoły.

Janina, córka stróża zastrzelonego przez Lucjana, zaadoptowana bez jego wiedzy przez Felicję, również gdzieś wyszła. Pokój i ubranie były przygotowane.

Wszedł do łazienki, gdzie już palił się ogień w piecu kąpielowym na ławeczce leżała bielizna, szlafrok i nowe ranne pantofle. W wyłożonej kafelkami łazience stała wanna z białego marmuru. Lucjan uśmiechnął się do siebie szorując ciało gąbką i pachnącym mydłem. “Gdybyż to Wojciech Kułak mógł mnie teraz widzieć”... Wytarłszy się tureckim ręcznikiem, włożył szlafrok i pantofle. W pokoju miał przygotowany letni garnitur, słomkowy kapelusz, płócienną koszulę, sztywny kołnierzyk, jedwabny krawat i parę nowych błyszczących półbutów. Widocznie obecnie i w Warszawie można było nabyć wszystko gotowe, jak w Paryżu. Felicja

pamiętała nawet o szelkach, spinkach do mankietów i podwiązkach. Stał przy Oknie wychodzącym na podwórze. Służąca, która go wpuściła, weszła z workiem, żeby zabrać jego stary przyodziewek.

Wyniosła go prosto na śmietnik.

Wszystko odbyło się spokojnie. Ubrał się i jego Wygląd zmienił się całkowicie. Nie upłynęło więcej jak dwie godziny od wyjścia z więzienia, a już wydawało mu się ono czymś odległym, co przeżył przed laty lub o czym czytał w książce. Gdy stanął przed lustrem, z trudem poznał sam siebie. Odczuwał przyjemną czystość koszuli, świeżej bielizny i skarpetek. Pantofle wydawały się tak lekkie, jakby był boso. Słomkowy kapelusz pasował jak ulał.

Felicja otworzyła drzwi i załamującym się głosem zawołała:

– Kochany mój!

Wzięła go pod rękę i poprowadziła do jadalni. Obiad był zwykle o godzinie czwartej, ale dla Lucjana przygotowano drugie śniadanie. Weszła kucharka w białym fartuchu i czepku na blond włosach usługiwały mu obie z pokojówką. Biały obrus zaścielał stół na którym postawiono wazon z kwiatami. W wyplatany koszyczku na stole leżały świeże bułeczki, stało mleko słodkie i kwaśne, ser biały i szwajcarski. Czy tak jadano na co dzień, a może to święto? Podczas lat więzienia zapomniał, że Istnieją takie rzeczy, jak solniczki i kwiaty. Nieomal zapomniał, jak obchodzić się z serwetką i sztućcami. Uśmiechnął się do służących i przymrużył znacząco oko, ale one wyglądały na zakłopotane i nie odpowiedziały uśmiechem. Felicja zapytała, co woli: herbatę czy kawę. Gdy dokonał wyboru, zwróciła się do kucharki ze słowami:

– Kawa dla pana hrabiego.

Lucjanomal nie wybuchnął śmiechem. "Hrabia, a to ci dopiero!" Jadł i starał się przestrzegać dobrych manier: nie wolno rzucać się na nic łapczywie, nie wolno głośno mlaskać, nie należy wyjadać resztek z talerza. Ale odczuwał głód, bułeczki były mało treściwe, rozplływały mu się w ustach. Smażone jajka zwiększyły tylko apetyt.

"No cóż, z głodu nie umrę." Wypił kawę i zakręciło mu się w głowie niczym po wódce. Ogarnęła go senność, zaczął ziewać, przysłaniając ręką usta, jak go

uczono w dzieciństwie. Felicja z macierzyńskim oddaniem spoglądała nań kiwając głową. Najpierw sądził, że przypomina matkę, teraz zdawała się podobna do ich babki, której portret wisiał w jednym z salonów dworu.

– Jesteś zmęczony?

– Tak, bardzo zmęczony.

– Idź do swego pokoju i połóż się.

– Dobrze, zdrzemnę się. – Mówił takim samym rozwlekłym, prostodusznym tonem jak Wojciech Kułak.

Felicja odprowadziła go z powrotem do pokoju, w którym już przedtem się przebierał. Dopiero teraz spostrzegł łóżko, dwie nieskazitelne, po włóczki na poduszkach, kołdrę z czerwonego atłasu w rozszytej koronkami podpince. Nad łóżkiem wisiał portret Lucjana jako psotnego chłopca, namalowany przez francuskiego malarza. To wszystko było zbyt piękne, aby mogło trwać.

– Mam się rozebrać czy położyć w ubraniu?

– Jeśli chce ci się spać, rozbierz się. Pozostało ci jeszcze trzy godziny do obiadu, a Marian może się spóźnić. Mą wykład.

– Dobrze, dziękuję.

Felicja musnęła go lekkim pocałunkiem. Lucjan zaczął się rozbierać.

Odzwyczał się od szelek, kołnierzyka, spinek kołnierzyk wygiął się, spinka wypadła z mankietu.

Kiedy ię wreszcie położył do łóżka, miał dziwne uczucie zapadania się w puchy bez dna. To znów mu się zdawało, że się unosi w powietrzu. Wszystko było zbyt czyste, zbyt lekkie. Mimo senności nie mógł zasnąć. Czy to wciąż jeszcze ten sam dzień? Jak może jeden dzień ciągnąć się tak długo? Czy naprawdę jestem wolny?" W więzieniu marząc o dniu, kiedy wyjdzie na wolność, wyobrażał sobie szynk, hałas, prostytutki, muzykę. Felicja natomiast przywiozła go do domu jak uczniaka z internatu... Przed oknem rosły akacje. Po drugiej stronie ulicy ktoś brzdąkał na fortepianie, melodia zlewała się ze świergotem samotnego ptaszka. Ciszej tutaj niż w więzieniu. "Czy to jest szczęście? – zadawał sobie pytanie. Czy warto było o tym marzyć?" Odpowiedzi nie znalazł. Zamknął oczy i z wolna zapadł

w sen.

Śniło mu się, że jest z powrotem w więzieniu. Wynikła bójka między Wojciechem Kułakiem a innym więźniem.

Ktoś wyciągnął NÓŻ. Lucjan zbudził się pełen lęku, a zarazem pożądania. Już dawno zauważył, że "sny o morderstwie wywołują w nim pożądanie. Czy inni ludzie też tak reagują? A może tylko on jeden? Usiadł w łóżku i otarł pot z czoła. Spędził w więzieniu kilka lat, układał niezliczone projekty, nie podjął jednak żadnej decyzji.

Wiele rzeczy planował: wyemigrować do Ameryki bądź na Korsykę, zostać zakonnikiem, osiąść na paru morgach w Polsce, wyjechać na Syberię. Wciąż jednak nie wiedział, co naprawdę chce robić. Snuł również szalone zamysły, żeby obrabować Wallenberga, zemścić się na kochanku Bobrowskiej, przyłączyć do buntowników pragnących obalić cara i znieść kapitalizm.

Koił też, że przystanie do świata przestępczego, do bandy Wojciecha Kułaka. Ile to myśli przebiegło mu przez głowę w ciągu widu lat, kiedy osiemnaście godzin na dobę miał na snucie rojeń... Siedząc w łóżku ziewnął i się przeciągnął. Kłębiły się w nim różne uczucia męczenie, pożądanie, zakłopotanie na myśl o spotkaniu ze szwagrem i własnymi dziećmi Felicja wspomniała coś o zaadaptowaniu jakiejś dziewczynki. Co to za jedna?

“Po co adoptowała dziewczynką jeśli ma Już Władzia i Marysią?” Był po kąpieli, czysty, a mimo to czuł swędzenie i musiał się drapać. Bolało go ucho, dokuczał trzonowy ząb, a nos miał zatkany jak przy katarze. Włosy ostrzyżone krótko przy skórze były zjeżone i kłujące.

– Eto czorta z tym świńskim życiem! Muszę dziś wieczór pójść do burdelu – mruknął pod nosem.

Nagle wybuchnął śmiechem. Przypomniał sobie dzień, w którym zjawił się w celi nowy więzień, siedemnastoletni chłopak, morderca rodzonej matki. To bydlę, Wojciech Kułak, zgwałcił go od razu pierwszej nocy... “Co za świnią – myślał Lucjan. – Życie w więzieniu zdziera maskę hipokryzji i przedstawia je w całej jego nagości.” Przebiegł go dreszcz wzdłuż kości pacierzowej jak lodowata nitka biegnąca zygzakiem od karku po miednicę.

Ktoś zapukał. Lucjan zapomniał, co należy odpowiedzieć.

– Ano! – zawołał.

Felicja otworzyła drzwi – Nie śpisz? Obiad gotowy.

– Dobrze.

– Kochany, muszę ci coś powiedzieć – odezwała się poważnym głosem.

– Co takiego?

– Mówiłam ci, że zaadoptowałam młodą dziewczynę.

Nazywa się Janina. Pragnę, abyś wiedział, kim ona jest.

Nie chcę, żeby wynikły jakieś nieporozumienia.

– Kto to?

– Córka ofiary. Musiałam to zrobić. Dobre z niej dziecko.

– Jakiej ofiary? Nieważne. Rozumiem.

– Jej siostry ulokowałam na służbie, ale Janinka jest bardzo zdolna. Dobrze się uczy. Wybitnie uzdolniona.

Cieżko by mi było oddać ją na służbę. Ona ci przebaczyła. To prawdziwie chrześcijańska dusza.

Pokochała twoje dzieci i jest dla nich jak rodzona siostra.

Niejednokrotnie zanosila cd paczki do więzienia.

Chciałam do ciebie o tym napisać, ale potem pomyślałam, że lepiej tego poniechać.

– Ach tak!

– Powiedz coś. Mam nadzieję, że jej obecność w domu nie będzie ci przeszkadzać.

– Dlaczego miałaby mi przeszkadzać? Tacy jak ja są do wszystkiego nawykli.

– Musiałam odkupić grzech zbrodni. Może właśnie dlatego Bóg wysłuchał mych modlitw...

– No dobrze.

– Nie przypominaj jej o przeszłości. A przede wszystkim nie zdradz się, że wiesz, kim ona jest. W. tym domu o pewnych rzeczach nie wolno mówić.

– Tak, oczywiście.

– Co z tobą? Czy nie mogłeś spać?

– To prawda, nie jestem przyzwyczajony spać w białej pościeli.

– Mój biedny braciszku! Drogo zapłaciłeś za swe błędy. Niech Bóg napełni twoje serce dobrymi myślami.

Twarz Felicji ściągnęła się, po policzkach popłynęły łzy. Nie miała przy sobie chusteczki, więc szybko opuściła pokój, by się wypłakać na osobności. Lucjan wstał z łóżka. Bolały go kości od miękkiego materaca.

Zacisnął pięści i głęboko oddychał. Czuł potrzebę splunięcia, lecz nie śmiał zabrudzić podłogi. Chciało mu się użyć nieprzyzwoitych słów, z kimś się kłócić, przeklinać. Tutaj było za elegancko, za spokojnie. "To nie dla mnie", pomyślał.

Nauczył się różnych sztuczek od Wojciecha Kułaka, Chwycił skarpetkę palcami u nogi i podniósł do dłoni.

Znów musiał nałożyć sztywny kołnierzyk, krawat, męczyć się ze spinkami przy kołnierzyku i mankietach. "Cholerne wymysły! Gorsze niż kajdany u nóg! – warknął – Już sobie skaleczyłem grdykę!" Znów zaczął ziewać, a jednocześnie opukiwał pierś palcem. Przyzwyczał się do więziennego wiadra, nocnik stojący pod łóżkiem był zbyt elegancki. "Czy to porcelana? Tam chcieliby móc jeść z takiego wymyślnego naczynia." Pochylił głowę i rozmyślał. Miriam–Liba nie żyła. Dzieci już od lat nie widział.

Felicja przysyłała mu ich fotografie, ale to nie. to samo.

"Jak ona powiedziała? Córka ofiary. No i kogo to obchodzi?" Wyszedł na poszukiwanie salonu lub jadalni (zapomniał, jaki jest rozkład mieszkania). Otworzył drzwi i zobaczył wszystkich zgromadzonych. Marian Zawadzki nie bardzo się postarzał, chociaż pasma włosów po obu bokach wyłysiałej głowy już posiwiały. Władzio podobny był do matki, ale cechujące Miriam–Libę delikatność, smutek, chorowitość u niego przerodziły się w męskość, siłę i młodzieńczą zuchwałość. Miał krótko przystrzyżone lniane włosy, stalowoszare oczy i zadarty nos. Nosił gimnazjalny mundur z wysokim kołnierzem. Wiosną czekała go matura. Podniósł się i podszedł do Lucjana.

Władzio przewyższał ojca o pół głowy. Kiedy się uśmiechnął, na rumianych

policzkach ukazały się dołeczki. Pocałował ojca nie odzywając się ani słowem.

Lucjan poczuł się mały i stary w porównaniu z synem.

– Tak więc wyglądasz! – odezwał się. – Wydoroślałeś.

– Jakżeby inaczej? Czas nie stoi w miejscu! – zaśmiał się chłopiec.

– Czy pamiętasz ojca? – zapytał Zawadzki.

– Naturalnie. Wziął mnie raz do Łazienek, jedliśmy przy stoliku w, parku.

Kupił mi obręcz. Czy ojciec pamięta? – zwrócił się do Lucjana.

– Nie, nie pamiętam. Mam słabą pamięć. Dzieci lepiej pamiętają.

– Nawet Paryż pamiętam.

– To niemożliwe. Miałeś trzy lata, kiedy wróciliśmy do Polski.

– Ale pamiętam. Pociąg i wszystko inne. Ojciec mi nie wierzy.

Władzio poczerwieniał. Przyzwyczał się nazywać Zawadzkiego “ojcem”.

Teraz jednak, kiedy powrócił prawdziwy ojciec, Felicja pouczyła dzieci, że mają Zawadzkiego nazywać “wujkiem”, a ją – “ciocią”.

Marian Zawadzki, ucałowawszy Lucjana w oba policzki, wziął go pod ramię i odezwał się:

– Wcale dobrze wyglądasz.

Marysia, o cztery lata młodsza od Władzia, przypominała raczej Lucjana. Była drobna, śniada, o brązowych oczach. Ciemne włosy spletała w dwa warkocze.

Niespełna czternastoletnia, zachowywała się z takim opanowaniem jak osoba dorosła. Znalazłszy się twarzą w twarz z ojcem splonęła rumieńcem, uśmiechnęła się nieśmiało i dygnęła. Córka przypadła natychmiast Lucjanowi do serca. Pocałował ją w skroń i ujął za rękę, niepewny, co powiedzieć. Wreszcie odezwał się:

– Ładna z ciebie panienska.

– Nie tak bardzo.

– Podobna jesteś do zmarłej babki, mojej matki.

– Tak, mama – to znaczy ciocia – też tak mówi... – Marysia jeszcze bardziej się zmieszała.

Janina, córka stróża, dziewczyna siedemnastoletnia, również podniosła się z miejsca. Lucjan osądził, że chociaż ubrana po miejsku ma w sobie coś chłopskiego.

Grubokoścista, rumiana, o wystających kościach policzkowych, i szerokim nosie. Z chabrowych oczu przebijała chłopska dobroduszość. Przypominała Lucjanowi wiejskie dziewczęta pasące gęsi lub krowy.

Trudno uwierzyć w jej pojętność do nauki, o czym zapewniała Felicja. Włosy, zaplecione przy uszach w dwa warkocze, były koloru słomy. Marysia (którą Felicja pochwaliła za doskonałą grę na fortepianie) miała wąskie dłonie o długich palcach, natomiast Janina – grube ręce służącej i ramiona pokryte piegami Wokół szyi, powyżej pełnych piersi, wisiał sznurek koralii. Felicja przedstawiła ją:

– A to nasza panna Janinka.

Lucjan podał rękę. Dziewczyna poczerwieniała jak ogień. “Wezmę ją do łóżka”, postanowił natychmiast.

II

Ostatniego poranka w więzieniu Wojciech Kułak przyjął inną taktykę i udzielił Lucjanowi lekcji panowania nad sobą.

– Nie idź do tej Bobrowskiej ani do tej drugiej. Zabijesz jedną albo drugą i co potem? Jesteś zbyt porywczy.

Jeśli schowałeś gdzieś rewolwer, zapomnij o nim. Ludzie tacy jak ty nie mogą wyrzec się: paff paff Następnie dał Lucjanowi adres kamrata na Mariensztacie, pod którym była kawiarenka i dom publiczny. Podał mu hasło, a nawet polecił swoją dawną kochankę.

– Wolę, żebyś to był ty niż inni.

Lucjan jednak nie poszedł pod wskazany adres.

Zamiast na Mariensztat skierował kroki na Marszałkowską i dalej na Żelazną. Zatrzymał się przy przejeździe kolejowym i długą chwilę przyglądał się wagonom, parowozom oraz szynom i zwrotnicom.

Przejeżdżały wagony towarowe naładowane budulcem, węglem, naftą. Słychać było gwizdki, usmarowani kolejarze dawali sygnały chorągiewkami i latarkami.

Kominy parowozów buchały dymem i parą. Lucjan zapragnął znaleźć się w pociągu i dokądś jechać. Nie miał niestety ani paszportu, ani pieniędzy. Zawrócił z powrotem ku miastu. Dom, w którym mieszkała Bobrowska, znajdował się między ulicami Łucką i Grzybowską.

Pozostało dawne ogrodzenie, z biegiem lat pochylone i rozpadające się. Owej nocy, kiedy stąd odchodził, padał śnieg. Teraz przez otwartą bramę zobaczył dwójkę bosych dzieci bawiących się w mroku wieczoru. Nagle w bramie ukazała się znajoma postać. Poznał po chodzie, nie po twarzy, że to Kasia. Ubrana po miejsku, była bez chustki tylko w perkalowej sukience i pantoflach na wysokich obcasach niosła koszyk. Wyrosła, zmężniała, włosy upinała w kok jak dojrzałe kobiety. Czy to możliwe?

Ile mogła mieć lat? Stanął bez ruchu w bramie. Wciąż go nie poznawała, a przechodząc obok, żeby go ominąć, odezwała się:

– Przepraszam.

– Nie gniewam się – odparł nie ruszając się z miejsca.

Kasia podniosła oczy i zamarła.

– Lucjan!

– Tak.

– Wielki Boże!

Nie mogła mówić, poruszyła ręką, jakby chciała się przeżegnać, ale ręka jej opadła.

Tak, to ja – odezwał się wreszcie. Po chwili wahania dodał: – Jeszcze nie całkiem umarłem.

– Kiedy wyszedłeś? Zostało ci rok albo i więcej – Ogłoszono amnestię na urodziny cara..

– Ach tak.

Ul No, co u ciebie? Jak tam Bolek?

– Bolek to już duży chłopak. Uczy się. Co dzień, z wyjątkiem niedzieli, chodzi do szkoły.

– Co dzień? Co jeszcze słyhać nowego? Pracujesz jako szwaczka, prawda?

– Tak.

– Nie drzyj. Nie zabiję ciebie. Nawet nie mam broni – mówił dziwiąc się własnym słowom. Kasia stała przed nim blada, z otwartymi ustami. Potrząsnęła machinalnie głową.

– Ach, jak mnie przestraszyłeś!

– Musisz mieć nieczyste sumienie, jeśli tak się boisz. Zdawało się, że nie rozumie jego słów.

– Wyglądasz tak pięknie i elegancko – odezwała się.

–Ale nie tak elegancko, jak ten stary kozioł Cybulski – wymknęło się Lucjanowi, zdziwionemu własnymi słowami.

– Kasia spochmurniała i cofnęła się o krok.

– Muszę już iść do domu.

– Czeka tam na ciebie?

– Zrobiłam potrzebne zakupy.

– A co kupiłaś? –, Nici.

– Nici? Nic ci złego nie zrobię. Nie musisz tak się bać.

Chcę tylko wiedzieć prawdę.

– No tak, prawda. – Kasia wyglądała, jakby jej coś utkwilo w gardle., – Kto ciebie do tego naklonił? – wyszeptal Lucjan. – Ten stary nicpon? A moze ty sama?

Kasia sie obejrzała.

– Nie" możemy rozmawiać w bramie – wyszeptala.

– Dlaczego nie? Tylko mów prawdę.

– To się stało samo przez się. Ciebie zabrakło, zostaliśmy jak sieroty.

– Kto to: "my"? Ta małpa Bobrowska?

– My wszyscy. On był taki życzliwy... To dobry, stary człowiek. Przynosił upominki, kiełbasę, wódkę, różne rzeczy. Myśleliśmy, że nigdy nie wyjdiesz żywy z więzienia.

– Ach tak!. – No, a tu on się zjawił taki wesoły. Zawsze z nami żartuje.

Przyrzekł pomóc chłopakowi i nam wszystkim.

– Co jeszcze?

– To już wszystko.

– Jak to sobie ułożyliście? We trójkę w jednym łóżku?

– Co takiego? Boże broń!

– No więc jak? – Co mam mówić?

– Chcę wiedzieć prawdę – On taki stary. Pewno ma siedemdziesiątkę. Chce tylko popieścić i całować. Czasem uszczypnie albo połachocze. Zwierza się nam. W życiu mu nieraz ciężko.

– Z czym mu tak ciężko?

– Z różnymi rzeczami. Wyrzucili go z teatru. Z tego dużego, z kolumnami. Zaczął pić. To stary przyjaciel Bobrowskiej. Z dawnych czasów i...

– I co?

– Nic.

– Kochasz go?

Kasia milczała.

– Odpowiadaj na moje pytanie!

– Nie. Tak. To miły dziaduś. Dla mego chłopca i dla wszystkich. Przychodzi i wygraża laską. Nie żeby uderzyć tylko tak na żarty. Potem zaczyna szukać po kieszeniach. Dla każdego ma prezent. Na jakąś rocznicę albo imieniny. Nie żałuje pieniędzy. Rozsiada się wygodnie. Rozmawia tak zwyczajnie zapomina się, że to pan.

– Pan? No dobrze, co jeszcze?

– Nic.

– I to wszystko z obydwiema?

Kasia nie odpowiedziała.

– Wyzbyłaś się zupełnie wstydu?

– Nie. O czym ty mówisz? Nie rozumiem, co masz na – Dobrze wiesz.

Mógłbym cię zabić, chociaż nie posiadam broni. Mógłbym cię zaraz tu na miejscu udusić. Ale tego nie zrobię. Chcę tylko poznać prawdę.

– Powiedziałam ci prawdę.

– Zaszłaś przez niego w ciążę?

– W ciążę? Nie. – Zupełne o mnie zapomniałaś, prawda?

– Nie zapomniałam Niech mnie Bóg skarże! Co dzień o tobie myślałam Zapaliłam świeczkę za ciebie do świętego Michała. Ludzie na nas wygadywali, wytykali palcami. Ktoś opisał w gazecie. Wiedziałyśmy, że musisz jeszcze odsiadywać karę, a nastały złe czasy. Kobiety nie zamawiały nowych ubrań, tylko nicowały stare żakiety. Bobrowska wbiła igłę w palec i trzeba było usunąć paznokiec. Bała się zakażenia i tego, że trzeba będzie odciąć palec. Wtedy zjawił się on, taki dobry, zabrał ją do lekarza. Doktor zapisał maść i palec się zagoił. Posłał Bolka do szkoły, kupił mu książki, stalówka i obsadkę, tornister, rozmówił się z nauczycielem. Takie różne rzeczy. Powiada: "Masz tu trzy ruble, niech ci będzie na zdrowie." Sam teraz nie zarabia, ale zaoszczędził w dobrych czasach. Bardzo nam oddany, chociaż już stary.

– No i co jeszcze?

- To wszystko.
- Czy on jest teraz u was?.
- Chyba tak. Miał przyjść.
- Chcę się z nim zobaczyć.
- Tylko nie zaczynaj bijatyki..
- Bijatyki? Gdybym zechciał, to bym go rozgniół jak pluskwę. Jego i was wszystkich. Ale nie mam zamiaru.

Zawsze nienawidziłem tej suki Bobrowskiej, a z ciebie głupia chłopka, głupsza od bydlaka.

- Nie mów takich rzeczy. Bóg cię pokarze.
- No, już dość, chodźmy. myśli.

Lucjan po otwarciu drzwi ogarnął wszystko jednym spojrzeniem:

Bobrowską, Cybulskiego, zmiany zaszele w mieszkaniu. Ściany świeżo pomalowane, haftowane firanki w oknach. Na podłodze leżał tani dywanik. Na ścianach wisiały obrazy: król Batory, król Sobieski, scena z polowania z psami. Cybulski siedział na nowym wyściełanym krześle. Lucjan poznał go od razu. Cybulski zatrudniał go od czasu do czasu jako statystę w teatrze.

W ciągu tych lat, które upłynęły Lucjanowi w więzieniu, Cybulski się zestarzał, zrobił się gruby i brzuchaty. Dużą głowę okalały długie włosy. Ubrany był w alpagową marynarkę, miękki kołnierzyk i czarny szeroki krawat z jedwabiu na aksamitnej kamizelce, wyszywanej srebrną nicią, wisiała złota dewizka. Twarz miał gładko wygoloną, a brak zarostu sprawiał, że na pierwszy rzut oka przypominał starą kobietę. Podwójny zwiotczały podbródek opadał miękko, zakrywając krótką szyję. Duże torby, poprzecinane drobnymi zmarszczkami, zwisały pod piwnymi oczami. Na popielniczce leżała jego fajka.

Zapewne dopiero co skończył opowiadać jakiś kawał, bo jeszcze się śmiał, aż się trzęsły wszystkie fałdy na jego twarzy, a kamizelka w srebrne cętki unosiła się i opadała.

Bobrowska wyglądała jednocześnie jakby młodsza i starsza. Przypominała Lucjanowi zanadto spieczony bochenek chleba. Zaczęła siwieć, ale mocno

uróżowana okrągła twarz mniej była ściągnięta niż dawniej. Ubrana w różową suknię, rozrabiała ciasto w glinianej misce.

Kiedy Lucjan wszedł, pierwsza odezwała się papuga.

Wydała ostry krzyk, jakby go poznawała. Na twarzy Bobrowskiej zjawiał się wylęknięty uśmiech. Kasia weszła za Lucjanem. Cybulski przestał rechotać, otarł łzy wywołane śmiechem, spoważniał, posmutniał.

– Jezus, Maria! Lucjan! – wykrzyknęła Bobrowska. Wyjęła łyżkę z miski, a grudka gęstego, żółtego ciasta spadła na podłogę.

– Tak, to ja.

– Jak się tu znalazłeś? Adam, patrz! Kasia! Ach, moi mili!

– Nie rozchlapuj ciasta... Tak, oto jestem. Nie spodziewałaś się mnie, co?

– Nie do wiary, kogo ja widzę! Kasia, gdzieś ty go znalazła? Kiedy cię zwolnili? Nie mogę uwierzyć! jakbyś spadł z nieba. Akurat dziś o tobie myślałam. Kasia świadkiem. Ledwo otworzyłam oczy, powiedziałam: „Taki gorący dzień, a on biedny nawet nie ma czym się tam ochłodzić.” Adam, ty pamiętasz Lucjana? Dałeś mu rolę statysty. Jak się ta sztuka nazywała? Wyleciało mi z głowy.

Co za niespodzianka! Kiedy wyszedłeś? Myślałyśmy, że jeszcze masz rok tego piekła.

– Objęła mnie amnestia.

– Co za amnestia? Cud! Świetnie wyglądasz.

Wspaniale! Kasia, co tak stoisz jak kołek? Zabieraj to ciasto ode mnie. Miałam właśnie usmażyć naleśniki.

Pamiętasz naturalnie pana Cybulskiego?

– Oczywiście, że pamiętam. Miałem zaszczyt go poznać.

– No dobrze, ale po co stać w drzwiach? Gość w dom, Bóg w dom. I to jaki gość! Gdybym wiedziała, kupiłabym kwiatów. Żeby było z paradą, jak się to mówi.

Ach, ale o czym ja plotę? Zupełnie jestem ogłupiała.

Wyglądasz młodo, jak książątko... Kasia, co stoisz jak wryta? Podaj przynajmniej krzesło, żeby Lucjan mógł usiąść. Weź ode mnie tę łyżkę. O, ja nieszczęsna, zupełnie straciłam głowę.

Dopiero teraz Bobrowska podeszła do Lucjana.

Posuwała się mizdrząc, z na w pół wyciągniętymi ramionami, w oczach czaiła się niepewność, czy ma go uściskać czy nie.

Lucjan cofnął się i odezwał:

– Nie zadawaj sobie trudu.

– Jakżeż inaczej mamy się przywitać? Głowę mam nabitą kłopotami. Ostatnio źle się czuję, artretyzm...

Lekarze radzą jechać do Ciechocinka, brać słońce kąpiele. Raptem on spada, jak anioł z nieba. Gdzież to krzesło? Wytrzymaj je, Kasia, żeby sobie nie pobrudził ubrania. Pięknie jesteś ubrany, garnitur leży, jak ulał! Kiedy stąd odchodziłeś, była Zima, a na bożym świecie tylko śnieg i lód. Zupełnie jak wtedy u mnie w sercu... Dobrze wyglądasz, tylko przybladłeś. Nie mów, że nie jesteś głodny. Doprawdy chcą usmażyć te naleśniki, o ile pamiętam, to twoja ulubiona potrawa. – Jadłem kolację. Nie jestem głodny.

– Niegłodny? W każdym razie usiądź. Ręce mam trochę powalane jajkami i mąką, więc nie mogę ciebie uściskać. Kasia, dlaczego nie wycierasz krzesła?

– Czym? Szmata mokra – Ależ dzieciuch z ciebie. Wytrzymaj, czym popadnie, choćby spódnicą. Podejdz bliżej, Lucjanie. Nie usiłuj wmówić w siebie, że ciebie zapomnieliśmy. My dwie często o tobie mówimy, a także i z twoim synem. On teraz śpi.

Duży z niego chłopak. Zrobiliśmy tu osobny pokoik, dając przepierzenie przez twoją dawną alkowę. Tam Bolek śpi odrabia lekcje. Rysuje, pisze, wszystko jak potrzeba.

Jest taki milutki, że chciałoby się wycalować każdy jego palec. Już zasnął ten urwis! Wykapany obraz ojca!

Panowie się znacie, podajcie sobie ręce, ja nie mogę się przywitać.

– Pamiętam pana hrabiego. Grał pan przecież u nas w teatrze odezwał się Cybulski ochryplym głosem. Roześmiał się jak z dobrego żartu. Jego chichot przerodził się w astmatyczny charkot z falsetowym podźwiewaniem, jakby wydawał dwa głosy.

Lucjan się skłonił.

– Tak, miałem zaszczyt.

– Oczywiście. Grał pan przecież. Niewielkie rólki, ale wykazywał pan talent.

Jak się ta sztuka nazywała? Zdaje się jakaś adaptacja francuskiej komedii. W owych czasach teatr miał jeszcze godny pochwały cel: przynieść publiczności rozrywkę, kształcić, a zarazem bawić. W obecnych, nowych czasach pustego pozytywizmu i tak zwanej pracy konstruktywnej chcą zamienić teatr w uniwersytet pełen pedantycznej pompy i fałszywej dydaktyki, ze wszystkimi minusami, jakie ma uniwersytet, z pominięciem jego cech dodatnich. Nikt nie wie, czego taki mini teatr chce nauczyć, gdyż składa się z pustych gestów i pozbawionych treści frazesów. Chyba nie uda się nauczyć kupców prowadzenia ksiąg rachunkowych i oszczędzania, jeśli nie mają natury praktycznych Anglików lub I kochających pieniądze Prusaków. My, Polacy gonimy za nowinkami w każdej dziedzinie i jak tylko usłyszymy, że grają na jakimś weselu, staramy się tam zatańczyć. Nasi krytycy zawsze parzą sobie języki próbując obcych dań.

Cybulski się roześmiał. Twarz rozpromieniła mu się na chwilę jakąś mściwą radością. W minionych latach wiele wycierpiał od krytyków. Musiał rozstać się z dużymi teatrami, a nawet i te sztuki, które wystawiał w teatrzykach letnich, recenzenci ostro chlastali. Lucjan popatrzył na niego zdumiony.

– Pan się myli, bierze mnie pan z pewnością za kogoś innego. Nie dostałem żadnej roli. Byłem parokrotnie jedynie statystą.

– Ależ pan grał. Statystą? Elizawieto, to chyba nieporozumienie. Sama mi pana poleciłaś. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Co to była za rola? Rola amanta!

Cybulski znów wybuchnął śmiechem. Łzy napłynęły mu do oczu.

III

Głędzisz o sztuce, stary psie – mówił do siebie Lucjan – tymczasem całą radość twego życia stanowi ta stara kłępa młoda chłopka. Ktoś. naraził na szwank twój świński honor. Pamiętam czasy, kiedy ty się wynosiłeś nad innych. Przychodziłeś na próby, zajadałeś pomarańcze i pokrzykiwałeś: «Jeszcze raz!» «Całuje się nie w ten sposób!» «Zdradzony mężczyzna inaczej przemawia!» «Nie tak się chodzi «Nie tak się stoi!» – Teraz krytycy. pozbawili cię żądła i stałeś się czuły dla innych." Lucjan nie czuł gniewu do Cybulskiego. Tego wieczoru wznosił się na taki stopień bezstronności, jakiej dotychczas nigdy nie znał. Nagle ogarnęła go straszliwa nuda. "No tak, więc Kasia z nim się zadaje. Co za różnica? Wszystko jest nudne. Jeszcze bardziej niż więzienie... Kim jest taki Cybulski? Nadęty samochwała. Raz bym go dobrze ścisnął za gardło i byłoby po nim. Mógłbym go zabić samym krzykiem.

Usłyszał słowa Cybulskiego.

– Kult, jaki się wytworzył wokół postaci Modrzejewskiej, graniczy z barbarzyństwem Ma talent, to prawda.

Nie jest jednak jedyną dobrą aktorką w Polsce. Kochańska jest bardziej utalentowana, a są i inne równie uzdolnione To bałwochwalstwo, mój drogi hrabio. Odbywają się istne zawody pochlebców, w których jedni starają się prześcignąć drugich. Proszę mi wybaczyć to powiedzenie, brzmi ono: "całować komuś tyłek". Po co całować tyłek, nawet jeśli to jest tyłek geniusza? Czy wszystkie tyłki nie są do siebie podobne? Tłum zawsze musi mieć bohaterów, bożyszczka, a jeśli ich nie ma, to trzeba je stwarzać. Bierze się jakiegoś figuranta i wieńczy się go wawrzynem.

– To bardzo proste – przerwała Bobrowska jednocześnie zajęta przy rondlach.

– Mężczyźni są okropnie zawistni o swoją karierę. Jeśli więc muszą obsypać kogoś pochwałami, wybierają kobietę.

– Jest w tym pewna metoda – ciągnął Cybulski. – Wszystko to niegodziwość. Podnosi się jednego pod niebiosa, aby tym głębiej pogrążyć innych. Z chrześcijańskiego punktu widzenia to po prostu bałwochwalstwo.

– Kto traktuje poważnie chrześcijaństwo? – zapytał Lucjan. – Czy sam papież nie jest swego rodzaju bożkiem?

– No, drogi hrabio, nie posuwajmy się za daleko. Bez kościoła byłoby gorzej, znacznie gorzej. Jestem już starym człowiekiem, jedną nogą w grobie, jak się to mówi, ale wciąż tkwi we mnie pragnienie poświęcenia tych ostatnich paru lat naszej wierze. Kościół musi mieć przywódcę, w przeciwnym razie stanie się instytucją bez głowy jak protestantem. Nawet Żydzi mają swego rabina–cudotwórcę, kogoś w rodzaju starszego kapłana Sanchedrynu, czy jak się to dziś nazywa. W religii panuje jedno prawo, jeśli zgrzeszysz, zaprzędajesz duszę diabłu. Pokutując za grzech, uzyskujesz Boże przebaczenie. W teatrze zaś nie ma żadnego prawa. To jest najokropniejsze. Wystawia się sztukę z wielkim nakładem pracy, wiedzy, wysiłku, a jakiś szczeniak, nieuk, wyśmiewa ją. Jednym pociągnięciem pióra jesteś wykończony. W swoich kryminalnych posunięciach ci ludzie nie respektują żadnego kodeksu. Są jak owi starożytni władcy chińscy, chłopackowie liczący sobie pięć lat, którzy wybierali imiona, jak popadło, a posiadaczom tych imion kazali ścinać głowy. W Polsce, mój drogi hrabio, panuje anarchia typowa dla człowieka pierwotnego.

– Zbyt bierzesz do serca czyjeś opinie, drogi Adamie wtrąciła znów Bobrowska.

– Zbyt poważnie? Co może być ważniejszego dla ludzi teatru jak nie opinia? Co pozostało z mego życia oprócz recenzji? Wszystkie wkleiłem do albumu i to stanowi całą moją spuściznę. Pisarz zostawia książki, malarz – obrazy. Co po nas zostaje? Czas pożera nas niczym wilk.

– A co zostaje po wszystkich innych ludziach? – spytał Lucjan po prostu, by coś powiedzieć. – Mam tylko jedno dążenie: żyć chwilą obecną. Po śmierci mogą mnie rzucić psom na pożarcie.

– Jak tu żyć chwilą obecną, kiedy wokół nas są złoczyńcy? Drogi hrabio, nie śpiam za dobrze, więc mam czas na rozmyślania. Co dzieli takich krytyków od marginesu społecznego? Moralność mają taką samą, może nawet niższą. Tamci wojują nożem, ci – piórem. Być rzuconym psom po śmierci? Oni mnie za życia rozszarpali. Nie tylko mnie. Dziś ludzie pożerają się nawzajem. Taki jest system.

Kładzie się człowiek spać, a drugi odgryza mu ucho... Boli? Nie krzycz, to nie po męsku. Z czego to wszystko się bierze? Z odstępstwa człowieka od religii. Sam byłem ateistą w młodych latach.

Szermowaliśmy tak zwanym "postępem". Dreszcz zgrozy ogarnia, gdy Się patrzy na rezultaty. Pańska siostra, szanowny hrabio, osiągnęła szczyty. Zazdroszczę takiej osobie jak ona bardziej niż wszystkim Modrzejewskim, Kochańskim i całej reszcie. Pański syn Bolek to porządny chłopiec, sympatyczny, ma dobre serce i wie czego chce. No i jak się to stało, jeśli wolno spytać? Człowiek wszystko przeżyje.

– Tak, przeżyje. W więzieniu mówią: "Wcześniej czy później człowiek wychodzą stąd albo na własnych nogach, albo w trumnie." – No cóż, powinniśmy uczcić tę okazję. Niestety, mnie pić nie wolno. Ze względu na zdrowie. Musimy jednak czegoś pokosztować. Elżbieto... – Już daję. Ostatnim razem zostało trochę wódki. Nie byłam przygotowana. Gdzie ta Kasia? Pewno poszła po Bolka, Nie powinna go budzić. To dla dziecka niezdrowo.

Dlaczego nic nie mówisz, drogi Lucjanie? Jak spędziłeś ten dzień?

– Ot, dzień jak dzień. Rano byłem jeszcze tam, a teraz jestem tutaj.

– Jeśli wolno wiedzieć, czy widział się pan już z siostrą? – zapytał po chwili Cybulski..

Tak, czekała na mnie przed bramą więzienia.

– Coś podobnego! To wspaniała osoba. Elżbieta i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Poznaliśmy się może nawet przed pańskim urodzeniem. Ach, co też ja mówię!

Kobiety są przecież zawsze młode. Nigdy się nie starzeją, cha, cha... Były między nami różne sprzeczki, ale nigdy ze sobą całkiem nie zerwaliśmy. Mam na myśli naszą przyjaźń. To, co ona zrobiła dla Kasi, jest po prostu szlachetne. Czysty altruizm.

– Cybulski, proszę mnie nie chwalić..

W Ja nie chwale. W każdym z nas tkwi coś dobrego.

Zawsze marzyłem, żeby na stare lata porzucić całe to błoto i z zaoszczędzonych paru tysięcy rubli osiąść w jakimś mająteczku. Z chwilą gdy

człowiek się znajdzie wśród drzew, pod czystym bożym niebem i słucha śpiewu ptaków, znika miasto wraz z jego fałszywymi ambicjami i urojonymi dokonaniem. Jednakże pewne wyklęte dusze muszą znosić ten fetor aż do gorzkiego końca. Wszystko., jak" się to mówi, przeciekło mi przez palce. Wydałem wszystkie pieniądze. Nie rozumiałem, że oszczędność może być wielką cnotą nie u filistrów, lecz zwłaszcza u ludzi mego pokroju. No cóż, reżyseruję obecnie sztuki w letnich teatrzykach i nie mam pewności, czy nawet ta praca będzie trwała. Chcą mi wszystko odebrać bez reszty, aż do ostatniego źdźbła. Bobrowska klasnęła w dłonie.

– Adamie, co ci się dziś stało? Zawsze jesteś taki wesoły.

– Od czasu do czasu człowiek czuje potrzebę ulżenia sobie. Proszę mi wybaczyć, hrabio. No, pora na mnie.

– Co z tobą, Cybulski? Właśnie mam smażyć naleśniki, – Nie czuję się dobrze. Żołądek. Poczęstuj gościa naleśnikami.

Kasia powróciła z alkowy..., – Wychodzę już, Kasiu kochana.

– Dlaczego? Jeszcze nie jest późno.

– Źle spałem zeszłej nocy. Czasem mi się to zdarza.

Szanowny hrabio, proszę się nie gniewać. Jestem już starcem, a te głupstwa, jakie robiłem i robię, to skutek samotności.

– Tak, rozumiem.

– Bóg chce, aby człowiek się czuł nieszczęśliwy, zwłaszcza na starość. –

Cybulski powstał. – No dobrze, a gdzie moja laska?

– Dlaczego uciekasz? Kasia, podaj laskę. Weź koniecznie dorożkę!

– Tak, wezmę. No, do zobaczenia. Czy hrabia chciałby i przyjść do teatru?

Przedstawienie jest w ogrodzie, ale... teatr pozostaje teatrem. Jedyne kłopot z teatrem pod gołym niebem to brak galerii, nie licząc aniołów.

Cybulski znów się roześmiał i podniósł laskę, jakby chciał nią kogoś szturchnąć.

– Dobranoc. p – Co się stało? Dlaczego cni uciekł? – zapytała Bobrowska, kiedy kroki Cybulskiego ucichły. – Jest taki przewrażliwiony. Niespodzianie dopadła go starość. Nie tyle sprawił to wiek, ile obelgi, jakie nań rzucono. Przez wiele lat

pracował, aż tu naraz na niego plują. No tak, ale ci, co plują, nie będą rządzili wiecznie...

– Jeśli wyszedł z mego powodu, to żałuję – powiedział Lucjan świadom, że nie żałuje i że mówi bez przekonania.

– Z twego powodu? Dlaczegoż by?

Nie, on się źle czuje. To stary, opuszczony człowiek. Na szczęście ma trochę pieniędzy. Nie jest zupełnym biedakiem. Zwykle jest wesół. Nawet za dużo stroi żartów. No, ale ten wieczór należy do ciebie, Lucjanie.

Kasia, co się tak chowasz w kącie? Podejdz do niego, usiądź obok. Nie wstydź się. Przecież to ojciec twego dziecka.

– Bolek śpi. Czy mam go obudzić? – spytała Kasia.

Lucjan ustawił swoje krzesło na wprost Kasi.

– Nie, nie budź go.

– Wiecie co, ja sobie gdzieś wyjdę – ofiarowała się Bobrowska po chwili milczenia. Mogę zostawić to ciasto na później. Chyba że masz chęć na naleśniki, Lucjanie?

– Ja? Nie.

– Ciasto się nie zepsuje. Umówiłam się u klientki.

Wrócę za parę godzin, a wy tymczasem możecie się rozmówić.

– Dokąd pani idzie? – spytała Kasia nieufnie. – Co to za klientka?

– Obojętne. Nie znasz wszystkich moich klientek. Nie sądz, że zdradziłam ci wszystkie moje sekrety. Mam swoje tajemnice, cha, cha... tylko o jedno proszę, nie sprzeczaście się, moje dzieci. Lucjanie, ona ciebie nie skrzywdziła żadnym uczynkiem. Mówię szczerze.

– Żadnym? – spytał Lucjan. I Cóż jeszcze mogła zrobić, chyba pójść do burdelu?

– Co też ty mówisz? To stary człowiek. Kasia, o powiedz mu sama. Po co ma myśleć Bóg wie co? – Już powiedziałam.

– Coś mu powiedziała? No cóż... takie dziewczyny jak ty same sobie wszystko psują. Mnie nic nie potrzeba. Już nie jestem młoda. Trochę wesołości i dobre, słowo,

to wszystko, o co dbam. Cybulski to dawny przyjaciel, jeszcze za życia Bobrowskiego, niech odpoczywa w spokoju.

Kocha Kasię jak rodzoną córkę. Raz ją kiedyś pocałował w czoło i to wszystko, na co sobie pozwolił.

– Ona mi sama powiedziała, że z nią sypiał. Bobrowska przeszła go zażawionym wzrokiem.

– Ona to powiedziała?

– Tak.

– Dlaczego skłamałaś?

Ja nie powiedziałam nic takiego.

– Właśnie że powiedziałaś! Nie wypieraj się! – zawołał Lucjan.

– Nie wypieram się tego, co powiedziałam. Bobrowska wykonała gest, jakby chciała podwinąć rękawy.

– Co mu powiedziałaś? Kasia milczała.

– Spał z tobą czy nie? – zapytał Lucjan bez gniewu, lecz z odrazą.

Twarz Kasi spochmurniała.

– Na początku.

Bobrowska rzuciła na nią wściekłe spojrzenie. Jeśli to prawda, oni mnie okpili.

– Ja pani nie okpiłam. Pani wiedziała. Sama mnie namówiła.

– Ja ciebie namówiłam? Oto, jak się odwdzięczają takie jak ty. On zachorował i nie mógł iść do domu. Musiał zostać tu na noc. Był na wpół żywy. Kiedy się to stało?

Chyba jak wyszłam z domu. No, przecież nie jesteś nieletnia. Już miałaś dziecko. Do niczego ciebie nie namówiłam i nie chcę, żebyś mnie oczerniała. Chłopka zostanie chłopką. Jak się chcesz wypowiedzieć, idź do księdza. Wiecie, co wam powiem? Zabierajcie się oboje i weźcie dzieciaka, Nie mam już sił na takie historie. Jeśli tak się odwdzięczasz za dobroć, wolę zostać sama w czterech ścianach.

Lucjan powstał.

– Wychodzę.

– Możesz ją sobie zabrać. Uratowałam ją od rysztoła. Poszedłeś do

więzienia, a ona z dzieckiem została na łasce boskiej. Jej ojciec, Antek, zaczął pić.

Wspomógł ją nieraz jakimś rublem, ale z czasem dawał coraz mniej. Nawet kobieta, z którą żył, odeszła od niego.

Wszystko spadło na moją głowę. Kasia nauczyła się u mnie trochę szycia, ale to nie szwaczka, ledwo potrafi nawlec igłę. Za te pieniądze, jakie na nią wydałam, mogłabym nająć wprawną pomocnicę. Gzy nie tak, moja panno?

– To nieprawda. Posyłała mnie pani z różnymi poleceniami, nigdy grosza nie dając. Ojciec dawał. Hrabina, siostra Lucjana, przysłała pieniądze, a pani je zużyła na kupno maszyny do szycia.

Bobrowska wpadła w gniew.

– Więc to tak? Ty smrodzie, nędzna niewdzięcznico!

Ty suko zawszona! To ja ci coś zawdzięczam, co?

Lucjan, tyś mi się łaskawie przysłużył. Poszedłeś zabić człowieka, a zostawiłeś u mnie tę sukę. Dostyc już tego dobrego. Ty świniu, jeśli uważasz, że wykorzystalam ciebie, wynoś się i nie wracaj. Jeśli chodzi o ciebie, Lucjanie, będę szczerą. Z takimi ludźmi jak ty nigdy nic nie wiadomo. Nie chcę żadnych historii ani narzekań. Wy jesteście młodzi, co do mnie, to chcę mieć spokój.

Cybulski jest dla mnie dobry, prawdziwy przyjaciel z lat młodości, można powiedzieć. Jego też nie chcę narażać na kłopoty. Zmienił się na twarzy, kiedy tu wszedłeś. Ma słabe serce...

– Jeśli ma słabe serce, niech idzie do lekarza i wlezie pod kołdrę zamiast uganiać się za babami. Możesz się nie obawiać! Już więcej tu nie przyjdę.

– Zabierz lepiej Kasię i syna ze sobą. W tym stanie rzeczy będzie dla mnie ciężarem.

– Dokąd mam ją zabrać Nie mam domu.

– Zabierz ją. Tobie potrzebna kobieta. W najgorszym razie może być u ciebie służącą. W tej chwili, nie mam żadnej pracy. Ledwo dla mnie starcza. Ostatecznie to ty ją unieszczęśliwiłeś. Bolek to twój dzieciak, twoja krew, chyba temu nie zaprzeczysz. Powiem ci prawdę:

Cybulski to niezguła. Prawie kaleka. Mieszka u ludzi, którzy go wyzyskują.

Miał już się tu wprowadzić, ale teraz będzie się biedak bał. Kiedy wszedłeś, zbladł jak kreda.

Zaczął rozmawiać jak na pogrzebie.

– Czego się tak przeląkł ten stary sukinsyn? Nie zabiłbym kogoś takiego jak on. i – Widzisz? Już znowu zaczynasz. Kasia, co tak stoisz z otwartą gębą jak idiotka? Ja ciebie nie wyrzucam, ale będziesz musiała odejść. Rozumie się, niekoniecznie dzisiejszego wieczoru. Ja wyjdę, a wy się rozmówcie.

– O czym tu mówić? Och może sam nie ma gdzie się podziać – odezwała się Kasia i jakby się przelękała własnych słów. – Jeśli nie jestem tu potrzebna, znajdę sobie pracę.

– Kto da ci pracę, dziewczynie z dzieckiem? Najpierw sprawdzają wszystko.

– Coś sobie znajdę. W najgorszym razie pójdę do tatusia. On nie wygoni swego wnuka.

– Odpowiedni dom dla chłopca! No cóż, wy jesteście rodzicami, ja – obcym człowiekiem. Kocham go, nazywa mnie babcią, ale się wszystko zmieniło. Co ty na to, drogi Lucjanie? A może nie powinnam już ciebie tak familiarnie nazywać?

– Nazywaj, jak chcesz. Zabiorę Bolka z tego domu Nie musisz się trapić. Potrzebuję jednak paru dni.

– Parę dni nie zrobi mi żadnej różnicy.

– No tak, pora na mnie – powiedział Lucjan.

– Już? Jeśli chcesz tu przenocować, możesz zostać.

To zależy od ciebie. Ja mogę gdzieś pójść albo posłać sobie: w pracowni.

Nagle Kasia wysunęła się ku przodowi.

– Nie, nie ma potrzeby.

– Wstydzisz się? – zapytała Bobrowska.

– Nie wstydzą się, tylko nie chcą – Ja ciebie nie zmuszam.

– Ona jest zakochana w tym starcu – powiedział Lucjan z uczuciem niesmaku, a zarazem jakby ubawiony.

Podszedł do drzwi, nacisnął klamkę i nagle zaczął mówić. Zdawał się wypluwać słowa przez zaciśnięte zęby:

– Nabiorę syna, ale nie chcę już nigdy słyszeć o żadnej z was. Jeśli spotkacie mnie na ulicy, przechodźcie na drugą stronę. Dla mnie jesteście gorzej niż umarłe!

Z wolna zamknął drzwi za sobą i zszedł po spróchniałych schodach. Po przejściu przez bramę przystanął na chwilę. Oczy mu się zwęziły, mruknął: “No tak, i to przeżyłem.” Szynki były już pozamykane. Po drugiej stronie ulicy prostytutka w czerwonym szalu krążyła przy bramie.

Lucjan wyjął zegarek ten sam, który miał owej wigilijnej nocy z kieszonki kamizelki i spojrzął nań przy świetle latarni. Mógł iść do domu do Felicji, Zawadzkiego, dzieci albo też pod adres otrzymany od Wojciecha Kułaka. Nie miał jednak chęci ani na jedno, ani na drugie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

I

Klara leżała w łóżku wsparta na trzech poduszkach. Włosy miała siwiuteńkie, cerę żółtą. Luiza również posiwała, a Felusia zaczęła już chodzić do gimnazjum. Klara przerzucała po raz tysięczny paczkę pożółkłych listów.

Odczytywała wybrane urywki. Luiza przyniosła lekarstwo i szklankę wody. Chora połknęła lekarstwo, skrzywiła się i popiła wodą. Od dwóch lat cierpiała na kamienie żółciowe. Zasięgała porady wielu lekarzy, lecz jej stan wciąż się pogarszał. Trzech specjalistów po konsultacji zdecydowało, że konieczna jest operacja Ale była ona niebezpieczna. Kto zaopiekuje się Felusią w przypadku śmierci Klary? Dziewczynka ma wprawdzie bogatego brata, byłaby to wszakże wielka szkoda, gdyby jej młode lata miały upłynąć w kawalerskim, rozpustnym domu Saszy. Aleksander mógłby ją zabrać do siebie do Nowego Jorku, on jednak ma teraz drugą żonę i dziecko.

Udało mu się ostatecznie zostać lekarzem. Mimo że nie pisywał do Klary, utrzymywał kontakt z Felusią i od czasu do czasu przysyłał jej upominek. Papier listowy, na którym pisał, miał nadruk z jego nazwiskiem "i adresem.

Mieszkał na ulicy o nazwie East Broadway. Po swej drugiej przygodzie z Mirkinem Klara otrzymała od Aleksandra list, który okazał się pożegnalny. Mówiąc w skrócie, napisał: "Pragnę zapomnieć. Proszę cię, nie rozdzieraj zasklepionych ran." Tak, Klarze się nie udało. Dwukrotnie bliska była poślubienia Aleksandra i za każdym razem przeszkodził jej w tym Mirkin. Teraz Mirkin już nie żyje, w testamencie nie zapisał jej nic. Jego majątek nie był tak wielki, jak przypuszczano. Chodziły nawet słuchy, że to Jasza sekretarz, go okradł. Klara już dawno postanowiła nie zrzucać na nikogo winy. Wszystkie popełnione błędy były jej dziełem. Poza tym mężczyźni, których mogłaby oskarżać o skrzywdzenie jej – ojciec, pierwszy mąż Grisza i Borys Mirkin – już nie żyją. Kalman to starzec.

Natknąwszy się na niego któregoś, dnia na ulicy, ledwo go poznała. Wydawał

się ogromnie wychudzony.

Powłóczył nogami i wspierał się na lasce, miał wygląd żebraka. Co zaś do Aleksandra, to źle się z nim obeszła.

Kiedy człowiek leży w łóżku złożony chorobą, musi o czymś myśleć. W braku widoków na przyszłość, zwracali się ku przeszłości. Od czasu do czasu Klara prosiła Luizę o podanie sztambuchów przechowywanych od młodych lat. Takie jednak pograżanie się w nostalgii nie sprawia radości. Dopiero teraz uświadomiła sobie, ile drwiny było w bilecikach i komplementach kolegów z lat gimnazjalnych i oficerów rosyjskich prowadzących interesy z jej ojcem. Tylko listy Cypkina wciąż brzmiały szczerze. Nawet jego wymówki były niekłamane. Jak on musiał walczyć o byt po przyjeździe do Nowego Jorku! Jaką urazę żywił do tego miasta! Próbował osiedlić się w Oregonie i w Kalifornii, a nawet planował powrót do Europy! W pewnym okresie myślał wprost o samobójstwie. "Jaki jest pożytek z mego obecnego życia, skoro się wyzbyłem ideałów i nadziei na polepszenie bytu ludzkości. Tęsknię m za Tobą, Klaro. Wiem, że związek z Tobą wyszedłby mi na złe, bez Ciebie jednak czuję się jak umarły." "Jedyna. moja pociecha to lektura. Jest tutaj duża biblioteka, z której można korzystać bez żadnej opłaty. Tak wiele czytam, że się obawiam popsuć sobie wzrok." "Ach, Klaro, gdybyś ty tutaj była, gdybyśmy mogli spacerować razem po Parku Centralnym w niedzielę lub wyjechać na wieś na I weekend!" "Tutaj, Klaro, można odbywać podróże od Atlantyku po Pacyfik, od tych części Kanady, które leżą pod biegunem północnym, aż do Argentyny niezbyt oddalonej od bieguna południowego!" Listy jego obfitowały w nieziszczalne projekty urządzenia sobie życia razem w leśnej chatce lub osiedlenia się w Kolumbii Brytyjskiej bądź w Meksyku czy Brazylii on zostałby tam myśliwym.

Te marzenia się urwały, kiedy się związał z nauczycielką, która wraz z Sonią dopomogła mu ukończyć medycyną.

W rezultacie więc osiągnął to, co zaplanował sobie ad początku – został lekarzem.

Kilara usiłowała wyobrazić sobie Amerykę, Nowy Jork, East Broadway. Jak tam jest? Czy domy są podobne do warszawskich lub paryskich? A pociągi

“przebiegające ponad dachami?” Jak one wyglądają? Czy Park Centralny przypomina Ogród Saski? Wyobrażała sobie Aleksandra mieszkającego w dwunastopiętrowym budynku z oknami wychodzącymi na Park Centralny.

Pociąg pośpieszny przebiega nad poziomem dachów, Amerykanie zaś, Murzyni, Chińczycy, Hiszpanie i Żydzi mrowią się na ulicy w dole. Wszyscy krzyczą. Nowy Jork to maskarada, ustawiczny karnawał. Aleksander nosi cylinder i mówi po angielsku. Wychodzi na balkon i spogląda na Ocean Atlantycki, po którym płyną okręty z różnych krajów świata: z Indii, Chin, Japonii, Europy. Do magazynów portowych wyładowują herbatę, kawę, trzcinę cukrową i futra wysyłane również z Syberii, może i przez synów Mirkina. Damy przejeżdżają w karetach.

Eleganccy panowie uchylają cylindrów. Marynarze wchodzą i wychodzą z domku o czerwonych latarniach. Z wnętrza dochodzą dźwięki muzyki, śmiech, odgłosy tańców i okrzyki. Na Broadwayu znajdują się wielkie sale teatralne, cyrki, kabarety, restauracje i Metropolitan Opera, w której występują najślawniejsi śpiewacy Europy.

Tak, gdyby nie była głupia, mogłaby teraz być tam, w tym błyskotliwym świecie, w tym domu przy East Broadway. Wyobrażała sobie, jak siedzi z Felusią i Aleksandrem na balkonie, ogląda przez lornetkę Park Centralny, Ocean Atlantycki i różne wyspy. Wieczorem, po obiedzie, Felusią odrabiałaby lekcje, ją zaś Aleksander zabierałby do opery. Potem wracaliby i szli spać. Jak wygląda pokój sypialny w Nowym Jorku? Będąc tam nie cierpiałaby na kamienie żółciowe. Cypkin wykryłby je w stadium początkowym. Zresztą nie doszłoby do choroby – spowodowało ją złamane serce. Czytała w gazetach, że w Ameryce kobiety się nie starzeją.

Sześćdziesięcioletnie panie romansują z młodymi mężczyznami, a ich mężowie, milionerzy, wypłacają im alimenty, czterysta dolarów na tydzień... Nawet Sonia, ta naiwna Sonia, wzbogaciła się w kraju Kolumba. Jej mąż, Jackiewicz, dawny socjalista, otworzył zakład konfekcji damskiej. Dziecinna myśl przyszła Klarze do głowy: czy takie zakłady fabryczne mają wysokie kominy?

Jaki pożytek z marzeń? Jest oto w Warszawie. Pieniądzy ma tylko tyle, ile jej daje Sasza. Felusia wzrasta bez ojca. Ona zaś jest ciężko chora, może nawet

umierająca?. Nie boi się śmierci. Ale co jest potem?

Czy niebo i piekło naprawdę istnieją? Czy demony rozciągną ją na łożu nabitym gwoździami bądź zawieszą za piersi? Czy będzie przemierzać niebyt goniona przez węże i jaszczurki? Klara już niejednokrotnie myślała o odbyciu pokuty. Ale jak się odprawia żal za grzechy?

Szkoda, że nie spytała kiedyś Kalmana. Sasza przyrzekł, że po jej śmierci będzie odmawiał kadisz. Czy jednak można na nim polegać?

Klara zamknęła oczy. Włożyła listy Cypkina pod poduszkę. Lekarz otwarcie z nią rozmawiał. Chciał operować, lecz nie jest pewny wyniku z powodu osłabionego serca.

II

W czasach kiedy Klara czuła się dobrze i przebywała z ludźmi, rzadko miewała sny. Obecnie, gdy od tygodnia i złożyła ją choroba, sny spadały na nią jak szarańcza.

Zaczynały się, ledwie zdążyła przymknąć powieki. Znow była z Griszą, ojcem, Aleksandrem. Czasami jej się śniło, że mieszka z Kalmanem we dworze, choć Kalman nie jest jej mężem lecz teściem. Dwór przeistaczał się w mieszkanie Aleksandra w Nowym Jorku. Jampol zlewał się z Nowym Jorkiem. Rosyjscy oficerowie maszerowali pod przebiegającymi górą. pociągami. Był bal. Klara zaćmiewała wszystkie panie swym wdziękiem w tańcu.

Stopy ma leciutkie, nic nie ważą. Naraz uniosła się nad podłogą. Wszystkie pary zatrzymały się, przyglądają, wskazują na nią, ona płynie w powietrzu powoli, ukosem, jak nietoperz. Muzyka nie ustaje. Przez otwarte okna widać Ocean Atlantycki i burzliwe fale rozbijające się o brzeg. Dochodzą do takiej wysokości, że trudno pojąć, dlaczego nie zatapiają brzegu i nie zalewają salonu Aleksandra. "Wielki Boże, ja latam! Latam, choć nie mam skrzydeł"... Klara otworzyła oczy i sprawdziła na zegarku – sen trwał pięć minut.

Weszła Luiza, siwa i drobna. – Lekarstwo, proszę pani.

– Mer ci beaucoup.

– Czy podać szklankę herbaty?

– Nie teraz. W biblioteczce jest gruba księga z metalowym zameczkiem.

Proszę mi ją przynieść, dobrze?

– Ze złoconymi literami na grzbiecie? Modlitewnik?

– Tak. Skąd panna Luiza wie, co ta za książka? Wszak napisana po hebrajsku.

– Ach, proszę pani, ja wszystko wiem.

Luiza przyniosła Śidur, który Kalman ofiarował Klarze jako ślubny prezent.

Od lat gromadził się na nim kurz.

Klara nieraz chciała go wyrzucić bądź oddać do synagogi, jednak jakoś do tego nie doszło. Modlitwy były przełożone na język żydowski. W dzieciństwie uczyła się

hebrajskiego, pozostała jej znajomość liter. Zaczęła czytać modlitwę: "Boże Wszchemocny, ja, Twoja sługa, stoję przed Tobą ze złamanym sercem i drżącymi kolanami, zanosząc do Ciebie modły. Kim jestem, by otworzyć przed Tobą me wargi? Składałam się tylko z krwi i ciała, pogrążona jestem w grzechu, zbrukana niezliczonymi występkami Lecz Ty, Ojczy w Niebiesiech, pełen jesteś wyrozumiałości i miłosierdzia, Ty nie gardzisz prośbami ubogiego wysłuchaj mego wołania, Panie, zbierz moje łzy do Twej tykwy i pamiętaj, że jesteśmy tylko prochem, snem, co zniknie, cieniem, co się rozplynie, i kwiatem, co zwiędnie. Ty, Panie, wdmuchnąłeś duszę w nasze nozdrza i ożywiłeś nasze członki. "Jesteśmy zaprawdę dziełem Twoich rąk"!

Ongiś Klara śmiała się z tych słów. Potrafiła nawet przedrzeźniać kobiety odprawiające modły przy świecach szabasowych. Niech Bóg jej wybaczy, robiła to bowiem nawet wobec chrześcijan. Teraz wszakże już by nie mogła się wyśmiewać ze świętych słów. To prawda, że język brzmi archaicznie, ale słowa te zawierają prawdę. Czy człowiek nie jest grzeszny? I czy naprawdę nie jest podobny do cienia, który znika, lub kwiatu, który wędnie? Ile by dała, aby wiedzieć na pewno, że Bóg jest w niebie. Według jej ojca niebo jest puste. Balon, się wzniósł wysoko nad chmury, ale jego pasażer nic tam nie zobaczył oprócz przestrzeni To samo mówił Aleksander.

Twierdził, że ziemia istnieje od milionów lat i nikt jej nie stworzył oderwała się od słońca i stopniowo ostygła. Po śmierci człowiek niczym się nie różni od kota bądź psa: zjadają go robaki i przestaje istnieć. Jeśli tak, to jaki cel ma życie? Czy nie byłoby lepiej wcale się nie urodzić?

Klara odłożyła księgę i odwróciła się twarzą do ściany.

Jak długo to będzie trwało? Jak długo będzie musiała znosić ten ból? Czy znajdzie się ktoś, kto pójdzie za jej trumną? Sasza jest często w podróży. Kiedy matka umrze, on może przebywać gdzieś w Rosji. Czy ktoś zawiadomi Aleksandra? Pochowają ją pod płotem cmentarnym i nikt nie będzie wiedział, że kiedyś żyła. A gdyby nawet i wiedział? Cóż przyjdzie jej z tego, gdyby ją pochowano nawet w pierwszym rzędzie grobów, pod marmurowym pomnikiem, z wyrytym na nim

nazwiskiem? Jeśli człowiek nie jest lepszy od psa, niech pamięć po nim zaginie.

Klara jednak wydobrzała i powróciła prawie całkowicie do zdrowia. Lekarze przestrzegli ją, żeby zachowała ścisłą dietę, jadła regularnie, dokładnie żuła i unikała tłuszczów. Dzięki Bogu, bóle i ucisk ustały. Luiza już nie potrzebowała grzać cegły i kłaść jej na brzuch. Klara wstała, ubrała się i natychmiast zaczęła jeść wszystko, na co miała ochotę. Dlaczego tłusty kawałek mięsa ma być gorszy od chudego? Jak żołądek rozpozna, czy coś jest gotowane, duszone czy smażone. g. Podczas choroby powzięła decyzję w sprawie Felusi, Kiedy sądziła, że umiera, wciąż się o nią martwił. Co stanie się z dziewczynką pozbawioną ojca i matki? Postanowiła, że jeśli wydobrzeje, zabierze Felusię do Aleksandra. W Nowym Jorku będzie miała prawdziwy dom, może nawet zapisze się na studia dla kobiet. Oprócz chęci zapewnienia Felusi przyszłości Klara już od dawna marzyła o zobaczeniu tego fantastycznego kraju. Nie zamierzała, niech Bóg broni, odebrać Aleksandra żonie.

Wykupi sobie bilet powrotny, a Felusię zostawi w Nowym Jorku. Powstało pytanie, co zrobić z Luizą po powrocie.

Klara rozważyła wszystko razem z Francuzką, która zgodziła się pozostać przez parę lat z dziewczynką w Nowym Jorku. Jeśli Cypkin nie zechce, wziąć córki do domu, Luiza znajdzie sobie w tym mieście pracę, a w wolne dni będzie odwiedzać Felusię w zakładzie, w którym ją matka umieści.

Klara popłakała się widząc oddanie Luizy. Klimat amerykański może się okazać korzystny przy kamieniach żółciowych. Kto wie, czy i Klara też nie zostałaby tam przez rok lub dwa. Nic jej nie wiąże z Warszawą. Sasza jest dorosłym mężczyzną. Nie ma ani czasu, ani cierpliwości dla matki. Całymi miesiącami jej nie widywał.

Po co ma przebywać w mieszkaniu przy ulicy Berga i płacić prawie trzydzieści rubli komornego?

Napisała długi list do syna. Przybył natychmiast na wezwanie matki. Sasza był średniego wzrostu, barczysty, zapuścił bokobrody i wąsy. Oddał dom dziadka Celinie, a dla siebie budował nowy w pobliżu starego dworu Obecnie przedłużył dzierżawę majątku na następnych dziesięć lat, zmusił nawet swego szwagra do

opuszczenia młyna. Mejer–Joel przeniósł się do Warszawy, gdzie otworzył skład mąki.

Sasza zadzwonił do drzwi. Otworzyła je Luiza i chciała go pocałować, lecz ją odsunął. Czuć ją było czosnkiem..

Zresztą, jak długo ma się całować z niańką? Deski podłogi skrzypiały pod jego ciężkimi krokami. Rzucił okiem w lustro, spostrzegł, że pukiel czarnych włosów opadł mu na czoło, więc go odsunął. Miał na sobie angielski garnitur i kamasze zrobione przez najlepszego warszawskiego szewca. Wpiął brylantową szpilkę w krawat i brylantowej spinki do mankietów. Na lewej ręce iskrzył się pierścień. wartości dwu tysięcy rubli. Otworzył drzwi do sypialni matki.

– Saszeńka! Kochany mój!

Sasza z trudem znosił również pocałunki matki Postawił nogę na krześle i spytał:

– Kiedy mama wyjeżdża? He potrzebuje pieniędzy?

– Wielkie nieba, popatrzcie no! Jak od razu chce się mnie pozbyć! Siadaj.

Zjedz coś.

– Najadłem się jak wieprz. Mam mało czasu, śpieszę się.

– Dokąd? Myślałam, że przyjechałeś, by się ze mną zobaczyć.

– Tak, ale mam tysiąc spraw. Czy lekarze pozwalają mamie jechać?

– Nie pytałam ich.

– No cóż, mama jest dorosłą osobą.

– Świetnie wyglądasz, tylko zbyt przytyłeś.

– Wciąż jestem głodny. Dam mamie dwa tysiące rubli.

Czy to wystarczy? v Oczy Klary zwilgotniały.

– Co za pytanie! Nie potrzebuję aż tyle.

– Nie chcę, aby mojej matce czegoś brakowało. W razie potrzeby proszę depeszować.

– Niech cię Bóg zachowa.

– Niech mama przestanie mnie "błogosławić. Mama nie jest jeszcze babcią. Co mama zamierza zrobić, odebrać Cypkina żonie?

– Czyś oszalał? Z moimi białymi włosami? Chcę, żeby Felusia miała ojca.

Napisałam ci o tym wszystkim.

– No dobrze, niech tak będzie. Mając siostrę w Ameryce, będę miał pretekst, żeby tam pojechać. Każdy potrzebuje kogoś odwiedzić. Proszę podróżować pierwszą klasą. Czy mama cierpi na chorobę morską?

– Skąd mogę wiedzieć? Nigdy nie płynęłam przez ocean.

– W każdym razie jak się ma dobrą kabinę, mniej się cierpi.

– Obym tylko mogła doczekać twego ożenku – wymknęło się Klarze.

Sasza chwilę milczał.

– Mama chce zostać świekrą, prawda?

– Chcę, żebyś żył jak dojrzały mężczyzna, zamiast uganiać się za spódniczkami niczym młodziak.

– A cóż to za różnica? Czy śpiam z jedną kobietą czy z dziesięcioma, zdrowie mi dopisuje.

– Proszę, moje dziecko, nie mów tak.

– Mamo, życie nie ma sensu. Kobiety są fałszywe i chciwe. Po co się wiązać, jeśli można zachować swobodę? Gdybym opowiedział, jak żyję, to by się dopiero mama uśmieła.

– Z czego tu się śmiać? Rozumiem miłość, ale rozwiązłość nie przynosi, nic dobrego.

– Czemu nie? Niezdrowo jest żyć z jedną kobietą, to rodzi stagnację. Faktycznie im więcej, tym lepiej. Kobiety są zarozumiałe, kiedy jednak wiedzą, że można je zmieniać jak rękawiczki, stają się potulne niczym baranki.

Wolę mieć jeden garnitur i pięćdziesiąt kobiet niż pięćdziesiąt garniturów i jedną kobietę.

– Gdzieś się tego nauczył? W gruncie rzeczy jesteś dobry. Po prostu nie wiesz, co to miłość. Kiedy się zakochasz w odpowiedniej dziewczynie, a ona w tobie, zrozumiesz, czego ci brakowało. Dokąd się wybierasz?

– Do córki generała.

– Wdowy?

- Nie, ona ma męża.
- To okropne. Czy warto narażać życie?
- Nie narażam życia. Noszę rewolwer. Życie musi być podniecające.

W przeciwnym razie, nie jest warte jednego naboju... Klara nie traciła czasu. Wystąpiła z prośbą o paszportu i oddała swe mieszkanie Saszy, który często przyjeżdżał do Warszawy. Po cóż miałby płacić za hotel, skoro może korzystać z czteropokojowego mieszkania z pełnymi wygodami? Odebrała Felusię ze szkoły, wynajęła nauczyciela Anglika, który miał ją przygotować do odwiedzin ojca w Nowym Jorku. Klara chciała zrobić Cypkinowi niespodziankę i nie zawiadamiła go o przyjeździe. Przygotowania szły szybko i gładko. Od razu po otrzymaniu paszportów Klara zaczęła się pakować przy pomocy Luizy. Nie miała nikogo, z kim należało się pożegnać. Jej ciotka, matka Celiny, nie żyła.

- Z sąsiadami nie utrzymywała stosunków. Ucałowała Saszę i rozplakała się.
- Jeśli umrę w drodze, wynajmij Żyda, żeby odmawiał za mnie kadisz.
- Niech się mama nie boi. To nie koniec życia.

Sasza akurat wyjeżdżał do Rosji i nie mógł odprowadzić matki na dworzec.

Klara, Luiza i Felusią jechały w jednej dorożce, a bagaże w drugiej. Klara wykupiła bilety w obydwie strony na statek w biurze podróży przy Nowosenatorskiej. Pracownik biura zamówił telegraficznie hotel w Berlinie, gdzie miały przenocować. Klarę zdumiewała szybkość wydarzeń. I Zdawało jej się, że nie dalej jak wczoraj leżała w łóżku i robiła plany podróży, a tu już siedzi w przedziale drugiej klasy berlińskiego ekspresu. Ponieważ pociąg zdążył za granicę, nawet rosyjski konduktor był uprzejmy. Na każdą większą stację sprzedawcy przynosili do wagonu gazety, pisma ilustrowane, czekoladki i ciastka. Felusia siedziała przylepiona do okna. Jesień była ciepła, słońce świeciło, na polach zbierały się ptaki odlatujące na początku września do cieplejszych krajów. Celnicy graniczni prawie nie zaglądali do bagażu. Felusia rozmawiała ze wszystkimi po francusku. W ostatnich latach Klara zamartwiała się wszelakimi drobiazgami.

Radziła się wróżek i kazała Cygankom przepowiadać sobie z kart. Obecnie znów zaczęła wszystko lekko traktować. Nie odczuwała już bólów po jedzeniu.

Kamienie, zda się, wyparowały. Nie przejmowała się nawet tym, że przyjadą do Berlina w wigilię Rosz Haszana.

Spędziły w Berlinie noc, a nazajutrz wczesnym rankiem wyjechały do Hamburga. Gazety rosyjskie i polskie prowadziły ostatnio kampanię propagandową przeciwko Prusom. Rosja wdała się w wojnę celną z Prusami. W gazetach pełno było opisów rozbistwienia policji niemieckiej, junkrów, studentów. Klarę wszakże spotykała wyłącznie uprzejmość ze strony Niemców.

Kłaniali się, nazywali ją «“szanowną panią”, troszczyli o wygodę, ona zaś wszystkich hojnie obdzielała napiwkami. Na Felusię spływały strumienie komplementów. Wsiadły na parowiec “Blichtr” podróż zapowiadała się równie przyjemnie. Klara zajęła jedną z największych kabin. Były w niej dwa łóżka i kanapa, nie brakło nawet klozetu. Nad umywalnią wisiało lustro, a na sekretarzyku leżał przygotowany papier listowy.

Klara wyszła na pokład. Ładownia okrętu stała otworem, dźwigi przenosiły beczki, skrzynie, kufry i olbrzymie wory owinięte matami i ściągnięte obręczami Klara nie wyobrażała sobie, że statek zabiera aż taki ładunek. Widziała pasażerów na dolnych pokładach, byli zaniedbani i wyglądali na wylęknionych. Całowano się, płakano, ściskano. Dochodziły rozmowy w języku żydowskim. W pierwszej klasie jednak pasażerowie zachowywali dobre formy towarzyskie. Panie w kosztownych toaletach i. klejnotach przechadzały się, wachlując się jak na balu.

Mężczyźni w cylindrach kręcili się tu i tam paląc cygara. Generał wkroczył na pokład, by pożegnać córkę.

Trzech potężnych Anglików spacerowało z chudą, piegowatą panną. Barczysty pan o długich włosach, w pelerynie, całował rękę damy, którą nazywał hrabiną.

Klara sądziła, że skoro tylko pasażerowie wejdą na pokład, parowiec odpłynie on jednak wiele godzin stał jeszcze w porcie. Słońce już zachodziło. Jego odbicie zapalało się w mętnych falach Ogień i woda stapiały się w cudowny sposób. Statki stojące w zatoce wypluwały gęsty dym, wypuszczały z gwizdem parę. Z luków wylewała się woda. Marynarze wspinali się po drabinkach sznurowych, ciągnęli ciężkie liny, nawoływali.

Słysząc było krzyk mew zataczających koła nad statkami. W zatoce zalatywało węglem i gnijącymi rybami Klarze wydawało się nader dziwne, że ten statek zawiezie ją wprost do Nowego Jorku, do miasta, które niedawno leżało w sferze jej sennych marzeń.

Podniesiono kotwicę, zwolniono liny. Kiedy się rozległ ryk syreny okrętowej, Klara zakryła, uszy dłońmi. Domy, kościoły, wieże i kominy Hamburga poczęły się oddalać.

W oknach budynków odbijał się purpurowy zachód słońca. Ukazały się pierwsze gwiazdy. Zdawały się kołysać wraz ze statkiem. Przed pasażerami rozwarł się ogromny horyzont. Widać było latarnie morskie i statki zakotwiczone na pełnym morzu, zda się zapomniane przez Boga i ludzi. Młody mężczyzna podszedł do Klary proponując lornetkę, i Ocean stawał się coraz szerszy, olbrzymiał, a statki kołyszące się na falach wyglądały jak kaczątka. Luiza przysłała po Klarę. Urzędnik, siedzący w kantorku, rozdzielał kartki na numerowane miejsca w sali jadalnej.

Klara czytywała w książkach o podróżach morskich. W tych opisach ocean szalał, piraci napadali na okręty, potwory morskie połykały ludzi. Tymczasem "Blucher" przypominał hotel. Klara czesała włosy Felusi i wiązała wstążki na warkoczach. We wspianej sali jadalnej podawano rzadkie w Polsce potrawy: zieloną sałatę, ryby morskie i ostrygi. Przy sąsiednim stoliku otworzono wielką butlę szampana. Luiza, siedząca na wprost jakiegoś Francuza, rozpoczęła z nim rozmowę. Mon Dieu, pochodzi z i jej rodzinnych stron! Znała jego wuja!

Istnieje jeszcze Francja na tym świecie! Ludzie nadal mówią po francusku! Klara, której znajomość francuskiego ograniczała się do tego, czego się nauczyła w gimnazjum, rozmawiała z dwiema siostrami Węgierkami, jadącymi w odwiedzinach do wuja w Chicago.

Mówiły po niemiecku, potrafiła więc porozumieć się z nimi w zniemczonym dialekcie żydowskim. Zapewniały ją, że mówi doskonałą niemieczyzną...

Klara zabrała z sobą cytryny i kwaśne landrynki przeciwko morskiej chorobie, noc jednak minęła spokojnie.

Następny dzień rozblęsnął słońcem. Dopiero w porze południowego posiłku

chmury zaciągnęły niebo, a promienie słoneczne przerzynały się przez nie, torując drogę jak ciosami toporów. Zaczął dąć zimny wiatr. Fale złote, srebrne i żółtozielone rosły jak pagórki, rozlewały się smoliście, kipiały i pieniały. Statek zaczął się kołysać.

Felusia pozieleniała. Klara wywlokła się na pokład w futrzanym zakiecie, trzymając mufkę. Wicher pchał ją to w tył, to do przodu, smagając po spódnicy. Słona kurzawa wodna nappełniła powietrze. Klara czytała kiedyś, że nie należy się poddawać chorobie morskiej.

Ale jej żołądek przesunął się do góry i nieprzyjemny smak nappełnił usta. Tak długo stała przy relingu wpatrzona w Zburzoną pianę, aż wreszcie zwymiotowała i poczuła smak wczorajszej sałaty...

III

Chorowały obie, Klara i Felusia. Burza szalała. Fale niczym olbrzymie młoty waliły w boki statku. Felusia zajęła jedno z łóżek i spała bez przerwy. Klara natomiast, leżąc na drugim nie mogła zmrużyć oka. Miała widok wprost na morze. Chmury jak łuska pokrywały niebo, a niektóre z nich zwisały podobne do wodnych kurtyn przy opustoszałej scenie. Fale wznosiły się tak wysoko, że Klara była przekonana, iż statek musi zatonać. Czarne, wyraźnie zarysowane góry wody szarżowały wprost na nich, podobne do roztopionych gładów, do lawy z kosmicznego wulkanu. Szły zwartą masą, białe, zielone i czarne, żyłkowane i spienione, szereg za szeregiem, nadziemskie armie gotowe, zniszczyć i pochłonąć wszystko na swej drodze. "Blucher" wznosił się, niebo zakołysało, a łóżko Klary zda się zawisło przez chwilę w powietrzu. Niebawem wszystko znów opadło, fale odstąpiły były jak diablisce odpędzone zaklęciami, gotowe za chwilę na nowo rozpocząć piekielny taniec.

Morze szalało cały dzień i całą noc. Z powierzchnia wody odrywały się wirujące zjawy, przelatowały w podskokach jakby z własnej, nieprzymuszonej woli i znów znikwały w kipiącym kotle wód. Motory dudniły cała kabina drżała i wibrowała. Syrena okrętowa buczała bez przerwy długim, ponurym rykiem ostrzegając przed niebezpieczeństwem. Na szczęście Luiza nie zapadła na morską chorobę. Przynosiła jedzenie Klarze i Felusi, szykowała napój cytrynowy. Znosiła wszystkie plotki: co powiedział kapitan, w jakich toaletach schodziły panie do każdego posiłku. Większość podróżnych chorowała.

Dwie siostry Węgierki już nie pojawiały się w sali jadalnej.

Tylko ona i Francuz pozostali przy ich stole.

Źle było i w ciągu dnia, ale w nocy niepokój Klary stawał się nie do zniesienia. Felusia wzdychała przez sen. Klara modliła się w ciemności. Żeby tylko Felusia wyszła z tego cało! Choroba morska wywołała u Klary atak kamieni żółciowych. Ból od żołądka przeniósł się na prawe ramię. Zaczęła gorączkować. Lekarz okrętowy zapisał lekarstwa, które nie pomagały. W Warszawie "Luiza grzała cegłę

i przykładała Klarze na brzuch, tutaj trudno było cokolwiek poradzić. Klara jęczała, a czasem krzyczała jak rodząca kobieta. Kiedy skurcze mijały, przysłuchiwała się w milczeniu burzy. Utonie? Zostanie zjeżdżona przez ryby? Wodny grób, czyż taki los ją czeka?

Klara drzemała i znów się budziła. Wiatr wył. Łóżko się kołysało. Aby nie wypaść, Klara przytrzymywała się jego prętów. Trzeszczały, jakby się miały rozpaść. Z korytarza dochodził odgłos kroków przebiegających ludzi i trzaskanie drzwiami. Parowiec posuwał się bardzo wolno jakby ostatnim wysiłkiem. Mimo całego przeżywanego strachu – coś w niej skłaniało się ku katastrofie, która położy wszystkim kres. Uniknęłyby agonii wolnego konania. Jeśli Bóg istnieje, niech znajdzie ją w głębinach oceanu i wrzuci do piekła, na które zasłużyła.

Po czterech dniach burza się uciszyła. Felusią szybko wróciła do zdrowia, lecz Klara nadal nie opuszczała łóżka. Dopiero w przeddzień zawinięcia do portu w Nowym Jorku poczuła się na tyle silna, aby się ubrać i zejść do sald jadalnej, która robiła wrażenie jeszcze większej i opustoszałej. Nie poznawała pasażerów, tak jakby na środku oceanu nowi ludzie zjawili sięgną pokładzie.

Zauważyła ze zdumieniem, że Felusią wydorosła w ciągu tych kilkunastu dni. Zachowywała się bardziej statecznie i już starała się przystosować do odmiennego sposobu bycia. Klara odzwyczaiła się od chodzenia, kiedy szła do stołu, podłoga zdawała się uciekać jej spod nóg. Musiała się przytrzymać Luizy, by nie upaść. Spostrzegła, że Luiza i Francuz, grubokościsty mężczyzna z gęstwiną siwych włosów i ciemnym wąsem, zaprzyjaźnili się w czasie podróży. Rozmawiali i śmieli się wesoło. On nalewał jej wina, nawet pomagał kroić stek. Kiedy później Klara zaczęła ją wypytywać, Luiza z pewnym ociąganiem wyznała, iż ona i pan Dujacques, wdowiec, postanowili się pobrać po przyjeździe do Nowego Jorku.

Zapewniała gorąco, że nadal żywi matczyne uczucia dla Felusi... przysięgała, że ostatniej nocy przed opuszczeniem Warszawy śnił się jej własny ślub widziała siebie idącą do ołtarza, a narzeczoną wyglądał dokładnie tak jak pan Dujacques.

Morze stało się równie spokojne, jak było przedtem wzburzone. Grzebienie ledwo wznoszących się fal niosły wiązki morskich roślin. Mężczyźni i kobiety,

dotychczas zamknięci w swych kabinach, powychodzili na pokład wychudzeni, pobladli, poubierani w stroje zachowane na ostatni etap podróży: koszule w kratę, szale, peleryny.

Odnawiano przerwane przyjaźnie. Wszyscy opowiadali sobie nawzajem o przebytych cierpieniach. Robiło się cieplej. Z wody wyskakiwały latające ryby. Delfiny, jak ogromne szczury, wynurzały się z fal. Majtek rozstawiał leżaki i roznosił pledy. Starsze panie chętnie pozwalały, aby je otulano, i zabierały się do przerwanych robótek na drutach oraz rozmów o migrenach, reumatyzmie i środkach przeciw kaszlowi. Siedząc z nimi Klara nie mogła się zdobyć na włączenie do rozmowy. Dzieliło ją od nich nie tylko to, że mówiły raczej po niemiecku niż żydowsku, lecz i jakiś opór psychiczny w niej samej. Były to osoby ustabilizowane życiowo. Miały mężów, zięciów, synowe, wnuków. Wiedziały dokładnie, dokąd jada i na jak długo, Klara natomiast nie miała sprecyzowanego celu życia. Z drugiej zaś strony była już za stara, by się włączyć do grupy młodych. Ze zdumieniem obserwowała, z jaką swobodą młodzi mężczyźni odnoszą się do młodych panien, a te z kolei jakże śmiało poczynają sobie z mężczyznami. Śmieli się i chichotali, nie przestrzegając sztywnej etykiety, już ze sobą zaprzyjaźnieni. "Co ich tak bawi? Z czego tak się serdecznie śmieją?" – zadawała sobie pytanie. Czy rzeczywiście są szczęśliwi? Czy myślą, że wiecznie pozostaną młodzi? Paru młodych Anglików, w czapkach i garniturach w kratę, rozpoczęło grę polegającą na przesuwaniu drewnianych krążków w obrębie pól wyznaczonych na desce. Przyłączyło się do nich kilka pań. Starszy pan z monoklem w oku celował w tej grze, toteż oklaskiwano go gorąco. Felusia również grała, rozmawiając przy tym po francusku.

Klara usiłowała się pozbyć krytycznego nastawienia, lecz to jej się nie udawało. Chociaż uważała siebie za grzesznicę, nie znosiła zbyt swobody u innych.

Kierowała myśli od marności życia do nieznanego bytu, zwanego Bogiem. Nawet Felusia zauważyła w niej zmianę.

– Tak się mama postarzała – odezwała się do Klary. – Nikt nie wierzy, że mama jest moją mamą. Wszyscy myślą, że babcią.

Kiedy zawinęli do portu w Nowym Jorku, padał deszcz.

Klara, Luiza i Felusia przeszły przez komorę celną, znajdującą się w Ogromnym hangarze pełnym urzędników i bagaży, i wyszły na ulicę wyłożoną szerokimi kamiennymi płytami, na których stały kałuże i leżał koński nawóz.

Wszystko było mokre: czerwone domy z cegły z żelaznymi drabinkami przeciwpożarowymi, składy, tramwaje konne, tłumy potracających się przechodniów. Klara dojrzała z daleka pociąg zdający się przejeżdżać nad dachami. W istocie rzeczy poruszał się po żelaznym moście wzniesionym na grubych filarach wpuszczonych w chodnik. Wszystko tu wyglądało dziwnie stare i zużyte, jakby było eksploatowane od setek lat. Deszcz zacinał z ukosa, rozpylał się wodnymi smugami poprzez deszczową siatkę rysowało się miasto szare, o niewyraźnych konturach, całe z metalu i kamienia, z domami o płaskich dachach i małych oknach, pełne kominów, dymu i ponurego smutku. Pasażerom pierwszej klasy wolno było wyjść na ląd przed innymi, mogli więc wsiadać do dorożek powożonych przez woźniców ubranych w ceratowe płaszcze i mokre cylindry. Kuzyn pana Dujacquesa przyjechał po niego kareta. Pan Dujacques poprosił go o odwiezienie pań do hotelu.

Jechali ulicami zabudowanymi domami z piaskowca, o wąskich drzwiach zamiast bram. Klara spoglądała zdumiona przez okienka karety. Więc to jest Nowy Jork?

Wydawał się małym miastem w porównaniu z Berlinem Paryżem. W rynsztokach pływały odpadki papieru, tektury, szmat. Klara nigdy dotąd nie widziała tak zniszczonych parasoli. Przemoczeni przechodnie przeskakiwali kałuże, kuląc się przed ulewą. Ogromne furgony, służące do przewozu ładunków pośpiesznych, stały wraz z końmi przy korytach wodopojów. Wszystko się wydawało dziwne. Mijali zakład fryzjerski. Przez okno widać było pookrywanych prześcieradłami mężczyzn, leżących w fotelach, jak pacjenci szykowani do operacji. Szyld głosił, że zakład oferuje mycie głowy i strzyżenie. W restauracji goście siedzieli rzędem na wysokich taboretach przy kontuarze. Kareta mijła zakłady produkcyjne, można było rzucić okiem na hale, w których mężczyźni i kobiety obsługiwali maszyny obrabiające różne tworzywa. Klara zaobserwowała, że w tych

jasno oświetlonych wnętrzach panuje pośpiech i zamieszanie, rodzaj chaosu, jakiego nigdy nie widziała. Nawet wydobywający się z nich hałas brzmiał inaczej niż w Berlinie lub Paryżu.

Trudno było określić, skąd pochodzą odgłosy kucia i łomot. Żelazne belki wystawały z nowo wznoszonych domów. Na płotach wisiały przemokłe plakaty i na wpół zdarte afisze. Ulicą szedł Murzyn okrywający się przed deszczem wonkiem zarzuconym na ramiona. Na rynku mięsny rzeźnik w poplamionym krwią fartuchu piłował kość. Mijali też inne targowiska i sklepy, z wiszącymi w oknach pękami nanizanych na sznurki suszonych grzybów, ze splecionym w warkocze czosnkiem, serami owiniętymi w płótno. Wszystko tam było nagromadzone razem: cebula i pomarańcze, rzodkiewki i jabłka, ryby morskie, homary i małże. Tymczasem słońce wyjrzało spoza chmur i zrobił się ciepły, wilgotny letni dzień.

Kareta zatrzymała się przed hotelem. Portier chwycił szybko walizy Klary. Recepcjonista, palący fajkę z cybuszkiem z morskiej pianki, mówił po niemiecku. Klara, Luiza i Felusią weszły na górę po wąskich schodach wysłanych czerwonym chodnikiem. W ich pokojach pachniało wysuszonym drewnem, pluskwami, środkami dezynfekcyjnymi. Wniesiono bagaże. Są więc oto w Nowym Jorku.

Wielki Boże! Od najwcześniejszego dzieciństwa Klara tyle się nasłuchiwała o cudach Ameryki. Ale to miasto okazało się jak wszystkie inne.. Niebo znajdowało się u góry, nie u dołu. Usiadła przy oknie i wyglądała na ulicę.

Podnosząc do oczu lorgnon zawieszony na szyi, patrzyła na miasto do niedawna tak dalekie. Myślała, że jeśli istnieje życie pozagrobowe, musi tak właśnie wyglądać – odmienne, a jednak to samo. Co to za wielkolud niosący reklamą? Ach, on idzie na szczudłach. Ma cylinder w czerwono-białe pasy. Czy to kłown z cyrku?

Sprzedawca uliczny głośno i monotonicznie zachwalał swe towary. Wokół niego zgromadziła się ciżba. Czy rozdaje towar za darmo? Ludzie ze śmiechem coś chwyтали.

Wszyscy są tacy żwawi, ruchliwi, poubierani krzykliwie, w jaskrawe, jednobarwne stroje lub w kratę. Po drugiej stronie ulicy całą wystawę sklepu z ubraniami wypełniały manekiny ubrane w jedwabie, aksamity, futra i etole, inne od

widywanych w Warszawie. Kobiety skupiające się przed wystawami mają na sobie nowe, modne stroje i kapelusze. Ach Boże! Oto panna na rowerze! Dlaczego wszyscy niosą tyle pudełek i paczek? Tak, tu jest inaczej.

Luiza i Felusia wyglądały przez drugie okno. Felusia wciąż wykrzykiwała:

– Mamo, Luizo, proszę spojrzeć!

Fotograf uliczny prowadził za uzdę zwierzę, które nie było ani koniem, ani osłem, a nawet nie. żrebakiem, choć przypominało je swym wyglądem miało na grzbiecie małe siodełko. Mężczyzna w żółtych spodniach i kapeluszu z piórem przechadzał się z papugą na ramieniu.

Młody chłopak sprzedawał tekturowe marionetki poruszające rękami i nogami za pociągnięciem sznurka. Widocznie i dorośli, i dzieci zabawiali się tutaj w różne gry.

Dochodziły okrzyki gazeciarzy. Na dachu przeciwległego domu ktoś rozganiał gołębie długą tyczką.

– Jak ci się podoba Ameryka, Felusiu? – spytała Klara.

– Ach, marno, jak tu zabawnie – odrzekła robiąc gest zupełnie taki jak Aleksander.

Felusia poczuła głód i poszła z Łudzą do restauracji po drugiej stronie ulicy. Klara tymczasem przyjrzała się pokojom. Pomacała materace, wyciągnęła szuflady biurka. W przedpokoju były drzwi do oddzielnej ubikacji i łazienki z wanną. Odkręciła krany i ze zdumieniem stwierdziła, że płynie gorąca woda, chociaż nie kazała przygotować kąpieli. Z przyzwyczajenia zadzwoniła jednak na pokojówkę posługując się językiem żydowskim oraz gestykulacją poinformowała, że chce wziąć kąpiel. Pokojówka uśmiechnęła się i mówiąc coś po angielsku, odkręciła krany. Na krześle leżało kilka tronie amerykańskiej gazety. Klara, nie znając zupełnie angielskiego, pojęła jednak z ilustracji, że chodzi tu o reklamę kosmetyków, gorsetów, biustonoszy, sposobów usuwania zbędnych włosów, trucizny na karaluchy. Jedna z reklam podawała dwie fotografie tej samej kobiety, pierwsza ukazywała kobietę podstarzałą, pomarszczoną i zaniedbaną, druga – młodą, elegancką i dumną. U dołu wydrukowano dwa i słowa: “przedtem” i “potem”. Klara odgadła ich

znaczenie. Przyszło jej natychmiast na myśl, że i ona może się odmłodzić w tym kraju. Zbudziło się w niej na nowo pragnienie życia.

IV

Wszystko potoczyło się lepiej, niż przewidywała.

Luiza, zaproszona w odwiedziny do rodziny pana Dujacquesa, zabrała ze sobą Felusię. Ochłodziło się i Klara poczuła się lepiej w swym jesiennym stroju.

Spędziła już pół dnia w salon de beaute. Poddano ją masażowi, ufarbowano i ułożono włosy, zrobiono makijaż. Nakupiła różnych drobiazgów. Jeszcze w Warszawie nabyła rozmówki angielskie dla podróżujących. Od razu zaczęła sobie przyswajać słowa i zwroty. Nic takiego trudnego żyć w Ameryce. Wszystko się dostanie za pieniądze. Dorożki i karety do wynajęcia stały przed hotelem. Klara wsiadła i kazała się zawieźć na East Broadway. Okazało się, że dorożkarz mówi po żydowsku. Klara wybuchnęła śmiechem słysząc jego równy, polski akcent. Pochodził z Warszawy, był tam dorożkarzem. Kiedy tak jechali, prowadził rozmowę, wciąż odwracając głowę przez ramię. Czy on zna Warszawę? Zęby tam zjadł..Ulica Berga? Mieszkają tam wyższe sfery! Bardzo bogaci ludzie. Dlaczego wyjechał? Zaplątał się w sprawę sądową. Po co miał siedzieć i czekać, aż sędziowie, antysemita, wsadzą go do więzienia? Niedoczekanie ich. Niech zgniją... niech im kości połamie! Wciąż się odwracał, aby lepiej widzieć Klarę, i omal nie przejechał paru przechodniów.

– Kto tanio zostaje z tymi rozbójnikami, jest szalony!

Ameryka to wspaniały kraj. Jeżeli się ma parę dolarów, to prawdziwy raj. Język? Można się go nauczyć. Do kogo pani tu przyjechała? Do krewnych? Ma zamiar wrócić?

To nierozsądne. Dobrze jest żyć w kraju Kolumba.

Wszyscy jedzą biały chleb, nawet żebracy. On może posyłać starej matce parę dolarów ze swych skromnych zarobków... Prr, wolnego! Hej tam, wujku, dokąd idziecie, jak się wam zdaje? Oślepliecie? Te wózki ręczne blokują ulice i nie można się między nimi przecisnąć. To sami Żydzi. W Warszawie zajmowała się sprzedażą odręczną w Gościnnym Dworze, a teraz robią to samo tu, w Nowym Jorku. Zarobią na życie, pozwolenia mieć nie muszą. Wszyscy ciężko pracują, ale z paru centami w kieszeni człowiek jest wolny jak ptak. I tu nie brak takich, co nienawidzą Żydów.

Nazywają nas żydłakami i gudłajami. Ale my im oddajemy. Jak dwóch się bije, nikt się nie wtrąca. Jest takie powiedzenie: "Pilnuj swego nosa" ... Hej!

Dorożka się zatrzymała. Ukazały się wozy strażackie.

Strażacy nie mieli mosiężnych hełmów jak w Warszawie.

Nosili czarne kapelusze, przywodzili na myśl katów.

Wozy przeleciały obok z hałaśliwym dzwonieniem, konie w mosiężnej uprzęży zdawały się wyrywać z cugli. Dorożkarz odwrócił się ku Klarze:

– Sami wzniecają pożar, przekleństwo na ich łeb! W nocy wynoszą cały towar, a potem podpalają budynek.

Jak ich złapią, biada im, ale czego się nie robi dla paru tysięcy dolarów? Zaraz po moim przyjeździe ubezpieczenie od ognia było tu bardzo niskie. Teraz wzrosło bez umiaru. Gdybym kiedyś przyłapał takiego drania, wyrwałbym mu kulasa. Przedsiębiorstwa się bogacą, ale kosztem życia ludzkiego. Zdarzyło się, że spłonęła cała rodzina! Sam winowajca uległ poparzeniu i dzięki temu obecnie plac Żelaznej Bramy (przyp. red.) został schwytany. Ognije w więzieniu, ten zawszony hultaj. Będzie się musiał dobrze namodlić, aby wyjść z więzienia za życia... Hej!

Ruch się wzmógł: coraz więcej kursowało wózków, dorożek, pośpiesznych furgonów towarowych, nawet rowerów. Otwierano okna, wychylały się z nich głowy.

Dzieci bawiły się na chodniku. Chłopak, gruby jak beczka, w dzianej czapce na głowie, wymachiwał krótkim kijem przypominającym Klarze wałek do ciasta. Dzieci wrzeszczały. Domy nowojorskie nie mają ani bramy, ani podwórza. Wszystko więc dzieje się na ulicy. Mokłą bieliznę rozwiesza się na dachach. Pojemniki na odpady pełne popiołu stoją przed wejściem. Korpulentna kobieta, o uróżowanych policzkach i umalowanych oczach, w czerwonych pończochach na grubych nogach, wydierała się na kogoś mieszając słowa angielskie z żydowskimi. Dorożkarz przechylił się do tyłu i odezwał poufnie do Klary:

– To jedna z tych, ulicznica, dziewczka, niech całe to plemię diabli porwą. Nie chcą pracować w Ameryce. Żyją tylko po to, żeby grzeszyć. Same chorują na syfilis i zarażają innych. Ich krew jest zarobaczona. Młodzik wpadnie im w ręce i już mu nos gnije. Mam żonę i dzieci, niech im Bóg da zdrowie. Najstarszy jest w szkole

średniej. U nas nazywa się to "gimnazjum". Kto w Warszawie mógł sobie pozwolić na posyłanie dziecka do gimnazjum? Tutaj płaci Wuj Sam, każdy ma równe prawa. Każdy jest obywatelem!... Oto i East Broadway.

Jaki numer? Tam jest synagoga. Nie brakuje tutaj nabożnych Żydów. Mój syn też chodził na naukę do szkoły religijnej... Urządziłem mu bar-miewa.

Ulica wydawała się zamożniejsza od sąsiednich. Mężczyźni chodzili w cylindrach, kobiety były dobrze ubrane.

Wysoki, siwy pan w pelerynie i cylindrze wymieniał z kimś ukłon powitalny. Podniósł rękę w białej rękawiczce i pomachał laską ze srebrną gałką. Wyglądał jak muzyk lub aktor. Klara spostrzegła afisz reklamujący teatr żydowski w Nowym Jorku. Dorożka stanęła przed piętrowym budynkiem z czerwonej cegły. Parter i piętro miały po trzy okna, a przed wejściem był portyk. Tak, to tutaj. Numer namalowano złotą farbą na oszklonych drzwiach, a tabliczka informowała: Aleksander Cypkin, lekarz medycyny. Dorożkarz śmignął batem i odjechał.

Więc to tutaj! A ona wyobrażała sobie jakiś pałac. Coś ją dławiło w gardle.

"Boże miłosierny, aby tylko nie dostać ataku! Żebym tylko dożyła chwili, kiedy go zobaczę." Zaczęła głęboko oddychać i opanowała się. Unosząc fałdy sukni gęsto naszytej taśmą, weszła po schodach.

"Czego się boję – mówiła do siebie – przecież mnie nie zje"...

Pociągnęła za dzwonek. Młoda dziewczyna otworzyła drzwi, wyglądała na służącą i odezwała się po angielsku, lecz Klara odpowiedziała po rosyjsku. Dziewczyna poprosiła Klarę do poczekalni. Siedziały tam jakieś dwie kobiety. Jedna miała wygląd przekupki z bazaru, druga, w okularach na haczykowatym nosie i w czepku, mogła być w mniemaniu Klary żoną rabina. W pokoju stało akwarium ze złotą rybką. Na ścianie wisiał landszaft.

Przez okno widać było maleńki ogródek z dwoma ogołoconymi z liści drzewami. Z kuchni dochodził zapach gotującej się kapusty. Klara wzięła pismo ilustrowane drżącą ręką. Próbowwała oglądać obrazki, ale oczy nie chciały skoncentrować się na nich. Strona nabierała to zielonej, to żółtej barwy, a zadrukowane rzędy liter uciekały w górę, jakby pociągane przez sztywno

naciągnięty sznurek... Żona rabina zakaszłała. Przekupka westchnęła. Klara ukryła twarz za pismem. Poznała głos Aleksandra dochodzący spoza drzwi – miał brzmienie głębsze i nieco ochryple.

V

Przekupka po wejściu do gabinetu lekarskiego długo tam przebywała. Do Klary dochodziły głosy zarówno lekarza, jak i pacjentki. Cypkin mówił po żydowsku. Klara po raz pierwszy usłyszała w jego ustach ten język, zdziwił ją litewski akcent. Przez moment chciało jej się śmiać.

Podniosła wyżej czasopismo, by mieć pewność, że zasłania sobie twarz. Oparłszy się na poręczach fotela, odrzuciła głowę do tyłu i usiłowała się odprężyć. "Nic ani dobrego,, ani złego nie może mnie w życiu spotkać", przemknęło jej przez myśl. Drzwi się otworzyły, przekupka opuściła gabinet, a żona rabina weszła do środka. Cypkin odezwał się jeszcze od progu, zalecając łyżeczkę czegoś po śniadaniu, obiedzie i kolacji. "Co mu powiem? – pomyślała nagle. – Nie wolno mi się poniżyć.

Powiem mu to tylko, że Felusia jest w Nowym Jorku." Choć była zasłonięta czasopismem, poczuła na sobie wzrok Cypkina. Obróciła rękę, by się wydała mniejsza...

Żona rabina jeszcze dłużej była w gabinecie niż przekupka. Co on robi. Dlaczego tam jest tak cicho? Czy dokonuje skrobanki? Komizm tego przypuszczenia wywołał uśmiech na jej twarzy. Ta kobieta to już niewątpliwie babka. Klara przestała myśleć na chwilę. Z innej części domu doszedł płacz dziecka. Wydało się jej, że słyszy gniewny kobiecy głos uciszający dziecko. W poczekalni było gorąco i duszno, zalatywało kurzem i dymem z pieca. Zaczęła się wachlować. Może te drzwi już nigdy się nie otworzą, a on zostanie na wieki z tą żoną rabina – dwie skamieniałe mumie? W tym momencie pacjentka wyszła z gabinetu. Cypkin kroczył za nią, kończąc wskazówki, jak stosować inhalator, przy czym naśladował dźwięk: "ach-cha". Klara przesunęła nieco trzymane w ręku pismo i kącikiem oka spojrzała na dolną część sylwetki Cypkina: biały fartuch i spodnie w kratę. Kamasze wyglądały nienormalnie wielkie. Czy ma takie. duże stopy? Odłożyła czasopismo widziała wszystko jak przez mgłę. – Proszę wejść – odezwał się doktor. Klara powstała, nogi jej ścierpły. Spojrzała na Cypkina.

Postarzał się, włosy mu zrzedły. Na czubku krótko ostrzyżonej głowy widniała łysina, z której wyrastały pojedyncze kłaczki włosów jak kępki trawy na bagnie.

Brwi nad nosem miał zrośnięte, spojrzenie krótkowidza. Dwie zmarszczki okalały usta, świadcząc o zniecierpliwieniu i zgorzknieniu kogoś, kto postępuje wbrew swym chęciom.

Nie poznał jej. Chciała się rozplakać. Może więc nie powinna w ogóle dać się poznać? Gabinet był równie skromnie umeblowany jak poczekalnia. Biurko, dwa krzesła, lampa. Pomiedzy papierami leżała słuchawka. Na ścianie wisiała karta do badania wzroku. Cypkin znów coś powiedział po angielsku, Klara odkaszlnęła chcąc się pozbyć uczucia suchości w gardle.

– Przepraszam pana doktora, nie władam angielskim ~ odezwała się po polsku.

Zapanowało milczenie. Oboje usiedli. Chociaż nic nie powiedział, wiedziała, że ją poznał.

– Czyżbym, się mylił? – spytał drżącym głosem.

– Nie. To ja.

Nie powstał. Uiniósł brwi z wyrazem zdumienia, a zarazem obojętności, jakby nieczuły na wszystko, co się może zdarzyć. Dziwna myśl przemknęła przez głowę Klarze: “Czuje się rozczarowany, że nie jestem pacjentką.” – To doprawdy niespodzianka – odezwał się po polsku z domieszką cudzoziemskiego akcentu.

– Prawda?

I znów zamilkli. Szukając po omacku chusteczki w torebce, wyjęła bez zastanowienia lusterko, które jej upadło na kolana.

– Co się stała? Dlaczego nie dałaś mi znać o przyjeździe? Boże!

– Sama nie wiem. Jest tu i twoja córka.

H Felusia? Gdzie?

Wymieniła hotel, w którym się zatrzymały.

– Jest z nami i Luiza.

Cypkin zaniemówił. Podniósł się i spojrzał ku drzwiom.

Przez chwilę jego wysoka postać dominowała nad Klarą.

Po chwili wahania usiadł z powrotem. Spojrzał na nią, ona zaś na niego.

Odkładając słuchawkę powiedział:

– Co za niespodzianka.

–. Chyba nie sprawiam ci kłopotu?

– Cóż znowu? Myślałem, że cię już nigdy nie zobaczę. – Usta mu drgnęły.

Zaczęli rozmawiać najpierw z wahaniem chaotycznie, o podróży, gdzie wsiadły na statek i kiedy wysiadły: w miarę tej rozmowy o rzeczach mało ważnych, między przeszłością terażniejszością zaczęła się zadzierzgać tajemna nić. Zmiany, jakie wniósł czas w ich wyglądzie, w twarzach, głosach, postaci, zdały się zniknąć.

Niewidzialna ręka wygładziła zmarszczki, wypełniła bruzdy, upiękusiła braki. Cypkin poczuł się odmłodzony, odzyskał swą dawną werwę i pewność siebie, która tak się w nim podobała Klarze. W jej oczach zapalił się dawny blask, twarz znów nabrała cech namiętnych, zuchwałych i wulgarnych, a zarazem wyrazu typowo semickiej, macierzyńskiej czułości. Cała przemiana dokonała się w ciągu paru sekund. "Przecież to mój dawny Aleksander, dlaczego wydał mi się obcy?" – zdumiała się Klara.

"Tak, wszak to Klara!" – zapewnił siebie Cypkin. Powstał i otworzył drzwi do poczekalni, jakby chciał się przekonać, czy już nie ma żadnych więcej pacjentów.

Rzucił spojrzenie i na drugie drzwi, zasłonięte zieloną portierą, najwidoczniej prowadzące do prywatnego mieszkania.

VI

– Co cię skłoniło do tego przyjazdu? – spytał i natychmiast uświadomił sobie, że pytanie jest niegrzeczne, lecz nie mógł go już cofnąć. Klara przez chwilę się zastanawiała.

– To proste. Felusią jest twoją córką i potrzebuje ojca.

Karta z życzeniami raz na rok jej nie zadowala. Chodzi do gimnazjum, wszystkie koleżanki mają ojców. Co innego, kiedy dziewczyna jest, niech Bóg broni, sierotą... Klara się zatrzymała, to ostatnie zdanie wypadło niezręcznie.

Cypkin spuścił głowę.

– Ostatnio bez przerwy o tobie myślałem.

– Bez przerwy?

– Tak.

– Sądziłem, żeś o mnie zupełnie zapomniał.

– Nie, Klaro. Wszystko pamiętam. Ale starałem się zapomnieć. Cóż innego mogłem zrobić? Po tym, co zaszło między tobą a Mirkinem, powziąłem decyzję, że wszystko między nami skończone.

– Mirkin już nie żyje..

– Kiedy umarł? Nie zachowałem do ciebie urazy. Taka jesteś i nic cię już nie zmieni. Wiesz, że się ożeniłem?

– Tak, słyszałam płacz dziecka..Czy to twój synek?

–r Tak, mój syn. Miłe dziecko. Żona pochodzi z Węgier.

Pomogła mi dokończyć studia.

– Jak się ma Sonia?

– Sonia stała się osobą zamożną. Jej mąż jest właścicielem fabryki. Mają troje dzieci.

– Widujecie się?

– Niezbyt często. Jest zaabsorbowana dziećmi. Jej mąż, Jackiewicz, porzucił dawne ideały. Ja też nie należę do organizacji, nadal jednak z nią sympatyzuję. Tutaj jest wielu anarchistów i socjalistów. Główna ich kwatera znajduje się w tej dzielnicy.

– Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie Nowy Jork.

– A jak go sobie wyobrażałaś? Ten sam świat I tacy sami ludzie. Wciąż całymi okrętami napływają z Rosji.

Nigdy jednak nie przyszło mi na myśl, że i ty możesz przyjechać.

– Przybyłam tylko w odwiedziny. w odwiedziny?

Na jak długo?

– Jeszcze nie wiem. To zależy.

Cypkin postawił suszkę na nie dokończoną recepcie.

– No, w każdym razie jesteś.

– Tak, Aleksandrze. Jestem tutaj. Aczkolwiek wydaje mi się, że lada chwila się ocknę i znajdę powrotem w domu.

Ciężko chorowałam. Niewiele mi brakowało do śmierci.

Czuję się teraz dużo lepiej. Przeszłam ostre ataki kamieni żółciowych i złożona tą chorobą postanowiłam nie zostawić Felusi sierotą. Czymże ona zawiniła?

Każdego musi spotkać kara, ale za swoje własne grzechy, nie za cudze.

– To prawda.

– Kiedy wróciłam do zdrowia, postanowiłam odbyć tę podróż. Jeśli człowiek pogodzi się ze śmiercią, nic już go nie przeraża. Wszystko się odbyło tak szybko!

Oczywiście pamiętasz Saszę. Wszak był twoim uczniem.

Przejął kontrakty na dostawy po swoim dziadku, a moim ojcu, i powodzi mu się jeszcze lepiej niż kiedyś dziadkowi. Jest bardzo lubiany, chętnie podejmowany przez ważne osobistości. Generałowie zapytują go o zdanie w sprawach absolutnie nie związanych z dostawami. Odznacza się niezwykłą inteligencją i jest aż nazbyt obrotny. Byłabym szczęśliwa, gdyby brał życie bez zbytniego filozofowania.

Widocznie ma to po mnie. Tak czy inaczej, powiedziałam wszystko Saszy i dopomógł mi w wyjeździe. Nie masz pojęcia, jaki jest dobry i szczodry. Prawdziwy magnat!

– Czy się ożenił?

Nie. Oby tylko w ogóle i zechciał się ożenić! – Dlaczego? Jak widzisz, ja zostałem lekarzem, tu, na East Broadway. Los tak zrządził.

– Jesteś zadowolony?

– Zadowolony? No cóż, nie mam żadnej pretensji do nikogo. Moim celem była zachodnia Europa, nie Ameryka. Jest to jednak kraj wolny. Można mówić, co się chce, i pisać, co się zapragnie. Można tutaj ostrzej krytykować prezydenta niż u nas posługacza w łaźni.

Skoro zaś prawo na to zezwala, te rzeczy przestają mieć jakieś znaczenie. Po co wyważać otwarte drzwi?

Dostałem fotografię Felusi. Kiedy ją zrobiłaś? Doskonale na niej wygląda.

– To prawda. Jak ją zobaczysz, zgodzisz się, że ona przewyższa nas oboje.

– Po co się ponizasz? Co do mnie, nie zdobyłem, jak widzisz, bogactwa, ale mieszkam we własnym domu i mam praktykę. Ja też jestem zrezygnowany – powiedział i zdumiał się własnym słowom. Nigdy mu się nie zdarzyło w ten sposób myśleć o sobie.

– Dlaczego mówisz o rezygnacji? Masz swój zawód i założyłeś rodzinę.

– Tak, ale..., kiedyś mierzyłem wyżej., Co to za satysfakcja leczyć te kobiety? Moja żona to wartościowa osoba, ale jest Węgierką i to ją jakoś wyłącza ze świata moich zainteresowań. Węgrzy wydają się myśleć podobnie jak my, ale są inni. Są tacy niezaangażowani.

Wszystko dla nich jest jasne i proste. Nie znają naszych wątpliwości. We mnie jest mieszanina dwóch kultur: rosyjskiej i polskiej to dziwaczny zlepek. Nie wyszłaś ponownie za mąż?

– Przecież wiesz, że nie.

– Skąd mam wiedzieć? Całe lata nie miałem od ciebie wiadomości.

– Nie życzyłeś sobie ich mieć. Nawet nie chciałeś wysłuchać, co ja mam w tej sprawie "Ho powiedzenia.

– Fakty mówiły same za siebie.

– Fakty? Są takie sprawy, Aleksandrze, o których nie można wydawać sądu, jeśli się nie zna wszystkich szczegółów. We Francji kobieta popełniła morderstwo, a ława przysięgłych jednogłośnie ją uniewinniła. Nie dość na tym, obsypano ją kwiatami. A kiedy się dowiedziano, ile zniosła cierpień, uznano ją niemal za świętą.

Ja, jak dotąd, nikogo nie zabiłam. Jeżeli kogoś zniszczyłam, to siebie. Gdybym została przy tobie, może byłbyś krawcem, a nie lekarzem.

– Czy mam uważać, że zrobiłaś to wszystko dla mego dobra?

– Nie, tego nie mówię. Zresztą co za różnica? Przeszłość nie może wrócić.

Ach, gdyby mogła! Gdybym miała dzisiejszy rozum mając osiemnaście lat. Pisałaś listy, które oblewały mnie lodowatą wodą. Felusia była jeszcze dzieckiem. Wtedy zjawił się Mirkin i zawrócił mi głowę opowieściami o swym bogactwie. Nie wolno źle mówić o zmarłych, ale nigdy nie spotkałam większego łgarza. Co najgorsze, on sam siebie wystrychnął na dudka. Nie mówię że postępowałam rozsądnie. Myśląc o tym wszystkim później, miałam wrażenie, że on rzucił na mnie jakieś czary. Bóg jeden wie, ile łez wylałam. Ciężko się rozchorowałam. Zapytałeś, czy nie wyszłam ponownie za męża.

To ty się związałeś, nie ja. Może wtedy, kiedy mnie tak zawzięcie oskarżałeś, miałaś już swoją węgierską narzeczoną.

Cypkin spuścił głowę.

– To znaczy, że to moja wina.

– Nie, nikogo nie winię. Drogo zapłaciłam za swój błąd – najwyższą cenę!

– Czy Kubuś wciąż jest w Warszawie? – spytała Kilara.

– Tak.

– Masz od niego wiadomości? ". – Rządsko.

– Czy ona wyszła ponownie za męża?

– Sabina? Tak, wyszła., – No pewno, dlaczego miałaby nie wyjść? Ludzie myślą o sobie. Nikt nie chce zostać sam na świecie. Aleksandrze, nie sądz, że przyjechałam, by cię o cokolwiek prosić lub obarczyć Felusią. Widzę zresztą, że nie czułaby się najlepiej w twoim domu. Wyobrażałam sobie coś całkiem innego. Luiza wychodzi za męża. Wyobraź sobie, poznali się na pokładzie. Już mi przyrzekła zabrać Felusię do siebie, nim moje plany się skryształizują. Luiza jest za stara, żeby mieć dziecko. Nie zdajemy sobie sprawy, jak przywiązują się do nas osoby, które zatrudniamy. Mogę zażądać od ciebie subwencji dla twojej córki, lecz nie upadłam tak nisko. O jedno cię tylko proszę: niech Felusią pozna swego ojca. Nie chcę, aby

się czuła jak zaniedbana sierota. Przyjdź, poznaj ją. To twoje dziecko. Ja już się pogodziłam z losem.

– Gdzie się zatrzymałaś?

Klara znów mu podała nazwę hotelu.

– Dlaczego akurat tam? Zresztą wszystko jedno. Moja żona jest bardzo zazdrosna – dorzucił zniżając głos – chociaż nie ma żadnych powodów do podejrzeń. Jest też ogromnie religijna, prowadzi kuchnię koszerną i tak dalej.

Ja zaś pozostałem ateistą. Ma ona różne swoje uprzedzenia, nie chciałbym wywołać awantury. Potrafi też podsłuchiwać pod drzwiami, kiedy jest u mnie pacjentka.

Jeśli więc chcesz kontynuować rozmowę, lepiej będzie, jeśli zrobimy to w twoim hotelu.

– Czemu nie? Felusia wyszła z Luizą. Sądziłam, że lepiej będzie omówić najpierw różne sprawy.

Tak. Weźmiemy dorożkę. Niektórzy lekarze mają tu własne pojazdy i sami powożą. Nie chciałem jednak zostać furmanem, a zatrudnienie człowieka na stałe kosztuje zbyt drogo. W tym kraju wszystko wygląda inaczej. Panuje demokracja, tak się to przynajmniej nazywa. Obalono wiele tradycji. Kiedy mnie wzywają do chorego, idę pieszo albo jadę "El", czyli kolejką miejską.

Musiałaś ją zauważyć. Zaczekaj, powiem żonie, że przyszłaś po mnie do chorego.

– Jak sobie życzysz. Jeśli tak jej się boisz, może będzie lepiej w ogóle nie iść?

– Ja się nie boję. Nie nosisz na sobie piętna Kaina. Nie sądz, że siedzę pod pantoflem, chcę po prostu uniknąć sprzeczki, no i nie chcę jej zranić. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo cierpią osoby tego pokroju.

– Wiem, ja też nie jestem z drewna, choć możesz uważać mnie za kobietę rozwiązłą. Chciałabym cię o coś spytać: kto napisał tamten list? Jaki list?

– Donoszący o moim wyjeździe z Mirkinem.

Cypkin zbladł.

– Nie wiem. To był anonim.

- Napisałeś kiedyś, że list przyszedł z Warszawy.
- Nie, z Paryża.
- Czy masz go jeszcze?
- Być może. Musiałbym jednak poszukać.

A ja, idiotka, podejrzewałam mego biednego syna, mego Saszę. W jakim języku był napisany? Po rosyjsku?

- Tak.
- No więc to Mirkin musiał go sam napisać lub jego sekretarz, ten szarlatan.

Z pewnością go pamiętasz:

Jasza Winawer.

- Tak, pamiętam.
- Nie wiem, co miał przeciwko mnie. Nigdy nic mu złego nie zrobiłam.
- Więc ciebie niepokoi tylko fakt, że on na ciebie doniósł. Twoje własne postępowanie mało cię obchodzi.
- Moje postępowanie obchodzi jedynie Boga i mnie, nawet jeśli ty i ja byliśmy sobie talk bardzo bliscy. Nie potrafię ci wyjaśnić, jak to się stało. Nawet gdybym ci opowiedziała, to byś nie uwierzył. Niegdyś sądziłam, że nie można nikogo wyprowadzić w pole, a zwłaszcza ze mną to się nie uda. Lecz Mirkin od początku mnie oszukiwał. Może i nie powinnam ci tego mówić. Nie muszę przed tobą się usprawiedliwiać. On był impotentem, wiedziałam o tym. Nie od niego – on odgrywał rolę namiętnego kochanka – od doktora, który go leczył. Tak, są lekarze zdradzający tajemnice pacjentów, zwłaszcza po paru kieliszkach wina. Dlatego się zgodziłam z nim jechać. Przyrzekł zakupić dla mnie bardzo intratne akcje. Obiecywał gwiazdkę z nieba, ale wszystko to były kłamstwa. Mimo złego stanu zdrowia zadawał się z prostytutkami. Jasza Winawer go okradał.

To odpychająca kreatura, lecz Mirkin nadal go zatrudniał.

Uwierz mi, Aleksandrze, od dnia naszego zbliżenia nigdy nie przestałam ciebie kochać i pragnąć. Gotowa jestem to wyznać przed Bogiem na sądzie ostatecznym. Możesz być wolnomyślicielem, ja jednak wierzę, że jakieś moce musiały wznieść przeszkody na naszej drodze. Jakiś przewrotny duch ściga mnie od dzieciństwa.

Możesz sądzić, że jestem szalona, lecz nie możesz zaprzeczyć temu, co na własne oczy widziałam.

Cypkin zmarszczył brwi.

– Co takiego widziałaś?

– Nie mogę ci nic teraz wyjaśniać. Jeszcze o tym porozmawiamy. Kiedy poznasz całą prawdę, zgodzisz się ze mną.– Chcę, Klaro, abyś jedno wiedziała: nigdy już nie potraktuję cię na serio.

– Sądz o mnie, co ci się podoba.

– Poczekaj, za chwilę wrócę.

Cypkin powstał. Nagle położył rękę na policzku Klary, która pochwyciła ją w przegubie i pocałowała. Stało się to szybko i nieoczekiwanie. Otworzył drzwi za zieloną portierą i wyszedł z pokoju. Klara siedziała z pochyloną głową. Chociaż jego dłoń z lekka było czuć potem, obudziła się w niej namiętność. Wszystkie uczucia, które starała się stłumić w ciągu lat, powróciły pod wrażeniem tego dotyku. “Kocham go! Muszę go odzyskać, nawet jeśli przyplacę to życiem”, przyrzekła sobie w duchu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

I

Deszcz dudnił o dach niczym grad. Lało od trzech dni.

Na szczęście dom stał na wzgórzu. Niżej, w dolinie, kałuże wyglądały jak jeziora, w których odbijały się nagie gałęzie z suchym liściem tu i ówdzie uparcie trzymającym się gałązki, ptaki, które pierwszego popołudnia ćwierkały, Umilkły. Od czasu do czasu zakrakała wrona. Deszcz bębnił, mgła jak dym unosiła się z kałuż, sprawiając wrażenie, że dookolny gąszcz zarośli i traw tli się i dymi. Po otwarciu okna z dworu dolatywał odór śmierdźli i zgnilizny. Chłód przenikał do pokoi. Aleksander bez przerwy dorzucał do pieca w bawialni szczapy drewna i cienkie polana. Kiedy się siedziało przed piecem, policzki płonęły, lecz w plecy było nadal zimno. W ciągu dnia mroczne światło przenikało przez ociekające deszczem okna. Niedaleko od domu biegła droga. Gwizdy i sapanie lokomotyw dochodziły od strony torów kolejowych znajdujących się w pewnej odległości. Nic jednak nie było widać prócz powyginanych pni drzew i ociekającego deszczem nieba.

Człowiek, od którego Cypkin wynajął na tydzień ten domek, uprzedził, że w przyległych lasach są dzikie zwierzęta na wszelki więc wypadek zaopatrzył go w dwie strzelby myśliwskie. Na półkach nagromadzono książki, które zalatywały pleśnią. Na ścianach wisiały portrety oficerów z okresu wojny domowej, podłogi zaśścielały szydełkowe dywaniki, łóżka zaś okrywały kapy jak mozaika, zrobione z kawałków pstrych materiałów, pozszywanych w ciągu długich zimowych wieczorów przez pannę Clark, starą pannę, a poprzednią właścicielką domu. Panna Olark zmarła przed ośmiu laty dom należał obecnie do jej bratanka, urzędnika kolejowego, mieszkającego w Croton nad rzeką Hudson. Rodzina jego przebywała w tym domu tylko w czasie lata., Jechać tam w połowie jesieni było niewątpliwie szaleństwem, lecz Klara pogodziła się z faktem, że wszystko, co robi, musi się nie udać. Cypkin spędził kiedyś lato w tej okolicy. Posłużył się wobec żony dość niezręcznym kłamstwem podając, że jego dawny pacjent z Croton ciężko

zachorował, a jedynym lekarzem, którego darzy zaufaniem, jest właśnie on, Cypkin. Wysłał więc depezę adresowaną do siebie i zlecił żonie przesłanie odpowiedzi. Felusia zamieszkała u Luizy.

Aleksander podjął z banku pewną sumę pieniędzy i wyjechał na tydzień z Klarą, aby spłacić stare długi miłości i pomówić na tematy dawno nie poruszane. Nie było w tym ustroniu nic innego do roboty jak tylko leżeć w szerokim łożu pod grubą warstwą koców. Nie mieli też zbyt dużo jedzenia. Najbliższy sklep znajdował się w znacznej odległości. Cypkin zrobił zapas chleba, sera, kiełbasy, masła i jajek, mniemając, że będą mogli go uzupełniać. W składziku było drewno i nafta oraz korzec jabłek zerwanych w pobliskim sadzie. Cypkin i Klara przybyli w ciepłe październikowe popołudnie, w dzień babiego lata powietrze było balsamiczne, przetykane pajęczyną białych nitek. Po nocy jednak pogoda się zmieniła. Cypkin obawiał się, że deszcz przejdzie w śnieg i odetnie ich od świata, z czego mogłyby wyniknąć różnego rodzaju komplikacje. Żona zaczęłaby się niepokoić i próbować z nim porozumieć. Miejscowa policja dowiedziałyby się, że on i Klara nie są małżeństwem. Okoliczni mieszkańcy to bogobojni jankesi.

Cypkin jednak zaryzykował. Życie we dwoje z żoną płynęło zbyt monotennie. Nie był w stanie zapomnieć Klary.

W nocy, po ciemku, włosy Klary znów wydawały się czarne. Opowiedziała mu, wszystko, niczego nie tając, o Griszy, Kalmanie, Smirnowie, Mirkinie. Spowiadała się i prosiła o przebaczenie wyliczając swe grzechy, ścisła Cypkina z rozbudzoną na nowo namiętnością. Jak dziwna jest natura ludzika! To, co rani przy świetle, podoba się w ciemnościach. Zazdrość staje się źródłem przyjemności. Wyznanie zrad przez Klarę wzmagало ich namiętność. Rozpytywał ją, pragnąc dokładniej wiedzieć, badając każdy szczegół. Ona zmyślała nawet akty deprawacji, aby go tylko zadowolić. Prosiła, aby nawzajem opowiedział szczegółowo o swych przygodach, więc je opisywał. Upierała się, że chce wszystko wiedzieć o Sabinie, o Obecnej żonie i o innych kobietach, dziewczynach wiejskich z dóbr Radziwiłła i prostytutkach, do których chodził z kolegami jako student uniwersytetu w Kijowie. Obejmowali się i rozmawiali.

Czy potrafią nadal żyć osobno? Klara dowodziła, że skoro opuścił Sabinę, to dlaczego nie miałby zostawić tej węgierskiej megieri? Jeśli Sabina potrafiła znaleźć innego męża, to i Liza potrafi. Powinien oddać dom żonie, a sam odejść z Klarą. Ona ma trochę pieniędzy, biżuterii.

Sasza wesprze ją w razie potrzeby. Aleksander może praktykować i gdzie indziej: w Kalifornii, Argentynie, Afryce Południowej, nawet we Francji lub Włoszech.

Mają córkę, która będzie ich największym skarbem.

Zamiast się ukrywać w jakiejś lodowatej dziurze, mogliby zamieszkać razem i być szczęśliwi.

– Ile czasu pozostało nam jeszcze, najdroższy? – nalegała. – Dopóki żyjemy, bądźmy razem. Po co spędzać noce tęskniąc za sobą. Czy ci, co usychają z miłości, osiągają raj? – spytała Klara i przycisnęła policzek do piersi Aleksandra.

Ubierała w słowa jego własne myśli. Znów popełnił błąd., Liza jest kobietą zimną. Dzielenie z nią łóżka nie daje~mu żadnej satysfakcji. Ona potrafi tylko martwić się o dziecko i przejmować własnym zdrowiem: Jej myśli obracają się wokół spraw związanych z gospodarstwem. domowym, praniem, oszczędzaniem. Podczas pierwszego roku wspólnego pożycia z trudem mógł się z nią porozumieć łamaną niemiecką. Później przeszli na język angielski, pozbawiony dla nich obojga asocjacji, sztuczny i nienaturalny.

W Klarze, pomimo schorowania, wrzała namiętność.

Jej sprośne opowieści zabarwiał mistycyzm, a namaszczone kochliwością – ironią. Potrafiła się zachowywać jak niemądra piętnastolatka bądź też przemawiać jak osoba stojąca jedną nogą w grobie.

Trajkotała mieszaniną rosyjskiego, polskiego i żydowskiego opisywała różnego rodzaju doznania miłosne, wspominała swe dziewczęce fantazje. Nawet rozmowy o śmierci potrafiła zaprawić zmysłowością. W spadku zostawi mu perły dla kobiety, która zajmie jej miejsce. Zmusiła go do złożenia przyrzeczenia, iż nie będzie oplakiwał jej śmierci, lecz od razu po pogrzebie pójdzie, do łóżka z inną kobietą. Dziwna rzecz, jak bardzo go podniecały tego rodzaju brednie! Ta perfidna

czarownica o siwych włosach, cierpiąca na kamienie żółciowe, przywracała mu młodość. Czy jednak może porzucić – po raz drugi w życiu – dom i rodzinę? Czy może zaufać Klarze? Żarliwe przyrzeczenia, jakie jej składał, należały po prostu do zasad gry. Przysięgi musiały być złamane. Poza upojeniem pocałunkami i czułością czaiło się trzeźwe niedowierzenie.

W ciągu nocy nadeszła burza z błyskawicami i grzmotami. Wichry wstrząsały szybami. W kominie gwizdało.

Łamały się konary drzew. Cypkin wyobrażał sobie, że jest Robinsonem Crusoe i jako rozbitek, przebywa z Szeherezadą. Burza jednak nie będzie trwała wiecznie, a Szeherezada zniknie z tych bajek. Nie miał zamiaru opuścić domu prawie już spłaconego, wiernej żony i syna noszącego jego nazwisko i imię Berysz, zmienione na Bernard nie rozpocznie nowego życia z podstarzałą awanturnicą. Wciąż pamiętał owe miesiące w Paryżu, kiedy Klara powróciła do Warszawy, a on wałęsał się po bulwarach i jadał wodniste zupki w bezpłatnej garkuchni Związku Izraelickiego.

II

– Jeśli nie chcesz mnie poślubić – dowodziła Klara – pozwól mi być twoją kochanką. Tyle jestem jeszcze warta. Mimo wszystko zostałam matką twego dziecka. Wynajmę mieszkanie w Nowym Jorku i będziesz przychodził, kiedy będziesz mógł. Jak nie przyjdiesz, będę sobie wyobrażała, że jestem nadal samotna w Warszawie. Taki widocznie jest mój los.

:- Czy to znaczy, że chcesz się osiedlić tutaj?

– Nie wiem, czego chcę. Co robiłam w Warszawie?

Zamartwiałam się na śmierć. Byłam jak dusza potępiona. Tutaj wiem przynajmniej, że żyję. Jeśli nie będziesz mógł bywać codziennie, to przyjedziesz dwa razy na tydzień lub kiedy będziesz mógł.

– Mam bardzo mało czasu.

– Co rozumiesz przez mało czasu? Nie musisz być więźniem swojej żony. Zawsze przychodziłeś do mnie od innej kobiety. Dawniej to była Sabina. Dlaczego więc nie Liza? Gdyby się nie zjawiała Liza, byłaby jakaś inna. Oto, do czego doszło!

Klara zaczęła płakać. Cypkin ją całował i pocieszał.

Deszcz ustał, choć niebo nadal zasnuwały chmury.

Gęsta, mleczna mgła spowijała pnie drzew i krzaki, unosiła się nad linią widnokregu ogromnymi obłokami podobnymi do foki. Wystarczyło odejść zaledwie kilka kroków od domu, by zbłądzić. Bezsenne noce wyczerpały Cypkina. W domu nigdy się nie kładł w ciągu dnia, tutaj zaś ucinał, sobie drzemkę. Tak, dobrze mu było z Klarą. Ona jednak źle się czuła. Miała zwiędłą twarz, pod oczami podwójne kręgi, sine i zielonkawe.

Gdy wstawała po nocy, twarz miała porysowaną zmarszczkami. Próbowwała coś ugotować, ale kuchnia dymiała. Chodziła po mieszkaniu w szlafroku, łapciach i palcie Cypkina zarzuconym na ramiona. Przez pierwsze parę dni nawet nie spojrzał na książki teraz zaczął czytać. Ponieważ powieści leżące na półkach należało zaliczyć raczej, do literatury tandetnej i nie było wśród nich nic ciekawego, wybrał książkę o okultyzmie.

Początkowo temat ten go nudził, lecz stopniowo zrodziło się zainteresowanie opisanymi przypadkami. Czyż to możliwe, aby tkwiło w nich choć ziarnko prawdy? Podano oświadczenia licznych świadków. Wszyscy oni przeszli tę samą drogą zaczęli jako sceptycy, których trzeba było przekonać i pozyskać. Przeczytał o jednym medium, niejkiej pani B., która znajdując się w transie, mówiła w języku indiańskim głosem i akcentem Irokeza z doliny Susauehanna. Ten dawno zmarły wódz plemienia potrafił odczytywać myśli i przepowiadać przyszłość. Był tak wszechwiedzący, iż potrafił wystukać na okrągłym stole odpowiedzi na wszelkie zadawane pytania. Podczas seansów z panią B. małe płomyczki zapalały się w ciemności, ukazywały się duchy, wiały lodowate wiatry, trąby same poczynały dąć, tajemnicze dłonie, uformowane z jakiejś nieznanej materii, przesuwwały krzesła, podnosiły naczynia, a nawet żartobliwie wymierzały komuś z obecnych policzek czy też pociągały za ucho. Cypkin się skrzywił. Przypomnił sobie, że słyszał podobne historie z zakresu czarnej magii od chłopów w dobrach Radziwiłła, a także od swych rodziców. Zły duch wstąpił w ciało młodej dziewczyny, córki sklepikarza. Skandowała Torą, recytowała Talmud, wygłaszała przeinaczone wyjątki z Pisma, ujawniała grzechy wpływowych obywateli, zniesławiała ich żony.

Starano się wypędzić diabła z dziewczyny dmąc w barani róg i rzucając na nią klątwy. Stosowano rozżarzoną fajerkę, amulety, a mimo to zły duch nadal drwił i bluźnił.

Słabe ręce dziewczyny uniosły głaz tak ciężki, że nie mogło mu podołać trzech mężczyzn, ona zaś taczała go, podrzucała w górę i w dół jak kamyczek... "Dlaczego ludzie na całym świecie wymyślają takie kłamstwa – dziwił się Cypkin – dlaczego te wszystkie historie są tak do siebie podobne?" Rozmawiał o tym z Klarą, która twierdziła, że są to prawdziwe zdarzenia. Zaklinała się, iż na własne oczy widziała stolik, który wskazywał liczbę monet, jaką każda z obecnych osób miała przy sobie. A kiedy mieszkała jeszcze z Kalmanem, wróżka przepowiedziała jej, że mężczyzna o ciemnej cerze wejdzie w jej życie i będzie z nim miała dziecko. Podczas choroby w Warszawie Cyganka wywróżyła jej z kart, że odbędzie podróż przez ocean.

Klara pokiwała głową.

– Jak sądzisz, najdroższy, dlaczego tu razem jesteśmy? Ponieważ całymi latami wzywałam ciebie, a tyś mi odpowiadał. Wyraźnie słyszałam twój głos.

Wołałeś:

„Klaro, Klaro”...

– To wszystko złudzenie. Po prostu brakowało nam siebie.

– To nie takie proste. Mamy dusze i nasze dusze tęsknią do siebie nawzajem.

Nie uwierzysz, lecz Grisza wciąż, jeszcze przychodzi do mnie w snach.

– Dlaczego miałbym nie wierzyć? Mnie się jeszcze śni stary książę Radziwiłł.

– Czasem Grisza złości się na mnie. Nawet mnie bił. Nieraz budziłam się z siniakami na ramionach i piersiach, od uderzeń nieżyjącego mężczyzny. Ostatnio był dla mnie dobry. Może dlatego, że zbliża się pora mego odejścia z tego świata.

– Bzdura!

– Najdroższy, nasze spotkanie było z góry wyznaczone. Kiedy cię zobaczyłam w pokoju Mirele na Zielnej, wiedziałam, że jesteś moim przeznaczeniem.

Wszystko we mnie zapłonęło...

Pierwsza część tygodnia szybko minęła. Dalsze dni wydawały się już dłuższe. Między Cypkinem a Klarą wynikały sprzeczki o drobiazgi. Pewnego dnia ubrali się i stawiając czoło niepogodzie powlekli się błotnistą drogą do wiejskiego sklepiku po zakupy. W powrotnej drodze złapała ich ulewa, przemokli do suchej nitki. Był późny wieczór i nic innego im nie pozostało, jak tylko położyć się do łóżka. Przykryli się wszystkimi kocami, jakie tylko znaleźli. Ciała im się rozgrzały, lecz stopy nadal były zimne. Rozmowa o miłości, namiętności i tęsknocie stawała się nudna. Klara usnęła coś pomrukując. Obudziła się z bólem w plecach i kurczami żołądka. Cypkin nagrzał dla niej cegłę w piecu. Przyjęła też lekarstwa przywiezione z Warszawy, ale nic nie pomogło. Kochankowie spędzili niespokojną noc. Sen był przerywany. Materac się zapadał, poduszki były twarde, prześcieradła szorstkie. Cypkin zapalił papierosa, którego i Klara wciąż pociągała. Domagała się, aby trzymał rękę na jej brzuchu, gdyż to łagodziło ból.

– Teraz widzisz, jakie ze mnie próchno.

– Ależ nic podobnego, skarbie. Kocham ciebie.

– Co to za miłość? Nie, lepiej nic nie mów.

– Klaro, przecież wiesz, że to wszystko z twojej winy.

III

Klara obudziła go pocałunkiem. Otworzył oczy, a ona zawołała:

– Mazel tow, śnieg pada!

Usiadł w łóżku i zobaczył, że na dworze wczorajsza szarzyzna zamieniła się po nocy w promienną biel.

Zimowe ptactwo świergotało. Biały szron połyskiwał w słońcu. Znowu z domu było widać daleki krajobraz ukryty za gęstą mgłą w ciągu deszczowych dni.

W pewnej odległości ukazał się dach z dymiącym kominem, co świadczyło, że sąsiedzi znajdowali się bliżej, niż oni sądzili. Cypkin ucieszył się jak chłopiec tym pierwszym tegorocznym śniegiem. Hura! Mamy zimę! Ucałował Klarę. Przypomniał sobie zimy w majątku Radziwiłłów i później w Kijowie: łyżwy, jazdę sankami w baranicach i kolacje. Któż w Ameryce potrafi pojąć, jaka tam wtedy panowała wesołość? Studenci i młode panny sadowili się w saniach, a woźnica w niedźwiedzim kozuchu, walonkach i baszłyku na czapie poganiał konie. Mknęli za miasto pod górę i z góry. Młodzi chichotali i przytulali się do siebie. Mimo że należeli do klasy średniej, mogli korzystać z wielu rozrywek dostępnych wyższym sferom.

Po kuligu, pijąc herbatę z samowarów, zajadali konfitury, wypalali niezliczoną ilość papierosów i prowadzili dysputy do trzeciej nad ranem. Zarówno studenci, jak i ich towarzyszkę troszczyli się o losy świata. Ojcowie tych panien, choć podczas świąt jeździli do rabinów w Husiatyniu i Turzysku, szli z duchem czasu, byli tolerancyjni i szukali wykształconych mężów dla swych córek. Matki, jeszcze w perukach na głowach, pomagały nowoczesnym córkom umawiać się na rendez-vous. Każdy nowy poemat zamieszczony w piśmie" ilustrowanym stanowił ważne wydarzenie. Każdy artykuł zasługiwał na dyskusję. Każda nowa idea lub ruch społeczny przywodziły na pamięć Sybir, szlisselburską twierdzę, emigrację do zachodniej Europy, lecz zarazem były to fantazje niesione przez wiatr i dźwięczące w przewoź dach telegraficznych, podobne do tworzących się na szybach okiennych kwiatów malowanych przez mróz. Ale. jakie znaczenie miały obecnie te wszystkie marzenia? "Miodowy" tydzień dobiegł końca, a skoro Cypkin dotąd nie zdecydował

się porzucać żony, pora była wracać do miasta. Aleksander i Klara zjedli ostatni wspólny posiłek: On przyniósł wodę ze studni, umył się i wytarł. Przed dziewięciu dniami palił się do tego wyjazdu, teraz natomiast nie mógł się doczekać powrotu. Błądnował jak wyrostek. Półnagi wszedł, w śnieg poznaczony śladami ptaków i próbował na żarty polać wodą z wiadra stado wron, które trzepotały skrzydłami i krakały. Cisnął też w okno kulą śnieżną.

Musieli iść pieszo na stację kolejową, bo nie udało im się wynająć sań. Nie zachodziła konieczność zamykania domu, wystarczyło zatrzaskać drzwi za sobą. W tej okolicy nie było złodziejów. Cypkin niósł obie walizki. Mijali zasypane śniegiem farmy, walące się szalasy, domy z dymiącymi kominami. Jedynie dym i psy szczekające w budach świadczyły o tym, że ktoś tu mieszka. Na stacji było pusto. Pociąg do Nowego Jorku właśnie odszedł.

Podobnie jak w Rosji i Polsce, w poczekalni dworcowej czuć było tytoniem i dymem ogień płonął w żelaznym piecyku. Na otynkowanej ścianie nalepiono różne ogłoszenia. Z sufitu zwisała naftowa lampa. Samotna mucha, która przeżyła jesień, brzęcząc latała wkoło.

Cypkin, usiadłszy na ławie, palił papierosa za papierosem. Klara wsunęła ręce do mufki. Przez brudne szyby poczekalni widać było pociągi towarowe wiozące węgiel, kłoce, deski. Poruszały się wolno po bokach i na drzwiach wagonów wisiały nieczytelne napisy.

Do poczekalni weszli Jacyś mężczyźni. Opróżnili fajki, stukając nimi o ławkę, i zwrócili się do Cypkina, aby nawiązać rozmowę, nadmieniając, że jest zimno, że mróz nastał przedwcześnie i nieprędko się skończy.

(Cypkin przetłumaczył później Klarze ich słowa.) Amerykanie nie byli podobni ani do dziedziców, ani do chłopów. Stanowili typ nie widywany w Rosji: połączenie farmera z inteligentem. Oczy ich wyrażały chłopięcą prostoduszność, gotowość uściśnięcia dłoni każdemu obcemu przybyszowi, skłonność do śmiechu, chęć oddania przysługi. Nie otulali się futrami jak Rosjanie, nie byli też tak grubokościści, mieli lżejszą budowę. Spod kożuszków widać było ich długie nogi. Wydawali się Klarze ludźmi innej rasy. Nawet prowadzone przez nich psy robiły

wrażenie bardziej oswojonych od rosyjskich ogarów. Dochodził stuk aparatu telegraficznego.

Zawiadowca stacji nie różnił się niczym od zwyczajnego obywatela. Nie zjawił się policjant, aby sprawdzić dokumenty.

Później, siedząc wśród innych podróżnych, Cypkin i Klara przemierzali w wagonie śnieżne obszary wzdłuż rzeki. Konduktorzy wchodzili i wychodzili. Znowu zaczął padać śnieg. Wiatr podnosił tumany śniegu, obracał nimi i przerzucał przez wpół zamarzniete wody. Niebo zlewało się z rzeką, nad którą unosiły się mgły. Lasy okryła biel – mógł to być równie dobrze krajobraz rosyjski lub polski.

Cypkin wyglądał przez okno. Zdawał się nie móc nasycić widokiem śniegu. Klara zamknęła oczy. No cóż, jeśli tak ma wyglądać przyszłość, zgoda i na to. Każdy przeżyty teraz dzień jest darem bożym. Cypkin chce zostać z żoną? Niech będzie tak, jak on pragnie. Klara poddała się uczuciu rezygnacji. Wynajmie gdzieś mieszkanie, i zajmie się Felusią. Jak on przyjdzie, to dobrze. Jak nie przyjdzie – tym gorzej. Ogarnęła ją melancholia.

Mężczyźni nie wiedzą, co to miłość. Otworzyła oczy.

Przed chwilą było jasno, a tu już zapada noc. Śnieg nabrał niebieskawego odcienia. Aleksander szkicował coś w notatniku. Pociąg zatrzymał się w osadzie na dłuższą chwilę. Jakiś człowiek wszedł do wago nu z wiązką mioteł. Tęga kobieta w futrze i aksamitnym kapeluszu wysiadła. Ktoś niósł jej koszyk i niedużą walizkę. Pełna, rumiana twarz kobiety wyrażała wielką pewność siebie, jakiej nie mają kobiety europejskie. Po ciąg ruszył, śnieg padał nie tak już gęsty, ukośnie, ostro zacinając w okna. Mróz rysował na szybach różnorodne smugi, gałązki, igły i kwiaty. Słychać było gwizd lokomotywy wypluwającej dym z komina. Przemykały ogromne przestrzenie, jak biała pustynia, bez śladu osad, a nawet pojedynczego domu. "Gdzie są chłopi i pola? – zastanawiała się Klara. – Skąd mają żywność?

Nie widać żadnych farm." Nagle przypomniały jej się opowiadania o Indianach. Może się zaczęli w jaskiniach i lasach, gotowi napaść na pociąg. A co się tu dzieje z duszami zmarłych? Czy istnieje amerykańskie niebo i piekło, czy też dusze wracają do starego świata? Jakie dziwne myśli ją nawiedzają. Cypkin ujął ją

czule za ramię.

– Nie drzemiesz? Myślałem, że śpisz. Za piętnaście minut dojedziemy do Nowego Jorku.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

I

Synek Mirele zmarł na zapalenie płuc. Azriel i garstka przyjaciół z koła Proletariatu szła z tyłu za konduktem pogrzebowym. Wynikł spór co do samego pogrzebu.

Cmentarz żydowski nie chciał zezwolić na pochowanie nieobrzezanego dziecka. Katolicy nie godzili się mieć go na swoim cmentarzu, bo nie było ochrzczone. Po wielu zachodach uzyskano zgodę na pochówek od zarządu cmentarza ewangelickiego. Ktoś z uczestników pogrzebu usiłował wygłosić przemówienie, lecz jego słowa zagłuszyły grzmoty i deszcz. Wśród żałobników znajdowała się Estera Ajsner, jakaś kobieta zwana Karolą i otyły mężczyzna nazwiskiem Blajwajs. Azriel dowiedział się, że jeden z młodych ludzi, częsty gość u Mirele na Zielnej, popełnił samobójstwo – nikt nie wie dlaczego – oraz że Stefan Lemański został jawnym agentem rządu na zagranicę i szpieguje socjalistów emigrujących do Szwajcarii i Francji.

Po pogrzebie Azriel długo się zastanawiał nad tym wszystkim. Co się stało z potomstwem jego rodziców?

Ich córka została zesłana na Sybir. Jeden z wnuków spoczywa na cmentarzu ewangelickim. Drugi jest osadnikiem gdzieś w Palestynie. On, Azriel, żyje z przechrztą. A co skłoniło owego młodzieńca do wpakowania sobie kuli w łeb? Czy nie mógł poczekać, aż przyjdzie nieunikniona rewolucja? A może utracił w nią wiarę? Czy się obawiał uwięzienia? Samobójstwa często się zdarzały w kołach rewolucjonistów.

Jak Lemański mógł zostać carskim szpiegiem? Czy w ten sposób się mścił na nieufnych towarzyszach? A może oskarżenie jest fałszywe? Można by sądzić, że wśród grona racjonalistów spotyka się osoby jak najbardziej nieracjonalne. Nie potrafią uzasadnić swych postępów, angażowania się w tragiczne historie miłosne i narażania na zbędne Cierpienia. Azrielowi przyszło na myśl, że i literatura

współczesna stała się zagadkowa i mętna. Od czasu do czasu czytał w pismach literackich jakąś współczesną powieść lub poezję. Autorzy przemawiali jak z ambony, wysuwali argumenty, występowali z krytyką i Wciąż pisali o cierpieniu, ciemnościach i losie, nie mógł jednak zrozumieć, do czego zmierzali.

Podobnie było z samobójstwem, dużo rzeczy sugerowali, nic nie wyjaśniali. No tak, a on sam?

Pewnego wieczoru, kiedy przemierzał ulicę Marszałkowską (postanowił chodzić pieszo wiorstę każdego wieczoru), ktoś zawołał go po imieniu. Była to Estera Ajsner. Elegancko ubrana, wciąż jeszcze wyglądała ponętnie, choć było już widać po niej, że osiągnęła wiek średni. Figurę miała pulchną, a na okrągłej twarzy ukazały się zmarszczki. Azriel wolałby uniknąć tego spotkania. Kto wie? Być może jest śledzona? W Warszawie roilo się od szpiegów każdy stróż jest szpiclem. Azriel nie czuł się całkiem bez winy.

Akta urzędowe zawierały informacje o jego kontaktach z grupą samokształceniową. Wiedzano też o, jego siostrze. Jednak nie miał zwyczaju uciekać od osoby, która go wita. Mimo późnej wiosny dzień był chłodny i deszczowy, tylko kapelusz Estery zdobiły całe pęki kwiatów.

– Czy jesteś tak sławny, że już nie poznajesz ludzi na ulicy? – spytała zalotnie.
– Prawda, postarzałam się, ale to nie moja wina.

Azriel obdarzył ją komplementem, o który się upominała, wyrażającym odwrotność tego, co widziały oczy: że lata nie odbiły się na jej urodzie, jest wiecznie młoda...

Estera się roześmiała, podziękowała i ujęła go pod rękę.

Po chwili puściła jego ramię. Zaczęła się dopytywać, czy mi wiadomości od Mirele, po czym nagle zmieniła temat i odezwała się:

- Zapomniałam ci powiedzieć najważniejszą rzecz.
- Co takiego?
- Zabili Stefana Lemańskiego. Azriel poczuł, że blednie.
- Kto to zrobił? –. Ktoś.
- W jaki sposób.

– Kula.

Poczuł ucisk w gardle.

– Wiesz, jaki jest mój pogląd.

– Bez względu na twoje zdanie, on na to zasłużył.

Wstyd, że tak długo z tym zwlekano. To on doniósł na Mirele, możesz być pewien.

– Takie krążą pogłoski.

– Dość złego zrobił w swym życiu..

– Możliwe.

– O «co ci chodzi? Czyżbyś go żałował?

– Nie, ale to bardzo przykra sprawa.

– Szpiegów należy tępić – powiedziała Estera. – Błogosławię rękę, która go zabiła.

– Czy ty byś to zrobiła?

– Gdybym miała okazję, na pewno tak. Prowokator jest gorszy od psa.

Po długim milczeniu Azriel zapytał:

Czy z twojej rodziny ktoś jeszcze żyje?

– Rodzice zmarli.

– Kim był twój ojciec? Mówiłaś mi kiedyś, ale zapomniałem.

– Dlaczego pytasz? Bez powodu.. – To był wspaniały człowiek. Najpierw miał sklep, później został, biedak, nauczycielem hebrajskiego.

– Nauczycielem hebrajskiego?

– Tak, uczył Talmudu. Był chasydem na dworze rabiego z Kozienic.

– Ilu zastrzelił szpiegów?

Estera roześmiała się.– Zadajesz takie dziwne pytania. Jesteś dziś w złym nastroju. Przepraszam, jeśli cię wyprowadziłam z równowagi.

– Nie, to nie ty mnie wyprowadziłaś z równowag, lecz to, co się stało z nami, Żydami, w ciągu jednego pokolenia. Dawniej unikaliśmy przynajmniej rozlewu krwi.

– Czy zdążasz ku pobożności? To walka na śmierć i życie. Co to ma

wspólnego z judaizmem?

II

Początkowo Olga starała się nakłonić Azriela do rozwodu. Bez trudności można było odzyskać wolność w przypadku małżeństwa z osobą chorą umysłowo.

Wreszcie jednak znużyło ją zwlekanie. Widocznie nie chciał się rozwieść z Szajndl ani przetracić. Zamieszkał razem z Olgą. Sąsiedzi, i znajomi nie zdawali sobie sprawy, że oni nie są małżeństwem, a przynajmniej tego nie okazywali. Olga była dla wszystkich panią Babad i tylko w dokumentach pozostała panią Bielikową. On trwał przy wierze żydowskiej, Olga zaś i dzieci – Natasza i Kola – należeli do kościoła prawosławnego. Ilekroć udawali się w podróż, sprawa się komplikowała z powodu różnych nazwisk w paszportach. Nie mogli zatrzymywać się we wspólnych pokojach hotelowych. Olga jednak uświadomiła sobie, że tu gniew nic nie pomoże. Miała nadzieję, że w końcu wyrwie Azriela z jego obecnego otoczenia. Kiedy nawiązała z nim romans, był początkującym lekarzem na Nowolipkach, większość jego pacjentów stanowiły przekupki i domokrażcy. W szpitalu i klinice zarabiał grosze. Nie miał w mieszkaniu ani jednego przyzwoitego mebla, żadnego dywanika.

Szajndl, idąc do szpitala dla obłąkanych, zostawiła wszystko w opłakanym stanie. Olga pomogła Azrielowi przenieść się na Marszałkowską, umeblować elegancko gabinet i mieszkanie. Misza był tak zaniedbany przez chorą matkę, że groził mu rozstrój nerwowy. Płakał, miał napady złości, cierpiał na bóle żołądka. Olga przywróciła chłopcu zdrowie i równowagę psychiczną.

Nakłaniała Azriela do zajęcia się hipnotyzmem.

Aczkolwiek stał się mizantropem stroniącym od ludzi, przekonała go, jak ważne jest wyrobienie sobie przyjacielskich stosunków z wyższą sferą i podtrzymywanie z nią kontaktów towarzyski cha Namówiła go również na zakup firanek i nowych kotar do okien, dywanów na podłogi, obrazów. Azriel zachował żydowską abnegację potrzeb świeckich. Nie orientował się w domowej gospodarce i budżecie, żył dniem dzisiejszym, nie miał żadnych oszczędności, opłacał procenty lichwiarzom. Musiał w końcu przyznać, że to dzięki Oldze ma licznych i bogatych pacjentów i że to ona zapewniła mu dostatni byt i pomogła w zdobyciu renomy.

Jednakże sprawdza się przysłowie, że im więcej się wszystko zmienia, tym bardziej pozostaje bez zmian.

Azriel w gruncie rzeczy się nie zmienił. W środku przyjęcia ogarniało go tak wielkie zniechęcenie, że wychodził z salonu i zamykał się w swoim pokoju. Mówił pacjentom rzeczy, których nie należy mówić opowiadał o swojej niewiedzy i zacofaniu medycyny. Pacjentki się żaliły, że doktor Babad nie kłania się im na ulicy, przechodzi obok nie uchylając kapelusza. Podobne uwagi wypowiadali sąsiedzi. Posiadał obecnie karetkę i zatrudniał woźnicę jeśli jednak gdzieś się wybrał pieszej, niechybnie błdził, nawet na swojej ulicy. Zamiast iść w stronę Królewskiej, kierował się do Dworca Wiedeńskiego. Bez względu na to, ile parasoli i kaloszy Olga mu kupiła, potrafił wszystkie gdzieś pogubić. Stosował hipnotyzm pacjentom chorym na bezsenność, obstrukcję, ból żołądka, zaniedbywał zaś własne choroby. Mimo częstych rozmów Olga zawsze miała wrażenie, że coś przed nią ukrywa. Co go dręczy?

Może jakaś tajemna choroba? Tęsknota za Szajndl?

Może jest § ofiarą tak zwanego Weltschmerzu, którym się wciąż zajmowano w pismach literackich?

Jednego przynajmniej była pewna: miłości Azriela. W chwilach uniesienia całował ją, tulił, wymyślał zabawne, pieszczotliwe imiona. Potrafił się zachowywać jak dzieciak pełen radosnego optymizmu i szczerości i wyczyniać niestworzone figle. Sam przyznawał, że jest podobny do ludzi chorych umysłowo, przechodzących od depresji do euforii. Przerzucał się od stanów sknerstwa do rozrzutności potrafił się zamykać samotnie w pokoju, aby zaraz potem razem z Olgą i dziećmi brać udział w doi grach. Bez względu na to, co mogło zająć między Azrielem a Olgą w ciągu dnia, noc niezmiennie przynosiła rozejm. Powstała między nimi harmonia, rytuał symbolów, własny język. Azriel niejednokrotnie podkreślał, że uniesienie seksualne ma wszystkie cechy szaleństwa. Ich nocnymi kapryсами rządziły własne prawa, irracjonalna "logika". W ciągu dnia unikali wszelkiej aluzji do nielegalności związku, w nocy natomiast stanowiło to ulubiony temat rozmowy. W ciemności zmartwychwstawał Andriej. Olga stawała się na nowo młodą Żydówką z Litwy.

Zaczynała mówić po żydowsku używając powiedzeń i zwrotów dawno, jak sądziła, zapomnianych. Wszystko się mieszało razem:

życie i śmierć, Lublin i Wilno, żydowskość i odszczepieństwo, czystość i rozwiązłość, czułość i złośliwość, W momentach orgazmu ukazywały się Oldze dziwne obrazy i zwidy. Wypytywana przez Azriela nie potrafiła wyjaśnić ich znaczenia. Przyzwyczajali się do tej nocnej bliskości i oddalenia w ciągu dnia. W rzeczywistości Azriel pozostał dla Olgi kimś dziwnym, tajemniczym, zagadkowo obcym, jak niegdyś Andriej.

Odrobina szczęścia, jakie jej dawał, ledwo równoważyła szalę cierpienia. Najdrobniejszy konflikt zakłócał tę równowagę.

Córka Azriela, dwudziestoletnia Cyna, dopiero co po gimnazjum, nienawidziła Olgi i nie ukrywała swych uczuć. Nie traktowała jej jako pani ich domu. Wchodziła i wychodziła trzaskając drzwiami, wydawała polecenia służbie. Najpierw po otrzymaniu matury zamierzała studiować za granicą, potem wolała jednak pozostać w Warszawie. Podobna do ojca, wysoka, złotowłosa, o porcelanowej cerze, uważana powszechnie za piękność, nie znalazła uznania w oczach Olgi. Życie Cyny było puste. Nie tylko poróżniła się z Olgą, lecz i z ojcem rzadko zamieniała parę słów, ubierała się byle jak, w marne łaszki, trzymała się z daleka od młodych mężczyzn, nie miał przyjaciółek, czytała mierną literaturę i nie interesowała się niczym wartościowym. Znała angielski i włoski, lecz jaki pożytek ze znajomości języków ma osoba, która całymi dniami nie otwiera ust? Azriel niejednokrotnie robił jej wyrzuty. Cyna wzniosła między sobą a ojcem barierę wprost nie do przebycia. Unikała go, odpowiadała arogancko i mówiła o wyprowadzeniu się z domu. Kiedy wracała do domu, zamykała się w swoim pokoju na klucz, nawet posiłki jadła osobno. Co gorsze, żyła bez żadnego rozkładu dnia, bez określonych godzin posiłków, snu, lektury czy nauki, Azriel potrafił zrozumieć obcych ludzi, córka jednak stanowiła dla niego zagadkę. Czy jest melancholiczką? Czy opanowała ją jakaś idee fixe. Czy cierpiała w ukryciu z powodu matki? Olga miała swoje własne zdanie o "pasierbicy": Cyna to po prostu rozpuszczona pannica, egoistka, ponura, zimna, bez serca – wróg w domu...

III

W niedzielę rano Olga szła z Nataszą i Kolą do cerkwi.

Nie chciała, aby jej dzieci wyrosły na ateistów. Chodzenie do kościoła miało też podkreślić fakt, że chociaż żyje bez ślubu, i to z Żydem, jest wiernym członkiem kościoła prawosławnego. Synem Azriela, Miszą, zajmowała się guwernantka. Czwartej niedzieli każdego miesiąca Azriel zwykle odwiedzał Szajndł.

Między Błoniem a Pruszkowem, niedaleko miejscowości, w której Azriel spędził z Olgą kilka deszczowych, letnich dni, znajdowało się sanatorium profesora Przeborskiego dla umysłowo chorych.

Początkowo profesor nie chciał przyjąć Szajndł zdradzała oznaki manii religijnej, robiła sceny, że otrzymuje żywność niekoszerną, modliła się po hebrajsku. Nawet w domu dla obłąkanych istnieje "kultura dominująca". Wśród pacjentów znajdowali się i antysemita demonstrujący to na swój sposób. Ze względu jednak na męża psychiatrę i na to, że Azriel wynajął dla żony osobistą pielęgniarkę, profesor Przeborski dał się przekonać. Stan Szajndł z biegiem, czasu się poprawił.

Samobójcze zamysły ustąpiły, przestała mówić ssana do siebie i przemierzać pokój tam i z powrotem z założonymi rękami. Weszła w okres zwany przez psychiatrów chroniczną melancholią, co nie wykluczało możliwości pewnej poprawy i przystosowania do Warunków.

Prognoza nie dawała jednak wielkiej nadziei ze względu na wiek pacjentki i świadomość faktu, że mąż żyje z inną kobietą, niemniej stan Szajndł nie pogarszał się. Zajmowała obecnie na terenie zakładu pokój w jednym z domków przeznaczonych dla łżej chorych. Leczone ją opium i chloralem, stosując kąpiele tureckie i masaż.

Dwa razy w ciągu dnia pielęgniarka zabierała ją na spacer po ogrodzie bądź też chora wychodziła sama.

Personel zakładu przyzwyczaił się do tej smutnej kobiety o czarnych, pełnych melancholii oczach, z puszką włosów wyrastających na brodzie, ubranej w workowatą suknię, w chustce na głowie. Pielęgniarze – mężczyźni i kobiety –

nazywali ją "mama". Osobista pielęgniarka gotowała dla niej jedzenie w koszernych garnkach, produkty przysyłano z Błonia. Na święto Pesach jadła mace, na Rosz Haszana i Jom Kipur zawożono Szajndl na modlitwy do synagogi w Błoniu.

Widywano ją często na ławce przed domkiem zawsze robiącą na drutach kaftanik. Każdego piątku ta nabożna, kobieta o zmaconym umyśle zapalała pięć świec w mosiężnym świeczniku: za siebie, Azriela, Józka, Cynę i najmłodszego syna Miszę. Wszędzie o niej słyszano, w Błoniu, w Pruszkowie i w całej najbliższej okolicy. Żydzi mówili» że jest zdrowa, tylko jej mąż, ten szarlatan, umieścił żonę w sanatorium, żeby zadawać się z innymi kobietami.

Karetką stanęła, Azriel wysiadł, Szajndl podeszła do bramy. Jej pielęgniarka, pani Szumkin, ułomna niewiasta pochodząca z Litwy, wdowa po felczerze, przywitała Azriela w paru słowach i odeszła kulając, zostawiwszy ich samych. Azriel podszedł do żony.

– Dzień dobry, Szajndl.

– Dobrego roku.

– Jak się czujesz?

– Jak widzisz.

– Czy mogę wejść?

– Dlaczegoż by nie?

W pokoju stało łóżko Szajndl i szlabanek pani Szumkin, poza tym kredens i komoda wraz z umywalnią. Przypominało to pokój jampolski. Nawet pachniało, jak w Jampolu, mieszaniną cebuli, cykorii do kawy i pleśni. Na podnóżku usadowił się kot. Szajndl usiadła na brzegu łóżka, a Azriel na szlabanku. Położył na stole dwie paczki, upominki dla żony i dla pani Szumkin. Szajndl siedziała pochylona, napięta i nieśmiała. Starość przedwcześnie ją dotknęła. Twarz miała pomarszczoną i pokrytą brodawkami, Kosmyki włosów, wymykające się spod chustki, przyprószyła siwizna.

– Lepiej się czujesz, prawda?

– Tak sobie.

– Misza to udany chłopiec.

– Co?. Ach tak.

- Przesyła ci ucałowania.
- Serdecznie mu dziękuję – powiedziała Szajndł, jakby recytując lekcję.
- Cyna przesyła ucałowania.

Szajndł zamyśliła się na chwilę.

- Czy się zaręczyła?
- Nie.
- Na co czeka? Ma już osiemnaście lat.
- Mylisz się, Szajndł, ona ma lat dwadzieścia.
- Czy to możliwe? No więc...

Milczeli oboje przez długą chwilę. Potem Azriel się odezwał:

- Pani Szumkin mówi, że za mało jesz.
- Ile można jeść? Nie jestem głodna.
- Jak będziesz jadła, nabierzesz sił.
- Po co mi siły? Moje życie skończone.
- Czy pani Szumkin smacznie gotuje? – Przesala.

F – Możesz jej powiedzieć, żeby mniej soliła.

– Ja jej to mówię. Ale czy mnie ktoś słucha? Czy ja się liczę? Mniej znaczę niż ten brud. – Szajndł wskazała na ciemne obwódki pod paznokciami.

- Powiem jej o tym.
- Nic nie mów. Będzie mnie jeszcze bardziej dręczyć.

Pokumała się z gojami. Mruga na nich i idzie z nimi do łóżka. Prawdziwa ladacznica.

- Tak ci się tylko zdaje, Szajndł. Jest już niemłoda, a do tego ułomna.

Szajndł wybuchnęła śmiechem. W jej oczach zabłysło szaleństwo.

– Ona udaje, tylko udaje. Chodzi normalnie, jak nikt nie patrzy. Wystarczy, że chłop do niej mrugnie, a biegnie w podskokach niczym młoda dziewczyna. Zaszła w ciążę i poroniła. Pogrzebała płód posługując się łyżką.

- Co ty wygadujesz? Przecież to kobieta po pięćdziesiątce.
- No i co z tego? Kiedy jest Szewuot?
- Za trzy tygodnie. Dałem ci kalendarz.

– Ukradli mi go.

– Kto?

– Oni. Wszystko kradną. Szkoda twoich pieniędzy. Ona kradnie wszystkie moje rzeczy. Wrywa kartki z modlitewnika, żebym się nie modliła po żydowsku.

Azriel powstał.

– Pokaż. Chcę zobaczyć.

Modlitewnik leżał na stole. Azriel zaczął przewracać kartki. Wszystkie stronicie były w porządku, od pierwszej do ostatniej.

– Nie brak ani jednej kartki – odezwał się.

– Brakuje.

– Których stron?

Szajndł nie odpowiedziała. Trudno było odgadnąć, czy nie słyszała pytania, czy udawała, że nie słyszy.

Zamknęła oczy, złożyła pomarszczone ręce na kolanach i siedziała pogrążona w nieodgadnionej udreće. Naraz uśmiechnęła się drwiąco, jakby chciała powiedzieć: "Jak łatwo jest wyprowadzić mężczyznę w pole!" – Jak sypiasz? – zapytał Azriel.

Szajndł skurczyła się cała.

– Śpię, jeśli mi dają spać.

– Kto nie daje?

– Oni mi nie dają.

– Kto, Szajndł, kto?

Popatrzyła na niego z wyrazem bólu.

– Zostaw mnie w spokoju!

– Szajndł, jestem twoim mężem. Chcę ci pomóc. Jestem lekarzem. Kto ci nie pozwala spać?

Oni mi nie pozwalają. Odejdź, już odejdź. Niedługo zakończę życie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

I

W pokojach chasydów dworu rabiego w Marszynie młodzi mężczyźni szeptali między sobą. Chasydzi reb Szymona, ci dezserterzy, którzy odeszli, odnieśli z biegiem czasu zwycięstwo nad Marszynowem. Syn rabiego, Cadok, zszedł na złą drogę i nałożył kusy surdut odszczepieńców. Jego ojciec, rabi Jochanan, coraz bardziej tracił siły. Obecnie rzadko kiedy czuł się na tyle dobrze, aby uczestniczyć w modłach zbiorowych.

Warszawscy lekarze nalegali na niego, żeby przeniósł się do Otwocka bądź też wyjechał w góry. Zalecali potrawy tłustsze, jednak organizm chorego nie trawił nawet chudych pokarmów. Rabi nie mógł nic przełknąć poza szklanką mleka i jajecznym sucharkiem. W szabas jego pożywienie stanowił łyk wina, kromka chałki, odrobina ryby, plasterek mięsa. Reb Jochanan ogromnie wychudł, została z niego sama skóra i kości. Twarz nabrała woskowego odcienia, broda i pejsy przedwcześnie posiwiały. Tylko oczy zachowały dawny blask.

Rabi zagłębiał się w Kabale studiował księgę Zohar, Drzewa życia, Traktat o spoczynku, Księgę pobożności, Księgę stworzenia. Nie zdejmował w ciągu dnia tałesu i tefilin na wzór sędziwych przodków. Odłączył się od Cypele nawet w piątkowe noce, będące nocami jednościami małżeńskiej, nie dzielił z nią łoża. Szames Mendel opowiadał dziwne rzeczy o Jochananie. Rabi zaniechał niemal zupełnie odwiedzania ustronnego miejsca, "dokąd król piechotą chodzi". Kiedy się modlił lub zatapiał w księgach, z jego ciała promieniowało ciepło, które nie było z tego świata.

Zdarzyło się kiedyś, że Mendel wziął z krzesła poduszkę, na której przed chwilą siedział rabi przy recytowaniu Pieśni nad pieśniami. Poduszka była tak gorąca, że Mendel omal się nie poparzył. Przysięgał też na swą brodę i pejsy, że w ciemności z twarzy rabiego emanowało blade światło. Jochanan sypiał nie więcej jak dwie godziny na dobę, a podczas snu jego wargi nadal mamrotały jakieś wyrazy. Mendel przysłuchiwał się im i stwierdził, że rabi szepcze święte słowa po aramejsku.

Szanowani Żydzi, znani z prawdomówności, świadczyli, że widzieli, jak rabi dokonywał cudów. Kiedy sięgał po pióro (pisał gęsim piórem), zbliżało się ono do jego ręki jak przyciągane magnesem. Kartki książek, które czytał, same się odwracały. Wszyscy odwiedzający rabiego w jego gabinecie zgadzali się co do jednego: jego ciało wydzielalo zapach mirtu i goździka korzennego – aromaty rajskiego ogrodu. Chasydzi, którzy wręczali rabiemu kartki ze spisem swych próśb, wychodzili pobladli z przejęcia. Pewnego razu rabi po odczytaniu imienia dziecka, mimo że ojciec prosił o modlitwę za większą pilność, zaczął się modlić o jego całkowity powrót do zdrowia po przebytej właśnie chorobie.

Chasyd nie wiedział jeszcze o chorobie chłopca, gdyż dopiero później przyszła depesza z tą wiadomością.

Przesilenie nastąpiło dokładnie w porze wizyty u rabiego. Innym razem pewien ojciec przyszedł do rabiego uzalając się, że jego syn gnije w lochach carskich kazamat, gdyż odmówił spożywania niekoszernego jadła. Rabi wrzucił ramionami.

– W kazamatach? Twój syn nie przebywa w kazamatach – powiedział zdumionemu chasydowi.

Czy to możliwe? Chasyd dostał właśnie od niego list.

Po kilku jednak dniach dowiedział się, że syn zdezerterował z pułku i przekradł się przez granicę.

Pewnego razu przybyli do Marszynowa rodzice ucznia, który nagle utracił wzrok. Lekarze specjaliści nie robili nadziei na wyleczenie. Rabi wysłuchawszy opowiadania rodziców zalecił przemywanie oczu herbatą. Po tygodniu chłopiec odzyskał wzrok.

Dziwne, ale rabi nie zdawał sobie sprawy z posiadania tak osobliwej mocy. Zapytał Mendla, z jakiego powodu te tłumy ludzi przychodzą do niego nie tylko w czasie świąt, lecz i w dni powszednie. Odpowiedź Mendla, który wyjaśnił, że to z racji cudów, zaskoczyła rabiego i po raz pierwszy od czasu, jak został rabim, rozgniewał się na Mendla.

– Jakie cuda? Co za cuda? Nie pleć głupstw!

Wszechmocny nie potrzebuje cudów. Przeprowadza Swą wolą z pomocą praw

natury.

Cypele podawała Kalmanowi przykłady nadprzyrodzonej mocy Jochanana. Nadszedł list od ich córki Zedy mieszkającej u teścia w Wysokiem, donoszący, że jest w ciąży, chwała niech będzie Panu. Kiedy Cypele poszła do rabiego z dobrą nowiną, już o tym wiedział i życzył jej mazel tow. Mrówki ją przeszły. Podczas ostatnich paru tygodni nie było żadnego przybysza z Wysokiego, Zeda zaś zachowywała sprawą ciąży w tajemnicy ze względu na złe oko. Skąd więc się rabi dowiedział? Innym razem, kiedy mu Cypele przyniosła list, zaczął odczytywać jego treść nie wyjmując listu z koperty. Nagle zdał sobie sprawę z tego, co robi, zmieszał się i zamilkł. Cypele z płaczem opowiadała ojcu o tych wydarzeniach: życie z tak wielkim świętym przerasta jej siły. Łąka się jego świętości.

– Ojcze, on się zupełnie ode mnie odsunął! – załkała chowając twarz w batystowej chusteczce.

Kalman posmutniał.

– Jak Bóg da, za sto lat będziesz przebywała w raj.

– Tato, jak go chcą mieć tu, na ziemi! – zawołała.

Wiele się wydarzyło w ciągu ostatnich lat. Kalman opuścił majątek. Nie przeniósł się jednak nawet do Jampola, tylko osiedlił w Warszawie. Reb Menachem–Mendel, ojciec Azriela, zmarł w parę tygodni po zdjęciu katarakty. Wdowa po nim, Tirza–Perł, udała się do Ziemi Świętej. Pisała, że się modli przy Ścianie Płaczu, przy grobie rabiego Jehudy Chasyda i przy grobie Racheli. Widziała się z Uri–Josefem, swoim wnukiem, synem Azriela osiedlił się na roli jako kolonista. Tirza–Perł przysłała Kalmanowi w prezencie woreczek ziemi palestyńskiej, w dowód wdzięczności za opłacenie jej podróży do Ziemi Świętej.

Kalman zajął mieszkanie po reb Menachemie–Mendlu na ulicy Krochmalnej. Wszystko tu wyglądało jak dawniej: stół, przy którym reb Menachem–Mendel zgłębiał Torę, ława, Arka Przymierza, księgi w szafach bibliotecznych.

Kalmanowi rajono wiele kandydatek do małżeństwa, on jednak nie ożenił się ponownie. Biała broda mu zrzędała, zapuścił długie pejsy. Stopniowo powypadały mu zęby, lecz czym są zęby? To nieprzyjaciele, źródło bólu. Nosił okulary i chodził

o Jaśce, jednak, Bogu dzięki, siły go jeszcze nie całkiem opuściły. Sam sobie gotował owsiankę. Drobił kromkę chleba i zjadał ją rozmoczoną w barszczu. W piątki niósł swoje szabasowe danie do piekarza i nawet zapraszał kogoś w gości na posiłek świąteczny. Towarzystwo Opieki nad Chorymi nadal się modliło w szabas w domu reb Menachema–Mendla, a Kalman został ich szamesem. Parę razy w ciągu tygodnia sypiał w domach osób chorych, aby im przyjść z pomocą.

Jego dzieci, wnukowie – jak i jego interesy – radzili sobie bez niego, tylko chorzy go potrzebowali. W jednej ze świętych ksiąg Kalman wyczytał, że należymy do tych, którzy nas potrzebują, nie zaś do tych, których sami potrzebujemy. Z pewnością niełatwo przychodziło mu czuwać po nocach, przebywać w dusznych pokoikach, wyczuwać nocniki, słuchać westchnień i skarg ludzi chorych, a mimo to każdego dnia składał Bogu dzięki, że pozwala mu spełniać miłosierne uczynki.

Skoro jednak jego zięć, rabi z Marszynowa, nie czuł się dobrze i córka prosiła o przyjazd, porzucił wszystko i pojechał do nich. Jeśli za dobry uczynek poczytuje się opiekę nad zwykłym chorym, to bez wątpienia nieskończenie więcej znaczy troska o cierpiącego świętego. Z drugiej strony można się było rozgniewać na zwykłego chorego, w nie stosującego się do zaleceń lekarza i nawet siłą zmusić go do przyjmowania lekarstw, co natomiast zrobić ze świętym nie dbającym o zdrowie?

Niezliczoną ilość razy Kalman postanawia! zganić zięcia, nakłonić go, by stosował kurację zaleconą przez lekarza. Kiedy jednak znalazł się w obecności rabiego i spojrzał mu w twarz, czuł się jak sparaliżowany. To nie mąż Cypele stoi przed nim, to mędrzec z zamierzchłych czasów. Na zewnątrz komnaty rabiego dni tygodnia toczyły się zwykłym, doczesnym trybem, lecz wewnątrz trwał wiecznie Jom Kipur. Paliły się świece. Zdawało się, że słońce tam świeci blaskiem świątecznym. Było tak gorąco jak w środku Arki Przymierza. Chwała boża królowała, opromieniając oblicze Jochanana, jego tałas, każdy cyces rytualnego stroju. Dawało się Wprost wyczuć budzącą lęk obecność aniołów, zapał serafinów, uderzenia ich skrzydeł, tajemnice niebios, obecność boskiego hufca. Nawet mucha na ścianie nie wyglądała jak zwykła mucha. Jak by się ośmielił ktoś taki jak Kalman otworzyć w jego obecności usta? Zachowanie się Jochanana było nader bezpośrednie i proste.

Powstał, kiedy Kalman wszedł, i odezwał się ciepło:

– Pokój z tobą, mój teściu! Jak się teść czuje? – I podał dłoń, która paliła niczym rozżarzony węgiel.

II

Chasydzi opowiadali zdumiewające historie o reb Jochananie, natomiast oświeceni Żydzi bez przerwy powtarzali cuda o Cadoku. Osoby z jego otoczenia przysięgały, że to nie jest zwykły młody człowiek, a po prostu fenomen w dziedzinie wiedzy. Trudno było uwierzyć choćby w połowę tego, co mu przypisywano, jeśli się nie było naocznym świadkiem. Kiedy Cadok postanowił nauczyć się francuskiego, przeczytał trzykrotnie słownik polsko–francuski od A do Z. Po trzecim razie zapamiętał każde słowo. Jeśli raz przerobił gramatykę, to przyswajał wszelkie zasady i wszystkie wyjątki. W ten sposób nauczył się greckiego, łaciny, nawet angielskiego i włoskiego. Zapisał się na wydział matematyczny Uniwersytetu Warszawskiego, ale była to tylko zwykła formalność, w porównaniu z nim bowiem inni studenci okazali się przedszkolakami.

Profesorowie zapraszali go do swych domów i roztrząsali zagadnienia matematyczne jak z równym sobie. Cadok stał się częstym gościem w domu profesora Dikstajna, zasymilowanego Żyda. Jak dotąd, nie próbował niekoszernego jadła, chociaż już chodził bez jarmułki, pił herbatę i kawę w domach zasymilowanych Żydów.

Oprócz matematyki studiował fizykę, chemię, biologię, filozofię i niemal wszystkie przedmioty, które wykładano.

Podczas odwiedzin u swego wuja, doktora Babada, wprowadził go w zdumienie znajomością anatomii i fizjologii. Profesorowie ostrzegali Cadoka przed powierzchownymi studiami, lecz on tylko się śmiał.

Człowiek musi się orientować we wszystkim, mózg potrafi pomieścić wiedzę wszech wieków. Przeciwnie, im się więcej wie, tym łatwiej jest zapamiętywać.

Asymilacja Cadoka stała się przedmiotem rozmów wśród chasydów całej Polski. Ożeniono go, kiedy miał szesnaście lat, jeszcze jako pobożnego chłopca. Reb Jozua Walden, teść, domagał się więc, by jego córka Chana rozwiodła się z mężem heretykiem, ale ona nie chciała o tym nawet słyszeć. Cadok ubierał się nowocześnie, a i Chana nie nosiła już peruki. Cadokowi należało się jeszcze pięć lat utrzymania

u teścia, nie zważając jednak na to wyprowadził się z żoną do mieszkania na Starym Mieście. Starszyzna zasymilowanej warszawskiej gminy żydowskiej przyznała zasiłek pieniężny Cadokowi. Dawał również lekcje w paru bogatych domach. Chana, rozpieszczona córeczka, przyjmowała w sekrecie pieniądze od matki.

Jakie jednak znaczenie miały pieniądze dla Cadoka?

Kładł się spać obłożony książkami i ledwo otwierał oczy, już się do nich zabierał. Podczas całych stuleci, kiedy Żydzi ograniczali się do zgłębiania Talmudu, chrześcijanie dali światu Archimedes, Euklides, Kopernik, Galileusz, Newton, Pascal i Darwin.

Żydzi przestrzegali przepisów Talmudu z zamierzchłych czasów, chrześcijanie zaś zbudowali koleje i parowce, wynaleźli telegraf i telefon, mikroskop i spektroskop. Ujarmili siły natury. Każdego dnia Cadok odkrywał nowe cuda: tablicę pierwiastków Mendelejewa geometrię nieeuklidesową Łobaczewskiego, osiągnięcia naukowe Faradaya i Maxwella, Helmholtza i Hertza. Pozostając dobrowolnie niewolnikami dawnych legend, Żydzi zaprzepaścili niezgłębiony ocean wiedzy. Niewiele publikacji naukowych ukazywało się w Polsce, ale oficyna wydawnicza Gebethnera i Wolffa prowadziła dział zagraniczny Cadok nabywał w nim najnowsze książki i czasopisma niemieckie traktujące o współczesnych zdobyczach wiedzy i pracach badawczych. Nie czytał ich gruntownie, za ledwie przerzucał. Tak szybko odwracał kartki książek i czasopism, że obecne przy tym osoby wprost nie wierzyły, aby mógł przeczytać choćby jeden wiersz.

Później, podczas dyskusji, okazywało się, że wszystkie wiadomości przyswoił, niczego nie pominął.

Jaki jednak był cel całej tej świeckiej nauki? Cadok lubił przychodzić wieczorem na Marszałkowską do swego wuja Azriela na rozmowy. Z nim mógł się porozumieć łatwo, używając skrótów myślowych. Dyskutowali o Spinozie, Kancie, Heglu, a także o Misznie i Gemarze.

Cadok nie pozbył się gestów właściwych chasydom: chwytania się za brodę (którą dawno już zgolił), marszczenia brwi, ogryzania paznokci. Kiedy się {podniecił teorią prymatu "ja praktycznego" nad "ja teoretycznym" Fichtego lub "ślepej woli"

Schopenhauera, potrafił przewrócić szklanę z herbatą na najlepszy obrus Olgi, która wcale nie ukrywała, że go nie cierpi. Ten geniusz wnosił w jej nobliwy dom szwargot żydowskiej mowy, maniery placu Grzybowskiego, melodie synagogi.

Nawet kiedy na wzór elegantów całował ją w rękę, długi nos mu zawadzał. Olga zrobiła sarkastyczną uwagę, że Cadok całuje ręce pań jak swój strój rytualny. Miała i poważniejszy zarzut, po każdym bowiem odwiedzinach Cadoka Azriela ogarniał niepokój i melancholia. Ale mimo jej utyskiwań Azriel nadal zapraszał siostrzeńca, który intrygował panów odwiedzających dom Babadów.

Pytali go o zawile kwestie, na które w mgnieniu oka znajdował odpowiedź wystarczyło mu pół minuty na pomnożenie dwóch sześciocyfrowych liczb, z łatwością wyciągał pierwiastki kwadratowe i sześciennie.

Dopytywano się, Jak to robi. Jak mózg może pracować z taką szybkością? Czy rzeczywiście oblicza tak szybko, czy też gotowa odpowiedź przychodzi automatycznie?

Było o czym mówić i dyskutować. Cadok wnosił ożywienie do tych wieczornych spotkań. Oprócz jego zdumiewającej. znajomości matematyki, stałym zainteresowaniem cieszył się wśród gości hipnotyzm.

Początkowo Azriel niemal zupełnie odrzucał hipnotyzm.

Seanse, jakie obserwował w szpitalu, nie były przekonujące. Nie widział możliwości skutecznego stosowania hipnozy w terapii swych chorych. Próbował ją stosować w przypadku Szajndl, kiedy przebywała jeszcze w domu, wyniki jednak wypadły ujemnie. Cała koncepcja narzucenia własnej woli drugiemu osobnikowi wydawała się Azrielowi irracjonalna, jak coś w rodzaju współczesnej abrakadabry. Jeśli bowiem może skutkować wpatrywanie się w oczy osoby usypianej, przy jednoczesnym wygłaszaniu pewnych słów, to dlaczego nie mają działać dobre życzenia reb Jochanana, bądź też złe oko czarownicy? W opinii Azriela ze spirytyzmem wiązał się bezpośrednio mesmeryzm, czytanie myśli, jasnowidztwo i temu podobne moce okultyzmu, nie mające nic wspólnego z wiedzą, i łatwiej mogące zbudzić dawne przesady niż leczyć. W głębi ducha Azriel był przekonany, że wszystkie choroby umysłowe, nawet tak zwane zaburzenia funkcji, są organiczne

i związane z budową mózgu lub jego procesami chemicznymi. Czy wygłaszane słowa i utkwiony wzrok mogą zmieniać komórki i tkanki? Im bardziej Azriel wątpił, tym głębiej studiował owe zagadnienia. W całej Europie prowadzono na ten temat badania, ich centrum zaś stanowiła Francja, zwłaszcza Paryż i Nancy. Powoli nabierał przekonania, że jest w tym jakaś rzeczywista moc, nie zwykła fantazja.

Bernheim, Charcot, Janet to nie szarlatani. Pokazy Feldmana w Warszawie nie są jakimiś sztuczkami ani halucynacjami. Azriel sam był świadkiem hipnotycznej katalepsji, letargu, somnambulizmu. Widział pacjentów w hipnozie drżących z wyimaginowanego zimna, pocących się wskutek nie istniejącego upału, reagujących na podsunięte im halucynacje, wykonujących rozkazy w hipnozie. Nie mogło tu być mowy o sofistyce czy symulacji.

Wkrótce Azriel zaczął stosować hipnozę wobec swoich pacjentów. Rozpoczął od Olgi. Doszedł do takiego stadium, że już potrafił na odległość opanować jej ból głowy, posługując się rozmową przez telefon. Olga od lat cierpiała na bezsenność, Azriel przywrócił jej normalny sen stosując hipnozę. Zazwyczaj sadzał swą pacjentkę w fotelu i kazał jej o niczym nie myśleć. Następnie polecał jej utkwić wzrok w kopertę srebrnego zegarka zawieszzonego na przeciwległej ścianie i zaczął mówić:

– Powieki zaczynają pani ciążyć, zaraz się zamkną Oczy ma pani zmęczone, spojrzenie zamglone. Ramiona i nogi osłabły, ogarnia panią wielkie znużenie, głos mój zaledwie do pani dochodzi, robi się pani senna i już nie może dłużej mieć otwartych oczu...

Czasami kładł rękę na brzuchu chorej osoby...

Pacjenci rzeczywiście zasypiali wykonując jego polecenia. Mimo że tylekroć skutecznie stosował hipnozę, potwierdzając swe bezsprzeczne uzdolnienia w tym kierunku, nie wyzbył się jednak wątpliwości. Za każdym razem po dokonaniu hipnozy nasuwało mu się podejrzenie, że zarówno pacjenci, jak on sam odgrywają komedię.

III

Dziwna sprawa, Cadok nie tylko przystąpił do skrajnych zwolenników asymilacji, lecz ich nawet prześcignął.

W czasie odwiedzin u Azriela łapał się za brodę i skandowanym głosem talmudysty prowadził spór z wujem.

– Jeśli wierzysz, że wszystko, co wypisują rabini w swych komentarzach, podane było Mojżeszowi na górze Synaj, to postępuj zgodnie z Początkiem mądrości. Jeśli natomiast jesteś wolnomyślicielem, to co dla ciebie oznacza słowo “żyd”? W przyrodzie nie ma takiego gatunku.

Wszystkie te etykiety: żyd, chrześcijanin, są grosza nie warte.

– Fakt, że Mojżesz nie rozmawiał z Bogiem, nie stanowi dowodu na nieistnienie Boga – przerwał mu Azriel.

– Przypuśćmy nawet, że istnieje, więc co z tego?

Skoro, nie wiemy, czego chce, po co dorzucać jeden absurd do drugiego? Gdzie logika, wuju Azrielu?

– Moja logika polega na tym, że rozwój duchowy człowieka w równym stopniu zależy od jego natury jak i od konstytucji fizycznej i embriologii. Skoro judaizm istnieje, to znaczy, że są moce pragnące, by istniał nadal.

– To się da powiedzieć o każdej religii.

– Zgoda.

– Co więc wuj powie o religiach, które zaginęły.

– To było im przeznaczone.

– Może więc przyszedł czas i na naszą? – spytał Cadok.

– Nawet nieuleczalnie chory wzywa doktora. Nikt z ochotą nie umiera.

– A ci, co popełniają samobójstwo? Takie pragniecie jest również zakorzenione w naturze.

– Stanowi raczej wyjątek niż regułę.

– Czy są wyjątki w przyrodzie? – Cadok uszczypnął się w policzek w miejscu, gdzie dawniej wyrastał mu pejs. – Wszechświat nie jest podręcznikiem gramatyki.

W przyrodzie, podobnie jak w matematyce, nie ma wyjątków.

– Nikt nie utrzymuje, że przyroda jest matematyką.

– Na pewno bliższa jest matematyce niż gramatyce.

– Niech się samobójcy zabijają, ja chcę żyć zarówno jako jednostka, jak i członek narodowości.

– W takim razie powinien wuj zrobić to, co Józiek: wyemigrować do Palestyny.

– Co do tego masz rację.

– Jeśli jednak wuj nie wierzy, to jakie więzy łączą wuja z Żydami z Jemenu lub Indii? Nacjonalizm to po prostu inercja. Żydzi zbudowali całą swą egzystencję na legendzie liczącej cztery tysiące lat.

– Legenda, o której wspomniałeś, jest przyczyną mych bezsennych nocy. A co powiesz o pogromach, które musimy znosić? One są czymś realnym.

– Powód pogromów leży w tym, że nadal jesteśmy tacy, jak ongiś opisał nas Haman: "Jest lud niektóry rozproszony d rozsypany między ludem po wszystkich krainach królestwa twego, którego prawa różne są od praw wszystkich narodów, a praw królewskich nie przestrzegają." – Cadok zaczął głosem psalmodysty skandować jak z Księgi Estery. – Chcemy być wszystkim naraz:

Rosjanami, Żydami, Francuzami, Turkami. Chcemy być zlepkiem wszystkich nacji. Skoro się żyje w Polsce, trzeba być Polakiem, a nie stać jedną nogą w Polsce, a drugą w Jerozolimie.

– Jakie widzisz rozwiązanie? Wychrzczenie się? – spytał Azriel.

– Rację ma Wallenberg: nie można żyć w czyimś kraju i traktować córki jego gospodarzy jako tabu, ich pożywienia jako nieczystego, a ich Boga jako bożka.

Dopóki ludzie się dzielą na nacje, nie może być miejsca dla jednej wyizolowanej grupy wewnątrz drugiej.

– Mówisz jak antysemita!

– Może właśnie oni mają rację?

– A co się stanie, jeśli socjaliści dojdą do władzy za lat, powiedzmy, trzydzieści?

– Wówczas ludzkość stanie się jedną całością i nie będzie miejsca ani dla Żydów, ani dla chrześcijan.

– To znaczy powinienem już teraz zostać chrześcijaninem, by za trzydzieści lat stać się internacjonalistą.

– Rozwój historii jest dynamiczny Czytałeś Fenomenologię ducha Hegla? Duch jest dialektyczny. Ja sam, wuju Azrielu, jestem hedonistą. Człowiek czyniący to, co mu sprawia przyjemność, idzie słuszną drogą.

Żydzi cierpią, co wskazuje, że wybrali złą drogę.

– Polacy też cierpią. Lepiej byłoby zostać Niemcem lub Anglikiem.

– Uczyniłbym to na pewno, gdybym mógł.

– Jako Anglik zostałbyś powołany na front do walki z Burami.

– Nie mając możliwości wyboru, musiałbym walczyć.

– Anglicy wymagają wykazania się zapałem do walki.

– Któż by dbał o to, czego żądają.

– Czy to twoja filozofia?

– Nie, Spinozy.

– A Żyd, którego raduje przynależność do judaizmu? – zapytał Azriel.

– Tylko pobożnym Żydom on się podoba. Jakie znaczenie ma dla wuja judaizm?

Olga zapukała do drzwi.

– Herbata podana.

Azriel i Cadok przeszli do jadalni. Samowar stał na stole, wokół którego siedzieli już Natasza, Kola i Misza.

Natasza, panienska czternastoletnia, chodziła do czwartej klasy gimnazjum. Wysoka, szczupła, z noskiem nieco zadartym, czarnowłosa i czarnooka. Usta miała za szerokie w stosunku do owalu twarzy, więc chłopcy przezywali ją "żabą". Kola liczył sobie lat jedenaście.

Stanowił portret matki: czarnooki, o prostym nosie i wydłużonej brodzie. Włosy miał obcięte krótko, po wojskowemu. Nosił szkolny mundur z metalowymi guzikami i wysokim kołnierzem. Misza również uczęszczał do szkoły. Podobny był

do Szajndł. Podczas tej krótkiej chwili, kiedy Olga wyszła z pokoju, by poprosić panów na herbatę, Misza i Kola wyciągnęli kawałek sznurka i grali w etł-betł. Kolejno zdejmowali sznurek z rąk jeden drugiemu, za każdym razem robiąc przepisowe figury zwane "woda", "cymbał", "miotła" i tak dalej.

Olga chwyciła się za głowę.

– Znów bawią się tym brudnym sznurkiem! Idźcie umyć ręce!

– Mamo, on. wcale nie jest brudny.

– Powiedziałam, idźcie umyć ręce! Zaczekajcie!

Poszła sama do kuchni, skąd wróciła z mokrą gąbką i ręcznikiem. Podczas mycia rąk chłopcom Natasza uśmiechnęła się z wyższością starszej siostry. Kola pokazał jej język, a Misza się roześmiał. Azriel nalał Cadowowi i sobie herbaty. Dzieci słodziły herbatę zwykłym cukrem, natomiast panowie smoktali kostki cukru. Kucharka usługiwała, podając ciasteczka deserowe i placek. Miała na sobie biały fartuch i czepeczek na jasnych włosach. Olga spojrzała na Cadoka.

– Jak tam sprawy, panie Zdzisławie?

Cadok drgnął. Przerwała mu tok rozmyślań. Odpowiedział kwiecistą polszczyzną z akcentem żydowskim.

– Dziękuję szanownej pani. Jak one mogą wyglądać?

Jakoś się żyje. Prowadzimy dysputy, ale cóż to daje?

Zazdroszczę chwilami zwierzętom, które obywają się bez słów. Zwierzęta, tak jak cała przyroda, znają tylko działanie, toteż zwierzę nie popełnia błędu, podobnie jak skała. Drobnny kamyczek ujawnił, że Arystoteles się mylił.

Mam na myśli eksperyment z krzywą wieżą w Pizie.

– A czy słowa nie są również działaniem? – zapytał Azriel. – Czy nasz intelekt nie stanowi części natury?

Dlaczego kamyk ma być probierzem nieomyślności, nasz umysł zaś w dalszym ciągu popełnia błędy?

– Co wuj chce przez to powiedzieć? Z panteistycznego punktu widzenia nie ma mylnych idei, są tylko nie w pełni rozwinięte. Wszystkie błędy mają charakter subiektywny.

Olga zastukała w stół.

– Znów zaczynają! Mówcie o czymś zrozumiałym i dla dzieci.

– Tato – odezwała się nagle Natasza – i zwierzęta mogą się mylić. Jeśli podłożymy kurze do wysiedzenia kacze jaja, będzie jej się zdawało, że kaczęta to jej własne dzieci – czy to nie pomyłka?

– Ja też chcę coś powiedzieć. – Kola podniósł rękę jak uczeń w klasie.

– Proszę, jacy się naraz zrobili rozmowni – odezwała się Olga z uśmiechem, lecz i z cieniem wyrzutu w głosie.

– Co chcesz powiedzieć, Kola?

– Kiedy byliśmy u pani Malewskiej w Wilanowie, chłopcy wykopali rowek i zakryli go chustką. Kot nie wiedział, że pod spodem jest dół i wpadł do niego.

Misza wybuchnął śmiechem.

– A to ci heca!

– Co powiesz na ich argumenty? – spytał Azriel..

Cadok najwyraźniej rozmyślał już o czymś innym.

Uniósł do góry powieki nad dużymi, czarnymi oczami, skrzywił się. i podrapał w lewą skroń.

– Kot? Kaczęta? Nie wiem, czy słuszne jest nazywać te wydarzenia błędami. Ściśle mówiąc, błąd powstaje tylko wtedy, kiedy się popełnia omyłkę w odniesieniu do określonego faktu. Kura i kot kierują się we wszystkim instynktem. Oznacza to, że i instynkt nie jest doskonały, co jest rzeczą znaną. Myśliwy umieszcza drewnianą przynętę w wodzie lub naśladuje głos ptaków, aby zwabić swą zdobycz. Przypuśćmy, że zwierzęta są zdolne do myślenia i robienia pomyłek – co to ma wspólnego z naszą dyskusją?

– Jeżeli błąd jest możliwy, to i grzech istnieje. Jeśli grzech jest możliwy, nie ma determinizmu i może istnieć absolutna etyka i religia. Możliwe, że człowiek musi odkryć Boga tak samo jak odkrył Amerykę i prawo grawitacji.

– No proszę i znów się zaczyna! Dzieci, kończcie herbatę. Misza, nie nadymaj policzków – nakazała Olga, potem zwróciła się do Azriela: – Pan Zdzisław ma rację.

Kiedy się czegoś nie wie, nie powinno się o tym mówić.

Lepiej, jeśli się wierzy bez filozofowania. Boga się nie znajduje drogą rozumowania.

– Pewne prawdy już dawno zostały odkryte, prawdy wieczne, niezmienne.

– Jakże to prawdy?

– Dziesięć przykazań.

Cadok wykonał gwałtowny ruch głową, jakby chciał odpędzić muchę.

– Cóż to za odkrycie? Walka o byt to prawo biologiczne. Według Malthusa wojny są koniecznością. Cała historia ludzkości pełna jest wojen. Nawet Biblia głosząca: "Nie zabijaj" nakazuje zabijanie mężczyzn, kobiet i dzieci.

– "Nie zabijaj" odnosi się tylko do własnej grupy.

– Czym jest lepsza własna grupa od innych? To są wszystkie prawa społeczne.

Naturze jest obojętne, kto kogo zabija. W ciągu tysięcy lat zabija się byki, a natura milczy. Czy to możliwe, że ludzkość będzie pociągnięta do odpowiedzialności za wszystkie zabite kury, cielaki i byki? Dlaczego życie ludzkie miałoby tak być cenne dla natury?

– Dlatego, że człowiek bardziej cierpi. Może przewidywać cierpienie. Nie żyje wyłącznie w czasie teraźniejszym.

– A jeśli i cierpi, czy to mu daje jakiś przywilej? Naturze byłoby wszystko jedno, gdyby nawet pozostał ludożercą. i – Twoim zdaniem, Cadoku, ludzie mają prawo robić pogromy.

Olga wstrząsnął dreszcz.

– Proszę was, zaniechajcie tej gadaniny! – odezwała się ostro.

Niezliczone razy prosiła tych wychowanków jesziwy o zaprzestanie czczych dyskusji. Kiedy jednak znaleźli się razem, od razu zaczynały się spory prowadzone w języku polskim przeplatany słowami żydowskimi. Dyskutowali podobnie jak owi oderwani od życia próżniacy ze szkół rabinackich. Cadok, mimo złych manier, miał przynajmniej poglądy nowoczesne, tymczasem Azriel nie odstąpił od gloryfikacji zatęchłego judaizmu, w którym wyrósł.

Tkwiał w nim nadal, uwikłany w jego fanatyzmie. Olga chciała nade wszystko uniknąć rozmów na tematy religijne, ponieważ w domu były dzieci różnych wyznań.

W szkole Misza musiał opuszczać klasę przed lekcją religii prowadzoną przez księdza. Dzieci wchłaniały różnego rodzaju głupoty. Przy każdej kłótni chłopców Olga się obawiała, że Kola nazwie Miszę żydziakiem. Uznała przeto wzmiankę Azriela przy stole o pogromach za niestosowną. Czyja to wina, jeśli ciemni chłopcy dają się podburzyć do takich dzikich postępków? Po co odsłaniać przed dziećmi podobne okropieństwa?

W jadalni zrobiło się naraz tak cicho, że słychać było, jak Misza siorbie herbatę i pobrzękuje łyżeczką w szklance. Kola spoważniał. Natasza odwróciła głowę.

Azriel pił herbatę ściągawszy brwi. Zdawał sobie sprawę, że przytaczanym przez niego argumentom brak logiki. Jego ojciec stosował ten sam sposób rozumowania. "Jeśli tak jest, jak mówisz, to żyjemy w amoralnym świecie", utrzymywał. No cóż, może faktycznie świat jest rozpasany? Może wolno, w takim razie, urządzać pogromy? Wydawało się dziwne, że Cadok, który tak niedawno zerwał z pobożnością potrafił się godzić z życiem, natomiast Azriel nadal się oburzał na wszelki zły czyn. Za każdym razem, gdy czytał gazetę, wpadał w osłupienie, prasa bowiem podawała same relacje z pobicia, mordów i napadów na niewinnych ludzi.

Wyrzucano rosyjskich Żydów z miast, przepędzano z wiosek. Uciekali do Polski, prasa polska natomiast występowała przeciw litwakom. Cała Rosja była jednym wielkim kłębem niesprawiedliwości. Policja skorumpowana, sądownictwo sprzedajne. Kryminaliści na stanowiskach w Najwyższym Synodzie. Polacy, choć sami są ofiarami zaboru, zajmują wobec Żydów nader wrogą postawę. Z drugiej strony i Żydzi nie postępują uczciwie. Konkurencja jest bezwzględna, każdy zagrabia co może tylko dla siebie. Palestyna? Wszyscy nie mogą tam emigrować. Turcy już zabronili Żydom kupowania ziemi w Palestynie, a i Arabowie patrzą na nich złym okiem. Asymilacja? Nikt nie chce przyjąć obdartego motłochu poza kilkoma płatnymi misjonarzami.

Socjalizm? Jak się ma zrodzić? Kto go wprowadzi?

Wywoła to nowe serie gwałtów, morderstw, zła. Jaką można mieć pewność, że socjaliści okażą się święci? Już są podzieleni na frakcje zwalczające się nawzajem.

Nie, ta jatka nie da się oczyścić nowym rozlewem krwi.

Azriel rozumiał to jasno. W takim razie – czym? I jaka jest jego rola w tym grzędawisku? Być świnia przy korycie?

Chapać dla siebie, jak długo się da? Posłać Kolę i Miszę na uniwersytet i wychować dwóch prawników więcej?

Wydać Nataszę za mąż za oficera? Przez wszystkie lała swych studiów walk wewnętrznych wierzył, że przeznaczony jest do wyższych celów. Urzekły go takie słowa jak kultura, ludzkość, postęp, cywilizacja. Teraz nastąpiło przebudzenie. Czuł się pozbawiony wiary, ideałów, nadziei. Młodość już minęła. Praca stawała się coraz trudniejsza, wydatki rosły. Z nikim o tym nie mówił, ale spędzał bezsenne noce rozważając owe “odwieczne pytania”: “Po co żyję? Co ja tutaj robię? Jaką mam misję?

Jakie są moje obowiązki?” Wciąż się zastanawiał: “A może człowiek nie ma żadnych obowiązków? Może przypomina krowę, której potrzebne jest pastwisko, dopóki nie zdechnie lub nie zostanie zabita?” Tak, Cadok ma rację: zgodnie z logiką i zgodnie z nauką, siła to prawo.

– Dlaczego pozwalasz herbacie stygnąć? – spytała Olga.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Oldze dopisało szczęście. Wallenberg dotrzymał obietnicy i zapisał jej w testamencie siedem tysięcy rubli.

Od dawna pragnęła wybudować lub kupić willę.

Pozostała w niej tęsknota za owymi latami, kiedy przebywała z Andriejem w Druskiennikach nad Niemnem. Wszyscy szanujący się warszawscy lekarze posiadali własne domy letniskowe. Upłynęło z górą trzydzieści lat od powstania, a w Polsce nadal pełno było zbankrutowanej szlachty, od której można było nabyć walące się dwory za stosunkowo niską cenę. Olga naradziła się z pośrednikami i zaczęła się rozglądać za jakimś dworkiem. Azriel również marzył o własnym domu poza miastem chciał uciec od miejskiego hałasu. Gdzież się można lepiej schronić jak nie wśród pól, jezior i lasów?

Pośrednicy zabrali się rażno do dzieła i każdej niedzieli ©Iga nalegała na Azriela, żeby towarzyszył jej w oglądaniu jakiejś nieruchomości ziemskiej.

Już same wyjazdy pobudzały jego energię. Warszawa była zatłoczona, pełna kurzu i hałasu. Domy rosły w górę, a horyzont się zwiężał. Z chwilą jednak wyjazdu poza miasto odślaniał się boży świat, szeroki widnokrąg nieba i rozległe pola. Bociany krążyły w błękitnym powietrzu jak niegdyś w Jampolu i Turbinie. Zdawało się, że czas stanął. Stworzenia boże ćwierkały, kwakały, świergotały i gwizdały każde na swą nutę. Azriel usłyszał znów wołanie kukułki jak owego dnia w Otwocku, podczas ostatniej wizyty u Miriam–Liby. Oglądanie dworków w równym stopniu go interesowało, jak i denerwowało podpisałby każdą umowę. Olga, lepiej zorientowana, targowała się o cenę, krytykowała przewody kominowe, konstrukcję budynku, a nawet grunta, zadawała masę pytań dotyczących podatków i hipoteki.

Azriel odnosił wrażenie, że nic jej nie zadowoli. W końcu znalazła jednak coś, czego pragnęła. Niedaleko Warszawy, między Zakroczymiem a Nowym Dworem, w pobliżu Wisły, znajdował się mały mająteczek liczący paręset morgów, głównie pastwisk. Bliżej brzegu rzeki ciągnęły się szczere piaski, ale w obręb majątku wchodził duży sad owocowy, w którym rosły jabłonie, grusze i śliwy oraz krzewy

agrestu i porzeczek. Pogłowie, bydła liczyło czterdzieści wynędzniałych krów, kilka koni, parę kóz, a nadto kilka wieprzów. Na wpół zarosły staw, z pływającymi w nim karpiami, dawał schronienie dzikim kaczkom. Popijający tego dziedzic zaniedbał wszystko, lecz stary dwór miał kamienne fundamenty i był zbudowany solidnie jak forteca. Okna ocieniały topole pamiętające czasy Napoleona. Do zespołu budynków wchodziły, oprócz dworu, stajnie, obory, stodoła, chlewy, drewnitnia, spichrze i starodawny budynek, gdzie suszono sery. Cenę podano przystępną, ale hipoteka była obciążona i budynki wymagały naprawy. Starzy wieśniacy pracujący we dworze byli niegdyś chłopami pańszczyźnianymi. Olga nie wahała się długo. Dała zadatek i porozumiała się z wierzycielami. Azriel wyłożył wszystkie posiadane pieniądze, a nawet zaciągnął pożyczkę bankową. Wiązał wielkie nadzieje z tym przedsięwzięciem. W najgorszym razie tam się przeniesie, odizoluje od świata i będzie żyć z ziemi. Tytuł własności opiewał na nich oboje.

Azriel radził Oldze, aby się wstrzymała z remontem, jednakże brakło jej cierpliwości. Wynajęła cały zespół robotników. Dach wymagał reperacji, piece – przestawienia, droga – wybrukowania zaszła konieczność wykopania drugiej studni. Niezbędne było nowe umeblowanie. Olga przyrzekła Azrielowi, że nie zaciągnie dalszej pożyczki, skoro jednak rozpoczęto prace remontowe, nie mogła ich przerwać w połowie i wkrótce okazało się, że muszą zaciągnąć drugą pożyczkę. Niedawno Azriel miał odłożone pieniądze na gorsze czasy ani się jednak obejrzał, jak się znalazł w długach i musiał opłacać procenty w banku i u lichwiarzy. Utrzymywał dwa domy, w Warszawie a w Topólce, będącej na dodatek majątkiem ziemskim. Z dnia na dzień spadały nań ogromne obciążenia z tytułu zatrudniania służących i parobków oprócz tego, dawnej służbie dworskiej, dotkniętej na starość reumatyzmem, musiał zapewnić jakieś utrzymanie. Jak na złość, miał mniej niż zwykle pacjentów, większość bowiem zamożnych kobiet, które leczył, wyjechała na wakacje.

Azriel przesiadywał u siebie w gabinecie i każdą wolną chwilę spędzał na sumowaniu liczb. Już pierwsze tygodnie ujawniły, że nie można się spodziewać żadnego dochodu z majątku. Parobcy zażądali podwyżki płacy.

Słońce wypaliło trawy, krowy dawały mniej mleka. Owoce z sadu bądź rozkradano, bądź ptaki ogałacały drzewa do czysta. Chłopi mieli różnego rodzaju serwituty: wolno im było łowić ryby w stawie, zaopatrywać się w drewno w dworskim lesie. Należałoby zatrudnić ekonoma, ale wszyscy oni pili i kradli. Dzikie psy wiejskie ustawicznie atakowały Azriela. Nawet kąpiel w Wiśle była utrudniona ze względu na kamieniste dno rzeki, a ponadto chłopi ostrzegali przed przybrzeżnymi wirami zdolnymi pochłonąć najlepszego pływaka. Sąsiedzi uprzedzili Olgę, że dobrze jest mieć strzelbę w pogotowiu na wypadek napadu bandytów. Niektórzy sąsiedzi okazali się antysemitami.

Niedługo trwało złudzenie, że na wsi znajdzie się spokój i odzyska pogodę ducha. Zazwyczaj w czasie lata Oldze przybywało na wadze, lecz tego roku wychudła jak suchotnica. Popelniła błąd, ale nie chciała się do tego przyznać. Jej dzieci i Misza spędzały lato w Topólce, Cyna jednak została w Warszawie. Olga codziennie pisała do Azriela, a czasami wysyłała depezę. Potrzebowała różnych rzeczy. Robotnicy przewlekają pracę i źle ją wykonywali. Pierwotny kosztorys okazał się zaniżony.

Urzędy domagały się zaległych podatków, Wszyscy zdawali się orientować, że Azriel i Olga to niedoświadczeni amatorzy. Olga, dotychczas pozytywnie nastawiona do Polski, poczuła się zawiedziona. Pewnej niedzielnej nocy zbudził ich odgłos strzałów oddanych tuż pod oknem sypialni. Nikt nie wiedział, kto i po co strzelał. n Przed poproszeniem do gabinetu pierwszego pacjenta, Azriel nerwowo przemierzał pokój w ciągu paru minut, usiłując wzbudzić w sobie zaufanie do samego siebie. Ci pacjenci przychodzili do niego dla odzyskania odwagi, a on ich uspokajał jak fałszywy prorok.

– Spokojnie, spokojnie – mówił. – Zmarła ukochana osoba? No cóż, trzeba żyć dalej. Lęk przed śmiercią?

Przecież to szkodzi zdrowiu. Trzeba się radować życiem, dopóki można. Żona lub mąż zdradził? Dzieci wyrosły na egoistów? Grozi bankructwo? Zbliża się starość? Życie jest zbyt uciążliwe? To wszystko tylko kwestia nerwów.

Jedyne, co trzeba zrobić, to wziąć się w garść...

Inni lekarze zapisywali lekarstwa, Azriel natomiast usiłował leczyć perswazją, której jednak brakło szczerości.

Tego ranka po otwarciu drzwi do poczekalni zobaczył Esterę Ajsner. Od razu poprosił ją do gabinetu.

– Kogóż to dzisiaj zastrzelono? – odezwał się żartobliwie.

Estera spojrzała na niego bez uśmiechu i powiedziała cicho:

– Twoja siostra jest w Warszawie.

– Mirele?

Głos Estery jeszcze bardziej przycichł:

– Uciekła z Sybiru.

– Ach tak!

– Musi natychmiast opuścić kraj.

– Gdzie jest?

Estera podała adres. Potem uścisnęła mu rękę i wyszła.

W poczekalni była tylko jedna pacjentka, którą Azriel szybko załatwił. Tego popołudnia miał dyżur w Szpitalu Żydowskim, lecz zatelefonował, że nie może przyjść.

Stał przy oknie i wyglądał na dwór. Miał dziwne uczucie, jakby Mirele wróciła zza grobu. Ile ma lat?... Jak to dawno, kiedy otworzyła drzwi do chasydzkiej jesziwy w Jampolu i powiedziała.

– Chodź do domu. Twój przyszły teść czeka!

Będzie potrzebował pieniędzy, Mirele zapewne jest bez grosza. Stał przy bibliotece, wyjął książkę, zajrzał do Środka i włożył z powrotem. Potem wzięwszy pióro napisał parę cyfr na kartce papieru. “Jak mogłem porobić tyle wydatków?” – zastanawiał się. Rzucił okiem na otrzymaną korespondencję zawierającą prawie wyłącznie rachunki. Gmina żydowska upominała się o składki. Józiek się ożenił w Palestynie. Chciałby mieć własny interes i być niezależny, prosił więc ojca o pomoc.

Topółka stała się prawdziwym ciężarem. Olga pisała, że ma kłopoty. I tak dalej bez końca. Jak tylko Azriel zaczynał się ludzić, że zbliża się chwila wytchnienia,

zjawiały się nowe komplikacje. Jakie moce z nim igrały, piętrząc trudności na drodze życia, jakby chciały pokrzyżować wszystkie jego: ziemskie nadzieje.

Przechodząc przez przedpokój, usłyszał głos Cyny mówiącej coś półgłosem w swoim pokoju. Dziewczyna powinna przebywać w Topólce na świeżym powietrzu i zajmować się Miszą za jakie to grzechy wołała spędzać upalne dni w mieście? Czyżby nie potrafiła, się pogodzić ze światem? Co jej dolega? Nie jest religijna.

Wychowywała się w atmosferze świeckiej. Miał ochotę pójść do niej z typowym ojcowskim pytaniem: "Co z ciebie wyrośnie?" Lecz machnął tylko ręką i zszedłszy po schodach znalazł się na ulicy. W pobliżu budowano nowy dom. Robotnicy z zarządu miejskiego naprawiający jezdnię odkopali szyny dawnego tramwaju konnego.

Zalatywało wapnem, świeżym gnojem końskim i miejskim zaduchem. Odwiedziny u Mirele połączone były z ryzykiem. Nigdy nie wiadomo, może pozwolono jej uciec, aby sprawdzić, jakie ma kontakty. Azriel zgrzany i spocony szedł pieszo zamiast wziąć dorożkę oglądał się od czasu do czasu, aby sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie. Z niewiadomego powodu na ulicach było pełno policji. Czy zamordowano któregoś z dygnitarzy? A może miał się odbyć pogrzeb jakiegoś rewolucjonisty? Byłoby głupio, a zarazem tragicznie, znaleźć się w więzieniu bez żadnego powodu.

Nagle uprzytomnił sobie, że się modli i przyrzeka ofiarę na cel dobroczynny w zamian za własne bezpieczeństwo. "Boże Wszechmocny – modlił się w myśli – ochroń mnie, abym nie wpadł w ich sidła.

Dopomóż też Mirele dość już wycierpiała"., Zatrzymał się, otarł czoło i dodał w duchu: "Wierzę w Boga i w moc modlitwy." Już od dawna nie szedł ulicą Dziką. Obdarci młodzi mężczyźni gromadzili się wokół, rozmawiając i paląc okurki papierosów. Platformy, wiozące żelazne rury, toczyły się po kocich łbach ulicy z ogłuszającym hałasem. Przy bramach wiodących na podwórza handlarze sprzedawali bułeczki, obwarzanki, pieczone jabłka, prażony groch, bób, lukrecję i chałwę. Tragarze nieśli przepelnione kosze lub pchali wózki z towarem.

Azriel pamiętał czasy, kiedy była to cicha dzielnica.

Obecnie w każdym oknie znajdował się szyld, a wewnątrz domów maszyny tkwały, przędły, cięły, nawijały.

Na Gęsiej kupcy wystawiali przed sklepami, zapraszając przechodniów do środka. Wszędzie wyrosły hoteliki i restauracyjki. Obok przeszedł mężczyzna o długich włosach, w kapeluszu z szerokim rondem, zamiast krawata miał kokardę z czarnej wstążki, wyglądał na intelektualistę. Nauczyciel hebrajskiego? Rewolucjonista?

Gdzieś w tej okolicy, w Parku Krasińskich, zbierali się młodzi radykałowie. Przy bramie domu, którego szukał, Azriel obejrzał się po raz ostatni, by sprawdzić, czy nikt go nie śledzi.

Wolno przeszedł przez podwórze. Zrobił głupstwo, powinien był zabrać swój sakwojaż z przyborami lekarskimi, aby w razie potrzeby wyjaśnić, że wezwano go do chorego. Lecz gdzie jest ten pacjent? Na parterze z prawej strony znajdowała się chasydzka jesziwa. Przez otwarte okna w pół zasłonięte firankami słyszało się monotonne recytowanie Talmudu. Azriel dojrzał bladą twarz, Jarmułkę, narożnik Arki Przymierza, płomyk świecy. "Może powinienem wejść i pozostać z nimi. Mam przy sobie dwieście rubli. To by mi wystarczyło na półtora roku. Dawniej żyłem w Warszawie z dwóch rubli tygodniowo. Mógłbym jeszcze sprzedać zegarek"... Fantastyczne pomysły mnożyły się w jego głowie. Olga by go poszukiwała przez pewien czas, wreszcie zrezygnowałaby i została w Topólce. Mirele wyjechałaby za granicę i bez jego pomocy. Cyna znalazłaby jakąś pracę.

Tylko żał mu było Szajndl, którą na pewno przeniesiono by do Szpitala Żydowskiego. Misza zostałby przy Oldze, pozbawiony ojca. Olga polubiła chłopca. A może by go zabrał Mejer-Joel lub rabi Jochanan... A co robiłby on, Azriel? Tkwiłby nad księgami. Gdyby musiał uciekać, to nie do Topólki. Jeśli religia, jak mówią, stanowi opium, jest więc narkotykiem najlepiej odpowiadającym duszy żydowskiej. Żydzi od przeszło dwu tysięcy lat snują marzenia pochyleni nad kartami Tory. Są to w każdym razie wzniosłe marzenia, nie krwawe koszmary...

Dostrzegł numer mieszkania, którego szukał, zapukał do drzwi. Usłyszał za chwilę zbliżające się kroki i pytanie:

– Kto tam?

– Sprzedawca maszyn do szycia – odparł Azriel, powtarzając hasło podane przez Esterę Ajsner.

Klucz zgrzytał w zamku, drzwi się otworzyły. Stała w nich kobieta o ciemnych włosach zaczesanych do góry i przytrzymanych grzebieniem.

– Proszę wejść.

Szedł ciemnym korytarzem woniejącym zapachami kuchennymi i brudną bielizną. Usłyszał głos nucący kołysankę: "Aaa, aaa"... "Ten bobas przynajmniej nie musi się obawiać policji", pomyślał Azriel. Kobieta przeprowadziła go przez pokój stołowy, gdzie jakiś młody człowiek, z podwiniętymi rękawami koszuli, siedząc przy stole majstrował coś przy jakimś mechanizmie. "Czy on fabrykuje bombę?" Nie, to tylko zegar ścienny. Doszli do drzwi, kobieta najpierw zapukała, potem je otworzyła, Azriel zobaczył w pokoju drobną osobę w średnim wieku, lecz wyglądającą bardzo staro była ubrana w spódnicę i szarą bluzkę. Czarne włosy przetykane siwizną miała zaczesane do góry i upięte w ciasny koczek. W pierwszej chwili jej nie poznał. Nagle uświadomił sobie, że to Mirele. Tak, to Mirele, lecz jakże zmieniona! Twarz miała zaczerwienioną i pomarszczoną jak zmarzłe jabłko.

– To ty – powiedział.

– Azrielu!

Padli sobie w objęcia, Przez bluzkę wyczuł chudość i kościstość jej ramion.

Odezwała się po rosyjsku:

– Twoja siostra się zestarzała.

– Mirele, dlaczego mówisz do mnie po rosyjsku?

– Zapomniałam żydowskiego.

Zaczęła jednak mówić po żydowsku. Wskazała mu krzesło i sama usiadła.

"Czy ona się skurczyła?" –zapytywał się w duchu Azriel.

Przyglądał jej się nadal. To Mirele, jego młodsza siostra. Palce miała pokrzywione. Jeden paznokieć zrogowaciał. Kości wystawały z nadgarstków. Szyja pomarszczyła się jak karbowana bibułka. Razem lepili babki z piasku, bawili się w dom. Oczy mu zwilgotniały.

“Od kiedy tak twardo wymawia «r»?” – zastanawiał się.

Najpierw zaczęła mówić bez związku. Zaczynała się, wspominała rodziców, pytała, czy Azriel pamięta i obchodzi rocznicę śmierci ojca. Mieszała łamany język żydowski z rosyjskim. “Mówi podobnie jak litwacy”, pomyślał Azriel. Opowiadała, ile czasu jej zajęła droga powrotna do Warszawy, ile tygodni wlokła się wozami i saniami. Wymieniała nazwy miast i wiosek rosyjskich i opowiadała, jak wielkiej pomocy doznała od chłopów.

– Nie uwierzysz, ale pewnego razu ukryli mnie na furze pod workiem owsa, w skrzyni podobnej do trumny.

Oddychałam przez mały otwór. To było straszne. Najgorzej, gdy się chce oddać mocz. No cóż, jestem silniejsza, niż myślałam. Wszystko przeżyłam... Organizacja uważa, że więcej mogę zdziałać dla naszej sprawy za granicą, ale ja wątpię. Nie jestem ani mówcą, ani pisarzem, po prostu zwykłą kobietą.

– Jak ci się udało przeżyć?

– Udało mi się. Prawie nigdy nie odpowiadałeś na moje długie listy, przysyłałeś natomiast pieniądze. Dzięki.

Zapanowało milczenie. Patrzyli nieśmiało na siebie, z uczuciem obcości. Azrielowi się zdawało, że Mirele jakimś cudem stała się jego starszą siostrą. Poczul nawet coś w rodzaju zazdrości, że ta słaba kobieta wybrała własną drogę życia i kroczyła po niej niezłomnie. Wyczuł cień siostrzanej ironii w jej głosik, kiedy się odezwała – No cóż, zostałeś prawdziwym lekarzem.

– Tak.

Co się stało z tym, jak się on nazywał?

– Cypkinem?

– Właśnie.

– Jest lekarzem w Ameryce.

– Też doktor? No tak, a co z tą... jak się ona nazywała?

– Wiera Czarłap? Umarła.

– Jeszcze byłam na wolności. Nie, już w więzieniu.

– Róża Berkowicz popełniła samobójstwo.

– Dlaczego? No cóż, takie rzeczy się zdarzają. Na Sybirze samobójstwa są czymś częstym. Zwłaszcza wśród mężczyzn. Ta Róża Berkowicz była głupia.

– Myślałem, że jest inteligentna.

– Nie, to była pleciuga. Nie potrafiła zapomnieć ani swego gimnazjum, ani farbiarni ojca.

– Czy nadal wierzysz w rewolucję? Mirele spoważniała.

– Tak, wierzę.

– Tutaj w Polsce wszystko stanęło w miejscu.

– Nic o tym nie wiem. Jak można położyć kres ideałom? Robotnik jest wciąż niewolnikiem. Chłop nadal głoduje. Burżuje wszystkich prześladują. Powinieneś zobaczyć kogo zsyłają na Sybir! Urzędników państwowych, nauczycieli i kancelistów niższej rangi. Za mało jest konwojentów, więc wysyłają chłopów z kijami do pilnowania więźniów. Ach, do czego doszła degradacja człowieka!

– Zawsze tak było.

– Nie! Masy już tracą cierpliwość. Chłopi są rozgoryczeni. Nabrzmiały wrzód musi pęknąć.

– Dokąd się udasz?

Mirele chwilę się zastanawiała.

– Nie wiem jeszcze. Tam, dokąd mnie wyśle komitet centralny. Dzisiaj mam się z kimś skontaktować.

Zapewne jutro otrzymam instrukcje.

– Jak twoje zdrowie?

– Tak sobie. Cierpię na reumatyzm, ale to nie jest śmiertelna choroba. Ważne dla mnie, aby się przedostać za granicę.

– Ile ci trzeba pieniędzy?

– Sama nie wiem. Zawsze starasz się pomóc.

– Jesteś moją siostrą.

– No tak, ale ty się zrobiłeś panem. Co z twoją żoną?

– Postradała rozum.

– Dlaczego? Miała takie wesołe usposobienie. Naiwna, lecz pełna życia.

Opowiadała mi o tym Estera Ajsner.

Estera pozostała taka, jaka była, nawet używa tych samych powiedzonek. Co to za kobieta, z którą żyjesz?

– Wdowa po lekarzu.

– No cóż, zastąpiła jednego lekarza drugim. Tam, na Sybirze, życie osobiste przestało dla nas istnieć. Czas się zatrzymał. Ale te strajki kolejowe są oznaką, że ludzie się ocknęli.

Kobieta, która wpuściła Azriela, zapukała do drzwi i wniosła dwie szklanki herbaty oraz ciasteczka. Zachowywała się tak, jakby spełniała jakiś religijny rytuał, w czasie którego nie wolno odezwać się słowem. Kiedyś pobożne dziewczęta żydowskie w podobny sposób obsługiwały uczniów jesziwy. Azriel podziękował. Mirele spoglądała trochę kpiąco.

– Dziękuję za trud... – odezwała się. Wzięła kostkę cukru i jak stara kobieta namoczyła ją w herbacie, potem odgryzła kawałek.

– Czy to kreda? – spytała.

Azriel również odgryzł kawałek kostki.

– Dlaczego kreda? Przecież to cukier.

– Wcale nie słodki.

– Co ty mówisz?

Wymienili spojrzenia.

– Widocznie straciłam smak. To z tej tułaczki. Trochę za dużo było tego wszystkiego. No, ale teraz odpoczywam. Wciąż jeszcze nie wiem, jak się dostanę do granicy. Czy daleko stąd do Mławy? Będę musiała dojechać furą. Dopiero w Niemczech mogę wsiąść do pociągu.

– Wyglądasz na strudzoną.

– Tak, jestem zmęczona. Kiedy tak patrzę na ciebie, przypominasz mi ojca. Jesteś inny, a jednak... Masz też w sobie coś z naszego dziadka, Abrahama Hamburga.

– Prawda, matka to samo mówiła. Mnie się to wtedy wydawało niedorzeczne. Ty natomiast jesteś podobna do matki.

– Tak, czasami sama się zdumiewam. Coś powiem i słyszę, że to głos matki, chociaż mówię po rosyjsku, nie po żydowsku. Tylko parę razy nadarzyła mi się okazja rozmowy po żydowsku. Ten niepoczytalny rząd skazał na zesłanie całkiem niewinnego litwaka ze Słucka, robotnika. Ciężko mu przychodził język rosyjski. Był to prostak, bardzo zabawny. Zabrał ze sobą tefilin i każdego ranka się modlił. Nic nie słyszał o żadnym ruchu, chciał tylko wiedzieć, kiedy przypadają święta Chanuka, Purim i Pesach. Nie mieliśmy żydowskiego kalendarza.

Wiedziano, że jestem córką rabina, więc ludzie zwracali się do mnie w sprawach związanych z religią.

– Co się z nim stało?

– Zachorował i zgasł jak świeca. – Mirele przerwała na chwilę. – Nie chcę się z tobą spierać wszystko jedno, co myślisz, uważam, że ludzie muszą mieć żywność i odzienie. Rząd, który nie potrafi zadbać o swój naród, musi zostać obalony.

Dopiero nazajutrz przyszło Azrielowi na myśl, że skoro kawałek cukru smakował Mirele jak kreda, jest to niewątpliwie objaw choroby. I rzeczywiście Mirele zaraziła się tyfusem. Umieszczenie w szpitalu było niemożliwe, gdyż poszukiwała jej policja pozostała więc nadal w tym samym małym pokoiku na wąskim żelaznym łóżku. Leczył ją Azriel. Miała silną gorączkę i bredziła po rosyjsku, po polsku i żydowsku. Wpadła w panikę, wołała, że skazano ją na powieszenie. Druga kobieta, którą wieszano z nią razem, nie dała zacisnąć sobie pętli na szyi. Mirele zrywała się z łóżka zdecydowana uciekać za granicę, gdzie oczekiwał jej komitet centralny. Chodziło o strajk kolejowy w Anglii, którego powodzenie wisiało na włosku.

Wśród nich znajdował się szpieg i trzeba mu zamknąć usta.

– Zastrzele go jak psa! – krzyczała.

Wkrótce zjawili się towarzysze dopytując o jej zdrowie.

Aczkolwiek pijawki wyszły już z mody, lekarze wierzyli nadal w upust krwi.

Kiedy przystawiono pijawki, Mirele nagle zapytała:

– Co to takiego, kapitaliści ssący krew?

Azriel przemilczał przed Olgą te wszystkie wydarzenia.

Olga wróciła do Warszawy opalona i zagniewana.

Dlaczego nie przyjeżdżał do Topólki w dni wolne od pracy? Cóż takiego robił sam jeden w rozgrzanej, pełnej kurzu Warszawie? O swych kłopotach relacjonowała w taki sposób, że można było sądzić, iż pracuje jak wół. A tymczasem zamierzała urządzić bal i już wyznaczyła datę. Zaprosiła całe okoliczne ziemiaństwo oraz wyższych urzędników powiatowych i młodych Wallenbergów. Bal pociągnie za sobą znaczne koszty, przyczyni się natomiast do kariery Azriela. Miała mnóstwo planów. Pewien ziemianin jest właścicielem lasu niedaleko Topólki. Otrzymają jego zgodę na urządzenie w przeddzień balu polowania w tym lesie dla zaproszonych gości. Dla pań zorganizuje się przejażdżkę łodzią po Wiśle. Pora, aby Natasza poznała młodych mężczyzn. Co zaś do niej samej, nie zamierza spędzić całego życia za piecem. Skoro się osiedlili w Topólce, powinien wyciągnąć z tego jak najwięcej korzyści.

Ponosił ją entuzjizm i zła była na Azriela, że odnosi się obojętnie do tych spraw.

– Nie mogę prowadzić życia takiego jak ty – oznajmiła.

– Chcę być światową damą, a nie żoną rabina.

Azriel tłumaczył, że koszt balu pochłonie setki rubli i powiększy jego długi, ale Olga replikowała:

– Jesteś życiowo niepraktyczny i w tym cały szkopał. – Wyliczyła pół tuzina bogatych lekarzy, właścicieli, willi, kupujących żonom kolie z pereł, którzy biorą dwadzieścia pięć rubli za wizytę.

– Możesz sobie wydawać bale, choćby i dziesięć, ja jednak nie będę za nie płacił ani brał w nich udziału.

– To twoje ostatnie słowo?

– Możesz być tego pewna.

– No więc dobrze, jak nie, to nie. Ja zaś nie zamierzam żyć jak w klasztorze.

Oświadczyła, że jeśli zajdzie konieczność, sprzeda nawet ostatnią sztukę biżuterii na zapłacenie kosztów balu.

Azriel nagle uświadomił sobie, że Olga wybrała jako dzień balu wigilię dziewiątego dnia miesiąca Aw. Był to rok przestępny, wobec czego dzień ten

wypadał późno.

Azrielowi nie pozostało nic innego jak poinformować Olę o pobycie Mirele w Warszawie.

– Chcesz, żeby cię aresztowano? – zawołała gniewnie Olga.

– Czy mam siostrze pozwolić umrzeć?

– Są jeszcze inni lekarze w Warszawie. Cóż ty wiesz o tyfusie? Możesz jej nawet zaszkodzić.

Ponieważ choroba Mirele była w fazie przesilenia, Azriel został u jej wezglowia na noc. Mimo upału okno trzymano zamknięte i zasłonięte storą, aby ani odrobina światła nie przedostała się na zewnątrz. Wszyscy stróże domowi donosili o najmniejszej sprawie interesującej policję. Mirele leżała pod pierzyną, osłabiona i rozpalona, oczy miała zamknięte. Jej włosy utraciły połysk. Rzuciła się na łóżku wstrząsana dreszczami i z trudem łapała oddech. Azriel wycierał ją z potu. Jak nieskuteczna okazuje się w takich przypadkach medycyna! Co za ironia losu, przetrwać Sybir, później zaś zginąć z powodu bakterii! Mirele, wojująca z samowładcami, obecnie walczy z atakującymi ją od wewnątrz niszczycielskimi siłami. Wszędzie wojna: w lasach, w miastach, na polach i w ludzkim ciele. Pragnęła wyzwolenia chłopów i proletariatu. Podobnie jak ich ojciec, wojowała z mocami szatana. A co nastąpi po zwycięstwie? Nie odkupienie ani nadejście zastępów świętych czerpiących ze splendoru chwały Bożej, tylko era gazet i pism, teatrów i kabaretów. Rozwój kolejnictwa, mnogość maszyn... Czy warto umierać za gazety, teatry, maszyny? I czy ktokolwiek zachowa w pamięci czyny ludzi takich jak Mirele?

Po przebytej chorobie Mirele była tak osłabiona, że nie mogła się utrzymać na nogach i musiała na nowo się uczyć chodzenia. Przedłużanie pobytu w pokoiku przy ulicy Dzikiej było niebezpieczne. Jeden z członków komitetu Drugiego Proletariatu władze zlikwidowały Pierwszy – miał dom pod Falenicą. Odwieziono tam Mirele, żeby spędziła za miastem okres świąt. Dom należał do towarzysza Jana Popielaka zatrudnionego w młynie parowym na Pradze.

Azriel kupił siostrze specjalnie odżywcze wiktuały i Postanowił sam je zawieźć. Ulokował się przy oknie omnibusu konnego jadącego na Pragę i przyglądał

ulicom.

Warszawa była miastem bardzo brudnym. Z rynsztoków cuchnęło. Im dalej od centrum, tym domy miały bardziej podupadły wygląd. Budynki na Pradze były wiekowe.

Nawet ludzie, zda się, należeli do innej generacji. Ich ubiory pochodziły jeszcze z czasów króla Stanisława Augusta. Szewcy reperowali obuwie siedząc na dworze stare, pomarszczone kobieciny o zbielałych włosach krzątały się okryte zniszczonymi chustami i szerokimi fartuchami sięgającymi po czubki trzewików. Psy leżały z wyciągniętymi łapami i ziewały szeroko. Na niskich, porośniętych mchem dachach siedziały koty. Sparaliżowany człowiek, mający na nogach grube skarpety zamiast obuwia, leżał na ławie w pobliżu płotu. Z kościoła rozbrzmiewał głos dzwonu. Pojawił się skądś karawan, wokół którego zebrała się garstka starych kobiet, żegnających się znakiem krzyża i szepczących do siebie.

Wtem Azriel zobaczył coś tak niespodziewanego, że nie mógł uwierzyć własnym oczom. W, pobliżu fabryki, koło drewnianego słupa latarni, stała jego córka Cyna i rozmawiała z jakimś mężczyzną w butach z cholewami i czapce na głowie. "Mam przywidzenia!" – przemknęło mu przez myśl. Omnibus przystanął. A jednak to Cyna! Azriel z trudem się powstrzymał, aby na nią nie zawołać. Czy została ulicznicą? Poczul, że się czerwieni. Powstał, jakby zamierzał wysiąść. Nagle zrozumiał: Cyna jest członkiem grupy Proletariat. Usiadł z powrotem oniemiały. Mógłby się po niej spodziewać wszelkiego rodzaju głupstw, ale nie czegoś podobnego. Jest taką egocentryczką. Dlaczego mieliby ją interesować robotnicy i chłopcy? Jak to się stało, że jej nigdy nawet nie podejrzewał o wstąpienie do tej organizacji. Tak się dać wystrychnąć na dudka! Czuł wstyd za siebie, za nią, za Olgę. Kto wie, co też ona przechowuje w domu? Mogła narazić na niebezpieczeństwo całą rodzinę!

Dojechał do celu podróży i wręczył paczkę Janowi Popielakowi. Potem wsiadł do dorożki i polecił jechać do domu. Cyna na pewno straciła już dziewictwo.

Towarzysze uznają wolną miłość.. Jechał jak ogłuszony.

Cyna lubiła czytywać Alfreda de Musseta i Baudelairea, podziwiała Byrona

i Leoparddego! Czy wszystko to było udawane? Kilka ostatnich miesięcy znajdowała się w ponurym nastroju, krytykowała sufrażystki i wykształcone kobiety. Chodziła jednak na wybrane przez siebie kursy i mówiła, że zostanie pielęgniarką. Znalazła ucznia, któremu dawała korepetycje. Jedno tylko powinno było wzbudzić jego podejrzenie: brak wszelkiego zainteresowania strojami.

Zadawały ją zakieci i palta, których nie nosiła już Olga. Czego więc innego mógł się spodziewać? Jego córka zaledwie знаła alfabet hebrajski. Wszystkiego ją uczył z wyjątkiem judaizmu. Sam jej dawał przykład, jak uniknąć własnego dziedzictwa. W gimnazjum, do którego chodziła, nie lubiła nielicznych uczennic Żydówek, które do niego uczęszczały, d chełpiła się swym aryjskim wyglądem... Wszak niejednokrotnie ujawniała wrogi stosunek do Żydów. Taka jest jego córka, wnuczka rabina z Jampola. Jak do tego doszło? Azriel uśmiechnął się z goryczą. W tygodniku hebrajskim czytywał stale artykuły dotyczące edukacji, a sam wychował ignorantkę. Zresztą i autorzy tych publikacji nie zaszczepiali swym dzieciom żydowskiego wychowania.

Wszyscy oni byli jednacy w swych poglądach – Izraelici, syjoniści, radykałowie. Przypomniał mu się aforyzm z książki Najlepsze perły: "Dzieci stanowią tajemnicę ukrytą w sercach swych rodziców." Dzieci dają świadectwo hipokryzji swych ojców...

Wróciwszy do domu poszedł od razu do pokoju Cyny: drzwi były zamknięte na klucz. Znalazł go, otworzył drzwi i zaczął przeszukiwać szafkę na książki. Ani śladu jakiegóś nielegalnej literatury! Daremnie przeszukał szuflady komody i biureczka, nawet podniósł poduszkę na łóżku.

Nagle materac wydał mu się zbyt wypchany. Podniósł prześcieradło i pomacał go wewnątrz wyczuł papiery i twarde przedmioty. Zaczął działać jak policjant przeprowadzający rewizję w czyimś domu. Wyjął scyzoryk i rozpruł materac: w środku znalazł broszurki i ulotki.

Nagle uwagę Azriela przyciągnął stojący w kącie pakunek owinięty w papier. Był tak ciężki, że z trudem go podniósł. Wewnątrz znajdował się karabin i naboje. Po raz pierwszy w życiu Azriel dotknął śmiercionośnego narzędzia i zdumiał się jego

ciężarem. Nie umiał się z czymś takim obchodzić i obawiał się, aby karabin nie wypalił. Pot mu wystąpił na czoło. Co należało zrobić z bronią? Gdzie ją ukryć? W razie schwytania z karabinem zgniłby w więzieniu lub zawisł na szubienicy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

I

W wigilię dziewiątego dnia miesiąca Aw olbrzymiał lśniąca tarcza słońca poczyniała zachodzić za spiętrzone chmury wyglądające "jak żarzący się węgiel. W Nowym Dworze i Zakroczymiu ławki w bóżnicach już przewrócono na boki na znak żałoby. W menorach paliła się tylko jedna świeca. W żydowskich domach przygotowywano ostatni posiłek przed postem: chleb posypany popiołem. i jajko na twardo. Mężczyźni i kobiety mieli wkrótce zdjąć obuwie z nóg i w samych tylko pończochach przystąpić do czytania Trenów Jeremiasza. U Olgi natomiast szykowano się do balu. Wielu zaproszonych gości przyjechało wczesnym rankiem, aby zapolować w lasach dziedzica Sadowskiego. Panie udały się na przejażdżkę łodzią po Wiśle, dnia tego gładkiej jak lustro. W kuchni przygotowywano potrawy w ogromnych rondlach i garach. Na dziedzińcu całe prosię piekło się na rożnie.

Poprzedniego dnia zarznął je służący Antoni. Kaczki i gęsi rumieniły się w piecach. Kobiety przygotowywały zakąski i desery. Rozchodził się zapach mięsiwa i ryb, pulpetów i knedli, pietruszki i papryko, cynamonu i szafranu, pieprzu i goździków. Olga przyszła do kuchni, by popróbować każdego dania: tu brakowało soli, tam przyprawy korzennej, gdzie indziej ziół. W jadalni nakryto już do stołów: obrusy lniane d serwetki, srebro, porcelanowe talerze i kryształowe kieliszki. Dzbany i karafki napełnione winem i likierami odbijały barwy zachodzącego słońca. W salonie wszystko zostało przygotowane do tańców. Muzykanci stroili instrumenty. Otworzono fortepian. Azriela nie było.

Olga wzdragała się przed obliczeniem kosztów tego balu, lecz przynajmniej zjawili się najważniejsi goście: córki Wallenberga, pani Malewska i jej młodsza siostra Pola, ze swoimi mężami w fotelu pod drzewem zapadł w drzemkę emerytowany generał. Pułkownik artylerii, naczelnik powiatu, dowódca pułku, naczelnik poczty i kilku oficerów oraz ziemianie z okolicy wybrali się na polowanie do lasu. Zjawił się nawet ksiądz proboszcz. Przed domem stało kilka bryczek,

faetonów i szereg powozów.

Stangreci lokaje zbijali bąki, prowadząc ze sobą rozmowy i zerkając na wiejskie dziewczuchy pomagające w kuchni. Zabito starą krowę o wyschłych wymionach, natomiast inne krowy pasły się na łące opędzając się od much ogonami. Tylko drób został zdziesiątkowany, a wykopany za kuchnią dół na odpady napelniły krwawe łebki, łapy, skrzydła i wnętrzności przyciągające chmury much. Słońce dopiero co się skryło za horyzontem, a już na firmamencie ukazał się księżyc w swej trzeciej fazie i razem z nim jasna gwiazda. W miarę jak się ściemniało, Olga zaczęła się niepokoić o myśliwych, którzy jeszcze nie wrócili. Wkrótce jednak zjawili się ze swymi trofeami upolowali kilka zajęcy, bażanta, parę dzikich kaczek.

Zmęczone psy wlokły się z opuszczonymi pyskami, niektóre utykały. Myśliwi nieśli dubeltówki jak laski. Jedni przystanęli przy studni chcąc się obmyć, inni poszli się przebrać wprost do swych pokojów. Natasza siedziała na balkonie z nowo poznanym młodym porucznikiem.

Pochyleni nad sztambuchem odczytywali wiersze wpisane przez jej przyjaciółki i kolegów. Porucznik udał, że chwilę się zastanawia, po czym zwilżywszy koniuszkiem języka czubek ołówka, wpisał wiersz, który miał w pogotowiu dla wszystkich znajomych pańienek:

Do serca mojego Przenika twój wzrok, Twój czar Mąci mój spokój –
Odchodzisz, wdzięczna Jak młoda łania, A cóż ja pocznę Bez twego widoku?

Nagle rozległ się przenikliwy krzyk. Wywróciła się łódź na Wiśle. Panie tonęły. Wśród mężczyzn powstało gwałtowne poruszenie. Myśliwi zostawili dubeltówki i pośpieszyli nad rzekę, tam zrzuciwszy mundury popłynęli szybko ku łodzi. Na szczęście woda nie była głęboka: i wszystkich uratowano. Służba dostarczyła na brzeg suchą odzież i koniak. Jedne panie się śmiały, inne płakały... Niektórzy goście uważali, że należałoby bal odłożyć, lecz orkiestra zaczęła już grać i puszczono race sztucznych ogni. Oficerowie strzelali z pistoletów na wiwat. Nastąpiło coś w rodzaju bachanalii. Wszyscy się popili. Podczas obiadu zapanował harmider, jedni goście siedzieli, inni stall Ordynans, ratujący panie z rzeki, wmieszali się w grono swych zwierzchników.

Jeden z oficerów, postradawszy buty w rzece, tańczył w skarpetkach. Te same kobiety, które niedawno wołały rozpaczliwie o pomoc, już się zaśmiewały beztrzesko.

Lekarz wojskowy Iwanow poprosił o zajęcie miejsc przy stole. Olga z trudem powstrzymywała łzy. Wreszcie zapanował jaki taki ład. Doktor Iwanow wznosił toast na cześć gospodyni, wszyscy wołali: "hura" i "wiwat". Po obiedzie tańczono nadal, ale już w salonie.

Doktor Fiodor Pietrowicz Iwanow tańczył z Olgą. Był to mężczyzna powyżej pięćdziesiątki, olbrzym, prosty jak świeca, o włosach siwiejących przy skroni i prostokątnej twarzy. Miał krótki nos i niebieskie, nieco za szeroko rozstawione oczy. Nosił order, przyznawany prawie wyłącznie zawodowym wojskowym, który dostał za udział w wyprawach do Azji Mniejszej. Urodził się na Uralu, a przeniesiono go do Polski za pojedynkę z oficerem wysokiej rangi. Doktor Iwanow był kawalerem, żył z kobietą przywiezioną z Rosji. Wiedziano w okolicy, że doktor nie bierze łapówek, niemniej miał względy dla poborowych Żydów, zwłaszcza młodych chasydów o zapadłych piersiach i skrzywionym kręgosłupie. Mogli liczyć na to, że otrzymają od niego niebieskie lub białe kartki zwalniające z wojska.

W latach żałoby po Andrieju i później w czasie współżycia z Azrielem, który nie znosił widoku obcego męskiego ramienia otaczającego jej kibić, Olga unikała tańców i prawie o nich zapomniała. Poza tym przyszły nowe, modne tańce. A mimo to puściła się w tany z doktorem Iwanowem. Prowadził ją jak tancmistrz, kierując z uwagą jej krokami. Biła od niego siła fizyczna i znać było wojskową tresurę. Azriel natomiast zawsze przekazywał jej własny niepokój, kompleksy i poczucie winy. Sprawił, że i ona zaczęła się wszystkiego obawiać. Usiłował ją przywrócić światu pojęć i wierzeń, od którego się odsunęła.

Po wszystkich trudach przygotowań do balu i niefortunnych wydarzeniach dobrze było znowu zatańczyć i znaleźć się w ramionach kogoś umiejącego tak doskonale się zachować. Nieco dalej od innych tańczyła Natasza z porucznikiem, który się wpisał do jej albumiku. Ileż to razy z nim tańczyła?

II

Mimo niefortunnego początku bal się udał, tańczono do samego świtu. Olga odnowiła dawne znajomości, otrzymała zaproszenia, zarówno mężczyźni, jak kobiety obdarzali ją niezliczonymi komplementami. Polscy panowie, zazwyczaj nachmurzeni w towarzystwie Rosjan, zapomnieli chwilowo o dawnych urazach. Olga trzykrotnie tańczyła z Iwanowem, czyli więcej, niż wypadało doktor wspomniał o złożeniu jej wizyty w Warszawie. Słońce już świeciło wysoko, kiedy odjechał ostatni gość. Olga przeszła do sypialni, rzuciła się na łóżko w sukni balowej i przespalała do godziny jedenastej.

Jako mała dziewczynka też tak zasypiała w wieczór Pesach po zadaniu czterech pytań i wypiciu tradycyjnych czterech pucharków wina.

Następnego dnia w Topólce był wielki ruch i pakowanie. Natasza i Kola niedługo musieli wracać do gimnazjum, Misza zaś do szkoły. Trzeba było posprzątać po gościach i przygotować się do drogi powrotnej. Olga miała zrobić różne zakupy w Zakroczymiu, ale dopiero po wjeździe do miasteczka zorientowała się, że to dziewiąty dzień miesiąca Aw.

Zdjąwszy obuwie na znak żałoby, Żydzi chodzili w przydeptanych pantoflach i nędznych chałatach chłopcy rzucali cierniami w brody starszych mężczyzn. Kobiety miały niemyte, zasmucone twarze, głowy obwiązały brudnymi chustkami. Przez otwarte drzwi domostw Olga widziała stare kobiety siedzące na stołkach i kiwające się nad żałobnymi trenami. Potargane dziewczęta krzątały się w kuchniach. Choć świat się posunął naprzód, w Zakroczymiu wciąż oplakiwano świątynię zburzoną przed dwoma tysiącami lat. Wiele sklepów już zamknięto, w innych handlowano za przymkniętymi okiennicami. Olga zrobiła zakupy i stwierdziła, że mimo przypadającego tego dnia postu musi się targować, aby nie przepłacić. Z pokoików na zapleczu wyłaniali się chłopcy w chałatach pokrytych pierzem. Mieli blade twarze, rozwiane pejsy i zbrukane tałesy. Trzymali się pochyło, jakby przygarbieni wiekiem, a w oczach ich już się odbijała udręka prześladowań. Przez otwarte drzwi widać było nie posłane łóżka z nieświeżą pościelą. Cuchnęło gnijącymi odpadkami i i

nocnikami. Roje much brzęczały nad każdym naczyniem z żywnością. Kurz zalegał wszędzie.

Więc to jest judaizm, za którym tęskni Azriel. Wyszedł z niego i do niego pragnie wrócić. "Ale to nie dla mnie – myślała. – Nie dla mnie i nie dla moich dzieci!" W drodze powrotnej przejeżdżała obok kirkutu już zdążyła zapomnieć obyczaje żydowskie. Zawodzące kobiety leżały wyciągnięte na grobach. Kazała furmanowi zatrzymać się na chwilę. Widocznie odbywał się pogrzeb.

Gromada Żydów z pochylonymi głowami stała wokół grobu. Ktoś odmawiał kadisz. Dała znak furmanowi, aby ruszał. Na cmentarzach chrześcijańskich kwiaty przystrajały groby, tutaj zaś wszystko było nagie, po azjatycku opustoszałe.

"Nienawidzą tego, nienawidzę jak Śmierci – wyszeptwała. – Wolalabym umrzeć niż wrócić do tego nędznego żywota!" Opuszczenie Topólki nie było sprawą prostą.

Wynajęcie rządcy nie opłacało się. Pozostał tam stary wieśniak, karbowy, nie można było jednak na nim polegać. Olga obawiała się, że krowy albo nie przetrzymają zimy, albo chłopci je po prostu pozarzynają.

Właśnie kopano kartofle, lecz nie było mowy o ich sprzedaży. Zainwestowane przez nią pieniądze nic nie przyniosły. Zastanawiała się, jak mogła tak się pomylić, i zrzucała winę na Azriela. Człowiek, który nie wie, jaką ma wybrać drogę postępowania, zbija z tropu i swoje otoczenie. Topólka w innych rękach nie przynosiłaby strat. Gdyby w niej przebywać na stałe, mogłaby z czasem przynosić dochód. Skoro jednak trzeba się martwić o każdy rubel wydany w Warszawie, nie można utrzymać takiej posiadłości. Uprawianie roli to zajęcie nie dla Żydów, oto cała prawda. Gdyby ktoś taki jak doktor Iwanow miał Topólkę, przekształciłby ją w rajski ogród.

Nazajutrz Olga, dzieci i służąca wsiadły do powozu. Za nimi jechał wóz z bagażem. Znów przejeżdżali przez Zakroczym. Żydówki siedziały na gankach i cerowały skarpetki. Z domu modlitwy dochodziły słowa Tory. Minał ich chłopiec o długich pejsach z modlitewnikiem w ręku. Kola wskazał na niego i powiedział:

– To Żyd.

– Tato mówi, że i ja jestem Żydem – odezwał się Misza.

- To prawda, jesteś.
- Dlaczego nie noszę pejsów tak jak ten chłopiec?

Natasza roześmiała się.

- Jeszcze poczekaj.
- Co to znaczy Żyd?
- Judaizm to religia.
- Czy to prawda, że Żydzi to diabły?

Natasza i Kola roześmieli się. Olga spojrzała na nich karcąco.

- To nieprawda, kochany Miszo, Żydzi to ludzie tacy jak inni.
- Dlaczego żydowscy chłopcy muszą wychodzić z klasy jak jest lekcja religii?
- Ponieważ ich religia jest inna.
- Jaka ona jest?
- No, taka sama, tylko trochę inna, – Żydzi nie wierzą w Syna Bożego –

wtrącił Kola. – Żydzi zabili Boga.

- Czy można zabić Boga?

– Przestańcie pleść głupstwa – powiedziała gniewnie Olga. – Dzieci nie powinny dyskutować o religii.

- Dlaczego nie?

Natasza się uśmiechnęła, Olga jednak widziała, że córkę zaprzatają inne sprawy. Zakochała się w poruczniku który wpisał się do jej sztambucha.

“No cóż, nic na to nie poradzę. Każdej kobiecie to się zdarza.” Olga miała dziwne uczucie, jakby w ciągu ostatnich tygodni grunt jej się usuwał spod nóg. Poprzedniej nocy nagle się obudziła i już nie mogła zasnąć. Przyszła jej do głowy naiwna myśl: “Łóżko to przecież tylko parę desek, łatwo więc z niego wypaść,” Wiedziała, że to dziecinada, lecz w ciemności myśl ta nabrała niesamowitego znaczenia. Wreszcie wstała z łóżka i postawiła krzesła po obu jego bokach...

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Szajndł zmarła w połowie października. Przyszła depesza z zawiadomieniem o jej chorobie. Azriel natychmiast pojechał do Pruszkowa. Miała obustronne zapalenie płuc. Azriel i lekarze miejscowi zrobili wszystko, co było w ich mocy, nie udało się jednak jej uratować. Umarła dziewiątego dnia od zachorowania, a w ciągu ostatnich pięciu dni życia Azriel nie odchodził od jej wezgłowia.

Kalman nie był w stanie przyjechać na pogrzeb córki.

Przeszedł operację ruptury i znajdował się w Szpitalu Żydowskim. Cypełe i Jochewed przyjechały do Błonia, gdzie pochowano Szajndł. Jochewed wyglądała jak staruszka. Wraz z nią przybyła jej córka i dwie synowe.

Cypełe zjawiała się ze służącą Kajlą. W czasie choroby Szajndł nie zdradzała żadnych oznak zaburzeń umysłowych. Mówiła z sensem i skarżyła się jak osoba w pełni poczytalna. Tylko szeroko rozwarłe oczy wyrażały obawę przed zbliżającą się śmiercią. Azriel musiał jej przyrzec, że wraz z Miszą będzie odmawiał kadisz, lecz ani razu nie wspomniała Józka i Cyny. W przeddzień śmierci Szajndł poprosiła Azriela, aby wspólnie z nią odmówił wyznanie wiary. Nie miał modlitewnika, pamiętał jednak codzienną modlitwę "Zgrzeszyliśmy"...

Wypowiadał słowa, a Szajndł je powtarzała, usiłując bić się w piersi wychudłą ręką. Znała na pamięć modlitwę odmawianą przed pójściem spać i tę, którą odmawiano podczas zapalania świec. Leżąc powtarzała uświęcone słowa, drzemała, znów się budziła i dalej szeptała modlitwę. Ostatniego dnia została poddana operacji. Chirurg wyciął kawałek żebra, aby usunąć ropę I z płuc. Było już jednak za późno. Szajndł otworzyła oczy i z ostatnim tchnieniem spytała Azriela:

– Czy przynajmniej dostałeś coś do zjedzenia?

Bractwo Pogrzebowe w Błoniu żądało trzystu rubli za miejsce na cmentarzu. Azriel nie miał takiej sumy, więc A Cypełe, żona rabiego, zastawiła kolczyki, aby mu pomóc. W Błoniu nie było zwolenników rabiego z Marszynowa, toteż zażądano wysokiej opłaty. Do dnia pogrzebu zwłoki Szajndł, okryte czarnym prześcieradłem, przechowywano w przytułku dla ubogich. Ułożono je na podłodze, zwracając

stopami ku drzwiom. Przy głowie, spoczywającej na wiązce słomy, zapalono dwie świece w glinianych lichtarzach. Kobiety z Bractwa Pogrzebowego szyły całun siedząc na ławce.

Nie używały nożyc do tej roboty, tylko darły płótno przeznaczone na całun i fastrygowały szerokimi ściegami. Szybko więc wykonały długie reformy i kaptur.

Na tej samej płycie kuchennej, na której grzano wodę do obmycia zwłok, kobiety z przytułku gotowały swym dzieciom kaszkę. Sufit w pomieszczeniu był tak czarny jak w łaźni. Na podłodze leżały sienniki wypchane słomą, a na nich spoczywało kilka kalek. Po oczyszczeniu oraz nałożeniu całunu ułożono zwłoki Szajndł na noszach i czterech mężczyzn zaniósł je na odległy kirkut. Śnieg zaczął padać. Jochewed szła prowadzona przez córkę i synową. Cypełe wspierała się na Kajli. Azriel chciał wziąć ze sobą Miszę, niestety chłopak był akurat przeziębiony.

Śnieg się wzmagał. Mężczyźni przystawali co pewien czas i przekładali drążki na drugie ramie. Na cmentarzu grabarz od razu przystąpił do kopania grobu. Azriel stał odrętwiały. Ile czasu minęło od dnia ich zaślubin?

Przeżywał na nowo całą przeszłość: święto Symchat Tora, kiedy Szajndł miała na głowie tykwę ze świeczkami i pociągnęła go za pejs wołając: "Jestem królową Jampola", akt ślubny spisany w majątku Kalmana, zaproszenie w odwiedzinach do teściów, podczas których on i Mejer-Joel prowadzili dysputę na temat dybuka, wreszcie wesele... Miał wrażenie, że to wszystko działo się za ledwie wczoraj. A tymczasem w tym okresie tyle rzeczy przytrafiło się Szajndł: porody, choroba umysłowa, całe lata w zakładzie i śmierć. Pochlipywanie Cypełe przeszło w tłumione łkanie. Jochewed wyrażała żal jęczącym głosem na modłę starych kobiet:

– Tak Wcześniej! Już wszystko skończone! – zawodziła. – Zgasła w kwiecie wieku, biada nam!

Najpiękniejsza z całej rodziny. Świeciła jak słońeczko.

Dlaczego się to stało? Była nabożną i świątobliwą niewiastą! Matko, ty wiesz, że ona wraca do ciebie.

Święci aniołowie prowadźcie ją. Nie powinna ponosić kary! Już odcierpiała za winy... – Od czasu do czasu Jochewed rzucała mordercze spojrzenia na Azrieia.

Nadal się na niego gniewała, przekonana, że to mąż-heretyk jest odpowiedzialny za śmierć Szajndł.

Grabarz wzdychał i kopał. Ziemia już podmarzła.

Robak wił się w wykopanej ziemi. Na dnie grobu umieszczono dwie deski. Podniesiono ciało Szajndł i położono między deskami, potem zasypano ziemią.

Grabarz recytował ustępy z Pisma. Azriel odmówił kadisz. Na powstały kopczyk ziemi zaczęły padać płatki śniegu. Kilka obcych kobiet uczestniczyło w pogrzebie.

Azriel dopiero teraz je spostrzegł. Stały zgarbione, odziane w grube chusty, z grudkami błota przylepionymi do obuwia i mruzczały modlitwy. Jedne załamywały ręce, inne wyciągały je po jałmużnę. Wrona, siedząca na czubku brzozy, spoglądała ponad mogiły i nagrobki, poza ogrodzenie cmentarne, daleko, w białą przestrzeń. Na cmentarz przybyła i pani Szumkin, opiekunka Szajndł.

Przekuśtykała całą drogę opierając na lasce.

Powiedziała Azrielowi:

– Nie powinien pan zaznać więcej smutku... – i wybuchnęła płaczem.

Widocznie przyzwyczaiła się do Szajndł, do zakładu i jego personelu.

Zwyczajowo siedem dni żałoby obchodzi się w domu zmarłego. Wszakże ani Cypele, ani Jochewed nie mogły dłużej pozostać. Rabi chorował, Cypele nie chciała go zostawić samego. Siostry wynajęły sanie i pojechały do Marszynowa. Azriel wrócił do Warszawy. Miewał dawniej chwile, kiedy skłaniał się do wiary w nieśmiertelność duszy, lecz ten dół, te bryły gliniastej ziemi pomieszane z korzeniami, w której wiły się robaki, przecięły wątłą błonkę jego wiary. Dokąd podąży dusza Szajndł? W przestworza? Dobrze się dzieje robactwu wylęgniętemu wprost w mogile. Smutek Azriela nie zmalął po pogrzebie. Częstka jego życia spoczęła w grobie Szajndł. Zapamiętał jej skargi w początkowym stadium choroby, że to on doprowadza ją do szaleństwa. Może gdyby pozostał wiernym wyznawcą judaizmu, żyłaby nadal i była zdrowa. "No cóż, jestem pełen grzechu i brak mi siły woli, aby samemu się ratować"... Osłabł wskutek bezsenności i odrętwiał z żalu, a mimo to siedzący w nim diablik perswadował: nie będzie teraz obciążony

wydatkami żony na utrzymanie Szajndł i jej opiekunki. Będzie mógł spłacić długi zaciągnięte na Topólkę. Własne myśli wydawały mu się wstrętne.

Splunął i mruknął:

– Wampir ze mnie.

W domu czekała go nowa tragedia. Olga płacząc rzuciła mu się na szyję. W pierwszej chwili zadziwił się mniemając, iż chce mu wyrazić ogromne współczucie.

Wiedział jednak, że śmierć Szajndł nie mogła jej aż tak dotknąć. Wkrótce się wyjaśniło, że rozpacz Olgi nie ma nic wspólnego z Szajndł. Natasza, zaledwie szesnastoletnia panienka, uciekła z porucznikiem poznanym na balu. Zostawiła list do matki. Olga wręczyła go Azrielowi. Natasza pisała, że kocha Fiodora nad życie i wyjeżdża z nim do miasta, w którym przebywa jego pułk. Kocha matką, Azriela, Kolą, Miszę, nawet służącą Malwinę, ale bez Fiodora nie mogłaby ani chwili istnieć.

Każdy moment życia bez niego jest gorszy od śmierci...

Prosiła matką, aby jej nie szukała i nie zawiadamiała policji. Poślubi Fiodora, kiedy się znajdą na miejscu. W istocie rzeczy żyją już jak mąż i żona.

Natasza kończyła List całym rzędem kropek i myślników.

Olga dowiedziała się od doktora Iwanowa, że Fiodor dostał przydział do pułku gdzieś w Taszkencie mogłaby spowodować postawienie młodego oficera przed sądem wojskowym i odzyskać siłą swą nieletnią córką. Nic takiego jednak nie uczyniła. Natasza ściągnęła dyshonor na matką i przestała być jej dawną córeczką. Olga płakała. W liście Natasza przyrzekła napisać, ale minęło kilka tygodni bez wiadomości. Czy poślubiła swego uwodziciela? Żyła nadal, a może umarła? Azriel pocieszał Olgę, jak potrafił, lecz ona nie przyjmowała słów pociechy. Wszystko poświęciła dla dobra córki. Tak jej się odwdzięcza? Niełatwo było ukryć fakt ucieczki.

Koleżanki Nataszy przychodziły i dopytywały się o nią.

Kola płakał, brakowało mu siostry.. Misza chciał wiedzieć, dokąd wyjechała. Olga musiała wynajdywać dla sąsiadek coraz nowe historyjki. Natasza wyjechała do szkoły za granicę celem dokończenia edukacji. Ale do jakiej szkoły? Jaki jest jej

adres? Koleżanki wymyśliły historię o porwaniu Nataszy i sprzedaniu jej przez handlarzy żywym towarem do Buenos Aires. Olga wysłała depezę do pułku w Taszkencie. Nie dostała odpowiedzi. Zaczęła przebąkiwać, że sama po córkę pojedzie. Przypuśćmy nawet, że ją znajdzie?

Dziewczyna nie mogła przecież nadal mieszkać z nimi pod jednym dachem. Może nawet zaszła już w ciążę lub nabawiła się wenerycznej choroby. Olga nie decydowała się też zostawić Koli i Miszy samych: nie miała nikogo do opieki nad dziećmi. Przywykła do myśli, że kiedyś Natasza wyjdzie za mąż, ale tego rodzaju ucieczka z domu stanowiła cios, z którym nie mogła się pogodzić.

Uważała swe życie za skończone niczego już nie mogła się spodziewać.

W ciągu dnia Azriel był zajęty. Nie miał dużej praktyki prywatnej, nadal jednak pracował zarówno u bonifratrów, jak i w Szpitalu Żydowskim. Po śmierci Szajndl jego wydatki zmalały, wciąż jednak spłacał pożyczki. Zadłużył się na kilka tysięcy rubli z powodu Topólki. Olga zaczęła wprowadzać oszczędności w wydatkach domowych.

Teraz, kiedy Cyna po kłótni z ojcem wyprowadziła się do wynajętego umeblowanego pokoju, a Natasza uciekła, mieszkanie robiło wrażenie, jakby je wymiotła zaraza.

Kiedy odezwał się któryś z domowników, echo rozchodziło się po pokojach. Olga porównywała siebie do postaci ojca w poemacie Słowackiego Ojciec zadzumionych. Kola był za duży do zabaw z Miszą i krążył po mieszkaniu jak zbłąkana dusza. Olga jeszcze bardziej o niego drżała. Kto to wie? Może jakieś ciemne moce i jego porwą. Nadmiernie się przywiązała do syna i nie potrafiła ukryć swego niepokoju. Azriel ostrzegał ją, że taką postawą może przynieść chłopcu tylko szkodę.

Przy obiedzie Azriel Olga siadywali jak żałobnicy. Służąca w milczeniu wносиła potrawy Olga straciła apetyt. Duże garnki kuchenne przestały się nadawać dla ich małej rodziny.

Zarówno Azriel, jak i Olga źle sypiali po nocach. Zapadali w sen i znów się budzili. Wydawało się, że zegar, w jadalni głośniejsze teraz cyka i wybija godziny

i półgodziny.

Przeszkadzały im obecnie odgłosy, których dawniej nie słyszeli: drzenie szyb podczas wiatru, trzeszczenie mebli, kroki lokatorów w mieszkaniu na górze, dzwonek do bramy pociągnięty przez spóźnione osoby. Gdzieś spod podłogi dochodziło skrobanie i szelest. Najpierw podejrzewali mysz, ale to nie była mysz nadaremnie łamali sobie głowy chcąc określić dokładnie, skąd pochodzi ten odgłos. Imaginacja sugerowała, że to bomba zegarowa, która może każdej chwili wybuchnąć, bądź też jakiś tajemniczy stwór, który się zakradł pod fundamenty domu, aby je naruszyć. Olga nie przestawała narzekać. Jak dalej żyć? Straciła całą ufność do świata.

Po co jej teraz Topólka? Z kim tam pojedzie w lecie? Ma wrażenie, że wszyscy za jej plecami śmieją się złośliwie, mówią o niej i cieszą się z jej hańby. Czy to jej wina? Czy nie wychowywała Nataszy jak należy? Topólka przyniosła jej same nieszczęścia. Gdyby nie było Topólki, Natasza spałaby teraz w sąsiednim pokoju. Może to wszystko jest karą bożą? A może to Andriej ją karze za to, że ktoś inny zajął jego miejsce.

Olga winiła również i Azriela. Jego niepokój wewnętrzny i zwątpienia udzielały się innym i doprowadziły do rozerwania spójni rodzinnej.

Po raz setny Azriel stwierdził, że nieszczęście przyciąga ludzi do religii i mistycyzmu. Olga spędzała bezsenne noce leżąc w łóżku i medytując. Czy te ciężkie doznania stanowiły karę za jej odszczepieństwo? Nie będąc nigdy wielce nabożną, nie była też heretyczką.

Wszak jeszcze na rok przed poznaniem Andrieja pościła na Jom Kipur. Kiedy jednak Andriej został chrześcijaninem ze względu na swe stanowisko, czyż mogła zachować wiarę izraelską? Czy Bogu nie wszystko jedno, w jakim języku chwali się Go, rosyjskim czy hebrajskim? Azali to możliwe, że Bóg faktycznie przebywa w niebiosach i sędzi wszystkich ludzi? Nawet jeśli tak, ona już dość wycierpiała. Może powinna pójść do wróżki? Słyszała o medium przepowiadającym przyszłość i ułatwiającym odnalezienie zaginionych przedmiotów.

Aczkolwiek dotychczas zwracała mało uwagi na wywody Azriela, obecnie zapragnęła poznać jego opinię.

Czy on naprawdę wierzy, że Bóg chce, aby ludzie modlili się po hebrajsku i nosili pejsy? Kto słyszał takie słowa z ust Boga? Wszak wszystkie religie uczą o Jego istnieniu, czy jest możliwe, że wymaga On czegoś innego od ludzi, zależnie od rasy czy epoki? W imię Boga ludzie wieszali innych ludzi, masakrowali ich, palili. Jak Azriel to wytłumaczy? A składanie zwierząt w krwawej ofierze?

Azriel wyjaśnił, że nie wierzy ani w objawienie, ani w tradycję i dogmaty religijne. Człowiek wciąż musi poszukiwać Boga. Cała historia ludzka to jedno wielkie poszukiwanie Boga. Oprócz tego człowiek musi służyć Bogu. Kiedy poniechał służenia Mu, zaczął służyć tyranom. Bez wątplenia judaizm zaszedł najdalej w poszukiwaniu Boga. Chrześcijaństwo, podobnie jak islam, to produkt pochodny judaizmu. Cierpienia doznane przez Żydów uczyniły z nich ludzi wyższych duchowo. Przez dwa tysiące lat Żydzi nie sprawowali władzy i nie imali się miecza. Nawet ich obecne usiłowania powrotu na ziemię Izraela są czymś wyjątkowym. W ciągu dwóch tysięcy lat setki narodów zasymilowało się z narodami o innej kulturze. Żydzi zaś wciąż usiłują powrócić na ziemię swych przodków. Już sam ten fakt jest dowodem, że Stary Testament zawiera boskie prawdy.

Natasza napisała z jakiegoś miejsca w Samarkandzie, że zerwała z Fiodorem. Wycofał się ze wszystkich przyrzeczeń i nie chciał się z nią ożenić. Zginęłaby dawno, gdyby jej nie wziął do siebie bogaty kupiec, wdowiec. Jest niemłody, ma zamężne już córki, mimo to Natasza zamierza go poślubić, aby dać ojca swemu dzieciątku. Olga wybuchnęła płaczem. Oto, na co przyszło jej małej córeczce! Ten kupiec to nawet nie Rosjanin, ma nazwisko azjatyckie. Jej Taszeńka nosi w swym łonie bękart. Mając lat siedemnaście, zostanie macochą dwóch starszych od siebie kobiet.

Azriel nawet nie próbował jej pocieszać. Miał dość swych własnych trosk. Mirele, zachorowała z kolei na suchoty.

Udało jej się wyjechać z kraju do sanatorium w Szwajcarii. Cyna zniknęła minęły całe miesiące bez słowa od córki. Liczba jego pacjentów malała, odmówili też płacenia honorarium w poprzedniej wysokości, jakby wyczuwając, że osłabły jego zdolności duchowe. Banki żądały zwrotu pożyczek wraz z procentami Podczas

bezsennej nocy odczuwał niemal fizycznie dotyk dłoni przeznaczenia. Czego od niego żąda? Czy wkrótce umrze? Czuł, że spadnie nań następny cios. Posprzeczał się z nim naczelny ordynator szpitala bonifratrów.

Chodziło o drobiazg, ale padły gniewne słowa, nie będące w żadnej proporcji do przedmiotu sprawy. Azriel widział, że zarząd szpitala chce się go pozbyć i szuka pretekstu. Dlaczego? Czy to wzrost nasilającego się ostatnio antysemityzmu? Wśród personelu lekarskiego było tylko dwóch Żydów. Azriel stwierdził ze zdumieniem, że dawni przyjaciele zaczęli się odnosić doń wrogo.

Nawet pielęgniarki zrobiły się zuchwałe. Co się stało? Czy ktoś go fałszywie oskarżył? Nie mógł nawet się bronić ani opowiedzieć o tym Oldze. O czym tu zresztą mówić?

Azriel czekał. Może tylko wyobraża sobie coś, czego nie ma. Czy cierpi na manię prześladowczą? Zaczęły się również intrygi w Szpitalu Żydowskim. Zdarzały się wypadki nie do wytłumaczenia. I dawniej od czasu do czasu obłąkany pacjent atakował lekarza, teraz jednak zaczęło się to zbyt często przytrafiać Azrielowi. Pacjenci podrzywali z niego i wygrażali. Tak jakby antagonizm ludzi zdrowych wywoływał agresję u ludzi upośledzonych na umyśle. W jaki sposób można wytłumaczyć taki obrót rzeczy? Czy to przypadek? Czy przyczyna tkwi w nim samym? Czy inni wykryli w nim coś takiego, czego sam jest nieświadom? Olga przeżywała podobne mąki.

Skarżyła się, że kupcy odnoszą się do niej nieuprzejmie.

Każą jej długo czekać, obsługując najpierw później przybyłych klientów. Niedbale pakują zrobione przez nią zakupy i liczą za nie nadmierne ceny. Sąsiadki, które zawsze wymieniały z nią ukłony, udają, że jej nie widzą.

Nawet dobroduszny Kola cierpiał. Koledzy go bili i obrzucali ubliżającymi przezwiskami. Nauczyciele stawiali niesprawiedliwe stopnie. Na dodatek Misza popadł w melancholię. Azriel nie potrafił wysnuć z tych faktów żadnej sensownej teorii. Nadal uznawał związek przyczynowy.

Olga zaczęła snuć wszelkiego rodzaju przypuszczenia: może nad Topólką zawisła klątwa, może Cyna rzuciła na nią czary. Azriel się rozgniewał. Od kiedy

zrobiła się taka przesądna? Olga jednak nie przestała mówić o tym częściowo do niego, częściowo do siebie. Jak Natasza potrafiła popełnić taki czyn wołający o pomstę do nieba? Nie leżało to w jej charakterze. A gdzie ona sama miała oczy? Jak mogła pozwolić, by za jej plecami ten Fiodor uwiódł Nataszę? Nie, to wszystko nie takie proste. Rzucono na nią urok. Żydówki zakroczymskie przypominały wyglądem wiedźmy. Stare chłopki z Topólki miały sępie oczy. Czy dorzuciły po kryjomu magicznego ziela do jej pokarmu? Diabły istnieją. Ona sama widziała dom, w którym straszyl zły duch. Znała dziewczynką, którą przeklęła macocha usta dziewczynki wykrzywiły się w zabią paszczkę. Olga pomyślała o własnej matce, może duch matki czuje się obrażony? Nigdy nie zapala świecy w rocznicę jej śmierci. Matka zmarła w roku przestępnym i nie wiadano dokładnie, kiedy przypada rocznica jej śmierci. Nagle nowa myśl przyszła Oldze do głowy: to Azriel ją obwinil przed rabim z Marszynowa, co spowodziło na nią klątwę. Ci święci cadykowie są pełni nienawiści i pałają pragnieniem zemsty.

Azriel wyśmiewał się z bzdur wymyślanych przez Olę, coś jednak z tego utkwiło w jego umyśle. Zaobserwował – nie po raz pierwszy zresztą – że szaleństwa utajone w ludzkim mózgu zawsze się ujawniają w momentach krytycznych. Pierwotne lęki nie zanikły. W każdym człowieku pozostaje ukryte pragnienie I czczenia bożków i uprawiania czarnej magii. Piąta Księga Mojżeszowa surowo przestrzega przed takimi zabobonnymi skłonnościami. Ktokolwiek ją napisał, musiał dobrze wiedzieć, że najgłębiej sięgającą chorobą duszy jest wiara w fatalizm.

Azriel czuł, że znajduje się na krawędzi klęski. Może lepiej się stanie, jeśli opuści miasto na pewien czas albo i na zawsze – musi dokądś wyjechać! Jak napisano w Talmudzie: "Zmienić miejsce to zmienić los." Pomyślał o Palestynie. Józiek nie jest gorliwym wyznawcą wiary, pozostał wszakże Żydem. Pisał ostatnio listy po hebrajsku i podpisywał się Uri-Josef. Ożenił się z Żydówką.

Dzieci jego kształcą się w szkołach hebrajskich. Pod wpływem chwili Azriel postanowił odwiedzić Józka.

Zobaczy się z synem i naocznie przekona się, czego dokonano w Palestynie. Nagle zrozumiał powód wszystkich ostatnich wydarzeń. Opatrzność przez nie

przemawia. Siły poruszające najodleglejszymi gwiazdami i najdrobniejszymi ustrojami nakazują mu wyjazd. Podobnie jak patriarcha Abraham, otrzymał nakaz: "Opuść swą ziemię." Wiedział, że nie uda mu się wytłumaczyć komukolwiek, nawet Oldze, swego postępowania. Niemniej jednak nie wątpił, że znalazł jedyne słuszne rozwiązanie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

I

Przy Czternastej Ulicy znajdowała się restauracja połączona z piwiarnią stanowiącą własność Herr Nelkego.

Był on wdowcem, zajmował mieszkanie na parterze własnego domu przy rogu Dziesiątej Ulicy i Alei 8.

Odnajął Klarze mieszkanie na pierwszym piętrze, składające się z trzech pokoi, w których grube dywany zaścielały podłogi, a ściany były zawieszona makatkami z wyhaftowanymi niemieckimi powiedzonkami w rodzaju: "Wstawaj wcześnie, pracuj pilnie, oszczędzaj pieniądze." Wisiały również portrety rodziców Herr Nelkego: oboje otyli, on w cylindrze, z bokobrodami, ona z grzywką i wysoko upiętą koąfiurą.

Herr Nelke również nosił bokobrody i palił fajkę z bursztynowym cybuszkiem i porcelanową lulką. W niedzielę jano uczeszczał do luterańskiej kirchy, a po powrocie do domu grywał na cytrze kilka niemieckich pieśni. Później przychodzili do niego goście. Pili piwo, zajadając pieczeń na dziko i klopsiki przygotowane przez starą służącą Frau Hanse, rozmawiali grzmiącymi głosami. Każdej niedzieli Klara się obawiała, że dojdzie między nimi do bójki. Obawy jej okazywały się płonne.

Rozchodzili się wcześnie. Herr Nelke, ubrany w sztruksową marynarkę i kamizelkę haftowaną złotem, stawał przed domem i wołał za nimi:

– Auf Wiedersehen, griiss Gott, danke schön.

Był równie nabożnym chrześcijaninem jak socjalistą.

Spory wśród gości dotyczyły artykułów zamieszczonych w niemieckiej gazecie socjalistycznej. Z ogłoszenia w tej właśnie gazecie Cypkin znalazł mieszkanie dla Klary.

W sąsiedztwie nie było Żydów. Tramwaj konny dowoził Cypkina wprost przed dom. Felusia zaczęła uczeszczać do szkoły. Po "umiłowanej zmarłej żonie" pana Nelkego pozostał szpinet i Klarze wolno było na nim grać. Mogła też korzystać

z kuchni, a Frau Hanse przygotowywała im lunch za niewielką opłatą. Mleczarz zostawiał mleko pod drzwiami. Ze sklepu kolonialnego dostarczano żywność.

Pobliski rzeźnik zaopatrywał nie tylko w mięso, lecz także w niemiecką cielecą kiełbasę, szynkę i serdelki.

Początkowo Aleksander dotrzymywał przyrzeczenia i dwa razy w tygodniu odwiedzał Klarę. Klara uczyła się tymczasem angielskiego na kursach wieczorowych, robiła szydełkiem serdaczek dla Felusi, czytała polskie i rosyjskie książki z biblioteki i szukała korzystnych okazji na wyprzedazach. Od czasu do czasu dla rozrywki jechała kolejką nadziemną do śródmieścia, mijając po drodze fabryczki, sale do gry w bilard, TÓżne warsztaty, biura, restauracje i dansingi. Na niektórych ulicach znajdowały się nie zabudowane place i nie wykończone budynki. Klarze wszystko się wydawało niezwykle w tym rozrzuconym szeroko mieście, rozrastającym się we wszystkich kierunkach. Współtowarzysze podróży kolejką nosili dziwaczne ubiory. Parowóz gwizdał, koła wagonów stukały. Miała wrażenie, że pociąg lada chwila spadnie na znajdujące się pod nim sklepy, wozownie, furgony pośpieszne i tłumy ludzkie dokądś zdążające w chłodzie, śniegu i błocie gęsto usianym końskim nawozem. Raz po raz dostrzegała Murzyna albo Chińczyka. Odnosiła wrażenie, iż ci ludzie są wygnańcami w swoistej amerykańskiej Syberii. Wszyscy się śpieszyli: kobiety i mężczyźni pracujący przy maszynach, rozkrzyczani gazeciarze, przechodnie.

Zamknęła oczy i poddała się ruchowi pociągu. Cud prawdziwy, że z tych wycieczek zawsze powracała cała.

W późniejszych miesiącach zimy spadły śniegi, jakich Klara nigdy dotąd nie przeżyła. Śnieg padał ciężki jak piach. Zniknęły pod nim szyny tramwajowe wiodące do donrn Cypkina. Jak tylko odgarnięto szuflami śnieg, nadchodziła nowa zawieja, której skutki gazety określały w calach pokrywy śnieżnej. Ciemności w ciągu dnia przypominały zaćmienie słońca, nocą zaś panowała czerń tak gęsta, że wprost namacalna. Miasto nawiedziła epidemia. Żona i dziecko Cypkina zachorowały.

Nieoczekiwanie liczba jego pacjentów tak wzrosła, że nie mógł ich wszystkich przyjąć. Rozczarowanie Klary Ameryką wzmogło się. Nie było tu kawiarni, gdzie

panie mogłyby przesiadywać godzinami, oddając się lekturze.

Z jej mieszkania do teatrów było zbyt daleko. Nie miała wspólnych zainteresowań z sąsiadkami–Niemkami.

Wieczorem żadne światła nie mogły rozjaśnić gęstego mroku miasta. Jedynym pocieszeniem były przychodzące od czasu do czasu listy od Saszy. Ale nawet i one się opóźniały z racji pogody. Odwiedziny Aleksandra sprawiały jej więcej udręki niż przyjemności.

Zaledwie wszedł, już zapowiadał, że nie może pozostać dłużej ani zjeść przygotowanego przez nią posiłku.

Obdarzał wprawdzie Felusię prezentami, mimo to odnosiła wrażenie, iż córka niewiele go obchodzi. Kiedy wracała do swego pokoju, bębnił palcami po stole i rzucał okiem na zegarek. Nawet w pocałunkach i pieszczotach czuło się wyraźne zniecierpliwienie.

Nie o czymś takim marzyła Klara. Ten pełen gonitwy Nowy Jork nużył ją bardziej od Jampola. Nie brakło wszelakich divertissements, wystaw, zabaw i dansingów, ale kobieta, zwłaszcza słabo znająca angielski, nigdzie nie mogła się pokazać sama. Być może lepiej by się urządziła, zamieszkując w dzielnicy żydowskiej.

Imigranci żydowscy spotykali się we własnym teatrze, na odczytach, dyskusjach i uroczystościach religijnych.

Nawet w zimie panował tam tłok. Ludzie się zbierali na dworze w grupki i rozprawiali, jakby to było lato. Istniały biura pośrednictwa pracy, herbaciarnie, restauracyjki w piwnicach, gdzie podawano domowe specjały i przygrywała muzyka.

Odbывały się też zebrania bratnich stowarzyszeń.

Sklepy były otwarte do późna stały przed nimi beczki śledzi, kwaszonych ogórków i kapusty. Z wózków sprzedawano wypiekany w domu chleb, drożdżowe ciasto, chałki, bajgielki, bułeczki posypane grubo makiem i ciastka.

W pasztecziarniach klienci zajadali parówki na gorąco z musztardą. Ulicą East Broadway tłumy posuwały się grupkami. Wszyscy zdawali się należeć do jednej rodziny. Każdy parowiec z Europy przywoził entuzjastów socjalizmu, brodatych

i długowłosych rewolucjonistów wzywających do poparcia walki o wolność. Zastępy nowo przybyłych imigrantów, zwanych frycami, napływały codziennie z zagranicy. W każdym mieszkaniu podnajmowano im pokój lub dwa, co trzecia zaś gospodyni przygotowywała posiłki stołownikom z miasta. Powstała obfitość szkół rabinackich i kabaretów, restauracyjek koszernych i biur podróży, lokali weselnych i biur pośrednictwa małżeństw.

Prostytutki wabiły mężczyzn do swych pokojów, szamesi nawoływali do synagóg w celu zebrania potrzebnego minjanu. W warsztatach robotnicy śpiewali nabożne i rewolucyjne pieśni. Wieczorami młodzieńcy i panny tańczyli w wąskich, oświetlonych gazowymi lampami pokojach. Każdy dzień był dniem święta. Ale Klara nie uczestniczyła w tym życiu. Wędrowała samotnie po ośnieżonych chodnikach. Ani razu nie przeszła wieczorem ulicą East Broadway obok domu Cypkina, aby zobaczyć, czy się świeci w oknach za zaciągniętymi kotarami.

II

Mróz nie ustępował. Felusia wyjechała w odwiedziny do szkolnej koleżanki. Szybko uczyła się angielskiego i już się amerykanizowała, nie szczędząc wysiłku, by się wyzbyć polskiego akcentu dochodziło do tego, że się naśmiewała ze słabej angielszczyzny matki. Pewnego popołudnia Klara wybrała się po zakupy. Chciała nabyć wełnę na czapkę dla Felusi i upominek pod choinkę dla Frau Hanse. W ostatnim liście do matki Sasza prosił o przysłanie fotografii. Potrzebowała i innych drobiazgów: igieł do cerowania, czegoś z bielizny osobistej, podwiązek, pióra do kapelusza. Włożyła futro z lisa, grube ciepłe skarpety i gumowe botki, ręce wsunęła do olbrzymiej mufki. Spędziła prawie pół godziny w wielkim magazynie przy ulicy Grand, a potem skierowała się do restauracji na Delancey, gdzie zamówiła flaki, krupnik, sztukamięs i herbatę z piernikiem. Kupiła wszystko, co chciała, z wyjątkiem odpowiedniego pióra. Po obiedzie dalej szperała po sklepach modystek i na wyprzedażach resztek. Następnie poszła do fotografa, który ją upozował w powozie zaprzężonym w drewnianego konia. Zwykle Klara się orientowała, jakim tramwajem należy jechać do domu, tym razem znalazła się jednak w nieznannej dzielnicy. Zrobił się wieczór, mróz się wzmógł. Ludzie poruszali się szybko, wydychając parę ustami i nozdrzami. Konie ślizgały się na ściętej lodem nawierzchni ulic, woźnice pokrzykiwali. Obok przejechały wozy strażackie z ogłuszającym hałasem. Klara zatrzymywała przechodniów pytając o kierunek, lecz podawali sprzeczne informacje. Doszła do Bowery i wtedy poradzono jej wsiąść do kolejki. Weszła po schodach na górę i czekała na pociąg. Wiatr zwiewał kapelusz, musiała więc przytrzymać rondo obiema rękami.

Chłód ją przenikał pomimo ciepłego ubrania. Mróz ostro szczypał w czoło, nie czuła nosa, oczy łzawiły. Na pewno zdarzył się jakiś wypadek na linii. Czekala piętnaście minut, kolejka nie nadchodziła, zeszła więc z powrotem na ulicę. Musiała gdzieś się ogrzać. Ręce jej zeszywniały, brwi aż kłuły od mrozu. Płatki śniegu na powiekach i rzęsach sprawiały, że widziała wszystko w tęczowych barwach. Naraz dostrzegła otwarty jeszcze sklep jubilerski. Postanowiła wejść i się rozgrzać. Może

nawet kupi jakiś drobiazg. Gęsta mgła przesłaniała jej oczy. Za kontuarami, w jaskrawym świetle lamp, stali mężczyźni. Jeden z nich majstrował przy puzderku na klejnoty, drugi oglądał jakiś przedmiot przez lupę. Klara chciała się odezwać po angielsku, zapomniała jednak akurat i tego nawet, czego się nauczyła.

Nagle usłyszała znajomy głos zwracający się do niej po rosyjsku:

– Czy mnie oczy nie mylą? Czy to naprawdę Klara Daniłowna?

Klara drgnęła. W blasku lamp zobaczyła mężczyznę z czarnym wąsikiem, w papasze na głowie, w rozpiętej szubie, spod której widać było jasny garnitur.

Otarła twarz chusteczką i powiedziała:

– Tak, jestem Klara Daniłowna.

– Klaro Daniłowno – wykrzyknął mężczyzna. – Jeśli takie spotkanie mogło się zdarzyć, to wszystko jest możliwe! Poznałem panią! Co za zbieg okoliczności!

Czyż madame mnie nie poznaje? – klasnął w dłonie.

– Oczy mi łzawią z zimna. Kim pan jest?

– Proszę usiąść, Klaro Daniłowno, i dać mi swoje pakunki. To wprost nie do wiary! Panie Szwarc, odłożymy naszą sprawę do jutra. Pani wygląda na przemarznąętą.

Właśnie tutaj panią spotkać! Nie wiem, czy pani mnie sobie przypomina, jestem Jasza Winawer – dodał zniżając jednocześnie głos.

Serce Klary aż podskoczyło. Tak, poznała go. To Jasza Winawer, sekretarz Mirkina. Człowiek, który napisał o niej oszczerczy list do Aleksandra. Spojrzała ku drzwiom, chciała uciec, lecz przecież on wziął jej zakupy! Nabrał tuszy, ale poza tym się nie zmienił, ta sama kwadratowa twarz, te same mongolskie oczy. Nos miał jak drewniany kołek. Robił wrażenie człowieka zamożnego. Na kamizelce zwisała złota dewizka, na palcu lśnił pierścień.

Klara usiadła na krześle. Młody ekspedient podał jej szklankę wody. Wypiła i podziękowała. W zziębniętych kończynach zaczynała krążyć krew, czuła mrowienie w czubkach palców. Odłożyła mufkę na kontuar. Właściciel sklepu mówił również po rosyjsku, wyjaśniła mu, że zabłądziła. Uśmiechnął się życzliwie.

– Jesteśmy ludźmi, nie mamy instynktu zwierząt. To się każdemu może

zdarzyć. Zresztą, jest pani dobrą znajomą pana Winawera.

– Klaro Daniłowno, sam Bóg panią tu skierował! – odezwał się Jasza Winawer, pochylając się nad nią. – Kto mógłby przypuszczać, że przebywa pani w Nowym Jorku? Nagle drzwi się otwierają i pana wchodzi niczym zjawa. Jak Boga kocham, cud prawdziwy! Coś takiego, czego się nie da przewidzieć... Dlaczego pani wędrowała po mieście w taką śnieżycę? Pójdziemy napić się herbaty na rozgrzewkę, a potem odprowadzę panią do domu.

Zabłądzić w taki wieczór jak dzisiejszy to prawdziwa tragedia.

Klara wreszcie odzyskała głos.

– Chciałabym wrócić do domu, to wszystko, czego mi trzeba.

– No dobrze, gdzie pani mieszka? Sprowadzę dorożkę. Ach, co za przedziwne spotkanie. Jaki zbieg okoliczności!

Wyszli na ulicę, ale nie było widać dorożki ani sanek.

Akurat nadjechał tramwaj zdużający w kierunku wschodnim. Jasza Winawer pomógł wsiąść Klarze, zapłacił za bilety i włożył je do szklanego pojemnika, aby dostać balety przesiadkowe. Będą musieli się przesiąść do tramwaju zdużającego na północ. Klara usiadła, Winawer wciąż trzymał jej pakunki z zakupami.

~ o ile wiem, poślubiła pani tego lekarza, jak on się nazywa?

– Nie, nie wyszłam za niego – odparła Klara sucho.

– Nie? Cóż więc pana robi w Nowym Jorku, jeśli wolno spytać? Ach, zadaje niemądre pytania. Tak się zdumiałem na pani widok, że plotę głupstwa. To moja czwarta podróż do Ameryki za interesami. Pracuję w biżuterii i futrach. Ten jubiler, u którego się spotkaliśmy, to mój klient. Z pewnością pani wiadomo, że Mirkin zmarł?

– Tak, wiem o tym.

– Żył, jak to się mówi, jak głupiec i umarł jak głupiec.

Był zresztą przyzwoitym człowiekiem, tylko nie miał za grosz rozsądku. Jego żona to nic dobrego, żyje nadal, a i dzieci w nią się wdały. Nieraz mu perswadowałem: "Borysie Dawidowiczu, niech się pan opamięta! Takie uganianie się za kobietami na stare lata niewiele warte." Po co mu były potrzebne? Człowiek

w jego wieku powinien był spisać testament, żeby nie zostawić wszystkiego swym wrogom, a figę przyjaciółom. Ale ludzie żyją po głupia mu..., No cóż, niech odpoczywa w pokoju. Miał i dobre strony charakteru. Ale co słyhać u pani, Klaro Daniłowno? Pani mi nie uwierzy, ale naprawdę myślałem o pani ostatnio, "Gdzie przebywa? – rozmyślałem. – Co się z nią dzieje?" W czasie podróży parowcem, na oceanie, rozszalała się straszna burza. Byłem przekonany, że nadszedł mój koniec, a wtedy różne myśli przychodzą do głowy. Takie nieoczekiwane spotkanie!

Niedługo wysiadamy, musimy się przesiąść. ni Następny tramwaj nadszedł szybko, wsiedli do niego Klara chciała zwrócić Winawerowi pieniądze za bilet, lecz portmonetka leżała na samym dnie mufki i nie mogła jej wydostać. Jaka dziwna sytuacja: od lat planowała zemścić się na tym człowieku, który zburzył jej wspólną przyszłość z Cypkinem, a oto on jej towarzyszy i otacza opieką. – Klaro Daniłowno, co się stało z pani doktorem? Czy się ożenił?

Klara poczuła przeszywający ból.

– Panie Winawer, wyrażam panu wdzięczność za odprowadzenie mnie do domu, ale nie jestem tak głupia, jak pan to sobie wyobraża.

Twarz Jaszy Winawera spoważniała.

–I Jak to pani rozumie? O czym pani mówi, Klaro Daniłowno?

– Doktor Cypkin pokazał mi list napisany przez pana.

Dobrze znam charakter pańskiego pisma.

– Co za list? Jakie pismo? Nie rozumiem pani.

– Dobrze pan rozumie. List, który pan napisał z Paryża do Aleksandra Cypkina. Oczernił mnie pan, nic zresztą przez to nie zyskując. ij Doprawdy, Klaro Daniłowno, nie wiem, co pani ma na myśli. To jakieś nieporozumienie. Nigdy nie napisałem do Cypkina żadnego listu dotyczącego pani. Myli mnie pani z kimś innym.

– Z nikim pana nie myślę. Był czas, kiedy gotowa byłam pana zastrzelić albo oblać kwasem solnym. Mój gniew już wygasł. Wraz z wiekiem zdajemy sobie sprawę, że n?e warto o nic robić zbyt wielkich historii. Ale pan mnie oszkalował, panie Winawer, oskarżył dla samej satysfakcji zrobienia mi krzywdy. Dlaczego?

– Co takiego uczyniłem? Kiedy? Mówię szczerze, Klaro Daniłowno, nie mam najmniejszego pojęcia...

– Niech pan nie udaje naiwnego. To pan wysłał list do Aleksandra Cypkina informujący go, że jestem z Mirkinem. Mam ten list u siebie, charakter pisma jest pański.

Jeśli pan sobie życzy, pokażę go panu. Posunął się pan nawet do użycia nieprzyzwoitych wyrażen. Ta kartka papieru jest dla mnie dowodem ludzkiej podłości.

– Nie, nie, po trzykroć nie. Padłem ofiarą fałszywego oskarżenia. Skąd taka pewność, że to moje własnoręczne pismo? Wie pani, co zrobimy? Zwrócimy się do najlepszego grafologa w Nowym Jorku, niech on wyrazi swoją opinię. Jeśli orzeknie, że to ja pisałem, zapłacę odszkodowanie w wysokości pięciu tysięcy rubli.

Nie, coś jeszcze lepszego, skoczę z Brooklyńskiego Mostu. Jeśli pani sobie życzy, złożę te oświadczenia przed notariuszem. Nie opuszczę Ameryki, póki się ta sprawa nie wyjaśni!

– Boże miłosierny, przecież to z całą pewnością pańskie pismo!

– Niech orzekną eksperci. Popełniałem różne grzechy, nigdy jednak nie denuncjowałem, a zwłaszcza kobiety. Skąd zresztą dostałbym adres Cypkina? Nie chcę źle mówić o zmarłym, czy jednak autorem nie był sam Mirkin?

– Znam charakter jego pisma.

– No cóż, prawda na wierzch wypłynie, jak się to mówi, tak jak oliwą. Zostanę tu choćby i parę miesięcy, aż się oczyszczę z zarzutów. A tymczasem przysięgam na wszystkie świętości, że nigdy niczego i do nikogo o pani nie napisałem. Musiałbym być nie tylko szubrawcem, ale i wariatem, by coś takiego zrobić.

J– Nic nie rozumiem., – Pani nie rozumie, lecz winę zrzuca na "mnie. Czy na liście jest mój podpis?

– Nie, to anonim.

– Anonim? Dlaczego więc pani mnie wybrała, a nie kogoś bezpośrednio zainteresowanego? Przecież to nie ze mną, a z Borysem Dawidowiczem była pani związana.

To prawda, że czasami miałem to i owo do zarzucenia pani postępowaniu, ale nie jestem ani Bogiem, ani aniołem:

J stróżem. Gdybym nie przestrzegał dyskrecji, ciekawym, ile małżeństw by się rozpadło! Jestem, jak pani wiadomo, I nieżonaty nikt nie słyszy więcej zwierzeń o stosunkach między małżonkami jak właśnie kawaler, po części dlatego, że umie trzymać język za zębami.

Na Boga, gdybym tak zaczął opowiadać wszystkie znane mi historyjki! Proszę mi wierzyć, Klara Daniłowno, rzucenie na mnie oskarżenia o zabójstwo mniej by mnie dotknęło. To tak, jakby mi pand napłuła w twarz! Klara siedziała przez chwilę bez słowa.

– Sama nie wiem, co mam powiedzieć – wybąkała wreszcie.

– Jeszcze dziś muszę zobaczyć ten list!

– Doskonale. Wprawdzie jest późno, lecz proszę wstąpić do mego mieszkania.

Nie mam zamiaru robić żadnego użytku z tego listu.. – Co pani rozumie przez robienie użytku? To kwestia honoru. Takie sprawy rozstrzyga się w pojedynkach.

Można popełnić zły uczynek i minio to nie mieć wyrzutów sumienia, są wszakże czyny, które przekreślają całe nasze życie. Każdy człowiek musi zachować swą godność. Mniemam, że Mirkin, choć nie chcę mu uwłaczać, podrobił moje pismo.

– Po cóż miałby to robić? Nie próbowałam go oszukiwać. Oznajmiłam mu z całą szczerością, że wszystko między nami skończone i że wyjeżdżam do Aleksandra.

Powiedział mi nawet, że jeśli do tego dojdzie, pojedzie ze mną.

– Dlaczego tego nie zrobił? Wiedziałem, że popełnia pani błąd, Borys Dawidowicz nie umiał utrzymać języka za zębami. Nie mam jednak zwyczaju wtrącać się w nie swoje sprawy. W ciągu ostatnich lat życia sprawiał wrażenie człowieka o zmaconym umyśle. Po cóż jednak miałby napisać taki paszkwil, tego nie potrafię zrozumieć. W każdym razie jestem niewinny. Żadne z nas nie będzie żyło wiecznie. Wszyscy staniemy przed Bogiem, ale nie życzę sobie obciążać – jak się to mówi – mego worka cudzym grzechem.

– Proszę pana o wybaczenie, jeśli jest pan niewinny.

– O, to nie wystarczy! Gdzie się znajdujemy, przy jakiej ulicy? Ach, dopiero przy Czwartej. Prawdę mówiąc, zawsze odnosiła się pani do mnie nieuprzejmie, ale nie ma na to rady, jeśli ktoś traktuje nas z góry. Ja też mam własną dumę. Nigdy wszakże nie skrzywdziłbym nikogo rozmyślnie.

Klara opuściła głowę.

– Obawiam się, że popełniłam straszną omyłkę.

– No cóż, wkrótce się przekonamy.

Umilkli na chwilę. Potem Jasza Winawer wyciągnął cygaro, włożył do ust, chwilę potrzymał i wyjął.

– Co się faktycznie stało, Klaro Daniłowno?

– Wszystko straciłam.

– Miała pani córkę?

– Mam ją nadal, Bogu dzięki. Jest tu ze mną.

– A doktor się ożenił?

– Oczywiście. Cóż innego mógł zrobić po takim liście?

– No dobrze, nie moja to wina. Biorę Boga na świadka.

Nie mam żony ani dzieci, nie mogę się na nich zaklinać.

Lecz przysięgam na pamięć mej zmarłej matki, że jestem niewinny!

– Wierzę panu.

Zakryła twarz mufką.

III

Klara czuła się zakłopotana, że o tak późnej porze wprowadza do mieszkania obcego mężczyznę. Wystarczyło, że Cypkin ją odwiedzał. Herr Nelke i Frau Hanse wiedzieli, że jest ojcem Felusi. Wizyta Winawer a może wzbudzić podejrzenia. Mogą nawet zażądać, aby się wyprowadziła. Na szczęście Frau Hanse nie otworzyła drzwi od kuchni, co zwykle robiła słysząc kroki w przedpokoju. Felusią już spała. Klara weszła na palcach do sypialnego pokoju. List znajdował się w szufladce komódki, obok łóżka dziewczynki. Klara wyciągnęła po ciemku szufladkę i namacała go wśród innych przedmiotów.

“Boże, co też mi się przydarza! – rozmyślała. – Przez całe lata żywiłam niesłuszną urazę do tego człowieka.

Gdyby tak wiedział, czego mu życzyłam!" Skoro więc nie Winawer, w takim razie sam Mirkin próbował ją zniszczyć. Jaki miał w tym cel? Dlaczego ludzie zawsze odnosili się do niej z taką nienawiścią?

Wróciła do saloniku. Futro i papacha Winawera leżały, na kanapie, on zaś siedział przy stole. Dopiero teraz Klara dostrzegła, że siwizna przyprószyła mu skronie i wąsy.

Utracił co najmniej połowę włosów. Tak, i on się postarzał. Niewiele pomagał jasny garnitur z angielskiej wełny i szpilka z perłą w krawacie. Klara położyła przed nim list. Szybko wyjął pince-nez i umieścił je na nosie.

Klara stanęła z boku. Przeczytał list, zdjął szkła, potrzymał je chwilę w palcach i znów nałożył. Wyjął kopertę z kieszeni kamizelki i porównywał pisma. “Czy nie poznaje własnego pisma?” – zastanawiała się Klara. Powstał i zdawał się ważyć w rękę oba papiery. Następnie zaczął ze skupieniem ponownie odczytywać list, z wyrazem zdumienia rozlanego na obliczu.

- O czym pan rozmyśla, panie Winawer?
- Nie wiem, wciąż jeszcze niczego nie wiem.
- Co pan przez to rozumie?
- Wygląda na moje pismo.

Klara z trudem powstrzymała się od płaczu.

– Jak to możliwe, że nie pamięta pan własnych uczynków?

– Zupełnie nie rozumiem. Czuję się zagubiony!

– Może pan go nie napisał. Przecież nie mógłby pan zapomnieć?

– Proszę spojrzeć i porównać oba pisma. Przysięgam na Boga, że nic nie pamiętam. Chyba, że ktoś podrobił moje pismo.

– Mogło tak być?

– Ale kto? Borys Dawidowicz nie byłby do tego zdolny.

W każdym razie pokażę list grafologowi. To rzecz nie do pojęcia.

Winawer znów pochwycił kopertę i list, wpatrując się w nie ze zmarszczonym czołem. Podszedł bliżej ku lampie.

Ściągnął brwi, wyglądało, jakby wykrył jakiś błąd. jednak na jego twarzy znów odbiło się zakłopotanie i zdumienie.

– Jeśli to ktoś podrobił – odezwał się – uczynił to po mistrzowsku.

Klara zbliżyła się o krok.

– To już nieważne, widzę, że pan żałuje swego czynu i to mnie zadowala.

– Pani może to wystarczać, ale nie mnie, łaskawa pani. Kiedy człowiek coś zrobi, powinien to pamiętać. Ja natomiast nic takiego sobie nie przypominam.

Przysięgłem na pamięć mej matki i nigdy świadomie nie skłamałbym po takiej przysiędze – Pan po prostu zapomniał. – Popęlnia się wiele szalonych czynów, kiedy jest się młodym – odparła Klara, starając się usprawiedliwić jego postępek.

– Nie byłem taki młody. Zresztą, w jakim celu miałbym coś podobnego zrobić? Może Mirkin podyktował mi ten list? Nic wszakże, ale to absolutnie nic nie pamiętam.

Nie, tak nie mogło być! – Jasza Winawer zmienił ton głosu. – To jakieś nieporozumienie, jakaś okropna pomyłka. To naprawdę tajemnica. Klaro Daniłowno, Jestem do głębi wstrząśnięty!

– Jakie imię miał pański ojciec, panie Winawer. Niestety, zapomniałam.

– Mojsiej.

– Jakubie Mojsiejewiczu, widzę, że jest pan uczciwym człowiekiem

i przebaczam panu. Zdarza się, że popełnimy coś złego i umyka to nam z pamięci. Dość wycierpiałam przez tę kartkę papieru i nie chcę, by znów. ktokolwiek cierpiał z jej powodu.

– No dobrze, ale jak mogło się to zdarzyć? Taki postępek jest zupełnie niezgodny z moim charakterem. To jakby ktoś do mnie przyszedł i powiedział, że oszukałem wdowę. Klara Daniłowno, ta lampa nie daje dość światła.

Czy zechciałaby pani zapalić jeszcze jedną lampę albo świecę?

– Dobrze, choć nie sądzę, aby to coś panu pomogło.

– Niech pani będzie tak uprzejma i zapali drugą lampę.

To dla mnie bardzo ważna sprawa.

– Doskonale, zaraz zapalę, tylko bardzo proszę się nie przejmować! Takie było przeznaczenie. Sądzony mi jest gorzki żywot. Pan odegrał rolę posłańca...

– Proszę przynieść lampę.

Klara wyszła zapalić lampę naftową. Czowała ból w sercu podczas manipulowania przy knocie, regulatorze i kloszu. Lampa drżała w jej ręce, płomień rósł w kinkiecie.

Z dużym wysiłkiem postawiła lampę na stole.

Jasza Winawer znów zajął się listem podkreślił wyżej knot, westchnął i coś do siebie wymamrotał. Pogrzebał w kieszeni kamizelki, wyjął lupę jubilerską i zręcznie ją wcisnął w oczodół. Wpatrywał się uparcie w pożółkłą kartkę doświadczonym okiem fachowca. Przez chwilę trwał bez ruchu, potem się uśmiechnął, a następnie natychmiast znów spoważniał. Przez chwilę Klara myślała, że może to nie jest Winawer, który miał kiedyś tak gęstą czuprynę i w jej przekonaniu był człowiekiem pozbawionym sumienia. Ten zaś mężczyzna jest na wpół łysy.. V Jasza Winawer wyjął lupę z oka, które wyglądało teraz inaczej. Klara siedziała naprzeciw. – Klara Daniłowno, wiem już wszystko!

– Czyżby?

– To moje pismo, a jednak nie mój styl pisania. Borys Dawidowicz, niech odpoczywa w spokoju, musiał mi ten list podyktować, dlatego też o nim zapomniałem. Dyktował mi tysiące listów. Proszę podejść bliżej, pokażę pani, o co

chodzi. Nie, proszę się nie ruszać, ja do pani podejść. Każde zdanie jest dla niego typowe, zaczynając od pierwszych słów: "Szanowny Panie Doktorze, chcę Pana poinformować" ... – nie używam takiego zwrotu.

Zwracam się do ludzi po imieniu, nie stosując tytułów, ile zaś pamięć mnie nie myli, Cypkin wtedy nie był jeszcze lekarzem tylko studentem. Proszę czytać dalej:

"Pańska ukochana to ladacznica wesoło hulająca w Paryżu z kochankiem." To nie mój styl. Wykluczone! On lubił określenie "hulać", którego ja nigdy nie używałem. Ani też słowa "ladacznica". Nigdy! Cała budowa zdania jest nieprawidłowa. Nie roszczę pretensji do wielkiego wykształcenia. Skończyłem tylko cztery klasy, ale jak się to mówi, nabrałem stylu. Pisząc choćby i do chłopca nie byłbym wulgarny. Pióro dla mnie to rzecz święta. Słownictwo użyte w tym liście jest ordynarne. Na pewno podyktował mi go razem z wieloma innymi listami, mogło to być późnym wieczorem po ciężkim dniu i po prostu zapomniałem. Proszę spojrzeć dalej: "Puszcza się ona z innymi mężczyznami." To już wstrętnej tak. pisze kanalia! Klaro Daniłowno, mogłem zaprzeczyć, że mam coś wspólnego z tym listem. Za coś takiego nie idzie się do więzienia. Mnie chodzi wszakże o prawdę. Tak samo nie jestem odpowiedzialny za ten list, jak za wszystkie inne bzdury, które kazał mi pisać. W tym przypadku byłem niczym więcej jak tylko lokajem, tak mnie pani zresztą nazwała w liście do Mirkina.

Nazwałam pana lokajem?

– Zapomniała pani?. – Całkowicie.

– A widzi pani? Zapomina się. Przychodzi mi na myśl powiedzenie: "Co napisane, tego i siekierą nie wyrąbiesz!" Ja również byłem przez długi czas zagniewany i czułem się dotknięty.. – Doprawdy, tego nie pamiętam.

– Tak, z upływem czasu zacierają się w pamięci te z naszych uczynków, które są obce naszej własnej naturze. Klaro Daniłowno, nie skłamałem więc, chociaż posłużono się mną jako narzędziem do napisania listu. W tym przypadku ważny jest sam zamysł. Czytajmy dalej:

"Sie panu namiętne listy, choć uważa go za durnia." – Nie, proszę nie czytać dalej! Zdaję już sobie sprawę, że ma pan słuszność! Powinnam była od razu to

dostrzec. Często używał tego wyrażenia.

– Rad jestem, że pani nareszcie przejrzała. To faktycznie skandaliczna historia.

– Skandaliczna! Mirkin złamał wszystkie dane mi przyrzeczenia i zniszczył moje życie. I to stojąc nad grobem. Głupiec.

– To prawda, jak już pani wspomniałem, mimo całej inteligencji brakowało mu wnikliwości. Pochodził, niech mi daruje te słowa, z dołów społecznych. Ojciec jego był kowalem. Powiem pani tyle, że Mirkin umarł zalegając z wypłatą moich należności. Gdybym opowiedział niektóre jego sztuczki, uszy by pani spuchły, ale już jest późna pora.

Któraż to godzina? Pójdę do kuchni, przygotuję herbatę.

Nie, proszę się nie kłopotać, Klaro Daniłowno.

– Przynajmniej niech się pan poczęstuje ciasteczkami lub owocem.

– Nie, dziękuję. Dlaczego on tak postąpił? W pewnym sensie to komplement dla pani. Był zazdrosny. Zresztą, nawet jeśli nie pragnął czegoś dla siebie, chętnie odbierał to innym. Pewnego razu poszliśmy na ryby. Nie było sensu zabierać złowionych ryb do domu, więc zaproponowałem, aby je oddać przewoźnikowi lub wrzucić z powrotem do wody, dopóki jeszcze żyły, ale nie chciał. Później zaś pozostawił je po prostu na brzegu.

Taki był z niego uparty człowiek.

– Dlaczego pan powiedział: "Nawet jeśli nie pragnął czegoś dla siebie." On mnie bardzo pragnął. Za bardzo.

Pan doskonale wie o tym.

– O niczym takim nie wiem. Gdyby pani pragnął, mógłby panią mieć.

– Pan wie doskonale, Jakubie Mojsiejewiczu, że Mirkin był impotentem.

– Czyżby? Nic o tym nie wiedziałem. Wyobrażałem sobie coś wręcz przeciwnego.

– Co pan ma na myśli?

– To się nie nadaje dla damskich uszu, on był skończonym rozpustnikiem.

Zmuszał mnie do asystowania...

– I co pan widział? Zresztą lepiej nie pytać.

– Klaro Daniłowno, z zasady nie wtrącam się do cudzych spraw. Zachowuję też dla siebie to, co myślę. Lekarze ostrzegali go przed ekscesami seksualnymi i obżarstwem. Serce obrastał mu tłuszcz. On jednak nazywał ich głupcami. Był naprawdę z żelaza, mógłby jeszcze żyć dziesięć lat. Jako chłopak pomagał ojcu w kuźni. Taki był Borys Dawidowicz.

– To nie znaczy, że pan wie o nim wszystko.

Im mniej jest mi wiadome, tym lepiej. Bóg jest miłosierny... Klaro Daniłowno, a co u pani, jeśli wolno zapytać? Mieszka pani sama?

– Tylko z córką.

– Dlaczegoż to?

– No cóż, ja też jestem głupia. Każdy z nas jest na swój sposób głupi.

Aleksander ożenił się ze starą panną, Węgierką. Ona go po prostu kupiła, pomagając ukończyć studia. Ja jednak, choć to głupio, tęskniłam za nim. Jakubie Mojsiejewiczu, nie wolno ludzi osądzać, nie ma się prawa. Gdyby tak przed wielu laty ktoś mi powiedział, jaką kobietą się stanę, nazwałabym go idiotą. Przeszłam śmiertelną chorobę, sądziłam, że nadszedł mój kres.

Chciałam, żeby Felusia poznała swego ojca. Dopytywała się o niego. Syn mój Sasza jest, dzięki Bogu, bogaty i szanowany, jedyna moja pociecha, dobry dla mnie nie do wiary. Wyjawiłam mu swe troski nic nie ukrywając, a on powiedział: "Mamo, niech mama jedzie do Nowego Jorku!" Zostawiłam mu swoje mieszkanie. Ma w Jampolu dom, który można nazwać pałacem, ma też interesy w Warszawie. Streszczając się powiem: przyjechałam do Ameryki. Aleksander upadł do mych stóp. Jest nieszczęśliwy z żoną, ona go nie rozumie i tak dalej.

Postanowiłam przeczekać jakiś okres i ulokowałam się tutaj. Jak tylko może się oderwać od swych pacjentów, spotykamy się akurat teraz jest epidemia grypy. Oto jak wyglądają moje sprawy.

– Kiepska sytuacja, Klaro–Daniłowno. Pani jest nadal pociągająca i zasługuje na lepszy los.

– Dziękuję za komplement. Widocznie otrzymujemy to, na co zasługujemy.

Nie mam do nikogo pretensji, oprócz samej siebie. Czym się pan zajmuje?

– No cóż, powodzi mi się dobrze, ale lat przybywa.

– Jak to byłoby cudownie dla kobiet, gdyby mężczyźni młodnieli!

– No, jeśli pani potrafi jeszcze żartować, to sprawy tak źle nie stoją. Robak zaczyna nas toczyć w okresie powodzenia. Mieszkam w Kijowie, większość czasu spędzam jednak w drodze. Jestem kupcem pierwszej gildii, Mam w Kijowie skład futer, zatrudniam wielu pracowników. Dom prowadzi mi kuzynka. Po śmierci Mirkina uznałem, że pora zaniechać wysługiwania się innym i założyć interes na własną rękę. On złamanego grosza mi nie zostawił, choć przez całe lata opowiadał, że po jego śmierci będę zamożnym człowiekiem. Mimo wszystko szczęście mu dopisało. Wszedłem do interesu, o którym nie miałem pojęcia, ale nie "brakowało mi zdrowego rozsądku. Zjeździłem całą Europę, byłem nawet w Chinach, a i w Ameryce Winawer jest też znany, przynajmniej w kręgach handlowych. Zatrzymuję się w hotelu "Astoria", razem z milionerami. To wszystko nie chroni jednak przed napadami przygnębienia, odczułem je zwłaszcza ostatnio przemierzając Atlantyk. Omal nie postradałem zmysłów.

– Dlaczego pan się nie ożenił? spytała Klara.

Jasza Winawer uśmiechnął się.

– Odwieczne pytanie. Tak się złożyło, że Mirkin był moim dalekim krewnym, niech odpoczywa w spokoju.

Zacząłem u niego pracować w młodym wieku i przeżyliśmy razem wiele przygód. Zwykł był powtarzać:

“Nie żęń się. Popatrz na mnie i zobacz, do czego to prowadzi." Jego żona była prawdziwą wiedźmą. W owych czasach mieszkali jeszcze wspólnie i mogłem się dobrze przyjrzeć życiu rodzinnemu. On miał romans z żoną aptekarza, była to bardzo zabawna historia. “Każdą kobietę można kupić", zapewniał mnie i te słowa wryły mi się w pamięć. Zawsze twierdził, że najlepiej romansować z mężatką i tak było w moim przypadku. Nieraz wątpilem, czy mi się powiedzie, ale jak się to mówi: “Nawet żona rabina będzie podsłuchiwała." Przychodzi mi na pamięć przygoda z żoną pewnego kupca drzewnego. Okazywała mężowi wiele czułości. Otulała mu

szalem plecy, kiedy zaś był przeziębiony i kaszłał, przynosiła miskę z gorącą wodą do rozgrzania nóg. Przystojna niewiasta.

Prowadziliśmy wspólne interesy i mieszkaliśmy po sąsiedzku. Kiedy kupiec wybierał się w jedną ze swych podróży do Wilna, żona spakowała mu walizkę, nie zapominając o włożeniu różnego rodzaju medykamentów i słoika z konfiturą z malin. Stałem przy oknie i przyglądałem się, jak wsiadał do bryczki, a ona czule go żegnała. Nagle drzwi się otworzyły. Weszła, nawet nie zapukawszy. "Jakubie Mojsiejewiczu – zawołała – proszę mnie pocałować!" Tak właśnie powiedziała! Nie wierzyłem własnym uszom. Pałała namiętnością.

Klara uniosła brwi w górę.

– Różni są ludzie.

– No cóż, takie doświadczenia przyczyniają się do utraty zaufania. Tymczasem lata mijały. Podróżowałem z Mirkinem i dzieliłem jego żywot. Nie sposób ciągnąć ze sobą kobiety przez takie błoto. Życie rodzinne nie wchodziło w rachubę. A teraz młodość już minęła. Kobieta w moim wieku nie pociąga mnie, osoba zaś młoda będzie zdradzała, co jest równie pewne jak to, że ta lampa stoi na stole. Dlaczego miałyby tego nie robić? Jeśli młodzi ludzie nie wierzą w Boga, z jakiej racji miałiby czegoś odmawiać sobie? A co ja robiłbym podczas wyjazdów?

Żeby pani wiedziała, jak się prowadzą komiwojażerowie w podróżach! Mimo to domagają się wierności od swych żon.

– Jeśli tak sprawa wygląda, nie może pan się uskarżać.

– Słusznie. Zdarza się wszakże, że i mnie ogarnia uczucie osamotnienia.

Pracuję, podróżuję, zabiegam, ale dla kogo? Nie wiem, dlaczego morze usposabia mnie melancholijnie. Fale się toczą, uciekają i dokąd? Zwykle zawieram znajomości, lecz w czasie tej podróży wszyscy chorowali, zwłaszcza kobiety. Ogarnęło mnie naraz głębokie uczucie depresji! Chciałem skoczyć do oceanu!

– Dlaczego?

– Sam nie wiem. Od czasu do czasu nastroje duszy muszą znaleźć jakieś ujście.

– Rozumiem. Czy długo zostanie pan w Nowym Jorku?

- Kilka tygodni.
- Jak pan spędza czas?
- Zupełnie przyjemnie. Często wszakże czuję się nieszczęśliwy. Klaro

Daniłowno, jaki sens ma pani życie tutaj?

- Któż to wie?
- Czy nie zgodziłaby się pani na pójście ze mną do teatru lub «na koncert»?

Chyba pani doktor nie jest wolny każdego wieczoru.

– Nie, nie jest. Ma swoją rodzinę. Mogłabym czasami pójść, tyle że nie znam języka.

– Jest tutaj teatr, gdzie wystawiają wodewil. Są też kabarety, do których i panie chodzą.

– Ach tak? Nic zatem nie stoi na przeszkodzie. Żywiłam bezpodstawną urazę do pana.

– Kiedy przychodzi ten pani doktor?

– Nie mamy ustalonych dni, niestety. No cóż, nie podpisałam zobowiązania, że muszę tu siedzieć i na niego czekać. Jeśli mnie zastanie, to dobrze, jeśli nie – to nie.

Powiedział pan, że miał chęć skoczyć do oceanu. Pan jest mężczyzną i może pójść wszędzie. Ja tu siedzę jak w lochu. Czasem chce mu się śmiać, zamknęłam się jak w więzieniu, żeby on mógł wpaść na parę godzin. Po co zresztą opowiadam panu to wszystko?

– Jestem pani przyjacielem. Przyjaźń. Miłość. To są tylko słowa. Każdy myśli o sobie. Najpierw pana nienawidziłam, teraz się przed panem wywnętrzam. Nie mogę już się kłócić z Mirkinem.

On nie żyje. Czy wierzy pani w życie pozagrobowe, Klaro Daniłowno?

– Nie wiem, Jakubie Mojsiejewiczu. A dlaczego pan pyta?, r Różne myśli przychodzą do głowy. Na przykład, co mogłaby robić w niebie dusza Borysa Dawidowicza?

– Może i tam uganiałby się za kobietami?

– Najprawdopodobniej. No tak, pora na mnie.

– Bardzo panu dziękuję, Jakubie Mojsiejewiczu, za przywiezienie do domu.

Uratował mi pan życie.

– No, nie było aż tak źle. Może sądzone nam było, żeby się tutaj spotkać i wyjaśnić sprawę.

– Czemu pan wciąż wspomina niebiosa? Jest pan jeszcze niestarym mężczyzną. Czekają pana długie lata na ziemi.

– Kto to może wiedzieć? Nikt nie wie, co jutro przyniesie. Oboje moi rodzice zmarli młodo. Kiedyś mężczyznę w moim wieku uważano za starego. Wciąż pamiętam mego dziadka, starca z białą brodą, a miał zaledwie sześćdziesiąt lat, kiedy zmarł. Czasami żałuję, że nie mam potomka.

– Dla mężczyzny nigdy nie jest za późno.

– Przeciwnie, jest za późno. Dobranoc, Klaro Daniłowno, proszę mi wybaczyć.

Przyjdę panią odwiedzić.

– Oczywiście, proszę przyjść. Będzie pan mile widzianym gościem.

– Tylko nie chciałbym spotkać pani doktora.

– Czego się pan obawia? Nie należy do zazdrosnych.

Zresztą, jeśli pan przyjdzie w ciągu dnia, nigdy go pan u mnie nie spotka.

– Dobranoc. Dziękują.

Jasza Winawer wyszedł. Klara stanęła u szczytu schodów z zapaloną lampą, aby mu oświetlić zejście na dół. Wróciwszy do pokoju, krążyła po saloniku rzucając dwa cienie. Ogromna głowa chwiała się na suficie.

Wzruszyła ramionami, jakby prowadząc z kimś spór.

“Czym mam się teraz zająć? Nie chce mi się spać, chyba poczytam książkę.”

Nie miała jednak ochoty na czytanie.

“Dlaczego, u diabła, nie zestarzeję się wreszcie?” Zapragnęła, aby nagle wszedł Cypkin. Podokuczałaby mu z racji Jaszy Winawera. Cypkin jednak przebywał w domu i właśnie ziewał. “No cóż, wszystko stracone.

Niech już nadejdzie starość i położy wszystkiemu kres!” Podeszła do okna. Na zewnątrz panowała posępna, mroźna noc. Gwiazdy mrugały na niebie. Zaczęła się modlić: “Boże miłosierny, już mam dość”...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

I

Pod koniec zimy Klara wróciła do Warszawy, zabierając ze sobą Felusię. Cypkin przychodził coraz rzadziej.

Klara tęskniła do Saszy, do mieszkania przy ulicy Berga i do Warszawy. Myśl o przesiadywaniu w pokoju przy Dziesiątej Ulicy i wypatrywaniu oczu za Aleksandrem stawała się nie do zniesienia. Klimat Ameryki nic jej nie pomógł, cierpiała na żołądek, na woreczek żółciowy i miała rozstrojone nerwy. Ani Cypkin, ani inni lekarze amerykańscy, których się radziła, nie mogli jej pomóc. Po cóż więc ma przebywać w obcym kraju i chorować? W ciągu tych paru tygodni, kiedy zaczęła się spotykać z Jaszą Winawerem, nawiązała się między nimi przyjaźń.

Winawer zabierał ją między ludzi, do teatrów i restauracji.

Twierdził, że ją kocha, nawet zaproponował małżeństwo.

Klara jasno mu powiedziała, że kocha tylko Aleksandra.

Zdała sobie sprawę, porównując traktowanie swojej osoby przez tych dwóch mężczyzn, jak źle odnosi się do niej Aleksander. Nigdy nie miał wolnego wieczoru, nigdy nie przyprowadził kogoś ze swych przyjaciół, trzymał ją w odosobnieniu jak tanią kochankę, którą odwiedza się potajemnie, kiedy się ma na to ochotę.

Jasza Winawer powrócił już do Rosji i zasypywał Klarę listami. Chciał otworzyć w Warszawie filię swej firmy i wysuwał różne propozycje. Czy ona przyjmie u niego jakąś lekką pracę i zgodzi się z nim zamieszkać? On nie jest Mirkinem, nie potrzebuje na raz dziesięciu kobiet.

Kobieta dla niego to nie tylko jej ciało, on szuka towarzyszkę życia.

Podczas pobytu w Ameryce Klara usiłowała wykorzystać Winawera w rozgrywce z Aleksandrem. Pokazywała mu listy od Jaszy, czym jeszcze go bardziej do siebie zraziła. Naubliżał jej i nie zjawił się przez dwa tygodnie.

Pewnego razu, kiedy Klara besztła go za oziębłość w stosunku do Felusi, Cypkin odpowiedział:

- Nie wiem, czy to moje dziecko, czy nie.
- Powinieneś się wstydzić.
- Żyłas z dwoma mężczyznami.

Pozostawało tylko jedno – wyjechać. Aleksander, usłyszawszy o jej decyzji, próbował ją od niej odwieść, na co Klara odparła:

- Zawsze możesz przyjechać do Warszawy,.

Nie, to już nie był jej dawny Aleksander. Postarzał się, nabrał tuszy i ustatkował. Polubił swoją żonę i wyraźnie jej się obawiał. Zawsze przychodził do Klary w stanie trwoźnego napięcia i faktycznie przez całą zimę nie spędzili żadnej nocy razem. Nie nawiązał bliższego kontaktu z córką. Klara poszła do biura podróży i dokupiła bilet dla Felusi. Opuściła Warszawę w przeddzień Rosz Haszana. Parowiec w drogę powrotną odpływał według rozkładu z Nowego Jorku ostatniego dnia sederu. Już się przyzwyczaiła do podróżowania, spakowała się i była gotowa do wyjazdu. Wysłała dość dawno list do Luizy, osiadłej w miasteczku przy granicy kanadyjskiej, ale odpowiedź nie nadeszła. Pożegnała się z Herr Nelke i Frau Hanse, jedynymi znajomymi w Nowym Jorku oprócz mleczarza, właściciela sklepu kolonialnego i Chińczyka–pracza. kiedy zbliżał się termin wyjazdu, Cypkin starał się ją przekonać, że robi głupstwo i obiecywał, że się poprawi.

Przyrzekał nawet odbyć wspólną podróż w lecie i zająć się Felusią, Klara jednak odparła:

- Jeśli mnie kochasz, opuść żonę i jedź z nami.
- Wiesz, że to niemożliwe – odrzekł Cypkin.

O drugiej po południu Klara z córką pojechała na przy stań. Aleksander zjawił się później, aby ją pożegnać.

Niósł dwa pakunki: jeden dla niej, drugi dla Felusi. Parowiec miał jeszcze kilka godzin postoju, więc Aleksander wszedł do kabiny Klary. Felusia, dzięki swej znajomości angielskiego, już zdążyła zapoznać się z rówieśnicą, Amerykanką, i dziewczynki wyszły na pokład.

Aleksander usiadł i odezwał się:

- Naprawdę nie było okazji rozważyć wszystkiego.

– Jeśli masz coś do zakomunikowania, zrób to teraz.

– Klaro, kocham ciebie.

– Mazel toto. Jeśli to miłość, to ja jestem rabinowa z Jampola.

– Klaro, ty mnie nie rozumiesz.

– Co tai jest do rozumienia? Dałam ci szansę.

– Klaro, stoję wobec dylematu.

– Wszystko to już słyszałam. Nie zdołałeś nawet raz w tygodniu przyjść do mnie w odwiedziny.

– Klaro, to wszystko jest nazbyt skomplikowane.

– Dlaczego tak przed nią drżysz? Okręt już niedługo odpływa. Jeśli masz coś do powiedzenia, to mów. A jak nie...

– Będzie mi ciebie brakowało, Klaro.

– No to dobrze, powinieneś poznać, jak to smakuje.

Mieszkałam o dwanaście przecznic od ciebie. To ja tu przyjechałam, a nie odwrotnie. Jeśli teraz ty z kolei przyjedziesz do Warszawy, będę wiedziała, że jestem coś warta.

– To się może zdarzyć.

– Radzę się pośpieszyć, bo może być za późno.

Cypkin zapalił papierosa.

– Klaro, dlaczego wyruszyłaś w tamtą podróż z Mirkinem?

– To już zamierzchła historia.

– Nie mogę tego zapomnieć. Za każdym razem, jak sobie przypomnę, robi mi się niedobrze.

– No cóż, to choruj. Co się stało, to się nie odstanie.

– Nawet tego nie żałujesz.

– Nie, nie żałuję. Nie żałuję niczego.

– A teraz jedziesz do tego donosiciela, Jaszy Winawera.

– No i co z tego? Zasłużyłeś na to. Coś ci powiem, Aleksandrze, nie kocham tego człowieka. Czują doń wstręt fizyczny. Wszakże jeśli wytrwa w zamiarach, będę z nim żyła.

– Wobec tego jesteś prawdziwą dziewczką.

– No tak., taka właśnie jestem. Bywaj zdrów, Aleksandrze, przyjemnego życia rodzinnego.

– Odchodzę.

– Miłej przejażdżki sankami.

– Jesteś najgorszą kobietą, jaką w życiu spotkałem.

– Dziękuję za komplement.

– Nie mam zamiaru porzucić uczciwej kobiety dla takiego śmiecia!

– Pozostań przy niej! Nie zazdroszczę ci tej przyjemności.

– Żegnaj, ladacznico! – Żegnaj, idioto!

Cypkin zbiegał na twarzy i skierował się ku wyjściu.

– Podejź, pocałuj mnie – odezwała się.

– Nigdy, ty suko.,.

Wybiegł z kabiny. Zapomniał zabrać laskę, ale już po nią nie wrócił. Klara przywiozła ją do Europy...

II

Podróż powrotną mieli równie spokojną, jak burzliwa była przeprawa w tamtą stronę. Powietrze tchnęło balsamem. Kiedy parowiec zatrzymał się w Anglii, Klara wyszła na ląd na kilka godzin. Pani Bachrach, Żydówka powracająca do Berlina, z którą Klara się zaprzyjaźniła, dotrzymywała jej towarzystwa. Obsypywała Klarę dowodami uprzejmości, a nawet zaproponowała gościnę w swoim berlińskim domu. Miała w Ameryce dwóch bogatych synów, ale wracała do Niemiec, bo kiedy przyjdzie śmierć, chciała być – jak zwierzyła się Klarze – pochowana obok swego zmarłego męża. Jak dziwne bywa ludzkie postępowanie! Klara wyznała wszystko tej wiekowej kobiecie, wszystkie swoje sekrety i grzechy. Pani Bachrach pocieszała ją. Tak, Klara popełniła wiele błędów, yale doktor Cypkin robi wrażenie człowieka bez serca. Zasłużył na to, że ją utracił. Przyjedzie jeszcze do Warszawy i rzuci się jej do stóp. Klara dziwiła się sobie samej. Nie miała zwyczaju zwierzać się obcym ludziom.

Zawsze była bardzo dumna. Naraz ogarnęło ją uczucie wielkiego odprężenia. Uśmiechała się i odbierała uśmiechy. W ciągu tych wszystkich lat, gdy miała do czynienia z Griszą, Kalmanem, Cypkinem i Mir kinem, pełna była jakiejś furii i goryczy, której smak czuła w ustach. Chodziło jej tylko o to, aby nikt inny nie był górą.

Teraz to wszystko minęło. Towarzystwo przy stole zaczęło odnosić się do niej przyjaźnie. Klara zadawała sobie pytanie, w czym leży przyczyna tej przemiany, czy wreszcie ciężąca nad nią klątwa została zdjęta.

Między posiłkami siadywała na leżaku. Robiła coś szydełkiem, jak zwykle dla Felusi, i od czasu do czasu spoglądała na fale, niebo i błękitny skraj horyzontu. Kto mógł to przewidzieć? Może by nie zaznała tylu cierpień, gdyby od początku potrafiła być dobra. Nigdy nie powinna była posunąć się tak daleko, aby mówić te wszystkie okropności Kalmanowi i nie dochować mu wiary. A skoro była zakochana w Aleksandrze, jakież sens miało wplątanie się w aferę z Mirkinem? Mimo całej inteligencji zlekceważyła najbardziej podstawową zasadę życiową: nie czynić drugiemu, co tobie niemiłe. Ale czy potrafi okupić swe błędy? Czy powinna wrócić

do Ameryki, rzucić się Aleksandrowi do nóg i powiedzieć, że nie może bez niego żyć?. Sasza napisał, że ojciec jest chory. A może powinna znaleźć jakąś pracę charytatywną, opiekować się chorymi, wspomagać biednych? Myśli Klary płynęły w rytmie fal. Pani Bachrach często siadywała obok i haftując obrus opowiadała, co się zdarzyło jej krewnym lub lekarzom bądź co się działo w kurortach. Dawniej takie rodzinne historyjki nudziłyby Klarę, teraz jednak wspomnienia pani Bachrach ciekawiły ją, dopytywała się o szczegóły.

Jeśli chodzi o Felusię, to Klara, choć kochała córkę, zaczynała zarazem mieć do niej pewną urazę. Felusia niby to całowała i pocieszała matkę, kiedy ta się skarżyła na swój los, jednakże często zachowywała się tak, jakby jej się wstydziała. Zaczęła krytykować gust matki w wyborze strojów, zwracała uwagę, by tak głośno nie mówiła. Kiedy Klara próbowała wysłowić się w języku angielskim, Felusia wyśmiewała się zarówno z jej rosyjskiego akcentu, jak i z błędów gramatycznych. I chociaż nie użyła tego określenia, nie powiedziała tego wprost, w różny jednak sposób dawała do zrozumienia, że uważa matkę za osobę wulgarną. Wydawała się Klarze dziewczyną bez serca, tak mało obchodził ją ojciec, którego może już nigdy więcej nie zobaczy. Jediną osobą, której Felusi naprawdę brakowało, była Luiza. Zupełnie otwarcie mówiła, że wolałaby zostać w Ameryce ze swą dawną guwernantką i panem Dujacques. Nabrała niechęci do Rosji i upierała się, że nie pójdzie do rosyjskiego gimnazjum, tylko do szkoły angielskiej w Warszawie, a jeśli okaże się to niemożliwe, do francuskiej. Choć była tak młodziutka, udało jej się zawrzeć na statku znajomości z podróżnymi, którzy ignorowali Klarę i milcząco wyrażali litość, że młoda, subtelna osoba jest zdana na taką matkę. Czasami wydawało się Klarze, że dziewczyna już nie może się doczekać, kiedy będzie dość dorosła, aby całkowicie się od niej uwolnić i żyć własnym życiem.

Dni jeszcze jako tako mijały, ale w nocy lęk ogarniał Klarę. Porzuciła Aleksandra. Z każdym obrotem śruby okrętowej zostawiała go coraz dalej, a już za nim tęskniła. W Nowym Jorku nie bywał częstym gościem, jednak przychodził. Co będzie robiła w Warszawie?

Jasza Winawer? Nie miała już siły na nawiązywanie nowego romansu. Nie

mogłaby kochać innego mężczyzny. Dlaczego uciekła? Dlaczego nie kupiła domu w Nowym Jorku i nie próbowała osiąść tam na stałe?

Widocznie i Aleksander czuł się przegrany, bo tak by jej nie zwymyślał. Możliwe, że to, co Jej mówił, było prawdą, że stanął wobec dylematu...

“No cóż, w najgorszym razie wrócę – myślała – wrócę.

Pobędę trochę w Warszawie, zobaczę Jaszę i znów wyjadę." Parowiec wszedł do portu w Hamburgu. Klara spędziła tam noc, potem wsiadła do pociągu jadącego do Berlina, gdzie gościła trzy dni u pani Bachrach, zanim ekspresem wyruszyła do Warszawy. Przyzwyczała się już do spędzania nocy w pociągach. Felusia leżała na ławce w przedziale, Klara drzemała siedząc. Stukot kół pomagał zasnąć. Przez sen słyszała gwizd lokomotywy.

Urzednicy celni sprawdzający bagaż przetrząsnęli na granicy wszystko do góry nogami, lecz nie wytrąciło to Klary z równowagi, nie oponowała nawet, gdy zażądali zapłacenia cła. Nie wydała w Ameryce dużo pieniędzy. Z dwóch tysięcy rubli otrzymanych od Saszy pozostała jej jeszcze znaczna część. Rankiem pociąg wjechał w Warszawie na Dworzec Wiedeński. Zdawało się jej, że wyczuwa specyficzną woń warszawskiego powietrza.

Wszędzie rodło się od żołnierzy, oficerów, policjantów.

Cała Warszawa zrobiła na niej wrażenie wielkich koszar.

Pojechała dorożką na ulicę Berga. Kiedy otworzyła drzwi swego mieszkania, ze zdziwieniem stwierdziła, że syn nie korzystał z niego w czasie jej sześciomiesięcznej nieobecności. Okna były pozamykane, rolety opuszczone, łóżka posłane. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Klara zostawiła mieszkanie w porządku przed wyjazdem, ale w ostatniej chwili, w pośpiechu, wrzuciła do kosza w kuchni skórki od pomarańczy. Poznała teraz te skórki już poczerńiałe i skurczone, jakby skamieniałe.

Zaczęła się śmiać, a zarazem płakać. Przebyła oceany, zaznała szczęścia d cierpień, a tu leżą skórki od pomarańczy zjedzonej przed wyjazdem. Kurz przyprawił Felusię o kichanie. Stróżka przyszła na górę i zaczęła się uskarżać, że pan Jakobi wcale się nie zjawił, a ona nie miała kluczy, nie mogła więc posprzątać. Podeszła do

zlewu i odkręciła kran, z którego wydobył się bulgot, po czym zaczęła się sączyć cienka strużka wody czarnej od rdzy.

Sasza przyszedł zobaczyć się z matką, niedługo jednak zabawił. Tego samego dnia wybierał się w podróż. Powiadomił ją o chorobie ojca, który ma wrzód żołądka. Do Felusi prawie się nie odezwał. Nigdy jej nie uznał za siostrę. Była córką jego dawnego nauczyciela, przynosiła rodzinie dyshonor. Klara wybrała się na ulicę Krochmalną odwiedzić Kalmana, lecz on przebywał u córki w Marszynie. Dni życia rabiego są policzone, tak jej powiedziała posługaczka Kalmana. W Warszawie robiło się zbyt upalnie i Klara wolałaby przebywać na wsi, nie mogła się wszakże zdecydować na wybór miejscowości. Winawer nieoczekiwanie wyjechał do Petersburga. Sasza niepokoił matkę, stał się grubiański i nachmurzony, zarys jego ust nabrał brutalnego wyrazu.

Włosy tak mu się kręciły jak Cyganowi. Opowiadał matce sprośne historyjki o swych stosunkach z żonami oficerów, o kłótni z pułkownikiem i o Rosjance, która przez niego zaszła w ciążę. Rozprawiał jak rozpustnik, chwając się swymi podbojami i kręctwami.

Klara próbowała go upomnieć, Sasza roześmiał się a odparł:

– Mama nie ma żadnego prawa mówić mi kazań! – Jestem ci oddana.

Diabli mnie nie wezmą, a jeśli tak, to źle na tym wyjdą.

– Pamiętaj, że moje życie zależy od ciebie!

– Każde z nas odpowiada tylko za siebie...

Przed odejściem Sasza znowu pokazał Klarze rewolwer i chełpił się, że jest doskonałym strzelcem, zawsze trafiającym do celu. Zostawił Klarę w stanie wielkiego niepokoju. "Co się stało? – stawiała sobie pytanie. – Czy to ja zaczęłam odczuwać skrupuły, jakich dawniej nie miałam, czy też on znikczemniał?" Jego bufonada budziła w niej sprzeciw. Kiedy zaczął opowiadać, jak oszukuje oficerów, którym powierzono zaprowiantowanie wojska, poczuła odrazę. Jak on to lekko traktuje! Czy nie rozumie, ile trudu wymaga musztra i że żołnierz powinien zjeść pełną racją wyżywienia. Przecież nic innego nie dostaje oprócz miski kaszy i porcji mięsa. Przyszło jej na myśl, że ojciec także dostarczał produkty pośledniejszej

jakości.

Przypomniała się jej dysputa z Kalmanem podczas jego pierwszej wizyty u nich w Jampolu: "Wszyscy kradną... jeśli chce pan zostać świętym, reb Kalmanie, niech pan ofiaruje zwój Tory do synagogi, jak to uczyniła moja ciotka Bzprinca. W interesach nie ma miejsca na dobre serce." "Jak mogłam być tak niewrażliwa na te rzeczy – zadawała sobie pytanie. – Sama jestem wszystkiemu winna, Sasza wysłał zło wraz z mlekiem z mojej piersi," Minęło kilka dni. Klara miała przyrzeczoną służącą z biura zatrudnienia, ale jak dotychczas żadna się nie zjawiała. Wieczorem więc sama przygotowała kolację dla siebie i Felusi.

Przemierzała salonik tam i j powrotem. Laska Cypkina wisiała na wieszaku w przedpokoju i nagle Klarze zachciało się jej przyjrzeć. Może nie spostrzegła jakiegoś napisu, a może laska jest wydrażona, zawiera list albo klejnot... Skierowała się do przedpokoju, ale po zrobieniu paru kroków znieruchomiła z powodu ostrego bólu, który przeszył jej lewą pierś. Zabolało nagle serce, ręka i ramię. Zabrakło tchu. Z wysiłkiem wróciła do saloniku i padła na krzesło. Siedziała bez ruchu jak porażona, niezdolna do wydobycia głosu. Głowa opadła na lewe ramię, czoło pokryły kropelki potu. Chciała przywołać Felusię, lecz bała się ją wystraszyć, zresztą nie mogła odzyskać głosu. "No cóż, to już koniec! Boże miłosierny, miej litość nade mną!" Zaczęła kię modlić. Miała pigułki na tego rodzaju przypadłość, leżały w szufladzie nocnej szafki.

Ból jeszcze się wzmógł. Nagle zadźwięczał "dzwonek u drzwi wejściowych i nie ustawał. Ktoś zaczął stukać do drzwi. Klara usiłowała wstać, ale kolana się pod nią ugięły. Przy najmniejszym ruchu ból przeszywał ją na wskroś. Usłyszała głosy. Wydawało jej się, że za drzwiami są dwie osoby. Stukanie i dzwonienie jeszcze się nasiliło. Wtem zobaczyła Felusię. Dziewczynka obudziła się, stała boso w nocnej koszuli.

– Mamo!

– Otwórz drzwi – jęknęła Klara. – Jest mi niedobrze.

– Mamo, mamo!

– Prędko! Potrzebuję pomocy...

Felusia pobiegła do drzwi. Klara zobaczyła kobietę z biura zatrudnienia i zażywną dziewczynę z włosami jak słoma i rumianymi policzkami– Felusia zaczęła krzyczeć:

– Doktora! Doktora!

“Cud!” – pomyślała Klara i szeptem poprosiła kobietę z biura pośrednictwa o pigułki z nocnej szafki. Dziewczyna przyniosła szklankę wody, a kobieta pobiegła po lekarza.

Dziewczyna napomknęła o karetce pogotowia, lecz Klara zdobyła się na protest: –" Nie chcę umierać w szpitalu.

Lekarz mieszkający w pobliżu dał środek na uśmierzzenie bólu położono ją do łóżka. Ból zelżał, pozostało uczucie ogromnego zmęczenia, ciało ciążyło jak ciało umarłego. “Przynajmniej umrę w łóżku, a nie na krześle”, przemknęło jej przez głowę. Nie bała się już.

śmierci. Oby tylko przestać cierpieć!

Minęło kilka dni. Pewnego razu, otworzywszy oczy, Klara zobaczyła Saszę stojącego przy łóżku. Do pokoju wszedł starzec o zmierzwionej białej brodzie, pożółkłych policzkach, długich pejsach i gęstych brwiach. “Czy sprowadzono rabina?” zastanawiała się Klara. Nagle poznała go, przecież to Kalman! Przepeliła ją radość.

“Więc mi wybaczył!” Odezwała się szeptem do Saszy, że zostanie bez matki, potem umilkła. Wielki Boże, wszak ona już to kiedyś przeżyła. Zapamiętała wszystko: cajtowy chałat Kalmana, sznur z frędzlami, letni garnitur Saszy, buteleczki z lekarstwami i pół pomarańczy na krześle.

Widziała to we śnie owej pamiętnej nocy, przed laty, po powrocie od Cypkina do mieszkania ciotki... Ogarnął ją mistyczny smutek. Kres żywota był przed nią odsłonięty na wiele lat wstecz. Pół pomarańczy czerwonej jak wino połyskiwało w południowym słońcu,, pestki i błonki uwidoczniały się dokładnie jak wtedy w sennym widzeniu.

Kalman pochylił się nad nią, jego zaplecione pejsy zwisały pod kątem prostym.

– Jak się czujesz?

Klara odrzekła:

– No cóż, tak jak widzisz...

III

Tego wieczora zdawało się jej, że nadszedł koniec.

Jednak dzień za dniem mijał, a ona żyła. Sasza zwołał konsylium lekarskie Klara, oprócz służącej, zajmowała się pielęgniarka zatrudniona w Szpitalu Żydowskim.

Znów nastąpiło polepszenie, Klara odzyskała apetyt, chciała nawet wstać, czemu się jednak sprzeciwili lekarze. Dostała w Ameryce wieczne pióro, którym napisała list do Sabiny, pierwszej żony Aleksandra, i wysłała przez służącą. Od dłuższego czasu pragnęła się z nią spotkać. Wszakże Kubuś, synek Sabiny, i Felusia to dzieci jednego ojca. Może teraz, wiedząc, że Klara znajduje się na łożu śmierci, Sabina zmięknie i przyjdzie się z nią zobaczyć. Sabina poślubiła bogatego kupca, Maksa Mandelberga, i zapewne jej rozgoryczenie minęło. Klara prosiła Sabinę, aby zapomniała o dawnych krzywdach i przyszła do niej – jeśli to możliwe razem z Kubusiem. Felusia jest jego siostrą, a siostra to siostra bez względu na to, czy rabin wypowiedział formułę zaślubin czy nie. Podpisała list:

“Umierająca Klara.” Służąca przyniosła wiadomość, że Sabina przyjdzie nazajutrz.

Przed napisaniem listu do Sabiny Klara wysłała długi telegram do Cypkina, powiadamiając go o ataku serca i prosząc, by zabrał do siebie Felusię, a jeśli to możliwe, przyjechał po nią. Wysłała również telegram do biura Jaszy Winawera w Kijowie, z prośbą o przesłanie go I do miejsca aktualnego pobytu adresata. W ciągu dwudziestu czterech godzin otrzymała telegraficzną odpowiedź od I Winawera, że rusza w drogę do Warszawy. Jakimś sposobem Estera Ajsner, przyjaciółka Cypkina z dawnych lat, dowiedziała się o chorobie Klary. Mimo posiwiąłych włosów Estera nadal należała do koła radykałów. Drugi Proletariat prawie już zlikwidowano. Dwie nowe partie socjalistyczne zwalczały się nawzajem. Wyłoniły się liczne ugrupowania i programy, trudno jednak byłoby określić, co prezentują. Słyszało się nazwiska Mendelsona, Róży Luksemburg, Daszyńskiego..Kręgi robotnicze powiązane z żydowskimi radykałami chciały

utworzyć partię. W Rosji socjaldemokraci odsunęli się jeszcze bardziej od narodników i socjalistów–rewolucjonistów, jak się obecnie zwali.

Tylko Estera Ajsner, wciąż pracująca jako szwaczka, była na dobrej stopie ze wszystkimi frakcjami. Przyszła do Klary ze swą przyjaciółką Karolą i wielkim bukietem kwiatów. Klara spotykała się od czasu do czasu z Esterą na ulicy, a raz nawet zamówiła u niej suknię.

Łzy stanęły w oczach Klary, kiedy Estera przyszła z kwiatami. Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie przed laty w pokoju Mirele tego samego wieczoru poznała Cypkina.

– Wszystkie dobre rzeczy przychodzą razem... – odezwała się Klara.

Kalman odmawiał modły na jej intencję w bóżnicy, Wysłał wiadomość do rabiego z Marszynowa, prosząc modlitwę za Klarę, i przychodził oo dzień zapytać o zdrowie. Cypkin zadepeszował, że przybędzie pierwszym kursującym parowcem. Jasza Winawer oderwał się od wszystkich swoich interesów i przyjechał. Przyniósł nie tylko kwiaty, lecz cały kosz smakołyków, których Klarze nie wolno było jeść, takich jak kawior, łosoś, ciasta, likiery i bakalie. Z racji pełni lata miał na sobie biały garnitur i białe półbuty oraz kapelusz panama kupiony w Nowym Jorku. We wzorzysty krawat wpiął szpilkę z brylantem.

Ukląkł przy łóżku Klary wołając:

– Klaro Daniłowno, pani musi wydobrzeć, słyszy pani?

No, jeśli muszę, to muszę – odparła z sarkazmem.

– Klaro Daniłowno, pani jest jeszcze młoda. Przed pandą wiele lat życia.

– Ta wiadomość zainteresuje Boga.

Usiadł przy łóżku Klary i nie dał się stamtąd ruszyć.

Opowiadał jej o swoich podróżach, interesach, znajomościach, mówił o uczuciu dla niej. Przyszedł Sasza i Klara przedstawiła mu Jakuba Mojsiejewicza.

– Pan nie wie, Siergieju Kalmanowiczur odezwał się Winawer H jaką ma pan matką!

– Wiem, wiem. Proszę, niech pan mówi dalej.

– Nadzwyczajna kobieta. Wciąż piękna, a przy tym inteligentna.

– Czy mama to słyszy?

– Tak, słyszę, Gdzie były przedtem te miłe słowa?

Lekarz zabronił Klarze za dużo rozmawiać, więc Jasza Winawer wyszedł wreszcie z pokoju i usiadł w salonie.

Dał napiwki służącej i pielęgniarce podały mu chętnie herbatę. Starał się zbliżyć i zaprzyjaźnić z Felusią, ale dziewczynka spędzała większość czasu w swoim pokoju.

Jakby uważała, że choroba matki to udawanie, to jeszcze jeden z jej egoistycznych kaprysów. Winawer palił grube cygaro, prowadził rozmowę z Esterą Ajsner i Karolą. One sądziły, że obecne rządy niedługo potrwają, bo ludność się zbuntuje.

Jasza Winawer zareplikował:

– Jeden szwadron kozaków rozproszy ich, rozbiegną się jak szczury.

– Ludwik XVI też miał armię.

– Kozacy to nie Francuzi. Kiedy szarżują na koniach, z gołymi szablami, głowy spadają...

– Dlaczego opisuje to pan z taką satysfakcją, panie Winawer?

– Kto mówi, że mi się to podoba? Musimy jednak mieć porządek. W Biblii jest mowa o tym, że kiedy niewolnik ma zostać królem, ziemia drży.

– Więc niech zadrży – przerwała Estera – i niech zadrżą wszyscy tyrani. Zbliża się ich kres.

– Jeśli o mnie chodzi, niech tak będzie. Nie jestem ty ranem. Czy jednak podróżowała pani kiedy pociągiem, którego obsługa zamierza zastrajkować?

– To na pewno niezbyt przyjemne. Ale czekają nas większe nieprzyjemności, panie Winawer. To dopiero początek...

U drzwi wejściowych zadźwięczał dzwonek. Sabina dotrzymała słowa i przyszła zobaczyć się z Klarą, co prawda o jeden dzień później, niż przyrzekła, i bez Kubusia.

IV

Z każdym dniem Klara nabierała sił. Chciała wstać, lekarz jednak uprzedził, że niebezpieczeństwo nie minęło.

Jasza Winawer odłożył na bok wszystkie swoje interesy.

Przy jej łożu spędzał całe dni, a nawet noce – sypiał, wtedy na kanapie. Czytał jej gazety, rozprawiał o polityce, teatrze, operze, giełdzie, doradzał kupno pewnych akcji, które nabył dla siebie, mających przynieść znaczne dywidendy. Często wspominał, że jak tylko Klara odzyska zdrowie, musi z nim zamieszkać. Ożeni się z nią i zaadoptuje Felusię. Klara wciąż powtarzała, że to już za późno, ale w głębi duszy budziła się nadzieja. Kto może wiedzieć? Ludzie wychodzą z choroby. Jeszcze nie jest stara. Czyż to nie cud, że nawet w jej obecnym stanie kocha się w niej mężczyzna? Taki mężczyzna jak on łatwo znalazłby młodą kobietę. Jasza Winawer gawędził bez przerwy, Klara zamknęła oczy. Największą jego wadą jest ta ustawiczna paplanina. Nie była przyzwyczajona do mężczyzn opowiadających wszystko, co im przychodzi do głowy. Przypominał plotkującą kobietę. Czy jednak może wybredzać w takim stanie, w jakim jest? Zaczęła żałować, że wezwała Cypkina, ten ją tylko zdeprymuje. Mimo to pragnęła go zobaczyć i cieszyło ją, że on chce przyjechać.

Sabina okazała się kwaśna jak ocet, dokładnie taka, jak ją Cypkin opisał przed laty. Wyszuszone i pomarszczone, ubrana w kosztowne stroje, które na niej wyglądały jak wyciągnięte ze śmietnika, rozpytywała o Aleksandra. Mówiła takie rzeczy, że omal nie wywołała u Klary ponownego ataku. Skąd ta pewność, że Felusia to córka Aleksandra, a nie tego drugiego mężczyzny, jak on się nazywa? A nawet jeśli jest córką Aleksandra, Kubuś jako prawy syn z prawego łoża nie może stanąć twarzą w twarz z siostrą, bękartem. Ma on również przyrodniego brata w Ameryce. Jeśli chodzi o Sabinę, tamten rozdział życia zamknęła raz na zawsze i nie życzy sobie do niego powracać. Nie chciała nawet usiąść. Nie zdjęła futra ani rękawiczek stojąc pośrodku pokoju dała upust swej goryczy i wyszła nawet nie życząc chorej powrotu do zdrowia. Po wyjściu Sabiny wydawało się Klarze, że gość zostawił za sobą odór,

kazała więc służącej rozpylić perfumy.

Odwiedzających nie brakowało. Celina, cioteczna siostra, a zarazem macocha, przyjechała z Jampola z dwiema córkami, przyrodnimi siostrami Klary. Celina nie wyszła ponownie za mąż po śmierci Daniela Kaminera.

Sasza utrzymywał ją i jej liczne potomstwo, miała też dochód z wynajęcia domu męża. Minęły czasy, kiedy Celina wylegiwała się całymi dniami w łóżku. Straciła urodę. Stała się teraz rozlaną, zaniedbaną kobietą o smutnych, zmęczonych oczach i nogach spuchniętych po ciężkich porodach. Dziewczynki były ładne, ale robiły wrażenie wygłodzonych i brakowało im ogłady. Klara obawiała się, że zabrudzą mieszkanie. Siedziały w kuchni i opychały się jedzeniem. Służąca skarżyła się, że wyciągają wszystko wprost z garnków. Aczkolwiek Celina przyjechała rzekomo zatroskana zdrowiem Klary, wylewała przed nią własne żale. Myszkowała w spiżarni i szafie, oglądała każdą suknię, halkę i majtki. Grzebała wszędzie i wypytywała Klarę, czy jeszcze nosi to lub tamto z ubrania. Klara wszystko jej oddawała. Celina zabrała smakołyki przyniesione przez Winawera, wpychała drobne przedmioty za dekolt, resztę do koszyka. Klara powiedziała żartobliwie, że Celina może więcej na tym zyska, jeśli szybciej wyjedzie, bo zdarza się i tak, że osoba ubiegająca się o spadek musi opłacić kosztą pogrzebu.

Celina się obraziła.

– Przecież zabieram to dla twego młodszego rodzeństwa.

– Tak, wiem o tym.

Celina i jej córki wyszły obładowane pakunkami. Klara wyrzucała sobie, że uważa potomstwo swego ojca z późnego okresu jego życia za zupełnie obce. W testamencie zapisała wszystko Felusi. Tym razem nie musiała zlecać służącej rozpylania perfum. Dziewczyna myła wszystko i szorowała po gościach, narzekając, że panienki przywiozły ze sobą pchły. Interesy wezwały Saszę z powrotem do Jampola. Po kilku dniach i Jasza Winawer musiał się zająć swymi sprawami. Oznajmił Klarze, że czeka go wyjazd za granicę, który odkłada do jej pełnego powrotu do zdrowia.

– Nie wiem, co pan takiego we mnie widzi, Jakubie Mojsiejewiczu–

powiedziała Klara – w kobiecie schorowanej i już niemłodej.

– A kim ja jestem? Młodzieniaszkiem?

– Mógłby pan mieć młodą pannę.

– Miewałem młode panny.

– A może chodzi o to, by zostać wkrótce wdowcem? Pewnego wieczoru, kiedy długi, błękitny zmierzch okrywał cieniem twarz Klary, Jasza Winawer wyznał, że zakochał się w niej, kiedy żyła jeszcze z Mirkinem. Ten ostatni nie szczędził kalumnii, opowiadał, że Klara ma perwersyjne upodobania. Najpierw nastawiło to Jaszę wrogo, lecz wkrótce uczucie wrogości przemieniło się w swego rodzaju miłość. Podczas nocy, które spędzała z Mirkinem, Jasza nie potrafił zasnąć. Próbował przekazać jej swoje uczucia – spotykała go wzgarda z jej strony.

Stale podkreślała, że jest on jedynie lokajem. Pewnego razu, kiedy we troje grali w karty, Klara mówiąc o waletach nazywała ich lokajami i fagasami, czyścibutami, spoglądała przy tym na Jaszę spod oka. To go tak rozwścieczyło, że zaprzysiągł zemstę: rozkocha ją w sobie i zrobi swoją metresą.

– To dlatego wysłał pan tamten list?

– Borys Dawidowicz mi go podyktował.

– Nie, Jakubie Mojsiejewiczu, Mirkin go panu nie podyktował. Pan sam go napisał.

– Zapewniam, że nie.

– Tak, to pan.

– Przysięgam na Boga, że to nie ja.

– No cóż. W miłości i na Wojnie wszystko jest dozwolone – zacytowała.

Milczeli przez długą chwilę. Potem Klara się odezwała:

– Jeśli wyzdrowieję, otrzyma pan zadośćuczynienie.

Jednakoż stan Klary się pogorszył. Uległa drugiemu atakowi, lekarze oświadczyli, że są bezsilni. Zapadła w letarg. Leżała na wpół śpiąc, wyczerpana, nieświadoma upływu czasu. Miała niepojęte sny. Znajdowała się jednocześnie w Warszawie i Ameryce, jechała pociągiem, a zarazem statkiem. Pociąg wjechał na statek, Klara dziwiła się: "Jak to możliwe? Chyba ułożono tory na wodzie: Muszę śnić. To śmierć nadchodzi"...

Przyszło jej do głowy, że powinna się wypowiedzieć, ale natychmiast myśl ta ją opuściła. Pamiętała, że Aleksander przyjedzie, żeby się z nią zobaczyć i wyobrażała sobie to spotkanie. Wydawało się, że się pomylił i zamiast do Warszawy pojechał do Indii, a może do Chin, między dzikich tubylców rządzonych przez chana, kalifa, maharadżę. Sułtan chciał, aby Aleksander poślubił jego córkę, on jednak odmówił. Był zdecydowany przyjechać do Klary. Przekupił eunuchów, ale ktoś go zdradził – to Jasza Winawer! Teraz Klara nie uwierzy żadnym jego słowom. Czyż jednak to możliwe, aby.

Aleksander przebywał w Indiach, skoro siedzi przy jej łóżku i z nią rozmawia? Z jego zachowania przebija bezgraniczne oddanie. Ach, to wszystko majaczenia....

– Proszę pani, chcę położyć kompres.

Pielęgniarka przyłożyła zimny kompres do piersi Klary i podała lekarstwo. Klara z trudem je przełknęła, straciła wszelką chęć do jedzenia i, picia. W tym, czego przed chwilą doświadczyła, jest zaprawdę coś dziwnego. Podniosła prawą rękę, a ona pozostała na pościeli, jakby Klara miała dwie prawe ręce. Podniesiona ręka była przezroczysta widziała przez nią zegar, pokrycie krzesła, kafle pieca. "Czy to ani się wydawało, czy tak istotnie jest?" Spojrzała w dół i widziała poprzez pled.

"Czy ktoś dostrzegł, że coś dziwnego dzieje się ze mną?" Nie. Teraz akurat ona dwie głowy, a ta druga oderwała się ód pierwszej. Czy jej ciało jest Skorupą okrywającą jakieś drugie ciało? A może to jest jej dusza? "Czy umieram? A może już umarłam?" Nie, wciąż jeszcze żyła. Służąca zapaliła lampę. Jakub Mojsiejewicz czytał gazetę. "O czym on czyta z takim skupieniem? Dlaczego tak go pochłania

lektura?" Klarze chciało się śmiać.

Często śniła, że może latać. Ale tym razem to nie sen.

Opuściła na chwilę łóżko, stała się nieważka i eteryczna, choć. była tą samą Klarą. Wzbiła się w górę i przeleciała przez pokój. Boże w niebiosach! Unosiła się nad stołem, krzesłem, nad Jakubem Mojsiejewiczem. Rzuciła okiem na gazetę i przeczytała nagłówek artykułu: ktoś się podał do dymisji. Przeleciała nad wezłowiek własnego łóżka.

Wielki Boże, spoglądała na samą siebie. Patrzyła na dół i widziała drugą Klarę, chorą i bladą. Czy ta druga umarła?

Nie, jeszcze oddycha. Klara jej wcale nie żałuje. Odnosi się do niej tak obojętnie, jak do ścinków włosów lub opiłków paznokci. Ta druga postać to już nie ona, to tylko powłoka. Czy. może lecieć dalej? Poruszyła się i przeleciała przez mur. Znalazła się na zewnątrz, widziała okna, balkony, drzewa. Na niebie świecił księżyc. Chciała lecieć dalej, coś ją jednak zatrzymało. Nieodparta siła przyciągnęła z powrotem, Klara znów przeniknęła ściany, wracając do pokoju, i weszła w tę drugą Klarę z trudem łapiącą oddech. – Klaro, kochana! Klarucho!...

Mamo!... Klara otworzyła oko.. O co chodzi?

Wlewano jej coś do ust. Nacierano czoło czymś wilgotnym. Poczwała zapach octu i kropli Walerianowych. Uprzytomniła sobie, że już umierała i przywrócono ją do życia.

Długą chwilę leżała spokojnie, odczuwając wszystkie bóle i udręki ciała: wzdęty brzuch, nie funkcjonujące jelita, ciężar serca bijącego tak słabo, jakby wisiało na nitce. Chciała się odezwać, ale nie potrafiła wykrztusić słów. Zebrała siły i wyszeptała:

– Co w. gazecie?

Wszyscy ucichli, wymieniając zdumione spojrzenia.

Potem Jakub Mojsiejewicz odparł:

– Minister spraw wewnętrznych podał się do dymisji.

– Proszę pokazać gazetę.

Znów wymienili spojrzenia. Jakub Mojsiejewicz przyniósł gazetę i trzymał ją

przed oczami Klary. Poznała duże litery i nazwisko. Wobec tego nie śniła. Faktycznie Wzleciała ponad głowę Winawera i "Kurier Poranny".

Uśmiechnęła się, zamknęła oczy i poczuła wielką ulgę.

Po chwili rozwarła źrenice. Gromadzące się w pobliżu pieca różne postacie nabierały ludzkich kształtów.

Wszystkich rozpoznała: ojca, matkę, ciotkę, dziadków.

Twarze im jaśniały, rzucając blask zaćmiewający światło lampy stojącej na stole. Emanowała z nich radość, jakiej nigdy przedtem nie widziała. A to kto? Grisza? Wydawało się, jakby chcieli się do niej zbliżyć, tylko że nie mogą.

Klara pragnęła do nich przemówić, nie zdołała jednak otworzyć ust. Zamknęła oczy, ale oni nie znikali. Matka uśmiechnęła się do niej. "Jak to jest możliwe, że jestem jej dzieckiem? – zadała sobie pytanie. – Ona jest taka młoda, mogłabym być jej matką"...

Klara umarła tej nocy. Nie ułożono jej według pobożnego obyczaju na podłodze, lecz zostawiono na łóżku.

Zakryto twarz jedwabną chustą, zapalono dwie świece.

Wysłano Felusię na nocleg do żony oficera zaprzyjaźnionego z Saszą. Jasza Winawer przesiedział przy zwłokach calutką noc. Znalazł jej modlitewnik i po chwili wahania zaczął recytować psalmy śpiewnym głosem, jak to słyszał u swego ojca, matki i dziadka. Nie rozumiał hebrajskiego, wszakże same słowa były pełne treści. Od czasu do czasu unosił zasłonę z oblicza Klary. Czy jest świadoma, że on tutaj przebywa? Czy go słyszy?

W miarę upływu godzin twarz zmarłej coraz mniej przypominała Klarę. Nos się wydłużył i nabrał semickiego wyglądu, jak gdyby za życia udawało się Klarze panować nad jego kształtem. Usta się otworzyły i Jakub Mojsiejewicz już nie zdołał ich przymknąć. Jedno oko się rozwarło,5 źrenica obróciła się białkiem jak u ślepeca. To już nie była Klara, pozostała tylko powłoka, cząstka wieczności.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

I

Minęło lato, jesień, a potem zima zapanowała w Warszawie. Miasto się rozwijało założono już elektryczność.

Wkrótce podobno będzie można telefonować z Warszawy do Łodzi, a nawet do Petersburga i Paryża.

Niemal codziennie ukazywały się w prasie wiadomości o wynalazkach w zakresie techniki. Mimo tych wszystkich osiągnięć Warszawa tonęła w błocie po kolana i wszędzie się widziało obdartych i głodnych ludzi. Wiele nowych domów wzniesiono pomiędzy już istniejącymi, zabudowano też całe nowe ulice, zagęszczenie rosło.

Całe rodziny tłoczyły się w wilgotnych i ciemnych suterrenach, komorne szło w górę. Doktor Marian Zawadzki, liberał, opublikował cykl artykułów w popularnym piśmie medycznym, przytaczając statystyki wykazujące, że z racji uprzemysłowienia oraz rozwoju medycyny i higieny populacja Polski wzrosła i jest więcej gąb do nakarmienia niż chleba. Nie biorąc pod uwagę roku bieżącego, w którym wyjątkowo przyrost ludności spadł nieznacznie, jeśli utrzyma się nadal na tym samym poziomie, zapanuje stały kryzys, innymi słowy – głód.

Przypominając czytelnikom prawo maltuzjańskie, doktor Zawadzki wzywał również Rosję do odrzucenia średniowiecznych przesądów i wszechstronnego rozważenia sprawy regulacji urodzin, jak to uczyniły Anglia, Francja i wszystkie kraje cywilizowane. Pewne pismo katolickie bezzwłocznie opublikowało artykuł atakujący nie tylko doktora Zawadzkiego, lecz wszystkich liberałów, sufrażystki, socjalistów i ateistów. Artykuł poświęcił też sporo miejsca bogatym Żydom podchwytyjącą każdą nową ideę, aby tylko przemycić do Polski zachodnioeuropejską dekadencję.

Dziwnym zrządzeniem losu, kiedy doktor Zawadzki pro wadził tę polemikę, w jego ognisku domowym narastała tragedia, którą na pewno oceniłby jako

średniowieczną. Brat Felicji, Lucjan, od wielu miesięcy mieszkający u Zawadzkich, nagle zniknął. Pewnego październikowego popołudnia wyszedł z domu i już nie wrócił. Felicja zamartwiała się przez kilka dni i płakała, wreszcie zawiadomiła policję. Poszukiwania okazały się daremne. Dała ogłoszenie w gazetach, żadna odpowiedź nie nadeszła. W krańcowej I rozpaczycy zwróciła się wreszcie do pani Chmielskiej, jasnowidza i medium. Pani Chmielska próbowała wywołać ducha Lucjana, a kiedy się nie zjawił, doszła do przekonania, że Lucjan nie przebywa "po tamtej stronie". Szklana kula wskazuje, że brat Felicji żyje. Mieszka w Warszawie lub w okolicy i powróci. Dla przekonania o tym Felicji wywołała duchy hrabiego i hrabiny Jampolskich, które zapewniły bolejącą córkę, że Łucjan istotnie żyje, tylko zaplątał się w aferę miłosną, z której, przy bożej pomocy, wkrótce się wywikła. Kobieta-medium zaciągnęła kotary, potem się usadowiła z Felicją za stołem i wpadła w trans. Głos, który rozległ się w ciemności, wydobywający się z jakiegoś rogu czy tuby, nie był głosem Chmielskiej, tylko należał do starego polskiego generała poległego w powstaniu kościuszkowskim. W czasie seansu Felicja czuła nad głową chłodny powiew. Coś czy ktoś dotykał jej szyi, klepał po policzku. Nie miała żadnej wątpliwości, że Chmielska faktycznie nawiązała kontakt z duchami. Dręczyła ją inna myśl: stosowność zasięgnięcia porady u jasnowidza. Czy powinna była tu przyjść? Czy ta Chmielska to nie jakaś czarownica? Kościół w bardzo ostrych słowach odżegnywał się od spirytystów i tym podobnych, nazywając ich narzędziem szatana, Marian zaś wyśmiewał się z nich, uważając za szarlatanów.

Felicja postanowiła nie wspominać o tej wizycie ani mężowi, ani spowiednikowi.

Po raz pierwszy zataiła grzech przed księdzem, toteż dręczyły ją wyrzuty sumienia. Powróciła bezsenność.

Zniknięcie Lucjana odbiło się i na dzieciach. Władzio, który od nowego roku zamierzał wstąpić do akademii medycznej, skarżył się, że wzmianki w gazetach o ojcu utrudniają mu życie, a koledzy wywodzący się z wyższych sfer towarzyskich traktują go lekceważąco.

Zaczął przebąkiwać, że wyjedzie na studia do Krakowa, a nawet do Francji.

Powszechnie wiedziano w Warszawie o matce Żydówce i ojcu, który odbył karę więzienia za morderstwo. Któryś z uczniów ujawnił nawet nazwisko dziadka Władzia, Kalmana Jakobiego, i tak z niego szydził, że młodzian wyzwał go na pojedynek. W ostatniej chwili interwencja kolegów pozwoliła uniknąć rozlewu krwi. Słyszano, jakoby Władzio miał się wyrazić, że wolałby, aby ojciec w ogóle nie wrócił.

Córka Lucjana, Marysia, zdążyła się przywiązać do swego tatusia. Całował ją i pieścił, przynosił upominki.

Wpadła teraz w nastrój przygnębienia. Zamknęła się w sobie, sposepniała i płakała w nocy przez sen. Dziwne, bo i Janina się zmieniła po nagłym odejściu Lucjana.

Dzieliła dotychczas pokój z Marysią, obecnie zaś nagle coś je poróżniło. Przeniosła się do pokoiku w głębi mieszkania, mimo że nie był ogrzewany. Jedynie doktor Zawadzki nie przejął się zbytnio zniknięciem szwagra.

Oznajmił bez ogródek, że Lucjan to psychopata, maniak, kryminalista i lepiej by było dla nich, gdyby się trzymał z dala od rodziny. Przebywając w ich domu palcem nigdy nie ruszył. Jego całe zajęcie to gadanina, przechwałki, wylegiwanie się, obżarstwo. Kiedy Marian dał mu do przepisania rękopis, Lucjan nie "posunął się poza pierwszą stronicę. Dzieci Lucjana miały dobry charakter i były pracowite, co dla doktora stanowiło przekonujący dowód zbijający twierdzenia pewnych uczonych na temat dziedziczności. U niego w domu wychowywało się przecież troje dzieci, które obalają mit o dziedziczności, natomiast potwierdzają tezę o wpływie otoczenia i wychowania.

Doktor Zawadzki wziął na swe barki wciąż rosnący ciężar pracy. Miał w domu stałe godziny przyjęć, współpracował z dwoma szpitalami, jeździł na wizyty do chorych. Pisał artykuły z dziedziny medycyny, opracowywał przyczynki do encyklopedii, był autorem podręcznika i czynnie uczestniczył w działalności licznych stowarzyszeń. Światło w jego gabinecie rzadko gasło przed drugą nad ranem! Rozważano powołanie go na profesora Uniwersytetu Warszawskiego, zaprzepaścił jednak tę szansę głoszeniem liberalnych poglądów.

Mimo to cieszył się powszechnym poważaniem.

Wielokrotnie wzywano go do pałacu generał-gubernatora. Był domowym lekarzem najwyższej polskiej arystokracji. Marian Zawadzki, syn szewca ze Starego Miasta, zaszedł wysoko. Jego żona Felicja już się zestarzała i dawno utraciła swe powaby, lecz mąż wciąż był zakochany w tej przywiedłej kobiecie. Byłą mu oddana jak prawdziwa matka. Doskonale prowadziła dom.

Własne dzieci nie mogłyby mu dać więcej radości niż te adoptowane – a może nawet mniej, bo bardziej by się nimi przejmował.

Pewnej nocy, kiedy zajęty był pisaniem artykułu o patologii serca, usłyszał ciche kroki za drzwiami gabinetu i pukanie. Weszła Janina w szlafroku narzuconym na długą nocną koszulę i w rannych pantoflach. Zawadzki spojrzał zdziwiony.

– Jeszcze nie śpisz?

– Jest mi niedobrze, tato. – Co ci dolega?

– Serce.

– Serce? Skąd wiesz, że to serce? Z tej racji, że mieszkasz u doktora?

– Mocno bije.

– Powinno bić. Podejdź no bliżej. Przyłożył słuchawkę do jej piersi.

– Zdrowa jesteś jak ryba – mruknął. Idź spać.

Janina, chodziła do ostatniej klasy gimnazjum i miała wiosną zdawać maturę. Ostatnio zaczęła się źle uczyć, miewała oceny niedostateczne. Poszła do gimnazjum z opóźnieniem. Koleżanki nazywały ją "matką", bo kiedyś jej się wymknęło, że jak wyjdzie za mąż, to będzie miała dwanaścioro dzieci. Nauczyciele też często z niej żartowali. Nazywali ją "panną Janiną", gdyż była najstarsza w klasie i Wyróżniała się spośród innych dziewcząt pełnym biustem i szerokimi biodrami. Była wiejską dziewczyną, nauka nigdy nie przychodziła jej łatwo, obecnie zaś wydawało się, iż straciła wszelki do niej zapal. Felicja napomykała, że przydałby się korepetytor. Pewnego wieczora doktor zawołał Janinę do gabinetu, chcąc sprawdzić jej znajomość trygonometrii.

Dziewczyna nie miała żadnego pojęcia, jak jest różnica między sinusem a cosinusem. Wziął kartkę papieru oraz ołówek i polecił jej przynieść cyrkiel i linijkę.

Rysował szybko kąty, linie i figury geometryczne, cały czas besztając Janinę z udaną srogością. Po chwili zaczął krytykować cały system nauczania w Rosji i tym razem gniew jego był szczery. W zachodniej Europie pedagodzy ustawicznie pracowali nad unowocześnieniem metod dydaktycznych, zbliżeniem procesu nauczania do życia oraz ułatwieniem go i uprzyjemnieniem, tymczasem w Polsce mało kto nawet słyszał o Pestalozzim. Zawadzki wyjaśnił Janinie, jak proste są w swej istocie te pojęcia matematyczne. Sinus, cosinus, tangens, cotangens to nie jakaś zawiła abrakadabra, lecz wyrażenie wartości i zależności zrozumiałych dla ośmioletniego dziecka.

W miarę jak Zawadzki zapalał się do wyjaśnianego tematu, podnosił głos coraz bardziej, policzki Janiny okrywały coraz mocniejsze rumieńce. Nie wiedziała, w jakim stopniu krytyka dotyczy jej własnej osoby, i z wysiłkiem powstrzymywała łzy. "On może mi pomóc. Czy mam wyznać mu prawdę?" – przebiegło jej przez myśl. Ten drobny człowiek, niższy od Janiny, o porytym zmarszczkami czole, z dwiema kępkami siwych włosów na czaszce, ma I pieniądze, znaczenie, wiedzę, mądrość, ona zaś nie ma niczego, tylko zakutą głowę, a na dodatek jest grzeszna. Straciła niewinność. Oddała się Lucjanowi, mordercy swego ojca. Już trzeci miesiąc nie ma miesiączki. Ach, wszystkich zdradziła: Boga miłosiernego, swego świętej pamięci ojca, tych dobrych, szlachetnych ludzi, którzy wzięli ją do siebie, Marysię, Władzia, wszystkich. Jedynym dla niej wyjściem jest śmierć. Nie, nie wyzna mu tego, woli zginąć. Pozbierała drżącymi rękami kartki oraz przybory rysunkowe i wróciła do swego pokoiku. Nogi jej ciążyły jak drewniane kłody, z trudem nimi poruszała. Potknęła się na progu, nieomal upadła. Czy doktor coś zauważył? Czy coś podejrzewa?

"Ach Boże, ześlij na mnie śmierć! Już teraz! Uwolnij mnie od tego wstydu! – Padła na d łóżko i jęczała. – Jak Lucjan mógł ze mną tak postąpić! Co on uczynił. Lepiej by było, gdyby mnie posłał tam, gdzie przebywa mój ojciec!

Zasłużyłam na karę. Śmierć to za łatwe wyjście. Powinni mnie poćwiartować i polać rany octem. Żebym choć miała dość odwagi, aby się wypowiedzieć przed księdzem, ale jej nie mam. Nie mogę. Zbrukałam własną duszę, Kościół i komunie świętą."

Janina miała buteleczkę jodiny kupioną w aptece. Czy to dość, by się otruć? A może lepiej się powiesić? Czy i Wejść na poddasze, tam gdzie popełniła grzech, i rzucić się z okna? Nie, nie, po co brukać ulicę krwawymi zwłokami i obarczać Zawadzkich wydatkami na trumnę i pogrzeb? Najlepiej rzucić się do Wisły. Ryby ją zjedzą, a dusza pójdzie do piekła.

Szlochała z cicha przykrywszy poduszkę ręcznikiem, aby jej nie zmoczyć. Tak, musi to zrobić, zanim Wisła zamarznie. Czy ma zostawić list? Czy Zawadzcy powinni się dowiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny? A jej własna rodzina? Ma matkę, siostry, braci, są dumni, że ich siostra się kształci i wychowuje w bogatym domu. A co z nim? Gdzie się podziewa Lucjan? Czy choć o niej myśli? Czy żałuje tego, co zrobił? Nie. Tacy mężczyźni jak on nie mają wyrzutów sumienia, chełpią się swymi podbojami.. Kiedy leżał przy niej, opowiadał coś o jej ojcu – nie pamięta dokładnie słów. Jakby się chwalił swym kuzynem!

Czyż można sobie wyobrazić równie potworne zachowanie? Kto potrafi uwierzyć, że dziewczyna taka jak Janina może dojść do podobnej rozwiązłości!

Obejmować zabójcę ojca, słuchać jego grzesznych słów, poddawać się brukającym pieszczotom! Całować usta bluźniące Bogu, ludzkości, wszystkiemu, co święte. Czy znajdzie się na całym świecie osobnik bardziej podły?

Sam Lucyfer nie potrafiłby uknuć czegoś równie ohydneho.

Łkanie przeszło w spazmatyczny szloch, Janina włożyła pięść do ust, by go przygłuszyć w obawie, iż ją usłyszą w dalszych pokojach. Stopniowo się uspokoiła, łązy obeschły. Leżała po ciemku, bez ruchu, napięta.

Kolejne etapy "zalecania się" napływały falami wspomnień: jak to Lucjan zaczął od pocałunków przy mijaniu jej w korytarzu, szeptania pochlebstw, chwytania zębami za małżowinę uszną opowiadał ekscytujące historyjki o apaszach paryskich, którymi chciał wzbudzić w niej podniecenie opowiadał o Stachowej, Kasi, Bobrowskiej i o swojej żonie, Żydówce, zmarłej w Otwocku. Stopniowo usidlał Janinę. Przyrzekł zabrać ją do Kalifornii, na Korsykę, w podróż morską rozpoczną nowe życie, założą rodzinę. Doprowadził ją do takiego stanu, nie myślała wyłącznie o tym, jak tu wykraść każdą minutę, aby ją spędzić razem z nim. Uciekała się do

nikczemnych podstępów z przebiegłością urodzonego oszusta. Posuwała się do kroków, które oceniała obecnie jako niepoczytalne, na przykład szła z nim do łóżka w pokoju na poddaszu, którego drzwi nie zamykały się na klucz, gdy tymczasem Felicja przyjmowała gości w salonie. Opanowało ją pożądanie jak ladacznice Zresztą czyż nią nie została? Czy jest czymś lepszym? Właściwie jest gorsza od prostytutek. Później zaś, kiedy zaczęła wyrzucać sobie takie życie i robić mu wymówki, odszedł po prostu bez słowa. Na pewno wałęsa się obecnie w okolicach Tamki z koleżkami Wojciecha Kułaka i romansuje z tuzinem innych kobiet. Zresztą, kto wie? Mógł wrócić do Bobrowskiej, zwłaszcza że jest tam Kasia.

Nagle coś się Janinie przypomniało. W przeddzień zniknięcia Lucjan czytał na poddaszu gazetę pamięta, jak się odezwał: “No więc, ten stary pies wreszcie zdechł. Miał na myśli Cybulskiego, kochanka Bobrowskiej Pamiętała dobrze, jak Lucjan wspomniał, że stary dyrektor mieszka z Bobrowską i Kasią. Jeśli tak, to adres Cybulskiego może być w gazecie. W umyśle Janiny powstawał mglisty plan zrodzony z rozpachy. Jak z ową słomką, której chwyta się tonący. Przyszło jej do głowy, że gazeta musi, nadal leżeć w pokoiku na poddaszu, bo nikt tam nie zaglądał. Usiadła nasłuchując i powstrzymując oddech. I mimo że zamierzała skończyć z sobą, chciała go jeszcze raz jeden zobaczyć i powiedzieć to, co powtarzała sobie w myśli po sto razy na dzień.

II

Rano, przed pójściem do gimnazjum, Janina powiedziała Felicji, że zamierza po szkole odwiedzić rodzinę. Felicja nieco się zdziwiła, zwykle Janina chodziła w odwiedziny w sobotę, ale nie wyraziła sprzeciwu. Zdawała sobie sprawę, iż dziewczyną czuje się nieszczęśliwa, przypisywała to jednak złym stopniom.

Tego dnia w szkole do Janiny nie docierała treść żadnej lekcji. Świadectwo maturalne, przedtem tak ważne, straciło całe znaczenie. Mądrość i wiedza, które nauczyciele starali się uczniom przekazać, wydały się czymś odległym. Jeden z nauczycieli, pan o rumianych policzkach i siwych bokobrodach, miał lekcję logiki i objaśniał pojęcie sylogizmu. Chcąc ułatwić klasie przyswojenie prawidła, przytoczył wierszyk po łacinie, z którego zapamiętała jedyny wyraz "barbara". "Co ma z tym wspólnego jakaś Barbara?" zastanawiała się.

Podczas przerwy, chcąc uniknąć rozmowy z innymi dziewczętami, wymknęła się do ubikacji. Dwie dziewczyny weszły razem do sąsiedniego pomieszczenia, a Janina słysząc ich chichoty wyobrażała sobie, że mówią nieprzyzwoite słowa. Mogą to robić, są jeszcze dziewicami... Wyszła ze szkoły od razu po ostatniej lekcji, nie czekając na Marysię, która chodziła do niższej klasy. Gimnazjum znajdowało się na ulicy Marszałkowskiej. Skierowała się ku Świętokrzyskiej. Stamtąd ulicą Bagno i Pańską dojdzie do Żelaznej.

Janina znalazła gazetę na nekrologu Cybulskiego podano adres, którego szukała. Notatka głosiła, że zmarły mieszkał w ciągu ostatnich tygodni w domu zaprzyjaźnionej z nim Elżbiety Bobrowskiej, wdowy po aktorze, Wincentym Bobrowskim, znanym z ról charakterystycznych w wielu sztukach reżyserowanych przez Cybulskiego. Janina wyruszyła teraz na poszukiwanie Lucjana.

Opuściła szkołę jeszcze za dnia, lecz zimowy zmrok szybko zapadał. Rano padał deszcz, po południu wszakże oziębiło się, deszcz przeszedł w kłujący śnieg, ostry jak igły. Niebo, zawisłe nisko nad blaszanymi dachami, nabrało rdzawożółtego koloru, śnieg opadał porywistymi splachciami wielkimi jak chusty. Na Świętokrzyskiej jakiś mężczyzna krzątał się przy niedużym, przenośnym piecyku

i sprzedawał pieczone ziemniaki był to nieomylny zwiastun zimy. Cienka smuga dymu usiłowała wydostać się z rury. Tragarze przystawali, chcąc rozgrzać ręce. Oczy ich wyrażały zastygłą tępotę ludzi pozbawionych nadziei. Nadeszła stara praczka uginająca się pod ogromnym tłumokiem bielizny. Trudno było pojąć, że nie upadła pod takim ciężarem. "Nie tylko ja, inni też się męczą – pomyślała Janina. – Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to na myśl?" Rozejrzała się wokół, chcąc dać komuś jałmużnę, ale i żebracy chyba niechętnie wychodzili na dwór w taką pogodę. Gdyby tak w pobliżu znajdował się kościół, gdzie mogłaby upaść na kolana przed świętą figurą! Zaczęła przemawiać do Boga. Przychodziły jej na myśl wyrazy i całe zdania zasłyszane od Felicji: "O Boże miłosierny! Ty widzisz moje cierpienia. Ty znasz me krwawiące serce!

Prawda, zgrzeszyłam, ale to były czary, zaślepienie...

Matko Święta, co mam robić?" Śnieg twardniał. Igły szronu osiadające na futrzanym kołnierzu Janiny już nie topniały, lecz stopniowo utworzyły białą kryzę wokół szyi. Ulica opustoszała. Janina: szła dalej po skrzypiącym śniegu mieniącym się kryształami lodu. Wszystko dookoła okryło się bielą: trotuary balkony, kominy. Obok przeszedł Żyd z czarną brodą obsypaną śniegiem. W długim surducie i butach z szerokimi cholewami torował sobie drogę w śnieżycy. Dokąd zdąży? Była pewna, że do swego kościoła, choć o innej nazwie. On też musi się modlić. W sklepieniu za ladą siedziała stara Żydówka w czepku na głowie i robiła skarpetę na czterech drutach, zręcznie przebierając palcami. Czy zdaje sobie sprawę ze swego szczęścia?

Ma męża, jej dzieci są z prawego łoża, nie bękarty nie kłopotuje się ani egzaminami, ani maturą. Wtem, jakby znikąd, zjawił się wysoki mężczyzna z długą tyczką, na której czubku migotał płomień. Czy to latarnik? A może anioł niosący ogień z niej ba? W tym miejscu nagle ulica się obniżala. Janina mijala szeregi małych warsztatów, miejsce pracy, a zarazem zamieszkania szewców, krawców i blacharzy. Mężczyzna o rozwichrzonych, kręcących się włosach, z twarzą usmarowaną sadzą jak kominiarz, wyciągał coś cęgami. Nie wolno patrzeć na niego – przeleciało jej przez myśl Dziecko mogłoby się urodzić ze skazą! Uśmiechnęła się blado na tę

pierwszą oznakę instynktu macierzyńskiego.

Janina znalazła się wreszcie na ulicy Żelaznej, ale poi wstała tu nowa trudność. Numery domów nie były oświetlone jak w lepszych dzielnicach miasta, zresztą śnieg je całkowicie zakrył. Na rżesach Janiny osiadły gęsto płatki śniegu, światła latarni ulicznych padały na nią ukośnymi promieniami, jakby płonące słomki. Wreszcie "ktoś wskazał właściwy dom, weszła do bramy skoczył do niej pies, odpędziła go tornistrem. Jakaś rozmamłana dziewczucha wyszła z wiadrem i chlusnęła pomyje tuż pod nogi Janiny. Zapytana o numer mieszkania, wskazała ręką zewnętrzną klatkę schodową i podniosła palec do góry. Stopnie schodów się chwiały, Janina wchodziła po nich ostrożnie. Zastukała do drzwi, odpowiedzi nie było.

Pchnęła je i naraz ktoś wrzasnął: – Zamykać drzwi! To nie lato!

Otyła kobieta stała przy stole prasując suknię. Lampa naftowa oświetlała pokój. Papuga zaczęła skrzeczeć.

Janina widziała wszystko jak przez mgłę wirujących jej przed oczami spirali i kół.

– Proszę tam zostać Obmiotę śnieg. – Kobieta chwyciła miotłę i z impetem oczyściła ze śniegu buciki Janiny.

– Co pannę tu sprowadza w taką śnieżycę?

– Czy pani jest panią Bobrowską?

– No pewno, a kim mam być?.. – Przepraszam, ale... – Nie mogła powiedzieć nic więcej.

– No, proszę mówić. Żelazko mi stygnie. Czego panna chce? Czy dać coś do uszycia?

– Proszę mi wybaczyć, ale czy pani zna przypadkiem hrabiego Lucjana Jampolskiego?

– Czuję, że to o niego chodzi! – Kobieta tupnęła nogą z tryumfem. – Zupełnie tak, jakby serce mi podpowiedziało. Co takiego zrobił? Chodzisz panna z brzuchem?

Janina poczuła ostry ból i zaczęła się wycofywać... – Nie ma potrzeby uciekać. Jestem prostą kobietą i wyrażam się bez ogródek. Proszę zdjąć palto

i siadać. Zagrzać się.

Mam doświadczone oko, ot co. Nie trzeba mi pokazywać palcem. Tu jest taboret, proszę się przysunąć do pieca.

Jeśli będę mogła w czymś pomóc, to pomogę.

Janina czuła ucisk w gardle. Strach łączył się z dawno zapomnianym nawykiem posłuszeństwa oraz uczuciem ulgi, że można się z kimś podzielić ciężarem zmartwienia. Udało jej się wyszeptać ledwie dosłyszalne:

– Dziękuję.

Proszę się rozebrać, zdjąć palto, żeby na dodatek do innych kłopotów nie przeziębnić się po wyjściu na dwór. Za chwilę skończę prasować. No właśnie, palto można położyć na ławie. Ten hrabia, o którego panna pyta, tu bydlak, kryminalista, największy łotr w całej Warszawie. Jak to się wpadło w jego szpony? Wygląda mi panna na przyzwoitą osóbkę.

– Proszę pani...

– Tylko bez płaczu. Dokończę prasować ten żakiecik i porozmawiamy.

Okropna pogoda, no nie? Trzeba było włożyć kalosze i wziąć parasolkę. Proszę odłożyć tornister z książkami. Nikt ich tu nie ugryzie.

Bobrowska nabrała w usta wody z kubka stojącego na stole i spryskała sztukę odzieży, którą prasowała.

III

Janina mówiła i płakała. Wydmuchiwała nos i ocierała łzy chusteczką. Nie tknęła herbaty podanej przez Bobrowską, która przysłuchiwała się z uwagą, od czasu do czasu klaszcząc z emocji w dłonie.

– Wielki Boże! – wybuchnęła. – Górka ofiary! wyprawił ojca na tamten świat, zgwałcił córkę, obdarzył ją bękartem. Czy może być coś bardziej nikczemnego na całym świecie? Ten człowiek ma kamień zamiast serca!

To kreatura nie posiadająca duszy danej od Boga, tylko od czarta. Wcielony diabeł. Ci szlachetni ludzie wzięli sierotę do swego domu, wychowując razem z jego dziećmi, które miał z tą żydowską suchotnicą. Ach, biedactwo, robi mi się niedobrze! To nie do wiary!

Człowiek bez sumienia! Wściekły pies, drapieżny wilk.

Jak mogło dojść do Zniżenia między wami po tym, co zrobił z ojcem? No tak, oczywiście, słodkie słówka, gładki język. Ach, on wie dobrze, jak się do tego zabrać, on wie. Jeśli czegoś zapragnie, potrafi być słodziutki jak miód, ten szatan. Na wskroś go poznałam. Wolałabym wcale nie znać. Lata za kobietami i płodzi bękarty. I mnie oszkalował. Kiedyś się przyjaźniliśmy, wciąż przychodził, czuł się tu jak u siebie jadł mój chleb. Wystarałam się dla niego o rólki u Cybulskiego, niech odpoczywa w pokoju, a jak on mi się wywdzięczył? Przez niego straciłam reputację, ciągnano mnie po sądach i obsmarowano w gazetach. Wypuścił się z domu i popełnił okropne morderstwo, zostawiając mi na karku swą ukochaną i bękarta. Matka tej dziewczyny,! czyli Kasi, uratowała go od szubienicy, a on zgwałcił córeczkę. To jego zwyczaj: unieszczęśliwić całą rodzinę. Po wiem szczerze, nie rozumiem, jak można pójść do łóżka z mordercą ojca, ale to już się stało i nie ma o czym mówić. Nie odzyska się straconego dziewictwa. No cóż, to nie nagana. Bogu wiadomo, że nie mogę na nikogo rzucić kamieniem. Ale skoro już tu panna przyszła, trzeba wszystko wyznać jak rodzonej matce.

Janina na nowo wybuchnęła płaczem.

– Gdzie... gdzie on jest? – za łkała.

– Gdzie on jest? – roześmiała się Bobrowska ochryple. – A to ci pytanie. Zaszedł tu po wyjściu z więzienia, ale go posłałam do diabła. Kazałam i tej Kasi spakować się i wynosić. Gdzieś tu jest w pobliżu na służbie, a chłopiec przebywa u dziadka, notorycznego pijaka. Żal mi dziecka, ale co poradzić? Nie mogłam dłużej trzymać u siebie Kasi z tym jej łajdackim kochankiem, który rozgościłby się tu na dobre. Jeśli ciebie porzucił, moje dziecko, to już go nie znajdziesz. Albo się wyniósł z kraju – mała szkoda – albo przebywa z tymi wyrzutkami społeczeństwa, których poznał w więzieniu. A nawet gdybyś go panna znalazła, to i co z tego? Co byś zrobiła, posypała soli na ogon?

– Proszę pani, co ja mam począć?

– No, dość tego płaczu. Gdyby panna była prostą dziewczyną, powiedziałabym –: urodzić dziecko. Tyle bękartów biega po świecie, co ma za znaczenie jeden więcej? Ale tu sytuacja jest inna, panna nie może chodzić z dużym brzuchem. Jeszcze nic nie widać, ale niedługo to nastąpi i niesława spadnie na pannę. Ile czasu minęło od ostatniej miesiączki?

– Trzeci miesiąc.

– No więc jest jeszcze szansa... skrobanka. Znam kobietę, która się tym trudni, byłoby po kłopotach. To sprawa ryzykowna, no i grzech dla osoby religijnej, lecz czy jest inne wyjście? Wypędzą pannę z domu, a ta hańba zabije rodzoną matkę, mogłaby się targnąć na życie. Często się dziś robi skrobanki kiedyś zdarzały się bardzo rzadko, teraz wiele kochliwych pań ucieka się do tego zabiegu.

Bóg rzucił klątwę na nas, kobiety. Ten zabieg kosztuje i wiąże się z pewnym niebezpieczeństwem. Ale osoba, którą mam na myśli, zna się na rzeczy, to – jak je nazywają – dyplomowana akuszerka, dawniej pracowała w klinice. Bierze dwadzieścia pięć rubli, ale nie ma obawy o skrzepy. Wraca się do domu, parę dni leży się w łóżku i nikt o niczym nie wie. Ona stawia jeden warunek, żeby w razie czego – przecież można złamać nogę choćby przechodząc przez ulicę – trzymać język za zębami. Dlaczego to panna nie pije herbaty?

– Dziękuję, bardzo dziękuję.

– No, proszę obetrzeć łzy. Wpadła panna w wielkie tarapaty i trzeba się z nich

wydostać. Być może na drugi raz będzie mądrzejsza. Czy są pieniądze?

– Pieniądze? Nie.

– Trzeba zapłacić dwadzieścia pięć rubli. Z góry. I wracać od akuszerki dorożką. Jak już się panna znajdzie w domu, łatwo o jakąś wymówkę: źle się czuje, zrobiło jej się słabo, coś w tym rodzaju. Nietrudno zamydlić ludziom oczy. Żeby tak miała pieniądze, to bym dała albo pożyczyła, panna by mi zwróciła, a zresztą to nie takie ważne. Sama, niestety, nic nie posiadam. A może jest jakaś biżuteria czy coś w tym rodzaju?

Janina poczuła się pewniej. Przestała płakać, zdjęła beret, zjadła talerz kaszy i kromkę chleba, które podała jej Bobrowska. Wchłaniała słowa dopiero co poznanej kobiety, zdziwiona rodzącym się zaufaniem do obcej osoby. Tak, ma pierścionek z oczkiem i kolczyki.

Zastawić? Oczywiście, chętnie je zastawi, ale czy nie wzbudzi podejrzenia w lombardzie? Na pewno wezmą ją za złodziejkę. Nie ma też pojęcia, gdzie szukać lombardu... Mówiąc to Janina dziwiła się własnym słowom. W ciągu tego popołudnia dojrzała. Posługiwała się słowami tak niedawno f wzbudzającymi w niej odrazę.

Przywodziły one na pamięć opowiadania sąsiadek, które przychodziły do jej matki na poufne zwierzenia.

Zmieniła nawet ton głosu. Jak to jest? Czy można aż tak bardzo zmienić się w jednej chwili?

– Dlaczego w lombardzie mieliby podejrzewać – odrzekła Bobrowska – wszak panna jest już dorosła, młoda osoba. Oczywiście nie należy iść w berecie ani z tornistrem. Najlepiej pójść do Żyda. Żyda nie obchodzi, kim jest klient and skąd pochodzi biżuteria, jego interesuje tylko własny zysk. Obejrzy pod szkiełkiem, czy przyniesiona biżuteria jest prawdziwa, i wręcza pieniądze razem z kwitem, na którym podaje wysokość należnego procentu. Jeśli procent i pożyczka nie zostaną spłacane, ma prawo sprzedać zastaw.

– Gdzie można znaleźć kogoś takiego?

– Pełno ich tu jest. Jeden nawet blisko stąd, na Żelaznej.

– Czy dostaną dwadzieścia pięć rubli?

– Jeśli te przedmioty są warte pięć razy tyle.

– Ale kiedy mam to załatwić? Chodzę do gimnazjum!

– Proszę dać sobie spokój z gimnazjum!

– Jakim sposobem? Przecież nie mogę im tego tak po prostu oznajmić. Wydali na mnie mnóstwo pieniędzy.

– No cóż, na to nie mam rady. Bóg świadkiem, przecież "nie muszę się mieszać do takich spraw. Panna jest dla mnie osobą obcą. Mogłam ją odesłać, by sobie znalazła kogoś innego do wysłuchania całej tej przykrej historii, ale taka już jestem. Jak widzę czyjeś nieszczęście, to mnie łapie za serce, nawet jeśli chodzi o kogoś obcego, a choćby i Żyda.

– Czy pani mogłaby... czy zechciałaby zastawie za mnie te przedmioty? Zupełnie się nie znam na tym wszystkim.

– Kiedy? Jak? Ja łacniej wzbudzę podejrzenie. Nie posiadam biżuterii. Kiedyś miałam. Nic me zostało oprócz tego krzyżyka. Kiedy panienka chce to zrobić? Im prędzej, tym lepiej. Im dłuższa zwłoka, tym niebezpieczniej.

– Tak, rozumiem.

– Po kiego czorta ja się w to wplątuje? – zawołała Bobrowska tonem wymówki pod własnym adresem. – Mało mi własnych kłopotów? No, proszę wsuwać tę kaszę. W moim wieku już pora dać ciału trochę odpoczynku, jak mi Bóg miły – już pora.

Bobrowska się podniosła, za chwilę znów przysiadła.

Jej ręce spoczęły na podolku, jedną zwinęła w kułak, w drugiej trzymała filiżankę po herbacie, którą wypila Janina.

Nastał późny sobotni wieczór. Doktor Zawadzki, Władzio i Marysia poszli do teatru. Felicja nie chciała z nimi iść, została w domu. Nie lubiła tych błahych komedii francuskich drwiących z Boga, Kościoła i życia rodzinnego.

Jak ludzie mogą w sobotni wieczór słuchać znieważania wszystkiego, co święte, a w niedzielny poranek iść spokojnie do kościoła, dziwiła się Felicja. Jak godzą tę rozwiązałą, czczą gadaninę z Pismem Świętym? Doktor argumentował, że w obecnej dobie wszyscy uczęszczają do teatrów, nawet księża. Nadto całe to

podniosłe słownictwo z Pisma Świętego nie pozostaje w żadnym związku z życiem codziennym. Komedie francuskie, choć frywolne, są bliższe rzeczywistości od nabożnych kazań.

Te wywody nie przekonywały Felicji. – Wolę poczytać książkę.

Zawadzki zaproponował również Janinie pójście do teatru, ta jednak wymówiła się wizytą u matki. Wyszła wcześniej, od razu po obiedzie, tłumacząc się, że wujek z Płocka przyjechał do nich w odwiedzinach i jej też oczekują na kolacji. Felicja nigdy dotąd nie słyszała wujku z Płocka, nie mogła wszakże zabronić Janinie widzenia się z matką. Dziewczyna ostatnio źle wyglądała wciąż była zamyślona. Felicja uważała, że w gimnazjum wymagają obecnie od dziewcząt za dużo. Muszą umieć historię od samego początku panowania każdego cara, każdego Iwana. Wbijano im do głowy cyfry i obliczenia, które później nie będą w życiu przydatne. Uczono wszystkiego,§ tylko nie tego, jak być pobożną chrześcijanką, wierną żoną i dobrą gospodynią. Bez wątplenia ta nowa edukacja jest zgubna. Młodzież uczy się chciwości, egoizmu, bezbożności i obojętności wobec starszych.

Felicja siedziała w swoim buduarku czytając historię świętych męczenników. Była to stara księga o złoconych brzegach i cennych sztychach, którą babka Felicji przekazała w posagu matce. Jednakże myśli jej odrywały się od tekstu. Zastanawiała się nad miejscem pobytu Lucjana. W jakim znowu bagnie się tarza? Jak mógł ktoś taki urodzić się w ich domu? Otrzymała właśnie list z Zamościa od Heleny, która jest już matką pięciorga dzieci. Starszy brat Felicji, Józef, przebywający od czasu powstania w Anglii, ma już małą wnuczkę nazywaną z angielska Catherine Joan. Z obszernych listów, które przysyłał raz do Toku na Boże Narodzenie, Felicja wnioskowała, jak bardzo zapomniał języka ojczystego.

Używał wielu anglicyzmów i wyrazów polskich wadliwie stosowanych. Nawet charakter pisma mu się zmienił. Kto wie, czy nadal jest katolikiem? Ożenił się z Angielką, a protestanci niewiele wiedzą o prawdziwej religii. Powieki Felicji opadły, zdrzemnęła się. Od razu przyszedł sen – krótki, lecz nader wyraźny. Widziała pokój pełen zapalonych świec. Na stole stała trumna. Mniszki półgłosem czytały z mszałów. Do pokoju weszły dziewczęta. Felicja drgnęła i się zbudziła. Przeżegnała

się. Jezu miłosierny, Matko Święta – zmiłuj się nad nami, zmiłuj! Załamywała ręce w najwyższym niepokoju. Tak wyraźnie to wszystko widziała, każdą świecę, każdy knot, metalowe okucia trumny, białe habity mniszek, poczuła nawet słodkawy zapach wosku i kadzidła! Jaki to znak? Jakie nowe nieszczęście? Czy to przepowiednia własnej śmierci? Ale żadne młode dziewczęta nie składałyby jej hołdu po śmierci... Poczwała nagły ziąb.

Gdyby tu stał klęcznik, jak kiedyś w domu rodziców!

Zaczęła się modlić, przywołując świętych męczenników, o których przed chwilą czytała. Przeżegnała się wielokrotnie. Zatopiona w modlitwie, usłyszała jak przez sen natarczywy głos dzwonka u drzwi frontowych.

Czyżby już wracali z teatru? Zegar wskazywał dopiero kwadrans po dziesiątej. Jakiś wypadek? Ręce tak jej się trzęsły, że z trudem powstała. Odbiło się jej, gorzka ślina napełniła usta. "Boże w niebiesiech, jeśli to jakieś nieszczęście, niech mnie ono przypadnie. Ofiarowuję siebie w ofierze.

Chętnie poświęcę za kogoś te lata życia, które mi zostały." Felicja usłyszała kroki służącej. Chciała biec sama do przedpokoju, ale lęk ją powstrzymał. Co tam się dzieje tak długo przy drzwiach? Wnoszą ciało! "Chryste, dodaj mi siły, aby znieść tę nową próbę. Niech się święci imię Twoje teraz i na wieki!" W tym momencie otworzono, drzwi pokoju i wprowadzono Janinę pobladłą jak kreda, i, lecz żywą. Służąca trzymała ją pod jedno ramię, a obcy mężczyzna, dorożkarz, pod drugie.

Przerażona Felicja odetchnęła.

– Co się stało?

– Zasłabła w dorożce – odezwał się dorożkarz.

– Szybko, połóżcie ją na kanapie. – Głos Felicji nabrał gniewnego tonu. – Co z tobą? – zawołała. – Będziesz żyła, słyszysz! Będziesz żyła! Ofiarowałam za ciebie własne życie. Biegnijcie po doktora, szybko. Zatelefonuję po pogotowie.

Doktor Zawadzki miał w gabinecie telefon zainstalowany od niedawna, Felicja jednak, jak dotąd, nigdy go nie używała. Wstrząsała się za każdym razem, kiedy aparat dzwonił. Była pewna, że w owych nowoczesnych urządzeniach tai się jakaś szatańska bądź magiczna moc.

Rzuciła się do telefonu, lecz w gabinecie było ciemno.

Pośpieszyła zatem do kuchni po zapalki, ale nie mogła ich znaleźć. Chwyliła w końcu lampę naftową i z nią wróciła do gabinetu. Lampa tak drżała, że Felicja się bała, by nie wypadła jej z rąk i nie wzniciła pożaru.

Płomyk podskoczył do góry, a kinkiet się zakołysał. Udało jej się postawić lampę na stole. Podeszła do ściany, na której wisiał telefon, podniosła słuchawkę, jak to robił jej mąż, i przyłożyła do ucha, ale odwrotnym końcem.

Próbowała ująć ją właściwie, lecz sznur się poplątał.

Usłyszała skrzeczący szmer.

– Szybko! – zawołała. – Pogotowie! Mówi Zawadzka, żona doktorat Głos na drugim końcu coś wykrzykiwał z czego Felicja nie rozumiała ani słowa. Dorożkarz! Może on ich zrozumie. Rzuciła się z powrotem "do buduaru, stawiając z wysiłkiem kroki tak, aby zachować równowagę. Janina leżała na kanapie, oczy miała otwarte. Zdjęto z niej palto, widać było zakrwawioną sukienkę.

– Mój dobry człowieku, potraficie obchodzić się z telefonem? Prędko!
Wezwijcie pogotowie.

– Koń zamarznie.

– Proszę mi pomóc, bardzo proszę! Wynagrodzę was.

Magdo, przynieś no wody. Proszę okryć tym konia. – Zerwała pluszową makatkę z kanapki i podała dorożkarzowi. Wyciągnął już po nią rękę, lecz nagle ją cofnął.

– Na miłość boską, zatelefonujcie! Magdo, pokaż drogę!

– Nie będę nigdzie telefonować. Ona poplamiała mi siedzenie w dorożce.

Należy mi się trzy ruble.

– Zapłacimy wam za wszystko! Gdzie mój woreczek?

Chryste, dopomóż mi! Dziecko, co z tobą? Co się stało?

Czy upadłaś? Czy miałaś wypadek? Odpowiedz, na miłość boską!

Dorożkarz odsunął czapkę z czoła.

– Nie było żadnego wypadku, proszę pani. Ona ma rodzić albo już poroniła. Tu potrzebna akuszerka, rozumie pani?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Tej samej zimy, poobiednią porą, Felicja jak zwykle siedziała w buduarze zatopiona w historii świętych męczenników. Doktor przyjmował pacjentów u siebie w gabinecie. Felicja przerzucała stronicę, zatrzymując się, aby podziwiać jakąś rycinę, i od czasu do czasu odpędzała od siebie senność klejącą jej powieki. Dzięki Bogu, Janina nie umarła, może dlatego, iż Felicja ofiarowała za nią resztę swego życia. Nie chciała jednak trzymać dziewczyny w domu, a Janina nie mogła chodzić nadal do gimnazjum. Doktor znalazł więc dla niej miejsce w szpitalu, gdzie miała uczęszczać na kurs szkolenia pielęgniarek, aby móc później zarabiać na życie. Cała ta historia jak cios spadła na Felicję, a i dla dzieci stanowiła ciężkie przeżycie. Wracała często myślami do swego snu. Czy to możliwe, by dało się odwrócić fatum, czyli coś, co jest z góry przeznaczone? Nagle usłyszała, że ktoś ostrożnie obraca klucz u drzwi wejściowych. A może tylko jej się to zdaje? Lecz nie, słyszy odgłos szybkich kroków i ktoś otwiera drzwi do jej pokoju. Przecież to Lucjan! Ubrany w krótką kurtkę, długie buty i czapkę z daszkiem, ulubione nakrycie głowy robotników i świata przestępczego. Zapuścił sobie brodę. Zdjął czapkę i przemówił:

– Oto jestem.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś? Czy przechodziłeś obok pacjentów?

– Nie miałem ochoty na rozmowę z tym wycieruchem – odparł, mając na myśli służącą.

Kiedyś Felicja powitałaby tak nieoczekiwane przybycie Lucjana radosnym zdziwieniem, ale od wypadku z Janiną doszła do takiego stanu, że już nic na świecie nie potrafiło jej zdziwić. Już by się nawet nie zdumiała, gdyby i Marysia popełniła taki czyn jak Janina albo Władzio poszedł w ślady ojca, bądź też odkryła, że mąż ma kochankę.

– A więc żyjesz.

– Żyję. Nie sądź, że przyszedłem, aby tu zostać.

Chciałem się tylko pożegnać, ot i wszystko.

– Wyjeżdżasz?

– Tak, do Ameryki.

– Uważaj, żeby Marian cię nie spotkał. Mógłby zareagować w sposób porywczy.

– Ach tak? Mam broń. Jeśli ktoś dotknie choć włoska na mej głowie, dostanie kulę w łeb.

Felicja zadrżała.

– Trzymaj się od niego z dala! To człowiek o dobrym sercu, ale gwałtowny. Nie zamierza nic złego. Kochał cię jak brata. Jest też od cię starszy.

– O ile starszy? Nikt nie obdarza mnie miłością, tak wygląda prawda. Nienawidzę wszystkich i mnie też nienawidzą. Jestem jak ścigane zwierzę. Muszę się wydostać z tej przeklętej Polski. Wszyscy chcą mnie zniszczyć.

Felicja poczuła, że siły ją opuszczają.

– Kto chce cię zniszczyć? Jesteś najgorszym wrogiem samego siebie.

– Dostyc tego babcinego gładzenia! Nie przyszedłem wysłuchiwać kazania.

Potrzebuję pieniędzy i po to tu przyszedłem.

– Dziękuję za szczerość.

– Ile mi możesz dać?

– Tyle ile mam, nie więcej, Od Mariana nie mogę nic wziąć. Ile ci trzeba.

– Pięćset rubli.

– Dam ci moje perły. Zastaw je. Są warte znacznie więcej.

– O ile więcej?

– Dwadzieścia razy tyle.

– Przyniosę ci kwit z lombardu lub zastaw je sama, jeśli wolisz. Gdzie jest ta Janina?

– Tutaj już jej nie ma! – A gdzie?

– Czego od niej chcesz? Jeszcze mało wyrządziła jej krzywdy?

– Powiedz, gdzie ona?

– Nie wiem. W jakimś szpitalu. Szkoli się na siostrę" miłosierdzia.

– W jakim szpitalu?

– Nie wiem. Nie wiem! Czego od niej potrzebujesz? Zostaw ją w spokoju.

Zresztą wyjeżdżasz.

Już i tak przysporzyłeś nam dość zgryzot.

– Jakich? Siedzicie tu w wygodach i ciepło przy piecu, gdy tymczasem ja gniję. Wylegiwałeś się pod kołdrą, kiedy ja walczyłem z tym przeklętym Iwanem.

Tułałem się po lasach, żywiąc się trawą. Ja też mogłem bogato Się ożenić i rozjeżdżać kareta. Mogłem pokajać się przed Rosjanami jak ci wszyscy zdrajcy, którzy się ześwinili, te sługusy Iwana!

– Braciszku, słowa na nic się nie zdadzą. Nad Polską zapadł mrok. Tylko Bóg może nas wesprzeć.

– Jaki Bóg? Boga nie ma. Poradzilibyśmy sobie sami, gdyby nie to, że jesteśmy narodem szczurów i robactwa. Nie chcę być dłużej Polakiem, słyszysz?

Chcę wyjechać do Ameryki i zapomnieć o tym cuchnącym kraju. Tam człowiek ma prawo być wolnomyślicielem. Czuję się chory, gdyż jestem zmuszony «yć wśród tego zakłamania, tych bajeczek o Odkupicielu, Matce Świętej i całej obrzydliwej hipokryzji.

Maria była cudzołożnicą, to jasne i proste, a Jezus to dziecko z nieprawego łoża, syn żydowskiego cieśli. Oto prawdziwa historia!

Felicja ze smutkiem potrząsnęła głową.

– Co ci dolega, braciszku? Co cię tak boli?

Lucjan się skrzywił.

– Wszystko, ot co! Cóż za świński wynalazek całe to i życie? Rodzimy się w śluzie i krwi, cierpimy ileś tam lat i idziemy na żer robakom. Cały ten interes mnie mierzili Co dobrego wyrośnie z moich przeklętych dzieci? I one pozdychają. Marysia z pewnością zdradzi jakiegoś mężczyznę. Władzio to młody byczek, zresztą... nikogo nie lubię. Może tylko ciebie odrobinę, ale jesteś już starą kobietą. Wyglądasz na lat siedemdziesiąt. Jesteś chora?

– Robi ci to jakąś różnicę?

– Nie, żadnej. Wszedłem tu i zdawało mi się, że widzę matkę. Ile ty masz lat?

– Raptem zmienił ton, – Felicjo, muszę uciekać!

– No cóż, nie mogę cię zatrzymać.

– Wiesz, co mi dolega? Wszystko. Jestem głodny, bez grosza, prześladowany, chory.

Felicja od razu się zaniepokoiła.

– Jesteś chory?

– To nieistotne.

– Czy coś poważnego?

Cień uśmiechu przemknął po twarzy Lucjana, a może było to złudzenie wywołane tym, że miał jedno oko większe od drugiego. Stał na wprost siostry, błądy jak śnieg leżący na dworze siwe pasma przetykały mu brodę, wysokie czoło poryły głębokie bruzdy, włosy się przerzedziły. Na wargach czaił się niedbały uśmiezek, coś jak szydery grymas pijaka. Felicja przyglądała się jego twarzy wykrywając w niej rysy, jakie tylko starsza siostra potrafi dostrzec: niektóre cechy fizjonomii ojca, cień podobieństwa do matki, a w całym wyrazie twarzy wiele z dawnego Lucjana z lat dziecińczych, kiedy Felicja z nim się bawiła. Zdawało się, że chce rzucić jakiś żart, lecz jakby nie mógł powziąć decyzji.

Wreszcie się odezwał:

– Nie ma zwyczaju przyznawania się do takich rzeczy, ale nabawiłem się choroby delikatnie zwanej “społeczną”.

– Można się wyleczyć.

– No tak.

Felicja ukryła twarz w dłoniach. Lucjan podszedł do okna.

Opuściła ręce i popatrzyła na brata. Chociaż z twarzy nie wyglądał staro, kiedy tak stał tyłem, zdradzał wiele oznak podeszłego wieku. Jedno ramię opadało niżej, włosy na karku sterczały jak srebrnawa szczecina.

Buty z cholewami, które miał na nogach, wyglądały jakby nie od pary. Felicja nagle uczuła przypływ sił. Powstała i podeszła do brata.

– Zdejmij tę kurtkę. Przeziębisz się.

Lucjan się nie ruszył.

– Lucjanie, nigdy nie jest za późno.

Obrócił się szybko.

- Daj mi te perły.
- Dostaniesz je, będą twoje. Potrzebujesz lekarza?
- Jakiego rodzaju lekarza? Twego cuchnącego męża?

Muszę już iść.

- Dlaczego? Dokąd?
- Muszę, to wszystko. Zostaw mnie.

Wcisnął rękę do kieszeni spodni. Felicja wyczuła, że ukrywa w niej rewolwer. Popatrzył na nią przenikliwym wzrokiem maniaka, nie pozbawionym dzieciniego wyrazu, jaki ma chłopczyk obdarzony nową zabawką.

“Gotów strzelić”, pomyślała Felicja. Dziwne, nie odczuła żadnej bojaźni, lecz wstrząsnął nią jakby spazm wewnętrznego śmiechu. “Więc tacy są ci mordercy, nędznicy, grzesznicy, uwodziciele? Tak wyglądają. To dzieciuch, niemądry chłopak! Dzieciak bawiący się bronią!” Przypomniała sobie słowa z Ewangelii świętego Łukasza: “Ojciec odpuść im, bo nie wiedzą co czynią.” Dotknęła ramienia Lucjana.

- Wyjmij rękę z kieszeni.

Cofnął się przed jej dotykiem. “I ją zastrzelę – pomyślał nagle. – Za dużo cierpi. Strzelę jej prosto w czoło”. Stał i wpatrywał się w Felicję z pewnego rodzaju niepoczytalną wyniosłością, z dumą kogoś, kto zastąpił do samych głębin upadku. “Niedługo się przekonam, czy jest Bóg, czy nie”... Chociaż nie wypowiedział swych myśli na głos, Felicja się odezwała:

- Niemądry z ciebie chłopiec. Bóg istnieje.

Ruszyła w kierunku drzwi, aby porozmawiać z Marianem.

Nagle nabrała pewności, iż mimo całego gniewu na Lucjana jej mąż przyjdzie mu z pomocą.

Lucjan spędził ten wieczór z Felicją i Marianem. Choroby weneryczne nie były specjalnością Zawadzkiego, zbadał jednak Lucjana i dał mu pewne leki, aby uśmierzyć bóle. Następnie zamówił wizytę na dzień następny u specjalisty, swego kolegi. Lucjan zobaczył się nawet z Władziem i Marysią. Dorośli siedzieli w jadalni i rozmawiali do późna. Doktor opowiadał o ostatnich osiągnięciach medycyny i powrócił do tematu, że człowiek, w jego przekonaniu, nie ma duszy. To, co przyjęło

się nazywać duszą, jest po prostu mózgiem i nerwami. Utrzymawał, że człowiek to maszyna, wprawdzie skomplikowana, ale tylko mechanizm. Cała natura jest de facto mechanizmem: system słoneczny, kosmos, każdy liść na drzewie, każdy kwiat w doniczce.

Podręczniki rozróżniają fizykę, chemię, botanikę, zoologię, kosmografię, lecz w naturze wszystko to działa we wzajemnym powijaniu. Felicja oponowała. Lucjan jednak trzymał stronę szwagra.

– Jakiej jest sedno mojej choroby? – spytał Mariana. – Czy ma ona związek z moim stanem fizycznym czy składem chemicznym?

– To jest wada funkcjonalna.

– Co to dokładnie znaczy?

– Mechanizm jest sprawny, tylko obluźowała się śruba.

– Czy sądzisz, że można ją dokręcić?

– To, czego ci brak, to po prostu żony i zawodu.

– Czym mogę się teraz zająć?

– Najpierw wyzdrowiej. Na twoim miejscu uczyłbym się farmacji.

– Uczyć się? W moim wieku?

– Nie jesteś taki stary. Mógłbyś znaleźć zamożną żonę.

– Ho, ho, szwagrze, jesteś optymistą.

– Nie, kobiety mają naturę perwersyjną. Podobają im się wykołajeńcy. –

Zawadzki przymrużył oko, chcąc zaznaczyć, że nie chce go obrazić.

Lucjan wziął kąpiel. Wypił herbatę z sokiem malinowym i ucałował Felicję przed udaniem się na spoczynek.

Ogarnęła go wielka czułość do siostry mimo że przyniósł jej tyle wstydu i cierpień, wszystko mu wybaczyła. Jeśli istnieje jedna taka osoba, dlaczego nie cała ludzkość?

“Czy jej stan fizyczny i skład chemiczny tak dalece się różni od mego? – rozmyślał. – Jesteśmy przecież rodzeństwem.” Wszedł do swego pokoju. Znowu ma dom, przynajmniej na razie. Siedział dłuższą chwilę na łóżku, dziwiąc się własnemu życiu, tym wszystkim nęcącym pułapkami, w które dał się złapać, wszystkim

powikłaniom losu. "Jak to mogło się dzieć? Dlaczego? – zapytywał siebie. – Czy szatan mnie opętał? Ta farsa musi się skończyć! – Przyglądał się czubkom butów. – Po prostu zostanę tutaj, ot co. Mam już tego dość. Definitywnie. Na zawsze. Jestem uleczony, uleczony." Rozebrał się, włożył rewolwer do szufladki nocnej szafki. Naciągnął kołdrę i momentalnie zasnął. Spał głębokim snem kilka godzin, nic nie śniąc. Nagle się zbudził, otworzył szeroko oczy, czuł się wyspany. Usiadł na łóżku i wpatrywał się w ciemność. Ustał piekący ból dokuczający mu ostatnio.

Zaczął myśleć o Janinie, która znalazła się w tym domu na skutek dokonanego przez niego zabójstwa jej ojca i musiała stąd odejść z jego winy. "Czy mi przebaczyła? – zadał sobie pytanie. – Tak, na pewno. Ona mnie kocha.

Szkoda, że nie ma pieniędzy – przyszło mu nagle na myśl. – Gdybyż była taką zamożną osobą, o jakiej mówił Marian! Mógłbym zostać aptekarzem, a ona moją żoną i pomocnicą. Wspólnie dozowalibyśmy lekarstwa za kontuarem. – Lucjan się uśmiechnął. – A już byłem zdecydowany uciekać do Ameryki albo wpakować sobie kulkę w łeb. To tylko nerwy. Nie mam już sił na tego rodzaju życie. Zostało mi parę lat, muszę je spędzić w spokoju." Zaledwie to pomyślał, a ogarnęło go dziwne przecucie, że nie pozostało mu wiele czasu: ani lat, ani miesięcy, ani nawet paru dni. Osiągnął drugi brzeg.

Siedział bez ruchu zasluchany w swe najtajniejsze "ja". O nic nie dba, nie ma pragnień, nie potrzeba mu snu, nie pragnie obudzenia. "Co się ze mną dzieje? – pytał. – Czy mój skład chemiczny gwałtownie się zmienił?" Ogarnęła go śmiertelna, ponura nuda, jakiej nigdy dotąd nie doznawał.

Otworzył usta, by ziewnąć, lecz tylko mu się odbiło.

Aptekarz, coś podobnego! Uczyć się? Chciało mu się śmiać. Ameryka? Parowcem? Do tych jankesów?

Szaleństwo, demencja. Pragnienia, ambicje, zainteresowanie ludźmi – to wszystko z niego opadło. Ma tego po dziurki w nosie. Przyszło mu naraz do głowy, iż w samym procesie życia tkwi rozkład. Znów się układać do snu? Znów się budzić? Jeść? No, nie! Iść do doktora! Do licha! Dość tego! Coś się w nim wyczerpało. W wewnętrznym mechanizmie coś się zużyło, jak w sapiącym spazmatycznie silniku

pracującym na ostatniej kropli paliwa. Jakby nabrał w siebie oparów benzyny i wypełnił się nimi aż po kraniec wytrzymałości. Starał się wyobrazić sobie przyszłość, lecz wyobraźnia była jak sparaliżowana. Mógł tylko biec myślą do tyłu, nie w przód. Zresztą i przeszłość utraciła całą barwę i smak.

Nie pozostało nic oprócz słów i samych imion: Marysia, Stachowa, Kasia, Bobrowska. Zrobił wysiłek, pragnąc przypomnieć sobie ich twarze, nie pamiętał wszakże, jak wyglądały. Wkrótce i imiona uciekły z pamięci. W komórkach mózgowych Lucjana zachodził dziwny proces. Tracił pamięć z minuty na minutę. Bobrowska stała się Chrobowską. Wiedział, że popełnia błąd, lecz nie potrafił go skorygować.

Wyciągnął szufladkę i wyjął rewolwer. "Tak, już nadszedł czas! – przemówił głos. – Nic ci nie pozostało." Po ciemku obracał ciężki przedmiot w słabych, jakby pozbawionych czucia rękach. Z trudem rozpoznał, gdzie lufa, a gdzie rękojeść. No tak, to już koniec. Boże, przebacz mi!

Coś zda się pojmował nie umysłem, lecz jakimś zmysłem. Wypełnił jakieś posłannictwo i jest wezwany z powrotem tam, skąd przybył. Zagiął palec na spuście i zbliżył lufę do skroni. Chwilę tak siedział, kiwając się, prawie drzemiąc z otwartymi oczami. Lufa ześliznęła się po policzku i oparła o brodę. Właściwie przestał być Lucjanem. Został wciągnięty w działanie, którego nie potrafił ani zrozumieć, ani wyrazić słowami. Scalął się E czymś, czego przedtem nie doznał nawet we śnie.

Nasłuchiwał, jak to coś wiruje, rozluźnia się i roztapia – ciało bez substancji, myślący byt pozbawiony znaczenia. Opadła bariera między istotą wewnętrzną, a tym, co zewnętrzne.

"Czy to śmierć? – zapytał. – Jednak ja wciąż żyję." Wszystkie wewnętrzne procesy ciała jakby się zatrzymały. Czuł potrzebę zwymiotowania, wyplucia wnętrzości. Nie mógł dłużej znieść ciężaru swego ciała. To koniec! W ostatnich sekundach jego umysł jeszcze snuł jakąś myśl, której już nie potrafił uchwycić.

Tak jakby mówił niezrozumiałym dla siebie językiem.

"Teraz!" – nakazał głos. Był to rozkaz nie do zlekceważenia. Musiał odegrać ostatni akt. Resztkami sił podniósł rewolwer i nacisnął spust. Nie poczuł żadnego

bólu, tak jakby ostrze przepołowiło mu czaszkę.

Następnego ranka ubrano Lucjana w nowy garnitur i ułożono w trumnie. Felicja zaniemogła, Marysia i Władzio czuwali przy zwłokach. Zawadzki nie uznawał ceremonii religijnych, ale Marysia zaczęła pochlipywać, domagając się odpowiedniego chrześcijańskiego pogrzebu dla ojca.

Zapalono świece we wszystkich lichtarzach i świecznikach. Ustawiono otwartą trumnę na stole. Dwie zakonnice – jedna młoda, druga stara – przyszły z kościoła Felicji i stały przy trumnie, odmawiając modlitwy za umarłych. Z nastaniem nocy Felicja odzyskała siły, przyprowadzono ją do salonu. Rozpoznała wszystko: trumnę ze srebrnymi okuciami, kapiące świece, zakonnice, zapach wosku i kadzidła. Głowa Lucjana, owinięta bandażem, spoczywała na atlasowej poduszce.

To już nie był Lucjan, to ktoś obcy o nieznanym rysach, pogrążony w milczeniu, w którym czaił się element strachu. Felicji się zdawało, że to milczenie krzyczy. Wszelako w pokoju panował nastrój uroczysty, jakby salon zamienił się w kościół. "Gdzie są dziewczęta?" – pomyślała. Drzwi się otworzyły szeroko weszła Janina z dwiema koleżankami. Płacz Janiny brzmiał prawie jak chichot. Podbiegła z krzykiem do trumny i opadła przy niej.

– Kocham cię! Kocham! Coś ty zrobił? Coś ty zrobił?

Rzucała się na trumnę, pokrywając ją pocałunkami.

– Iii – zawodziła. – Ii, iii...

Brzmiał tan lament jak żałobna pieśń przekazywana na wsi przez całe pokolenia chłopskie. Miał w sobie nutę stłumionego skowytu zranionego zwierzęcia. Dwie towarzyszki Janiny były jej koleżankami ze szpitala.

Felicja stała w kamiennym milczeniu. "Czy wszystko jest z góry określone? Czy człowiek jest niczym więcej jak zabawką? Czy taki koniec był Lucjanowi przeznaczony?" Coś się w niej wyczerpało. Złożyła ręce. Nie mogła płakać. Mąż podszedł do niej.

– Dlaczego to zrobił? Raptus z niego.

– Cicho, Marianie.

– Musisz się położyć. Zbladłaś jak kreda. – Wziął ją za nadgarstek

i przytrzymał usiłując sprawdzić puls. Bił nieregularnie, wolno, jakby się zastanawiał: bić dalej czy stanąć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

I

Azriel miał nieoczekiwanego gościa. W poczekalni, wśród pacjentów, siedziała pani w żałobie. Przyszła jako jedna z pierwszych, lecz widocznie chciała przeczekać, aż wszyscy wyjdą. Za każdym razem gdy Azriel otwierał drzwi gabinetu, wskazywała palcem w czarnej rękawiczce, aby przyjął następną osobę. W końcu weszła do pokoju i uniosła z twarzy gruby welon z krepy. Azriel miał przed sobą panią w podeszłym wieku, o pomarszczonej twarzy, zbielałych włosach i smutnych oczach. Z brody wyrastało kilka srebrzystych włosków, usta miała zapadnięte. Mimo wszystko robiła wrażenie osoby wytwornej, choć o nieco wyblakłej elegancji.

- Pan mnie nie poznaje, doktorze, lecz ja pana znam – odezwała się pierwsza.
- Strasznie mi przykro.
- Jestem żoną doktora Zawadzkiego... Może pan sobie przypomina hrabiankę

Felicję.

- Ależ tak, oczywiście! Pamiętam panią!
- Byłam na pańskim ślubie. Stałam obok baldachimu ślubnego.
- Moja pierwsza żona zmarła.
- Wiem o tym. Czytuję czasami "Izraelitę". Widziałam nekrolog.
- Tak.

Przez chwilę oboje milczeli.

- A jak się ma doktor Zawadzki? – zapytał Azriel.
- To pan nie wie? Mąż nie żyje.
- Kiedy zmarł?

– Widocznie nie czytuje pan doktor gazet. Pewnego ranka wstał zupełnie zdrów i nagle zakończył żywot.

Zapanowało milczenie. Ludzie ginęli jak muchy. Bał się zapytać o kogokolwiek.

- Bardzo żałuję – odezwał się wreszcie. – Doktor Zawadzki był doskonałym

lekarzem, a co ważniejsze, człowiekiem szlachetnym.

Felicja Skinęła białą głową.

– Tak, był człowiekiem wielkiego serca. Na swój sposób świętym.

– Świat, na którym żyjemy, jest tylko gospodą, my zaś przelotnymi w niej gośćmi..

– To prawda.

Felicja wyjęła chusteczkę otarła usta.

– Panie doktorze, nie przyszedłam jako pacjentka. Zresztą nie czuję się chora, a nawet gdybym była, nie zgłosiłabym się do lekarza. Przyszedłam w sprawie prywatnej.

– Jestem do pani usług. Proszę spocząć.

– Wiem, że mnie pan wyśmiej, doktorze, ale już do tego przywykłam. Jest panu oczywiście wiadome, że mój brat Lucjan opuścił nas z własnej woli.

– Tak, wiem wszystko.

– Wrócił z więzienia chory i rozbity. Chcieliśmy mu pomóc, lecz przeznaczona mu była zguba. Targnął się na własne życie. Pozostawił dwoje udanych dzieci, ich matką była Miriam–Liba, pańska nieżyjąca szwagierka.

Podobno dziadek tych dzieci jeszcze żyje, lecz nie chce znać wnuków, dzieci też się nim nie interesują. Nasze społeczeństwo jest pełne przesądów. Pora jednak powiedzieć, z czym do pana przyszedłam. Od czasu śmierci Lucjana jeszcze bardziej pociąga mnie okultyzm czy spirytyzm. Czuję, że stanowią one składnik religii chrześcijańskiej, a nawet żydowskiej. Czyż religia może pomijać nieśmiertelność duszy? Po śmierci Lucjana z całym zapalem zagłębiał się w te wierzenia. Znam argumenty sceptyków i nie biorę im za złe niewiary.

Wszyscy wątpimy, jednak w zetknięciu z prawdą zwątpienie staje się grzechem. Nie jestem pomyłona, można też polegać na mej prawdomównością. Widziałam duchy, rozmawiałam z nimi, dotykałam ich tymi oto dłońmi. To równie prawdziwe jak i to, że Stoję przed panem.

– Rozumiem, proszę mówić dalej.

– Nie pragnę głosić kazań ani starać się kogoś przekonać, żal mi jednak tych,

co się Znajdują u źródła i z niego nie piją. Niektóre osoby wolą nie poznawać światła.. Większość się boi. Wolą wierzyć w diabła.

Przyszłam do pana z pozdrowieniami...

Azriel podniósł głowę.

– Od kogo?

– Od Miriam–Liby. Przekazała je podczas ostatniego seansu. Powiedziała również, że spotkała się z siostrą, pańską żoną.

Azriel przygryzł wargę.

– Wiem, co pan myśli, doktorze, ale jej głos brzmiał tak wyraźnie, jak w tej chwili głos pana. Umarli żyją, na pewno.

– Oby tak było istotnie.

– To prawda. Córka zna głos swych rodziców. Rozmawiałam z ich duchami niezliczoną ilość razy. Mówili mi o rzeczach nikomu poza mną nie znanych.

– Słucham dalej.

– Wiem, że jest pan bardzo zajęty. Chciałabym jednak, coś zaproponować.

Należę do zamkniętego kółka osób, do którego nie zapraszamy byle kogo. Cynicy by nam Przeszkadzali. Sądzę jednak, że pan poszukuje prawdy.

Zmarła Miriam–Liba często o panu mówiła i wysławiała pod niebiosa. Kontakt z panem stanowiłby dla niej wielką radość. Azriel się uśmiechnął.

– Na pewno zna mój adres.

– Ach, doktorze, na wszystkie świętości, proszę się wyzbyć sarkazmu. To zbyt poważne rzeczy.

– Przykro mi, proszę pani, nie mogę jednak uwierzyć, aby zmarła kobieta, której ciało uległo rozkładowi, potrafiła mówić przesyłać pozdrowienia. Jak może mówić, jeśli jej struny głosowe są martwe. A jeśli jej duch żyje,. dlaczego przemawia tylko podczas seansu? Jeśli nawet przyjmujemy fakt samoistnego objawienia, to w odniesieniu do mediów, jest rzeczą wiadomą, iż to złodzieje i szarlatani.

–I Skąd taka pewność? Przyznają, że są wśród nich oszuści, ale ci się zdarzają we wszystkich zawodach.

Pani Bielska, która prowadzi nasze kółko, to osoba posiadająca nadzwyczajne

moce.

– Jakie to moce? Skąd na nią spłynęły? Pociąga mnie religia, nie znoszę jednak fanatyzmu i zakłamania ani też ludzi wykorzystujących osoby osamotnione i rozkojarzone. Jeśli pozostał pewien ślad po Miriam–Libie, dlaczego miałyby się objawić jakiejś pani Bielskiej?

Dlaczego nie mnie lub jej siostrom? Gdzie tu logika?

– Panie doktorze, nasza ziemską logikę nie potrafi wszystkiego wyjaśnić.

– Ja jednak nie mogę uwierzyć w te wszystkie zjawy.

Mogę przyjąć fakt, że dusza Miriam–Liby jest w niebie.

Bóg wszystko może. Żeby jednak jej dusza zjawiała się i przysyłała mi pozdrowienia z tamtego świata tylko wówczas, gdy grono szarlatanów pogasi lampy, tego już za wiele.

– No cóż, doktorze, przepraszam. Przyszłam z dobrymi chęciami.

– Nie wątpię i serdeczne dzięki. Jeśli ta wiara jest pomocna dla pani, nie chcę jej odbierać.

– Nie udałoby się to panu... Moje oczy widziały, moje uszy słyszały. Po śmierci Lucjana byłam jak pusta skorupa. O zgonie Mariana nie potrafię nawet wspominać.

Moja biedna głowa to jakby kowadło bożego młota. Ciosy zaczęły spadać, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką.

Jedno nieszczęście po drugim. W tym już tkwiła ręka Opatrzności. Postradałabym zmysły bez tej podpory.

Wszystkich odzyskałam: rodziców, Lucjana, Miriam–Libę i mego męża. Okazują mi swą miłość, wskazują drogę i uczą, jak przetrzymać wszystkie zsyłane próby.

Wiem, że wkrótce połączę się I nimi i wyglądam tego dnia.

Nie jestem już potrzebna Władziowi i Marysi. Adoptowałam też kiedyś dziewczynkę, która dzięki Bogu wyszkoli się na pielęgniarkę. Ale mój biedny brat zostawił jeszcze jedno nieślubne dziecko, syna, i nim najbardziej się martwię. Może pan doktor przypomina sobie...

– Tak, pamiętam. Miał syna z jakąś służącą. – Kasia, to imię matki dziecka. Chłopiec nazywa się Bolek. Matka jego nie otrzymała żadnego wykształcenia. Pracuje jako służąca. Niejaka Bobrowska starała się nauczyć ją szycia, ale Kasia nie potrafiła opanować tego fachu.

Nadal się dziwię, jak mój brat mógł utrzymywać stosunki z tak prostą dziewczyną. Bolek już dorósł, nie należy jednak do naszej sfery. Posyłałam go do gimnazjum, ale z niego uciekł. Został kelnerem, lecz i w tym zawodzie się nie wyróżnia. Ciągłe przychodzi do mnie po pieniądze i wplątuje się w różne nieczyste sprawy. To syn mego brata i wnuk Jampolskich. Jego ojciec i dziadowie nie mają przez niego spokoju w grobie, mnie zaś nie pozwala odejść z tego świata...

– Ma więc i on swoją misję na tym świecie.

– Ja nie żartuję.

– Tak, wiem. Istnieje, proszę pani, coś takiego, co się zowie dziedzicznością, a co mimo wielu kontrowersji na ten temat wywiera największy wpływ na nasze życie.

– Dlaczego więc Władzio nie nabył tych złych cech?

– Prawo dziedziczenia cech stanowi tajemnicę większą niż te wszystkie media z ich czarną magią.

– Wierzę, że w każdej kropli nasienia zawarty jest duch.

– W takim razie każdy człowiek nosi w sobie miliony duchów.

– Tak właśnie.

– Możliwe. Co do mnie, proszę pani, zamierzam wyjechać do Palestyny i chyba tam się osiedle. Proszę powiedzieć o tym mojej szwagierce. Może się zjawi, by mnie pożegnać.

– Dlaczego do Palestyny, jeśli wolno spytać?

Sam nie wiem dlaczego. Mam tam syna. Coś nas, Żydów, popycha z powrotem do miejsca, skąd przybyliśmy.

– No tak, a jednocześnie jest pan racjonalistą?

– Nie jestem.

– i Czytałam w "Izraelicie" o emigracji Żydów. Uciekają od carskich

pogromów, ale jest w tym oczywisty plan boży.

Przypuszczałam, że dotyczy to jedynie osób zainteresowanych rolnictwem.

Czy można tam wykonywać zawód lekarza?

– Mam nadzieję. Dlaczego nie? Jeśli chodzi o kulturę żydowską, nie może się zespolić z innymi kulturami. Musimy albo się stać w pełni Żydami, albo zginąć.

– To prawda.

– A jak jest na tamtym świecie? Czy Żydzi się zasymilowali?

– Ach, panie doktorze, rozgniewałabym się, gdyby nie to, że pan przypomina mi męża. Miał podobne poczucie humoru, ale w istocie był mistykiem. Zszedł z tego świata jak święty. Obecnie" jego poglądy się zmieniły. Wciąż mi powtarza, że prawdę można znaleźć tylko w ewangelii, a nie w świeckiej wiedzy.

– Co robią na tamtym świecie żydzi, mahometanie, buddyści, bramini? Czyż mogą istnieć odmienne prawdy religijne?

– Tego nie wiem. Kontaktuję się tylko z chrześcijanami.

Nie wszystkie duchy są jednakowe.

– Na to wygląda. Słuchając pani odnosi się wrażenie, że tamten świat jest równie zagmatwany jak ten.

– Królestwo boże jest niezmierzone.

II

Wkrótce po pogrzebie Klary trzeba było pośpiesznie przewieźć Kalmana do szpitala. Nie mógł oddać moczu.

Przeprowadzono operację, ale dni mijały, a on nie był w stanie usiąść w łóżku. Jochewed co dzień odwiedzała ojca w szpitalu. Towarzystwo Opieki nad Chorymi – którego członkowie dawniej zbierali się na modlitwę w domu Kalmana, on zaś pełnił funkcję jednego z szarfiesów w tym zgromadzeniu – przysyłało swych członków,, aby czuwali przy jego łóżku. Jochewed zaproponowała umieszczenie ojca w separacie, Kalman nie życzył sobie" jednak być odosobniony od bliźnich. Trudno było znieść cały ten hałas, odór i jęki chorych, ozy jednak człowiek został zrodzony, aby korzystać z samych przyjemności Pielęgniarka odgrodziła go parawanem, Kalman nałożył tałas i tefilin. Zabrał do szpitala modlitewnik, Pięcioksiąg i Początek mądrości. Nie prosił Wszechmogącego o dłuższy żywot. Przeżył już przeznaczony mu czas. W każdej wolnej chwili odmawiał modlitwy i czytał księgi.

Sasza odwiedził ojca, przyniósł kwiaty i słodycze lecz Kalman kazał zabrać te wszystkie pokusy. Ciasteczka i czekoladki rozdzielono wśród chorych. Sasza przyrzekł odmawiać za ojca kadisz słysząc to Kalman pokiwał głową. Wiedział, jaki żywot prowadzi syn.

Kalman zastanawiał się nad dobiegającym kresu życiem. Zdobył bogactwo, potem szczęście go opuściło.

Pochował dwie ze swych czterech córek. Jego zięć, rabi z Marszynowa, jest u progu śmierci. Azriel żyje z jakąś przechrztą. On, Kalman, spełniał uczynki miłosierne, ale w stopniu niewystarczającym. Mógł wesprzeć posiadany majątkiem wiele więcej ludzi, pragnął wszakże nowych połaci ziemi nowych dzierżaw. Mógł poślubić kobietę godną szacunku, zakochał się jednak w Klarze. No cóż, niedługo wypadnie mu zdać sprawozdanie! Pozostawi za sobą chrześcijan, bezbożnych Żydów, pokolenia nikczemnych jednostek. Myślał o Zeldzie. Czy wolno mu będzie z nią przebywać? Żyła umarła w pobożności. Kto wie, na jakie wyżyny wzniosła się jej dusza? On poniesie karę. W jednym widzi pociechę: w miłosierdziu bożym. Bóg

zna miarę człowieka będącego tylko popiołem i prochem.

Wokół Kalmana umierali ludzie. Jeden z chorych poprosił o szklankę herbaty, a w chwilę potem już leżał sztywny i pielęgniarki zabrali go do kostnicy. Młody mężczyzna krzyczał całą noc. Rankiem umilkł. Tutaj w szpitalu miało się właściwą ocenę człowieka: kupa kości.

Czy jednak człowiek jest w pełni odpowiedzialny za swe szaleństwa? Przecież musi jeść i gdzieś mieszkać. Dopóki oddycha – targają nim namiętności. Młodzi lekarze zalecali się do pielęgniarek, a one, kręcąc się przy łóżkach umierających, odpowiadały uśmiechami, flirtowały i chichotały na korytarzach. Na lewo od Kalmana leżał Żyd -heretyk, nazywał się Todros Bendiner. Powiedział Kalmanowi, że zna Azriela, który mieszkał kiedyś u niego przy ulicy Krochmalnej. Ostatnio Todros przebywał w domu dla starców. Miał raka śledziony. Twarz mu pożółkła jak szafran mimo schorowania odezwał się do Kalmana:

– To nie król Dawid napisał Psalterz.

– Więc kto?

– To zbiór wielu pism po raz pierwszy zebranych za czasów Ezry.

Kalman miał chęć zaprotestować, lecz się powstrzymał zapytał natomiast:

– W nic nie wierzysz?

– Człowiek to tyle co owad.

– I owad jest stworem boskim.

– A kto stworzył Boga?

– No, dość tej gadaniny.

Todros też dużo czytał, ale tylko książki świeckie. Odwiedzali go studenci, młodzi ludzie w krótkich kurtkach, ogoleni, z gołymi głowami. Rozprawiali o polityce i wydarzeniach na świecie, używali wyrazów hebrajskich, wyglądem jednak nie różnili się od chrześcijan! Kalman chciał poprosić lekarza o przeniesienie na inne łóżko, ale wstrzymywała go obawa przed urażeniem Todrosa. No tak, niedługo już się przekona, niedługo pozna prawdę.

Jest Bóg. Świat nie stanowi chaosu. Ze szpitalnego okna widać było niebo i chmury. Fruwały ptaki. Pielęgniarz otworzył oberluft. Do sali wleciał żółto

nakrapiany motyl.

Takie maleństwo, a potrafi latać! Gdzie spędził całą zimę? Musiał i on mieć matkę, która też miała matkę, całe pokolenia motyli... Czy to wszystko może się dać bez czyjejś opieki? Czy taki Todros Bendiner jest mądrzejszy od Wszechmocnego? "Ojczy w niebiosach, przebacz mu! – modlił się Kalman. – Pokusy są wielkie." Łzy napłynęły mu do oczu z żalu nad tym mądrym erudytą, który zmarnował życie i spędza ostatnie dni na czytaniu jałowych książek lub żartach z naiwną młodzieżą.

Minęło wiele dni, ale Kalman był nieświadom ich przemijania. Pewnego ranka otworzył oczy i zobaczył, że łóżko Todrosa jest puste. Ktoś zdjął bieliznę pościelową.

Drobna kobieta w czepku pielęgniarzki, z twarzą pokrytą piegami i ze spiczastym nosem zaścielała materac czystym prześcieradłem. Kalman chciał ją spytać o Todrosa, nie miał jednak na to sił. Znał zresztą odpowiedź. Dokąd się stąd szło?

Słońce świeciło jasno. Paru chorych rozmawiało. Inni jęczeli. Wypisywano młodego mężczyznę, chorzy z pobliskich łóżek wieszowali mu wyzdrowienia. Kalman chciał usiąść, lecz to mu się już nie udało. Jak ociążałe jest jego ciało, wzdęty brzuch przeszywał ból. Od żołądka do jamy ustnej przenikał odór przyprawiający go o mdłości. Chciał odmówić modlitwę poranną, ale i na to brakło mu sił "Biada mi, jestem bezsilny – pomyślał. – A kiedyś byłem człowiekiem mocnym." Zamknął oczy i nie chciał już ich otwierać. Czuł, że przestał być Kalmanem, a stawał się gmatwaniną snów, powieści, wizji.

Otworzył jedno oko, lecz nie widział już słonecznego światła. Azriel stał przy nim.

– Jak się teść czuje?

Kalman poruszył ustami, lecz żaden dźwięk się z nich nie wydobył. Pamiętał wszakże, że Szajndl nie żyje, a Azriel zamierza wyjechać do Ziemi Świętej.

III

W Łodzi zanosilo się na strajk. Potrzebny był ktoś do przerzutu rewolwerów i amunicji. Zgłosiła się Cyna. Zapakowano broń do dwóch walizek. Patrontasze z nabojami trzeba było owinąć na jej figurze. Cyna się rozebrała, a kobieta doświadczona w tego rodzaju przemyśle owinęła ją, jak spaghetti, od pasa po kolana patrontaszami. Cyna z trudem się poruszała. Czegóż innego można oczekiwać od kobiety ciężarnej? Udając, że jest w ostatnich miesiącach ciąży, namalowała nawet kilka plam na twarzy. Na brzuchu umieszczono poduszkę z ukrytą w niej parą pistoletów. Kobieta, odgrywająca rolę matki Cyny, odwiozła ją dorożką na Dworzec Wiedeński, gdzie ulokowała "córkę" w wagonie drugiej klasy. Cyna miała ze sobą książkę i jakąś szydełkową robótkę dla "niemowlęcia". Elegancki oficer ustąpił jej miejsca przy oknie. Cyna z trudem powstrzymywała śmiech, kiedy siedząca obok starsza pani zaczęła się zwierzać z własnych przeżyć w okresie ciąży, jak to miała nieposkromioną chętkę na skorupki od jaj i wapno z muru. Dziecko, o którym kobieta z taką czułością opowiadała, obecnie jest oficerem gdzieś na Kaukazie, zapewne jednym z tych reakcjonistów i despotów, którzy dostaną kulę w łeb, gdy wybuchnie rewolucja. Wszedł konduktor, Cyna okazała bilet. Potężny żandarm obwieszony orderami zajrzał do przedziału i skinął Cynie głową. Zabrział trzeci dzwonek, pociąg ruszył. "Matka" zawołała jeszcze:

- Pamiętaj, córko, uważaj na siebie! Bądź ostrożna!
- Proszę się nie martwić, mamó, wszystko będzie dobrze!

Cyna wsadziła nos w książkę, ale myślami była przy ojcu. Jak mógł dać się zwieść temu nowemu nacjonalizmowi propagowanemu przez skorumpowanych żydowskich kapitalistów. Przecież dużo czytał i studiował, należał niegdyś do kółka samokształceniowego, utrzymywał bliski kontakt z ciotką Mirele przed jej zesłaniem na Sybir. Jak mógł nie widzieć, że świat się dzieli na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych?

Czy nie zdaje sobie sprawy z despotyzmu Rosjan? Czy nie wie, jakimi sposobami imperialiści osiągają cele? Jak może mu być obojętny los rosyjskiego

chłopa i polskiego robotnika? Jak mogą go zajmować opowieści kumoszek opisane w Biblii? Czyż Żydzi powinni porzucić wszystko i wyjechać do Palestyny? Tam tak zwani filantropi będą ich znowu wyzyskiwali w imię zmodernizowanego nacjonalizmu. Kto ich pochwali za poniesione ofiary? Niewidzialny Bóg? Wszak i Dostojewski był słowianofilem! A Tołstoj czy się nie ośmieszał? Czy uniwersytety nie są pełne profesorów którzy klękają przed figurami świętych i całują księży po rękach?

Cyna westchnęła. Było jej gorąco. Skóra aż piekła.

Kobieta za ciasno opasała ją nabojami. Tworzyły prawdziwą zbroję uciskając nerki i brzuch. W tej gorącej masie metalu czuła się jak zakuta w kolczugę. Wielki Boże, jeśli eksplodują – ona spłonie niczym żywa pochodnia! I co z tego? Tłumy nadal będą walczyć, tryumfować, radować się, z niej zaś zostanie garstka popiołu. Nikt nawet nie wspomni, że był ktoś taki jak Cyna. No tak, lecz nie ma innej drogi trzeba dać temu odpór. Konieczna jest walka z taką niesprawiedliwością!

Cyna miała w torebce tabliczkę czekolady i parę herbatników wyjęła i zjadła kawałek czekolady. Bez przerwy ocierała czoło chusteczką. Nie wyobrażała sobie nigdy, że można się aż tak pocić. Strużki potu spływały wzdłuż pleców i rękawów. Twarz i głowa jeszcze bardziej się rozpałyły. Zaczęła odczuwać pragnienie. Jak mogła zapomnieć zabrać coś do picia. Wtem poczuła, że musi oddać moc. "Matko, wnętrzości we mnie się przewracają." Miała ostre bóle żołądka. Czy zjadła coś nieświeżego? Nie, nie wyjdzie. Podróż trwa parę godzin, musi wytrzymać. W tych mękach próbowała zająć i się lekturą, ale litery tańczyły jej przed oczami. Stronice się zamazywały, druk zlewał. Przed oczami Cyny wirowały koła. "Żeby tylko nie zemdlec. Nie, to nie może, się zdarzyć. Muszę zapanować nad sobą! Tysiące ludzkich istnień, nadziei, ideałów zależy ode mnie!"...

"Bądź silna, Cyno, bądź silna! Wielki Boże, zmiłuj się nade mną – coś w niej wołało. Zdumiona przyłapała się na modlitwie. – Ach, nie wiem co się ze mną dzieje!

Muszę wstać!" Próbowała się podnieść, lecz nogi miała jak sparaliżowane. Usiłowała wachlować się książką. Młoty waliły w skroniach, serce łomotało, ogniste

wióry przelatywały przed oczami, w uszach dzwoniło, usta wypełnił mdły płyn. Czy towarzysze podróży zdają sobie sprawę, co się z nią dzieje? Dlaczego ten starszy pan tak się przygląda?

I oficer? “Ach, matko, jestem zgubiona”.

Pochylając się do przodu, jakby miała zwymiotować, Cyna upadła na twarz. Starsza pani krzyknęła. Oficer doskoczył, starając się podnieść Cynę za ramiona.

Patron–tasze się zluźowały i naboje poczęły się wysypywać spod sukni. W przedziale powstało nieopisane zamieszanie. Nadbiegli pasażerowie z innych przedziałów, przeważnie wojskowi.

–Co się tu dzieje? – zawołał pułkownik z rudą brodą.

Widzowie powstrzymywali śmiech. Naboje nadal wypadały spod ubrania Cyny. Przyniesiono wody.

Zatrzymano pociąg. Z sąsiedniego wagonu przyszło dwóch żandarmów.

IV

Jedyną osobą, która by mogła uratować Cynę, był jej wuj Sasza. Po śmierci Klary Sasza zajął mieszkanie matki. Przebywała tam jeszcze służąca i Felusia. Ponieważ Cypkin ostatecznie się nie zjawiał, Jasza Winawer postanowił zabrać Felusię do siebie. Azriel zadzwonił do drzwi, otworzyła służąca. Zapytał o Saszę, lecz nie było go w mieście. Służąca powiedziała, że pan nie spał w domu dwie ostatnie noce. W mieszkaniu pozbawionym gospodyni panował nieład. Wydawało się, że służąca ma jakichś gości w kuchni. Dochodziły stamtąd śmiechy.

Zstępując po schodach, Azriel natknął się na Esterę Ajsner. Przyszła zobaczyć się z Felusią, ale Felusi też nie było. Słyszała już o aresztowaniu Cyny. Wprowadziło to zamęt w organizacji, obawiano się dalszych aresztowań.

Niedaleko od domu spotkali Jaszę Winawera. Kiedy Estera Ajsner przedstawiła mu Azriela, Jasza zaczął od razu wychwalać Klarę.

– Doktorze, dla pana była ona, jak by to powiedzieć, przyrodnią macochą, dla mnie – kimś bardzo bliskim.

– Gdzie pan ją poznał?

– Spotykałem ją w Berlinie, Ameryce, Monte Carlo, w różnych okolicznościach, ale zawsze była w pełni kobietą. Rozumie pan, doktorze? Kobieta! Stuprocentową! – Jasza Winawer pstryknął palcami.

– Czy pan naprawdę zabiera Felusię do Ameryki? – spytała Estera.

– Napisałem długi list do doktora Cypkina. Jeśli się zgodzi, zaadoptuję Felusię. Nie mam dzieci, a chciałbym mieć córkę. Umieszczę ją w najlepszej szkole z internatem. Nie można żyć zupełnie samotnie, to niemożliwe!

– Głupiec! – wykrzyknęła Estera, gdy Jasza pożegnał się i odszedł.

– I dla takich jak on jest miejsce na świecie.

Estera poleciła Azrielowi adwokata, ale co mógł poradzić adwokat? Najniższy wyrok dla Cyny to trzy lata więzienia, lecz mogła dostać nawet wyrok śmierci przez powieszenie. Potrzebny był ktoś wpływowy, ustosunkowany w sferach urzędowych, kto by potrafił zatuszować sprawę, zanim zostanie wniesiona do sądu. Azriel pojechał

do Jampola. Może tam jest Sasza? Po latach nieobecności nie mógł poznać miasta. Wybudowano nowe domy, ii otworzono sklepy. Była nawet stacja kolejowa. Przechodzący ulicami młodzi mężczyźni ubrani byli w kurtki.. Tam, gdzie niegdyś był sklep Kalmana, obecnie znajdował się skład budulca. Azriel mijał Żydów i Żydówki, ale nie widział wśród nich dawnych znajomych. Gdzie się podzieli? Zapewne wymarli. Wreszcie zobaczył znajomego woziwodę.

Wynajął bryczkę i pojechał do domu Saszy.

Minął grunty stanowiące dawniej posiadłość Kalmana Jakobiego. Niebo, zboże na polach, chabry na skraju drogi, ptaki – wszystko pozostało takie samo. Wieśniaczki pielące na klęczkach zielsko wśród zagonów wyglądały zupełnie jak niegdyś, nosiły takie same perkalowe bluzki, miały takie same jasne warkocze. Bociany zataczały w powietrzu takie same koła. Każdy świerszcz grał tak samo jak kiedyś, gdy Azriel był jeszcze chłopcem marzył o Szajndł. Naraz na jego rękawie usiadła pszczoła. Dwa motyle jednakowo zabarwione, z identycznymi cętkami na skrzydłach, trzepotały się obok siebie. Powietrze pachniało ziemią, nawozem, niesło aromat lata. Na pastwisku pasły się krowy. Jedna z nich położyła się zmęczona skubaniem trawy, ślina ciekła jej z pyska.

Wielkie oczy, będące w całości źrenicami, ze zdziwieniem rozglądały się dokoła. Azrielowi wydało się, że te oczy pytają: “Skąd się tu znalazłam? Dlaczego jestem kirową?”..

Furman, wyrostek w czapce ze skórzanym daszkiem, odwrócił się do Azriela.

– Chce się pan zobaczyć z naszym panem?

– Tak, z panem Jakobim.

– Jego na pewno nie ma teraz w domu.

– A gdzie jest?

– Czasami w koszarach. Najczęściej w Warszawie. ~r Właśnie przyjechałem z Warszawy.

– My nigdy nie wiemy, gdzie pan przebywa. Znika i znów się pojawia, jak zaczarowany. Wio!

– A co z wapiennikami? Wyczerpane?

– Całkowicie! Stary Jakobi umarł.

– Tak, wiem.

– Prrr!

Saszy w domu nie było. Kobieta, która otworzyła drzwi, nie–żydówka, przypuszczała, że pan może jest w koszarach. Azriel spojrział na nią i instynktownie poznał, że to nie służąca, a kochanka. Oczy miała sino podkrążone.

Spoglądając na Azriela z zaciekawieniem osoby spoufalonej, ciągnęła rozwlekłe słowa:

– Tak, pan przychodzi do domu, ale nie umiem powiedzieć kiedy. Być może przyjdzie dziś albo jutro, albo pojutrze. Nigdy nie wiadomo. Co mam powiedzieć? Że kto był?

– Doktor Babad. – Aha.

– Poszukam jeszcze w koszarach.

– Może pan tam jest, a może gdzie indziej. Bogu jednemu wiadomo – westchnęła.

– Rozumiem.

W koszarach Saszy nie znalazł. A nawet gdyby tam był, Azriel nie wiedziałby, gdzie go szukać. Nie miał kogo zapytać. Na wielkim placu ćwiczeń starszy sierżant prowadził musztrę. Oporządzano kawaleryjskie konie, czyszczono im boki zgrzeblami i szczotkami. Oficerowie przechadzali się tam i z powrotem. Dwóch żołnierzy niosło, na drążku pusty kocioł. Bagnety błyszczały w słońcu. Żołnierze, pokrzykując rubasznie, atakowali bagnetami słomiane kukły, przebijali je i obracali w nich ostrza, jakby chcieli wypruć wnętrzności. Roznosił się zapach siana, kwaszonej kapusty, skóry i potu. Wszystko było takie samo jak kiedyś, nawet ten zgniły zapach. Ale młodzi żołnierze, za którymi Azriel ganiał jako chłopak, byli teraz starymi ludźmi lub pomarli. Ze smutkiem zaczął rozmyślać o Cynie. Nad czym się zastanawia w więzieniu? Popołudniowe słońce grzało. Furman odszedł po wodę dla koni. Azriel objął ramieniem szyję konia. To zwierzę stworzone przez Boga stoi tak spokojnie, z pochylonym łbem, zwieszonymi uszami, opuszczonym ogonem, z oczami pełnymi pokory. Zdawało się Azrielowi, że koń przemawia: “Rodzimy się i musimy umrzeć.

Wszystko inne jest nieważne" ..

V

Sasza tymczasem był w odwiedzinach niedaleko koszar.

Lidia Michajłowna, żona oficera, siedziała w bujaku robiąc szydełkiem maleńki woreczek. Była średniego wzrostu, figurę miała nieco zbyt pełną, pierś wyniosłą.

Włosy sterczały jej jak u Murzynek na ilustracjach podręczników. Czoło zaokrąglone, rosyjski nos, czarne oczy i pełne usta. Lidia Michajłowna liczyła zaledwie dwadzieścia siedem lat, wyglądała jednak na więcej. W przyległym pokoju spało w trzciniowym łóżeczku jej czteroletnie dziecko czuwała przy nim służąca. Na dziedzińcu ordynans rąbał drewno. Sypialnię Lidii Michajłowny wypełniały różne bibeloty. Na kanapie zarzuconej poduszkami spoczywała wielka lalka. Na bocznym stoliku leżały, jeden na drugim, trzy skórzane albumy o złożonych kantach. Lidia Michajłowna dopiero co obchodziła imieniny i wszędzie znajdowały się stosy upominków: puzderka o barwnych wieczkach, buteleczki perfum, cukierki, książki, wazony pełne kwiatów. W klubie oficerskim panowie zgodnie orzekli, iż Lidia Michajłowna, nie będąc piękną, pociąga nieomal wszystkich. Kobiety nie szczędziły obmowy, przysięgały, że zrobiła rozacza z męża, który przez nią popadł w długi i płacił ogromne procenty. Przed paru dniami, spadł z konia i zwichnął ramię przebywał właśnie w warszawskim szpitalu wojskowym, gdyż miejscowy lekarz pułkowy, znany z pociągu do alkoholu, nie miał dobrej opinii. Lidia Michajłowna stanowiła ulubiony temat rozmów wśród żon oficerów. Co mężczyźni w niej widzą?

Młody oficer wspomniał kiedyś, że ma nad podziw białą cerę i to wywołało wesołość i złośliwe plotki. Wszyscy wiedzieli, że Siergiej Kalmamowicz Jakobi, Żyd, dostawca pułkowy, jest częstym gościem w jej domu, skoro to jednak nie przeszkadza mężowi – nie ma powodu się w to mieszać. Panie miały więc o czym szczebiotać podczas długich letnich dni, kiedy mężowie pełnili służbę lub grali wieczorami w karty.

Lidia Michajłowna bujała się w fotelu wykonując robótkę, od czasu do czasu podnosiła pytająco oczy na Saszę w długich butach przemierzającego pokój tam i z

powrotem. Chodząc dotykał niespokojnymi rękami różnych przedmiotów. Podeszedł do zegara, przytrzymał przez chwilę wahadło, po czym popchnął je w lewo.

Włosy miał niesforne. Nosił bluzę przewiazaną sznurem z chwastem jak student lub rewolucjonista. Przystanął przed okrągłym lustrem w ozdobnej złoczonej ramie i zaczął stroić miny. Poruszał wargami, brwiami oraz nosem jak aktor powtarzający rolę.

Nagle Lidia Michajłowna wybuchnęła:

– Czy nie przestaniesz kręcić się w kółko jak wilk w klatce?

– Proszę, mów, słucham.

– Usiądź. Nie chcę krzyczeć. Dziś zachowujesz się jeszcze bardziej nieopanowanie niż zwykle.

– Nie jestem nieopanowany. Te letnie upały doprowadzają mnie do szału.

– Po co zrzucać winę na upał? Mój kochany, dalej tak być nie może.

– Już to słyszałem. Powtarzasz się. To leży w charakterze kobiet.

– Proszę mnie nie tykać. Przynajmniej nie w tej chwili.

Nie nadaję się do takiego życia. Nie liczę się z tym, co ludzie mówią.

Przysięgam na wszystkie świętości, że mniej dbam o plotki niż o psie ujadanie.

Muszę jednak być z sobą w porządku. Nie obchodzi mnie to, że inni nie mają dla mnie szacunku, muszę go jednak mieć sama dla siebie.

– Puste frazesy. Wszystkie kobiety plotą te same głupstwa. Doprawdy zabawne. Czym jest szacunek?

Szacunek czego? Wszyscy jesteśmy zwierzętami.

– Wiem o tym, wiem, ale nie mogę dłużej tak żyć. Mogę się pogodzić z faktem, że mam kochanka, lecz musi on postępować jak kochanek, a nie uganiać się za każdą napotkaną spódniczką. Mogę dzielić kochanka z jego żoną, ale nie z każdą wiejską dziewczuchą. Jeszcze tak nisko nie upadłam.

– Co za brednie? Z kim mnie dzielisz? Chyba że jesteś zazdrosna o Hankę?

– Nie znoszę jej widoku. Patrzy na mnie jak cielę prowadzone na rzeź. Skoro mówisz, że nic dla ciebie nie znaczy, dlaczego jej nie odprawisz? Im dłużej u ciebie służy, tym gorzej.

– Odprawiałem ją tysiąc razy, ale ona nie chce odejść.

Grozi, iż się rzuci do studni, a ja nie chcę skandalu. Takie dziewczyny jak ona są gotowe na wszystko.

– Może się boisz, że cię obleje kwasem solnym?

– Ja się nie boję. Nie boję się niczego. Patrząc, jak wkładano moją matkę do grobu, doszedłem do wniosku, że ten świat to jedna wielka plaga, a my wszyscy stanowimy kupę robactwa. Gotów jestem wsadzić sobie kulę w łeb. Tak wygląda prawda.

– Chcesz się zastrzelić, a latasz za każdą dziewczyną, Jesteś u wszystkich na językach. To się skończy hańbą, jeśli nie tragedią.

– Kogo. z siebie robisz? Cyganekę, co wróży, czy jasnovidzącą? Narazam własną skórę, nie twoją.

Zresztą jak wiesz, nikogo o nic nie proszę. Mnie bez różnicy, tak – to tak, a nie – to nie.

– Dlaczego tak mówisz? Wszak jesteś jeszcze młody.

Doprawdy, źle być wyznawcą tego rodzaju fatalizmu. Na początku naszej znajomości byłeś inny. Wtedy przemawiałeś jak idealista.

– Idealista? Powiedziałem ci otwarcie, że cię pragnę.

Wtedy ciebie pożądałem. I nadal pożądam. Wszystko inne funta kłaków niewarte.

– Mylisz się, przybywa nam lat. Jaki ty będziesz, gdy nadejdzie czterdziestka, jeśli już obecnie tak się czujesz?

– Czterdziestka? Będę leżał głową w dół, a stopami do góry.

– Dlaczego? Powiedz, dlaczego? Cieszysz się dobrym zdrowiem, jesteś zdolny. Bóg mi świadkiem, nie chcę nikomu się narzucać, ale moglibyśmy być szczęśliwi. Moje życie z Kostią to nie życie.

– Co masz mu do zarzucenia? Czy można być lepszym od niego mężem? Jest pracowity, oddany, tolerancyjny. Jestem już trzecim twoim kochankiem, a...

– Co przez to rozumiesz? Jak to trzecim? Sam wiesz, że to nieprawda.

– Nie kłamię.

– No cóż, nie będę się z tobą spierać. Poruszę jakąś sprawę, a ty robisz z tego wielkie rzeczy. Możesz sobie myśleć, co chcesz, ja jednak nie jestem cyniczna.

Byłabym dobrą żoną, gdyby Kostia był inny.

– No tak. Na mnie już czas.

– Dokąd idziesz? Co ci się dziś stało?, – Ty mnie irytujesz. Przedtem zachowywałaś się jak kobieta, teraz prawisz kazania niczym ksiądz. Męczą mnie te twoje napomnienia. Dopóki żyję, to żyję, a jak zdechnę, to będę trupem. Jeśli uważasz mnie za zbyt wielkiego cynika, mogę od ciebie odejść. Już dziś, od razu. Żegnaj!

– Dokąd idziesz? Boże wielki, nie miałam zamiaru cię obrazić. Czy nie wierzysz w moją miłość?

– Miłość – tak, ale nie nękanie.

– To dlatego, że mi cię żal. Nie uciekaj. Obudzisz dziecko. Twoja matka dobrze zrobiła umierając...

Lidię Michajłownę zdumiały własne słowa. Siedziała blada i strwożona. Te słowa wymknęły się mimo woli.

Sasza miał ochotę wymierzyć jej policzek, ale tylko wcisnął gwałtownym ruchem rękę do kieszeni spodni. Po chwili opuścił pokój bez słowa. Minał salon i skierował się do drzwi wyjściowych. Przez moment zatrzymał się na progu.

– To i dobrze, obejdę się bez niej. Do diaska z nią!

Zrobił jeszcze kilka kroków i przystanął. “Czego, u diabła, ona chce? Dlaczego one wszystkie straszą tymi okropnymi przepowiedniami? Nienawidzą mnie, ot i cała prawda. Kobiety nienawidzą każdego mężczyzny, którego nie mogą zdominować i sobie podporządkować, co według nich jest miłością. To pijawki. Wolę całkowite zerwanie.

Skierował się do koszar. Przystanął, podniósł kamyk i odrzucił na bok. Nie zastanawiając się zszedł z drogi.

Dotarł do bagnistej sadzawki ze skrzeczącymi żabami.

Zamyślony dłużył czubkiem buta w mule. Słońce już się miało ku zachodowi. Zapadał zmierzch. Komary bzykały ścigając się w kółko. Cienie przesuwały się po

trawie jakby rzucały przez niewidzialne istoty. "Co mi jest? Cóż mnie tak męczy? – zadał sobie pytanie. – Skąd taki niepokój, że aż nie wiem, w którą stronę się zwrócić. Co. przyjdzie z tej całej gadaniny? Czego ona ode mnie chce? Ją też coś gryzie" ... Nagle uprzytomnił sobie, że w krótkich odstępach czasu utracił matkę i ojca. "Boże wielki, jestem sierotą, zupełnie sam na świecie. Ona też jest sierotą... Wszyscy jesteśmy sierotami. Dlatego tak pragniemy się wtulać jedno w drugie... Oto, dlaczego kobiety chcą należeć do kogoś, przyłgnąć... A mnie to niepotrzebne!

Plują na nie wszystkie! Zostawię cały ten bigos i wyjadą na drugi kraniec świata!" Ogarnęła go chętka rzucenia się w błoto. "Zabiję się! Taki będzie mój koniec!"

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

I

Chana, żona Cadoka, obchodziła Rosz Haszana w taki sam sposób, jak to robili rodzice w domu. Cadok utrzymywał, że to zbyteczne, wszak nikt nie był w niebie i nie widział, jak się tam odbywa sąd nad ludźmi, jak Księga wyroków sama się otwiera, a aniołowie drżą, kiedy się osądza złe i dobre uczynki. Argumentował, że skoro Chana odrzuciła perukę i odstąpiła od żydowskiego fanatyzmu, powinna iść konsekwentnie po tej linii. Chana jednak nie chciała o czymś takim słyszeć.

Chodzie bez peruki to niewielki grzech. Wśród litwaków nawet żony rabinów chodzą z odkrytymi głowami. Ale Rosz Haszana to Rosz Haszana. Zamówiła łąwkę w synagodze. Upiekła świąteczne chały, kupiła jabłek, miodu, żywego karpia, marchwi, winogron i wszystkiego, co potrzebne na święta. W wigilię Rosz Haszana odmówiła błogosławieństwo przy świecach w srebrnej menorze ofiarowanej jej przez ojca, reb Joszue Waldena, w prezencie ślubnym. Skoro obchodzili święto, Cadok zaprosił na nie swego wuja Azriela. Chana nalegała, aby co do joty wypełnić tradycyjny obrządek świąteczny. Każdy wziął ćwiartkę jabłka umoczonego w miodzie i wypowiedział słowa: "Boże, ześlij nam dobry i słodki rok." Potem wyrecytowali chórem: "Boże spraw, aby nasze dobre uczynki były liczne", następnie podnieśli do ust łyżeczkę marchwi.

Cadok uśmiechając się zasiadł u szczytu stołu, ale od czasu do czasu się zamyślał Jakże to dziwne, oto siedzi tu w mieszkaniu na Starym Mieście, a tymczasem w Marszynie jego ojciec przewodniczy przy Świątecznym stole tysiącom zgromadzonych Żydów.

Podwórzec jest przepelniony. Ściany domu modlitwy aż trzeszczą pod naporem tłumów. Okres Groźnych Dni w Marszynie to nie bagatela! Gdyby Cadok zachował pobożność, siedziałby teraz po prawicy ojca. Tysiące oczu spoglądałoby na niego, następcę rabiego. W wyobraźni Cadok widział ten gąszcz pejsów, bród, obszytych futrem kapeluszy. Z roku na rok rosły szeregi wyznawców

ojca, ale on, Cadok, jego syn, przyłączył się do "oświeconych". Mimo wszystko dobrze się stało, że Chana nalegała na przestrzeganie świąt. Przy stole nakrytym obrusem i przy zapalonych świecach lepiej się czyta nawet "Kurier Warszawski" czy jakiś niemiecki almanach. Tradycyjna chałka, ryba i rosół z kury przypominają Marszynów. Jest tu z nimi i wuj Azriel, prowadzą dyskusję o Talmudzie. Dzielą włos na czworo i sprzeczą się co do punktów prawa bez jakichś celów praktycznych, chcąc pokazać, że wciąż je przechowują w pamięci.

Od czasu do czasu Cadok naśladował śpiewny głos i ruchy swego dawnego nauczyciela. Chana zajęta krojeniem kury zawołała:

- Nie wyśmiewaj się z żydowskości.
- Wcale się nie wyśmiewam. Każdy naród zachowuje swoje dziwactwa.

Weźmy na przykład dęcie w barani róg.

To się na pewno wywodzi z epoki kamiennej. Pierwotnie służyło jako zawołanie wojenne. W owych czasach, kiedy jeszcze stała Świątynia, ustnik rogu miał złożone krawędzie i dwie srebrne trąby po bokach.

Chana szeroko otworzyła oczy. Włosy jej upięte do góry przytrzymała lekka przepaska.

- Trąby? To niemożliwe.
- A tak, prawda. Zapytaj wuja Azriela.
- Rzeczywiście tak było – odparł Azriel.
- Nigdy nie wiem, czy Cadok żartuje sobie ze mnie czy nie. Opowiada mi różne historie. Potrafi wszystko we mnie wmówić. Ale ja wiem jedno: święto ma być świętem.

I chrześcijanie mają swoje święta.

- Szczera prawda.

Chana się rozrzewniła.

- Ach, wuju Azrielu, tęsknię do zwyczajów naszego rodzinnego domu. Tam Kosz Haszana to było piękne święto! Matka miała złocistą suknię z trenem, którą nakładała tylko na to święto i w Jom Kipur. Kiedy się w nią ubrała, pokój się rozjaśniał. Miała złoty łańcuch bardzo ciężki, dawnej roboty, z zameczkiem. Dostała

go od babci, niech odpoczywa w raju. Tata modlił się w jesziwie, ale mama miała miejsce w ławkach synagogi, tuż obok wschodniej ściany. Jej książka do nabożeństwa zamykała się na srebrną klamerkę. Kiedy pomyślę, że moja siostra Tyla stoi obok matki, a ja jestem tu sama jedna, chce mi się płakać...

Duże łzy stanęły w oczach Chany Cadok się roześmiał.

– No proszę, rozbeczy się nam!

Natychmiast jednak spowaźniał. Chana poszła do kuchni. Słyszeli, jak wydmuchuje nos.

– Krew jest gęstsza od wody – odezwał się Azriel.

– Co powinniśmy zrobić, wuju Azrielu? Jak długo Musimy zachowywać te tradycje? Należy z tym kiedyś skończyć.

– Cadoku, źle osądzasz sprawę.

– Jak to źle? Nowe pokolenia muszą iść z postępem.

Czasy się zmieniają. Dawni Słowianie też mieli własną religię. Czčili bałwany i im służyli. Obecnie są chrześcijanami. Gdyby wszyscy zachowywali dawne obyczaje, nie mielibyśmy postępu.

– Dla Słowian chrześcijaństwo było postępem. A na czym ma bazować nasz postęp? Mieliśmy bogate życie wewnętrzne, teraz zaś jesteśmy duchowo ogołoceni.

– Zjawi się coś innego. Żyjemy w epoce przemian. Minęły czasy, kiedy byliśmy narodem wybranym. Niektóre nasze prawa biorą początek aż z Indii. Tam mają podobne zakazy, jeśli chodzi o menstruację. Nasze zwyczaje co do koszeru i nieczystego pożywienia pochodzą zapewne od afrykańskich Murzynów.

Doprawdy, wuju Azrielu, nie mamy czym się tak chełpić. Nawet Dziesięć przykazań zapożyczyliśmy od Hammurabiego.

– Według krytyków Biblii, nie mamy w niej nic własnego. Całe Pismo Święte jest zlepkiem zapożyczonych legend.

– Od kogo zapożyczonych? Takie twierdzenie to wierutne kłamstwo.

– Nie, to prawda. One są zapożyczone, po co zaprzeczać prawdzie?

– A nawet jeśli to prawda? Piwnica z zatrutym powietrzem jest równie realna jak ogród, tyle że w niej się dusimy. Po wtóre, jeśli poznanie das Ding an sich jest

niemożliwe, a to, co nazywamy rzeczywistością, jest odczuciem subiektywnym, faktycznie snem, możemy sobie wybrać taką rzeczywistość, jakiej pragniemy. Po co odrzucać złoto, a zachowywać muł? Skoro węgiel i diament są jednym i tym samym, dlaczego nie zachować diamentu?

– Dlatego że diamenty są bezużyteczne, a węgiel dostarcza energii fabrykom. Wuj się myli. Według Kanta rzeczywistość to nie sen. Schopenhauer wyśmiewa się z drugiego wydania jego Krytyki faktycznie jednak drugie wydanie – to jest prawdziwy Kant. Kant to nie Berkeley.

– Kimkolwiek by był, rzeczywistość jest rzeczą nieznaną.

– Po co wuj zamierza jechać do Palestyny? Mówiła mi o tym Olga. Wchodzi wuj na zgubną ścieżkę.

– Dlaczego ma być zgubna? Straciłem wiarę w możliwość niesienia pomocy chorym. Nie mogę oszukiwać ludzi. Mój ojciec utrzymywał się z sześciu rubli tygodniowo i mnie tyle wystarczy.

– Czy wuj mówi serio?

– Całkiem serio. To, co się określa jako chorobę nerwów, jest w istocie niepokojem moralnym. Nie potrafię zapomnieć, jak matka, niech odpoczywa w spokoju, zwykła była mówić: "Szatan przybrał nowe imię – nerwy." Nasi dziadkowie i babki nie chorowali na nerwy, chociaż ich szczuto psami i męczono. Ziemi dla nich nie była choroba tylko pokusa.

– Czy wuj nazwie paranoję grzechem i pokusą? Doprawdy, wuju, jestem zaskoczony. Po cóż jednak wyjeżdżać do Palestyny? Pobożnym fanatykiem można być i tu w Warszawie. A co będzie z Olgą? Wszak ona nie pojedzie.

– Czy ci o tym powiedziała? Co dzień zmienia zdanie.

Wychowuje Miszę w nienawiści do Żydów i wszystkiego, co żydowskie. Nie mogę na to pozwolić. Jeśli nawet wszystkie religie są fałszywe, to po co odrzucać własną, aby przyjąć obcą? Czy po prostu dlatego, że Iwan jest silny, a my słabi?

– Świat należy do silnych.

– Nie mogę żyć na takim świecie. Nie potrafię całować ręki, która mi wymierza ciosy.

– I tam będą wuja bili Turcy, Arabowie. Czy wuj zamierza rozstać się z Olgą?

– Nie mogę tak wychować dzieci, aby na mnie pluły, kiedy dorosną. To przecież proste i jasne. Już zaczynają to. robić. Kola powtarza wciąż Miszy, że jesteśmy zabójcami Boga. Gdy się posprzecząją, nazywa Miszę “parszywym Żydem”.

Chana powróciła z kuchni.

– O czym tak ze sobą rozprawiacie? To dzień święta.

Jest Bóg w niebie, na pewno. On kieruje światem, nie wasi filozofowie.

II

Na Sądny Dzień wielkie tłumy zgromadziły się w Marszynie, ale zaledwie kilkadziesiąt osób pozostało na święto Kuczek, w szałasie bowiem mogło się pomieścić niewielu chasydów.

Rabi był chory, wciąż gorączkował, mimo to spędził noc wewnątrz szałasów na przygotowanym tam łożu.

Specjaliści warszawscy, którzy już dawno zalecali mu spożywanie większej ilości tłuszczów i wyjazd do sanatorium, stracili nadzieję na wyzdrowienie. Lekarz marszynowski, doktor Ząbek, oznajmił, iż stan rabiego jest beznadziejny, znajduje się w ostatnim stadium suchot. Wychudł ogromnie, a twarz nabrała trupiej bladości. Pokasływał, pluł krwią i miał kilka krwotoków.

Paznokcie mu pękały, długa broda i pejsy urosły, tworząc mieszaninę siwizny z bielą. Osoby z jego otoczenia wiedziały, że rabi cierpi też na katar kiszek i oddaje mętny mocz. Co dzień rano wypijał pół spodka mleka i od czasu do czasu zjadał trochę kaszy. Reb Jochanan pozostał jednak reb Jochananem, któremu służba boża wciąż dodawała sił. Nadal uczęszczał do kąpieli rytualnej, zachowywał posty i zgłębiał święte księgi.

Kiedy recytował ustępy Tory, jego blade oblicze płonęło, a oczy nabierały blasku. Nawet doktor Ząbek przyznawał, że to boskie moce utrzymują go przy życiu. Jego zmysły jeszcze bardziej się wyczuliły.

Aczkolwiek w ciągu tygodnia rabi prawie nic nie jadł, w wigilię Kuczek pobłogosławił wino i spróbował jeden łyk, zjadł też kawałek chleba, ździebko ryby, odrobinę rosółu z kury, plasterek mięsa, łyżkę duszonej marchewki.

Odśpiewał tradycyjne psalmy i wygłosił naukę. Chasydzi ocenili, że nigdy dotąd nie słyszano tak wspaniałej interpretacji Tory. Odsłonił święte tajemnice. Zdawał się być bożym serafinem.

Szałas był budowlą stałą, podczas świętych dni wystarczyło podnieść dach za pomocą bloku linowego, aby wierni mogli zasiać pod sklepieniem z gałęzi ułożonych zamiast dachu. Młodzieńcy ze szkoły rabinackiej pozawieszali na

gałęziach latarnie z wydrążonych melonów, papierowe latawce, winne grona, jabłka i gruszki zawiesili też owoc granatu pozostały od świąt, Rosz Haszana i ptaszki zrobione z wydmuszek jaj. Marszynowskie panny, córki chasydów, ozdobiły ściany namiotu kapami i haftowanymi płóciennymi płachtami. Wieczorem zasłano stół odświętnym obrusem, na którym umieszczono chałę na serwetce i karafkę wina z pucharkiem do błogosławieństwa. Kiedy Cypele odmówiła błogosławieństwo przy świecach w srebrnych menorach, zdawało się, że namiot przemienił się w rajska siedzibę. Śpiew chasydów rozbrzmiewał na pół Marszynowa do późna w noc. Następnego ranka Kajla, służąca Cypele, opowiadała, jak to w nocy wyjrzała przez okno i zobaczyła światło promieniujące z szałasu. Wszak świece już pogasły! W obawie pożaru podeszła do szałasu i zajrzała przez zasłonę. To nie był pożar, lecz światło emanujące z oblicza rabiego, które oświetlało przeciwległą ścianę. Kiedy tam stała z uginającymi się pod nią ze strachu kolanami, światło znikło.

Pierwsze dwa dni święta Kuczek minęły w Marszynowie bardzo radośnie. Rabi spełniał wszystkie obrządki jak w ekstazie: uroczyście pobłogosławił owoce cytrusowe i powiewał liściem palmowym. W namiocie nawet tańczono chasydów zaproszonych do szałasu częstowano winem.

Następnego dnia, w czasie przerwy między świętami, Cypele przyniosła rabiemu lekarstwo. Nie był sam.

Młodszy syn, Gadele, który już prawie dorósł, studiował z ojcem Torę. Po odstąpieniu Cadoka od wiary przodków duchowym następcą rabiego miał zostać jego młodszy syn. W pokoju był również obecny Pinchas, syn rabiego z Wysokiego, zięć Jochanana, a mąż Zełdy. Rabi skrzywił się na widok buteleczki z lekarstwem.

- Po świętach.
- Doktor zalecił, żeby codziennie przyjmować.
- To niekonieczne. Nagle się odezwał:
- Skoro mowa o lekarzach, co słyhać u Azriela?

Cypele zdumiała się. Rabi od lat nie wspomniiał tego imienia, od czasu choroby Szajndl i związania się Azriela z wychrztą.

- Któż to wie?

– Jego ojciec, reb Menachem–Mendel, był człowiekiem sprawiedliwym i pobożnym.

– Tak.

– Szkoda...

Dwie godziny później, kiedy Cypele czytała siedząc przy oknie, wjechała na podwórzec karetka wysiadł z niej wysoki mężczyzna ubrany nowocześnie. Cypele pobladła, poznała w nim Azriela. Przyjechał też z nim mały chłopiec. Szames Mendel doniósł rabiemu, że doktor, zięć reb Kalmana (nie chciał go przedstawić jako szwagra rabiego), przyjechał z Warszawy i przesyła pozdrowienia.

– Przyślij go do mnie – uśmiechnął się rabi.

Weszli Azriel i Misza. Rabi podszedł do szwagra i podał mu rękę.

– Pokój z tobą, rebe.

– Pokój z tobą. Witaj! – rzekł rabi.

– Rebe mnie poznaje?

– Naturalnie, Azrielu.

– A to mój syn, Mojszele.

Rabi pochylił się nad Miszą.

– A, to ty. Czy jesteś grzecznym chłopcem? – I uszczypnął go w policzek. –

Misza nic nie odpowiedział, więc rabi znowu zapytał: – Łobuziak z ciebie, co?

– Rebe, on nie zna żydowskiego – odezwał się Azriel głuchym głosem.

– No cóż, Bogu można służyć w każdym języku.

– Rebe, przywiozłem go tutaj. Chcę, by został żydem.

Łza spłynęła po twarzy rabiego.

– No, no...

– Rebe, już dłużej nie zniosę tego wszystkiego! – zawołał Azriel załamującym się głosem.

Rabi wyjął chusteczkę i przetarł oczy.

– Czyś przejrzał? – zapytał.

– Nie całkiem. Lecz dojrzałem ich zakłamanie – odparł Azriel.

– To tyle samo znaczy.

III

W czasie swych lat studenckich i później, już pełniąc obowiązki lekarza, Azriel prawie nie utrzymywał stosunków z kolegami-żydami. Studenci żydzi nie utrzymywali przyjaznych stosunków między sobą, nie chcąc tworzyć odrębnej grupy. Później, w szpitalu i w klinice, trzymał się z dala od kolegów, gdyż Szajndl nie chciała zawierać znajomości z ich żonami, a poza tym nie byli to ludzie, z którymi i on mógłby się zaprzyjaźnić. Grali w karty i plotkowali. Wielu lekarzy należało do różnych stowarzyszeń subsydiowanych przeważnie przez zasymilowanych Żydów. Tu, w Marszynie, Azriel po raz pierwszy od lat przestał się czuć osamotniony. Starsi wiekiem chasydzi zwracali się do niego po imieniu i wspominali jego ojca, reb Menachema–Mendla z Jampola. Reb Szymon, rabi ze Szczekocin, zmarł, Mejer–Joel zaś, który uprzednio przystał do Reba Szymona, powrócił wraz z zięciami do rabiego z Marszyna. Młodzi mężczyźni i chłopcy nazywali Azriela wujem.

Zazwyczaj w ostatnie dwa dni świąt nie było już wielkich tłumów. Teraz jednak przybyła ogromna rzesza chasydów. Niektórych pchała ciekawość, aby zobaczyć heretyka nawróconego na judaizm. Jakie to dziwne, że Cadok, syn rabiego, jest ateistą, natomiast Azriel się nawrócił. Cypele aż się rozpląkała na jego widok. Jej córka spoglądała na niego tkliwie. Gadele wciąż towarzyszył Azrielowi pragnąc dyskutować z wujem.

Ludzie śpieszyli zewsząd, aby go powitać, a niektórzy chwyтали za ręce i przytrzymywali w swych dłoniach, chcąc okazać mu życzliwość. Każdy chciał usłyszeć na własne uszy, dlaczego Azriel porzucił świat ludzi "oświeconych", materialistów, filozofów. Kobiety z dworu rabiego zajęły się Mojszele. Uczyły go języka żydowskiego, roztaczały nad nim opiekę, zarazem rozpieszczwały, obsypując całusami. Każdy dzień był pełen radości. Azriel się modlił w domu modlitwy, odmawiał błogosławieństwo nad owocami cytrusowymi i przygotowywał Miszę do wykonywania tych czynności. Jedli posiłki w szałasie. Chłopiec odżywał w oczach. Nader szybko przyswajał słowa żydowskie, bawił się z dziećmi w gonionego i ciuciubabkę.

Azriel uświadomił sobie, jak bardzo czuł się osamotniony przez wszystkie te lata. Nie miał prawdziwych przyjaciół. Nikt się nim nie interesował.

Tutaj, w Marszynie, poczuł się jak u siebie w domu.

Wszędzie mógł Zająć, porozmawiać w swym rodzinnym języku, wszyscy znali jego ojca, a nawet dziada, reb Abrahama Hamburga. Traktowano go jak królewicza powracającego z wygnania.

Ostatnimi laty Azriel przywykł wykrywać u wszystkich objawy neurastenii, hysterii lub po prostu chronicznego niezadowolenia. Powszechnie ujawniał się brak opanowania i pycha. We wszystkich spojrzeniach malowały się skutki doznanych zawodów, nie zaspokojonych ambicji, nie spełnionych namiętności.

Ludzie zdawali się stale niesyci dóbr materialnych, wiedzy albo miłostek. Doszedł do wniosku, że taka jest natura ludzka, bo i on sam nie różnił się od innych.

Przyjął filozofię Schopenhauera, iż życie ludzkie obraca się między pożądaniem a nudą. Pojęcie rządzącej wszystkim ślepej woli i ślepych sił pociągało go, aczkolwiek rozum to odrzucał. Każde przedstawienie teatralne, każda powieść, każdy rozdział historii i artykuł w gazecie nasuwały wniosek, że wszystko jest daremne i musi prowadzić do tragicznego końca. Nawet przyjęcia urządzone przez Olgę wynikały z uczucia melancholii.

Wszyscy szukali zapomnienia w tańcach, alkoholu, dowcipach, flircie.

W Marszynie panowała radość. Oczy ludziom błyszcząły, policzki płonęły. Chwała boża niewątpliwie zstąpiła na tych Żydów uczonych w Talmudzie i uczniów szkół chasydzkich. Azriel nie rozpoznawał u nich objawów niepewności, zbytniego pobleżania sobie, zniecierpliwienia. Siódmego dnia Kuczek rozglądał się ciekawie w domu modlitwy. To, co widział, całkowicie przeczyło istniejącym poglądom naukowym. Według socjologów ubóstwo prowadzi nie tylko do utraty zdrowia, lecz i do występku. Otóż Żydzi stanowili żywe zaprzeczenie takich twierdzeń. Nie przebywali na świeżym powietrzu, nie uprawiali ćwiczeń fizycznych, nie odżywiali się zgodnie z nowoczesnymi zaleceniami lekarskimi. Chodzili przygarbieni, powłócząc nogami, pluli na podłogę, nie używali widelców. Większość miała na sobie połataną satynową chałatę, wytarte jarmużki, znoszone obuwie, podarte

pończochy. Zarabiali na skąpe życie, handlując w nędznie zaopatrzonych sklepikach lub jako nauczyciele, swaci, pośrednicy. Modląc się wzdychali: "Biada mi, Boże Ojczy, biada, po dwakroć biada" ... To nie uprzywilejowana kłapa, to zbiorowisko biedaków gorzej sytuowanych niż chłopci i proletariat robotniczy.

Wypędzeni z Rosji, ofiary pogromów, szkalowani przez pisarzy jako pasożyty, zwalczani przez antysemitów, którzy wysuwali przeciwko nim fałszywe oskarżenia. A jednak, zamiast zdegenerowania i pogrążenia w melancholii, pijaństwie i rozpuście, oni świętują, recytują psalmy, cieszą się pełnią radości, której źródłem jest dusza. Nikt z zebranych nie rozpacza z racji pogromów, jak to robi cała żydowska inteligencja wzdłuż i wszcz Rosji. Złożyli swą ufność w Bogu, nie w człowieku, nie w ewolucji czy rewolucji.

IV

W wigilię Symchat Tora Misza trzymał chorągiewkę i czerwone jabłko z wetkniętą świeczką. Stał na ławce wraz z innymi chłopcami i trajkotał mieszaniną polskiego i żydowskiego. Przez pierwsze trzy lata życia słyszał wyłącznie język żydowski od matki i coś mu z tego pozostało. Cypełe kupiła mu jarmułkę i szeroki pleciony pas.

Nauczył się odmawiać modlitwę dziękczynną nad chlebem, wodą czy ciastem. Procesja mężczyzn niosących rodłał mijala chłopców, wyciągali więc ręce, dotykali jego osłony i podnosili palce do ust. Do domu modlitwy przyszły nawet dziewczynki, gdyż Symchat Tora to święto, kiedy przepisy są przestrzegane mniej rygorystycznie. Po pewnym czasie wezwano Azriela do niesienia rodła. Szames wyśpiewał jego imię tradycyjnym przyśpiewem: "Powstań, reb Azrielu, synu naszego nauczyciela, reb Menachema–Mendla", a całe zgromadzenie spoglądało na niego. Kiedy Azriel przechodził ze zwojem obok Miszy, chłopiec zeskoczył z ławki i podążył za ojcem. Azriel pozwolił mu iść dotykając "Drzewa życia", czyli drzewca, wokół którego nawinięty jest zwój pergaminu, aby i Misza pomagał w niesieniu Tory. Azriel po cichu spytał chłopca: I– Chcesz zostać tutaj czy wrócić do Warszawy? – Zostać tutaj – odparł Misza. Na jak długo? Na tysiąc lat.

Chasydzi śpiewali i tańczyli. Chłopcy dołączyli swe dyszkanty do głosów mężczyzn. Dziewczęta klaskały w dłonie. Główne uroczystości rozpoczęły się następnego ranka. Azriel już zapomniał, iż Żydzi tak szczerze potrafią się radować. Aczkolwiek nie wolno pić alkoholu przed zakończeniem modłów, chasydzi pociągnęli po łyżku, kiedy się skończyło nabożeństwo poranne. Szames ostrzegał podchmielonych potomków Arona, że nie będą dopuszczeni do odmówienia błogosławieństwa, ale nie zwracano na niego uwagi. Młodzież miała flaszki w kieszeniach. Podochoceni chłopcy zaczęli robić kawały: związali razem frędzle małych tałesów dwóch podeszłych wiekiem chasydów, schowali czyjś tałes, to znów jarmułkę, podłożyli zamiast książki z modlitwami na Sukot książkę przeznaczoną na Groźne Dni. Starsi ich besztali: "Szczeniaki, nieuki, pijusy, gdzie się podziewacie,

kiedy nie ma okazji napić się wina?" A młodzi nie pozostawali dłużni: "Czy człowiek nabiera takiej ważności przez to, że jest stary? Cap też ma białą brodę." "Poganie, wyrzucimy was stąd!" – rzekł stary chasyd, uśmiechając się szeroko. Pomimo strojenia żartów nikt z nieb nie pominął żadnego. "Amen". Kiedy prowadzący modlitwę, baal tfila, przy odmawianiu Osiemnastu błogosławieństw pomylił się i prosił o rosę zamiast o deszcz, wszyscy się roześmieli. Nawet rabi się uśmiechnął. Po odśpiewaniu Ty byle i świadkiem wyjęto wszystkie rodały Tory z Arki Przymierza. Było ich około dwudziestu, nowych i starych. Niektóre miały wyje? tarte pokrowce ozdobione koronami i berłami – inne pokrowce nie były tak ozdobne – wyhaftowano na nich zamierzchłe daty. Po opróżnieniu Arki Przymierza wstawiono do niej zapaloną świecę.

Azriel już nie pamiętał tych obrzędów. Każda modlił, twa miała swą tonację, swe odcienie melodii i towarzyszących jej westchnień. Trzymając w rękach rodały, chasydzi tańczyli i śpiewali marszynowskie pieśni.

Rabi zbyt słaby, aby utrzymać duży rodał, niósł tylko niewielki. Przybliżył do niego twarz, ucałował, po czym wtulił paliczek w aksamitny pokrowiec. Zaczął śpiewać słabiutkim głosem. Chasydzi przepychali się chcąc ucałować jego rodał. Kołysząc się i tańcząc pochylał się, aby dzieci, między nimi i Misza, mogły dosięgnąć rodału.

Wszyscy się przyglądali, świadomi, że rabi znosi nieustające bóle i że jego dni są policzone. Tylko cud mógłby sprawić, by dożył następnego święta Symchat Tora. Uśmiechali się i płakali. Śpiewając ocierali łzy.

Tańczyli pojedynczo i w małych grupkach. Dwóch starców tańczyło stojąc naprzeciw siebie ze wzniesionymi w górę rodałami. Czyż Żydzi mają coś innego oprócz Tory? Alboż potrzebują czegoś więcej? Po procesji umieszczono rodały z powrotem w Arce, z wyjątkiem trzech. Odbyło się coś w rodzaju licytacji o dostąpienie zaszczytu odczytywania odpowiednich rozdziałów Tory. "Rubel!" "Półtora rubla!" "Dwa ruble!" "Dwa i ćwierć!" "Trzy!"... Szames stuknął w pulpity kantora i zanucił świątecznym przyśpiewem: "Trzy ruble po raz pierwszy, trzy ruble po raz drugi, trzy ruble po raz"..." "Cztery ruble", zawołał ochryply głos. Zupełnie jak

na targowisku, ale dom modlitwy potrzebował pieniędzy przed zimą. Tynk na ścianach się łuszczył. Natychmiast po dokonaniu sprzedaży tych godności kantor zaintonował: "I oto zaczyna się błogosławieństwo." Każdy mężczyzna i chłopak, z wyjątkiem najmłodszych, był wywołany osobno do odmówienia błogosławieństwa.

Wezwano i małe dzieci, które przybiegły całą grupą okryte jednym wspólnym tałasem. Wśród nich znajdował się Misza. Kantor odmówił głębokim głosem słowa błogosławieństwa razem z dziećmi, które wtórowały cienkimi, piskliwymi dyszkancikami. "Bądź pochwalony, o Ty, któryś nas wybrał spośród wszystkich innych narodów i dał nam Torę" ... "To wyraźny szowinizm", pomyślał Azriel uśmiechając się w duchu. Sami siebie wybrali. W każdej epoce smażono ich żywcem. Każde pokolenie znajdowało powody, by ich skazywać na zagładę wraz z ich świętymi księgami. Czyż to nie oni ukrzyżowali Jezusa, dodawali krew chrześcijańską przy wyrobie macy, zanieczyszczali święconą wodę i profanowali hostię? Ci Żydzi zebrani w domu modlitwy zasługują na unicestwienie za różne występki, a w szczególności za to, że są kapitalistami (czyż nie brzmi to jak żart?) i obcymi przybyszami (bo zaledwie osiemset lat przebywają w Polsce). Zarzucano im nadto, że są szowinistami, reakcjonistami, mieszcuchami, fanatykami i barbarzyńcami posługującymi się szwargotem. Każdy wyraz kończący się na "izm" kwalifikował ich na zagładę. A przecież ich zbrodnią było pragnienie uduchowionego życia, bez wojen, cudzołóstwa, bez drwin i rebelii.

Czy jednak taki sposób zachowania mógł służyć za przykład innym, a ich postępowanie stać się tym, co Kant nazywa maksymą? Tak, jest to możliwe. Ludzkość powinna zaprzestać wojen i dzielić ziemię sprawiedliwie, aby dla wszystkich starczyło. Każda grupa etniczna mogłaby zachować swój język, swoją kulturę i tradycję.

Jedno wszakże musieliby mieć wspólne: wiarę w jednego Boga i w wolną wolę, wewnętrzną dyscyplinę, podporządkowującą wszystkie uczynki człowieka służbie Bogu i wzajemnej pomocy. Jeśli się żyje po bożemu – nie istnieją działania obojętne. Wszystko zdąża ku podniesieniu i oczyszczeniu człowieka. Tego jednak nie da się zdziałać siłą, podobnie jak nie można zmusić Mesjasza, aby przybył. Kiedyś

Azriel sądził, że są mu dobrze znane dziwactwa ludzkiego umysłu. Przywykł do wysłuchiwania chorobliwych bredni pacjentów przeczących samym sobie, oskarżających się lub usprawiedliwiających.

Przypuszczał też że zna doskonale funkcjonowanie własnego mózgu. Tym! czasem w ciągu ostatnich tygodni przekonał się, jak bardzo sprzeczne myśli mogą zaprzętać umysł ludzki. Współistnienie w człowieku ducha dobra i zła, jak to opisują święte księgi, jest widocznie głęboką prawdą psychologiczną. Nawet obecnie w Marszynie, kiedy się modlił, czytał, tańczył z chasydami i uczył Miszę judaizmu, odczuwał nadal wewnętrzny niepokój o pacjentów, Olgę i Topólkę coś uporczywie podszeptowało, że jego pobożność się skończy wraz ze świętami i powrotem do Warszawy.

Sam ze sobą prowadził spór i utrzymywał, że egzystencja materialistyczna jest zła, a religia stanowi lekarstwo na wszystko, co złe. Czyż mógł jednak uwierzyć, tak jak ci ludzie, że prawa i obyczaje zostały zesłane na górze Synaj? Cóż mogło być bardziej sprzecznego od pokutnika będącego nadal heretykiem lub choćby człowiekiem wątpiącym? Przypomniały mu się słowa z Przypowieści Salomona: "Każdy, kto idzie do niej, nie wraca, na drogę życia nie wchodzi", co według Talmudu odnosiło się do herezji. Uważał, że kwintesencję religii stanowi jej niepodzielna całość oraz nienaruszalna wiara. Wszakże, czy ktoś, kto czytał krytyków Biblii i wyznaje ewolucję pojęć, może powrócić do stanu niewinności religijnej? Ci Żydzi wierzą, że Tora spłynęła do nich wprost z niebios, on zaś wie, iż pisali ją różni ludzie w różnym czasie. W Księdze Rodzaju światło i ciemność to dwie odrębne całości. Słońce nie stanowi źródła światła, jest lampą dodającą światła i wspomagającą jego pierwotne źródło.

Gwiazdy uzupełniają księżyc. Niebo to tama i śluza zapobiegająca zatopieniu globu ziemskiego wodami z niebios.

W tej samej Torze, która zawiera przykazanie: "Nie zabijaj", są też zalecenia, w jaki sposób wytepić całe narody, jak rabować, palić, a nawet gwałcić. W Księdze Mojżeszowej pełno jest magii i tabu, podobnych do tych, jakie spotyka się wśród dzikich plemion Afryki i Polinezji. Czy Azriel pozna boską i absolutną prawdą

z Tory?

Co on tu robi w Marszynie? Po co oszukuje tych ludzi?

Pił z nimi wino i tańczył, ale czynił to bez autentycznej wiary. "Czy jestem hipokrytą? Czy postradałem zmysły?"

Czy chcę po prostu zniszczyć samego siebie, jak utrzymuje Olga?" Przygryzł wargi. Być może stanowi wyjątek wśród Żydów, lecz wśród chrześcijan są miliony jemu podobnych. Zagłębiają się w lekturze Darwina i chodzą do kościoła.

W niektórych państwach nastąpił rozdział nie tylko Kościoła od państwa, lecz nawet w swej psychice chrześcijanie rozróżniają prawdę religijną od naukowej. Czyż to możliwe? Wszak istnieje tylko jedna prawda: albo świat został stworzony w ciągu sześciu dni, albo się kształtował przez miliony lat albo Bóg przedzielił wody Morza Czerwonego, albo nie albo Jezus zmartwychwstał, albo pozostał martwy. "Czy mogę budować swe życie na sprzecznościach?" – zastanawiał się Azriel.

Święto Symchat Tora wypadło w piątek. Przez cały dzień Azriel chodził od jednego kiduszu w szalasię do drugiego. Popijał z uczującymi wino wytrawne i słodkie, miód z orzechami i piwo. Skubnął trochę strucli jabłecznej, zjadł kruche ciasteczko, kawałek placka. W domu Cypele posilił się kapustą z rodzynekami i sosem tatarskim. Czuł się nasycony i podchmielony. Jednak jego mózg pozostał całkowicie trzeźwy. Nie, nie potrafi budować życia na objawieniu. Nie może polegać na ustnym przekazie autorytetów religijnych. Kto wie, czy istniał zarówno Mojżesz, jak i cuda. Tora jest po prostu księgą.

Wszystkie religie to tylko marzenia ludzkie. Bóg milczy odwiecznie. Jeśli istnieje, jak można Go znaleźć? A priori czy a posteriori? Może powinno się Go raz na zawsze zidentyfikować z naturą, jak tego dowodzi Spinoza? Tylu próbowało dać dowód Jego istnienia, lecz nie dowiedli niczego. Słoń Kanta zrodził mysz.

Tak, dla chasydów jest to Symchat Tora. Zbliżał się wieczór. Wraz z zachodem słońca kobiety śpieszyły, aby odprawić błogosławieństwo świec. Kajla, służąca Cypele, przygotowała danie szabasowe, wstawiła do pieca i zalepiła jego brzegi ciastem. Niedługo powitają szabas śpiewem: "Nadejdz, o Ulubiony". W dzień szabasu rozpoczynają się na nowo czytanie pierwszego rozdziału Księgi Rodzaju.

Lecz jaki to wszystko ma związek ze światem zewnętrznym? Czy Azriel może przyjąć ten rodzaj życia i porzucić swój zawód? Uciekł, gdyż jego życie nie układało się dobrze. Czy tutaj wypełniłby je lepszą treścią? Czym by się zajął po świętach, kiedy już wszyscy rozjadą się do domów? Po pierwsze, po co tu w ogóle przyjechał? Czy chciał uciec od osamotnienia, bezbożności, od córki ukrywającej rewolwer pod materacem, żony urządzającej bale dla rozpustników i gnębieli, od pacjentek zdradzających swych mężów i pragnących dobrze się bawić na cudzy koszt? Czy też pragnął odnaleźć drogę do niemego Boga, którego istota nie jest znana, któremu nie wiadomo, jak służyć, ani nawet nie wiadomi, czy docenia jakąkolwiek Oddaną Mu usługę?

On, Wszechmocny, milczał w czasach bałwochwalstwa, niewolnictwa, wojen, plag i tortur. Obszedł się jednakowo ze wszystkimi ludźmi, z tymi, którzy Go uwielbiali, i z tymi, co Mu się sprzeciwiali. Gdyby natomiast Bóg przemówił, co by się stało z wolną wolą? Ojciec Azriela, niech odpoczywa w spokoju, miał rację: Bóg nie może odsłonić swych zamiarów, jeśli dobro i zło, wiara i negacja mają nadal równoważyć się na szali. Moralność życia zależy od tej wątpliwości. Człowiek musi odkryć Boga przez pokusę i cierpienie, dokładnie w ten sam sposób, w jaki odkrył, że można się otruć muchomorami i że serum z ospy krowiej leczy ospę u luda. Wszyscy szukają Boga, każda rasa ludzka i każde dzikie plemię.

Ludzkość nie mogłaby istnieć bez tego ustawicznego poszukiwania, jak to często Azriel stwierdzał w rozmowach z Cadokiem.

Wieczorem Żydzi powrócili do domu modlitwy. Już zapalono świece i lampy naftowe. Zamieciono podłogę i posypano ją żółtym piaskiem. Chasydzi śpiewali Pieśń nad pieśniami. Kantor stanął przed pulpitem i rozpoczął:

“O, przyjdźcie, radujmy się”...

Wieczorem w szabas Azriel wszedł do pokoju rabiego i spędził tam dwie i pół godziny. Jak dotąd nikt w Marszynie nie pamiętał, aby rabi spędził z kimkolwiek tak dużo czasu. Szames Mendel, przyłożywszy ucho do drzwi, usłyszał tylko niewyraźny szmer głosów. Azriel nie miał zwyczaju odsłaniać przed kimkolwiek swych myśli i zwierzać się z udręk, tym jednak razem nic nie zataił.

Siedział naprzeciw rabiego i odnosił wrażenie, że każde wypowiedziane przez niego słowo poraża Jochanama niby cios włóczni. Od czasu do czasu rabi się krzywił jakby z bólu i chwycił za pierś. Azriel pytał raz po raz, czy ma przerwać, lecz rabi stale odpowiadał:

– Mów dalej, mów.

Azriel przedstawił szczerze swe wątpliwości: Jaki mamy dowód na to, że prawo Mojżeszowe to jedyne prawdziwe prawo. Inne religie mają własne prawa. Gdzie jest dowód istnienia Boga? A jeśli nawet istnieje, lecz nigdy nie ujawnia, co Mu się podoba, a co nie, dlaczego jest kara? Czy król, który nie ogłosił poddanym żadnych praw, może ich karać za łamanie prawa? Azriel zdawał sobie sprawę, sądząc z wyrazu twarzy rabiego, że bluźni. To okrutne męczyć świętego, który oddał swe życie religii i bliski jest śmierci. Co rabi może powiedzieć nowego, czego Azriel nie wie? Zaczął się obawiać, że usłyszy naganę, że Jochanam nabierze doń odrazy jako do heretyka i przepędzi. Chwilami oblicze rabiego posępniało i odzwierciedlało zakłopotanie, to znów jakby ślad uśmiechu pojawiał się w oczach. Z pejsów skapywał pot. Świece w lichtarzach się wytapiały. Na ścianach tańczyły cienie. Kilka razy szames Mendel zajrzał, lecz rabi odprawił go ruchem ręki. Od czasu do czasu dostawał napadu kaszlu i splotował w chusteczkę.

Kiedy Azriel umilkł, rabi zapytał:

– Od kogo się wywodzisz ze strony matki?

– Matka była pobożną Żydówką.

– Wiem o tym. Czy i ona się wywodziła od pobożnych mężów?

– Tak, rebe, od rabiego Jom–Tow Hellera.

– Ach tak? Jesteś więc wnukiem świątobliwych mężów.

– Co mam począć, rebe?

– Nie czyń nic złego.

– Czy to wszystko?

– To bardzo wiele.

– Jeśli chodzi o żonę, co mam czynić, rebe? Opowiedziałem o niej.

– Tak, słyszałem.

- Czy mam ją opuścić?
- Jeśli możesz.
- A jeśli nie mogę?
- To czekaj.
- Co mam zrobić z Mojszele?
- Zostaw go tutaj.
- Rebe, nie wiem, co mam zrobić. Rabi uśmiechnął się.
- Mimo wszystko to trzeba wiedzieć. Przynajmniej nie bądź sprawcą niczyjego

smutku.

- Czy mam nałożyć tefilin i żyć jak Żyd?
- Tak, jeśli potrafisz.
- Nawet jeśli nie wierzę w prawo Mojżeszowe?
- Święci również wątpili. Dopóki dusza przebywa w ciele, nie może być

niczego całkowicie pewna. Przy bożej pomocy wszyscy poznamy prawdę.

- A tymczasem?
- Tymczasem nikomu, w tym także i sobie, nie czynić krzywdy.
- Czy mam nadal pracować jako lekarz?
- Lekarze są niezbędni.
- Rebe, niczego przed tobą nie zataiłem.
- Do wszystkiego potrzebna jest pomoc boża. Nawet przy wolności wyboru

konieczna jest łaska boża. Nawet wolna wola jest łaską.

- Co należy zrobić?.
- Trzeba się modlić o łaskę.
- Nawet jeśli człowiek nie wierzy?
- Nie ma ludzi całkiem niewierzących. Ciało jest ślepe.

Jednakże dusza widzi, przebywa bowiem na tym i na tamtym świecie. Bez ciała nie mogłaby istnieć wolna wola. Taki jest sens istnienia ciała.

- Dobrze jest słyszeć te słowa, rebe.
- Po co się martwić? To jest świat boży. Wszystko od Niego pochodzi.

Złoczyńca oczywiście przynosi szkodę, lecz są na to środki zaradcze. Nie ma powodu

do rozpaczy.

- Co mam zrobić, żeby zasłużyć na łaskę?
- Spełniać miłosierne uczynki. Już uczyniłeś coś szlachetnego ratując

Mojszele.

Azriel chciał jeszcze powiedzieć o zamiarze wyjazdu do Palestyny, lecz rabi powstał i podał mu rękę.

- Idź w pokoju. Bóg wie wszystko...
- Dziękuję, rebe.
- Ciało jest naczyniem cierpienia i dlatego się buntuje.

Azriel poszedł do swego pokoju. Mojszele już spał.

Azriel też się położył, nie mógł jednak zasnąć. Słowa rabiego brzmiały mu w uszach. To przecież niesłychane, że ten święty człowiek, poddający się tylu umartwieniom, jest tak pobłażliwy w stosunku do innych. I nagle Azriel pojął istotną różnicę między człowiekiem świętym a niegodziwym: obaj kwalifikują wszystko pod względem moralnym, z tym że święty stawia wymogi sobie, łotrzyk zaś – innym. Azriel usnął, przyśniła mu się Olga. Zbudził się drżąc z pożądania. Ona jednak może go już nie kocha.

Począł się zastanawiać, co przemawia za ascetyzmem.

Dlaczego jest tylu pustelników, fakirów, mnichów i mniszek? Dlaczego rewolucjoniści są gotowi ginąć za swoje przekonania? Dlaczego w tym egoistycznym świecie tylu jest kandydatów na męczenników? On sam zamierza się wyrzec kochającej go kobiety oraz kariery i podjąć życie pełne cierpienia. Dlaczego? Dusza bowiem upomina się o takie same prawa, jakie ma ciało. Domaga się przeto oswobodzenia z więzów materii, lecz nie może tego osiągnąć. Chcąc zdobyć choć trochę swobody, dusza musi ustawicznie walczyć! Żydowskość polega na kompromisie między ciałem i duszą, nie zaś na wojnie między nimi dwoma.

Rabi starał się przekazać mu myśl, że nie należy się zmuszać. Lepiej jest czynić choćby trochę dobrego, lecz z własnej woli niż dużo, ale z przymusu.

V

W niedzielę rano Azriel udał się do domu modlitwy i nałożył tałes przed przystąpieniem do modłów. Wielu chasydów już się rozjechało poprzedniego wieczoru bądź o brzasku, pozostało jednak kilka minjanów. Azriel nałożył tefilin na obnażone ramię i czoło, następnie owinął wokół palców rzemyki tworząc hebrajską literę szin, początkową słowa "Szadaj", oznaczającego imię święte, po czym zaintonował: "I poślubię cię sobie [znowu] na wieki, poślubię przez sprawiedliwość i prawo, przez miłość i miłosierdzie. Poślubię cię sobie przez wierność, a poznasz Jahwe." "Co za słowa! Jakaż to sprawa autosugestii do zasilenia pustego żołądka!" – pomyślał Azriel. Zwykle w Warszawie przeglądał gazetę z rana. Na pierwszej stronie pisano o pogromach, powodzi, strajkach, demonstracjach. Obracał stronicę i czytał o morderstwach, samobójstwach, podpaleniach, kradzieżach. Tutaj każdy dzień się rozpoczyna w domu modlitwy, pod szczęśliwymi auspicjami. Zakończywszy modlitwy poszedł się pożegnać z Cypełe. Mojszełe już zjadł śniadanie. Cypełe powiedziała Azrielowi, że zanim zapisze chłopca do chederu, przyjmie na kilka tygodni nauczyciela. Zełda, jej córka, przebywa w Marszynie i pomoże roztoczyć opiekę nad chłopcem. Dzieci Cypełe są już dorosłe, będzie więc miała przyjemność wychowywania jeszcze jednego dziecka, synka Szajndł, a wnuka ich ojca. Azriel chciał zostawić pewną kwotę na związane z tym wydatki, lecz Cypełe się rozgniewała. – Nie potrzebuję pieniędzy!

– Przecież utrzymanie dziecka kosztuje.

– Phi! Nie wydam miliona...

– Mojszełe, chcesz tu zostać?

– Tak, tak.

– Słuchaj cioci.

– Tak.

Azriela uderzyło to, że chłopiec chce pozostać. Olga była dla niego jak matka. Kola bawił się z nim. A jednak podniósłby gwałt, gdyby Azriel chciał go zabrać do Warszawy. Mojszełe trzymał kawałek piernika w ręku i popijał mlekiem. Już się

zadomowił u ciotki. Kupiono mu chałacik i myckę, jakie nosili chłopcy, z chederu. Mówiąc po polsku wtrącał żydowskie słowa. Azriel zostawił kieszonkowe dla syna i odjechał na stację. Tłum chasydów zappełniał dworzec kolejowy. Powinien by jechać razem z nimi trzecią klasą, kupił jednak bilet pierwszej klasy.

Podczas dwugodzinnej podróży musiał mieć warunki, żeby zastanowić się nad domowymi sprawami. Co porabia Olga? Jego nieobecność trwała niecały tydzień, a zdawało się, że upłynęły już miesiące. Nadszedł pociąg. Chasydzi rzucili się do wagonów, obładowani pakunkami i torbami. Azriel przyglądał im się z zaciekawieniem. Prawie wszyscy byli drobni, zaniedbani, przygarbieni, mieli potargane brody i mówiąc gestykulowali w swoisty sposób. W czasie długiego postoju pociągu na stacji nawoływali się, biegali od jednego wagonu do drugiego, zaplątywali w swe długie chałaty i zachowywali tak hałaśliwie, że stanowili pośmiewisko dla pasażerów–chrześcijan. Azriel słyszał, jak jeden Polak odezwał się do drugiego: “Co za dziki motłoch”... Tak, tutaj stanowili motłoch, lecz zaledwie przed godziną byli kapłanami w świątyni. Czy świat to kiedykolwiek zrozumie? Zupełnie brakowało im tego poloru, który świat chrześcijański nazywa godnością czy dumą.

Wszystko, co w nich chwalebne, znajduje się w ukryciu.

Na zewnątrz robią wrażenie karykaturalne.

Chasydzi podeszli do niego i uwijali się wokół, jego zaś ogarnął nagły wstyd za nich. Wydał się sobie wstrętny.

Wstydział się Żydów! Oto, do czego doprowadziło oświecenie! Zdecydował się zająć miejsce wśród rabich i wszedł do wagonu trzeciej klasy. Dzwonek zadzwieczał po raz trzeci. Pociąg ruszył. Ławki były zajęte przez pasa żerów–chrześcijan, którzy wsiedli na poprzednich stacjach, a półki zappełniały ich bagaże. Chasydzi stali grupkami. Niektórzy próbowali przysiąść na swych koszykach i torbach. Rozmawiali gestykulując, chwytając się za brody. W ferworze tłumaczenia słów rabiego jeden z chasydów, chwycił drugiego za wyłogi chałata.

Uczeń jesziwy dobył z koszyka butelkę sznapsa i zaprosił innych do wypicia z okazji rocznicy jakiegoś rabiego. Ponieważ nie było wody do umycia rąk, chasydzi

pocierali dłońmi o szyby. Azriela też poczęstowano łykiem alkoholu. Odmówił błogosławieństwo, a oni odpowiedzieli "Amen". Wyrazili nadzieję, że Azriel pozostanie chasydem i że się nie wyrzeknie, broń Boże, swych przodków. Dwie kobiety poczęły chichotać. Chrześcijanin o jasnych wąsach odezwał się:

– Popijacie, Żydki, co? Pijusy z was. Chrześcijanin nie ma kawałka chleba, żeby napełnić brzuch, a wy, parchy, próżniaki, siorbiecie wodę. Powinni tu zrobić z wami to samo, co zrobili w Rosji: wygonić.

– Wygonić, ale dokąd? – odezwał się osobnik w meloniku, o czarnych, przenikliwych oczach. – Kto przyjmie to robactwo? Prusacy? Oni wszystkie szumowiny wyrzucają tu, do Polski...

Chasydzi udawali, że nie słyszą, a może rzeczywiście nie słyszeli. Słabo znali język polski. Azriel miał chęć zareplikować, lecz wiedział, że to nie ma sensu. W polskich gazetach ukazywały się coraz bardziej agresywne artykuły przeciwko Żydom. Ich gniew miał za cel głównie Żydów rosyjskich, litwaków, wypędzonych z rosyjskich guberni i "rusyfikujących" Polskę. Mężczyzna w meloniku ciągnął dalej:

– Te czorty nas zaleją! Zrobią to samo, co zrobili z Egiptem. Wypędzają ich z Rosji jak szczury, oni plują na nas i odbierają nam chleb. Przez nich brakuje żywności.

Co mamy zrobić z tym zapowietrzonym motłochem?:

Popatrzcie tylko, ludzie, toż to dzika horda! Gori od Tatarów! Bez żadnego wychowania!

– Hej, ty Żydziaku, przewróciłeś moją torbę – zawołała kobieta skrzeczącym głosem. – Podnieś ją, zawszony szczeniaku... Ludzie, oni depczą moje rzeczy!

Azriel podniósł torbę i położył na półce. "No cóż – pomyślał – w pierwszej klasie wycpałbym, ale tak właśnie przedstawiają się sprawy: jesteśmy narodem bezdomnym i nie potrafimy z nikim żyć. Pozostaliśmy obcy, stanowimy przedmiot ustawicznego szyderstwa i pośmiewiska. Nic się nie zmieniło. Dzisiaj warunki są równie złe jak przed tysiącem lat. A nawet gorsze w owych czasach nie było oświecenia. Wtedy Żydzi zachowywali przynajmniej swoją wiarę"...

Wszedł konduktor i zaczął zaglądać pod ławki. Tak, faktycznie, pod jedną

z nich ukrył się chłopak. Konduktor go wyciągnął chwyciwszy za buty, aż jeden z nich został mu w ręku. Chłopak miał długie pejsy i duże czarne oczy.

Nie obuta noga owinięta była szmatą.

– Złodziej, co? Gdzie masz bilet, ty przeklęty łobuzie?

– Zgubiłem.

– Ach tak, zgubiłeś? Prześpisz się dziś w więzieniu, szubrawcu! Trędowaty parchu!

– Bracia, musimy mu pomóc – odezwał się młody chasyd.

Azriel kupił chłopcu bilet. Konduktor oddał mu but.

Polacy śmieli się i złościли. Pokręcali węża, szeptali pół głosem między sobą o Azrielu. Miał wygląd Europejczyka, nie należał do tego motłochu. Rzucano w jego stronę podejrzliwe spojrzenia. Od czasu do czasu żydowscy korespondenci przyjeżdżali tu z Europy i pisali do prasy zachodniej krytyczne artykuły o Polsce.

VI

Azriel wziął dorożkę. Kiedy wyjeżdżał z Warszawy, słońce przygrzewało i było zupełnie ciepło. Teraz nade szła jesień. Mgła zawisła nad miastem i od czasu o czasu na twarz spadała mu pojedyncza kroplą deszczu z zaciągniętego chmurami nieba. Dorożka podjechała pod dom. Azriel zapłacił i wszedł na schody. Na mosiężnej tabliczce umieszczonej na drzwiach widniało jego nazwisko. Przynajmniej jest panem tego kawałka metalu. Zadzwoił i usłyszał kroki. "Nie wolno mi się tak denerwować – uspokajał siebie. – Poweźmę jakąś decyzję." Drzwi otworzyła Olga. Stała przed nim ciemna, szczupła, w czarnej sukni, z włosami uczesanymi na inny sposób. Uśmiechnęła się pytająco.

– Wróciłeś?

– Mam nadzieję, że mnie poznajesz?

– Wejź do środka.

Wszedł do przedpokoju i postawił walizkę.

– A gdzie Misza? – spytała.

– Został w domu rabiego.

– Ach tak!

Otworzył drzwi do gabinetu i zajrzał do środka, jakby podejrzewając, że ktoś inny zajął jego miejsce przy biurku. Powiesił kapelusz na aniołku stojącym w salonie.

Chciał tym gestem przekonać siebie, że wciąż tu mieszka i robi to, co mu się podoba. Olga podążyła za nim.

– Nawet mnie nie pocałowałeś...

– Sądząc z twego pożegnania na wyjeździe, uważałem, że wszystko między nami skończone.

– Cóż takiego powiedziałam? Zgłaszali się pacjenci, nie wiedziałam, jak ich informować. Mówią o tobie w całej Warszawie.

– Niech mówią.

– Jak można tak po prostu zostawić dziecko samo?

– Nie jest sam. Żona rabiego to jego ciocia. Ma tam więcej krewnych niż tutaj.

– No cóż, rozumiem. Ja jestem dla niego zupełnie obca.

Tyle że go wychowałam. Co on tam będzie robił, zostanie chasydem?

– Pójdzie do chederu.

– No dobrze, rób, jak uważasz za stosowne. Nie mam tu nic do powiedzenia.

Olga stała przy doniczce z kwiatem. Rozmawiając z Azrielem dotykała jakiegoś wpół zwiędłego liścia, który ledwo się trzymał, jakby próbując przytwierdzić łodyżkę do gałązki. Spoglądała na Azriela spod oka, uśmiechając się w dziwnie zakłopotany sposób.

– Dlaczego nie zdejmujesz okrycia?

Pozostał w płaszczu i usiadłszy na kanapie skłonił głowę na oparcie. Ogarnął go nastrój wisielczej żartobliwości.

– Olgo, źle jest!

– Co jest źle, najdroższy?

– Wszystko. Chcę zostać Żydem, a zarazem tęsknię za tym domem. Wraciałem wagonem trzeciej klasy i przekonałem się, co Polacy do nas czują. Oni nas wprost nienawidzą.

– A kto jest kochany? Dlaczego podróżowałeś trzecią klasą?

– Chciałem być z chasydami.

– Jeśli zamierzasz zadawać się z nimi, zawsze coś takiego może cię spotkać.

– Żydzi nowocześni, tacy jak my, są jeszcze bardziej znienawidzeni. Jak się czujesz?

– No cóż, jeszcze żyję. Myślałeś, że się zabiję?

– Skąd znowu, nic podobnego.

– Ani słówka nie napisałeś.

– List nie przyszedłby dużo wcześniej ode mnie.

– Choćby nawet... Mam nadzieję, że się zdecydowałeś, jak postąpić. Jeśli chcesz być nadal lekarzem, nie możesz w ten sposób traktować swoich pacjentów. Nie jesteś jedynym lekarzem w Warszawie.

– Wiem o tym.

– Nie jesteś też, jak mówią Żydzi, jedynym mężczyzną w Moskwie.

– Co takiego zaszło? Czy ktoś ci się oświadczył? – zapytał Azriel z wyrazem napięcia.

Olga się zaczerwieniła. Po chwili zastanowienia odpowiedziała:

– Tak. Kto?

Olga uśmiechnęła się, choć smutek pozostał w jej oczach.

– Mówiłam ci o doktorze Iwanowie, pułkowniku.

– No tak.

– Przyjechał do Warszawy i złożył mi wizytę. Słowa Olgi wstrząsnęły Azrielem. Poblądł z zazdrości.!

– Zakochał się w tobie? Tak po prostu?

– Nie szydź. Mężczyzna może się jeszcze we mnie zakochać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Mój drogi Cadoku (a może wolisz: Zdzisławie?)!

Wiem, że Ci przyrzekłem napisać natychmiast, minęło już jednak sześć tygodni od mego wyjazdu i nie znalazłem dotąd czasu na list. To, co się przydarzyło Cynie, całkowicie mnie rozstroiło. Może nie miałem prawa odjechać i zostawić jej w takim nieszczęściu. Bóg mi świadkiem, iż nie byłem w stanie nic pomóc. Kiedy wreszcie dotarłem do Saszy, poniżyłem się przed nim, a on zachował się bezczelnie. Popadł w głęboką melancholię po śmierci Klary i Kalmana. Wszystko już zlikwidowałem i nic innego mi nie pozostało, jak wyjechać. Nie wiem, czym mam wpierw pisać. Byłem w Berlinie i w Paryżu, gdzie nawet widziałem "wielkiego Charcota", jak go nazywają. Obecnie, co widać ze stempla na kopercie, znajduję się w Szwajcarii, w Bernie. Moja siostra Mirele wciąż jeszcze przebywa w sanatorium w miejscowości Arosa i obawiam się, że jej stan nie jest dobry. Poświęciła się całkowicie przygotowaniu rewolucji, o której tutaj się mówi dzień i noc. Nie chcę Ci opowiadać, się dzieje w tak zwanej "rosyjskiej kolonii" złożonej w dziewięćdziesięciu procentach z Żydów. Naród, który przez cztery tysiące lat służył Bogu i świętym ideałom, całkowicie od nich odstąpił zapomniał własnej historii męczeństwa. Postawił wszystko na rewolucję, która zapewne nic nie przyniesie poza krwawą jatkę. Tragizm wszystkiego polega na tym, że owa garstka ludzi jest już podzielona na koterie, grupy oraz frakcje, zwalczające się i nienawidzące nawzajem.

Jakaż tam panuje nienawiść! Nie przeczę, że jest wśród nich wielu idealistów. Do takich należy moja siostra. A co pociągnęło Cynę do działalności? Co z nimi się stanie i kiedy zaczną swą pracę gilotyna?

Zachodnioeuropejskiej bożyszczka również mnie rozczarowały. Charcot to świeżo upieczony tyran.

Traktuje lekarzy jak chłopców na posyłki. Widziałem jego pacjentów. Bogu wiadomo, że ani Charcot, ani Janet nie mogą im pomóc. Ich chorzy to tacy sami nieszczęśliwi ludzie jak ci, którzy do mnie przychodzili. Jednego z nich poznałem, to

mój dawny pacjent. Jeżdżą z Paryża do Nancy, z Nancy do Karlsbadu lub Baden–Baden.

Łatwo ich zahipnotyzować. Pociąga ich każda nowa moda, każda głośna książka czy sztuka, o której się mówi, jakiś rozdmuchany skandal. Za dużo się przejmujemy w Polsce tą zachodnią Europą. Urzędas pruski nie więcej wart od naszego naczelnika. Skąpstwo i małostkowość niemieckich hotelarzy jest wprost nie do uwierzenia. W Paryżu widziałem nędzę i brud jeszcze gorsze niż u nas na Krochmalnej.

Alpy są wspaniałe, natomiast wykłady z filozofii, jakich słuchałem tutaj w Bernie i w Zurychu, są równie nudne, pedantyczne i fałszywe jak wiedza szerzona w Warszawie. W Niemczech panuje powszechnie antysemityzm. Tutaj, w zachodniej Europie, zobaczyłem na własne oczy to, czego od dawna się spodziewałem osoba, która się oddali od Boga, poszukuje tylko okazji do nienawiści. Nienawidzimy w imię patriotyzmu lub różnic klasowych, powiązań partyjnych, wreszcie – po prostu dlatego, że mieszkamy, w różnych miejscowościach bądź mówimy różnymi dialektami.

Profesorowie obrzucają się nawzajem błotem. Toczy się zajadły spór w Niemczech na temat Kanta. Dla pruskiego studenta największym wyczynem jest wypicie dziesiątków kufla piwa i staczanie pojedynków. Młodzian, nie mający na twarzy kilku blizn po pojedynkach, wstydzi się wejść do piwiarni. Niemcy opanowała obsesja podboju, Francję zaś zżera pragnienie odwetu. Oba kraje jednoczy pogarda i zazdrość w stosunku do Anglii. W Europie rodzi się wiele projektów, wszystkie jednakże wymagają ofiar ludzkich.

Po wyjeździe z Warszawy wciąż się nosiłem z myślą, osiedlenia gdzieś w zachodniej Europie. Znalazłszy się jednak na miejscu, zrozumiałem wiele rzeczy. Obecnie podjąłem ostateczną decyzję wyjazdu do Palestyny. Nie sądzę, że mam jakieś złudzenia. Jestem w pełni świadom, że tamtejsi osiedleńcy to nie święci. Jakim zresztą sposobem w takiej czy innej części świata da się rozwiązać problemy ludzkie? Niemniej Palestyna jest dla mnie symbolem powrotu do korzeni, do źródła odwiecznych prawd, które ludzie starali się w ciągu tysięcy lat zmieniać, okaleczać

lub zatopić w dogmatach.

Przysłuchując się wykładom słynnego Wundta, zdałem sobie sprawę, że intelektualiści będą nadal tworzyć interpretacje filozoficzne, socjologiczne i psychologiczne, nawet jeśli cały świat miałby się upodobnić do Sodomy. A czy jesteśmy dalecy od takiego stanu rzeczy? Cała ta kultura stępnia odczucia moralne i niszczy wiarę w siły boskie. Tutaj, jeszcze bardziej niż u nas w kraju, na każdym obliczu maluje się megalomania. Mam oczywiście na myśli inteligencję.

Przeżywałem okres, kiedy widziałem wszystko w czarnych kolorach i zastanawiałem się poważnie nad samobójstwem: za każdym jednak razem moje kroki jakby same przez się wiodły do Żydów, prawdziwych Żydów, takich, którzy żyją po bożemu. Znalazłem chasydzkie domy modlitwy w Berlinie, a nawet w Paryżu. Nie potrafię Ci opisać, jaką przyjemność stanowiły dla mnie spotkania z tymi chasydami, patrzenie na ich twarze, brody, oczy, słuchanie słów Tory. Kiedy się spogląda na uczonych w Talmudzie, widzi się faktycznie wieczność. Co dla nich znaczy Berlin? Albo Paryż? Jak cudownie potrafili się odizolować od tego całego szaleństwa! Nie wiedzą nawet, że się znajdują w Europie i że się zbliżamy do końca "wspaniałego", krwawego, dziewiętnastego wieku.

W ich domach kultu religijnego jest zawsze początek. Nie chełpią się postępem ani nie opierają swych nadziei na "nowym człowieku", któremu ten czy inny system Ja władzę. Oni są prawdziwymi realistami. Wiedzą, że po wsze czasy człowiek będzie przychodzić na świat ze złymi cechami i że od kolebki po grób musi pracować nad sobą, aby nie stać się grzesznikiem.

Wiem, Cadoku, że się ze mną nie zgadzasz, lecz muszę Ci powiedzieć, co myślę. Jest dla mnie zagadką, dlaczego ludzie w moim wieku, a nawet i zupełni starcy, poszukują pociechy w przyszłości, która nie obejmie już ich egzystencji. Przestałem po prostu rozumieć ludzi budujących nadzieje na dzieciennych obietnicach. Mówię Ci, Cadoku, nie ma większego nonsensu od optymizmu profesorów.

Nie muszę Ci mówić, że wyjeżdżam do Palestyny z ciężkim sercem. Zostawiłem Miszę u Twojej matki. Z Olgą właściwie się rozstałem. Ani z niej

Żydówka, ani chrześcijanka. Jak tyłu innych oświeconych Żydów, Olga tylko jednego pragnie: zapomnieć o swym pochodzeniu, zniszczyć jego ślady. Chciałbym, ze względu na jej dobro, żeby tak się stało. Moja sytuacja nie jest dużo lepsza, gdyż nie ma we mnie prawdziwej wiary i we wszystko wątpię, ale przynajmniej nie żywię złudzeń, że można wymazać historię naszej rasy. Ta moc – bez względu na źródło – która nas zachowała przy życiu w ciągu czterech tysięcy lat, wciąż w nas istnieje. Mogę zaprzeczać istnieniu Boga, lecz nie mogę przestać być Żydem, chociaż te słowa mogą brzmieć sprzecznie i dziwnie.

 Nie doszły mnie tutaj żadne wieści o Twoim ojcu i mara nadzieję, że nie jest za późno, abyś się udał do niego.

 Gorące pozdrowienia dla Ciebie i Chany.

 Oddany Ci Azriel.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

I

Cadok zapuszczał brodę. W szafie wciąż wisiała krótka kapota i za każdym razem otwierając drzwi szafy spoglądał na nią. Jego ojciec, reb Jochanan z Marszynowa, leżał na łożu śmierci. Cadok był przygotowany, że każdy dzień może przynieść złą wiadomość. Jednak było nie do pomyślenia, by pojechał do Marszynowa ogolony i w marynarce. Stanowiłoby to dyshonor dla matki. Broda mu szybko odrosła i znowu wyglądał jak chasyd. Siedział w fotelu paląc papierosy i przeglądając stos zakupionych pism. Kiedy mu broda zaczęła odrastać, zaniechał chodzenia na wykłady i odwiedzania swych zasymilowanych przyjaciół. Powinien otrzymywać zasiłek pieniężny z gminy, ale zaniedbał wystąpić o to i pieniądze przeszły na studenta bardziej dbającego o swe interesy. Chana była w ciąży, chodziła z wydatnym brzuchem i żółtymi plamami na twarzy.

Pełnia lata zmusiła wszystkich, kogo na to było stać, do wyjazdu na wieś. Słońce prażyło dach mansardowego pokoju. Odór gnijących owoców, ścieków i smażonej cebuli, dolatujący z kuchni sąsiadów, buchał przez okna. Dzieciaki na ulicy wrzeszczały, ciskały kamieniami i rzucały kijami w drewniany kołek wetknięty w ziemię. Cadok przerzucał pisma marszcząc brwi. Kiedy wuj Azriel przebywał w Warszawie, Cadok nie czuł się tak nieszczęśliwy. Przynajmniej miał z kim podyskutować. W ciągu ostatnich lat wuj Azriel krytykował wszelkie wartości materialne, więc Cadok po prostu dla podtrzymania dysputy opowiadał się za materializmem. Tego wszakże lata osiągnął etap zniechęcenia nauką, którą wuj porównywał do słonej wody: im więcej jej się pije, tym mniej ugasza pragnienie. Każdy aspekt nauki dotyczy szczegółów i nie prowadzi do uogólnień znaczeniowych. Cadok dawno już odrzucił metafizykę. Filozofowie bawią się słowami jak dzieci zabawkami. I w tym względzie wuj miał rację: człowiek dzisiejszy czci słowa jak bóstwa. Nawet nauki ściśle nie dawały Cadokowi prawdziwego zadowolenia. Matematyka, określana przez Kanta jako język natury, jest niczym innym jak grą

w szachy. Pewniki nie są żadnymi dogmatami tylko przyjętymi prawidłami Geometria nieeuklidesowa Łobaczewskiego i Riemanna obaliła wszelkie złudzenia, iż matematyka stanowi prawdy podstawowe. Im bardziej Cadok się zastanawiał nad darwinowską teorią pochodzenia gatunków, tym mniej do niego przemawiała. Nawet jeśli życie istnieje od milionów lat, gatunki nie mogły powstać bezplanowo. Każdy kwiat, każdy ptak i każde zwierzę przeczą tej teorii. A z czego powstała pierwsza komórka? Pierwsza martwa materia? Czym są prawa? Co to takiego prawo? Kiedy człowiek odrywa myśl od spraw codziennych, od razu staje twarzą w twarz z odwiecznymi tajemnicami. Cadok pociągał odrośniętą brodę i krzywił się. Uciekł od Talmudu, księgi Zohar, Szulchan Aruch; chciał się oprzeć na ścisłych faktach i na rozumie. Fakty jednak prowadziły donikąd, rozum od samego początku zawodził. Prawda pozostawała w ukryciu. Za granicą? Czyż można się czegoś dowiedzieć za granicą, co nie jest znane u nas? Otrzymał książki z Berlina, Lipska, Bonn, nawet z Paryża i Londynu. Siedząc w fotelu tu, na Starym Mieście, nawiązywał kontakt z największymi umysłami świata. Czyż jednak te największe umysły wiedzą wiele o świecie? Niewiele.

Chana weszła z kuchni, miała potargane włosy, poplamiony fartuch i przydeptane papucie. – Cadok, przynieś wiadro wody!

Wziął wiadro i zszedł do pompy studziennej. Noszenie wody stało się uciążliwe. Przez tych kilka lat pobytu w Warszawie Cadok dosłownie widział, jak potęguje się antysemityzm. Dawniej chrześcijanie pozdrawiali go słowami: “dzień dobry” i uchylali czapek, teraz przestali się kłaniać. Wyrosłe na jego oczach dzieci zaczęły podrwiwać z niego i przedrzeźniać. Dziewczęta śmiały mu się zuchwale w nos. Z dnia na dzień wzrastała wrogość do Żydów, w prasie polskiej wciąż wynajdywano nowe oskarżenia. Nawet zasymilowani Żydzi narażeni byli na obelgi. W Rosji trwały nie kończące się pogromy. Wypędzano Żydów z wiosek. Teren, na jakim wolno im było się osiedlać, malał z roku na rok. A kto temu wszystkiemu przewodził? Przecież nie tłum i nie ciemne masy, lecz ludzie oświeceni, z uniwersyteckimi dyplomami. W Niemczech antysemityzm szerzył się wśród grona profesorskiego. Jeśli oświata nie stanowi antidotum na odwieczny zwyczaj

ciemiężenia ludzi, to gdzie go szukać?

Cadok pompował wodę. Wokół stała grupka polskich wyrostków małpując jego wahadłowe ruchy.

– Hej, Żydku, to jest pompa, a nie twój tańs!

Cadok pochwycił wiadro, przy czym woda wylała się mu na buty. Źle sypiał po nocach, czuł się osłabiony. Z trudem podniósł kubeł. Ostatnio zaczął się przejmować inną sprawą – jedzeniem mięsa. Jak można się przeciwstawiać przemocy, a jednocześnie zjadać mięso niewinnych zwierząt i drobiu? Czyż jest na to usprawiedliwienie? Tu chodzi po prostu o przemoc. Kto ma nóż w rękę, zabija. On jest przeciwny racji silniejszego. Uprzedził już żonę, że przestaje jeść mięso, na co odpowiedziała lamentem. Czyż jeszcze nie dość ją unieszczęśliwia? Z jego powodu wszyscy się od niej odsunęli: matka, bracia, siostry i bratowe. Nie ma szabasu ani świąt, to nie życie. A teraz chce ją na dodatek pozbawić mięsa. Nie jest w stanie gotować posiłków dwójakiego rodzaju, mięsnych i mlecznych. Nie ma na to ani pieniędzy, ani sił. Jest w ostatnich miesiącach ciąży i z trudem stoi na nogach... Chana płakała, uzalała się i podnosiła taki lament, że Cadok ustąpił. Pędzie jadł mięso, niech tylko ona już zamilknie! Mięso mu jednak nie służyło. Chana kupowała kurze dróbka: łebki, łapki, wnętrzności, wątróbki. Cadok czuł, że połyka krew i szpik. Dlaczegoż nie zabić też jego i ugotować w identyczny sposób! Jak mogą ludzie, skazujący na śmierć żywe stworzenia, mówić o sprawiedliwości?

Chana krzątała się w kuchni. Cadok przerzucał stronicę książki. Może należy już teraz pojechać do Marszynowa? To prawda, że brodę ma jeszcze zbyt krótką i nie zapuścił pejsów. Nie może jednak dłużej czekać. Nagle skoczył na równe nogi. "Na co czekam?"

– Chanele!

– Co się stało?

– Jadę do Marszynowa.

– Od razu?

— Tak, od razu.

– I zostawisz mnie samą?

- Nałóż perukę i jedź ze mną.
- Nie mogę jechać tak, jak stoję...

Chana przyrzekła, że do następnego dnia będzie gotowa. Cadok pojechał na stację, by zapytać o godziny odejścia pociągów. Jadąc tam tramwajem, robił rachunek sumienia. Był niegdyś oddanym synem. Kiedy ojciec zachorował, zmoczył łzami swój psalterz. Jednak odkąd stał się człowiekiem "oświeconym", nabrał cech okrucieństwa. Jego ojciec wypluwa resztki płuc w Marszynie, a on przebywa w Warszawie. Od lat go nie widział. Mijały dni, on nawet nie wspomniał, że ma ojca, nie pamiętał też o jego złym stanie zdrowia.

II

W Marszynie ucichło. Od paru tygodni spodziewano się śmierci rabiego. Przed dwoma laty doktor Ząbek orzekł, że jego dni są policzone, jeśli jednak Bóg daje życie – człowiek żyje. Ale rabi nie mógł już podnieść się z łoża. Widywał tylko najbliższych. Zaglądał do księgi Zohar, znów zapadał w drzemkę, budził się i powracał do świętej księgi. Dużo mu brakowało do pięćdziesiątki, a wyglądał jak starzec z białą zwichrzoną brodą. Ramię tak mu wychudło, że tefilin z trudem się na nim trzymał. Oczy w trupio bladej twarzy łzawiły. Żołądek już nie tolerował nawet ciepłego mleka podanego na spodku lub łyżki rosółu z kury. Łyk herbaty to wszystko, co mógł przełknąć. Obsługiwała go obecnie Cypełe, nie zaś szames Mendel. Twarz jej się ściągnęła. Od śmierci Kalmana nosiła chustkę na głowie zamiast czepka. Straciła siostrę i ojca, a teraz umiera jej mąż. Jedyne, co mogła uczynić, to się modlić.

– Proszę, wypij choć łyk mleka... – Pochyliła się nad rabim. Szklanka drżała jej w ręce.

– Dziękuję. Nie czuję potrzeby.

– Bardzo proszę, napij się.

– Nie mogę.

– Biada mi!

– Cicho, Stwórca istnieje.

– Dlaczego tyle nieszczęść na mnie spada? – zawołała wybuchając płaczem.

Rabi chciał ją pocieszyć, ale zaschło mu w gardle. Co za nieszczęścia? Dusza nie stanowi własności żadnego człowieka, jest przedmiotem powierzonym czasowo w depozyt. Kiedy prawowity jej Właściciel chce zwrotu, człowiek nie ma prawa Mu się przeciwstawiać. A skoro dusza musi powrócić przed tron chwały, nie wolno jej poniżyć ani zbrukać. Należy mieć zaufanie do słuszności postępowania bożego. Lecz rabi nie był w stanie wypowiedzieć tych swoich myśli. Spoglądał czule na Cypełe. Świeżo po ślubie wykazywała niekiedy trochę kobiecej próżności. Śmiała się, żartowała, przyozdabiała klejnotami. Niech będzie błogosławione imię

Wszchemocnego. Obecnie, jako babka, odrzuciła całą tę dziecinadę; jej twarz nabrała wyrazu godności, rysy stały się bardziej żydowskie, upodobniła się do swej błogosławionej pamięci matki. Tak to jest, kiedy próżność zanika, jej miejsce zajmuje bo jaźń boża.

Cypełe pochyliła się nad mężem.

– Może łyk rosołu?

– Nie mogę. – Przyjmij lekarstwo.

– Proszę cię, nie. |Stała w milczeniu przy łóżku. Stłumiła szloch, nie chcąc martwić męża. Potem wyszła załamując ręce. Rabi przymknął oczy. Mimo spuszczonej rolety raz było go nawet słabe światło, które przez nie przenikało. Modlitwa przychodziła mu z trudem. Kiedy tak leżał, tęsknił do ciszy. Przeszkadzał mu nawet świergot ptaków w ogrodzie. Zastanawiał się, czy dobrze służył Stwórcy. Wszak zaniedbywał studiowania ksiąg, miewał myśli nieczyste, wątpił w Opatrzność. Nie był godzien należeć do grona chasydów, na rabiego został wybrany mimo własnej woli. Jakim pasterzem okazał się dla swych owieczek? Za mało poświęcał czasu biednym, dzieciom i młodym ludziom, którzy później porzucali wiarę, gdyż nie natchnął ich zapalem pobożności.

Myśli rabiego pierzchły na dłuższą chwilę, uwaga się rozproszyła. Coś mu bulgotało w piersi, w plecach. Miał wrażenie, jakby ostatni kawałek płuc chciał się oderwać i uwolnić. Strzępy myśli przebiegały przez głowę, a za nimi goniły urywki z Pisma Świętego, nie powiązane ustępy z Talmudu, z Midraszu i wyrazy chaldejskie. Nasuwały się cytaty z Tory i ich interpretacje, to znowu święte imiona. Bał się, że to czart przystąpił do dzieła. Rabi unieważnił już przed minjanem Żydów wszelkie bluźniercze słowa, do których wypowiedzenia lub pomyślenia mógłby go zmusić szatan w ostatniej godzinie życia. Jednak kto może wiedzieć, czy to unieważnienie obowiązuje? Odczuwał w duszy tępy ból. Przez te wszystkie lata tęsknił do wizji, do znaku z góry. Prorok Eljasz objawiał się świętym. Jeszcze za życia wzniesli się do królestwa niebieskiego, widzieli anioły, serafiny, cherubiny. Święty Baał Szem–Tow, cudotwórca, oglądał Pałac Ptasięgo Gniazda i przemówił do Mesjasza. Nawet pomniejsi święci z późniejszych pokoleń dostępowali wizji.

Widocznie on, Jochanan, nie jest godny tej łaski niebios. Na drodze stanęły jego grzechy. Jeśli oczy są nieczyste, nie widzą.

Jeśli uszy są zatkane, nie słyszą. Jeśli zajmują człowieka sprawy ciała, nie spostrzega spraw ducha. Jeszcze bardziej przerażało go to, że niczego nie znajdzie po śmierci. Jego dusza może zostać wcielona w krowę, dzikie zwierzę albo żabę. Czy należy do tych, którzy nie są godni oglądania oblicza Szechiny, ucieleśnionego boskiego ducha? Myślał o argumentach heretyków: nie ma sędziego, ani sądu, ani przewodnika. Przypomniał mu się ustęp z księgi Kohelet: "A zmarli niczego zgoła nie wiedzą." Jak można było coś takiego powiedzieć? Jak to się stało, że w Piśmie nie ma wzmianki o nieśmiertelności duszy? A może, niech Bóg uchowa, rację mieli Saduceusze?

– Gubię mą duszę. Umieram jako ateista – zaczął mamrotać reb Jochanan. – Tonę, Ojciec w niebiesiech, tonę, miej litość nade mną! Ochroń mnie! Nie z racji moich zasług, tylko ze względu na moich świętych przodków... ~ Nagle się uśmiechnął. – A nawet jeśli zatonę w otchłani? Czy to w jakiś sposób pomniejszy chwałę Wszechmocnego?

Rabi otworzył oczy. Nadszedł już wieczór. Na stole ustawiono świecę. Jego żona pochyliła się nad łóżkiem.

– Spałeś długą chwilę.

– Tak...

Pozostał w tym stanie podobnym do półsnu, modląc się w duchu o poznanie prawdy. Ktoś wchodził i wychodził z pokoju. Świeca się wypaliła lub ją zgaszono. Myślał o ciemnościach. Nie są jednak niczym innym jak tylko brakiem światła, zatajeniem Jego oblicza. Czegóż więc się bać? Bóg jest w ciemnościach. Złe duchy? Niech sobie będą, są konieczne! Inkarnacja! Niech i ona będzie. Reb Jochanan ujrzał twarz swego ojca wynurzającą się z kąpieli rytualnej. Z brody i pejsów skapywała mu woda. Czy i tam w górze istnieją ablucje? Ojciec przemówił, lecz nie wydał głosu. Rabi przysłuchiwał się. A więc to się tak odbywa. Nagle coś załopotowało. Otworzył oczy i ujrzał wielkie światło. Co to takiego? Wschód słońca? Błyskawice? Leżał ze ścierpiętymi kończynami. Nie, nic podobnego. Każda belka sufitu zajaśniała, każdy

kąt pokoju, szyby, kapa na łóżku. "I Bóg powiedział: «Niech się stanie światłość. I Bóg widział, że światłość jest dobra." Rabi stał się świadkiem dzieła stworzenia świata. W jednej chwili wszystko się wyjaśniło, wszystkie pytania znalazły odpowiedź. Zamknął oczy, jasność jednak nie znikła, nie świeciła ani poza nim, ani wewnątrz niego, wypełniała całą przestrzeń, przenikała cały byt. Stanowiła wszystko razem: objawienie, oderwanie się od całego ziemskiego zamętu, najgłębszą radość. "Wszystko jest w porządku, Bóg jest doskonały!" – coś w nim wołało. Wszystko stało się takie proste, nie mógł pojąć, dlaczego dawniej tego nie wiedział. Jak długo trwała ta chwila? Minutę? Kilka sekund? Czas zniknął. Jochanan zanurzył się w wieczności. Pozostało mu jedno życzenie: powiadomić tych, którzy pograżyli się w zwątpieniu i cierpieniu, o tym, co zobaczył. Wyciągnął rękę, aby zastukać w ścianę, lecz ręka nie wywołała żadnego odgłosu.

W takim stanie przetrwał aż do wschodu słońca. Zdawało się, że dusza wciąż jeszcze nie opuściła ciała. Gwiazdy zbladły. Gwiazda poranna wzeszła i zgasła na firmamencie. Na wprost łoża ściana zabarwiła się purpurą, ale to nie przytłumiło tej innej jasności płonącej ogniście. To, co rejestrowały zmysły – niebo, słońce, drzewa na zewnątrz, ściany pokoju – widział jak za mgłą. Drzwi się otworzyły: Cypele przyniosła szklankę herbaty, lecz i ją spowijały cienie. Wszedł młody człowiek. Rabi poznał w nim swego syna Cadoka, nie miało to jednak już żadnego znaczenia.

Wkrótce zaczął rzeźzić, rozpoczęła się agonia. Chasydzi rzucili się do pokoju, chcąc być świadkami odłączenia się duszy od ciała. Starszy Bractwa Pogrzebowego podsunął gęsie pióro do nozdrzy rabiego; pióro się nie poruszyło. Cypele cicho zawodziła. Zełdele, córka rabiego, nadbiegła z płaczem Pinchas, jego zięć, łkał przenikliwym głosem. Najmłodszy syn rabiego, Gadele, spał jeszcze i szames Mendel poszedł go obudzić. Cadok do nikogo się nie odzywał i nikt do niego nie przemówił. Stał w milczeniu. Otworzono okna i odmówiono modlitwę o odpuszczenie grzechów. Podniesiono zwłoki i ułożono je na podłodze. Prawie nic nie ważyły. Uśmiech malował się na twarzy rabiego. Leżał okryty tałasera, a dwie zapalone świece umieszczono przy jego głowie. Ktoś z bliskich pośpieszył do telegrafu, aby powiadomić gminy żydowskie, że zmarł Jochanan, cadyk

z Marszynowa.

Table of Contents

	ROZDZIAŁ PIERWSZY	
III	ROZDZIAŁ DRUGI	
III	ROZDZIAŁ TRZECI	
IIIIIIIV	ROZDZIAŁ CZWARTY	
IIIIII	ROZDZIAŁ PIĄTY	
	ROZDZIAŁ SZÓSTY	
III	ROZDZIAŁ SIÓDMY	
IIIIIIIV	ROZDZIAŁ ÓSMY	
III	ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	
IIIIII	ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	
IIIIII	ROZDZIAŁ JEDENASTY	
IIIIIIIVVVI	ROZDZIAŁ DWUNASTY	
IIIIII	ROZDZIAŁ TRZYNASTY	
IIIIII	ROZDZIAŁ CZTERNASTY	
IIIIII	ROZDZIAŁ PIĘTNASTY	
	ROZDZIAŁ SZESNASTY	
III	ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY	
	ROZDZIAŁ OSIEMNASTY	
IIIIII	ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY	
IIIIIIIVV	ROZDZIAŁ DWUDZIESTY	
IIIIII	ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY	
	ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI	
IIIIIIIVV	ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI	
IIIIIIIVVVI	ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY	
	ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY	
III		

